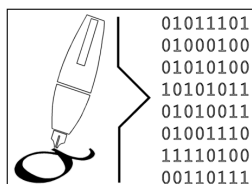


SALMAN RUSHDIE

SZATAŃSKIE WERSETY



Tytuł oryginału:

The Satanic Verses

Data wydania polskiego: 1992 r.

Data pierwszego wydania oryginalnego: 1988 r.

Dla Marianny

Szatan tedy, skazany na dolę włóczęgi, bezdomnego wędrowca, choć z racji swej anielskiej natury posiada coś na kształt królestwa w wodnych pustkowiach lub w powietrzu, to jednak z pewnością częścią jego kary jest to, że nie ma nic stałego, żadnego miejsca, gdzie mógłby oprzeć stopę.

Daniel Defoe, *Historia Diabła*

I

Anioł Gibril

1

Aby narodzić się ponownie — śpiewał Gibril Fariszta, spadając z niebios — najpierw musisz umrzeć. Ho dzi! Ho dzi! Aby bezpiecznie wylądować na Matce Ziemi, trzeba najpierw latać. Tat-taa! Taka-tun! Jak może w ogóle na twojej twarzy pojawić się uśmiech, jeżeli wcześniej nie zapłaczesz? Hej, panie szanowny, jak chcesz pan zdobyć miłość swojej ukochanej bez jednego westchnienia? Baba, jeżeli chcesz narodzić się ponownie. . . — Tuż przed świtem, pewnego zimowego poranka, w Nowy Rok albo coś koło tego, dwóch całkiem realnych, całkiem dorosłych żywych mężczyzn spadało z bardzo wysoka, bo z dziesięciu tysięcy metrów, wprost do kanału La Manche, nie korzystając z dobrodziejstwa spadochronów czy skrzydeł. Spadało wprost z jasnego nieba.

— Mówię ci, musisz umrzeć, mówię ci, mówię — rozlegało się wciąż i wciąż pod alabastrowym księżycem, aż w końcu głośny okrzyk przeciął noc: — Do diabła z twoim śpiewaniem! — słowa te zawisły jak kryształ w mroźnej białej nocy. — Przy kręceniu filmów ruszałeś tylko ustami do muzyki z playbacku, oszczędź mi więc teraz tych piekielnych hałasów.

Gibril, ten solista bez słuchu, brykał sobie dotąd w świetle księżyca. Śpiewał swoją zaimprovizowaną pieśń miłosną, pływał w powietrzu motylkiem albo żabką, to znowu związał się w kłębek, aby następnie rozpostrzeć ręce i nogi, wyzywając prawie-nieskończoność prawie-switu i przybierając heraldyczne postawy — stojącą, leżącą z podniesioną głową, przeciwstawiając sobie nieważkość i przyciąganie ziemskie. Teraz, wypełniony radością przezołkował w kierunku, z którego dochodził sardoniczny głos: — Ohe, Salad baba, och to ty, wprost nie do wiary. Cześć, stary Czamczo. — Na co tamten, gderliwy cień lecący głową w dół, w szarym garniturze z marynarką zapiętą na wszystkie guziki, z rękoma przy ciele i przyjmujący jako rzecz oczywistą absurd melonika na swojej głowie, wykrzywił się jak człowiek, który nienawidzi przezwisk.

— Hej, Spoono — wrzasnął Gibril, prowokując tym następny grymas. — Ten Właśnie Londyn, bhai! Oto nadchodzimy! Ci skurwiele tam na dole nie będą nawet wiedzieć, co w nich stuknęło: meteory, błyskawica czy też zemsta boża. Jak grom z jasnego nieba, dziecinko! *Dharrraamm*! Krrach! No nie? Co za wejście, jar. Daję słowo: chlup.

Jak grom z jasnego nieba — wielka eksplozja, a zaraz po niej spadające gwiazdy. Początek wszystkiego, miniaturowe echo narodzin czasu. . . odrzutowiec pasażerski *Bustan* lot numer AI-420 eksplodował bez jakiegokolwiek ostrzeżenia wysoko nad olbrzymim, gnijącym i pięknym, spowitym w śnieg i jasno oświetlonym miastem Mahagonny, Babilon, Alphaville. Ale przecież Gibril już je nazwał, nie wolno mi tu się wtrącać: Ten Właśnie Londyn, stolica Wilajatu, mrugał światłami w ciemności nocy. W tym czasie na himalajskiej wprost wysokości krótkotrwałe i przedwczesne słońce wtargnęło w pełne pyłu stycziowe powietrze,

echo zniknęło z ekranów radarów, a rozrzedzona przestrzeń wypełniła się ciałami spadającymi z Everestu katastrofy ku mlecznej bieli morza.

Kim jestem?

Czy jest ktoś jeszcze?

Samolot rozpadł się na pół jak strąk wyrzucający nasiona albo jajko odslaniające swoją tajemnicę. Dwaj aktorzy — hałaśliwy Gibril i zapięty pod samą szyję pan Saladyn Czamcza o mocno zaciśniętych ustach — spadali jak okruchy tytoniu ze starego, połamanego cygara. Nad nimi, za nimi, pod nimi, wszędzie w tej próżni zawisły odchylone do tyłu fotele lotnicze, stereofoniczne słuchawki, wózeczki do rozwożenia drinków, torebki używane w razie choroby lokomocyjnej, karty lądowania, kasety wideo zakupione w wolnocłowej części lotniska, czapki ze złocnymi sznurkami nad daszkiem, papierowe kubki, koce, maski tlenowe. A także — ponieważ na pokładzie była pewna liczba migrantów — było w powietrzu sporo żon, uprzednio przesłuchiwanym przez rozsądnych urzędników wykonujących po prostu swoją pracę, żon pytanych o wielkość genitaliów swoich mężów i charakterystyczne brodawki na nich, a także o to, jaką ilość dzieci uważają za wystarczającą — zresztą co do ślubnego pochodzenia tych dzieci, rząd brytyjski zawsze miał uzasadnione wątpliwości — tak więc mieszając się ze szczątkami samolotu, płynęły równie rozkawałkowane i równie absurdalne szczątki dusz, przerywane wspomnienia, odrzucone osobowości, obcięte ojczyste języki, pogwałcone prawa do własnego życia, nieprzetłumaczalne dowcipy, wygasłe nadzieje na przyszłość, utracone życie, zapomniane znaczenia pustobrzmiących słów, *ojczyzna, poczucie przynależności, dom*. Nieco ogłuszeni przez eksplozję Gibril i Saladyn spadali pionowo jak zawiniątka upuszczone przez jakiegoś bociana, który nieostrożnie otworzył dziób. Ponieważ jednak Czamcza spadał głową w dół, w pozycji przyjmowanej przez noworodka wchodzącego do kanału rodowego matki, zaczął odczuwać pewną irytację, kiedy Gibril odmówił spadania w tak prosty sposób. Saladyn nurkował, natomiast Fariszta, machając rękoma i nogami, obejmował powietrze i przytulał się do niego, zapracowany aktorzyna bez techniki. W dole czekały na ich wejście spowite w chmurach, z wolna krzepnące prądy morskie kanału La Manche w wyznaczonej im strefie wodnej reinkarnacji.

— Hej, ram, japońskie buty mam — zaśpiewał, tłumacząc starą piosenkę na angielski — chyba z na wpół świadomego szacunku dla zbliżających się gwałtownie gospodarzy tej ziemi. — O, proszę, angielskie spodnie noszę. Na głowę wciśnięta czerwona czapka ruska, a pod tym strojem dusza hinduska. — Chmury jak pęczniące bąble szybko pędziły ku nim i prawdopodobnie, czy to z powodu tajemniczej przepastności cumulusa i cumulonimbusa (potężne, falowane obłoki z czoła burzy stały przy tym na wschodzie jak olbrzymie młoty), czy też dlatego, że uwaga obu skupiona była na piosenkach (pierwszego na ich wyśpiewywaniu, drugiego na wygwizdywaniu), czy też przyczyniło się do tego drżenie wywołane przez eksplozję — w każdym razie oszczędzona im została świadomość tego, co

nieuchronnie zaraz nastąpi. Jaka by tego nie była przyczyna, ci dwaj ludzie, Gibrilsaladyn Farisztaczamcza, skazani na to nie kończące się, a jednocześnie zbliżające się do końca anielsko-diabelskie spadanie, nie zauważyli po prostu chwili, w której rozpoczął się proces ich transmutacji.

Mutacji?

Yessir, ale nie przypadkowej. Tam, w górze, w przestrzeni powietrznej, w tym delikatnym, niezauważalnym obszarze, który zaistniał dzięki temu wiekowi i który następnie umożliwił ten wiek, stając się jednym z miejsc definiujących to stulecie, areną ruchu i wojny, środkiem zmniejszającym planetę i pochłaniaczem potęgi, najbardziej niepewną i krótkotrwałą ze stref, iluzjonistyczną, nieciągłą, metamorficzną — ponieważ kiedy wyrzuci się wszystko w górę, w powietrze, wszystko staje się możliwe — w każdym razie, daleko tam w górze, w tych błędzących aktorach zaszły zmiany, zmiany, które uradowałyby serce starego pana Lamarcka: pod wpływem ekstremalnych warunków środowiska pojawiły się pewne cechy charakterystyczne.

Jakie cechy? Powoli, powoli; myślicie, że Akt Stworzenia przebiega w pośpiechu? Przecież z objawieniem również tak się nie dzieje. . . Popatrzcie na tych dwóch. Zauważyliście coś nadzwyczajnego? Po prostu dwaj brązowi faceci, spadający bezwładnie jak kamienie. Nic nowego, możecie pomyśleć: wdrapali się za wysoko, przeskoczyli samych siebie, lecieli zbyt blisko słońca, czyż nie tak?

Nie, nie o to chodzi. Posłuchajcie:

Pan Saladyn Czamcza, przerażony dźwiękami wydobywającymi się z ust Gibrila Fariszty, odpowiedział na ten atak własnymi strofami. I oto Fariszta usłyszał, jak przez nieprawdopodobne nocne niebo płynie stara piosenka, wiersz Jamesa Thomsona od wersu tysiąc siedemset do tysiąc siedemset czterdzieści osiem. — . . . z polecenia Niebios — popłynęły radosne wersety z ust Czamczy, którego wargi przybrały z zimna szowinistyczny, czerwono-biało-niebieski kolor, — heeen-tam, z lazuruweeeego powstał oceanu. — Przerażony Fariszta śpiewał coraz głośniej o japońskich bucikach, rosyjskich czapkach, niezmiennie czystych subkontynentalnych sercach, lecz wciąż nie mógł uciszyć gwałtownej recytacji Saladyna: — A aniołoowowie stróóóże śpiewali radośnie.

Spójrzmy prawdzie w oczy: to było absolutnie niemożliwe, aby mogli się wzajemnie słyszeć, a co dopiero rozmawiać czy też współzawodniczyć w piosenkach. Przecież lecieli coraz szybciej w stronę planety, a powietrze wokół nich było wypełnione rykiem. Jak więc było to możliwe? Lecz przyjmijmy do wiadomości również i to, że tak jednak było.

Pędzili w dół, a zimowy mróz, oszraniając im rzęsy i grożąc zamrożeniem serc, niemal wyrwał ich z szalonego snu na jawie i właśnie mieli dostrzec nadzwyczajność ich własnego śpiewu i dojrzeć deszcz kończyn ludzkich i niemowląt, którego sami byli częścią, jak i dopuścić do siebie strach przed przeznaczeniem, które pędziło w ich stronę z dołu, kiedy uderzyli w kipieli chmur o zerowej tem-

peraturze, która całkowicie ich przemoczyła i natychmiast pokryła lodem.

Znajdowali się teraz w czymś, co wydawało się być długim pionowym tunelem. Czamcza, dokładny, sztywny i wciąż jeszcze do góry nogami, zobaczył zbliżającego się doń Gibrila Fariszte, który płynął w tej swojej szkarłatnej koszuli poprzez tunel o ścianach z chmur, i już miał krzyknąć: „Odejdź, trzymaj się z dala ode mnie”, kiedy coś mu przeszkodziło, coś, jakby początek małej trzepoczącej i krzyczącej rzeczy w jego brzuchu. Tak więc zamiast wyrzucić z siebie słowa protestu, Czamcza otworzył ramiona i Fariszta wpłynął w nie nogami, splatając się z nim w odwróconym uścisku. Siła zderzenia była tak wielka, że zaczęli koziółkować coraz szybciej i szybciej, kręcąc podwójnego młynka przez całą drogę w dół i wzdłuż tej dziury, która prowadziła do Krainy Czarów. Kiedy właśnie czynili wysiłki, aby wydostać się z tej bieli, pojawił się szereg chmur o różnych kształtach, nieustannie przeobrażających się: bogowie w byki, kobiety w pająki, ludzie w wilki. Wokół nich tłoczyły się hybrydyczne chmury-stworzenia, wiszące na mięsistych łądych gigantyczne kwiaty o kobiecych piersiach, skrzydlate koty, centaury — i w końcu pogrążonemu w półświadomości Czamczy zdawało się, że on również posiadał cechy chmur, stając się metamorficzną hybrydą, jak gdyby przeobrażał się w osobę, której głowa znajdowała się obecnie między nogami, a nogi owijały się wokół jej długiej, patrycjuszowskiej szyi.

Osoba ta nie miała jednak czasu na takie „podniebne dyrdymały”; w rzeczy samej nie była ona w ogóle zdolna do dyrdymalenia, ponieważ akurat chwilę wcześniej ujrzała wyłaniającą się z kłębu chmur postać wspaniałej kobiety w nieokreślonym wieku. Miała na sobie brokatowe zielono-złote sari, w nosie diamentową ozdobę, a jej włosy pokrywał lakier chroniący kunsztownie spiętrzone loki przed huraganowym wiatrem tych wysokości. Siedziała na swoim latającym dywanie.

— Rekha Merchant — przywitał ją Gibril. — Nie mogłaś znaleźć drogi do nieba, czy co?

Twarde słowa, jeżeli zauważymy, że są skierowane do nieżyjącej kobiety! Co prawda usprawiedliwiać go może wstrząs i gwałtownie spadanie. . . Czamcza, zaciskając kurczowo nogi, zapytał, niczego nie rozumiejąc:

— Co, u diabła?

— Nie widzisz jej? — wrzasnął Gibril. — Nie widzisz tego jej cholernego bucharskiego dywanu?

— Nie, nie, Gibbo — szepnęła mu do ucha — nie spodziewaj się, że potwierdzi. Ukazuję się wyłącznie twoim oczom, może zaczniesz wariować, jak myślisz, ty *namaqool*, ty kawałku świńskiego łajna, mój ty kochany. Wraz ze śmiercią przychodzi znowu szczerłość, kochanie, a więc mogę cię nazywać prawdziwymi imionami.

Chmurna Rekha wciąż szeptała swoje cierpkie czułości, lecz Gibril ponownie krzyknął do Czamczy: — Hej, Spoono? Widzisz ją czy nie?

Saladyn Czamcza niczego nie widział, niczego nie słyszał, nic nie powiedział.

Gibril sam stawiał jej czoła.

— Nie powinnaś była tego robić — upomniał ją. — Nie, moja pani. Grzech. To okropna rzecz.

— O tak, teraz możesz prawić mi kazania — zaśmiała się. — Pomyśleć, że ty właśnie masz tak duże poczucie moralności, dobre sobie. Przecież to ty mnie porzuciłeś. — Jej głos niemal wgryzał się w jego ucho — To przecież ty, O księżycu mej rozkoszy, skryłeś się za chmurą. A ja w ciemności, oślepiąca, stracona, dla miłości.

Przeraził się.

— Czego chcesz? Nie, lepiej nie mów, po prostu odejść.

— Kiedy byłeś chory, nie mogłam cię zobaczyć z obawy przed skandalem. Wiedziałaś, że nie mogę przyjść, że trzymam się z dala przez wzgląd na ciebie, ale później ukarałeś mnie, wykorzystując to jako wymówkę, by mnie porzucić jak chmurę, za którą się skryłeś. I na dobitkę jeszcze ona, ta kobieta z lodowców. Drań. A teraz skoro już umarłam, zapomniałam, co to przebaczenie. Przeklinam cię, mój Gibrilu, niech twoje życie będzie piekłem. Piekłem, ponieważ tam mnie posłałeś, niech cię diabli, ponieważ właśnie stamtąd przyszedłeś, diabli, i tam właśnie zmierzasz. Życzę ci, frajerze, cholernie przyjemnego spadania. — Przekleństwo Rekhi; a po nim wersety w języku, którego nie rozumiał, języku, który cały był wypełniony chropowatymi i syczącymi dźwiękami. Wydawało mu się, że wyłowił kilkakrotnie powtarzane imię *Al-Lat*. . . a zresztą, może nie. . .

Mocniej uchwycił Czamczę; przebili się przez dno chmur.

Pęd, poczucie pędu powróciło, gwizdząc swoją przeraźliwą melodię. Dach chmur uciekł w górę, a wodna podłoga przybliżyła się i powiększyła. Otworzyły im się oczy. Wrzask, ten sam wrzask, który trzepotał się we wnętrzościach Czamczy, gdy płynął poprzez niebo, wyrwał się z jego warg. Snop słonecznego światła przebił otwarte usta i wyzwolił się. Lecz już uprzednio Czamcza i Fariszta mieli styczność z przeobrażającymi się chmurami i teraz na krawędziach ich postaci dawała się zauważyć jakaś płynność, brak wyrazistości i kiedy światło słoneczne uderzyło Czamczę, wydobyło z niego coś więcej niż hałas.

— Leć — wrzasnął Czamcza do Gibrila. — Zaczynaj latać, no już. — I dodał następne polecenie, nie wiedząc, skąd się ono wzięło: — I śpiewaj.

Jak nowe przychodzi na ten świat? Jak się rodzi?

Z jakich połączeń i przekształceń powstaje?

I jak może przetrwać, zważywszy jego ekstremalny i niebezpieczny charakter? Na jakie musi pójść kompromisy, jakich dokonać transakcji, jakich odstępstw od swojej tajemnej natury musi to coś się dopuścić, aby zapobiec działaniu niszczycielskiej brygady, anioła śmierci, gilotyny?

Czy narodziny są zawsze upadkiem?
Czy aniołowie mają skrzydła? Czy ludzie potrafią latać?

Kiedy pan Saladyn Czamcza wypadł z chmur nad kanałem La Manche, poczuł, że jego serce chwyta siła tak nieprzejednana, iż niemożliwe jest, aby umarł. Później, kiedy znowu stał mocno na ziemi, często zaczynał w to wątpić i przypisywał swoją niewiarygodną podróż zaburzeniom w postrzeganiu wywołanym przez eksplozję, a swoje ocalenie, swoje i Gibrila, przypadkowi, ślepemu zbiegowi okoliczności. Ale wtedy nie miał najmniejszej wątpliwości; zawiądnęła nim chęć życia, chęć ogromna, nieprzeparta, prawdziwa. Kiedy tylko to uczucie pojawiło się, na wstępie poinformowało go, że nie chce mieć nic wspólnego z jego żalną osobą, z tym na wpół zrekonstruowanym przypadkiem naśladownictwa i głosów. Uczucie to zamierzało pominąć go całkowicie i zaskoczony stwierdził, że poddaje się — ależ tak, oczywiście — jak gdyby był przygodnym widzem w swoim własnym umyśle, we własnym ciele, jako że miało ono swój początek w samym środku jego wnętrza i rozprzestrzeniało się na zewnątrz, przekształcając krew w żelazo, zmieniając ciało w stal. Poza tym miał wrażenie, że ogarnęło go ono z zewnątrz jak potężna dłoń i trzyma go w straszliwie mocnym, a zarazem nieznośnie delikatnym uścisku. Aż w końcu całkowicie zapanowało nad nim i mogło poruszać jego wargami, palcami, każdą częścią ciała, i skoro już upewniło się co do swej całkowitej kontroli, rozszerzyło się poza jego ciało i złapało Gibrila Fariszte za jądra.

— Leć — rozkazało ono Gibrilowi. — Śpiewaj.

Czamcza wciąż trzymał Gibrila, kiedy ten zaczął machać rękoma z początku wolno, a potem coraz szybciej i silniej. Trzepotał coraz mocniej, i kiedy tak trzepotał, wyrwała się z jego ust pieśń. I podobnie jak pieśń śpiewana przez ducha Rekhi Merchant, również i ta była w języku, którego nie znał, i do melodii, której nigdy przedtem nie słyszał. Gibril nigdy potem nie zaprzeczał, że był to cud; odmiennie niż Czamcza, który usiłował racjonalnie tłumaczyć, że nic takiego nigdy nie miało miejsca. Gibril nie przestawał mówić, że to gazal zesłana przez niebo, że przecież na nic by się zdało samo machanie rękoma bez pieśni i że gdyby nie to trzepotanie, to jak nic, bez wątpienia uderzyliby w fale jak w skałę i po prostu rozpadliby się na kawałki przy zetknięciu z napiętą taflą wody. Zamiast tego zaczęli zwalniać. Im bardziej stanowczo Gibril trzepotał i śpiewał, śpiewał i trzepotał, tym wolniejsze stawało się ich spadanie, aż w końcu obydwaj zaczęli lekko kołysać się w powietrzu i z wolna opadać ku wodom kanału La Manche jak skrawki papieru na wietrze.

Byli jedynymi, którzy przeżyli katastrofę, jedynymi pasażerami *Bustana*, którzy spadli z tej wysokości i żyli. Znalezione ich na plaży, gdzie zostali wyrzuceni przez fale. Ten bardziej elokwentny z dwójki, ten w szkarłatnej koszuli, mówił

bardzo chaotycznie i przysięgał, że chodzili po wodzie i że fale przyniosły ich delikatnie do brzegu. Jednak ten drugi, do którego głowy przywarł jakby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki nasiąknięty wodą melonik, zaprzeczył temu.

— Boże, ależ nam się udało — powiedział. — Czegóż można jeszcze chcieć?

Ja oczywiście znam prawdę. Obserwowałem całą tę historię. Na razie nie roszczę sobie żadnych pretensji do wszechobecności i wszechwiedzy, ale mam nadzieję, że na tyle mnie stać. Czamcza doprowadził do tego siłą swojej woli, a Fariszta wykonał to, do czego został zmuszony.

Który z nich był cudotwórcą?

Jakiego rodzaju była pieśń Fariszty — anielska czy szatańska?

Kim jestem?

Albo, powiedzmy: kto wie, jaka jest najlepsza pieśń?

A oto pierwsze słowa, jakie wypowiedział Gibril Fariszta, budząc się na zasypanej śniegiem plaży, gdzie przy jego uchu znalazło się coś tak nieprawdopodobnego jak rozgwiazda: — Narodziliśmy się ponownie, Spoono, ty i ja. Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin, szanowny panie, wszystkiego najlepszego.

Na te słowa Saladyn Czamcza zakaszłał, bryznął śliną, otworzył oczy i jak przystało na noworodka, wybuchnął nedorzecznym płaczem.

2

Reinkarnacja zawsze była czymś bardzo ważnym dla Gibrila, który przez piętnaście lat był największą gwiazdą w historii filmu hinduskiego i to nawet wtedy, kiedy pokonał „w sposób nadprzyrodzony” Wirusa Widmo, który, jak powszechnie sadowano, miał położyć kres jego kontraktom. Tak więc, mimo że nikt tego nie zrobił, może ktoś powinien był przepowiedzieć, że kiedy Gibril wróci po chorobie do swoich zajęć, uda mu się odnieść, że tak powiem, sukces tam, gdzie wirusy przegrały i odejść ze swojego dotychczasowego życia na zawsze, w tygodniu, w którym przekroczył czterdziestkę, zniknąć, pstryk! Taka sztuczka, *rozpłynąć się w powietrzu*.

Pierwsi zauważyli jego nieobecność czterech pracowników studia filmowego, wożący go w fotelu na kółkach. Na długo przed chorobą wpadł on w nawyk przemieszczania się po terenie wielkiego studia filmowego D.W. Ramy z jednego planu na drugi przy pomocy tej grupy szybkich, zaufanych atletów, gdyż człowiek, który równocześnie przygotowuje się do jedenastu filmów, musi oszczędzać swoje siły. Posługując się skomplikowanym systemem kodowania, składającym się z kresek, kółek i kropek, który to Gibril pamiętał jeszcze z dzieciństwa spędzonego wśród legendarnych gońców-roznosicieli obiadów w Bombaju (o których szerzej później), ci współcześni tragarze lektyk błyskawicznie i bezszelestnie przetrzymali go z jednej roli do drugiej, dostarczając na miejsce równie punktualnie i niezawodnie, jak jego ojciec czynił to niegdyś z obiadami. Po każdym zdjęciach do filmu Gibril zwykle wskakiwał z powrotem na fotel, który jak najspieszniej pilotowano w kierunku następnego planu. Tam przebierano Gibrila w nowy kostium, ponownie charakteryzowano i dawano do ręki tekst następnej roli. — Kariera aktora grającego w filmach dźwiękowych w Bombaju — powiedział on swojej lojalnej brygadzie tragarzy — podobna jest raczej do wyścigu foteli na kółkach z kilkoma przerwami przy punktach żywnościowych na trasie.

Po wyjściu z choroby, po zwycięstwie nad Upiornym Wirusem, Tajemniczą Przypadłością, nad samym Zarazkiem, Gibril powrócił do pracy, pozwalając sobie na kręcenie jedynie siedmiu filmów jednocześnie... Aż tu nagle, po prostu pstryk-pstryk i nie ma go tam. Fotel na kółkach stał pusty pomiędzy wyciszonymi planami filmowymi; zniknięcie Fariszy odsłoniło całe bezguście dekoracji filmowych. Czwórka tragarzy usprawiedliwiała nieobecną gwiazdę filmową, kiedy wściekle szefostwo wytwórni rzuciło się na nich.

— Szanowny panie, on na pewno jest chory. Zawsze przecież słynął z punktualności, no nie, dlaczego od razu go krytykować, szefie — od czasu do czasu trzeba przymknąć oczy na kaprysy wielkich artystów. — Ta ich obrona Fariszy spowodowała, że stali się pierwszymi ofiarami jego tajemniczego zniknięcia, jego — uwaga — hokus-pokus; wylano ich z roboty, cztery trzy dwa jeden, *ekdum-jaldi*, wydalono za bramy studia filmowego, a fotel na kółkach stał opuszczony

pod malowanymi palmami kokosowymi, to w tym, to w tamtym rogu trocinowej plaży, i pokrywał się kurzem.

Gdzie był Gibril? Producenci filmowi, pozostawieni siedmiokroć własnemu losowi, wpadli w straszną panikę. Widzicie tam, na terenie klubu golfowego Willingdon, gdzie obecnie jest jedynie dziewięć dołków, a z pozostałych dziewięciu drapacze chmur wyrastają jak gigantyczne chwasty lub, powiedzmy, jak grobowce oznaczające miejsce spoczynku rozdartych zwłok starego miasta — i tam, właśnie tam, widzicie urzędników wysokiego stopnia, którzy nie mogą trafić do dołka z bliskiej odległości. A popatrzcie wyżej, kosmyki umęczonych włosów, wyrrywanych z głów urzędników, opadają w powietrzu z okien na najwyższych piętrach. Łatwo można było zrozumieć wzburzenie producentów filmowych, ponieważ w tym czasie, kiedy kurczyła się liczba widzów w salach kinowych, a sieć stacji telewizyjnych tworzyła melodramatyczne seriale historyczne i wykreowała współczesną krucjatę gospodyń domowych, tylko jedno jedyne nazwisko umieszczone w czołówce filmu wciąż jeszcze było w stanie wykrzesać entuzjazm w widzach, tylko ono dawało stuprocentową gwarancję na Super Przebój, Nadzwyczajną Sensację; a tu właściciel powyższego nazwiska odszedł, wszystko jedno czy w górę, w dół, czy też w bok, jednak niezaprzeczalnie i z całą pewnością dał drapaka. . .

W całym mieście rozdzwoniły się telefony. Gliniarze, motocykliści, nurkowie i łodzie przeczesujące wody portu w poszukiwaniu jego ciała — nic nie przyniosło efektu. Zaczęły krążyć wspomnienia o zgasłej gwiazdce. Na jednym z siedmiu dotkniętych niemocą planów pojawiła się panna Pimple Billimoria, bomba reklamująca czerwony pieprz i inne przyprawy — *żadna tam trzpiotowata panienska, lecz seksowna-łapy-przy-sobie-panowie paczuszka dynamitu* — przyodziana w lekki płaszczyk, spod którego wyzierał negliż tancerki świątynnej, i ustawiła się pod powykręcanymi tekturowymi podobiznami kopulujących tantrycznych figur z okresu dynastii Czandelów, — i widząc, że nie dojdzie do kręcenia jej najważniejszej sceny i że szansę na zasadniczy przełom w karierze zostały pogrzebane — dała złośliwe przedstawienie wobec audytorium złożonego z inżynierów dźwięku i elektryków ćmiących cyniczne cygaretki. W asyście porażonej nieszczęściem służącej, same łokcie, Pimple próbowała szyderszego tonu. — Boże, co za szczęście, słowo daję — krzyknęła. — Chodzi mi o to, że dziś mieliśmy kręcić tę scenę miłosną, fuj. Po prostu umierałam z obrzydzenia na samą myśl, że będę musiała zbliżyć się do tego tłusciocha o oddechu gnijącego łajna karaluchów. — Tupnęła. Ciężkie jak dzwon bransolety na jej nogach zadzwoniły gwałtownie. — Ma diabelne szczęście, że filmy nie pachną, bo nie dostałby nawet roli trędowatego.

I w tym miejscu monolog Pimple zamienił się w stek tak plugawych uwag, że wszyscy palacze cygaretek po raz pierwszy zaciekawili się i zaczęli z ożywieniem porównywać słownictwo Pimple z zasobem słów królowej bandytów, złej sławy Phulan Devi, której przekleństwa mogły topić lufy karabinów i w oka mgnieniu

zmieniały dziennikarskie ołówki w gumę.

Wyjście Pimple. Płacząca, ocenzurowana, skrawek papieru na podłodze w pokoju cenzorów. Kiedy szła, imitacje diamentów spadły z jej pępka, podążając tą samą drogą co łzy... Co się jednak tyczy zgniętego oddechu Fariszty, Pimple nie była daleka od prawdy, co najwyżej wyraziła się o tej sprawie zbyt oględnie. Wyziewy Gibrila, te brunatnożółte chmury siarki chemicznej i siarki piekielnej w połączeniu z odstającymi na czubku głowy kruczoczarnymi włosami zawsze nadawały mu wygląd raczej posępny, a nie świetlisty, i to pomimo archanielskiego imienia. Po zniknięciu Gibrila powiedziano, że odnalezienie go powinno być łatwe; wszystko, czego trzeba, to w miarę przyzwoity nos... i w tydzień po jego zniknięciu pewne wyjście, o wiele bardziej tragiczne od wyjścia Pimple Billimorii, przyczyniło się w dużym stopniu do wzmocnienia tego piekielnego odoru, który zaczął na dobre wiązać się z tym tak mile dotąd pachnącym imieniem. Można powiedzieć, że zszedł on z ekranu na ziemię, a w życiu, w przeciwieństwie do świata filmu, ludzie potrafią rozpoznać, czy coś śmierdzi, czy nie.

Jesteśmy istotami powietrznymi, Nasze korzenie w marzeniach I chmurach, odrodzeni W locie. Do widzenia. Ten enigmatyczny liścik znalazła policja w luksusowym mieszkaniu Gibrila Fariszty mieszczącym się na ostatnim piętrze drapacza chmur Everest Vilas na wzgórzu Malabar, czyli w najwyższym położonym mieszkaniu najwyższego budynku zbudowanego w najwyższym punkcie miasta. Było to jedno z tych mieszkań, z których rozpościera się rozległy widok w dwóch kierunkach — albo na wieczorny naszyjnik alei Marine Drive albo też aż do Scandal Point i na morze. Liścik pozwolił nagłówkom w gazetach na kontynuację ich dotychczasowej kakofonii. FARISZTA NURKUJE POD ZIEMIĘ — takie zdanie wyrażał w cokolwiek makabryczny sposób „Blitz”, natomiast Pracowita Pszczółka w „The Daily” wołała tytuł GIBRIL WYLATUJE Z KLATKI. Ukazało się wiele fotografii tej legendarnej rezydencji, w której francuscy dekoratorzy wewnątrz legitymujący się listami polecającymi od Rezy Pahlawiego — w dowód uznania za pracę, jaką wykonali w Persepolis — zużyli milion dolarów na odtworzenie na tych wysokościach czegoś, co przypominałoby namiot Beduina. Jeszcze jedna iluzja zniszczona poprzez jego nieobecność; GIBRIL ZWIJA OBÓZ, krzyczały nagłówki, lecz dokąd się udał — czy w górę, w dół, czy też w bok? Nikt nie wiedział. W tej metropolii języków i szeptów nawet najbardziej czułe uszy nie mogły wyłowić niczego wiarygodnego. Jednak pani Rekha Merchant, czytając wszystkie gazety, słuchając wszystkich stacji radiowych i wlepiając oczy we wszystkie programy telewizji Doordarshan, wyłuskała coś z listu Fariszty, znalazła w nim nutę, która uszła uwagi innych. Zabrała swoje dwie córki i syna na spacer po dachu wieżowca, w którym mieszkała. A nazywał się on Everest Vilas.

Jego sąsiadka; prawdę powiedziawszy, z mieszkania bezpośrednio pod nim. Jego sąsiadka i przyjaciółka; dlaczego mam powiedzieć coś więcej? Oczywiście skandalizujące i złośliwe czasopisma tego miasta zapełniły kolumny insynuacjami

i aluzjami. Po co teraz szargać jej reputację?

Kim była? Bogatą kobietą, z pewnością, ale ostatecznie wieżowiec Everest Vilas to nie to samo co kamienica czynszowa w Kuria, no nie? Mężatką, tak mój panie, od trzynastu lat, a jej mąż — grubą rybą w łóżyskach kulkowych. Niezależna, jej salony wystawowe z dywanami i antykami, pierwszorzędnie usytuowane w Kolaba, prosperowały świetnie. Swoje dywany nazywała *klimami i klinami*, natomiast starożytne rękodzieła — *amtykami*. Tak, a do tego była piękna, miała tę surową i gładką urodę rozcieńczonych mieszkank podniebnych apartamentów miasta, przy tym kształt jej ciała, skóra i postawa — wszystko świadczyło o tym, że od dawna już nie miała nic wspólnego z tą zubożałą, ciężką i rojącą się od stworzeń ziemią. Wszyscy byli zgodni co do tego, że ma ona silną osobowość, *pije jak smok* z kryształów Lalique'a, *bezwstydnie* wiesza swój kapelusz na rzeźbie Nataradży z epoki Czolów, wie, czego chce i w jaki sposób błyskawicznie to zdobyć. Jej mąż był szarą, bogatą myszą, maszyną do robienia pieniędzy. Rekha Merchant przeczytała pożegnalny komunikat Gibrila Fariszty zamieszczony w gazetach, napisała własny list, zebrała dzieci, przywołała windę i ruszyła w stronę niebios (jedno piętro) na spotkanie wybranemu przez siebie przeznaczeniu.

„Wiele lat temu — pisała w liście. — Wysłałam za mąż z tchórzostwa. Teraz wreszcie robię coś odważnego.” Na swoim łóżku pozostawiła gazetę ze słowami Gibrila podkreślonymi na czerwono trzema nierównymi grubymi liniami, z których jedna przebiła stronę na wylot. Oczywiście więc było, że piszące o tym brukowe gazety cieszyły się dużym powodzeniem i że nagłówki nie mówiły o niczym innym, jak o SKOKU USYCHAJĄCEJ Z MIŁOŚCI ŚLICZNOTKI i o tym, że ZROZPACZONA PIĘKNOŚĆ DECYDUJE SIĘ NA OSTATNI SKOK. Ale:

Być może ona również miała fioła na punkcie powtórnych narodzin, a Gibril, nie rozumiejąc potwornej potęgi metafory, zalecił lot. *Aby ponownie się narodzić, najpierw musisz*, a przecież była podniebnym stworzeniem, piła szampana z Lalique'a, żyła na Everescie i jeden z współmieszkańców Olimpu odleciał; a jeżeli on to potrafił, to i ona mogła ulecieć na skrzydłach i powrócić do marzeń.

Nie udało jej się. Pasztun, zatrudniony jako portier w drapaczu Everest Vilas, oferował światu następujące pozbawione upiększeń świadectwo: — Akurat chodziłem sobie, a tu tutaj, tylko po terenie należącym do budynku, kiedy nagle usłyszałem głucho uderzenie, *luppp*. Odwróciłem się. Było to ciało najstarszej córki. Miała kompletnie zmiażdżoną czaszkę. Spojrzałem w górę i zobaczyłem, że spada chłopiec, a za nim młodsza dziewczynka. Co tu dużo gadać, o mały włos nie spadli wprost na mnie. Zakryłem usta ręką i podszedłem do nich. Młodsza dziewczynka cicho jęczała. Wtedy jeszcze raz spojrzałem w górę i zobaczyłem, że spada pani. Jej sari wyduło się jak balon, włosy miała rozpuszczone. Przeniósłem wzrok na coś innego, gdyż spadała i patrzenie byłoby nietaktem.

Rekha i jej dzieci spadły z Everestu; żadne z nich nie ocalało. Winą po cichu obciążono Gibrila. Cóż, na jakiś czas pozostawmy ów wątek w tym miejscu.

Aha, nie zapomnijcie: on ją widział po tym, jak umarła. Widział ją kilka razy. Sporo czasu minęło, zanim ludzie zrozumieli, jak bardzo chory był ten wielki człowiek. Gibril gwiazda. Gibril, który pokonał Nieznaną Chorobę. Gibril, który obawiał się snu.

Po odejściu Gibrila wszechobecne dotąd podobizny jego twarzy zaczęły niszczyć. Z jaskrawych, gigantycznych tablic reklamowych, z których roztaczał opiekę nad przechodniami, zaczęły opadać kawałkami i rozsypywać się jego leniwe powieki. Opadały coraz bardziej, aż tęczęwki zaczęły wyglądać jak dwa księżycy poprzecinane chmurami lub miękkimi ostrzami długich rzęs. Ostatecznie powieki odpadły, powodując, że namalowane oczy Gibrila stały się wylupiaсте i szalone. W pobliżu pałaców przemysłu filmowego w Bombaju zauważono, że olbrzymie tekturowe podobizny Gibrila marnieją coraz bardziej i przekrzywiają się. Bezładnie zwisając na podtrzymujących je szafotach, potraciły ręce, konają, trzaskają im karki. Portrety z okładek czasopism nabrały śmiertelnej bladeści, a oczy stały się jakieś zapadłe i puste. W końcu podobizny Gibrila po prostu zniknęły z zadrukowanych stron, tak że błyszczące okładki leżących w kioskach czasopism takich jak „Celebrity”, „Society” i „Illustrated Weekly”, nagle zgasły, zaś ich właściciele z miejsca wylali drukarzy z pracy, a winę zwalili na złą jakość farby drukarskiej. Nawet na samym srebrnym ekranie, hen, wysoko ponad głowami jego wyznawców siedzących w ciemności, ta, zdawałoby się, nieśmiertelna fizjonomia zaczęła rozkładać się, pokrywać pęcherzami i blednąć; z niewyjaśnionych powodów aparaty projekcyjne zacinęły się za każdym razem, kiedy wyświetlały Gibrila. Jego filmy zatrzymywały się, a żar z lamp niesprawnych projektorów wypalał ich celuloidową pamięć: gwiazda przekształcona w supernową, przy czym spalający wszystko ogień szedł od środka na zewnątrz, i jak należało się spodziewać, wychodził z jego ust.

Była to śmierć Boga lub coś bardzo do niej podobnego. Czyż ta olbrzymich rozmiarów twarz, zawieszona nad swoimi wielbicielami w sztucznej kinematograficznej nocy, nie świeciła jak twarz jakiejś boskiej istoty, stojącej gdzieś co najmniej pośrodku między światem śmiertelników a światem bogów? Jednak bliżej nieśmiertelnych, dowodziłoby wielu, ponieważ większość jedynej w swoim rodzaju kariery Gibril spędził wcielając się z absolutnym przekonaniem w niezliczone bóstwa Półwyspu Indyjskiego, grając w filmach popularnego gatunku, zwanego „teologicznym”. Magia jego osobowości polegała między innymi na tym, że udawało mu się przekraczać bariery religijne bez obrażania religijnych uczuć. Błękitnoskóry, jako Kryszna, tańczył z fletem w dłoni wśród pięknych gopi i ich krów o ciężkich wymionach. To znowu prowadził medytacje nad cierpieniem

ludzkości (jako Gautama Budda), skupiony i pogodny z dłońmi odwróconymi ku górze, siedząc pod rozlatującym się drzewem bodhi w studiu filmowym. W tych rzadkich razach, kiedy zstępował z nieba, nigdy nie posunął się za daleko, grając na przykład zarówno Wielkiego Mogoła, jak i jego znanego z przebiegłości ministra w klasycznym utworze „Akbar i Birbal”. Przez ponad półtorej dekady reprezentował on najbardziej możliwą do przyjęcia i łatwo rozpoznawalną twarz Najwyższego wobec setek milionów wiernych tego kraju, w którym po dziś dzień liczba ludności jest niemal trzykrotnie większa od liczby bóstw. Dla wielu wielbicieli jego talentu granica między aktorem i granymi przez niego rolami przestała istnieć dawno, dawno temu.

No tak, wielbiciele, a co dalej? A sam Gibril?

Ta twarz. W prawdziwym życiu, w otoczeniu śmiertelników, kurczyła się do normalnych rozmiarów i jawiła się wcale nie jako twarz gwiazdora. Te opadające powieki mogły nadawać mu wygląd człowieka zmęczonego. Było również coś pospolitego w kształcie jego nosa, usta miał zbyt mięsiste, aby mogły świadczyć o sile charakteru, długie uszy wyglądały jak karbowany owoc drzewa chlebowego. Najbardziej pospolita z twarzy, najbardziej zmysłowa z gąb. W której zresztą dało się ostatnio zauważyć bruzdy wyryte przez jego prawie śmiertelną chorobę. A jednak pomimo pospolitości i ogólnego osłabienia była to twarz w niewytłumaczalny sposób wplątana w świętość, doskonałość, łaskę: Boże rzeczy. Cóż, są gusta i guściki, i tyle. W każdym razie zgodzicie się chyba, że taki aktor (zresztą którykolwiek aktor, być może nawet Czamcza, przede wszystkim Czamcza) nie był specjalnie zdziwiony czymś bzikiem na punkcie *awatarów*, takich jak wcielenia Wisznu po wielkiej metamorfozie. Powtórne narodziny: to również Boża rzecz.

Lub, ale, z drugiej strony... nie zawsze. Istnieją również świeckie reinkarnacje. Gibril Fariszta urodził się jako Ismail Nadzmuddin w miejscowości Puna, to jest w brytyjskiej Punie — na bezwartościowych obrzeżach imperium na długo zanim stała się Pune w prowincji Radźniś itd. (Tak, Pune, Wadodara, Mumbai; nawet miasta mogą obecnie przybierać artystyczne pseudonimy). Ismail — po dziecku, które uczestniczyło w ofierze Ibrahima, a Nadzmuddin, gdyż oznacza to *gwiazdę wiary*; przybierając sobie imię anioła, Gibril rezygnował więc z całkiem świętego miana.

Później, kiedy *Bustan* znalazł się w mocy porywaczy i pasażerowie, bojąc się o swoją przyszłość, uciekali każdy w swoją przeszłość, Gibril zwierzył się Saladynowi Czamczy, że wybierając ten pseudonim, składał niejako hołd pamięci zmarłej matki, — mojej drogiej mamusi, Spoono, mojej jednej i jedynej Mamy, bo przecież kto inny jak nie ona rozpoczął tę całą anielską sprawę, nazwała mnie swoim aniołem, *fariszta*, ponieważ najwyraźniej byłem wprost cholernie rozkosz-

ny, wierz mi lub nie, byłem diabelnie dobrym dzieckiem.

Puna nie mogła zatrzymać go długo: jeszcze w dzieciństwie został zabrany do tego pieskiego miasta, była to jego pierwsza migracja; ojciec znalazł pracę wśród szybkoogich prekursorów przyszlých kwartetów pchających fotele na kółkach, czyli wśród gońców roznoszących obiady — inaczej dabbawallów Bombaju. A w wieku lat trzynastu Ismail-anioł poszedł w ślady ojca.

Gibril, zakładnik na pokładzie samolotu, numer rejsu AI-420, pograżył się w wybacalne wychwalanie przeszłości. Utkwiwszy błyszczący wzrok w Czamczy, wyjaśniał tajemnice szyfru używanego przez gońców; czarna swastyka, czerwone koło, żółta kreska, kropka — ten niesamowity kod, według którego dwa tysiące dabbawallów roznosiło codziennie ponad sto tysięcy naczyń z obiadami, a w zły dzień, Spoono, może piętnaście trafiało pod zły adres. Większość z nas nie umiała pisać, czytać, ale znaki te były naszym tajnym językiem.

Bustan krążył wokół Londynu, ludzie z automatami patrolowali przejścia pomiędzy siedzeniami, a światła w kabinach pasażerskich zgaszono. Jednak energia Gibrila rozświetlała mrok. Na przybrudzonym ekranie, na którym nieco wcześniej niezmordowany bohater filmów wyświetlanych na pokładzie, Walter Matthau, po raz kolejny wpadł na wszechobecną w tych filmach Goldie Hawn, poruszały się cienie spowodowane przez nostalgię zakładników, a pośród nich najwyraźniej zarysowany był ten dorastający chudonogi Ismail Nadźmuddin, mamusiny anioł w czapce Gandhiego, roznoszący biegiem drugie śniadanie po mieście. Młody dabbawalla zwinnie i lekko przebiegał przez tłum cieni, ponieważ przywykł do takich warunków. „Pomyśl, Spoono, wyobraź sobie, trzydzieści cztery obiady na długiej drewnianej tacy na twojej głowie i kiedy podmiejski pociąg zatrzymuje się, masz może jedną minutę na wepchnięcie się do wagonu i wyskoczenie przy pełnej prędkości, jar, a wszędzie wokół ciężarówki autobusy skutery rowery i co tam jeszcze, raz dwa, raz dwa, obiad tutaj, obiad tam, dabba muszą się przedostać, a w porze monsunu pobiec wzdłuż linii kolejowej, kiedy pociąg ma awarię, lub brnąć po pas w wodzie jakąś tam zatopioną ulicą. Poza tym były w mieście gangi. Salad baba, naprawdę, zorganizowane gangi złodziei kradnących gońcom paczki z jedzeniem. Jest to głodne miasto, dziecino, co tu dużo mówić, ale potrafiliśmy dać sobie z nimi radę, byliśmy wszędzie, wiedzieliśmy wszystko, żadni złodzieje nie mogli ujść nie zauważeni przez nas. Nigdy nie chodziliśmy na żadną policję, sami pilnowaliśmy naszych spraw.”

Wieczorem ojciec i syn wracali wyczerpani do swojego szałas przy pasie startowym partu lotniczego Santacruz i kiedy matka Ismaila widziała powrót syna oświetlonego zielenią czerwienią żółcią odlatujących odrzutowców pasażerskich, zazwyczaj mówiła, że już samo spojrzenie na niego jest spełnieniem wszystkich jej marzeń; był to pierwszy sygnał nadzwyczajnych właściwości Gibrila, ponieważ wydaje się, że od samego początku potrafił spełniać najszybsze marzenia ludzi, nie mając pojęcia, w jaki sposób to robi. Zdaje się, że jego ojcu, Nadźmud-

dinowi Seniorowi, nigdy nie przeszkadzało, że żona zainteresowana jest jedynie synem, ani to, że co wieczór stopy syna otrzymują swoją porcję uścisków, natomiast nogi ojca muszą się obyć bez głaskania. Syn jest błogosławieństwem, a błogosławieństwo wymaga wdzięczności ze strony obdarowanego.

Naima Nadzmuddin umarła. Potrafił ją autobus i na tym koniec. Gibrila nie było w pobliżu i nie mógł odpowiedzieć na jej modlitwy o życie. Ani ojciec, ani syn nie rozmawiali o swoim żalu. W milczeniu, jak gdyby należało to do zwyczaju i jak gdyby oczekiwano tego od nich, zagłuszyli swój smutek dodatkową pracą, podejmując nie wypowiedziany wyścig, a to kto potrafi unieść najwięcej pudełek z jedzeniem na głowie, a to kto zdoła uzyskać najwięcej nowych kontraktów w ciągu miesiąca, a to znowu kto potrafi szybciej pobiec, jak gdyby większy wysiłek miał oznaczać większą miłość. Kiedy Ismail Nadzmuddin patrzył wieczorami na ojca, na którego skroniach i karku widać było nabrzmiałe żyły, zaczynał rozumieć, jak wielką urazę ten doń czuje i jak ważne jest dla ojca pokonanie syna, a tym samym odzyskanie zagarniętego przez syna prawa pierwszeństwa do uczuć zmarłej żony. Skoro już młody człowiek zdał sobie z tego sprawę, zwolnił tempo, lecz ojciec nadal pozostawał niestrudzony w swoim zapale i wkrótce otrzymał awans; nie był już prostym gońcem, lecz jednym z organizujących i kontrolujących. Kiedy Gibril ukończył dziewiętnaście lat, Nadzmuddin Senior został członkiem konfraterni gońców-roznosicieli obiadów w Bombaju, słynnego Bombajskiego Związku Rznosicieli Obiadów, a kiedy miał lat dwadzieścia, jego ojciec umarł, zatrzymany nagle w biegu przez udar, który prawie rozsadził go na kawałki.

— On po prostu sam wpędził się do grobu — powiedział Sekretarz Generalny cechu, nie kto inny jak sam Babasaheb Mhatre — ten biedny skurczybyk, po prostu zabrakło mu pary.

Lecz osierocony chłopak wiedział lepiej. Wiedział, że ojciec w końcu pobiegł na tyle zdecydowanie i na tyle daleko, aby pokonać granicę pomiędzy dwoma światami i że po prostu uciekł z własnej skóry wprost w ramiona żony, której udowodnił raz na zawsze wyższość swojej miłości. Niektórzy wędrowcy są szczęśliwi, kiedy mogą wyruszyć w drogę.

Babasaheb Mhatre siedział w niebieskim biurze za zielonymi drzwiami nad labiryntem bazaru; postać budząca lęk, otyły jak Budda, był jedną z sił napędowych metropolii. Posiadał nadprzyrodzony dar, który polegał na tym, że pozostając w absolutnym bezruchu i nie wysuwając nosa ze swojego pokoju, był ważną osobą i spotykał się ze wszystkimi tymi, którzy liczyli się w Bombaju. Następnego dnia po tym, jak ojciec młodego Ismaila przebył biegiem granicę, aby spotkać się z Naimą, Babasaheb wezwał młodego człowieka przed swoje oblicze. — No i? Zdenerwowany czy nie? — Odpowiedź, ze spuszczonej oczyma: — Dziękuję, szanowny panie Babadzi, czuję się nieźle. — Zamknij się — powiedział Babasaheb Mhatre — Od dziś mieszkasz u mnie. — Ale, ale Babadzi. . . — Żadnego

„ale”. Już powiedziałem żonie. Skończyłem. — Przepraszam bardzo, ale jak co dlaczego? — Koniec dyskusji, *rzekłem*.

Gibril Fariszta nigdy nie dowiedział się, dlaczego Babasaheb postanowił ulitować się nad nim i wyrwał go z beznadziei ulic, ale po pewnym czasie zaczął się domyślać. Chuda pani Mhatre wyglądała przy swoim Babasehebie jak ołów przy gumce, jednak była tak przepełniona miłością macierzyńską, że w rzeczy samej powinna być pękata jak balon. Kiedy Baba wracał do domu, własnymi rękoma wkładała mu słodycze do ust, a wieczorami gość, który przybył do ich domu, mógł usłyszeć, jak wielki Sekretarz Generalny BZRO (Bombajskiego Związku Roznosicieli Obiadów) protestuje: — Zostaw mnie żono, potrafię sam się rozebrać. — Podczas śniadania karmiła Mhatre’a łyżką, podając mu duże porcje mleka ze słodową kaszką, a przed wyjściem do pracy czesała go. Byli małżeństwem bezdzietnym i młody zrozumiał, że Babasaheb chciał, by razem z nim znosił owo brzemię. Zastanawiające było jednak to, że pani Mhatre nie uważała młodego człowieka za dziecko. — Rozumiesz chyba, on jest dorosłym facetem — odpowiedziała mężowi, kiedy nieszczęsny Mhatre błagał ją: — Dajże chłopcu tę cholerną łyżkę mleka z kaszką słodową. — Tak, on będzie dorosłym facetem, musimy zrobić z niego prawdziwego mężczyznę, mężu, żadnego rozpieszczania. — Wobec tego, do jasnej cholery — wybuchnął Babasaheb — dlaczego mnie tak traktujesz? — Pani Mhatre rozplakała się. — Ależ ty jesteś dla mnie wszystkim — szlochała. — Jesteś dla mnie ojcem, kochankiem i dzieckiem. Jesteś moim panem i moim osekkiem. Jeżeli czymś wywołałam twoje niezadowolenie, to nie ma dla mnie życia.

Uznając się za pokonanego, Babasaheb Mhatre przełknął porcję kaszki.

Był dobrotliwym człowiekiem, co starał się zamaskować obelgami i krzykiem. Aby pocieszyć osieroczonego chłopca często mówił mu w niebieskim biurze o filozofii powtórnych urodzin, przekonując go, że jego rodzice na pewno zostali już wyznaczeni do ponownego przyjścia w którymś zakątku świata, chyba że ich życie było tak święte, że zdołali uzyskać stan ostatecznej łaski. Tak więc to Mhatre pchnął Fariszte w tę całą reinkarnację i zresztą nie tylko reinkarnację. Babasaheb amatorsko zajmował się spiritualizmem, był specjalistą od wirujących stolików i od pakowania duchów w szklanki. — Jednak zarzuciłem to — zwierzał się swojemu pupilowi, stosując przy tym odpowiednio melodramatyczną modulację głosu, pomagając sobie gestem, skrzywieniem twarzy — po seansie, który napędził mi cholernego stracha.

— Kiedyś — opowiadał Mhatre — w szklance zjawił się duch bardzo chętny do współpracy, taki zbyt przyjazny facet, rozumiesz, więc postanowiłem zadać mu kilka z tych ważnych pytań. *Czy istnieje Bóg*, i wtedy ta szklanka, która dotąd krążyła ochoczo jak bąk, nagle zatrzymała się w miejscu na środku stołu i ani drgnęła, kompletna kłapa, kaput. Wobec tego powiedziałem sobie, dobrze, jeżeli nie chcesz odpowiedzieć na to pytanie, masz tu w zamian inne, i bez wahania

pytam: *Czy istnieje Szatan*. Momentalnie szklanka — baprebap! — zaczęła trząść się — nie do wiary! — najpierw wolno wolniutko, a później szybciej i szybciej, jak galaretka, aż w końcu skoczyła, niestety, ai — hai! — ze stołu, w powietrze, spadła bokiem i — łups! — rozbiła się na tysiąc i jeden kawałków. Wierz albo nie wierz — Babasaheb Mhatre powiedział swojemu podopiecznemu. — Lecz od razu nauczyło mnie to rozumu: nie wścibiaj nosa, Mhatre, w coś, czego nie rozumiesz.

Opowiadanie to wywarło wielki wpływ na świadomość młodego słuchacza, ponieważ jeszcze przed śmiercią matki doszedł do przekonania, że istnieje świat nadprzyrodzony. Czasami, kiedy rozglądał się wokół siebie, szczególnie w popołudniowym upale, kiedy powietrze stawało się lepkie, widzialny świat, jego rysy oraz mieszkańcy i rzeczy, zdawały się wystawać z oceanu powietrza jak las gorących gór lodowych i miał wrażenie, że wszystko trwa tam na dole pod powierzchnią gęstej atmosfery: ludzie, samochody, psy, filmowe tablice ogłoszeniowe, drzewa, dziewięć dziesiątych ich prawdziwej natury ukryte jest przed okiem ludzkim. Mrugał i złudzenie zniknęło, lecz jego znaczenia nigdy nie zapomniał. Dorastał wierząc w Boga, anioły, diabły, złe demony, dżinny — wszystko to było dla niego tak oczywiste jak zaprzęgi wołów czy słupy oświetleniowe i zastanawiało go, że nigdy nie widział ducha; przypisywał to wręcz jakiejś wadzie wzroku. Nieraz marzył o znalezieniu czarodziejskiego optyka, u którego kupiłby parę zielonych okularów, które skorygowałyby jego pożałowania godną krótkowzroczność: byłby wtedy w stanie przebijać wzrokiem gęsty, oślepiający ocean powietrza i sięgnąć do bajecznego świata pod nim.

Od swojej matki, Naimy Nadžmuddin, słyszał wiele opowiadań o Proroku i nawet jeżeli do jej wersji wkradły się jakieś nieściśności, nie zależało mu, by wiedzieć, na czym one polegały. „Co za człowiek! — myślał. — Jakież to anioł nie zechciałby przemawiać do niego?” Czasami jednak łapał się na formułowaniu bluźnierczych myśli, jak na przykład wtedy, kiedy zasypiał na swoim składanym łóżku w domu państwa Mhatre i gdy zupełnie bez udziału woli wyobraźnia zaczęła porównywać jego własną sytuację z położeniem Proroka w chwili, kiedy ten — osierocony i bez pieniędzy — świetnie poprowadził interesy bogatej wdowy Chadidży jako jej administrator i w końcu został jej mężem. Zapadając w sen, Gibril ujrzał siebie siedzącego na pokrytym płatkami róży podwyższeniu, uśmiechającego się płochliwie pod zasłoną palia, którą z przesadnej skromności zasłonił twarz, a jego świeżo poślubiony mąż, Babasaheb Mhatre, z czułością wyciąga rękę, chcąc odchylić tkaninę, i poszukuje rysy, wpatrując się w lustro, które umieścił na jego kolanach. Pod wpływem tego snu o poślubieniu Babasaheba obudził się, cały czerwony ze wstydu, a później zaczął się martwić, czy aby nie ma w jego charakterze czegoś nieczystego, co może wywoływać takie przerażające wizje.

Przeważnie jednak nie traktował wiary jako pierwszoplanowej sprawy; była to ta część jego osobowości, której należałoby poświęcić tyle samo uwagi, co

pozostałym. Kiedy Babasaheb Mhatre wziął go do swojego domu, umocniło to młodego człowieka w przekonaniu, że nie jest sam na świecie, że coś opiekuje się nim. Nie był więc całkowicie zaskoczony, kiedy w dniu swoich dwudziestych pierwszych urodzin Babasaheb wezwał go rankiem do niebieskiego biura i zwolnił z pracy, nie chcąc nawet przygotować się do wysłuchania błagań.

— Jesteś wylany. — Mhatre powiedział z naciskiem, cały promieniejąc. — Zdegradowany, pozbawiony pozycji. *Od-prawiony*.

— Ależ wuju.

— Zamknij gębę.

I wówczas Babasaheb dał osieroconemu chłopcu największy prezent w jego życiu, informując go, że zaaranżowano mu już przesłuchanie w studiu legendarnego magnata filmowego, pana D. W. Ramy.

— To tylko dla zachowania pozorów — powiedział Babasaheb. — Rama jest moim dobrym znajomym i mówiliśmy już o tym. Mała rólka na początek, później wszystko należy do ciebie. Teraz znikaj mi z oczu i przestań stroić miny człowieka pokornego, to naprawdę nie przystoi.

— Ależ wuju.

— Chłopiec taki jak ty jest naprawdę, psiakrew, za przystojny, aby całe życie nosić obiady na głowie. Zbieraj się teraz, idź, bądź tym aktorem filmów homoseksualnych. Ja wylałem cię z roboty pięć minut temu.

— Ależ wuju.

— Skończyłem. Podziękuj swojej szczęśliwej gwiazdzie.

Został Gibrilem Fariszta, lecz przez pierwsze cztery lata nie był gwiazdą, terminował w całym szeregu małych hałaśliwych ról komicznych. Pozostał spokojny, nie spieszył się, jak gdyby widział przyszłość, a jego pozorny brak ambicji czynił go w tym najbardziej samolubnym z przemysłowców czymś w rodzaju outsidera. Sądono jednak, że jest głupi lub zarozumiały albo też, że łączy w sobie obie te cechy. W ciągu tych czterech samotnych lat nie pocałował w usta ani jednej kobiety.

Na ekranie grał kozła ofiarnego, idiotę, który kocha piękną kobietę i nie rozumie, że choćby minęło tysiąc lat, owa kobieta nie rzuci się na niego, pocieszonego wuja, ubogiego krewnego, nieudolnego oszusta, wiejskiego głupka, służącego. Żadna z tych postaci nie miała prawa do sceny miłosnej. Niewiasty kopały go, policzkowały, dokuczały mu, śmiały się z niego, lecz nie śpiewały mu, nie tańczyły wokół niego ani też nie patrzyły na niego z oczyma pełnymi filmowej miłości. Poza ekranem mieszkał sam w dwóch pustych pokojach w pobliżu studia filmowego i próbował wyobrazić sobie, jak wygląda naga kobieta. Aby oderwać myśli od tematu miłości i pożądania, studiował, stając się samoukiem pozerającym książki, pochłaniającym metamorficzne mity Grecji i Rzymu, historie po-

szczególnych wcieleń Jowisza, chłopca, który zamienił się w kwiat, kobietę-pająka, Kirke, wszystko. A również teozofię Annie Besant i teorię jednolitego pola, i epizod szatańskich wersetów na początku kariery Proroka, i politykę haremu Mahometa po jego triumfalnym powrocie do Mekki, i surrealizm gazet, w których motyle mogły wlatywać w usta młodych dziewcząt, prosząc, by je zjeść, i dzieci rodziły się bez twarzy, i młodym chłopcom śniły się z przerażającą dokładnością wcześniejsze inkarnacje, na przykład w złotej twierdzy wypełnionej drogocennymi kamieniami. Uzupełniał luki w swojej niewiedzy Bóg jeden wie czym, lecz nad ranem podczas owych bezsennych nocy nie mógł zaprzeczyć, że wypełniony jest czymś, czego nigdy nie używał, a nawet pojęcia nie miał, jak zacząć używać, to jest — miłością. W snach prześladowały go kobiety, których słodycz i uroda były wprost nie do zniesienia, wołał więc nie zasypiać i zmuszał się do powtarzania jakiejś tam części swojej ogólnej wiedzy, aby wymazać ze świadomości tragiczne przeświadczenie, że oto obdarzony jest większą niż zazwyczaj zdolnością do miłości, a na całej ziemi nie ma ani jednej osoby, której mógłby to uczucie ofiarować.

Jego wielka szansa pojawiła się wraz z nadejściem filmów teologicznych. Skoro sprawdził się przepis na filmy oparte na puranach, a zawierające tę samą co zwykle mieszaninę pieśni, tańców, pociesznych wujów itd... każde bóstwo w panteonie miało szansę zostać gwiazdą. Kiedy D.W. Rama zaplanował kręcenie filmu opartego na historii Ganeszi, okazało się, że żaden z ówczesnej czołówki najbardziej kasowych aktorów nie ma chęci spędzić całego filmu ukryty w głowie słonia. Gibril skwapliwie skorzystał z tej okazji. Tak powstał jego pierwszy przebój filmowy, „Pan zastępów”, i nagle Gibril stał się supergwiazdą, co prawda z nałożonymi słoniowymi uszami i trąbą. Po nakręceniu sześciu filmów, w których grał tego boga o głowie słonia, pozwolono mu zdjąć grubą szarą maskę z trąbą-wahadłem, a w zamian mógł przypiąć sobie długi owłosiony ogon, wcielając się w Hanumana, króla małp, bohatera serii filmów przygodowych, które bliższe były tanim serialom telewizyjnym pochodzącym z Hong-Kongu niż Ramajanie. Seria tych filmów okazała się tak popularna, że małpie ogony stały się strojem obowiązującym dla młodych miejskich elegantów na przyjęciach, na które przychodziły dziewczyny ze szkół klasztornych, zwane „petardami” ze względu na ochoczość do natychmiastowego puszczenia się.

Po Hanumanie nic już nie mogło zatrzymać kariery Gibrila, a fenomenalny sukces, jaki odniósł, pogłębił jego wiarę w anioła stróża. Lecz w wyniku tego sukcesu sprawy przybrały raczej godny pożałowania obrót.

(Widzę, że muszę, mimo wszystko, wypaplać tu tajemnicę biednej Rekhi).

Jeszcze zanim Gibril zamienił sztuczną głowę na fałszywy ogon, stał się na tyle atrakcyjny dla kobiet, że wprost nie mogły mu się oprzeć. Pokusy, jakie niosła ze sobą sława, stały się tak wielkie, że kilka młodych dam prosiło go, aby miał na sobie maskę boga Ganeszi, kiedy będą mu się oddawały, ale on odma-

wiał ze względu na szacunek, jaki żywił dla tego dostojnego bóstwa. W wyniku prostodusznego wychowania nie potrafił w tym czasie odróżnić ilości od jakości i dlatego też odczuwał potrzebę odrobienia zaległości. Miał wówczas tyle partnerek, że zapominanie ich imion, zanim jeszcze wyszły z pokoju, nie było czymś niezwykłym. Nie tylko stał się kobieciarzem najgorszego gatunku, ale na dodatek nauczył się sztuki udawania, ponieważ człowiek, który gra bogów, musi być nieskazitelny. Tak zręcznie ukrywał swój skandaliczny i rozpustny styl życia, że jego dawny opiekun, Babasaheb Mhatre, leżąc na łożu śmierci, dziesięć lat po tym, jak wysłał młodego gońca roznoszącego obiady w świat iluzji, świńskich pieniędzy i namiętności, błagał go, aby się ożenił i udowodnił mu, że jest mężczyzną. — Na miłość Boską, szanowny panie — błagał Babasaheb — kiedy powiedziałem ci przed laty, abys zjeżdżał i został homoseksualistą, ani przez chwilę nie pomyślałem, że potraktujesz to poważnie, ostatecznie szacunek dla starszych ma swoje granice. — Gibril wyrzucił ręce w górę i zaklinał się, że nie jest niczym tak sromotnym i że jeżeli znajdzie się odpowiednia dziewczyna, oczywiście, chętnie, przejdzie przez formalności ślubne.

— Na kogo czekasz? Na jakąś boginię z niebios? Gretę Garbo. Gracekali, na kogo? — krzyknął stary człowiek, kaszląc i plując krwią, lecz Gibril zostawił go, odchodząc z zagadkowym uśmiechem na ustach. Pozwolił mu umrzeć, nie rozproszywszy jego obaw.

Lawina seksu, która zagarnęła Gibrila Fariszte, zdołała zakopać jego największy talent tak głęboko, że równie dobrze mógł łatwo zagać na zawsze, talent do szczerego i głębokiego kochania bez wyrachowanego kontrolowania się, ten rzadki i delikatny dar, którego nigdy dotąd nie udało się Gibrilowi użyć. Do momentu choroby prawie całkowicie zapomniał o udreczeniu, którego kiedyś doświadczał z powodu tęsknoty za miłością, które przekreślało się i obracało w nim jak nóż czarnoksiężnika. Obecnie, pod koniec każdej gimnastycznej nocy, zasypiał z łatwością i spał długo, jak gdyby nigdy dotąd nie prześladowały go kobiety-mary senne, jak gdyby nigdy nie był pozbawiony nadziei, że odda komuś swoje serce.

— Twój problem — powiedziała mu Rekha Merchant, kiedy zmateriałizowała się z chmur — polega na tym, że wszyscy zawsze ci przebacali. Bóg jeden wie dlaczego, zawsze darowywano ci winę, morderstwo uchodziło ci bezkarnie. Nikt nigdy nie czynił cię odpowiedzialnym za to, coś uczynił. — Nie mógł tego kwestionować. — Dar Boga — wrzeszczała na niego. — Bóg jeden wie, za kogo się uważałeś, skąd się wziąłeś, typ, który wyskoczył z rynsztoka, Bóg jeden wie, jakie choroby przyniosłeś.

Właśnie tak zachowywały się kobiety; uważał wtedy, że są one naczyniami, w które może wlewać siebie, i kiedy szedł dalej, zwykle rozumiały, że takie jest jego usposobienie i przebaczały. I prawdą było, że nikt nie potępił go za odejście, za jego tysiąc i jeden przypadków bezmyślności, ile poronień, chciała wiedzieć Rekha ze swojego miejsca w chmurach, ile złamanych serc. Przez te wszystkie

lata był adresatem nieograniczonej szczodrości kobiet, lecz był również tej hojności ofiarą, ponieważ ich pobłażliwość umożliwiała najgłębsze i najgorsze ze wszystkich zepsucie, a mianowicie przekonanie, że nie robi nic złego.

Rekha: weszła w jego życie, kiedy kupił mieszkanie na szczycie drapacza chmur Everest Vilas i kiedy jako jego sąsiadka i kobieta interesu zaproponowała, że pokaże mu swoje dywany i antyki. Jej mąż był na światowym kongresie producentów łożysk kulkowych w Goteborgu, w Szwecji, i pod jego nieobecność zaprosiła Gibrila do swojego mieszkania z kamiennymi ramami okiennymi z Dżajsalmer i z rzeźbionymi drewnianymi poręczami z pałaców Kerali oraz pochodzącym z okresu Mogołów kamiennym parasolem albo inaczej kopułą, zamienioną w basen z wirującą wodą. Kiedy nalewała mu francuskiego szampana, oparła się o wykładane marmurem ściany i poczuła na plecach chłodne żyły kamienia. Kiedy Gibril pił małymi łykami, Rekha zaczęła mu docinać, zapewne bogowie nie powinni pić alkoholu, a on odpowiedział słowami, które kiedyś przeczytał w wywiadzie z Aga Khanem — Och, wiesz, ten szampan to tylko na pokaz, w chwili, kiedy dotyka moich warg, zmienia się w wodę. — Minęła zaledwie chwila i już dotykała jego warg i rozpływała się w jego ramionach. Kiedy dzieci wróciły z nianią ze szkoły, była nienagannie ubrana i uczesana i siedziała z nim w salonie, odkrywając tajemnice handlu dywanami i przyznając, że termin „art silk” oznacza sztuczny jedwab, a nie artystyczną tkaninę. Mówiła mu, że nie powinien dać się wprowadzić w błąd jej broszurce, w której kilim opisano kusząco jako tkaninę zrobioną z wełny wyskubanej z szyi jagniąt, „naprawdę oznacza, rozumiesz, jedynie wełnę gorszej jakości. Reklama, no cóż począć, tak się rzeczy mają” .

Nie kochał jej, nie był jej wierny, zapomniał o jej urodzinach, nie dzwonił do niej, mimo że go o to prosiła, zjawiał się w jak najbardziej nieodpowiedniej porze, kiedy to w jej domu gościli na kolacji przedstawiciele świata łożysk kulkowych, ale i to, podobnie jak wszystko inne, przebaczała mu. Jednak jej przebaczenie nie było tym cichym i nieśmiałym zwolnieniem od kary i obowiązku, jakie uzyskiwał od innych. Rekha żaliła się jak opętana, robiła mu piekło, wrzeszczała na niego i przeklinała, nazywała go bezużytecznym lafanga, harmazadą i salahem, a w skrajnych przypadkach oskarżyła go o nieprawdopodobny wyczyn pieprzenia własnej siostry, której zresztą nie posiadał. Nie szczędziła mu zjadliwych uwag, zarzucając, że jest istotą poruszającą się tylko po powierzchniach, takich jak płaski ekran filmowy, a następnie przystępowała do rzeczy, tak czy owak przebaczała mu i pozwalała, aby rozpiął jej bluzkę. Gibril nie mógł się oprzeć temu operowemu stylowi, w jakim Rekha Merchant udzielała mu swojego przebaczenia, co było tym bardziej wzruszające, że przecież w jej argumentacji istniał słaby punkt — niewierność wobec króla łożysk kulkowych, o której Gibril starał się nie wspominać, po męsku przyjmując spadające na niego słowne razy. Tak więc, jeśli przebaczenie, które otrzymywał od pozostałych kobiet, nie wywierało na Gibrilu

żadnego wrażenia i zapomniał o nim, zaledwie zdążyły je wypowiedzieć, to tutaj stale wracał do Rekhi, by znowu mogła go zwymyślać, a następnie pocieszyć, gdyż tylko ona wiedziała, jak to zrobić.

A potem o mały włos nie umarł.

Nagrywał akurat film o Kanja Kumari stojąc na samym koniuszki Azji, brał tam udział w scenie walki, którą kręcono na cyplu Przylądka Komoryn, a patrząc stamtąd, wydaje się, że trzy oceany naprawdę wbijają się w siebie nawzajem. Trzy nawałnice fal wtoczyły się z zachodu wschodu, południa zderzając się kłaśnięciem wodnych dłoni, dokładnie w chwili, kiedy Gibril otrzymał cios w szczękę, doskonale zgranie w czasie, momentalnie stracił przytomność i upadł do tyłu w trójoceaniczną pianę. Nie podniósł się.

Na początku winą za wypadek wszyscy obciążyli olbrzymiego Eustace'a Browna, angielskiego kaskadera, który zadał cios. Ten gwałtownie protestował. Czyż nie był tym facetem, który występował jako partner Głównego Ministra N. T. Ramy Rao w jego licznych filmach teologicznych? Czyż to nie on udoskonił metody pozorowania walki z owym starszym mężczyzną, dzięki czemu tamten mógł zawsze wychodzić z niej zwycięsko i bez najmniejszych obrażeń? I czy kiedykolwiek uskarżał się na to, że NTR nigdy nie zmniejsza siły *swoich* ciosów, w wyniku czego on, Eustace, niezmiennie kończy walkę cały posiniaczony i potłuczony przez niskiego, starszego gościa, którego mógłby schrupać z grzanką na śniadanie? Czy kiedykolwiek, czy chociaż jeden raz stracił panowanie nad sobą? Jakżeż więc? Jak mogło komukolwiek w ogóle przyjść do głowy, że byłby w stanie skrzywdzić nieśmiertelnego Gibrila? Mimo wszystko zwolniono go jednak z pracy, po czym na wszelki wypadek policja zamknęła go w więzieniu.

Jednak to nie cios powalił Gibrila. Po przewiezieniu gwiazdy udostępnionym przez lotnictwo wojskowe odrzutowcem do szpitala Breach Candy w Bombaju; po uzyskaniu negatywnych wyników w trakcie gruntownych badań, kiedy to Gibril leżał nieprzytomny i umierał, mając przy tym ilość krwinek, która spadła z normalnych dla niego piętnastu do śmiertelnie cztery i dwie dziesiąte, rzecznik szpitala stanął na szerokich białych schodach szpitala Breach Candy przed dziennikarzami z całego kraju. — Jest to tajemniczy wybryk przyrody — ogłosił. — Możecie to nazwać działaniem siły wyższej, jeśli chcecie.

U Gibrila Fariszy wystąpiło w całej jamie brzusznej krwawienie bez żadnej widocznej przyczyny i całkiem po prostu wykrwawiał się na śmierć pod powierzchnią skóry. W najgorszym momencie krew zaczęła sączyć się z niego przez odbył i penis i wydawało się, że lada moment może wytrysnąć strumieniem przez nos, uszy i kąciaki oczu. Przez siedem dni Gibril krwawił, robiono mu transfuzje i otrzymał wszelkie znane medycynie środki pobudzające krzepliwość, łącznie ze skoncentrowaną odmianą trucizny na szczury, i chociaż kuracja przyniosła nieznaczną poprawę, lekarze stracili nadzieje na jego uratowanie.

Cała India stanęła przy łóżku Gibrila. Stan jego zdrowia był jednym z najważ-

niejszych doniesień każdego dziennika radiowego, informacje o nim wypełniały krótki przegląd najnowszych wiadomości nadawanych co godzinę przez ogólnokrajową sieć telewizyjną, na Warden Road zbierały się tak olbrzymie tłumy, że do ich rozproszenia policja musiała użyć petard i gazu łzawiącego, który zastosowano, mimo że każdy z uczestników tego półmilionowego zgromadzenia żałobnego i tak już miał łzy w oczach i szlochał rzewnie. Pani premier odwołała swoje spotkanie i przyleciała, by go odwiedzić. Jej syn, pilot linii lotniczych, przesiadywał w pokoju Fariszty, trzymając aktora za rękę. Cały naród ogarnęło niedobre przecucie, bowiem jeżeli Bóg spuścił taką karę na swoje najświętniejsze wcielenie, co w takim razie przygotował dla reszty kraju? Jeżeli Gibril umrze, to czyż nie przyjdzie wkrótce kolej na Indie? W szczelnie wypełnionych meczetach i świątyniach całego państwa wierni modlili się nie tylko o życie dla umierającego aktora, ale i o przyszłość dla siebie samych.

Któż to nie odwiedził Gibrila w szpitalu? Kto do niego nie dzwonił, nie wysłał kwiatów, nie posłał puszek z wyśmienitym jedzeniem domowej roboty? Kiedy wiele kochanek bezwstydnie przysyłało mu pasandy z jagnięcia i kartki z życzeniami szybkiego powrotu do zdrowia, któraż to, kochając go najmocniej ze wszystkich, trzymała się na uboczu, nie podejrzewana o nic przez męża, faceciami od łożysk kulkowych? Rekha Merchant otoczyła swoje serce żelazną obręczą i machinalnie wypełniała obowiązki życia codziennego, a to bawiąc się ze swoimi dziećmi, to znowu gawędząc z mężem, to znowu, kiedy trzeba było, występując w roli gospodyni, i nigdy, ani razu, nie ujawniła nikomu mrocznego spustoszenia swojej duszy.

Wyzdrowiał.

Ten powrót do życia był równie tajemniczy jak sama choroba i równie jak ona błyskawiczny. I znowu został nazwany (przez personel szpitala, dziennikarzy, przyjaciół) działaniem siły wyższej. Ogłoszono święto narodowe i jak kraj długi i szeroki wszędzie wystrzeliły w górę sztuczne ognie. Lecz kiedy Gibril odzyskał siły, było oczywiste, że zaszła w nim zmiana i to zasadnicza, ponieważ utracił wiarę.

W dniu, w którym zwolniono go ze szpitala, Gibril przeszedł w otoczeniu eskorty policyjnej przez olbrzymi tłum, który zebrał się, aby czcić swoje wybawienie, jak również wybawienie Gibrila, wsiadł do swojego mercedesa i polecił kierowcy, by uciekł wszystkim wozom, które mu towarzyszyły, co zajęło siedem godzin i pięćdziesiąt jeden minut, i pod koniec tego manewru przeprowadził to, co musiało być wykonane. Wsiadł z limuzyny przy hotelu Tadź i nie patrząc ani w lewo, ani w prawo, poszedł wprost do wielkiej jadalni, gdzie stół bufetowy aż ugiął się pod ciężarem zakazanych potraw, i napełnił swój talerz tym wszystkim, wieprzowymi kiełbasami z hrabstwa Wiltshire i wędzonymi szynkami z Yorku, i plasterkami boczku bógwieską; wieprzowymi stekami swojej niewiary i świńskimi kulasami etyki świeckiej; a następnie, stojąc tam, na środku sali, kiedy to

nagle znikąd wyskoczyli fotografowie, zaczął jeść jak tylko mógł najszybciej, wpychając w siebie martwe świnie tak gwałtownie, że z kącików jego ust zwiślały plastry boczku.

Podczas choroby, kiedy tylko było przytomny, przez cały czas wołał Boga na pomoc, przez wszystkie sekundy wszystkich minut. „Ya Allah, którego sługa leży wykrwawiając się, nie opuszczaj mnie teraz, po tylu latach twojej opieki nade mną. Ya Allah, daj mi jakiś znak, jakiś drobny dowód swojej łaski, abym mógł znaleźć w sobie siłę na pokonanie moich nieszczęść. O Boże, najbardziej dobroczynny, najbardziej litościwy, bądź ze mną w godzinie potrzeby, mojej największej potrzeby. — Potem przyszło mu na myśl, że wymierzana mu jest kara i przez jakiś czas myśl ta umożliwiła mu znoszenie bólu, jednak po pewnym czasie rozżłościł się. — Dosyć, Boże — domagały się jego nie wypowiedziane słowa — dlaczego muszę umrzeć, jeżeli nie zabiłem, czy jesteś zemstą, czy miłością?” Wściekłość na Boga pomogła mu przeżyć jeszcze jeden dzień, lecz następnie uczucie to zniknęło, a jego miejsce zajęła straszliwa pustka, izolacja, ponieważ zdał sobie sprawę z tego, że mówi w *próżnię*, że nie ma tam zupełnie nikogo, i poczuł się wówczas tak głupio, jak nigdy dotąd w swoim życiu i zaczął kierować błaganiami w tę pustkę, „Ja Allah, tylko bądź tam, niech to diabli wezmą, tylko bądź”. Ale nie czuł niczego, niczego niczego, a potem któregoś dnia stwierdził, że już nie musi tam istnieć to coś, co on mógłby odczuwać. W dniu metamorfozy nastąpiło przesilenie choroby i rozpoczął się jego powrót do zdrowia. I aby udowodnić sobie, że Bóg nie istnieje, stał teraz w jadalni najsłynniejszego hotelu miasta, a świnie wypadały mu z ust.

Uniósł wzrok nad talerza i zobaczył, że przygląda mu się jakaś kobieta. Jej włosy były niemal białe, a skóra miała kolor i przejrzystość górskiego lodu. Zażeniona się do niego, po czym odwróciła się i odeszła.

— Czy nie rozumiesz? — krzyknął za nią, a kawałki kiełbasy wypadły mu z kącików ust. — Nie ma żadnego gromu z jasnego nieba. W tym cała rzecz.

Zawróciła i stanęła przed nim.

— Żyjesz — powiedziała mu. — Na powrót darowano ci życie. *I w tym cała rzecz.*

Powiedział Rekhce: w momencie, kiedy zawróciła i zaczęła iść w moją stronę, zakochałem się w niej. Alleluja Cone, alpinistka, pogromczyni Everestu, Żydówka o blond włosach, królowa lodu. Jej wyzwaniu, *zmień swoje życie, przecież nie otrzymałeś go z powrotem na próżno*, nie mogłem się oprzeć.

— Ty i te twoje reinkarnacyjne bzdury — przymilała się Rekha. — Cóż za nonsensy przychodzą ci do głowy. Wychodzisz ze szpitala, przeciskasz się z powrotem przez drzwi śmierci i uderza ci do głowy, głuptasie, natychmiast musisz mieć jakiś wyskok, a oto i ona, hej szybko, ta blond lala. Nie myśl, że nie znam

twojego charakteru, Gibbo, tak więc co teraz, czy chcesz, abym ci przebaczyła, czy jak?

— Nie potrzeba — powiedział. Wszedł z mieszkania Rekhi (jego właścicielka płakała z twarzą przyciśniętą do podłogi); i już nigdy nie przekroczył tego progu.

Trzy dni po spotkaniu, kiedy to usta miał wypełnione nieczystym mięsem, Alie wsiadła do samolotu i odleciała. Trzy dni poza czasem, schowani za wywieszkę na drzwiach: nie przeszkadzać, lecz w końcu przyznali, że przed świtem nie da się uciec, co jest możliwe, to jest możliwe, a co jest niemożliwe, to jest nie... przygodne spotkanie, przelotna znajomość, miłość w poczekalni dworca lotniczego. Po jej wyjeździe Gibril odpoczywał, próbował zamknąć uszy na jej wyzwanie, postanowił powrócić do normalnego trybu życia. Sam fakt utraty wiary nie oznaczał wcale, że nie może wykonywać swojego zawodu i pomimo skandalu, jaki wywołały fotografie ukazujące obżeranie się szynką, pierwszego w ogóle skandalu, jaki można łączyć z jego nazwiskiem, podpisał kontrakty i wrócił znowu do pracy.

A potem, któregoś dnia, fotel na kółkach okazał się pusty, Gibril zniknął. Pewien brodaty pasażer, niejaki Ismail Nadzmuddin, wszedł na pokład samolotu, lot AI-420 do Londynu. Ten Boeing 747 otrzymał nazwę jednego z ogrodów Raju, ale nie Gulistanu, ogrodu różanego, a *Bustanu* — ogrodu rozkoszy. — Aby ponownie się narodzić — mówił Gibril Fariszta Saladynowi Czamczy o wiele później — najpierw musisz umrzeć. Jeśli o mnie chodzi, umarłem tylko połowicznie, ale zrobiłem to dwukrotnie, szpital i samolot, tak więc to się sumuje i to się liczy. I teraz, Spoono, mój przyjacielu, oto stoję przed tobą w Tym Właśnie Londynie, w Wilajacie, odrodzony, jako nowy człowiek z nowym życiem. Spoono, czyż nie jest to cholernie kapitalna rzecz?"

Dlaczego wyjechał?

Z jej powodu, z powodu wyzwania, jakim była, świeżości, gwałtowności ich bycia ze sobą, z powodu nieuchronności rzeczy niemożliwych, które musiały się stać.

I, może: dlatego, że po zjedzeniu przez niego tych świń, zaczęła się odpłata za zło, nocna odpłata, kara pod postacią snów.

3

Kiedy samolot do Londynu oderwał się już od ziemi, dzięki magicznej sztuce polegającej na skrzyżowaniu palców każdej dłoni i okrężnych ruchach kciuków, chudy facet po czterdziestce, który siedział przy oknie na miejscu dla niepalących i obserwował, jak jego rodzinne miasto spada z niego jak stara skóra z węża, pozwolił sobie na przelotny wyraz ulgi. Twarz ta była przystojna na swój zgorzkniały nieco patrycjuszowski sposób, długie wąskie wargi były wywinięte w dół jak u zde gustowanego turbota, a cienkie brwi rysowały się ostrymi łukami nad oczyma, które przypatrywały się światu z pewnego rodzaju czujną wzgardą. Pan Saladyn Czamcza wymodelował tę twarz z dużą dbałością — minęło kilka lat, zanim osiągnął właściwy efekt — i od bardzo wielu lat uważał ją po prostu *za swoją własną* — w rzeczy samej zapomniał nawet, jak wyglądała przedtem. Wymodelował sobie również głos, który pasował do tej twarzy, głos, którego rozwekłe, prawie leniwe samogłoski niepokojąco kontrastowały z poszarpaną gwałtownością spółgłosek. To połączenie twarzy i głosu było niezwykle skuteczne, jednak podczas ostatniej wizyty w rodzinnym mieście, zresztą pierwszej tego typu od piętnastu lat (powinienem chyba dodać, że jest to dokładnie okres kariery Gibrila Fariszy), miały miejsce pewne dziwne i niepokojące wydarzenia. Był to niestety przypadek odmowy posłuszeństwa ze strony jego głosu (który zbuntował się pierwszy), a następnie samej twarzy.

Samolot wystartował — Czamcza pozwolił odpocząć palcom i kciukom i nieco zażenowany miał jednak nadzieję, że inni pasażerowie nie zauważą tego ostatniego przesądu, który mu pozostał. Zamknął oczy i z lekkim dreszczem przerażenia powrócił pamięcią do swojego lotu na wschód sprzed kilku tygodni. Wtedy wysoko ponad pustynnymi piaskami Półwyspu Arabskiego zapadł w senne odrętwienie i we śnie ukazał mu się dziwny nieznajomy, człowiek o szklanej skórze, który ponuro walił pięściami w cienką kruchą błonę pokrywającą całe jego ciało i prosił Saladyna, by pomógł mu i uwolnił go z więzienia jego skóry. Czamcza pochwycił kamień i zaczął walić w szkło. Poprzez popękana powierzchnię ciała nieznajomego momentalnie zaczęła sączyć się krew i kiedy Czamcza usiłował zedrzeć potłuczoną skorupę, ten zaczął przeraźliwie krzyczeć, ponieważ razem ze szkłem odrywały się kawałki jego ciała. W tym momencie pochyliła się nad śpiącym Czamczą stewardesa i zapytała z tą bezlitosną gościnnością charakterystyczną dla jej plemienia: *Coś do picia, proszę pana? Drinka?*, a Saladyn, wynurzając się ze snu stwierdził, że jego sposób mówienia z nieznanymi przyczyn przekształcił się w śpiewny bombajski dialekt, którego kiedyś tak pieczołowicie (i tak bardzo dawno temu!) się pozbył. — Aha, znaczy co — wymamrotał. — Napój alkoholowy, czy jak? — I kiedy stewardesa rozproszyła jego wątpliwości, cokolwiek pan sobie życzy, wszystkie napoje gratis, ponownie usłyszał swój głos, zdrajęc: — Dobrze, bibi, daj tylko jedną whisky z sodą.

Cóż to za paskudna niespodzianka! Otrzeźwiał natychmiast, aż nim wstrząsnęło i usiadł wyprostowany w fotelu, nie zwracając uwagi ani na alkohol, ani na orzeszki ziemne. W jaki sposób przeszłość zdołała wykipieć, wydostać się na zewnątrz w formie magicznie zmiennych samogłosek i słów? Co jeszcze? Czy zacnie teraz wcierać sobie olejek kokosowy we włosy? A może zacnie sobie czyścić nos, chwytając go pomiędzy kciuk i palec wskazujący, wydmuchując hałaśliwie lepki srebrzysty łuk paskudztwa? Może stanie się entuzjastą wrestlingu? Jakie diaboliczne poniżenia jeszcze go czekają? Powinien był wiedzieć, że błędem jest *wracać do domu* po tak długim czasie, jakże mógł ów powrót oznaczać co innego niż cofanie się, była to podróż nienaturalna, zaprzeczenie istnienia czasu, bunt przeciw historii, cała ta rzecz musiała skończyć się katastrofą.

Nie jestem sobą, pomyślał, kiedy w okolicy serca odczuł lekkie trzepotanie. Ale i tak, jakie to ma znaczenie, dodał z goryczą. Ostatecznie, „les acteurs ne sont pas des gens”, jak to wyjaśnił wielki kiepski aktor Frederick w „Komediantach”. Maski pod maskami, aż tu nagle naga bezkrwista czaszka.

Poproszono o zapięcie pasów, a kapitan ostrzegł przed turbulencją, wpadali i wypadali z dziur powietrznych. Pustynia kołysała się pod nimi, a robotnik-migrant, który wszedł na pokład w Katarze, kurczowo ścisnął w rękach swoje gigantyczne radio tranzystorowe i zaczął wymiotować. Czamcza zauważył, że ów człowiek nie zapiął pasów, zebrał się więc w sobie, by ponownie nadać głosowi ową angielską wyniosłość. — Niech Pan posłucha, dlaczego Pan nie... — wskazał na pas, lecz ów mężczyzna w chwilach, kiedy nie wymiotował do papierowej torebki, którą Saladyn zdążył wręczyć mu w samą porę, pokręcił głową, wzruszył ramionami i odpowiedział: — Sahibie, po co? Jeżeli Allah życzy sobie, abym umarł, to umrę. Na co więc środki bezpieczeństwa? — Indio, niech cię diabli wezmą — Saladyn Czamcza zaklął po cichu, zapadając się ponownie w swoim fotelu. — Idź do diabła, uciekłem przed twoimi szponami dawno, dawno temu, już mnie nie złapiesz, nie zdołasz zaciągnąć mnie z powrotem.

* * *

Pewnego razu — *było tak, a może nie było*, jak to zwykle bywa w starych bajkach, *zdarzyło się albo się nie zdarzyło* — być może tak, być może nie, dziesięcioletni chłopak z dzielnicy Scandal Point w Bombaju znalazł portfel leżący na ulicy nie opodal swojego domu. Wracał ze szkoły i wysiadł właśnie ze szkolnego autobusu, w którym musiał siedzieć zgnieciony pomiędzy lepкими spoconymi ciałami chłopców w krótkich spodenkach, ogłuszony wrzaskiem, a ponieważ nawet w tamtych czasach był osobą, która brzydziła się ochryplego krzyku, przepy-

chania i smrodu potu obcych ludzi, było mu niedobrze po tej długiej, uciążliwej jeździe do domu. Kiedy jednak zobaczył czarny skórzany portfel leżący u swoich stóp, uczucie mdłości minęło, pochylił się podniecony i chwycił, — i otworzył, — i stwierdził ku swojej radości, że jest on pełen pieniędzy, — i to nie jakichś tam rupii, lecz prawdziwych pieniędzy, uznanych na czarnym rynku i na międzynarodowych giełdach — funtów! Funt szterling, z Tego Właśnie Londynu w legendarnym kraju Wilajat za czarną wodą i daleko daleko stąd. Oślepiiony grubym plikiem zagranicznych banknotów chłopiec podniósł wzrok, aby upewnić się, czy nikt go nie obserwuje i przez chwilę wydało mu się, że z nieba łukiem spłynęła ku niemu tęcza, tęcza jak oddech anioła, jak wysłuchana modlitwa, która kończy się dokładnie w tym miejscu, w którym on stoi. Jego palce drżały, kiedy zanurzył je w portfelu, zmierzając ku bajecznemu skarbowi.

— Daj to. — Potem, przez resztę życia wydawało mu się, że ojciec szpiegował go przez całe dzieciństwo, i mimo że Czangez Czamczawalla był potężnym mężczyzną, a nawet olbrzymem, nie wspominając o jego bogactwie i pozycji społecznej, zawsze miał lekki chód, jak również skłonności do psucia swojemu synowi wszystkiego, co ten robił, zdzierając z młodego Salahuddina prześcieradło i odsłaniając haniebnego penisa w zaciśniętej kurczowo spoczonej dłoni. I potrafił wywęszyć pieniądze z odległości stu jeden mil, nawet poprzez smród chemikaliów i sztucznych nawozów, który zawsze unosił się nad nim, jako że był największym w kraju producentem opryskiwaczy, pestycydów i sztucznego łąjna. Czangez Czamczawalla, filantrop, kobieciarz, żywa legenda, przewodnie światło ruchu narodowego, wyskoczył z bramy swojego domu i wyrwał wypchany portfel z zawiedzionej ręki syna. — No, no — strofował — nie powinieneś podnosić rzeczy z ulicy. Ziemia jest brudna, a pieniądze, bądź co bądź, jeszcze bardziej.

Na półce, w obitym drewnem lękowym gabinecie Czangeza Czamczawalli, obok dziesięciotomowej edycji „Tysiąca i jednej nocy” w tłumaczeniu Richarda Burtona, którą powoli zżerała pleśń i mole książkowe, a to z powodu głęboko zakorzenionej niechęci Czangeza do książek, która doprowadziła do tego, że nabywał tysiące tych zgubnych przedmiotów po to, aby upokorzyć je pozostawiając, aby marniały nie przeczytane, a więc na półce tej stała magiczna lampa, wypolerowany do połysku miedziano-mosiężny awatar należącego do Alladyna pojemnika na dzinny: lampa błagająca, aby potarły ją czyjeś ręce. Ale Czangez ani jej nie pocierał, ani też nie pozwolił, żeby robił to kto inny, na przykład jego syn. — Pewnego dnia — zapewnił chłopca — dostaniesz ją na własność. Wtedy pocieraj ją sobie, ile dusza zapagnie, i patrz, co też ci się nie zjawi. Teraz jednak ona należy do mnie. Ta obietnica otrzymania magicznej lampy zaraziła panicza Salahuddina pewnością, że któregoś dnia jego kłopoty się skończą, a najskrytsze pragnienia zostaną zaspokojone i że nie zostało mu nic innego, jak przeczekać ten okres; aż tu raptem pojawiła się przygoda z portfelem, kiedy czar tęczy zadziałał na jego korzyść, nie na korzyść ojca, lecz jego własną, a Czangez Czamczawalla

ukradł ten garniec złota. Po tym wydarzeniu Salahuddin nabrał przekonania, że ojciec zdusi wszystkie jego nadzieje, o ile on od niego nie odejdzie, i od tej chwili zapragnął rozpaczliwie wyjechać, uciec, przemierzyć oceany, aby być jak najdalej od wielkiego człowieka.

Salahuddin Czamczawalla do swoich trzynastych urodzin zdążył zrozumieć, że jego przeznaczeniem jest chłodny Wilajat, pełen wspaniałych obietnic, jakie dają funty szterlingi i które zapowiadał magiczny portfel z banknotami, i coraz bardziej irytował go Bombaj pełen

kurzu, wulgarności, policjantów w szortach, transwestytów, fanów filmu, ludzi śpiących na ulicach oraz znanych każdemu śpiewających prostytutek z ulicy Granta, które zaczynały jako wyznawczynie kultu Jelammy z Karnataki, lecz wylądowały tutaj jako tancerki w bardziej prozaicznych świątyniach ludzkiego ciała. Miał dosyć zakładów włókienniczych i pociągów podmiejskich, i całego chaosu, i nadmiaru wszystkiego, co charakterystyczne dla tego miasta i tęsknił za wymarzonym Wilajatem, krainą równowagi i umiaru, która stała się obsesją, dręczącą go w dzień i w nocy. Jego ulubionymi dziecięcymi wyliczankami były te, w których obecna była tęsknota za zagranicznymi miastami: kiczy-kon kiczy-kaj kiczy-konstanty-aj kiczy-kopol kiczy-Kon-stanty-nopol. A ulubioną zabawą była odmiana ciuciubabki, w której kiedy *niq* był, odwracał się tyłem do skradających się kolegów i bełkotał, jak mantrę, jak czar jakiś, sześć liter swojego miasta-marzeń: Eloen Deigreken. W głębi serca skradał się po cichu, zbliżał do Londynu, litera po literze, podobnie jak jego koledzy skradali się w jego kierunku. *Eloen Deigreken Londyn*.

Przemiana Salahuddina Czamczawalli w Saladyna Czamczę rozpoczęła się — wszystko zostanie wkrótce opisane — w starym Bombaju, na długo zanim znalazł się na tyle blisko lwów na Trafalgarze, żeby słyszeć ich ryk. Kiedy krykietowa reprezentacja Anglii grała przeciw drużynie Indii na stadionie Brabourne, gorąco modlił się o zwycięstwo Anglików, o to, żeby twórcy tej gry zmiażdżyli miejscowych parweniuszy, o to, żeby został zachowany właściwy porządek rzeczy. (Lecz z powodu pechowej wręcz senności panującej na boisku stadionu Brabourne mecze niezmiennie kończyły się remisem; tak więc ten wielki spór między twórcą a naśladowcą, kolonizatorem a kolonizowanym, z konieczności musiał pozostać nie rozwiązany).

W trzynastym roku życia osiągnął wiek odpowiedni, by móc bawić się sam na skałach Scandal Point bez opieki niańki, Kasturby. I pewnego dnia (było tak, a może nie) wyszedł z domu, tego obszernego, oblepionego solą, rozsypującego się budynku w stylu Parsi, całego składającego się z kolumn, okiennic i małych balkonów, przeszedł spacerkiem przez ogród, który był dumą i radością jego ojca, i który przy odpowiednio padającym świetle wieczornym mógł sprawiać wrażenie bezkresnego (i który był również enigmatyczny, stanowił nie rozwiązana zagadkę, ponieważ nikt, ani jego ojciec, ani ogrodnik nie potrafili podać mu

nazw większości roślin i drzew), wyszedł przez główną bramę, pretensjonalny kaprys, reprodukcję rzymskiego łuku triumfalnego Septymiusza Sewera, i dalej przez nieokiełznany obłęd ulicy i tamę chroniącą brzeg przed morzem, aż w końcu wyszedł na obszerną przestrzeń czarnych połyskujących skał z małymi rozgałęziającymi się rozlewiskami. Dziewczynki z chrześcijańskich szkół chichotały ubrane w swoje sukienki, mężczyźni z zamkniętymi parasolami stali w milczeniu z oczyma utkwionymi w niebieskim horyzoncie. W jednej z nisz w czarnej skale Salahuddin zobaczył mężczyznę w dhoti pochylonego nad rozlewiskiem. Ich oczy spotkały się i tamten przywołał go kiwnięciem jednego palca, który następnie przyłożył do warg. „Szz. . . szsz. . .”, i tajemnicza atmosfera wokół skały i rozlewisk, pchnęła chłopca w stronę nieznanego. Był on niezwykle kościstym mężczyzną. Miał okulary w szylkretowej oprawie. Jego palec zgięty, zgięty jak hak z przynętą, „chodź”. Kiedy Salahuddin zszedł na dół, nieznamy złapał go, zatkał mu usta i poprowadził jego młodą dłoń między swoje stare kościste nogi, aż wyczuła tam twarde ciało. Dhoti rozwiąło się na wietrze. Salahuddin nigdy nie potrafił walczyć, zrobił to, do czego go zmuszono, i wówczas tamten po prostu odwrócił się od niego i puścił go.

Po tym wydarzeniu Salahuddin nigdy nie poszedł na skały Scandal Point, ani też nie powiedział nikomu o tym, co się stało, wiedząc, o jakie ataki neurastenii wiadomości ta przyprawiłaby jego matkę, i podejrzewając, że ojciec stwierdziłby, że sam jest sobie winien. Wydawało mu się, że wszystko, co ohydne, wszystko, co znenawidził w swoim rodzinnym mieście, zbiegło się w kościstym uścisku nieznanego i że teraz, kiedy już umknął temu złemu szkieletowi, musi również uchodzić z Bombaju lub umrzeć. Zaczął zawzięcie koncentrować się na tym pomysłach, skupiać na nim swoją wolę przez cały czas, jedząc, srając, śpiąc, przekonując się, że sam może dokonać cudów nawet bez uciekania się do pomocy lampy swojego ojca. Śniło mu się, że wylatuje z okna sypialni i odkrywa, że tam, pod nim na dole, jest nie Bombaj, lecz Ten Właśnie Londyn. Bigben Kolumnnelsona Tawernawizbielordów Krwawawieża Królowa. Ale kiedy tak szybował nad tą wielką metropolią, poczuł, że nagle zaczyna tracić wysokość i mimo gorączkowych ruchów nogami, ażeby płynąć w powietrzu, w dalszym ciągu powoli spada, zmierzając torem spiralnym ku ziemi, później szybciej i jeszcze szybciej, aż w końcu mknie ze świstem — głową w dół — w stronę City, Świętego pawła, Puddinglane, Threadneedlestreet, mierząc w Londyn jak bomba.

* * *

Kiedy to, co niemożliwe, jednak się stało, i jego ojciec, jak grom z jasnego

nieba, zaproponował mu wykształcenie w Wielkiej Brytanii, *żebym mu tu nie zawadzał* — pomyślał — *jakże by inaczej, przecież to oczywiste, ale darowanemu koniowi nie zagląda się w zęby*, jego matka, Nasrin Czamczawalla nie chciała wcale płakać, a zamiast tego zaproponowała, by skorzystał z dobrodziejstwa jej rady. — Nie chodź brudny jak ci Anglicy — ostrzegła go. — Oni wycierają tyłki tylko papierem, a poza tym kąpią się w brudnej wodzie po innych ludziach. — Te nikczemne oszczerstwa były dla Salahuddina dowodem na to, że jego matka staje na głowie, aby nie dopuścić do jego wyjazdu i pomimo ich wzajemnej miłości, odpowiedział: — Nieprawdopodobne jest to, co mówisz, Ammi. Anglia to wspinała cywilizacja, opowiadasz banialuki.

Uśmiechnęła się tym swoim trochę nerwowym uśmiechem i nie spierała się już. A później stała z suchymi oczyma pod tą główną bramą w kształcie łuku triumfalnego i nie chciała jechać na lotnisko Santacruz, by go odprowadzić. Swojego jedynaka. Nałożyła mu tyle wieńców na szyję, że w końcu aromat matczynej miłości przyprawił go o zawroty głowy.

Nasrin Czamczawalla była bardzo drobną i delikatną kobietą, kości miała jak tinki, jak drobnutkie drzazgi drewna. Aby powetować sobie niepokaźność swojej figury, od najmłodszych lat ubierała się z pewną skandalizującą, przesadną egzaltacją. Wzory na jej sari oślepiały, były wręcz krzykliwe: jedwab koloru cytrynowego przyozdobiony ogromnymi rombami z brokatu, przyprawiającymi o zawrót głowy czarno-białymi op-artowskimi wirami, gigantyczne ślady pocałunków uszmkowanych ust na jaskrawobiałym tle. Ludzie wybaczały jej szokujący gust, ponieważ nosiła te oślepiające szaty z taką niewinnością, ponieważ głos, który wydobywał się z tej tekstylnej kakofonii był tak cichy i niezdecydowany, i taki, jak należy, a również z powodu organizowanych przez nią wieczornych zebrań towarzyskich.

Przez cały okres życia małżeńskiego, w każdy piątek Nasrin wypełniała sale rezydencji rodziny Czamczawalla — te zazwyczaj mroczne pokoje podobne do pustych krypt grobowych — jasnym światłem i drobnymi przyjaciółkami. Kiedy Salahuddin był małym chłopcem, często wypraszał u matki pozwolenie na odgrywanie roli odźwiernego. Witał wtedy z wielką powagą przybrane klejnotami i wyfiokowane damy, pozwalając, by gładziły go po głowie i nazywały „*spryciarzem*” i „*słodziutkim ciasteczkiem*”. W piątki dom wypełniał zgiełk: byli tam muzycy, śpiewacy, tancerze, najnowsze przeboje zachodniej muzyki rozrywkowej nadawane przez Radio Cejlon, ochryple przedstawienia kukiełkowe, w których radzowie z malowanej gliny pędzili na rumakach — kukiełkach, a przekleństwami i mieczami z drewna odcinali głowy wrogich marionetek. Jednak w pozostałe dni tygodnia Nasrin zazwyczaj chodziła po domu na palcach, z niezwykłą ostrożnością, jak gołębicą w ponurym mroku, która bała się zakłócić zacienioną ciszę, a jej syn, podążając wszędzie za nią, również nauczył się stawiać lekkie kroki, aby nie obudzić jakiegoś chochlika czy złego demona, który mógłby czatować gdzieś

w kącie.

Jednak: ostrożność Nasrin Czamczawalli nie zdołała ocalić jej życia. Przeobrażenie ogarnęło ją i zabiło w momencie, kiedy sądziła, że jest jak najbardziej bezpieczna, gdy ubrana w sari pokryte wzorem z tanich fotosów i nagłówek gazetowych, skąpana w świetle żyrandola, przebywała w towarzystwie swoich przyjaciółek.

* * *

Minęło właśnie pięć i pół roku od chwili, kiedy młody Salahuddin, ozdobiony wieńcami i odpowiednio ostrzeżony, wszedł do Douglasa DC-8 i odbył podróż na zachód. Przed nim — Anglia; obok niego — ojciec, Czangez Czamczawalla; pod nim — dom i piękno. Podobnie jak i Nasrin, również przyszłemu Saladynowi płacz nigdy nie przychodził łatwo.

Podczas tej pierwszej podróży lotniczej czytał książki science fiction o migracji międzyplanetarnej: „Fundacja” Asimova, „Kroniki marsjańskie” Raya Bradbury’ego. Wyobrażał sobie, że DC-8 jest macierzystym statkiem-bazą, niosącym Wybranych, Wybrańców Boga i człowieka, poprzez niewyobrażalne przestrzenie, podróżujących przez całe pokolenia i rozmnażających się eugenicznie, tak aby ich nasienie mogło któregoś dnia zakorzenie się gdzieś tam w nowym wspaniałym świecie pod jakimś żółtym słońcem. Tu poprawił się: nie macierzysty statek-baza, lecz ojczysty statek, ponieważ był tam i on, mimo wszystko, wielki człowiek, Abbu, Ojciec. Trzynastoletni Salahuddin, odkładając na bok niedawne wątpliwości i żale, wpadł ponownie w dziecięce uwielbienie dla swojego ojca, ponieważ wcześniej naprawdę go czcił, był wielkim ojcem dopóty, dopóki ci się nie rozwinął twój własny rozum, a wtedy spieranie się z nim nazywane było zdradą miłości, ale mniejsza o to teraz, *oskarżam go o to, że stał się dla mnie najwyższą istotą, więc to, co się stało, było podobne do utraty wiary...* tak, ojczysty statek, samolot przecież nie jest latającym łonem, lecz metalowym fallusem, a pasażerowie to sperma, gotowa do ejakulacji.

Pięć i pół godziny różnych stref czasowych; obróć swój zegarek do góry nogami w Bombaju i zobaczysz, jaki jest czas w Londynie. *Mój ojciec* — myślał Czamcza wiele lat później ze środka swej goryczy. — *Oskarżam go o odwrócenie czasu.*

Jak daleko lecieli? Pięć i pół tysiąca mil w linii prostej. Albo: od hinduizmu do angielskości, niezmierny dystans. Albo, wcale nie daleko, ponieważ wzbili się w górę nad jednym wielkim miastem, a opadli nad innym. Droga z miasta do miasta jest zawsze krótka i wieśniak, pokonujący sto mil dzielących go od miasta,

przejeżdża przez ciemniejszą, bardziej pustą i przerażającą przestrzeń.

Oto, co zrobił Czangez Czamczawalla, kiedy samolot startował: kryjąc się przed synem, skrzyżował dwa palce każdej dłoni i obracał obydwoma kciukami.

A kiedy już znaleźli się w hotelu położonym o kilka metrów od szubienicy Tyburn, średniowiecznego miejsca straceń w Londynie, Czangez powiedział do syna: — Bierz, to należy do ciebie. — I wyciągnął rękę z czarnym portfelem, co do którego pochodzenia nie było wątpliwości. — Jesteś już mężczyzną. Weź.

Zwrot skonfiskowanego portfela, łącznie z całą sumą pieniędzy, którą zawierał, okazał się po prostu jedną z małych pułapek zastawionych przez Czangeza Czamczawallę. Salahuddin wpadał w nie przez całe życie. Ilekroć ojciec chciał go ukarać, zawsze podsuwał mu prezent, tabliczkę importowanej czekolady albo puszkę sera Kraft, a kiedy syn podchodził, by prezent odebrać, ten chwycił go. — Osioł. — Czangez pogardliwie wyśmiewał się z niepełnoletniego syna. — Zawsze, ale to zawsze, marchewka podprowadza cię do mojego kija.

W Londynie Salahuddin wziął ofiarowany mu portfel, przyjmując go jako podarunek męskości, na co jego ojciec powiedział: — A teraz, skoro jesteś już mężczyzną, twoją rzeczą będzie opiekować się starym ojcem podczas naszego pobytu w Londynie. Ty płacisz wszystkie rachunki.

Styczeń 1961. Rok, który można by odwrócić do góry nogami i który w odróżnieniu od zegarka, pokazałby wciąż ten sam czas. Była zima, lecz Salahuddin Czamczawalla, prawie nieprzytomny, trząśł się w swoim pokoju hotelowym ze strachu, że jego garniec złota zmienił się nagle w kłutwę czarnoksiężnika.

Te dwa tygodnie, które spędził w Londynie, zanim poszedł do szkoły z internatem, stały się koszmarem wypełnionym kasami sklepowymi i rachunkami, ponieważ Czangez miał na myśli dokładnie to, co powiedział i ani razu nie sięgnął do kieszeni. Salahuddin musiał kupić sobie ubrania, dwurzędowy niebieski płaszcz z serży i siedem paskowanych biało-niebieskich koszul Van Heusena z odpinanymi, na wpół sztywnymi kołnierzykami, które musiał nosić codziennie, aby — jak twierdził Czangez — przyzwyczać się do spinek; a Salahuddin miał wrażenie, jak gdyby wpychano mu w szyję tępy nóż tuż pod świeżo ukształtowanym jabłkiem Adama. Musiał również uważać, by wystarczyło mu na opłacenie hotelowego pokoju i na całą resztę, był więc zbyt zdenerwowany, aby zapytać ojca, czy mogliby pójść do kina, choćby na jeden film, nawet na „Prawdziwe piekło świętego Triniana” — lub aby pójść zjeść coś na mieście i choćby jeden raz skoczyć do chińskiej restauracji, i tak przez lata całe z pierwszych dwóch tygodni w swoim ulubionym Eloan Deigreken pamiętał jedynie funty szterlingi i pensy, podobnie jak ten uczeń króla-filozofa Chanakji, który zapytał wielkiego człowieka, co miał na myśli, mówiąc, że można mieszkać i jednocześnie nie żyć na tym świecie, i który w odpowiedzi otrzymał polecenie, by pod groźbą kary śmierci

przeniósł wypełniony po brzegi dzban przez tłum świętujących ludzi nie uroniwszy kropelki. Kiedy uczeń powrócił, nie potrafił opisać przebiegu uroczystości świątecznych, ponieważ cały czas zachowywał się jak ślepiec, widząc jedynie dzban na swojej głowie.

Czangez Czamczawalla był bardzo spokojny w tym czasie, sprawiał wrażenie człowieka, któremu wszystko jedno, czy w ogóle je lub pije, czy też wykonuje jakąkolwiek cholerną czynność. Był zadowolony, że może sobie siedzieć w pokoju hotelowym i oglądać telewizję — szczególnie wtedy, kiedy pojawiała się „Między nami jaskiniowcami”, ponieważ jak powiedział synowi, ta Wilma przypominała mu Nasrin. Salahuddin usiłował dowieść, że jest mężczyzną, poszcząc razem z ojcem i usiłując wytrzymać bez jedzenia dłużej niż on, jednak nigdy mu się to nie udawało i kiedy już męczarnia stawała się nie do zniesienia, wychodził z domu i szedł do pobliskiej taniej restauracji, gdzie można było dostać na wynos pieczone kurczaki, które wisiały na wystawie, ociekając tłuszczem i obracając się powoli na rożnach. Kiedy przynosił takiego kurczaka do holu hotelowego, odczuwał zakłopotanie, nie chciał bowiem, aby obsługa zauważyła jego manewry. Wtykał więc ptaka pod dwurzędowy płaszcz z serży i jechał w górę windą, rozsiewając spod wypchanego płaszcza smród różna, coraz bardziej czerwieniąc się na twarzy. Stojąc tak z kurczakiem na piersi, lustrowany wzrokiem bogatych wdów i windziarzy, czuł, że budzi się w nim nieprzejednany gniew, który miał palić się nieustannym płomieniem przez przeszło ćwierćwiecze i który miał spalić na popiół uwielbienie, jakie żywił dla ojca od dzieciństwa, a jego uczynić człowiekiem wyzwolonym z religii, człowiekiem, który później czynił wszelkie starania, aby żyć bez jakiegokolwiek boga. Płomień ten wreszcie, być może, wzmocnił jego postanowienie, by stać się tym, czym jego ojciec nie był ani nigdy nie mógł być — zacyjnym i lojalnym Anglikiem. Tak, Anglikiem, nawet jeżeli jego mama miała przez cały czas rację, nawet jeżeli w ubikacjach był tylko papier, a po ćwiczeniach gimnastycznych wchodziło się do letniej brudnawej wody pełnej błota i mydlin. Nawet jeżeli miało to oznaczać życie wśród obnażających się na zimę drzew, których wyciągnięte ramiona czepiają się rozpaczliwie tych niewielu bladych godzin rozmytego i przefiltrowanego światła. W zimowe wieczory Salahuddin, który nigdy dotąd nie sypiał pod niczym więcej, jak cienkim płótnem, leżał pod górąmi wełny i czuł się jak jakaś postać ze starożytnego mitu, skazana przez bogów na przywalenie głazem, który ma uciskać mu pierś, ale mniejsza o to, on musi być Anglikiem, nawet jeżeli reszta klasy naśmiewa się z jego sposobu mówienia i nie dopuszcza go do własnych tajemnic, ponieważ takie zachowanie jedynie wzmocnia jego determinację. Właśnie wtedy zaczął odgrywać rolę, znajdować maski, które ci chłopcy mogliby rozpoznać maski bladej twarzy, maski błaznów, aż w końcu wywiódł ich w pole i uznali, że jest *okay*, że jest *taki-sam-jak-my*. Wykpił ich w taki sposób, w jaki wrażliwy człowiek potrafi namówić goryle, by te przyjęły go do swojej rodziny — by go pieściły, czule głaszały i wtykały mu banany do ust.

(Kiedy zapłacił już ostatni rachunek, a w portfelu, który niegdyś znalazł na drugim końcu tęczy, nie został ani jeden banknot, ojciec powiedział do niego: — Widzisz teraz. Potrafisz się utrzymać. Zrobiłem z ciebie człowieka. — Ale jakiego człowieka? Tego jednak ojcowie nigdy nie wiedzą. Przynajmniej nie zawczasu, a zawsze wtedy, kiedy jest już za późno.)

Pewnego dnia na samym początku pobytu w szkole zszedł na śniadanie i znalazł na talerzu wędzonego śledzia. Siedział, długo wpatrując się w rybę, nie wiedząc, gdzie zacząć. W końcu wgryzł się w nią i naraz miał całe usta wypełnione ościami. A po ich wyjęciu następny kęs i dalsza porcja ości. Uczniowie patrzyli na jego mękę w milczeniu, żaden z nich nie powiedział, proszę, pozwól, że ci pokażę, to się je w ten sposób. Jadł tę rybę przez dziewięćdziesiąt minut i nie pozwolono mu odejść, zanim nie skończył. Trząsał się cały i gdyby był w stanie zapłakać, zrobiłby to. Przyszło mu wówczas na myśl, że przeszedł bardzo ważną lekcję. Anglia była rybą o specyficznym smaku, pełną kolców i ości i nikt mu nigdy nie powie, jak ją jeść. Odkrył w sobie przekorną naturę. — Ja im wszystkim pokażę — przysiągł. — Zobaczycie, że to zrobię. Ten wędzony śledź był jego pierwszym zwycięstwem, pierwszym krokiem w podboju Anglii.

Mówi się, że Wilhelm Zdobywca zaczął od zjedzenia garści angielskiego piachu.

* * *

Pięć lat później skończył szkołę i był z powrotem w domu, czekając na początek semestru na angielskim uniwersytecie, a jego transmutacja w Wilajat zaszła daleko. — Popatrz, jak dobrze potrafi narzekać — drażniła go Nasrin w obecności ojca. — Jaki ważny, wszystkiego się czepia, mówi, że wentylatory są zbyt lekko przymocowane do sufitu i spadną kiedyś na nas podczas snu, odcinając nam głowy, a to znów jedzenie jest zbyt tuczące, chce wiedzieć, dlaczego nie gotujemy pewnych rzeczy bez smażenia, balkony na najwyższym piętrze są niebezpieczne, a farba odpada od nich płatami, dlaczego nie możemy być dumni z naszego otoczenia, no nie, i ogród jest zarośnięty, jesteśmy po prostu ludźmi z dżungli, on tak uważa, i zobacz, jak pospolite są nasze filmy, teraz mu się nie podobają, i tak wiele chorób, nie można pić nawet wody z kranu, mój Boże, on naprawdę jest wykształcony, mężu, ten nasz malutki Sallu, świeżo z Anglii, tak ładnie wystawiający się i w ogóle.

Był akurat wieczór i przechadzali się po trawniku, patrząc, jak słońce zanurza się w morzu, i spacerując w cieniu tych wielkich rozłożystych drzew, niektóre z nich o kształcie węzowatym, inne z brodami, które Salahuddin (teraz kazał

mówić na siebie Saladyn, zgodnie z modą angielskiej szkoły, chociaż wciąż pozostawał Czamczawallą — przynajmniej przez jakiś czas jeszcze, zanim agent teatralny nie skróci jego nazwiska ze względów reklamowych) dopiero co nauczył się rozpoznawać, drzewo chlebowe, indyjskie drzewo figowe, palisander, płomień puszcy, platan. Małe sadzonki czui-mui, niecierpka pospolitego, które Czangez posadził własnymi rękoma w dniu przyjścia syna na świat. Zarówno ojciec, jak i syn, czuli się przy tym drzewie skrępowani i nie byli w stanie odpowiednio zareagować na delikatne prześmiewki Nasrin. Saladynowi przyszła do głowy melancholijna myśl, że ogród ten był lepszym miejscem, kiedy jeszcze nie znał jego nazw, i że czegoś tu brakuje, czegoś, czego nigdy już nie będzie w stanie odzyskać. A Czangez Czamczawalla stwierdził, że już nie potrafi patrzeć synowi prosto w oczy, ponieważ gorycz, jaką tam zobaczył, prawie zmroziła jego serce. Kiedy zaczął do niego mówić, odwracając się gwałtownie od osiemnastoletniego orzecha, w którym — jak był przekonany — podczas długich pobytów jedynaka poza domem mieszka jego dusza, słowa, które z siebie wydobył, były nieodpowiednie i zabrzmiały tak, jak gdyby był człowiekiem surowym i zimnym, jakim w przeszłości miał nadzieję nigdy nie zostać, a obecnie, był tego świadom, właśnie się stawał.

— Powiedz swojemu synowi — zagrzemiał Czangez, zwracając się do Nasrin — że jeżeli pojechał za granicę po to, aby nauczyć się pogardy dla własnego rodzaju, wówczas jego własny rodzaj może odnieść się wobec niego jedynie z pogardą. Czymżeż on jest? Fauntleroyem jakimś, ważniakiem? Czy to ma być moje przeznaczenie: stracić syna, znaleźć dziwaka?

— Czymkolwiek jestem, ojczy drogi — odpowiedział Saladyn — zawdzięczam to wszystko tobie.

Była to ich ostatnia rodzinna pogawędka. Przez to całe lato atmosfera w domu była napięta, mimo ciągłych prób mediacji podejmowanych przez Nasrin, *musisz przeprosić swojego ojca, kochanie, biedny człowiek cierpi diabelnie, lecz jego dumę nie pozwala mu uścisnąć się*. Nawet niania Kasturba i stary służący Wallabh, jej mąż, próbowali pojednać obu, ale ani ojciec, ani syn nie chcieli ustąpić. — Problemem jest to samo tworzywo — powiedziała Kasturba do Nasrin. — Tatuś i synek, to samo tworzywo, to samo staje wobec tego samego.

Kiedy we wrześniu rozpoczęła się wojna z Pakistanem, Nasrin postanowiła z pewną przekorą, że nie odwoła swoich piątkowych przyjęć, — aby pokazać, że wyznawcy hinduizmu i muzułmanie potrafią nie tylko nienawidzić się nawzajem, ale i kochać — zaznaczyła. Czangez zobaczył błysk w jej oczach i nie próbował nawet dyskutować, zamiast tego kazał służbie założyć na wszystkie okna zaciemniające zasłony. Tego samego wieczoru ubrany w smoking Saladyn Czamczawalla wystąpił w swojej starej roli odźwiernego i kiedy przyszli goście — ci sami starzy goście, przyprószeni siwym pudrem swojego wieku, ale poza tym ci sami — obdarzyli go tymi samymi uściskami i pocałunkami, co dawniej, nostalgicz-

nym błogosławieństwem jego młodości. — Popatrzcie, jak wyrósł — mówili. — Po prostu kochany chłopak, co tam mówić. — Wszyscy próbowali ukryć swój lęk przed wojną. *Niebezpieczeństwo nalołów lotniczych*, podawało radio, i kiedy głaszcząc mierzwili mu włosy, ich ręce trochę zbyt mocno się trzęsły lub też były trochę zbyt szorstkie.

Później tego wieczora zaśpiewały syreny i goście pobiegli się schronić, kryjąc się pod łózkami, w szafach, wszędzie. Nasrin Czamczawalla została sama przy su- to zastawionym stole i próbowała uspokoić obawy towarzystwa, stojąc tam w sari upstrzonej tytułami gazet i żując kawałek ryby, jak gdyby nic ważnego się nie stało. Tak więc, kiedy zaczęła się dławić ością swojego przeznaczenia, nie było nikogo, kto by jej pomógł, wszyscy z zamkniętymi oczyma chowali się po kątach; nawet Saladyn, pogromca wędzonych śledzi, Saladyn, zuchwalec prosto z Anglii, stracił panowanie nad sobą. Nasrin Czamczawalla upadła, dostała drgawek, próbowała złapać powietrze, umarła i kiedy syreny odwołały alarm i goście bojaźliwie wynurzyli się z zakamarków, w samym środku jadalni znaleźli gospodynię wygasłą, wykradzioną przez anioła śmierci, khali-pili chalas, jak utrzymuje plotka w Bombaju, uśmierconą bez żadnego powodu, odeszła na dobre.

* * *

W niecały rok po śmierci Nasrin Czamczawalli, spowodowanej niemożnością zatriumfowania nad ościami, tak jak udało się to jej synowi wykształconemu w zagranicznej szkole, Czangez ożenił się ponownie, nie uprzedzając o tym nikogo. Saladyn przebywający w college' u w Anglii otrzymał list od ojca nakazujący mu — w irytująco bombastycznym i przestarzałym stylu, który Czangez zawsze stosował w korespondencji — by był szczęśliwy. „Wesel się — mówił list — albowiem to, co było i zginęło, odrodziło się na nowo”. Wyjaśnienie tego tajemniczego zdania przyszło później, w radiotelegramie, i kiedy Saladyn dowiedział się, że macocha ma również na imię Nasrin, coś się popsuło w jego głowie i napisał ojcu list pełen okrucieństwa i gniewu, nasycony taką gwałtownością, jaka istnieje jedynie między ojcami i synami i która różni się od tej między córkami i matkami tym, że zawsze czai się w niej możliwość połamanych szczęk. Czangez odpisał natychmiast odwrotną pocztą krótki list, cztery linijki staroświeckich obelg, cham drań łotr hultaj szuja łobuz. „Uprzejmie przyjmij do wiadomości, że wszystkie związki rodzinne zostają raz na zawsze zerwane” — kończył się list. „Odpowiedzialność za skutki spada na ciebie.”

Po roku ciszy Saladyn otrzymał następną wiadomość, list wybaczenia, który we wszystkich swoich szczegółach był jeszcze trudniejszy do przyjęcia niż ten

wcześniejszy, ekskomunikujący grom. „Kiedy zostaniesz ojcem, o mój synu — zwierzał się Czangez Czamczawalla — wówczas na pewno poznasz te chwile — ach! Przemię! — kiedy dla zabawy hušta się urocze dziecko na kolanie i kiedy bez ostrzeżenia i wyraźnego powodu to błogosławione stworzenie — czy moge być szczery? — *moczy* ojca. Może przez krótką chwilę robi się od tego mdło, a krew się w żyłach gotuje, lecz potem gniew znika równie szybko, jak się pojawił. Bo czyż my, dorośli, nie rozumiemy, że nie można tego mieć dziecku za złe? Przecież ono nie wie, co czyni.”

Dotknięty do żywego porównaniem go do siusiającego niemowlaka, Saladyn zachował milczenie, które — miał nadzieję — było reakcją pełną godności. Zanim ukończył studia, uzyskał brytyjski paszport, ponieważ zdołał przybyć do tego kraju przed zaostreniem przepisów, mógł więc poinformować Czangeza w krótkim liściku, że zamierza osiąść w Londynie i poszukać pracy jako aktor. Odpowiedź Czangeza Czamczawalli nadeszła ekspresem. „Równie dobrze możesz sobie być cholernym żigolakiem. Jestem przekonany, że jakiś diabeł cię opętał i pomieszał ci zmysły. Ty, który otrzymałeś tak wiele, czy nie uważasz, że jesteś ludziom winien co nieco? Twojemu krajowi? Pamięci twojej drogiej matki? Własnemu rozumowi? Czy masz zamiar spędzić swoje życie kołyszając biodrami i wdzięcząc się w świetle reflektorów, całując blondynki na oczach obcych ludzi, którzy zapłacili, by oglądać twoją hańbę? Nie jesteś moim synem, ale *ghulem*, *hoszem*, diabłem z piekła. Aktor, też mi! Odpowiedz mi na to: co mam powiedzieć moim przyjaciółom?”

A pod podpisem patetyczne i rozdrażnione post scriptum. „Skoro już masz swoich własnych złych dzinnów, nie wyobrażaj sobie, że dostaniesz w spadku czarodziejską lampę.”

* * *

Potem Czangez Czamczawalla pisywał do syna sporadycznie, nieregularnie i w każdym liście powracał do tematu demonów i opętania. „Człowiek nieszczerzy wobec siebie samego staje się dwunożnym kłamstwem, a takie bestie są najlepszym dziełem Szatana”. Napisał również w bardziej sentymentalnym nastroju: „Przechowuję bezpiecznie twoją duszę, mój synu, tutaj, w tym drzewie orzecha włoskiego. Diabeł ma jedynie twoje ciało. Kiedy uwolnisz się od niego, wróć i zażądaj swojego nieśmiertelnego ducha. Rozwijaj się on bujnie tu, w ogrodzie”.

Charakter pisma w tych listach zmienił się na przestrzeni lat, na początku wyrażał przeładowaną ozdobnikami pewnością siebie, co na pierwszy rzut oka wyróżniało go spośród innych, a z czasem był coraz bardziej ścisły, surowy, oczysz-

czony. W końcu listy przestały przychodzić, lecz Saladyn dowiedział się z innych źródeł, że zaabsorbowanie ojca sprawami nadprzyrodzonymi w dalszym ciągu się pogłębiało, aż w końcu stał się odludkiem, być może po to, aby uciec przed tym światem, w którym demony potrafiły zawładnąć ciałem jego własnego syna, przed światem niebezpiecznym dla człowieka prawdziwej wiary.

Przemiana, jaką przeszedł jego ojciec, wzburzyła Saladyna, nawet jeżeli dzielił ich tak duży dystans. Rodzice jego byli muzułmanami, jakkolwiek religię traktowali bez specjalnego entuzjazmu i dość niefrasobliwie, czyli w sposób typowy dla mieszkańców Bombaju; Czangez Czamczawalla wydawał się jego małemu synkowi o wiele bardziej boską postacią niż jakiś tam Allah. Bezbożny syn Czamczawalli nie mógł się pogodzić z faktem, że jego ojciec, to świeckie bóstwo (aczkolwiek obecnie zdyskredytowane) pada na kolana w podeszłym wieku i wybija pokłony w kierunku Mekki.

— Winię za to tę wiedźmę — mruknął do siebie, dla celów retorycznych posługując się językiem czarów i chochlików, którego używał jego ojciec. — Ta Nasrin numer dwa. Czy to ja stałem się celem sztuk diabelskich, czy to ja jestem opętany? Przecież to nie mój charakter pisma się zmienił.

Listy przestały przychodzić. Minęły całe lata i wówczas Saladyn Czamcza, aktor, człowiek zawdzięczający wszystko sobie samemu, przyjechał do Bombaju razem z aktorami grupy Prospero Players; miał wystąpić w roli hinduskiego lekarza w „Milionerze” George’a Bernarda Shawa. Na scenie przystosował swój głos do wymagań roli, lecz od dawna tłumione zwroty, te zarzucone samogłoski i spółgłoski, zaczęły wydostawać się z jego ust również poza teatr. Jego głos zdradzał go, i odkrył, że także inne części jego ciała zdolne są do popełnienia kolejnych zrad.

* * *

Człowiek, który postanawia ukształtować siebie na nowo, według sposobu widzenia świata, podejmuje się roli Stwórcy; postępuje wbrew naturze, jest bluźniercą, najszkaradniejszym szkaradziejstwem. Patrząc na niego pod innym kątem, można dostrzec patos i heroizm jego walki i gotowość poniesienia ryzyka; nie wszyscy mutanci pozostają przy życiu. Albo też, spójrzcie z socjopolitycznego punktu widzenia: większość migrantów uczy się i potrafi stać się przebraniem, maską. Nasze własne fałszywe opisy, które usiłują przeciwstawić się nieprawdom, które się o nas wymyśla, mają skrywać ze względu na bezpieczeństwo nasze prawdziwe „ja”.

Człowiek, który wymyśla sam siebie, potrzebuje kogoś, kto by wierzył w nie-

go, aby udowodnić, że zamysł mu się powiódł. Znowu odgrywanie roli Boga, można by powiedzieć. Albo też można by zejść o kilka stopni w skali w dół i pomyśleć o Dzwoneczku, wróżki nie istnieją, jeżeli dzieci nie klaszczą z uciechy w dłonie. Albo też można by po prostu powiedzieć: tak właśnie wygląda natura ludzka.

Nie tylko potrzeba, aby ktoś w nas uwierzył, ale również potrzeba wiary w drugiego. No i mamy to: Miłość.

Saladyn Czamcza spotkał Pamelę Lovelace pięć i pół dnia przed końcem lat sześćdziesiątych, kiedy to kobiety nosiły barwne chusteczki na głowach. Stojąc na środku pokoju wypełnionego trockizującymi aktorami, utkwiała w nim wzrok tak błyszczący, tak błyszczący. Bawił ją, zmonopolizował ją na cały wieczór i ani przez chwilę uśmiech nie zniknął z jej twarzy, a wyszła w towarzystwie innego mężczyzny. Pojechał do siebie, aby śnić o jej oczach i uśmiechu, wysmukłej figurze, gładkiej skórze. Śledził ją przez dwa lata. Anglia niechętnie oddaje swoje skarby. Własna wytrwałość była czymś dla niego zdumiewającym i zrozumiał, że stała się ona opiekunką jego przeznaczenia, że jeżeli nie da się ubłagać, cała ta jego próba metamorfozy spali na panewce. — Pozwól mi — prosił, delikatnie mocując się z nią na dywaniku, a kończyło się to tak, że stał potem na przystankach autobusowych o północy, cały w kłaczkach świadczących o jego grzechu. — Uwierz mi. Jestem tym jedynym.

Którejś nocy niespodziewanie pozwoliła mu, powiedziała, że uwierzyła. Poślubił ją, zanim zdążyła się rozmyślić, ale nigdy nie nauczył się czytać w jej myślach. Kiedy była nieszczęśliwa, zamykała się w sypialni aż do poprawy samopoczucia. — Nie twoja sprawa — mówiła mu. — Nie chcę, aby ktokolwiek widział mnie w tym stanie. — Nazywał ją ostrygą. — Otwórz — wołał do wszystkich drzwi ich wspólnego życia, najpierw w suterenie, później w wynajętej części domu, a w końcu w okazałej rezydencji. — Kocham cię. Wpuść mnie. — Tak bardzo potrzebował, aby rozproszyła wątpliwości dotyczące jego własnego istnienia, że nigdy nie dostrzegł rozpaczy w jej olśniewającym wiecznym uśmiechu, przerażenia w rozpromienionej twarzy, z którą stawała wobec świata, ani też powodów, dla których chowała się, kiedy już nie była w stanie uśmiechnąć się czarująco. Dopiero kiedy było już za późno, powiedziała mu, że jej rodzice popełnili razem samobójstwo — tuż po jej pierwszej menstruacji — tkwiąc po szyję w karcianych długach, pozostawiając ją z arystokratycznym donośnym głosem wyróżniającym ją jako złotą dziewczynę, kobietę, której należy zazdrościć, a w rzeczy samej była istotą porzuconą, zagubioną, której rodzice nie zadali sobie nawet trudu, aby poczekać i popatrzeć, jak dorasta. Oto jak bardzo ją kochano, tak więc oczywiście nie miała żadnej pewności siebie i każda jej chwila spędzona na świecie wypełniona była paniką, uśmiechała się więc i może raz w tygodniu zamykała za sobą drzwi na klucz, czując się jak strączek, pusta w środku łupina orzeszka ziemnego, jak małpa, której odebrano orzech.

Nigdy nie udało się im mieć dzieci; uważała, że to jej wina. Po dziesięciu latach Saladyn odkrył, że coś jest nie tak z częścią jego własnych chromosomów, dwie pałeczki za długie czy też za krótkie, nie mógł sobie przypomnieć. Jego genetyczne dziedzictwo; najwidoczniej miał szczęście, że istnieje i że nie jest jakimś rodzajem okaleczonego potwora. Czy to po matce, czy po ojcu, lekarze nie potrafili odpowiedzieć, on sam winił, łatwo odgadnąć kogo, ostatecznie nie wypada źle mówić o zmarłych.

Ostatnio ich wspólne życie nie układało się.

Przyznał się do tego przed sobą dopiero po fakcie.

Wtedy powiedział sam sobie, przechodziliśmy kryzys, być może powodem był brak dzieci, a może po prostu każde z nas poszło swoją drogą, może to, a może tamto.

Wcześniej odwracał wzrok od wszelkich napięć, wszelkich utarczek, wszelkich konfliktów, które nigdy nie rozpoczęły się na dobre, zamykał oczy i czekał, aż powróci jej uśmiech. Pozwolił sobie uwierzyć w ten uśmiech, tę olśniewającą imitację prawdziwej radości.

Próbował wymyślić szczęśliwą przyszłość dla nich obojga, zmusić, aby się spełniła — najpierw wyobrażając ją sobie, a następnie w nią wierząc. Podczas lotu do Indii myślał sobie, że jest niesamowitym szczęściarzem mając taką kobietę, ależ mam szczęście, tak, na pewno, nie próbuj spierać się, mam tak cholerne szczęście, jak nikt na świecie. Oraz jak cudowną rzeczą było to, że miał przed sobą długą, cienistą aleję lat, miłą perspektywę starzenia się w obecności tak delikatnej osoby.

Tak ciężko nad tym pracował i tak blisko już był wiary w prawdziwość tych lichych wymysłów, że kiedy poszedł do łóżka z Zini Wakil na drugi dzień po przylocie do Bombaju, pierwszą rzeczą, której dokonał, było omdlenie, całkowita utrata przytomności, gdyż sygnały dochodzące do jego mózgu były zasadniczo ze sobą sprzeczne, jak gdyby prawe oko widziało, że świat przesuwa się w lewą stronę, a jednocześnie lewe — że wręcz odwrotnie, świat ten właśnie ześlizguje się w prawo.

Zini była pierwszą Hinduską, z którą się kochał. Wtargnęła do jego garderoby po premierze „Milionerki” ze swoimi operowymi ramionami i ochrypłym głosem, jak gdyby nie minęło tak wiele lat. *Lat.* — Mój drogi, co za rozczarowanie, słowo daję, siedziałam przez całe to przedstawienie po to tylko, żeby usłyszeć jak śpiewasz „Goodness Gracious Me” jak Peter Sellers, pomyślałam, sprawdźmy, czy ten facet nauczył się trafiać we właściwą nutę, pamiętasz, jak naśladowałeś Elvisa z rakieta do squasha, kochanie, byłeś przesadnie komiczny, zupełnie zwariowany. A co tu wyprawiasz? Piosenki to nie sztuka dramatyczna. A, do diabła. Słuchaj, czy możesz zwać od tych wszystkich bladych twarzy i pójść na miasto z nami,

kolorowymi? Może już zapomniałeś, jak wygląda nasze życie?

Pamiętał ją jako patykowatą, chudą nastolatkę, która miała włosy w stylu Mary Quant, zaczesane na jedną stronę twarzy i uśmiech wykrzywiony w przeciwną. Narwaniec, niedobra dziewczyna. Pewnego dnia, dla ubawu, weszła do cieszącej się złą sławą addy, spelunki na Falkland Road, i siedziała tam, paląc papierosy i pijąc colę, aż wreszcie stręczyciele, którzy prowadzili tę melinę, zagrozili, że potną jej twarz, to nie miejsce dla cichodajek. Wytrzymała ich wzrok, powoli skończyła papierosa, wyszła. Nieustraszona. Może wariatka. Teraz, w wieku trzydziestu paru lat była dyplomowanym lekarzem, konsultantem w szpitalu Breach Candy, kobietą, która pracowała wśród bezdomnych tego miasta, która pojechała do Bopalu natychmiast po ogłoszeniu wiadomości, że niewidzialna amerykańska chmura zżera ludziom oczy i płuca. Była krytykiem sztuki, autorką książki na temat ograniczającego mitu autentyczności, tego folklorystycznego gorsetu, który chciała zastąpić etyką historycznie uprawomocnionego eklektyzmu, bo czyż cała narodowa kultura nie opierała się na zasadzie pożyczania wszelkich ubrań, jakie tylko wydają się pasować, od Aryjczyków, Mogolów czy Brytyjczyków, wybierz-co-najlepsze-i-zostaw-resztę? — ta książka narobiła sporo smrodu, czego zresztą można się było spodziewać, szczególnie z powodu tytułu. Nazwała ją „Jedyny dobry Hindus”. — To znaczy, że jest nim martwy Hindus — powiedziała Czamczy, dając mu egzemplarz. — Dlaczego miałby istnieć jakiś dobry, uczciwy sposób na bycie kolorowym? To jest w rzeczywistości hinduski fundamentalizm. Tak naprawdę wszyscy jesteśmy złymi Hindusami. A niektórzy jeszcze gorsi niż cała reszta.

Jej uroda rozkwitała w pełni, długie włosy spływały na plecy; z pewnością nie była to ta sama patykowata postać z przeszłości. Pięć godzin po tym, jak weszła do jego garderoby, znaleźli się w łóżku, a on zemdłał. Kiedy doszedł do siebie, powiedziała mu: — Dałam ci whisky z narkotykiem. — Nigdy nie doszedł do tego, czy mówiła prawdę, czy też nie.

Zinat Wakil miała względem Saladyna pewien plan. — Nawrócenie — wyjaśniła. — Panie, odzyskamy cię. — Czasami miał wrażenie, że zamierza tego dokonać, jedząc go żywcem. Kochała się z nim jak kanibal, był dla niej podłużną porcją pieczystego. — Czy wiedziałaś — pytał ją — o istnieniu jak najbardziej dowiedzionego powiązania pomiędzy wegetarianizmem a odruchem zjadania ludzi? — Zini, gryząc na drugie śniadanie jego nagie udo, potrząsnęła głową. — W pewnych ekstremalnych przypadkach — kontynuował — nadmierne spożycie roślin może spowodować wprowadzenie do organizmu substancji biochemicznych, które wywołują ludożercze zachcianki. — Spojrzała na niego i ukośny uśmiech rozpromienił jej twarz. Zini, ten piękny wampir. — Dość tego — powiedziała. — Jesteśmy narodem wegetarianów i kulturę mamy pokojową, mistyczną, to wiedzą wszyscy.

Natomiast jeśli o niego chodziło, obowiązywało go ostrzeżenie: „Uprasza się

traktować ostrożnie”. Kiedy po raz pierwszy dotknął piersi Zini, z jej oczu trysnęły gorące, zdumiewające łzy o barwie i konsystencji bawolego mleka. Widziała, jak umiera jej matka, krojona jak kurczak na obiad, najpierw lewa pierś, później prawa, a mimo to rak rozprzestrzenił się. Obawa Zini, że podzieli los matki, spowodowała, że jej piersi stały się obszarem zakazanym. Ukryty lęk nieustraszonej Zini. Nigdy nie urodziła dziecka, lecz jej oczy płakały mlekiem.

Po ich pierwszym akcie miłosnym od razu zabrała się za niego, nie pamiętając już o łzach. — Wiesz, czym jesteś, powiem ci. Dezerterem, oto czym jesteś, bardziej angielski niż twój angielski akcent owinięty wokół ciebie jak flaga, i nie myśl sobie, że jest tak doskonały, on ci ciągle zjeżdża, baba, jak sztuczne wąsy.

„Dzieje się coś dziwnego — chciał powiedzieć. — Mój głos”. Ale nie wiedział, jak to wyrazić i w końcu nie odezwał się wcale.

— Ludzie tacy jak ty — prychnęła, całując go w ramię. — Wracacie tutaj po tak długim czasie i uważacie się bóg jeden wie za kogo. Cóż, kochanie, mamy o was dużo gorsze zdanie. — Uśmiech miała bardziej promienny niż Pamela. — Tak, rozumiem — powiedział do niej. — Zini, nie zgubiłaś swojego uśmiechu Binaki.

Binaka. Skąd się to znowu wzięło, ta dawna, zapomniana reklama pasty do zębów? I samogłoski brzmiące najwyraźniej niepewnie. Uważaj, Czamcza, uważaj na swój cień. Tego ciemnoskórego faceta skradającego się z tyłu.

Następnego wieczora przysłała do teatru, holując dwóch przyjaciół, młodego marksistę, reżysera filmowego George’a Mirandę, powłóczącego nogami wieloryba z podwiniętymi rękawami sięgającej, do ud długiej koszuli, jego trzepocąca na wietrze kamizelka nosiła wyraźne ślady starych plam, a zadziwiające żołnierskie wąsy miały woskowane koniuszki, oraz Bhupena Gandhiego, poetę i dziennikarza, który przedwcześnie posiwiiał, ale którego twarz wydawała się posiadać niewinność niemowlęcia, dopóki nie wydobył z siebie przebiegłego chichotu. — Chodźżeż, Salad baba — oznajmiła Zini — pokażemy ci miasto. — Tu zwróciła się do swoich towarzyszy: — Ci *Azjaci* z zagranicy wstydu nie mają — oświadczyła. — Saladynie, proszę cię jak jakąś głupią sałatę!

— Kilka dni temu przyjechała tu reporterka telewizyjna — powiedział George Miranda, — Różowe włosy. Twierdziła, że nazywa się Kerleeda. Nie mogłem tego rozgryźć.

— Słuchaj, George jest zbyt oderwany od świata — przerwała Zini. — Nie ma pojęcia, w jakich dziwaków wy, faceci, się zmieniacie. Ta panna Singh, wprost skandaliczne! Powiedziałam jej, twoje nazwisko brzmi Chalida, kochanie, rymuje się z Dalda, to taki środek do gotowania. Ale ona nie potrafiła wymówić. Swojego własnego nazwiska! Zaprowadź mnie do waszego kerlidera. Tacy jak wy nie posiadają żadnej kultury. Po prostu kolorowi. No i co, nieprawdaż? — dodała, nagle radosna z oczyma zaokrąglonymi w obawie, że posunęła się za daleko. — Przestań znęcać się nad nim, Zinat — powiedział Bhupen Gandhi swoim cichym

głosem. A George, zakłopotany wymamrotał: — Żadnej obrazy, człowieku. Dowcip, ha, ha.

Czamacza postanowił zrobić dobrą minę do złej gry, a następnie kontratakować. — Zini — powiedział. — Ziemia pełna jest Hindusów, wiesz przecież o tym, zjawiamy się wszędzie, zostajemy druciarzami w Australii, a nasze głowy lądują w lodowce Idi Amina. Kolumb miał rację, być może świat składa się z samych Indii, Wschodnich, Zachodnich, Pomocnych, cholera, powinnaś być dumna z nas, naszej przedsiębiorczości, przenikania przez granice. Szkopuł jedynie w tym, że nasza hinduskość jest różna od twojej. Lepiej przyzwyczajaj się do nas. Jaki to tytuł ma ta książka, którą napisałaś?

— Słuchajcie — Zini wsunęła mu rękę pod ramię. — Słuchajcie mojego Salada. Nagle chce być Hindusem, kiedy już całe swoje życie spędził, próbując zmienić kolor skóry na biały. Nie wszystko jest stracone, widzicie. Coś tam w nim jeszcze drzemie. — I Czamacza poczuł, że rumieni się, poczuł, że krew uderza mu do głowy. India; ależ to komplikowało sprawę.

— Na miłość boską — dodała, cmokając go w policzek — Czamacza, chcę powiedzieć, pieprz to. Każesz się nazywać Panem, Lizuskiem i chcesz, żebyśmy się nie śmiali.

* * *

W mocno zużyтым Hindustanie Zini, samochodzie zbudowanym dla społeczeństwa służących, w którym tylne siedzenia mają lepszą tapicerkę niż przednie, Czamacza czuł, że noc, jak tłum, zacieśnia się coraz bardziej wokół niego. India mierząca go miarą swojego zapomnianego ogromu, sama jej obecność, odwieczny pogardzany rosgardiasz. Nagle wyrósł przed nim hidźra, przebrany za Amazonkę, niby hinduska — Wonder Woman, uzbrojony w srebrny trójząb, zatrzymał ruch uliczny jednym władczym gestem i powoli przesunął się przed nimi. Czamacza wpatrywał się w jej groźne oczy. Gibril Fariszta, gwiazdor filmowy, który zniknął w nie wyjaśniony sposób, rozkładał się na olbrzymich afiszach. Gruz, śmieci, hałas. Dymiące reklamy papierosów: SCISSORS — DLA CZŁOWIEKA W AKCJI DUŻO SATYSFAKCJI. Albo, co było jeszcze bardziej nieprawdopodobne: PANAMA — CZEŚCIĄ WIELKIEGO KRAJOBRAZU INDYJSKIEGO.

— Dokąd jedziemy? — Noc przybrała kolor zielonych neonowych reklam. Zini zaparkowała samochód. — Zgubiłeś się — zarzuciła mu. — Co ty wiesz o Bombaju? Niby twoje własne miasto, ale tak naprawdę, nigdy nim nie było. Dla ciebie jest ono snem z dzieciństwa. Spędzić młodość w dzielnicy Scandal Point to tak samo, jak żyć na księżycu. Żadnych biedaków, nic z tego, tylko służba

domowa. Czy pojawiła się tam kiedykolwiek Armia Siwy, aby wywołać rozruchy społeczne? Czy twoi sąsiedzi cierpieli głód podczas strajku włóknarzy? Czy Datta Samant urządził wiec pod waszymi domami? Ile miałeś lat, kiedy po raz pierwszy ujrzałeś związkowca? Kiedy po raz pierwszy wsiadłeś do podmiejskiego pociągu, zamiast do samochodu z szoferem? To nie był Bombaj, kochanie, przepraszam cię. To była Kraina Czarów, Peristan, Życie-Na-Kredyt, Kraina Oz.

— A ty? — przypomniał jej Saladyn. — Gdzie byłaś wtedy?

— W tym samym miejscu — powiedziała z zawziętością. — Z wszystkimi innymi przeklętymi munchkinami.

Ciche uliczki. Dzinijska świątynia w remoncie, na wszystkich figurkach świętych plastikowe worki chroniące przed farbą. Uliczny sprzedawca oferujący gazety pełne okropności: katastrofa kolejowa. Bhupen Gandhi zaczął mówić łagodnym szeptem. Tuż po katastrofie, powiedział, pasażerowie, którzy przeżyli, zaczęli płynąć do brzegu (pociąg spadł z mostu) i tam zajęli się nimi miejscowi chłopcy, tak długo odpychali ich od brzegu, aż ci potonęli, wówczas ograbili ich ciała.

— Zamknij gębę — wrzasnęła na niego Zini. — Dlaczego opowiadasz mi takie historie? On już bez tego uważa nas za dzikusów, niższy gatunek.

W jakimś sklepiku sprzedawano drzewo sandałowe do spalania na ofiarę w pobliskiej świątyni Kryszny oraz komplety pokrytych emalią biało-różowych oczu Kryszny, które widzą wszystko. — Cholera, za dużo do oglądania — mruknął Bhupen. — To jasne.

* * *

Na zatłoczonej dhaba, którą George zaczął odwiedzać, kiedy usiłował nawiązać kontakt w sprawach filmowych z członkami gangu i bossami rządzącymi przemysłem rozpusty w mieście, pito ciemny rum przy aluminiowych stolikach, a George i Bhupen, będąc już na lekkim rauszu, posprzeczali się. Zini piła Thums Up Colę i w rozmowie z Czamczą otwarcie skrytykowała swoich przyjaciół. — Nałogowi pijacy, obydwaj, splukani do cna, obaj znęcają się nad żonami, prześiadują w knajpach, marnują swoje parszywe życie. Nic dziwnego, że straciłam głowę dla ciebie, kochany, jeżeli produkt miejscowy jest tak niskiej jakości, zaczynamy lubić towary z zagranicy.

George był w Bopalu razem z Zini i coraz głośniejsze rozprawiał o katastrofie, interpretując ją w sposób ideologiczny. — Czym jest Amrika dla nas? — zapytał. — Jest miejscem nierealnym. Potęgą w najczystszej formie, bezcielesną, niewidzialną. Nie widzimy jej, a jednak wciąż nas dręczy, nie ma ucieczki. — Porównał towarzystwo Union Carbide do konia trojańskiego. — To my przecież zaprosili-

śmy tych skurwysynów. To było tak, jak w opowiadaniu o czterdziestu rozbójnikach — powiedział. — Ukryli się w amforach i czekali na nadejście nocy. My nie mieliśmy żadnego Alibaby, na nieszczęście — wykrzyknął. — Kogo mieliśmy? Pana Radziwa G.

W tym momencie Bhupen Gandhi podniósł się nagle z miejsca, stanął na drżących nogach i zaczął *zeznawać*, jak gdyby opętał go jakiś duch. — Według mnie — powiedział — nie o obcą interwencję tu chodzi. Zawsze pobłażaliśmy sobie, zrzucając winę na obcych, Amerykę, Pakistan, jakikolwiek inny cholerny kraj. Przepraszam cię, George, ale według mnie wszystko zaczyna się w Asam i od tego musimy zacząć. — Rzeź niewiniątek. Fotografie dziecięcych trupów, ułożonych starannie w rzędach jak żołnierze na defiladzie. Zatluczono je pałkami, ukamienowano, nożami poderżnięto im gardła. Te równe szeregi śmierci, przypominał sobie Czamcza. Jak gdyby dopiero ten okrutny widok potrafił zmusić Indie do zachowania porządku.

Bhupen przemawiał przez dwadzieścia dziewięć minut bez zająknięć czy przerw. — Wszyscy jesteście winni tego, co się stało w Asamie — powiedział. — Każdy z nas. O ile i dopóki nie przyjmiemy do wiadomości, że śmierć tych dzieci obarcza winą każdego z nas i jeżeli nie potrafimy się do tego przyznać, nie możemy nazywać się cywilizowanym narodem. — Kiedy mówił, popijał rum wielkimi łykami i jego głos stawał się coraz donośniejszy, a ciało zaczęło się niebezpiecznie przechylać, lecz mimo że w sali zapanowała cisza, nikt nie ruszył w jego kierunku, nikt nie usiłował mu przerwać, nikt nie nazwał go pijakiem. W środku zdania: *codzienne wypadki oślepienia ludzi lub dzień w dzień strzelanina, lub przypadki korupcji, za kogo my się usiadł ciężko i utkwiał wzrok w swoim kieliszku.*

Zaraz też w odległym rogu knajpy wstał młody człowiek i podjął dyskusję. Asam należy rozumieć w kategoriach politycznych, zawołał, istniały przyczyny ekonomiczne, a jeszcze inny człowiek poderwał się na nogi, żeby odpowiedzieć, sprawy finansowe nie wyjaśniają, dlaczego dorosły człowiek zatłukuje pałką małą dziewczynkę na śmierć, na co inny facet powiedział, jeżeli tak pan uważa, to nigdy pan nie był głodny, salah, cóż za cholernie romantyczne przypuszczenie, że ekonomia nie może zmienić ludzi w dzikie bestie. Czamcza zacisnął kurczowo rękę na swoim kieliszku, kiedy hałas gwałtownie wzrósł, powietrze zdawało się gęstnieć, złote zęby błyskały tuż przed jego twarzą, ramiona ocierały się o niego, łokcie trącały go, powietrze powoli zmieniało się w zupę, a w jego klatce piersiowej zaczęło się nieregularne kołatanie. George złapał go za rękę i wyciągnął na ulicę. — W porządku, człowieku? Zrobiłeś się zielony. — Saladyn podziękował kiwnięciem głowy, nabrał w płuca nocnego powietrza i uspokoił się. — To rum i wyczerpanie — powiedział. — Dziwne, ale zwykle po przedstawieniu nerwy odmawiają mi posłuszeństwa. I często zaczynam się cały trząść. Powinienem był wiedzieć. — Zini patrzyła na niego i w jej oczach było coś więcej niż współczucie. Błyszczące spojrzenie, triumfujące, twarde. *Coś do ciebie dotarło, pozerka!*

go oczyma. *No i, kurde, najwyższy czas.*

Kiedy wyzdrowieje się z duru brzuszego, rozmyślał Czamcza, zyskuje się odporność na tę chorobę na jakieś dziesięć lat. Lecz nic nie jest wieczne; w końcu przeciwności znikają. Musiał pogodzić się z faktem, że jego krew nie zawiera już ciał odpornościowych, które pozwoliłyby mu znosić rzeczywistość Indii. Rum, kołatanie serca i przygnębienie. Czas do łóżka.

Nigdy nie zabierała go do swojego mieszkania. Zawsze i tylko ten hotel, pełen młodych Arabów ze złotymi medalionami na piersiach, dumnie przemierzających nocne korytarze z butelkami szmuglowanej whisky. Leżał w butach na swoim łóżku, kołnierz koszuli rozpięty, krawat poluzowany, oczy zasłonięte prawą ręką; ona w białym hotelowym płaszczu kąpielowym pochyliła się nad nim i pocałowała go w podbródek. — Powiem ci, co ci się przydarzyło dzisiaj wieczora — powiedziała. — Można by powiedzieć, że rozbiliśmy twoją skorupę.

Poderwał się, wściekły. — Tak, oto, co jest w środku — rzucił jej w twarz. — Hindus przemieniony w angielskie medium. Kiedy teraz próbuję mówić w języku hinduskim, ludzie mają uprzejmy wyraz twarzy. Oto ja. — Unieruchomiony w galarecie swojego przybranego języka wcześniej już zaczął słyszeć w tej indyjskiej wieży Babel złowieszcze ostrzeżenie: Nie wracaj już nigdy. Skoro przeszedłeś na drugą stronę lustra, wracasz na własne ryzyko. Zwierciadło może pociąć cię na kawałki.

— Byłam taka dumna z Bhupena dziś wieczorem — powiedziała Zini, wchodząc do łóżka. — W ilu krajach mógłbyś wejść do pierwszego lepszego baru i rozpocząć podobną debatę? I ta pasja, ta powaga, ten respekt. Zatrzymaj dla siebie swoją cywilizację, Lizusku; moja całkiem mi się podoba.

— Daj sobie spokój ze mną — błagał ją. — Nie lubię, kiedy ludzie wpadają do mnie bez uprzedzenia, zapomniałem już siedem wersetów i kabaddi, nie umiem odmawiać modlitw, nie wiem, co dzieje się podczas uroczystości nikah, a w mieście, w którym się wychowałem, łatwo błędzę, kiedy tylko zostaję sam. To nie jest mój dom. To miejsce przyprawia mnie o zawroty głowy, gdyż jest ono jakby domem i jednocześnie nie jest. Przez to wszystko serce mi drży i kręci mi się w głowie.

— Jesteś głupcem — krzyknęła na niego. — Głupcem. Zmień się z powrotem! Cholerny idiota. Oczywiście, że potrafisz. — Była wirem powietrza, syreną kuszącą go do powrotu do dawnego ja. Ale było to martwe ja, cień, duch, a on nie chciał zostać zjawą. W portfelu miał bilet powrotny do Londynu i zamierzał zrobić z niego użytek.

* * *

— Nie wyszłaś za mąż — powiedział do niej, kiedy po bezsennej nocy leżeli obok siebie, wcześniej rano. Zini parsknęła. — Naprawdę nie było cię w kraju zbyt długo. Widzisz mnie? Jestem czarnuchem. — Wygięła plecy i zrzuciła prześcieradło, aby pochwalić się swoimi wdziękami. Kiedy królowa bandytów, Phulan Devi, wyszła wreszcie ze swoich wozów, aby się poddać i aby sfotografowano ją ze wszystkich stron, gazety z miejsca zaprzestały tworzenia mitu o jej legendarnej urodzie. Teraz stała się *prostą pospolitą istotą*, nieapetyczną, a nie — jak przedtem — *ponętą*. Ciemna skóra w północnej Indii.

— Brednie — powiedział Saladyn — Nie sądzisz chyba, że w to wierzę.

Zaśmiała się. — W porządku, jeszcze nie całkiem zidiociałeś. Po co komu małżeństwo? Miałam mnóstwo pracy.

A po chwili milczenia, podrzuciła mu tamto pytanie. *Więc, dobrze. A ty?*

Nie tylko żonaty, do tego jeszcze bogaty. — Powiedz więc, na. Powiedz, jak żyjecie, ty i mama. — W pięciopiętrowym domu w Notting Hill. Ostatnio przestał się tam czuć bezpiecznie, ponieważ kolejna banda włamywaczy zabrała ze sobą nie tylko, jak zwykle, wideo i stereo, ale również owczarka alzackiego. Zaczął dochodzić do wniosku, że nie można mieszkać tam, gdzie element przestępczy porywa zwierzęta. Pamela twierdziła, że jest to stary miejscowy zwyczaj. W Bardzo Dawnych Czasach, powiedziała (dla Pameli historia dzieliła się na Erę Starożytną, Średniowiecze, Bardzo Dawne Czasy, Okres Imperium Brytyjskiego, Okres Nowożytny i Teraźniejszość), porywanie ulubionych zwierząt było lukratywnym zajęciem. Biedacy kradli psiaki bogatym, uczyli je nowych imion i sprzedawali z powrotem ich zmartwionym i bezradnym właścicielom w sklepach na Portobello Road. Historia lokalna podawana przez Pamelę była zawsze pełna szczegółów i często niepewna. — Ależ, mój Boże — powiedziała Zini Wakil. — Musisz natychmiast sprzedać mieszkanie i wyprowadzić się. Ja znam tych Anglików, wszyscy tacy sami, hołota i nababowie. Nie da się walczyć z ich cholernymi tradycjami.

Moja żona, Pamela Lovelace, kruchotka jak porcelana, zgrabna jak gazeta, przypomniał sobie. Zapuszczam korzenie w kobiety, które kocham. Banały niewierności. Odsunął je od siebie i mówił o swojej pracy.

Kiedy Zini Wakil dowiedziała się, w jaki sposób Saladyn Czamcza dorobił się swoich pieniędzy, zaczęła wyc z śmiechu, tak że jeden z Arabów w medalionach zapukał do drzwi, chcąc się upewnić, czy wszystko w porządku. Zobaczył piękną kobietę siedzącą na łóżku, ze strugami łez jak bawole mleko, spływającymi po jej policzkach i kapiącymi z podbródka, i przeprosił Czamczę za najście, wycofał się pospiesznie, *przepraszam, stary, hej, ale z ciebie szczęściarz.*

— Ty biedny ziemniaku. — Zini ciężko oddychała pomiędzy jedną a drugą

salwą śmiechu. — Te angielskie skurwiele. Naprawdę cię załatwiły.

A więc teraz z kolei jego praca okazała się śmieszna. — Posiadam dar naśladowania różnych typów wymowy — powiedział hardo. — Dlaczego nie miałbym się zatrudnić?

— „Dlaczego nie miałbym się zatrudnić?” — przedrzeźniała go, machając z uciechy nogami. — Panie aktor, znowu zsunął się panu wąsik.

O, mój Boże.

Co się ze mną dzieje?

Co, u diabła?

Ratunku.

Ponieważ faktycznie posiadał ten dar, naprawdę go posiadał, był człowiekiem Tysiąca i Jednego Głosu. Jeżeli chcieliście wiedzieć, jak powinna mówić wasza butelka ketchupu w reklamie telewizyjnej, jeżeli nie mieliście pewności, jaki powinien być idealny głos waszej paczuszki chrupek o smaku czosnkowym, oto wasz człowiek. Zmuszał dywany, by przemówiły w reklamach domów towarowych, naśladował znakomitości, prażoną fasolę, mrożony groszek. W radiu potrafił przekonać słuchaczy, że jest Rosjaninem, Chińczykiem, Sycylijczykiem, prezydentem Stanów Zjednoczonych. Pewnego razu w sztuce radiowej na trzydzieści siedem głosów grał każdą z ról, przybierając mnóstwo pseudonimów, czego nikt się nigdy nie domyślił. Razem z równie utalentowaną partnerką, Mimi Mamoulian, panował nad falami radiowymi Brytanii. Oboje mieli tak duży udział w finansowych głosobrotach radia, że, jak to powiedziała Mimi: — Niech ludzie nawet żartem nie mówią przy nas o Komisji Antymonopolowej. — Jej możliwości były zdumiewające: mogła naśladować osoby w każdym wieku, pochodzące z każdego miejsca na świecie, o każdej barwie i wysokości głosu, od anielskiej Julii aż po diaboliczną Mae West. — Powinniśmy pobrać się kiedyś, kiedy będziesz wolny — zasugerowała Mimi. — Ty i ja, oboje moglibyśmy być Narodami Zjednoczonymi.

— Jesteś Żydówką — zauważył. — Zostałem tak wychowany, że mam swoje zdanie na temat Żydów.

— No cóż, jestem Żydówką — wzruszyła ramionami — ale to ty jesteś obrzezany. Nikt nie jest doskonały.

Mimi była drobnej budowy, miała gęste czarne loki i wyglądała jak reklama firmy Michelin. W Bombaju, Zinat Wakil przeciągnęła się i ziewnęła, i wygoniła inne kobiety z jego myśli. — Zbyt wiele — śmiała się z niego. — Płacą ci za naśladowanie ich, dopóki nie muszą na ciebie patrzeć. Twój głos staje się sławny, ale ukrywają twój twarz. Może domyślasz się dlaczego? Brodawki na nosie, zez czy co? Czy przyszło ci już coś na myśl, kochanie? Ty sakramencki kapuściany łbie, słowo daję.

To prawda, pomyślał. Saladyn i Mimi byli pewnego rodzaju legendami, ale legendami ułomnymi, ciemnymi gwiazdami. Pole grawitacyjne ich umiejętności

przyciągało do nich pracę, ale oni pozostawali niewidoczni, zrzucając swoje ciała, aby nałożyć głosy. W radiu Mimi mogła stać się Wenus Botticellięgo, mogła być Olimpią, Monroe, jakąkolwiek cholerną kobietą, którą chciała być. Było jej wszystko jedno, jak wyglądały; stała się już swoim głosem, warta była majątku, a trzy młode kobiety zakochały się w niej beznadziejnie. Kupowała również nieruchomości. — Neurotyczne zachowanie — przyznawała się często bez żenady. — Przesadna potrzeba zapuszczania korzeni wynikająca z wstrząsów w historii ormiańsko-żydowskiej. Pewna doza rozpaczki wynikająca z postępujących lat i niewielkich polipów wykrytych w gardle. Nieruchomości mają taki kojący wpływ, naprawdę polecam je. — Była właścicielką probostwa w Norfolk, zagrody wiejskiej w Normandii, dzwonnicy w Toskanii, wybrzeża morskiego w Bohemii. — Wszędzie straszy — wyjaśniła. — Szczekanie, wycie, krew na dywanach, kobiety w koszulach nocnych. Nikt nie rezygnuje z ziemi bez walki.

Nikt oprócz mnie, myślał melancholijnie Czamcza, kiedy tak leżał obok Zinat Wakil. Może już jestem duchem. Ale przynajmniej duchem posiadającym bilet lotniczy, sukces, pieniądze, żonę. Ciebie, ale żyjący w namacalnym materialnym świecie. *Z aktywami*. Tak, mój panie.

Zini gładziła jego kręcące się nad uszami włosy. — Czasami, kiedy nic nie mówisz — wyszeptala — kiedy nie mówisz śmiesznymi głosami albo nie udajesz kogoś wielkiego i kiedy zapominasz, że ludzie na ciebie patrzą, masz obojętny wyraz twarzy. Wiesz? Nie zapisana karta, nikogo tam nie ma. Doprowadza mnie to do szału, czasami chcę dać ci w twarz. Sprawić ci ból, żebyś znowu ożył. Ale to mnie też smuci. Taki głupiec, ty, wielka gwiazda, a twoja twarz ma nieodpowiedni kolor i nie można pokazać cię w kolorowym telewizorze, musisz jechać tu, do kraju brązowych, z jakąś nędzną trupą teatralną, do tego wszystkiego grając rolę zangielszczonego Hindusa, tylko po to, żeby wystąpić w sztuce. Poniewierają tobą, a mimo to wciąż jesteś z nimi, wprost ich kochasz, cholerna mentalność niewolnika, daję słowo. Czamcza. — Chwyliła go za ramiona i potrząsnęła, siedząc na nim okrakiem, a jej zakazane piersi znalazły się tuż przy jego twarzy. — Salad baba, czy jakkolwiek siebie nazywasz, na miłość boską, *wrót do domu*.

Wielki przełom, który wkrótce mógł sprawić, że pieniądze stracą dla niego sens, zaczął się zupełnie niepozornie: program telewizyjny dla dzieci, rzecz zwana „Obcy z kosmosu” z udziałem „Putforiów” z „Wojen Gwiezdných” w manierze „Ulicy Sezamkowej”. Była to pełna humoru sytuacyjnego komedyjka o najróżniejszych istotach spoza Ziemi, od rezolutnych po wariatów, od zwierząt po jarzyny, a również minerały, ponieważ występowała tam skała kosmiczna, która potrafiła dostarczyć zawarty w niej surowiec, a następnie regenerować się w ciągu tygodnia, przed pojawieniem się w kolejnym odcinku; skała ta nazywała się Pigmobca, a dzięki karkołomnemu poczuciu humoru producentów, w programie pojawiała się również ordynarna, czkająca istota, rzygający kaktus, który pochodził z pustynnej planety na końcu czasu: była to Matilda Australien, pojawiały się

również trzy groteskowe, śpiewające, pneumatyczne syreny kosmiczne, znane jako Obce Kolby Kukurydzy, być może nazywały się tak, gdyż można było położyć się pomiędzy nimi, a także był tam hip-hopowy zespół tancerzy z Wenus i grupa sprayowców zasmarowujących ściany metra, i również pokrewne dusze, które przejęły dla siebie nazwę Obcego Narodu; a pod łóżkiem, w statku kosmicznym, który był głównym miejscem zdjęć dla tego programu, mieszkał sobie Owadzik, czyli gigantyczny żuczek gnojarek z Mgławicy Raka, który uciekł od swojego tatusia, a w akwarium można było znaleźć Mózgowca, superinteligentną gigantyczną słuchotkę kalifornijską, która uwielbiała kuchnię chińską, no a poza tym był jeszcze Ridley, najbardziej przerażający z całej obsady, wyglądał jak jakieś malowidło Francisa Bacona, przedstawiające usta pełne zębów, kołyszące się na samym końcu ślepego strąka, do tego miał on bzika na punkcie aktorki Sigourney Weaver. Gwiazdami tego programu, jego Kermitem i panną Piggy, była niezwykle modnie i niegustownie ubrana, przedziwnie uczesana para, Maksym i Mama Obcy, pragnący tylko jednego — czegoś więcej? — bycia osobowościami telewizyjnymi. W rolach tych obsadzono Saladyna Czamczę oraz Mimi Mamolian, zmieniających w jednej chwili głosy i kostiumy, nie mówiąc o fryzurach, zmieniających się między jednym ujęciem a drugim ze szkarłatnych w cynobrowe, włosach, które mogły prostować się na długość trzech stóp, pochylać się na bok, po czym w mgnieniu oka znikać zupełnie; zmieniających rysy twarzy i układ części ciała, tak, gdyż byli zdolni do dowolnej przemiany, zmieniali nogi, ręce, nosy, uszy, oczy, a każda z tych zmian była połączona z nowym głosem wydawanym przez ich legendarne proteuszowe krtanie. Jednak tym, co uczyniło program przebojem, była najnowocześniejsza komputerowa technika przetwarzania obrazu. Wszystkie tła: statek kosmiczny, pejzaże odległych planet, studia, w których rozgrywały się międzygalaktyczne teleturnieje, były symulowane przez komputer; podobnie sprawa się miała z przetworzonymi przez specjalne urządzenia obrazami aktorów, byli oni zobowiązani spędzać codziennie cztery godziny w towarzystwie awangardowych mistrzów charakteryzacji, którzy zanim jeszcze włączono komputery, zmieniali ich w istoty podobne komputerowym symulacjom. Maksym Obcy, kosmiczny playboy, i Mama, niepokonana międzygalaktyczna mistrzyni w zapasach oraz rekordzistka w spożywaniu makaronu, co wieczór wzbudzali powszechną sensację. Wszędzie najlepsze godziny emisji: Ameryka, Eurowizja, cały świat.

W miarę jak program „Obcy z kosmosu” zyskiwał na popularności, coraz częściej stawał się przedmiotem krytyki politycznej. Konserwatyści atakowali go za to, że jest zbyt straszny, jego warstwa seksualna zbyt dosadna (wspomnienie o pannie Weaver powodowało u Ridleya erekcję), a całość zbyt *dziwaczna*. Radykalni komentatorzy zaczęli atakować jego stereotypowość, brak pozytywnych postaci oraz ciągle utrwalanie schematu, że obcy z kosmosu są zawsze potworami. Zaczęto naciskać na Czamczę, aby odszedł z tego programu; odmówił; stał

się celem ataków. — Kiedy wrócę, czekają mnie kłopoty — powiedział do Zini. — Ten cholerny program nie jest alegorią. Jest po prostu rozrywką. Ma sprawiać przyjemność.

— Sprawiać przyjemność? Komu? — dopytywała się. — A poza tym, nawet teraz pokazują cię na antenie dopiero wtedy, kiedy pokryją ci twarz gumą, a na głowę wsadzą czerwoną perukę. Wielkie mi coś, okazja absolutnie żadna, mówię ci.

— Rzecz w tym — powiedziała, kiedy obudzili się następnego ranka — Saladynie, kochanie, że naprawdę jesteś przystojny, bez wątpienia Skóra jak mleko, świeżo z Anglii. Akurat teraz, kiedy Gibril dał nogę, mógłbyś być następny w kolejce. Mówię poważnie, jar. Potrzebują nowej twarzy. Wróc tylko do kraju i zostaniesz następnym, większym niż był Bachchan, większym od Fariszy. Twoja twarz nie jest tak zabawna jak ich.

W młodości, zwierzył się jej, każdy etap jego życia i każda osobowość, którą do siebie przypasowywał, wydawały mu się chwilowe i to go uspokajało. Niedoskonałości każdego z tych etapów były nieistotne, gdyż łatwo mógł zastąpić jedną chwilę następną, jednego Saladyna innym. Teraz jednak każda zmiana sprawiała ból; arterie tego, co możliwe, zaczęły twardnieć. — Niełatwo mi jest powiedzieć to tobie, wziętem ślub i to nie tylko z żoną, ale z życiem. — *Znowu to potknięcie w akcencie.* — Tak naprawdę, to przyjechałem do Bombaju z jednego powodu i nie jest nim wcale ta sztuka. On ma prawie osiemdziesiąt lat i nie będę miał następnej okazji. Nie przyszedł do teatru; Mahomet musi iść do góry.

Mój ojciec, Czangez Czamczawalla, właściciel cudownej lampy. — Czangez Czamczawalla, chyba żartujesz, tylko nie wyobrażaj sobie, że możesz pójść beze mnie. — Aż klasnęła w dłonie. — Chcę sprawdzić te włosy i paznokcie u nóg. — Jego ojciec, słynny samotnik. Bombaj był kulturą przeróbek. Jego architektura małpowiała drapacze chmur, jego filmy bez końca tworzyły na nowo „Siedmiu Wspaniałych” i „Love Story”, zobowiązując wszystkich bohaterów, by uratowali przynajmniej jedną wioskę przed krwiożerczymi bandytami, a wszystkie bohaterki, by umarły na białaczkę przynajmniej raz w ciągu swojej kariery, najlepiej na samym jej początku. Również milionerzy, i oni importowali styl życia. Niewidzialność Czangeza była utożsamiana z hinduskim marzeniem o nieszczęśliwym bogaczu, tkwiącym w swojej luksusowej podniebnej garsonierze w Las Vegas; lecz w końcu marzenie to nie to samo, co fotografia, i Zini chciała zobaczyć to na własne oczy. — Stroi do ludzi miny, kiedy jest w złym humorze — ostrzegał ją Saladyn. — Nikt nie wierzy, póki sam nie zobaczy. Naprawdę. Ale miny! Gorgony! A do tego jest pruderyjny i nazwie cię dziwką, i prawdopodobnie będę musiał walczyć z nim, tak jest mi pisane.

Oto z jakiego powodu Saladyn Czamcza przyjechał do Indii: przebaczenie. To właśnie sprowadziło go do jego starego rodzinnego miasta. Ale czy przebaczyć, czy otrzymać przebaczenie, nie był w stanie powiedzieć.

* * *

Dziwaczne aspekty obecnej sytuacji pana Czangeza Czamczawalli: ze swoją nową żoną, Nasrin Drugą, mieszkał przez pięć dni każdego tygodnia w otoczonym wysokim murem domu o nazwie Czerwony Fort, położonym w dzielnicy Pali Hill, ulubionej przez gwiazdy filmowe; lecz pod koniec każdego tygodnia wracał bez żony do starego domu w Scandal Point i tam spędzał dni wolne od pracy, w zagubionym świecie przeszłości, w towarzystwie pierwszej, zmarłej, Nasrin. Ponadto: mówiono, że jego druga żona zapowiedziała, że jej noga nigdy nie postanie w starym domu. — Albo też nie wolno jej tam przychodzić — postawiła hipotezę Zini, siedząc w eleganckiej limuzynie z przyciemnionymi szybami, którą Czangez wysłał po syna. Kiedy Saladyn skończył opisywać jej swojego ojca i jego obecną sytuację, Zinat Wakil aż gwizdnęła z aprobatą. — Szaleństwo.

Ani przedsiębiorstwo nawozów sztucznych Czamczawalli, to Czangezowe imperium łąjna, ani oszustwa podatkowe i omijanie cła importowego oraz dochodzenie prowadzone przez komisję rządową w tej sprawie nie interesowało Zini. — Teraz — powiedziała — dowiem się wreszcie, jaki ty naprawdę jesteś.

Dzielnica Scandal Point otworzyła się przed nimi. Saladyn poczuł, że przeszłość runęła na niego jak fala, topiąc go, wypełniając mu płuca swoim upiornym słonym smakiem. „*Dzisiaj nie jestem sobą* — pomyślał. — Serce drży. Życie niszczy żyjących. Nikt z nas nie jest sobą. Nikt z nas *nie jest taki*”.

Teraz była tam stalowa brama zdalnie sterowana z wnętrza budynku, odcinająca dostęp do rozsypującego się łuku triumfalnego. Brama otworzyła się z powolnym zgrzytem i wpuściła Saladyna do miejsca straconego czasu. Kiedy zobaczył drzewo orzecha włoskiego, w którym, jak utrzymywał ojciec, przebywała jego dusza, ręce zaczęły mu się trząść. Skrył się za neutralnością faktów. — W Kaszmirze — powiedział do Zini — drzewo urodzinowe jest pewnego rodzaju inwestycją finansową. Kiedy dziecko osiąga pełnoletność, dojrzałe drzewo orzechowe można porównać z polisą ubezpieczeniową; posiada wartość, można je sprzedać, opłacić ślub, zacząć życie. Brak sentymentu w tym wszystkim jest bardzo sympatyczny, nie uważasz?

Samochód zatrzymał się przy zadaszonym wejściu. Zini nie odezwała się, kiedy we dwójkę przeszli po sześciu stopniach prowadzących do drzwi wejściowych, gdzie przywitał ich stateczny i wiekowy służący w białej liberii z mosiężnymi guzikami, którego czuprynę siwych włosów Czamcza nagle rozpoznał, przekształcając ją w myślach z powrotem w grzywę tego samego Wallabha, który nadzorował sprawę tego domu jako jego majordomus w Bardzo Dawnych Czasach. — Mój Boże, Wallabhu, bracie — udało mu się wydusić z siebie i ucisnął starego. Nikły uśmiech wykrzywił twarz służącego: — Robię się taki stary, baba, myślałem, że

mnie nie poznasz. — Poprowadził ich ciężkimi od kryształów korytarzami rezydencji i Saladyn uświadomił sobie, że brak zmian jest uderzający i najwyraźniej celowy. To prawda, wyjaśnił mu Wallabh, że kiedy Begum umarła, sahib Czangez poprzysiągł sobie, że dom ten będzie jej pomnikiem. Skutkiem tego nic w nim nie zmieniono od dnia, w którym umarła, obrazy, meble, mydelniczki, figurki walczących byków z czerwonego szkła i drezdnieńskie porcelanowe baleriny, wszystko pozostało dokładnie na swoim miejscu, te same czasopisma na tych samych stołach, te same zmięte kłęбки papieru w koszach na śmieci, jak gdyby dom także umarł i został zabalsamowany. — Zmumifikowany — powiedziała Zini, jak zwykle wypowiadając rzeczy niewyraźne. — Boże, ale to jest upiorne, nie? — Właśnie w tej chwili, kiedy Wallabh, służący, otwierał podwójne drzwi prowadzące do niebieskiego salonu, Saladyn Czamcza zobaczył widmo swojej matki.

Krzyknął tak głośno, że Zini odwróciła się na pięcie. — Tam — wskazał na ciemniejszy koniec korytarza — nie ma wątpliwości, to przeklęta sari z gazetyowym nadrukiem, z dużymi tytułami, to to, które ona miała na sobie w dniu, kiedy ona, ona... — Ale teraz Wallabh zaczął machać rękoma jak słaby, nie potrafiący latać ptak, rozumiesz, baba, to tylko Kasturba, chyba nie zapomniałeś, moja żona, to tylko moja żona. *Moja ayah Kasturba, z którą bawiłem się w stawkach pośród skał. Aż podrosłem i odszedłem od niej, a w kotlinie mężczyzna w szylkretowych okularach.* — Proszę cię, baba, nie ma się o co złościć, tylko kiedy Begum umarła, Sahib Czangez podarował mojej żonie kilka szat, chyba nie masz nic przeciwko temu? Twoja matka była tak wspaniałomyślną kobietą, kiedy żyła, zawsze hojnie rozdawała wszystko. — Czamcza, odzyskując równowagę, poczuł się głupio. — Na litość Boską, — Wallabh — wymamrotał. — Na litość Boską. Ależ oczywiście, nie mam nic przeciwko temu. Wallabh odzyskał znowu swoją poprzednią sztywność; prawo do wygłaszania własnego zdania, którym cieszył się jako stary służący, pozwoliło mu na strofowanie Czamczy. — Bardzo przepraszam, baba, ale nie powinieneś bluźnić.

— Zobacz, jaki jest spocony — powiedziała Zini scenicznym szeptem. — Wygląda, jakby panicznie się czegoś bał. — Kasturba weszła do pokoju i chociaż jej powitanie z Czamcza po tylu latach było dosyć serdeczne, dało się odczuć, że coś niedobrego wisi w powietrzu. Wallabh poszedł po piwo i indyjską kolę i kiedy Kasturba również wyszła pod jakimś pretekstem, Zini od razu powiedziała: — Coś jest nie tak. Ona chodzi po domu, jak gdyby była właścicielką tego śmietniska. Zauważ, jak się dumnie nosi. A staruszek wyraźnie się czegoś bał, tych dwoje coś kombinuje, załóżę się. — Czamcza usiłował zachować spokój. — Mieszkają tutaj niemal przez cały czas, może śpią w głównej sypialni i jedzą z wytwornych talerzy, na pewno poczuli, że to miejsce należy do nich. — Ale on cały czas myślał o tym, jak uderzająco podobna do jego matki była niańka Kasturba w tym starym sari.

— Tak długo poza domem — usłyszał za sobą głos ojca — że teraz nie po-

trafisiz odróżnić żyjącej niańki od zmarłej matki.

Saladyn odwrócił się i zobaczył przygnębiający obraz ojca; ojca, który pomarszczył się jak stare jabłko, lecz który ciągle upierał się, że dalej będzie nosił bardzo drogie włoskie garnitury ze swoich dawnych, tłustych lat. Teraz, kiedy stracił zarówno pękate ramiona, jak i duży brzuch, wydawało się, że przemierza wnętrza swoich ubrań zupełnie jak człowiek, który szuka czegoś, z czym całkowicie się nie utożsamiał. Stał w drzwiach, patrząc na syna, jego nos i wargi wykrzywione przez czarodziejską moc czasu w coś, co stało się odległą podobizną jego dawnej wilkołaczej twarzy. Czamcza zaczął domyślać się dopiero, że jego ojciec nie jest już w stanie przerazić kogokolwiek, że jego niezwykła siła została przełamana, że jest jedynie starym prykiem zmierzającym wprost do grobu; Zini natomiast zdążyła zauważyć z pewnym rozczarowaniem, że Czangez Czamczawalla ma konserwatywnie krótko obcięte włosy, a ponieważ na jego nogach lśnią sznurowane półbuty, relacja o jego jedenastocalowych paznokciach u stóp nie wydawała się prawdziwa; wróciła Kasturba, tym razem paląc papierosa, i przeszła powoli obok ich trojga, ojca syna kochanki, w kierunku pokrytej niebieskim welurem kanapy typu chesterfield, na której upozowała swoje ciało równie zmysłowo jak gwiazdka filmowa, mimo że była przecież kobietą w podeszłym wieku.

Zaledwie Kasturba zakończyła swoje szokujące wejście, a już Czangez przemknął szybko koło swojego syna i usadowił się obok byłej niańki. Zini Wakil, jej oczy ciskające awanturnicze ogniki, zasyczała do Czamczy: — Zamknij buzię, kochany. Źle to wygląda. — A w drzwiach służący, Wallabh, popychając przed sobą wózek z drinkami, bez emocji patrzy, jak jego wieloletni chlebobawca obejmuje ramieniem jego żonę, która bynajmniej się nie broni.

Kiedy nasz przodek i bezpośredni twórca zostaje nagle zdemaskowany jako osoba o cechach szatańskich, dziecko najczęściej staje się bardzo pruderyjne. Czamcza usłyszał siebie pytającego: — A moja macocha, drogi ojcze? Czy jest w dobrym zdrowiu?

Starzec zwrócił się do Zini: — Mam nadzieję, że przy tobie nie jest taki święty, inaczej zapewne cierpisz męki. — I dalej, mówiąc do syna ostrzejszym tonem: — Interesujesz się teraz moją żoną? Bo ona tobą zupełnie nie. Obecnie nie chce cię nawet widzieć. Dlaczego miałaby wybaczyć? Nie jesteś dla niej synem. Zresztą w tej chwili chyba i dla mnie też nie.

Nie przyszedłem walczyć z nim. Uważaj, ty stary satyrze. Nie wolno mi walczyć. Ale to, to jest nie do zniesienia. — W domu mojej matki — krzyknął Czamcza melodramatycznie, przegrywając bitwę z samym sobą. — Państwo uważa, że twoje przedsięwzięcie jest nieuczciwe, oto jest korupcja twojej duszy. Popatrz, coś im zrobił. Wallabhowi i Kasturbie. Przy pomocy swoich pieniędzy. Ile na to potrzebowałeś? Aby zatruć im życie. Jesteś chorym człowiekiem. — Stał przed swoim ojcem, płonął słusznym gniewem.

Wallabh służący, nieoczekiwanie, wmieszał się. — Baba, z całym szacunkiem,

ale przepraszam, co ty wiesz? Wyjechałeś i nie było cię tak długo, a teraz przyjeżdżasz, aby nas sądzić. — Saladyn czuł, że ziemia ustępuje mu spod nóg; patrzył prosto w piekło. — Rzeczywiście, płaci nam — kontynuował Wallabh. — Za naszą pracę i również za to, co widzisz. Za to. — Czangez Czamczawalla mocniej przycisnął do siebie uległą niańkę.

— Ile? — krzyknął Czamcza. — Wallabh, na ile wy, dwaj mężczyźni, zgodziliście się? Ile za prostytuowanie żony?

— Co za głupiec — odezwała się Kasturba z pogardą. — Edukacja w Anglii i co tam jeszcze, ale w dalszym ciągu głowa pełna siana. Przychodzisz tu i mówisz jak jakiś waśniak, w *domu twojej matki* etcetera, ale może wcale nie kochałeś jej tak bardzo. A my kochaliśmy ją, my wszyscy. Nasza trójka. I w ten sposób możemy utrzymywać jej ducha pośród żyjących.

— Można by powiedzieć, że to jest modlitwa — dobiegł go cichy głos Wallabha. — Rodzaj nabożeństwa.

— A ty — Czangez Czamczawalla mówił równie spokojnie jak jego służący — przychodzisz tutaj, do tej świątyni. Ze swoją bezbożnością. Szanowny panie, cóż za tupet.

I na koniec, zdrada Zinat Wakil. — Daj spokój, Salad — powiedziała, odchodząc do kanapy i siadając na oparciu, tuż obok starego. — Czemuś taki skwaszony? Sam nie jesteś aniołkiem, kochanie, a wydaje się, że ci ludzie znaleźli całkiem dobre wyjście z sytuacji.

Usta Saladyna otwierały się i zamykały. Czangez poklepał Zini po kolanie. — Przyszedł nas oskarżać, moja droga. Przyszedł wziąć odwet za swoją młodość, pobiliśmy go jego własną bronią i nie wie, co zrobić. A teraz dajmy mu szansę, a ty musisz być sędzią. Nie zniosę wyroków wydanych przez niego, ale z twoich rąk przyjmę najgorsze.

Ten łajdak. Stary łajdak. Chciał wyprowadzić mnie z równowagi i oto proszę, zaskoczył mnie i nie potrafię ruszyć ani ręką, ani nogą. Nie odezwę się, dlaczego miałbym się odezwać, nie w tej sytuacji, takie upokorzenie. — Pewnego razu był sobie — powiedział Saladyn Czamcza — portfel wypchany funtami i pewnego razu był sobie pieczony kurczak.

* * *

O co syn oskarżał ojca? O wszystko: o szpiegowanie go, kiedy był dzieckiem, i wdzieranie się w jego duszę, o kradzież forsy u stóp tęczy, o wyrzucenie go z domu. O to, że zmienił go w coś, czym mógłby nie zostać. O to, że robił z niego mężczyznę. O to, co ja-po-wiem-moim-przyjaciołom. O zerwanie z nim raz

na zawsze i o obraźliwe akty przebaczenia. O to, że ojciec uległ wierze w Allaha pod wpływem drugiej żony i poddał się bluźnierczemu uwielbieniu dla byłej małżonki. A przede wszystkim o to, że uprawiał magiczny lampizm, o to, że stał się otwórz-się-sezamistą. Ojcu wszystko przychodziło łatwo, urok osobisty, kobiety, bogactwo, władza, pozycja. Potarcie, pstryk, dzinn, życzenie, w tej chwili panie, hej presto. Był ojcem, który najpierw obiecał, a później odmówił, cudownej lampy.

* * *

Czangez, Zini, Wallabh i Kasturba pozostawali nieruchomi i milczący, póki Saladyn Czamcza nie zatrzymał się nagle, zakłopotany i cały czerwony na twarzy. — Tyle nienawiści w sercu po tak długim czasie — powiedział Czangez po chwili ciszy. — Jakież to smutne. Ćwierć wieku i syn w dalszym ciągu wypomina grzeszki przeszłości. O, mój synu. Musisz już przestać nosić mnie wszędzie na ramieniu jak papugę. Czym jestem? Skończonym. Nie jestem już twoim Starym Wilkiem Morskim. Spójrz prawdzie w oczy, mój panie: nie usprawiedliwię cię już więcej.

Saladyn Czamcza dojrzał przez okno czterdziestoletni orzech stojący w ogrodzie. — Zetnij go — powiedział ojcu. — Zetnij go, sprzedaj. Przyślij mi gotówkę.

Czaczawalla wstał i wyciągnął prawą dłoń. Zini, również powstając, pochwyciła ją jak tancerka przyjmująca bukiet kwiatów: w tej samej chwili Wallabh i Kasturba stali się znowu służącymi, jak gdyby zegar po cichutku wybił północ. — Pani książka — powiedział do Zini. — Mam coś, co chciałaby pani zobaczyć.

I we dwójkę wyszli z pokoju; bezsilny Saladyn po krótkiej próbie wykrztuszenia czegoś z siebie podążył za nimi rozdrażniony. — Skwaszona gębo — rzuciła Zini wesoło przez ramię. — No, popraw się, bądź dorosły.

Zbiory sztuki Czaczawalli, zgromadzone w Scandal Point, obejmowały dużą kolekcję legendarnych gobelinów o dziejach Hamzy, część szesnastowiecznej serii przedstawiającej sceny z życia bohatera, który był, albo i nie był tym, samym Hamzą, słynnym wujem Mahometa, któremu mieszkanka Mekki imieniem Hind wyjadła wątrobę, kiedy leżał martwy na pobojowisku pod Uhud. — Lubię te obrazy — powiedział Czangez Czaczawalla do Zini — ponieważ pozwala się tu bohaterowi ponieść klęskę. Proszę zobaczyć, jak często trzeba go ratować z kłopotów. — Obrazy te okazały się również wymownym dowodem na poparcie tezy Zini Wakil o eklektycznym, hybrydycznym charakterze hinduskiej tradycji artystycznej. Do pracy nad tymi malowidłami Mogołowie sprowadzili artystów z całych Indii; indywidualność każdego z nich została stopiona po to, aby stworzyć

wielogłowego Nad-artystę o wielu pędzlach, który dosłownie *sam był* hinduskim malowidłem. Jedna ręka malowała mozaikę podłóg, druga postaci, a trzecia typowo chińskie niebo z obłokami. Na odwrotnej stronie tkanin znajdowały się teksty poszczególnych opowiadań. Obrazy były pokazywane jak film w kinie: wystawiono je na widok, a ktoś czytał historię danego bohatera. Na tkaninach o dziejach Hamzy można było zauważyć, jak styl perskich miniatur miesza się ze stylem malowideł Karnataki i Kerali, można było dostrzec, jak muzułmańska i hinduska filozofia wypracowują swoją tak charakterystyczną późno-mogolską syntezę.

Tu jakiś olbrzym wpada w pułapkę, a jego prześladowcy przebijają mu włóczniami czoło. Tu znowu jakiś człowiek przecięty od czubka głowy po pachwinę, padając wciąż dzierży w dłoni swój miecz. Wszędzie przelana bulgocząca krew. Saladyn Czamcza opanował się całym wysiłkiem woli. — Ależ barbarzyństwo — oznajmił głośno swoim angielskim głosem. — Po prostu barbarzyńskie umiłowanie cierpienia.

Czangez Czamczawalla zignorował syna, oczy miał utkwione tylko w Zini, która odwzajemniła to spojrzenie. — Nasz rząd jest rządem filistrów, młoda damo, nieprawdaż? Ofiarowałem całą tę kolekcję za darmo, gratis, czy wiedziała pani o tym? Niech tylko znajdą dla niej odpowiednie pomieszczenia, niech zbudują specjalny budynek. Stan tych tkanin nie jest najlepszy, no i widzi pani. . . nie zrobią tego. Żadnego zainteresowania. A w tym samym czasie otrzymuję co miesiąc propozycje z Ameryki. Oferty wprost — wprost bajeczne! Nie uwierzyłaby pani. Ja nie sprzedaję. Nasze dziedzictwo, moja kochana, dzień po dniu USA zabierają je nam. Malowidła Ravi Varma, brązy z okresu Czandelów, witraże z Dżajsalmer. Wyprzedajemy siebie samych, prawda? Oni rzucają swój portfel na ziemię, a my klękamy u ich stóp. Nasze byki Nandi lądują w jakimś pawilonie wystawowym w Teksasie. Ale pani to wszystko wie. Wie pani, że India jest obecnie wolnym krajem. — Przerwał, ale Zini czekała: dalszy ciąg miał nastąpić. I nastąpił: — Któregoś dnia również i ja przyjmę dolary. Ale nie dla samej ich wartości. Dla przyjemności bycia kurwą. Przyjemność stania się niczym. Mniej niż niczym. — No i teraz, w końcu, prawdziwa burza, słowa za słowami *mniej niż niczym*. — Kiedy umrę — powiedział Czangez Czamczawalla do Zini — czym będę? Parą opuszczonych butów. Oto los, jaki on mi zgotował. Ten aktor. Ten oszust Zrobił z siebie naśladowcę ludzi, którzy nie istnieją. Nie mam nikogo, kto byłby moim następcą, komu mógłbym przekazać to, co zdobyłem. Oto jego zemsta: on kradnie mi moją potomność. — Uśmiechnął się, poklepał ją po ręce, zwolnił uścisk, oddając Zini pod opiekę syna. — Powiedziałem jej — zwrócił się do Saladyna. — Wciąż jeszcze nosisz za pazuchą pieczone kurczaki na wynos. Wypowiedziałem moją skargę. Teraz ona musi osądzić. Taka była umowa.

Zinat Wakil podeszła do starego mężczyzny ubranego w zbyt obszerny garnitur, położyła dłonie na jego policzkach i pocałowała go w usta.

* * *

Po zdradzie, której dopuściła się wobec niego Zinat w domu perwersji jego ojca, Saladyn Czamcza przestał się z nią widywać i nie reagował na wiadomości, jakie zostawiała dla niego w recepcji hotelowej. Wystawianie „Milionerki” powoli dobiegało końca: tournée również. Czas jechać do domu. Po przyjęciu pożegnalnym Czamcza postanowił pójść spać. W windzie jakaś młoda para, najwyraźniej w podróży poślubnej, słuchała muzyki z walkmanów. Mężczyzna zapytał półgłosem żonę: — Słuchaj, powiedz mi coś. Czy wciąż jeszcze czasami wydaję ci się obcą osobą? — Dziewczyna uśmiechnęła się czule i potrząsnęła głową, *nie słyszę*, zdjęła słuchawki. On powtórzył, uroczyście: — Obcą osobą, czy ja tobie wciąż jeszcze czasami się nie wydaję? — Ona, uśmiechając się, przytuliła na chwilę swój policzek do jego kościstego ramienia. — Raz czy dwa razy — odpowiedziała i z powrotem nałożyła słuchawki. Chłopiec zrobił to samo, najwyraźniej całkowicie zadowolony z odpowiedzi. Ich ciała znowu wpadły w rytm muzyki z taśmy. Czamcza wysiadł z windy. Na podłodze, oparta plecami o jego drzwi, siedziała Zini.

* * *

W pokoju naląła sobie dużą whisky z wodą sodową. — Zachowujesz się jak dziecko — powiedziała. — Powinieneś się wstydzić.

Tego popołudnia otrzymał paczkę od ojca. W środku był mały kawałek drewna i duża ilość banknotów, nie, nie rupii, lecz funtów szterlingów; popioły, że tak powiem, drzewa orzechowego. Czamcza był pełen nowych emocji, a ponieważ akurat pojawiła się Zinat, ona stała się celem ataku. — Myślisz sobie, że cię kocham? — zapytał ze świadomą zjadliwością. — Myślisz, że zostanę z tobą? Jestem żonaty.

— Nie chciałam, żebyś został ze względu na mnie — powiedziała. — Z jakiegoś powodu chciałam tego dla ciebie.

Kilka dni wcześniej poszedł do teatru, żeby zobaczyć hinduską adaptację opowiadania Sartre’a, którego tematem był wstyd. W wersji oryginalnej mąż podejrzewa żonę o niewierność i przygotowuje podstęp, żeby ją przyłapać na gorącym uczynku. Udaje, że wyjeżdża w delegację, ale wraca po kilku godzinach, żeby ją śledzić. Klęczy, zaglądając przez dziurkę od klucza we frontowych drzwiach. Nagle czuje, że ktoś stoi za nim. Odwraca się, nie wstając z kolan, i widzi ją, spoglądającą na niego z góry z nagłą nienawiścią i obrzydzeniem. Ta dramatycz-

na sytuacja, on klęczący, ona patrzy na niego z góry, to Sartrowski archetyp, lecz w wersji hinduskiej klęczący mąż nie wyczuł za sobą niczyjej obecności, został zaskoczony przez żonę; wstał, aby spojrzeć jej w twarz, mieli równe szanse; straszyl ją i krzyczał, aż w końcu zaczęła płakać, objął ją i pogodzili się.

— Mówisz, że powinienem się wstydzić — powiedział z goryczą Czamcza do Zinat. — Ty, która nie masz wstydu. W rzeczy samej może to być cecha narodowa. Zaczynam podejrzewać, że Hindusom brakuje moralnej subtelności, koniecznej dla prawdziwego znaczenia tragedii, w wyniku czego nie są w stanie tak naprawdę zrozumieć pojęcia wstydu.

Zinat Wakil dopiła whisky. — W porządku, nie musisz mówić już nic więcej. — Podniosła rękę. — Poddaję się. Odchodzę. Panie Saladynie Czamczo. Myślałam, że jeszcze tli się w tobie życie, choćby odrobina, że wciąż oddychasz, jednak myliłam się. Okazuje się, że byłeś cały czas martwy.

I jeszcze jedna rzecz, zanim przejdzie przez drzwi z oczyma wypełnionymi mlekiem. — Nie pozwól, aby ludzie zbliżali się zbyt do ciebie, Panie Saladynie. Jeśli pozwolisz im wedrzeć się do środka, skurwiele wbiją ci nóż prosto w serce.

Po tym nie było żadnego powodu, aby zostać. Samolot wzbił się w powietrze i przechylił w głębokim zakręcie nad miastem. Gdzieś tam, pod nim, jego ojciec przebierał służącą za swoją zmarłą żonę. Zmiana organizacji ruchu drogowego zakorkowała centrum miasta na dobre. Politycy próbowali robić karierę, biorąc udział w padjatrach, pieszych pielgrzymkach przez cały kraj. Napisy na murach głośiły: „Rada dla politicians. Jedyne kroki, jakie można zrobić: padjatra do piekła”. Albo też czasami: „Do Asamu”.

Aktorzy wplątywali się w politykę: MGR, N.T. Rama Rao, Bachchan. Durga Khote użalała się, że związek aktorów stał się „czerwonym frontem”. Saladyn Czamcza, lot numer 420, zamknął oczy; i poczuł z wielką ulgą jednoznaczne przesunięcia w gardle, a potem koniec tych sensacji, co wskazywało na to, że jego głos z własnej nieprzymuszonej woli zaczął powracać do swojej niezawodnej brytyjskiej natury.

Pierwszą niepokojącą rzeczą, jaka zdarzyła się panu Czamczy podczas lotu, było to, że wśród współpasażerów rozpoznał kobietę ze swoich snów.

Kobieta z jego snów była niższa i miała mniej wdzięku niż ta prawdziwa, ale kiedy Czamcza zobaczył ją, jak spokojnie spaceruje tam i z powrotem pomiędzy rzędami foteli na pokładzie *Bustana*, natychmiast przypomniał sobie ten koszmar senny. Po odejściu Zinat Wakil zapadł w niespokojny sen, nawiedziło go przeczucie: ujrzał terrorystkę, mówiła, a jej głos był przytłumiony, jego głębia i melodyjność sprawiały wrażenie szumu oceanu słyszanego z oddali. Ta kobieta z jego snu miała na sobie tak dużo materiałów wybuchowych, że właściwie nie tyle używała bomb, ile sama była bombą; kobieta spacerująca pomiędzy rzędami foteli miała na ręku niemowlę, które zdawało się spać bezgłośnie, niemowlę tak umiejętnie zawinięte w pieluszki i trzymane blisko piersi, że Czamcza nie mógł zobaczyć nawet pojedynczego loczka włosów noworodka. Pod wpływem snu, który przed chwilą sobie przypomniał, wyobraził sobie, że niemowlę jest w rzeczywistości wiązką lasek dynamitu lub jakimś tykającym urządzeniem i już miał krzyknąć głośno, opamiętał się jednak i surowo zbeształ samego siebie. To był dokładnie ten rodzaj bzdurnych przesądów, które chciał zostawić za sobą. Był przecież elegancko ubranym facetem w zapiętym garniturze, leciał do Londynu i do uporządkowanego i beztroskiego życia. Był elementem prawdziwego świata.

Podróżował sam, stroniąc od towarzystwa pozostałych członków trupy *Prospero Players*, którzy siedzieli w różnych miejscach kabiny turystycznej, wszyscy ubrani w koszulki z Kaczorem Donaldem, i próbowali wykręcać szyje jak tancerki natyjam, i wyglądali absurdalnie w swoich sari z Benaresu, i pili w nadmiarze tani szampan serwowany przez linie lotnicze i naprzykrzali się stewardesom, które traktowały ich ze skrywaną pogardą, ponieważ jako Hinduski rozumiały, że aktorzy to bezwartościowe osoby; krótko mówiąc, zachowywali się z typowym dla *Tespisa* brakiem umiaru. Kobieta z niemowlęciem patrzyła przez te blade twarze aktorów jak przez powietrze, nie zauważając ich, zmieniając je w pasemka dymu, pustynną fatamorganę, duchy. Dla człowieka takiego jak Saladyn Czamcza to poniżenie angielskości przez samych Anglików było sprawą zbyt bolesną, żeby w ogóle się nad nią zastanawiać. Skierował uwagę na swoją gazetę, w której akurat bombajską demonstrację kolejarzy rozpędzały policyjne ładunki *lathi*. Reporterowi tej gazety złamano rękę; jego aparat fotograficzny został rozbity. Policja ogłosiła „komunikat”: *Ani dziennikarz, ani żadna inna osoba nie została zaatakowana rozmyślnie*. Czamcza powoli zapadł w lotniczy sen. Miasto utraconych historii, ściętych drzew i nie zamierzonych ataków odeszło z jego myśli. Kiedy jakiś czas później otworzył oczy, czekała go druga z kolei niespodzianka w tej makabrycznej podróży. Jakiś mężczyzna przechodził koło niego w drodze do toalety. Był brodaty i nosił tanie ciemne okulary, lecz mimo to Czamcza rozpoznał go: oto tutaj podróżował incognito w klasie turystycznej, lot *AI-420* zaginiony supergwiazdor, żyjąca legenda, Gibril Fariszta we własnej osobie.

— Dobrze się spało? — Zorientował się, że pytanie to zostało skierowane do niego i odwrócił głowę od zjawy wielkiego aktora filmowego, zobaczył coś równie niespotykanego, obok siedział nieprawdopodobnie dziwny Amerykanin w czapce baseballowej, w okularach w drucianej oprawie, w jaskrawozielonej koszulce, na której wiły się splecione ze sobą dwa złociste chińskie smoki. Czamcza początkowo starał się go nie zauważać, usiłując owinąć się w kokon prywatności, ale prywatność nie była już możliwa.

— Eugene Doomsday, do usług. — Człowiek-smok wysunął dużą czerwoną rękę. — Do usług pańskich i straży chrześcijańskiej.

Na wpuł śpiący Czamcza potrząsnął głową. — Jest pan wojskowym?

— He, He! Tak, szanowny panie, można by tak powiedzieć. Pokorny piechur, szanowny panie, w armii Straży Wszchemocnego. — *Och, wszchemocnego*, straży, dlaczego nie powiedział od razu. — Jestem człowiekiem nauki, mój panie, i moją misją, moją misją i proszę pozwolić mi dodać, moim zaszczytem było odwiedzenie pańskiego wielkiego narodu i wydanie bitwy najbardziej szkodliwemu diabelstwu, jakie kiedykolwiek opanowało mózgi ludzkie.

— Nie rozumiem.

Doomsday obniżył głos. — Małpie brednie. Darwinizm. Ewolucyjne herezje pana Karola Darwina.

Ton jego głosu nie pozostawiał żadnych wątpliwości co do tego, że nazwisko udręczonego pobożnego Darwina było mu równie wstrętne, jak każde należące do jakiegokolwiek innego diabła o rozwidlonym ogonie, Belzebuba, Asmodeusza czy samego Lucyfera. — Ostrzegałem pańskich rodaków — zwierzał się Doomsday — przed panem Darwinem i jego dziełami. Wykorzystując pięćdziesiąt siedem slajdów podczas swojego wystąpienia. Całkiem niedawno, szanowny panie, na bankiecie z okazji Dnia Zrozumienia Świata w Klubie Rotariańskim w Cochinchin, w stanie Kerala. Mówiłem o moim młodym kraju, o jego młodych ludziach. Widzę, że są zagubieni, proszę pana. Młodzi ludzie Ameryki: widzę ich pogrążonych w rozpacz, zwracających się ku narkotynom, a nawet, powiem, bo mówię bez owijania w bawełnę, ku przedmałżeńskim stosunkom seksualnym. I tak jak powiedziałem to wtedy, powiem teraz panu. Gdybym uwierzył, że mój pradziadek był szympansem, och, sam byłbym przygnębiony.

Gibril Fariszta siedział po drugiej stronie przejścia i patrzył przez okno. Lada moment miał się zacząć film i światła w samolocie przygasły. Kobieta z niemowlęciem wciąż chodziła tam i z powrotem, być może po to, by dziecko nie płakało. — I jak wypadło pana wystąpienie? — zapytał Czamcza, czując, że domagano się od niego uczestnictwa w rozmowie.

Jego sąsiad zawahał się. — Podejrzewam, że była jakaś awaria w nagłośnieniu — powiedział w końcu. — Chyba to najlepiej wyjaśnia sytuację. Nie rozumiem, jak ci wszyscy dobrzy ludzie mogliby rozmawiać ze sobą, nie będąc przekonani, że już skończyłem.

Czamacza poczuł się nieco zawstydzony. Sądził na początku rozmowy, że w kraju żarliwych wiernych teza, iż nauka jest wrogiem Boga, będzie łatwo przyjęta; lecz znudzenie Rotarianów z Cochin uświadomiło mu przykrą prawdę. Przy migoczącym świetle filmu *Doomsday* głosem niewinnego baranka ciągnął opowieści przeciwko sobie, zupełnie nieświadom tego, co robi. Pod koniec przejażdżki wokół wspaniałego naturalnego portu w Cochin, do którego przed wiekami przybył Vasco da Gama w poszukiwaniu przypraw korzennych i w ten sposób rozpoczął całą tę wieloznaczną wschodnio-zachodnią historię, został zaczepiony przez urwisa powtarzającego co chwilę swoje psst i hey-mister-okay. — Hej tam ty! Chcesz haszysz, sahib? Hej, panieamerykański. Tak, wujusamie, o pana chodzi, chce pan opium? Najlepsza jakość, najwyższa cena? Okay, no to chce pan *kokainę*?

Nie mogąc się opanować, Saladyn zachichotał. Cała historia wydała mu się zemstą Darwina: no bo jeżeli *Doomsday* uważał, że biedny, sztywny wiktorianin Karol jest odpowiedzialny za amerykański kult narkotyków, to cudownie zatem byłoby zobaczyć obu przeciwników, stojących na dwóch krańcach globu, w ich iście etycznej wojnie. Na przykład *Doomsday* spogląda na Darwina, jego wzrok przepełniony jest bólem i chęcią prawienia morałów. Ciężki jest los podróżującego Amerykanina — nie może się dziwić, że go nie lubią.

Po tym odruchowym chichocie, jaki wymknął się z ust Saladyna, obrażony i ponury *Doomsday* zapadał w drzemkę, pozostawiając Czamaczę własnym myślom. Czy należy uważać filmy wyświetlane w czasie lotów za szczególnie ohydny, przypadkową mutację formy, która w końcu zostanie wyeliminowana w drodze doboru naturalnego, czy też są one przyszłością kina? Przyszłość zwariowanych, głupawych komedii, niezmiennie obsadzanych przez takie gwiazdy jak Shelley Long i Chevy Chase, była zbyt odrażająca, by ją brać na serio: była to wizja Piekła... Czamacza zapadał w sen, kiedy światła kabiny zapaliły się; film został przerwany; iluzję ekranu zastąpiła iluzja obserwatorów wiadomości telewizyjnych, cztery krzyczące uzbrojone postacie wbiegły w przejście pomiędzy fotelami.

* * *

Pasażerów przetrzymywano na pokładzie porwanego samolotu sto jedenaście dni, pozostawiono ich samych sobie na błyszczącym pasie startowym, wokół którego rozbijały się wielkie piaszczyste fale pustyni, ponieważ kiedy już czworo porywaczy, trzech mężczyzn jedna kobieta, zmusiło pilota do wylądowania, nikt nie był w stanie zdecydować, co dalej z nimi począć. Nie wylądowali na lotni-

sku międzynarodowym, lecz na szalenie absurdalnym pasie startowym dla olbrzymich odrzutowców, zbudowanym dla przyjemności miejscowego szejka, tuż przy ulubionej oazie, do której prowadziła również sześciopasmowa autostrada, bardzo popularna wśród młodych ludzi wolnego stanu, przemierzających powoli w swoich wozach jej niezmierną pustkę i puszcujących do siebie oczka przez szyby... Jednak po wylądowaniu 420 autostradę wypełniły opancerzone wozy, transportery, limuzyny z trzepoczącymi flagami. I kiedy tak dyplomaci dyskutowali nad losem samolotu, szturmować czy nie szturmować, kiedy próbowali podjąć decyzję, czy ustąpić, czy też przyjąć zdecydowaną postawę kosztem życia innych ludzi, wielka cisza zapanowała wokół liniowca, a wkrótce zaczęły się miraże.

Na początku przepływało przed oczyma samo wydarzenie, kwartet porywaczy, pełen elektryczności, nerwowy, gotowy strzelać przy każdej okazji i bez niej. To są właśnie najgorsze chwile, myślał Czamcza, podczas gdy dzieci krzyczały, a strach rozprzestrzeniał się jak plama, mogli nas wszystkich wykończyć. Kontrolowali wówczas sytuację, trzech mężczyźni jedna kobieta, wszyscy wysocy, bez masek, wszyscy przystojni, byli też aktorami, teraz byli gwiazdami, gwiazdami wschodzącymi lub spadającymi, i mieli swoje pseudonimy sceniczne. Dara Singh Buta Singh Man Singh. Kobieta zwała się Tavlin. Ta z jego snu była anonimowa, jak gdyby śpiąca wyobraźnia Czamczy nie miała czasu na pseudonimy; podobnie jak tamta. Tavlin mówiła z kanadyjskim akcentem, z wygładzonymi krawędziami fraz, no i z tą zaokrągloną samogłoską „o”, która ją zdradzała. Po wylądowaniu w oazie Al-Zamzam stało się oczywiście dla pasażerów, którzy obserwowali panów swojego życia i śmierci z tą samą obsesyjną uwagą, z jaką przykuta do ziemi przerażona mangusta spogląda na kobrę, że w urodzie tych trzech mężczyzn było sporo pozerstwa, jakiegoś amatorskiego zamiłowania do ryzyka i śmierci, powodującego, że często pojawiali się w otwartych drzwiach samolotu i ostentacyjnie wystawiali się na cel zawodowym strzelcom wyborowym, którzy z pewnością ukrywali się za drzewami palm oazy. Kobieta trzymała się z dala od takich popisów bezmyślności i wydawało się, że z trudnością powstrzymywała się od zbesztania swoich trzech kolegów. Wydawało się również, że jest obojętna na swoją urodę, przez co była najgroźniejsza z całej czwórki. Saladyn Czamcza odniósł wrażenie, że ci młodzi mężczyźni są zbyt delikatni, zbyt rozmiłowani w sobie, żeby splamić ręce krwią. Zabijanie przyjdzie im z trudem; są tutaj po to, żeby pokazywała ich telewizja. Lecz Tavlin była tu po to, żeby załatwić konkretną sprawę. Wciąż ją obserwował. Ci mężczyźni nie *wiedzą*, przyszło mu na myśl. Oni chcą zachowywać się tak jak porywacze, których oglądali w kinie i telewizji; są rzeczywistością nieudolnie naśladowującą prymitywny obraz samej siebie, są robakami połykającymi własne ogony. Lecz ona, kobieta, *wie*... i gdy Dara, Buta, Man Singh poruszali się dumnie jak pawie i zachowywali arogancko, ją cechował spokój, wzrok miała skupiony i ona właśnie przerażała pasażerów.

Czego żądali? Niczego nowego. Niepodległej ojczyzny, wolności wyznania, zwolnienia więźniów politycznych, sprawiedliwości, okupu i zapewnienia bezpieczeństwa osobistego podczas przejazdu do wybranego przez nich kraju. Wielu pasażerów zaczęło solidaryzować się z nimi, mimo że nieustannie groziła im egzekucja. Kiedy żyje się w dwudziestym wieku, łatwo jest utożsamić się z tymi, bardziej zdesperowanymi niż my sami, którzy dążą do kształtowania naszych czasów zgodnie z własną wolą.

Po wylądowaniu porywacze zwolnili część pasażerów, zatrzymując pięćdziesięciu z nich, najwyraźniej doszedłszy do wniosku, że tylko tylu, mogą spokojnie nadzorować. Kobiety, dzieci, Sikhowie — wszystkich zwolniono. Okazało się, że Saladyn Czamcza był jedynym członkiem grupy teatralnej Prospero Players, który nie odzyskał wolności; stwierdził ze zdumieniem, że powoli poddaje się przewrotnej logice sytuacji i zamiast denerwować się tym, że go zatrzymano, cieszył się, widząc plecy odchodzących kolegów, którzy tak fatalnie zachowywali się poprzednio; a niechże sobie idą te śmiecie, pomyślał.

Naukowiec kreacjonista Eugene Doomsday nie mógł znieść myśli, że porywacze wcale nie zamierzają go zwolnić. Wstał i zachwiał się z powodu swojego wysokiego wzrostu — był zupełnie jak drapacz chmur podczas huraganu; wykrzykiwał histerycznie chaotyczne słowa. Z kącika ust kapała mu ślina; gwałtownie zlizął ją językiem. *Hej, wy tam, dosyć tego, skurwiele, cholera, jak mówię dosyć to DOSYĆ, kto dał wam prawo, skąd wam do głowy przyszło, że możecie* i tak dalej, nie przebudziwszy się jeszcze na dobre, wciąż gadał od rzeczy, aż ktoś z czwórki porywaczy, oczywiście była to kobieta, podszedł, machnął kolbą karabinu i złamał jego kłapiącą szczękę. Gorzej nawet: ponieważ szczęka śliniacego się Doomsdaya gwałtownie zatrasnęła się akurat w chwili, kiedy oblizywał sobie wargi, odcięła mu koniec języka, który wylądował na kolanach Saladyna Czamczy; zaraz potem znalazł się tam były właściciel. Nieprzytomny bezjęzyczny Eugene Doomsday wpadł w ramiona aktora.

Eugene Doomsday odzyskał wolność przez utratę języka; perswadującemu udało się wywalczyć wolność poprzez utratę narzędzia perswazji. Nie chcieli zajmować się rannym człowiekiem, niebezpieczeństwo gangreny i tak dalej, więc dołączył do exodusu z samolotu. W tych pierwszych zwariowanych godzinach umysł Saladyna Czamczy wciąż dręczyły pytania o szczegóły, czy są to karabiny automatyczne, czy też pistolety maszynowe, jak udało im się przemycić tyle żelastwa na pokład samolotu, w które części ciała można zostać postrzelonym, żeby udało się przeżyć, jak prerażeni muszą być oni, ta czwórka, jak bardzo zaabsorbowani własną śmiercią... po odejściu Doomsdaya liczył na to, że będzie siedział sam, lecz jakiś człowiek podszedł i usiadł na miejscu kreacjonisty, mówiąc, nie ma pan chyba nic przeciwko, jar, w takich warunkach facet potrzebuje towarzystwa. Była to gwiazda filmowa, Gibril.

* * *

Po tych pierwszych nerwowych dniach na ziemi, podczas których trzech młodych porywaczy w turbanach znajdowało się niebezpiecznie blisko krawędzi szaleństwa, wrzeszcząc w pustynną noc *wy skurwiele, chodźcie no tu i weźcie nas*, albo też, *o boże boże przyślą tu tych pierdolonych komandosów, wypierdolonych Amerykanów, jar, odpierdolonych Brytyjczyków* — były to chwile, kiedy pozostali zakładnicy zamykali oczy i modlili się, ponieważ zawsze najbardziej obawiali się oznak słabości u porywaczy — później wszystko się ustabilizowało i zaczęło się coś, co można by nazwać normalnością. Dwa razy dziennie samotny pojazd przywoził jedzenie i picie pod *Bustana* i zostawiał je na asfalcie. Zakładnicy pod baczny okiem porywaczy siedzących bezpiecznie w maszynie musieli wносить kartony do samolotu. Poza tymi codziennymi wizytami nie było żadnego kontaktu ze światem zewnętrznym. Radio umilkło na dobre. Sprawiało to takie wrażenie, jak gdyby cały incydent został zapomniany, jak gdyby był na tyle kłopotliwy, że po prostu wymazano go z oficjalnych dokumentów. — Skurwiele zostawili nas tu, żebyśmy zgnili — wrzeszczał Man Singh, a zakładnicy przyłączyli się z zapalem. — Eunuchy! Alfonsy! Zasrańcy!

Owionęła ich atmosfera spiekoty i ciszy i teraz w ich oczach zaczęły migotać upiory i zjawy. Najbardziej nerwowy z zakładników, młody mężczyzna o krótko przyciętych kręconych włosach i koziej bródce, obudził się o świcie, krzycząc z przerażenia, ponieważ zobaczył szkielet jadący przez wydmy na wielbłądzie. Inni zakładnicy widzieli kolorowe kule zawieszane na niebie albo też słyszeli trzepot gigantycznych skrzydeł. Trzej porywacze pogrążyli się w bardzo ponurym, fatalistycznym nastroju. Któregoś dnia Tavlin wezwała ich na naradę w odległym końcu samolotu; zakładnicy słyszeli wściekłe głosy. — Ona im mówi, że muszą przedstawić ultimatum — powiedział Gibril Fariszta do Czamczy. — Jeden z nas musi umrzeć lub coś takiego. — Lecz kiedy mężczyźni wrócili, Tavlin nie było z nimi i do przygnębienia widocznego w ich oczach dołączył jeszcze wstyd. — Stracili odwagę — wyszeptał Gibril. — Nie mogą nic zrobić. I co teraz pozostało naszej Tavlin bibi? Zero. Koniec gadki.

A oto, co ona zrobiła:

Aby udowodnić swoim jeńcom, a także współtowarzyszom, że myśl o kłęsce czy też o poddaniu się nigdy nie osłabi jej zdecydowania, wyszła ze swojego tymczasowego schronienia w barze koktajlowym pierwszej klasy i stanęła przed nimi jak stewardesa demonstrująca sposoby postępowania w krytycznej sytuacji. Ale zamiast włożyć kamizelkę ratunkową, przytrzymać gwizdek sygnalizacyjny itd, nagłym ruchem zdjęła z siebie czarną dzellabę, jedyną odzież, którą miała na sobie, i stanęła przed nimi zupełnie naga, po to, aby wszyscy mogli zobaczyć cały

arsenał jej ciała, granaty jak dodatkowe piersi usadowione w dekolcie, nitroglicerynowy materiał wybuchowy przymocowany taśmą do ud, dokładnie tak, jak widział to Czamcza w swoim śnie. Następnie włożyła z powrotem ubranie i przemówiła swoim głosem cichym jak szmer oceanu. — Kiedy wielka idea przychodzi na świat, wielka sprawa, zadaje się wtedy zasadnicze pytania — mówiła półgłosem. — Historia pyta nas: jaki rodzaj sprawy reprezentujemy? Czy jesteśmy bezkompromisowi, bezwzględni, silni, czy też okazemy się oportunistami, którzy idą na kompromis, lawirują i poddają się? — Jej ciało udzieliło odpowiedzi.

Dni wciąż mijały. Ograniczone i wrzące okoliczności jego niewoli, od razu intymność i dystans, sprowokowały w Saladynie Czamczy chęć dyskusowania z kobietą, nieugiętość może być również monomanią, chciał powiedzieć, nawet tyranią i również może być krucha, natomiast to, co elastyczne, może być również ludzkie i wystarczająco silne, by przetrwało. Ale oczywiście nie powiedział nic, bo popadł w obojętność tych dni. Gibril Fariszta odkrył w kieszeni fotela broszurkę napisaną przez nieobecnego już Doomsdaya. Do tego czasu Czamcza zdążył zauważyć stanowczość, z jaką gwiazdor filmowy odpiera ataki snu, nie dziwił się więc, kiedy zobaczył, że ten recytuje i uczy się na pamięć linijek z ulotki kreationisty, podczas gdy jego i tak już ciężkie powieki opadają coraz niżej, póki nie zmusi ich, aby ponownie otworzyły się szeroko. Broszurka dowodziła, że nawet naukowcy pracowicie wymyślają Boga na nowo, że skoro już udowodnią istnienie pojedynczej jednolitej mocy, wobec której elektromagnetyzm, grawitacja, silne i słabe oddziaływania nowej fizyki były jedynie aspektami, awatarami, można by powiedzieć, lub aniołami, wówczas co by nam zostało, jeśli nie najstarsza ze wszystkich rzeczy, najwyższa istota rządząca całym stworzeniem. . . — Rozumiesz, nasz przyjaciel mówi, że jeżeli musiałbyś wybrać między jakimś rodzajem pola siłowego pozbawionego ciała a rzeczywiście żywym Bogiem, na co byś się zdecydował? Trafne, nie? Nie można modlić się do prądu elektrycznego. Nie ma sensu pytać czegoś w kształcie fali o klucz do Raju. — Zaniknął oczy, a później nagle otworzył ponownie. — Ależ to cholerne banialuki — powiedział gwałtownie. — Rzygać mi się chce.

Po kilku dniach Czamcza przestał zwracać uwagę na przykry oddech Gibrila, ponieważ w tym świecie potu i strachu nikt lepiej nie pachniał. Nie sposób było jednak zignorować jego twarzy, na której powstałe z bezsenności wielkie sine obwódki dookoła oczu rozprzestrzeniały się jak plamy ropy naftowej. W końcu jego odporność wyczerpała się, padł na ramię Saladyna i spał przez cztery dni, nie budząc się ani razu.

Kiedy wreszcie oprzytomniał, stwierdził, że Czamcza przy pomocy niepozornego zakładnika z kozią bródką, niejakiego Jalandriego, przeniósł go do pustego rzędu foteli w środkowej części samolotu. Poszedł do toalety, gdzie przez jedenaście minut oddawał mocz, i kiedy wrócił, w jego oczach widniało prawdziwe przerażenie. Usiadł znowu koło Czamczy, ale nie odezwał się ani słowem. Dwie

noce później Czamcza ponownie usłyszał, że Gibril walczy z atakiem snu. Albo też, jak się okazało, z atakiem koszmarów.

— Dziesiątym co do wysokości szczytem na świecie — Czamcza usłyszał go recytującego półgłosem — jest Shisha Pangma, osiem zero jeden trzy metry. Annapurna, dziewiąty, osiem tysięcy siedemdziesiąt osiem. — Albo też zaczynał z drugiego końca: — Jeden, Czomolungma, osiem osiem cztery osiem. Dwa, K2, osiem tysięcy sześćset jedenaście. Kanczendzanga, osiem tysięcy pięćset dziewięćdziesiąt osiem. Makalu, Dhaulagiri, Manaslu. Nanga Parbat, metrów osiem tysięcy sto dwadzieścia sześć.

— Liczysz ośmiotysięczniki, żeby zasnąć? — zapytał go Czamcza. — Większe co prawda od baranów, ale nie tak liczne.

Gibril Farisza rzucił mu piorunujące spojrzenie; następnie pochylił głowę; powziął pewną decyzję. — Nie po to, żeby zasnąć przyjacielu. Żeby nie spać.

* * *

I właśnie wtedy Saladyn Czamcza dowiedział się, dlaczego Gibril Farisza zaczął obawiać się snu. Wszyscy potrzebują kogoś, do kogo mogliby otworzyć usta, a Gibril z nikim jeszcze nie rozmawiał o tym, co się stało po zjedzeniu przez niego nieczystych świń. Sny rozpoczęły się jeszcze tej samej nocy. Gibril pojawiał się zawsze w tych wizjach, ale nie we własnej osobie, lecz jako swój imiennik, i nie mam tu na myśli interpretacji czyjejś roli, Spoono, ja jestem nim, on jest mną, jestem tym cholernym archaniołem, samym Gibrilem we własnej pieprzonej osobie.

Spoonno. Podobnie jak Zinat Wakil, równie Gibrila rozśmieszyło skrócone nazwisko i imię Saladyna. — Bhai, ho, ho. Ależ mnie to bawi, naprawdę. Wyc można. Więc jeżeli jesteś angielskim *chamchą*, niech sobie tak będzie. Pan Sally Spoon. To będzie taki nasz mały żarcik. — Gibril Farisza miał taki specjalny dar niezauważania, że doprowadza ludzi do furii. *Spoon, Spoonno, mój stary Czamcz*: Saladyn nienawidził ich wszystkich. Nic nie mógł zrobić. Tylko nienawidzić.

Być może z powodu tych przezwisk, a może i nie, rewelacje Gibrila wydały się Saladynowi żałosne i rozczarowały go, cóż w tym dziwnego, że sny Gibrila przedstawiały go jako anioła, przecież sny potrafią wyczyniać wszelkie piekielne sztuczki, czy były czymś więcej niż tylko banalnym rodzajem egomanii? Lecz Gibril spociał się ze strachu. — Chodzi o to, Spoono — argumentował — że ilekroć zasypiam, sen zaczyna się od tego miejsca, gdzie przedtem się zatrzymał. Ten sam sen, w tym samym miejscu. Zupełnie jak gdyby ktoś zatrzymywał magnetowid, kiedy wychodzę z pokoju. Albo, albo. Jak gdyby to on był tym facetem, który

czuwa, a to tutaj, to cholerna zmora senna. Jego cholerny sen: my. Tutaj. Wszystko to. — Czamcza utkwiał w nim wzrok. — Wariactwo, tak — powiedział Gibril. — Kto wie, czy aniołowie w ogóle śpią, co dopiero mówić o snach. Mówię jak wariat. Mam rację czy nie?

— Tak. Mówisz jak wariat.

— To wobec tego, do diabła — wyjęczał — co dzieje się w mojej głowie?

* * *

Im dłużej nie spał, tym bardziej robił się rozmowny, zaczął zanudzać zakładników, porywaczy, jak również znajdującą się w opłakanym stanie załogę lotu 420, te uprzednio pełne pogardy stewardesy i olśniewający personel z kabiny pilotów, którzy teraz tkwiąc w kącie wyglądali żałośnie staro i nawet stracili swój wcześniejszy entuzjizm dla nigdy nie kończących się partyjek gry w remika — swoimi coraz bardziej ekscentrycznymi teoriami reinkarnacji, porównując ich pobyt na tym kawałku pasa startowego przy oazie Al-Zamzam do drugiego etapu ciąży, mówiąc wszystkim, że w oczach świata są już martwi i w trakcie procesu regeneracji powstają na nowo. Wydawało się, że ta idea napełniała go niewielką otuchą, mimo że z jej powodu wielu zakładników chciało go powiesić, wskoczył więc na fotel, żeby wyjaśnić, że dzień ich uwolnienia będzie jednocześnie dniem ich powtórnych narodzin, tchnienie optymizmu, które uspokoiło jego słuchaczy. — Dziwne, lecz prawdziwe! — wykrzyknął. — Będzie to dzień zero, a ponieważ wszyscy będziemy mieli wspólny dzień narodzin, poczynając od tegoż dnia wszyscy będziemy w jednakowym wieku, do końca życia. Jak to się nazywa, kiedy pięćdziesiąt dzieciaków wychodzi z tej samej matki? Bóg jeden wie, Pięćdziesięcioraczki. Niech to diabli!

Dla rozszalałego Gibrila reinkarnacja była słowem, pod osłoną którego stłoczyło się wiele pojęć, jak w wieży Babel: feniks z popiołów, zmartwychwstanie Chrystusa, wędrówka w chwili śmierci duszy Dalaj Lamy do ciała nowo narodzonego dziecka... sprawy tego rodzaju przemieszały się z awatarami Wisznu, metamorfozami Jowisza, który naśladował Wisznu, przyjmując postać byka; i tak dalej, oczywiście łącznie z przechodzeniem istot ludzkich przez kolejne cykle życia, raz jako karaluchy, to znowu jako królowie, ku błogostanowi ostatecznego wcielenia. *Aby ponownie się narodzić, najpierw musisz umrzeć.* Czamcza nie miał ochoty protestować, że w większości przykładów, jakie Gibril przytoczył w swoich monologach, metamorfoza nie wymagała śmierci; do nowego ciała wchodziło się przez inne bramy. Gibril w pełnym locie, z ramionami poruszającymi się jak władcze skrzydła, nie znosił przerywania. — Stare musi umrzeć, jeśli pojmujecie,

o co chodzi, inaczej nowe nie może być czymkolwiek.

Czasami tyrady te kończyły się łzami. Fariszta wyczerpany poza granice wyczerpania tracił panowanie nad sobą i szlochając kładł głowę na ramieniu Czamczy, a Saladyn — długi pobyt w niewoli niszczy pewną wzajemną niechęć — gładził go po twarzy i całował w czubek głowy, dobrze już, dobrze. Kiedy indziej złość brała górę. Kiedy Fariszta po raz siódmy już powołał się na stary kasztan Gramskiego, Saladyn wykrzyknął niezadowolony, być może to się właśnie tobie przytrafia, ty krzykaczu, twoje stare ja w tej chwili umiera, a ten twój wymarzony anioł próbuje narodzić się w twoim ciele.

* * *

— Chcesz usłyszeć coś naprawdę zwariowanego? — Po stu jeden dniach Gibril dalej zwierzał się Czamczy. — Chcesz wiedzieć, dlaczego tu jestem? — I nie czekając na odpowiedź, powiedział mu: — Z powodu kobiety. Tak, szefie. Dla tej cholernej miłości mojego cholernego życia. Z którą spędziłem w sumie trzy i pięć dziesiątych dnia życia. Czy nie dowodzi to, że naprawdę brakuje mi piątej klepki? Co należało udowodnić, Spoono. Stary Czamczu.

Oraz: — Jak ci to wyjaśnić? Trzy i pół dnia tego, jak wiele czasu potrzeba, żebyś zrozumiał, że stała się ta najlepsza rzecz, najgłębsza rzecz, to-na-pewno-musi-być-to? Przysięgam: kiedy ją całowałem, pojawiły się te pierdolone iskry, jar, wierz albo nie wierz, ona powiedziała, że dywan był naelektryzowany, ale przecież nie raz całowałem dziewczyny w pokojach hotelowych, to był stanowczo pierwszy, stanowczo pierwszy-i-jedyny. Cholerne wstrząsy elektryczne, człowieku, musiałem odskakiwać z bólu.

Brakowało mu stów, by ją opisać, swoją kobietę górskich lodowców, aby opisać tę chwilę, kiedy życie leżało w kawałkach u jego stóp, a ona stała się tego życia znaczeniem. — Nie rozumiesz — zaniechał wyjaśnień. — Być może nigdy nie spotkałeś osoby, dla której poszedłbyś na koniec świata, dla której zostawiłbyś wszystko, wyszedł z domu i wsiadł do samolotu. Ona weszła na Everest, człowieku. Ponad osiem tysięcy metrów, a może osiem osiem cztery osiem. Aż na sam szczyt. Myślisz, że dla takiej kobiety nie mogę wsiąść do samolotu?

Im usilniej Gibril Fariszta usiłował wyjaśnić swoją obsesję na punkcie himalaistki Allelui Cone, tym bardziej Saladyn starał się wywołać w pamięci obraz Pamelii, ale ta nie chciała przyjść. Na początku pojawiła się Zini, jej cień, a następnie po pewnym czasie nie było zupełnie nikogo. Żarliwość Gibrila złościła Czamczę i frustrowała, doprowadzając go do szaleństwa. Lecz Fariszta nie zauważył tego, poklepał go po plecach, *głowa do góry, Spoono, to nie potrwa długo.*

* * *

Sto dziesiątego dnia Tavlin podeszła do niskiego zakładnika z kozią bródką, Jalandriego, i kiwnęła na niego palcem. Nasza cierpliwość została wyczerpana, ogłosiła, wielokrotnie wysyłałiśmy nasze żądania — bez jakiegokolwiek odpowiedzi — czas na pierwszą ofiarę. Użyła tego właśnie słowa: ofiara. Spojrzała Jalandriemu prosto w oczy i wydała na niego wyrok śmierci.

— Ty pierwszy. Apostato zdrajco skurwysynie. — Rozkazała załodze przygotować się do startu, nie chciała sprowokować ataku na samolot po egzekucji i lufą pistoletu popchnęła Jalandriego w stronę otwartych przednich drzwi, podczas gdy ten krzyczał i błagał o litość. — Ależ ona ma bystre oczy — powiedział Gibril do Czamczy. — To jest obcięty Sardar. — Jalandri był pierwszą ofiarą, ponieważ przestał nosić turban i obciął włosy, stając się w ten sposób odstępca od swojej wiary, ostrzyżony Sardar-dzi. *Obcięty Sardar*. Trzynastoliterowy wyrok; bez odwołania.

Jalandri upadł na kolana, na jego spodniach rozprzestrzeniły się plamy, ciągnęła go za włosy do samych drzwi. Nikt się nie ruszył. Dara Buta Man Singh odwrócili się od tej dramatycznej sceny. Klęczał teraz tyłem do otwartych drzwi; zmusiła go, by się odwrócił, strzeliła w tył głowy, a on zwałił się na asfalt. Tavlin zatrzaskała drzwi.

Man Singh, najmłodszy i najbardziej nerwowy z całej czwórki, krzyknął do niej: — A teraz dokąd? Gdziekolwiek cholera przylecimy, na pewno wyślą na nas komandosów. Teraz to już po nas.

— Męczeństwo jest przywilejem — powiedziała łagodnie. — Będziemy jak gwiazdy; jak słońce.

* * *

Zniknął piasek, pojawił się śnieg. Europa zimą, pod białym przeobrażającym wszystko dywanem, upiorną bielą, która świeci w ciemnościach nocy. Alpy, Francja, wybrzeże Anglii, białe klify wznoszące się ku pobielonym łąkom. Pan Saladyń Czamcza wcisnął na głowę melonik w oczekiwaniu na dalszy bieg wydarzeń. Świat ponownie odkrył istnienie lotu 420, samolotu Boeing 747 *Bustan*. Wyśledził go radar; trzeszczały komunikaty radiowe. „Czy chcecie pozwolenie na lądowanie?”. Ale nie proszono o żadne zezwolenie. *Bustan* krążył nad brzegami Anglii jak gigantyczny ptak morski. Mewa. Albatros. Wskaźniki paliwa opadały: do zera.

Kiedy wywiązała się walka, zaskoczyło to wszystkich pasażerów, ponieważ

tym razem trzej porywacze nie dyskutowali z Tavlin, nie było już żadnych głośnych szeptów o *paliwie*, o tym *co ty, kurwa, robisz*, ale niemy bunt, nie chcieli nawet ze sobą rozmawiać, jak gdyby przestali mieć jakąkolwiek nadzieję i wówczas Man Singh załamał się i rzucił na nią. Zakładnicy przyglądali się tej walce na śmierć i życie, niezdolni zrozumieć, że ona dotyczy również ich, ponieważ w samolocie panowało uczucie dziwnego oderwania od rzeczywistości, pewien rodzaj przekonania o przypadkowości zdarzeń, jakiś fatalizm, można by powiedzieć. Upadli na podłogę i jej nóż przeszył jego brzuch. To wszystko, a krótkotrwałość zajścia podkreśliła jego pozorną błahość. A następnie, kiedy wstała, wyglądało to tak, jak gdyby wszyscy się przebudzili i stało się dla nich jasne, że ona zamierza doprowadzić sprawę do końca, trzymała w ręce przewód, który łączył pod suknią wszystkie zawleczki wszystkich granatów, wszystkie te śmiertelne piersi i mimo że w tym momencie Buta i Dara skoczyli ku niej, udało się jej szarpnąć za przewód i ściany runęły.

Nie, nie śmierć: narodziny.

II

Mahound

Gibril, kiedy poddaje się temu, co nieuchronne, kiedy z ociężałymi powiekami stacza się ku wizjom swojego aniołowania, przechodzi obok kochającej matki, która ma dla niego inne imię, nazywa go Szejtan, co brzmi tak samo jak Szejtan, to samo przeciw temu samemu, ponieważ biega jak głupi z lekkimi posiłkami, by dostarczyć je urzędnikom w porze lunchu, psotny chochlik, matka przecina ręką powietrze, łobuz przekłada przeznaczone dla muzułmanów dania mięsne na tace gońców przewożących obiady dla Hindusów-niewegetarianów, klienci są oburzeni. Ty mały diable, beszta go, ale zaraz potem bierze w ramiona, mój mały fariszta, chłopcy zawsze będą chłopcami, on zapada w sen, obok niej, powiększając się w miarę zapadania, i zaczyna odczuwać zapadanie jako lot, głos matki dobiega go z daleka, baba, ależ ty urosłeś, *ogromysznie*, ho-ho, oklaski. Jest teraz gigantyczny, bez skrzydeł, jego nogi stoją na linii horyzontu, ręce splecione wokół słońca. W swoich pierwszych snach widzi początki, Szejtana zrzuconego z nieba, usiłującego chwycić gałąź wyrastającą z najwyższej Rzeczy, drzewo lotosu, najdalszy kraniec stojący pod Tronem, Szejtana przegrywającego, spadającego jak kamień w dół, chlap. Ale nadal żyje, nie umarł, nie mógł umrzeć, śpiewał z tego diabelskiego dna swoje łagodne, kuszące wersety. O, te słodkie pieśni, które znał. Jego córki wspierały go diabelskim chórkim, o tak, wszystkie trzy, Lat Manat Uzza, pozbawione matki dziewczyny śmiejące się razem ze swoim Abba, tłumiące dłońmi cichy śmiech z Gibrila, co za kawał przygotowujemy dla ciebie, chichoczą, dla ciebie i tego biznesmena na wzgórzu. Ale przed biznesmenem są jeszcze inne historie, oto i on, Archanioł Gibril, pokazuje Egipcjance Hagar krynicę Zamzam, aby — pozostawiona z dzieckiem na pustyni przez proroka Ibrahima — mogła pić chłodne wody źródlane i w ten sposób przeżyć. A później, kiedy rzeka Dżurhum tak napełniła Zamzam błotem i złocistymi gazelami, że wody zniknęły na pewien czas, znowu pojawia się on i pokazuje źródło temu to Muttalibowi ze szkarłatnych namiotów, ojcu dziecka o srebrnych włosach, które zrodziło z kolei biznesmena. Biznesmen: oto nadchodzi.

Czasami we śnie Gibril zachowuje świadomość, i to nawet wtedy, kiedy nic mu się nie śni, że leży oto i śpi, że śni o tym, że świadom jest swojego snu i wówczas zaczyna się panika, O Boże, krzyczy, O wszechdobry Allahboże, miałem już swoją ostatnią cholerną szansę, ja. Brzęczy mi w głowie zupełnie zwariowana melodia wariata, skończony pawian. Biznesmen czuł się podobnie jak on, kiedy po raz pierwszy zobaczył archanioła: pomyślał sobie, że zwariował, chciał rzucić się ze skały, z wysokiej skały, ze skały, na której rosło karłowate drzewo lotosu, ze skały tak wysokiej, jak dach świata.

Nadchodzi: wspina się po zboczu góry Cone do jaskini. Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin: dzisiaj skończył czterdzieści cztery lata. Lecz mimo że miasto za nim i poniżej niego wypełniają hucznie świętujące tłumy, on wspina się, samotnie. Nie dla niego nowe urodzinowe ubrania, starannie wyprasowane i złożone na posłaniu. Człowiek o ascetycznych upodobaniach. (Co to za dziwny

biznesmen?)

Pytanie: Co jest przeciwieństwem wiary?

Nie niewiara. Zbyt ostateczne, pewne, kategoryczne. Samo w sobie jest swego rodzaju wiarą.

Powątpiewanie.

To warunek rodzaju ludzkiego, ale co z anielskością? Gdzieś w pół drogi między Allahbogiem a homosapiensem, czy oni kiedykolwiek wątpili? Tak: sprzeciwiają się woli Bożej, któregoś dnia ukryli się, szemrzając poniżej Tronu, ośmielając się zapytać o zakazane rzeczy: antypywania. Czy słuszne jest, że. Czy nie można się o to spierać. Wolność, stare antypyt. Uciszył ich, oczywiście stosując umiejętność zarządzania á la bóg. Zasypał ich pochlebstwami: będziecie instrumentami mojej woli na ziemi, zbawieni apotepienia człowieka, wszystko zwyczajne et cetera. No i presto, koniec protestów, naprzód z tymi aureolami, do roboty. Anioły łatwo da się uciszyć, zmień ich w instrumenty i zagrają twoją harpią melodię. Ludzie są twardszym orzechem do zgryzienia, potrafią wątpić we wszystko, nawet w świadectwo swoich oczu. Tego, co za-ich-własnymi oczyma. Tego, co przenika spoza zamkniętych ślepiów, kiedy ludzie z ociężałymi powiekami zapadają w sen... aniołowie, nie dano im dużo, jeśli chodzi o posiadanie woli. Chcieć oznacza nie zgadzać się; nie podporządkowywać się; mieć inne zdanie.

Wiem; diabelskie gadanie, Szejtan przeszkadzający Gibrilowi.

Mnie?

Biznesmen: wygląda tak, jak powinien, wysokie czoło, orli nos, szeroki w ramionach, wąski w biodrach, wzrost średni. Pograżony w myślach, ubrany w dwa kawałki jednolitej tkaniny, każdy z nich długi na cztery łokcie, jeden owija ciało, drugi przerzucony jest przez ramię. Duże oczy; rzęsy jak u dziewczyny. Kroki wydają się zbyt długie jak na jego nogi, a jednak chodzi lekko. Sieroty uczą się, jak być ruchomymi tarczami, jak szybko chodzić, jak błyskawicznie reagować, jak być ostrożnym i trzymać język za zębami. Przedziera się w górę przez cierń krzaki i zarośla opobalsamu, szybko wdrapuje na olbrzymie głązy, jest to sprawny mężczyzna, żaden tam lichwiarz o obwisłym brzuchu. Ach, racja, jeszcze raz trzeba to stwierdzić: musi być dziwnym facetem biznesu, jeśli odcina się od świata, idąc w pustkowia, na górę Cone, czasami na cały miesiąc, po to tylko, by zaznać samotności.

Jego imię: imię ze snu, zmienione przez wizję. Wymówione prawidłowo znaczy ten-któremu-dzięki-należy-czynić, ale on nie odpowie na nie tutaj; ani, mimo że jest go świadom, na przydomek, który mu dano w dole, tam, w Dżahiliji — *ten-który-wchodzi-na-i-schodzi-ze-starej-Coney*. Tutaj nie jest Mahometem ani też MoeHammeredem; przyswoił sobie zamiast tego jakby koniuszek ogona diabła, który farangis powiesił mu na szyi. Chcąc przemienić obelgi w siłę, wigowie, torysi, Czarni, wszyscy postanowili nosić z dumą przezwiska, które im kiedyś z pogardą nadano; w podobny sposób nasz samotny zdobywca gór, posiadający

motywację proroka, ma być średniowiecznym straszidłem dla dzieci, synonimem Diabła: Mahoundem.

Oto on. Mahound businessmen, drapiący się na swoją gorącą górę w Hidżazie. Fatamorgana miasta świeci poniżej, w słońcu.

* * *

Miasto Dżahilijja zbudowane jest w całości z piasku, jego budynki powstały z pustyni, z której zresztą wyrasta. Jest to widok, który naprawdę zapiera dech w piersiach: otoczone murem z czterema bramami, całość jest cudem stworzonym przez obywateli, którzy nauczyli się sztuczki przetwarzania drobnego białego piasku z wydm, w tych zapomnianych przez Boga stronach — czyli tego właśnie, z czego składa się nieśmiałość, z tej kwintesencji zmienności, zdradliwości, braku stałej postaci — i zmienili go, za pomocą alchemii, w szkielec swojej nowo wynalezionej niezmienności. Ludzi tych od ich koczowniczej przeszłości dzieli dystans zaledwie trzech lub czterech pokoleń, byli wtedy równie pozbawieni korzeni, jak te wydmy, a raczej zakorzenieni w wiedzy, że podróżowanie samo w sobie jest domem.

— Zważywszy, że wędrowiec może całkiem dobrze obejść się bez podróży; jest ona niczym więcej niżli złem koniecznym; istotą rzeczy jest przybycie.

Zatem całkiem niedawno, i jak można było się spodziewać po tak przebiegłych ludziach biznesu, którymi byli, Dżahilijjanie osiedlili się przy samym przecięciu szlaków wielkich karawan i podporządkowali swojej woli piaszczyste wydmy. Teraz ten piasek służy potężnym kupcom miasta. Ubity w kostkę wyściela kręte ulice Dżahilijji; nocami złociste płomienie buchają z koksowników z polewanego piasku. Szyby tkwią w oknach, w długich, do szpar podobnych oknach osadzonych w nieskończenie wysokich piaszkowych ścianach kupieckich pałaców; w zaułkach Dżahilijji wozy ciągnięte przez osły toczą się przed siebie na gładkich krzemowych kołach. Ja, w całej swojej niegodziwości, wyobrażam sobie czasami nadejście wielkiej fali, wysokiej ściany spienionej wody, z rykiem przelewającej się przez pustynię, ciekłej katastrofy, pełnej trzaskających łodzi i tonących ramion, takiego przyływu, który zmieniłby te próżne zamki na piasku w nicość, w ziarenka, z których powstały. Jednak nie ma tu żadnych fal. Woda jest wrogiem w Dżahilijji. Noszą ją w glinianych dzbanach i nie wolno wylać ani jednej kropli (kodeks karny srogo obchodzi się z winowajcami), ponieważ tam, gdzie spadnie kropla, miasto zaczyna erodować w zatrważającym tempie. Dziury pojawiają się w drogach, domy przechylają się i kołyszają. Nosiwoda w Dżahilijji jest budzącym odrazę złem koniecznym, pariasem, którego nie można nie zauważyć, a więc ni-

gdy nie można mu wybaczyć. W Dżahilijji nigdy nie pada deszcz; w krzemowych ogrodach nie ma fontann. Kilka palm stoi w ogrodzonych podwórzach, ich korzenie podrózują głęboko i szeroko w ziemię, szukając wilgoci. Miejska woda pochodzi z podziemnych strumieni i źródeł, z których jedno to legendarne Zamzem, w samym centrum koncentrycznego miasta z piasku, tuż obok Domu Czarnego Kamienia. Tutaj, przy Zamzem, jest beheshti, lekceważony nosiwoda, czerpiący ten niezbędny niebezpieczny płyn. Ma on imię: Chalid.

Miasto biznesmenów, Dżahilijja. Nazwa plemienia brzmi *Batwochwalcy*.

W tym mieście biznesmen-zamieniony-w-proroka, Mahound, zakłada jedną z największych religii świata; i w tym dniu, dniu urodzin, doszedł do punktu zwrotnego w swoim życiu. Jakiś głos szepcze mu do ucha: *Jakiego rodzaju idea jesteś? Cziowiekiem-czy-myszą?*

Znamy ten głos. Słyszeliśmy go już raz.

* * *

Kiedy tak Mahound wspina się na Coney, Dżahilijja obchodzi zupełnie inną rocznicę. W czasach starożytnych patriarcha Ibrahim dotarł do tej doliny razem z Hagar i z Ismailem, ich synem. I tutaj, na tej bezwodnej pustyni, porzucił ją. Zapytała go, czyżby to była wola Boża? Odpowiedział, tak, to ona. I odjechał, skurwysyn. Od samego początku ludzie posługiwali się Bogiem, żeby usprawiedliwić to, co usprawiedliwione być nie może. Nikt nie zna ścieżek Najwyższego: mówią ludzie. Nic więc dziwnego, że kobiety zwróciły się do mnie. — Ale muszę wrócić do tematu; Hagar nie była czarownicą. Ufała: *wobec tego On na pewno nie pozwoli mi zginąć*. Po odjeździe Ibrahima karmiła dziecko piersią, aż w końcu zabrakło jej pokarmu. Wówczas wspięła się na dwa wzgórza, najpierw na Safę, później na Marwę, biegając w rozpacz od jednego do drugiego, próbując dostrzec choćby jeden namiot, wielbłąda, człowieka. Niczego nie dostrzegła. I właśnie wtedy przyszedł do niej on, Gibril, i pokazał jej źródło Zamzem. A więc Hagar przeżyła; lecz dlaczego teraz gromadzą się pielgrzymi? Czy po to, aby uczcić jej ocalenie? Nie, nie. Oni świętują zaszczyt, jakiego dostąpiła ich dolina dzięki wizycie, tak, zgadliście, Ibrahima, W imię tego kochającego współmałżonka zbierają się, czczą, a przede wszystkim wydają pieniądze.

Dzisiaj Dżahilijja jest cała pachnąca. Zapachy Arabii, *Arabii Odorifera*, wiszą w powietrzu: balsam, kasja, cynamon, kadzidło, mirra. Pielgrzymi piją napój daktylowy i wędrują po wielkim jarmarku na cześć Ibrahima. A wśród nich przechadza się mężczyzna, którego zmarszczone brwi wyraźnie wyróżniają go z weselącego się tłumu: wysoki, w luźnych białych szatach, o całą głowę wyż-

szy od Mahounda. Brodę ma przystrzyżoną krótko, twarz pociągłą; porusza się rytmicznie, niebezpieczna elegancja potęgi. Jak się nazywa? Zjawia w końcu zdradza swoje imię; ono również jest zmienione przez widzenie senne. Oto on, Karim Abu Simbel, Naczelnik Dżahiliji, mąż okrutnej i pięknej Hind. Głowa rady rządzącej miastem, bogaty nie do opisania właściciel przynoszących niemałe zyski świątyń przy bramach miejskich, posiadacz wielu wielbłądów, rewident karawan, a jego żona — największa piękność w tych stronach: co mogłoby załamać pewność siebie takiego człowieka? A jednak i Abu Simbel staje przed zbliżającym się kryzysem. Pewne imię nęka go, i możecie odgadnąć jakie, Mahound Mahound Mahound.

O splendorze jarmarków Dżahiliji! Tutaj w olbrzymich pachnących namiotach wystawione są w rzędach przyprawy korzenne, liście senesu, wonne trociczki; tu można spotkać sprzedawców perfum, walczących pomiędzy sobą o nosy, jak również portfele pielgrzymów. Abu Simbel przepycha się przez tłum. Kupcy, Żydzi, Monofizyci, Nabatejczycy — kupują i sprzedają kawałki srebra i złota, ważąc je, nadgryzając monety znajdującymi się na rzeczy zębami. Mamy tu płótno z Egiptu i jedwab z Chin; a z Basry broń i zboże. Hazardowe gry i picie, i tańce. Tu niewolnicy na sprzedaż — z Nubii, Anatolii, Etiopii. Cztery odłamy plemienia Bałwochwalców mają władzę nad odrębnymi strefami targowiska, perfumy i przyprawy korzenne są w Namiotach Szkarłatnych, natomiast w Czarnych — materiały i skóry. Ugrupowanie Srebrzystowłosych kontroluje drogocenne metale i miecze. Rozrywki — gra w kości, taniec brzucha, napój daktylowy, palenie haszyszu i opium — wszystko to jest przywilejem ostatniej już czwórki plemienia, Właścicieli Pstrokatych Wielbłądów, którzy prowadzą także handel niewolnikami. Abu Simbel zagląda do namiotu tańców. Siedzą tam pielgrzymi, każdy w lewej ręce ścisną kurczowo sakiewkę z pieniędzmi; co jakiś czas moneta z sakiewki wędruje do prawej dłoni. Tancerki potrząsają ciałami i oblewają się potem, ani na moment nie spuszczają oczu z koniuszków palców pielgrzymów; kiedy monety przestają wędrować, ustaje również taniec. Wielki człowiek krzywi się i spuszcza połę namiotu.

Dżahiliję zbudowano w postaci szeregu nieregularnych okręgów, a jej domostwa oddalają się od Domu Czarnego Kamienia w przybliżeniu według majętności i szacowności. Pałac Abu Simbela znajduje się w pierwszym kole, w najbardziej wewnętrznym pierścieniu; on sam idzie wzdłuż jednej z tych krętych, wijących się promieniście dróg, mijając rozlicznych jasnowidzów tego miasta, którzy, w zamian za pieniądze otrzymywane od pielgrzymów, szczebioczą, gruchają, syczą, opętani przez dzinnów ptasich, zwierzęcych czy też węzowych. Wróżbitka, która podniosła w porę oczy, zastąpiła mu drogę.

— Chcesz zawładnąć sercem jakiegoś dziewczęcia, kochany? Chcesz mieć wroga w swej mocy? Wypróbuj mnie; spróbuj moich małych węzełków. — I wstaje, kołyszając sznurem z węzełkami, usidlaczka losów ludzkich, lecz zobaczywszy

teraz, do kogo mówi, opuszcza rozczarowaną rękę i mrużąc coś znika chyłkiem w piasku.

Wszędzie hałas i kuksańce. Poeci stoją na pudłach i deklamują, a pielgrzymi rzucają monety do ich stóp. Niektórzy bardowie recytują wersy radżaz, ich czterosylabowe metrum zainspirowane, według legendy, przez rytmiczny chód wielbłąda; inni znowu deklamują kasydy, wiersze o przewrotnych kochankach, przygodach na pustyni, polowaniu na dzikiego osła. Za dzień lub dwa przyjdzie czas na doroczny konkurs poezji, po którym siedem najlepszych wierszy zostanie zawieszonych na murach Domu Czarnego Kamienia. Poeci przygotowują się do swojego wielkiego dnia, Abu Simbel śmieje się z minstrelki śpiewających zjadliwe satyry, jadowite ody zamówione przez jednego wodza przeciw drugiemu, przez jedno plemię przeciw sąsiadowi. I kiwa głową w uznaniu, kiedy jakiś poeta przyłącza się do niego, przebiegły chudy młodzian o oszalałych palcach. Ten młody paszkwilant to już teraz najbardziej cięty język, którego boją się w całej Dżahiliji, ale do Abu Simbela czuje prawie szacunek. — Naczelniku, dlaczegoś tak pochłonięty myślami? Gdyby ci nie wypadały włosy, poradziłbym, żebyś je rozpuścił. — Abu Simbel szczyrzy zęby w wylewnym grymasie. — Taki rozgłos — zastanawia się. — Taka sława i to zanim zdążyłeś pogubić mleczne zęby. Uważaj, bo będziemy musieli ci je usunąć. — Wyraźnie drażni poetę, mówiąc niefrasobliwie, lecz teraz niefrasobliwość jest przetkana groźbą, a to z powodu zasięgu jego władzy. Chłopiec nie daje się zbić z tropu. Dotrzymując kroku Abu Simbelowi, odpowiada: — W miejsce każdego, który wyrwiesz, wyrośnie mocniejszy, gryzący głębiej i toczący jeszcze gorętsze strugi krwi. — Naczelnik kiwa głową. — Lubisz smak krwi — mówi. Chłopak wzrusza ramionami. — Zadanie poety — odpowiada. — Nazwać to, co nie nazwane, wskazywać na szalbierstwa, opowiadać się po czyjejś stronie, wszczynać spory, kształtować świat i nie dopuścić by zasnął. — I jeżeli całe strumienie krwi popłyną z ran zadanych przez jego wiersze, w takim razie pożywią go. Oto satyryk Baal.

Mija ich szczerlnie zasłonięta lektyka; jakaś wytworna dama z miasta chce oglądać jarmark, niesiona na ramionach ośmiu anatolijskich niewolników. Abu Simbel bierze młodego Baala pod ramię pod pretekstem wyprowadzenia go z ulicy; mruży: — Miałem nadzieję, że cię znajdę; jeżeli pozwolisz na słówko. — Baal podziwia zręczność Naczelnika. Szukając człowieka, potrafi sprawić, że zwierzyzna, na którą poluje, jest przekonana, że to ona upolowała myśliwego. Uścisk Abu Simbela staje się mocniejszy; trzymając poetę pod ramię, kieruje go w stronę świętego świętych, w sam środek miasta.

— Mam zamówienie dla ciebie — mówi Naczelnik. — Sprawa czysto literacka. Znam swoje słabe strony; arkana rymowanej złośliwości, sztuczki tonicznego oszczerstwa, wszystko to przekracza moje możliwości. Rozumiesz.

Lecz Baal, ten dumny, arogancki typ, sztywnieje, zachowuje się niezwykle wyniośle. — Nie wypada, aby artysta stawał się sługą władzy. — Głos Simbe-

la cichnie, nabiera bardziej aksamitnego rytmu. — Ach, tak. Natomiast oddawanie się do dyspozycji morderców jest całkowicie zgodne z nakazami honoru. — W Dżahiliji szerzy się kult zmarłych. Kiedy umiera człowiek, płatni żałobnicy biczą się, rozdrapują skórę, wyrwają włosy. Na grobie pozostawia się wielbłąda z poprzecinanymi ścięgna, by zdechł. A jeżeli ten człowiek został zamordowany, jego najbliższy krewny składa ślubowanie ascezy i ściga mordercę, aż dług krwi zostanie spłacony krwią; po czym należy do zwyczaju ułożenie wiersza wysławiającego czyn, lecz rzadko mściciele posiadają talent układania rymów. Wielu poetów zarabia na życie, pisząc pieśni sławiące morderstwo, i panuje powszechna opinia, że najwspanialszym z tych piewców krwi jest przedwcześnie rozwinięty polemista, Baal. Którego zawodowa duma chroni teraz przed posiniaczeniem przez drobne wymyślenia Abu Simbela. — To sprawa kultury — odpowiada. Naczelnik pograża się jeszcze bardziej w swojej jedwabistości. — Być może — szepce u bram Domu Czarnego Kamienia — ale Baal, przyznaj: czyż nie mam do ciebie jakiegoś małego prawa? Obydwaj służymy, albo przynajmniej tak myślałem, tej samej pani.

Teraz krew odpływa z policzków Baala, jego pewność siebie pęka z trzaskiem, spada z niego jak skorupa. Abu Simbel, pozornie nie zauważając tej przemiany, wciąga satyryka do wnętrza Domu.

Mówią w Dżahiliji, że ta dolina jest pępkiem świata; że w momencie tworzenia planeta obracała się wokół tego punktu. Adam zjawił się tutaj i zobaczył cud: cztery szmaragdowe słupy podtrzymujące w górze olbrzymi iskrzący się rubin, a poniżej tego sklepienia olbrzymi biały kamień, również iskrzący się własnym światłem, jakby wizja jego własnej duszy. Wybudował wokół tej wizji mocne mury, chcąc ją na zawsze związać z ziemią. Był to pierwszy Dom. Odbudowywano go wielokrotnie — kiedyś nawet zrobił to sam Ibrahim, po tym, jak Hagar i Ismail ocalili dzięki aniołowi, aż stopniowo przez te wszystkie stulecia niezliczone dotknięcia pielgrzymów przyciemniły biel kamienia i zmieniły ją w czerń. Potem rozpoczął się okres bożków; do czasów Mahounda już trzystu sześćdziesięciu kamiennych bogów zdążyło się stłoczyć wokół kamienia samego Boga.

Co pomyślałby sobie stary Adam? Teraz są tu również jego własni synowie: Hubal olbrzym, wysłany przez Amalekitów z Hit, stoi nad studnią skarbów, Hubal pasterz, przybierający sierp księżycy; także groźnie patrzący niebezpieczny Kain. On jest ubywającym księżycem, kowalem i muzykiem; on również ma swoich wyznawców.

Hubal i Kain patrzą z góry na spacerujących: Naczelnika i poetę. A również proto-Dionizos Nabatańczyków, Ten-od-Szarii, gwiazda porana, Astarte, i ponury Nakruh. To znowu bóg-słońce, Manaf! Patrzenie, a tam bije skrzydłami gigantyczny Nasr, bóg o kształcie orła! Dalej zauważcie Kuza, który podtrzymuje tęczę... Czyż nie jest to nadmiar bogów, kamienny potop, który ma zaspokoić żarłoczny głód pielgrzymów i ugasić ich bezbożne pragnienie. Aby przyciągnąć podróż-

nych, bóstwa te — podobnie jak pielgrzymi — przybywają ze wszystkich stron. Bożki również są delegatami na coś w rodzaju międzynarodowych targów.

Jest tutaj bóg zwany Allahem (co oznacza po prostu boga). Zapytajcie mieszkańców Dżahilijji i przyznają, że ten gość ma pewnego rodzaju władzę nad całością, ale nie jest za bardzo popularny: wszechstronny w erze posągów wyspecjalizowanych.

Abu Simbel i znowu pocący się Baal przybyli do znajdujących się obok siebie przybytków trzech bogiń najbardziej w Dżahilijji ukochanych. Kłaniają się przed wszystkimi trzema: Uzza o promiennym obliczu, bogini piękna i miłości; ciemna i ponura Manat, z twarzą odwróconą, przesypana piaskiem pomiędzy palcami, jej cele niezgłębione — ma w swojej pieczy przeznaczenie — jest Losem; i na koniec najwyższa z całej trójki, bogini matka, którą Grecy nazwali Lato. Tutaj nazywają ją Ilat albo częściej, Al-Lat. *Sama bogini*. Nawet jej imię czyni ją przeciwieństwem Allaha i równą mu boginię. Lat wszechmocna. Na twarzy Baala maluje się nagła ulga, satyryk rzuca się na ziemię, padając krzyżem przed boginią. Abu Simbel stoi.

Rodzina Naczelnika, Abu Simbela — albo też dokładniej, jego żony Hind — sprawuje kontrolę nad słynną świątynią bogini Lat przy południowej bramie miasta. (Czerpie również dochody ze świątyni Manat przy wschodniej bramie i ze świątyni Uzzy przy północnej.) Te przywileje są podstawą fortuny Naczelnika, a więc jest on oczywiście, rozumie Baal, sługą Lat. No a nabożeństwo satyryka do tej bogini jest dobrze znane, jak Dżahilijja długa i szeroka. A więc to miał na myśli Abu Simbel! Drżąc z doznanej ulgi, Baal dalej leży na ziemi i dziękuje swojej łaskawej Patronce, która spogląda na niego dobrotliwie; nie wolno jednak polegać na wyrazie twarzy bogini. Baal popełnił poważny błąd.

Bez ostrzeżenia Naczelnik wymierza pocię kopniaka w nerkę. Zaatakowany właśnie wtedy, kiedy doszedł do wniosku, że jest bezpieczny, Baal wyje, turlając się po ziemi, a Abu Simbel idzie za nim, nie przestając kopać. Słychać chrzęst łamanego żebra. — Kurdupel — stwierdza Naczelnik, mówiąc wciąż cichym i dobrodusznym głosem. — Ty cienko piejący alfonsie z małymi jądrami. Sądziłeś, że pan świątyni Lat będzie twoim przyjacielem tylko z powodu twojej młodzieńczej pasji do bogini? — I dalsze kopniaki, regularne, systematyczne. Baal łka u stóp Abu Simbela. Dom Czarnego Kamienia nie jest bynajmniej pusty, lecz kto odważyłby się stanąć pomiędzy Naczelnikiem a jego gniewem? Nagle prześladowca Baala kuca, chwytając poetę za włosy, podrywa mu głowę do góry i szepce do ucha: — Baal, nie ona była tą panią, którą miałem na myśli. — I wówczas Baal dobywa z siebie wycie pełne obrzydliwej żalości nad samym sobą, ponieważ wie, że jego życie wkrótce dobiegnie kresu, skończy się akurat wtedy, kiedy tyle jeszcze przed nim, biedny facet. Wargi Naczelnika prawie ocierają się o jego ucho. — Łajno przestraszonego wielbłąda — sapie Abu Simbel. — Wiem, że pieprzysz moją żonę. — Z zainteresowaniem zauważa u Baala wyraźną erekcję — ironiczny pomnik

jego lęku.

Abu Simbel, Naczelnik — rogacz, podnosi się, wydaje polecenie: — Wstawaj. — I Baal, oszołomiony, wychodzi za nim na zewnątrz.

Groby Ismaila i jego matki Egipcjanki Hagar znajdują się przy północno-zachodniej ścianie Domu Czarnego Kamienia, ogrodzone niskim murem. Abu Simbel zbliża się do tego miejsca, zatrzymując się nie opodal. Wewnątrz stoi kilku mężczyzn. Jest tam nosiwoda Chalid i jakiś próżniak z Persji, noszący cudzoziemskie imię Salman, a tę trójkę szumowin uzupełnia niewolnik Bilal, ten sam, którego wyzwolił Mahound, olbrzymi czarny potwór, tak — ten o głosie pasującym do rozmiarów jego ciała. Tych trzech próżniaków siedzi sobie na murku. — Ta hołota — mówi Abu Simbel — to temat dla ciebie. Pisz o tych ludziach; również o ich przywódcy. — Baal, pomimo że wciąż przerażony, nie może ukrywać swojego niedowierzania. — Ależ Naczelniku, o tych *cymbałach* — tych pierdolonych *blaznach*? Nie musisz się nimi przejmować. Czego się obawiasz? Tego, że jedyny Bóg Mahounda doprowadzi twoje świątynie do bankructwa? Trzysta sześćdziesiąt przeciw jednemu i ten jeden wygrywa? Niemożliwe. — Chichocze, bliski hysterii. Abu Simbel zachowuje spokój. — Zachowaj zniewagi do swoich wierszy. — Chichoczący Baal nie może przestać. — Rewolucja nosiwodów, imigrantów i niewolników... kapitalne, Naczelniku. Naprawdę mnie przestraszyłeś. — Abu Simbel patrzy uważnie na krztuszącego się ze śmiechu poetę. — Tak — odpowiada — zgadza się, powinieneś się bać. Zabierz się do pisania, proszę, i spodziewam się, że wiersze te będą naprawdę arcydziełami. — Baal załamuje się, skamle. — Ale szkoda na nie mojego, mojego małego talentu... — Widzi, że powiedział aż za dużo.

— Rób, co ci każe — mówi mu na koniec Abu Simbel. — Nie masz wyboru.

Abu Simbel wyleguje się w swojej sypialni, a nałożnice spełniają jego zachcianki. Olejek kokosowy na jego przerzedzające się włosy, wino dla jego podniebienia, języki dla jego rozkoszy. *Chłopak miał rację. Dlaczego właściwie obawiam się Mahounda? Leniwie zaczyna liczyć nałożnice, rezygnuje z machnięciem ręki przy piętnastej. Ten chłopak. Hind będzie się z nim dalej spotykać, to oczywiste; jaką ma szansę przeciwstawienia się jej woli? Jego słabością, której zresztą jest świadom, jest to, że zbyt wiele widzi, zbyt wiele toleruje. Ma swoje pragnienia, dlaczego ona nie może mieć swoich? Dopóki będzie dyskretna; i dopóki on o tym będzie wiedział. Musi wiedzieć; znajomość faktów jest jego narkotykiem, jego nałogiem. Nie może tolerować czegoś, o czym nie wie i z tego powodu, jeżeli już nie z żadnego innego, Mahound jest jego wrogiem, Mahound ze swoją bandą obdartusów, chłopiec słusznie się śmiał. Jemu, Naczelnikowi, śmiech nie przychodzi łatwo. Podobnie jak jego przeciwnik jest człowiekiem ostrożnym, podejmuje decyzje w sposób rozważny. Pamięta tego dużego niewolnika, Bilala: jego właściciel poprosił go przed świątynią bogini Lat, by wyliczył bogów. — Jeden — odparł tamten swoim potężnym, dźwięcznym głosem. Błuznierstwo, ka-*

rane śmiercią. Rozciągnęli go na ziemi, tam, gdzie odbywał się jarmark, i położyli na piersiach gład. *Ile powiedziałeś?* Jeden, powtórzył, jeden. Do pierwszego kamienia dodano następny. *Jeden jeden jeden*. Mahound zapłacił jego właścicielowi wysoką cenę i uwolnił go.

Nie, Abu Simbel namyśla się, chłopiec Baal nie miał racji, dla tych ludzi nie szkoda naszego czasu. Dlaczego obawiam się Mahounda? Dlatego: jeden jeden jeden, jego przerażająca pojedynczość. Natomiast ja zawsze jestem podzielony, zawsze dwa lub trzy, lub piętnaście. Potrafię nawet zrozumieć jego punkt widzenia; jest tak bogaty i prowadzi tak dobre interesy, jak każdy z nas, jak każdy z członków rady, ale ponieważ pozbawiony jest właściwych powiązań rodzinnych, nie ofiarowaliśmy mu dotąd miejsca w naszej grupie. Jako sierota został wykluczony z kupieckiej elity, czuje, że został oszukany, że nie otrzymał tego, co mu się należy. Zawsze był ambitnym facetem. Ambitnym, ale też samotnym. Nie dotrzesz do szczytu, jeżeli wspinasz się na górę zupełnie sam. Chyba że, być może, spotkasz tam anioła. . . tak, to to. Rozumiem już, co zamierza. Chociaż on by mnie nie rozumiał. *Jakiego rodzaju ideą jestem?* Uginam się. Waham. Obliczam szansę, nastawiam żagle do wiatru, manipuluję, udaje mi się wytrwać. Dlatego właśnie nie oskarżę Hind o cudzołóstwo. Jesteśmy dobrą parą, lód i ogień. Jej rodzinna tarcza herbowa, legendarny czerwony lew, wielozębny mantykora. Niech się zabawia ze swoim satyrykiem; między nami nigdy nie chodziło o seks. Skończę z nim, kiedy ona skończy. Oto wielkie kłamstwo, myśli Naczelnik Dżahilijji, zapadając w sen: pióro jest potężniejsze od miecza.

* * *

Fortuny miasta Dżahilijji zostały zbudowane na przewadze piasków nad wodą. Dawnymi czasy uważano, że bezpieczniej jest przewozić towary przez pustynie niż przez morza, gdzie monsuny mogły uderzyć w każdej chwili. W owych czasach przed meteorologią takich spraw nie dało się z góry przewidzieć. Z tego powodu prosperowały karawanseraje. Produkty z całego świata przybywały z Zafaru do Saby, a stamtąd do Dżahilijji i oazy Jasrib i dalej do Medianu, gdzie mieszkał Mojżesz; z kolei stamtąd do Akaby i Egiptu. W Dżahilijji zaczynały się inne szlaki: na wschód i północny wschód w stronę Mezopotamii i wielkiego imperium perskiego. Do Petry i Palmiry, gdzie kiedyś Salomon pokochał Królową Saby. To były tłuste lata. Lecz teraz floty pływające regularnie po wodach wokół półwyspu stały się śmielsze, ich załogi sprawniejsze, a instrumenty nawigacyjne dokładniejsze. Sznury wielbłądów tracą towary na rzecz statków. Okręt pustyni i okręt morza, odwieczni rywale, widzą, jak zmienia się dotychczasowa równowaga sił.

Władcy Dżahiliji niepokoją się, ale niewiele mogą zrobić. Czasami Abu Simbel podejrzewa, że tylko pielgrzymki ratują miasto przed upadkiem. Rada szuka w całym świecie posągów obcych bogów, aby przyciągnąć nowych pielgrzymów do miasta z piasku, ale i w tym też ma konkurencję. W Sabie zbudowano wielką świątynię, przybytek, który ma rywalizować z Domem Czarnego Kamienia. Wielu pielgrzymów dało się tam zwabić i tłumy na jarmarkach w Dżahiliji maleją.

Na polecenie Abu Simbela władcy Dżahiliji dodali do swoich praktyk religijnych kuszące przyprawy profanacji. Miasto stało się sławne z powodu rozwiązłości, jaskinia hazardu, burdel, miejsce, gdzie rozbrzmiewają sprośne piosenki i dzika głośna muzyka. Pewnego razu kilku członków plemienia Bałwochwalców posunęło się za daleko w swojej zachłanności na pielgrzymie pieniądze. Odzwierni Domu zaczęli domagać się łapówek od znużonych wędrowców; czterech z nich, rozgorączkowanych tym, że dostali takie psie pieniądze, zabiło dwóch podróżnych spychając ich z wielkich stromych schodów. Praktyka nie dała spodziewanych efektów, zniechęcając pielgrzymów do powtórnych odwiedzin... Obecnie często porywa się kobiety odbywające pielgrzymkę — dla okupu, albo po to, by sprzedać je jako nałożnice. Gangi młodych Bałwochwalców patrolują miasto, egzekwując swoje prawa. Mówi się, że Abu Simbel spotyka się potajemnie z przywódcami gangów i organizuje ich działalność. To jest świat, któremu Mahound przyniósł swoje przesłanie: jeden jeden jeden. Pośród takiej różnorodności brzmi to jak słowo niebezpieczne.

Naczelnik siada i od razu zbliżają się nałożnice, by podjąć na nowo smarowanie olejkami i gładzenie. Oddala je ruchem ręki, klaszcze w dłoń. Wchodzi eunuch. — Wyślij posłańca do domu Kahina Mahounda — poleca Abu Simbel. *Poddamy go małej próbie. Uczciwa walka: trzy przeciw jednemu.*

* * *

Nosiwoda imigrant niewolnik: trzech uczniowie Mahounda obmywają się przy studni Zamzam. W tym piaskowym mieście ich obsesja na punkcie wody czyni z nich dziwaków. Ablucje, zawsze ablucje, nogi — w górę do kolan, ramiona — w dół do łokci, głowa — w dół do karku. Jakżeż dziwacznie wyglądają z suchymi tułowiami, mokrymi kończynami i wilgotnymi głowami! Chlap, klap, obmycie i modlitwa. Na kolanach, wpychając ręce nogi głowy we wszechobecny piasek, a następnie znowu rozpoczynają swój cykl wody i modlitwy. Są łatwym celem dla Baalowego pióra. Ich zamięłowanie do wody jest pewnego rodzaju zdradą; mieszkańcy Dżahiliji godzą się na wszechmoc piasku. Włazi im pomiędzy palce u stóp i dłoni, zlepia rzęsy i włosy, zatyka pory skóry. Otwierają się na pustynię: przy-

bądź, piasku, obmyj nas w suchości. Taka jest postawa Dżahilijjan od najwyższego obywatela do najniższego z niskich. Są ludźmi krzemu, a weszli między nich miłośnicy wody.

Baal krąży wokół nich w bezpiecznej odległości — z takim człowiekiem jak Bilal nie ma żartów — i wykrzykuje szyderstwa. — Gdyby idee Mahounda były cokolwiek warte, czy myślicie, że znalazłyby uznanie jedynie wśród takiej hołoty jak wy? — Salman uspokaja Bilala: — Powinniśmy się czuć zaszczytzeni, że sam potężny Baal zechciał nas zaatakować. — Uśmiech i Bilal odpręża się, uspokaja. Nosiwoda Chalid jest nerwowy i kiedy dostrzega zbliżającą się ciężką sylwetkę Hamzy, wuja Mahounda, biegnie z niecierpliwością na spotkanie. W wieku sześćdziesięciu lat Hamza jest wciąż najstłynniejszym w mieście wojownikiem i łowcą lwów. Jednak prawda jest mniej wspaniała niż w panegirykach: Hamza został wiele razy pokonany w walce, ratowany przez przyjaciół lub szczęśliwy zbieg okoliczności, wrywany z paszczy lwa. Ma pieniądze, więc takie nowiny nie dostają się do publicznej wiadomości. A wiek i to, że przeżył, w jakiś sposób uprawomocniają legendę o wojennej sławie. Bilal i Salman, zapominając o Baalu, podążają za Chalidem. Wszyscy trzej są nerwowi, młodzi.

Wciąż jeszcze nie wrócił, komunikuje Hamza. A Chalid, zaniepokojony: Przecież to już trwa całe godziny, co ten skurwysyn mu robi, torturuje go, miażdży kciuki, biczuje? Salman, raz jeszcze, zachowuje największy spokój: To nie w stylu Simbela, mówi, to coś podejrzanego, możecie być pewni. A Bilal ryczy lojalnie: Podejrzan czy nie, ja tam wierzę w niego, w Proroka. On się nie załamie. Hamza upomina go tylko łagodnie: Och, Bilal, ile razy trzeba ci powtarzać? Zachowuj swoją wiarę dla Boga. Poślaniec jest tylko człowiekiem. Chalid wybucha: naciera z pięściami na starego Hamzę, protestuje, mówisz, że Poślaniec jest słaby? Możesz być jego wujem. . . Hamza daje nosiwodzie kuksańca w głowę. Nie pozwól, żeby zobaczył twój strach, mówi, nawet wtedy, gdy jesteś śmiertelnie wystraszony.

Cała czwórka ponownie obmywa się, kiedy przybywa Mahound; gromadzą się wokół niego, ktocodlaczego. Hamza zachowuje rezerwę. — Siostrzeńcze, nic z tego cholera nie będzie — warczy swoim żołnierskim głosem. — Kiedy schodzisz z góry Coney, bije od ciebie jasność. Dzisiaj jest to coś ciemnego.

Mahound siada na krawędzi studni i uśmiecha się szeroko. — Zaproponowano mi transakcję. — *Czy to Abu Simbel?* Krzyczy Chalid. *Nie do pomyslenia. Odmów.* Wierny Bilal upomina go: Nie pouczaj Pośłańca. Oczywiście, że odrzucił. Salman Pers pyta: Jakiego rodzaju transakcję. Mahound uśmiecha się znowu. — No, przynajmniej jeden z was chce wiedzieć.

— To drobiazg — zaczyna znowu. — Ziarenko piasku. Abu Simbel prosi Allaha, aby wyświadczył mu jedną małą przysługę. — Hamza widzi jego wyczerpanie. Jak gdyby właśnie zmagał się z demonem. Nosiwoda wrzeszczy: — Nic! Nic takiego! — Hamza zamyka mu gębę.

— Gdyby nasz wielki Bóg mógł uznać — użył właśnie tego słowa *uznać* — trzy, tylko trzy z trzystu sześćdziesięciu bożków za godne czci. . .

— Nie ma żadnego boga oprócz Boga — krzyczy Bilal. A jego kompani przyłączają się: — O Allahu! — Mahound wygląda na zagniewanego. — Czy wierni wysłuchają Pościańca? — Milkną, szurając nogami w kurzu.

— On prosi Allaha o zaaprobowanie Lat, Uzzy i Manat. W zamian gwarantuje, że będziemy tolerowani, a nawet oficjalnie uznani, na znak czego ja mam być wybrany do rady Dżahilijji. Taka jest oferta.

Salman Pers mówi: — To pułapka. Jeżeli wejdiesz na Coney i zejdziesz z takim posłaniem, on zapyta, jak mogłeś zmusić Gibrila, aby dostarczył odpowiedniego objawienia? Będzie mógł nazwać cię szarlatanem, oszustem. — Mahound kręci głową. — Wiesz, Salmanie, że nauczyłem się *słuchać*. Nie jest to zwyczajne słuchanie; na swój sposób to również pytanie. Często, kiedy Gibril przychodzi, zdaje się wiedzieć, co dzieje się w moim sercu. Mam wtedy zwykle uczucie, że on przychodzi z wnętrza mojego serca: z wnętrza moich najskrytszych zakątków, z mojej duszy.

— Albo to jest inna pułapka — upiera się Salman. — Jak długo już recytujemy wyznanie wiary, którą nam przyniosłeś? Nie ma żadnego boga oprócz Boga. Kim będziemy, jeżeli teraz porzucimy tę wiarę? To nas osłabia, czyni niedorzecznymi. Przystajemy być niebezpieczni. Nikt nie będzie już nigdy traktował nas poważnie.

Mahound śmieje się, szczerze rozbawiony. — Być może jesteś tu zbyt krótko — zaczyna uprzejmie. — Czy nie zauważyłeś? Ludzie nie traktują nas poważnie. Nigdy nie więcej niż pięćdziesięciu słuchaczy, a połowa z nich to turyści. Czyż nie czytasz paszkwili, które Baal wywiesza po całym mieście? — Recytuje:

*Postaćcie, proszę wysłuchaj
mnie uważnie, nie chcemy twojej monofilii,
twój jeden jeden jeden, nie dla Dżahilijji.
Zwrócić nadawcy.*

— Wyśmiewają się z nas wszędzie i ty nazywasz nas niebezpiecznymi — krzyknął.

Teraz Hamza wygląda na zmartwionego. — Nigdy przedtem nie przejmowałeś się ich opiniami. Dlaczego akurat teraz? Dlaczego po rozmowie z Simbelem?

Mahound kręci głową. — Czasami myślę, że powinienem zrobić coś, żeby ludziom łatwiej było wierzyć.

Wśród uczniów zapanowało kłopotliwe milczenie; wymieniają spojrzenia, przestępują z nogi na nogę. Mahound krzyczy znowu. — Wszyscy wiecie przecież, co się dzieje. Nie udaje nam się pozyskać nowych wyznawców. Ludzie nie zrezygnują ze swoich bogów. Nie chcą i już. — Wstaje, odchodzi od nich dużymi krokami, obmywa się po drugiej stronie studni Zamzam, klęka do modlitwy.

— Ludzie pogrążeni są w ciemnościach — mówi Bilal, zmartwiony. — Ale oni przejrzą. Usłyszą. Bóg jest jeden. — Przygnębienie ogarnia całą czwórkę; nawet Hamza mu ulega. Wstrząsnęło Mahoundem, a więc i jego uczniowie drżą.

Wstaje, zgina się w pokłonie, wzdycha, obchodząc studnię, wraca do nich. — Słuchajcie mnie. Wszyscy — mówi, obejmując jednym ramieniem Bilala, a drugim swojego wuja — słuchajcie: to jest interesująca oferta.

Chalid, nie objęty tym uściskiem, przerywa z goryczą: — To *kusząca* transakcja. — Pozostali są przerażeni. Hamza mówi bardzo łagodnie do nosiwody: — Czyż to nie ty, Chalidzie, chciałeś właśnie teraz mocować się ze mną, gdyż niesłusznie podejrzewałeś, że nazywając Posłańca człowiekiem, w rzeczy samej nazywałem go słabeuszem? A teraz co? Czy teraz moja kolej, żeby wyzywać cię do walki?

Mahound błaga o pokój. — Jeżeli się teraz pokłócimy, nie ma już nadziei. — Usiłuje przenieść dyskusję na grunt teologii. — Nie proponuję, żeby Allah zaakceptował te trzy jako równe sobie. Nawet nie Lat. Jedynie to, żeby otrzymały jakiś status pośredni, niższy.

— Taki jak diabły — wybucha Bilal.

— Nie. — Salman Pers rozumie w czym rzecz. — Jak archaniołowie. Naczelnik jest bystrym człowiekiem.

— Anioły i diabły — mówi Mahound. — Szejtan i Gibril. My wszyscy już wierzymy, że istnieją, gdzieś w pół drogi między Bogiem a człowiekiem. Abu Simbel prosi, abyśmy dopuścili jedynie trzy dalsze postacie do tego prześwieczonego towarzystwa. Tylko trzy, i jak zaznacza, wszystkie dusze Dżahilijji będą nasze.

— A Dom zostanie oczyszczony z posągów? — pyta Salman. Mahound odpowiada, że to nie zostało sprecyzowane. Salman kręci głową. — Robią to, żeby cię zniszczyć. — A Bilal dodaje: — Bóg nie może *być* czworgiem. — A Chalid, bliski łez: — Posłańcze, co ty mówisz? Lat, Manat, Uzza — to wszystko *kobiety*. Na miłość boską! Czy mamy teraz mieć boginie? Te stare żurawie, czaple, harpie?

Cierpienie wysiłek zmęczenie odcisnęły się głęboko na twarzy Proroka. Którą Hamza, jak żołnierz na polu bitwy pocieszający ранnego przyjaciela, bierze w swoje dłonie. — Nie możemy rozstrzygnąć tego za ciebie, siostrzeńcze — mówi. — Wejdz na górę. Idź, zapytaj Gibrila.

* * *

Gibril: śniący, który czasami ogląda sytuację z punktu widzenia kamery, a kiedy indziej znowu — oczyma widza. Kiedy jest kamerą, jego *pe wu* nieustannie się zmienia, nienawidzi bowiem statycznych ujęć, tak więc unosi się w górę na wyso-

kim żurawiu, spoglądając ku ziemi na skrócone postaci aktorów, albo też rzuca się w dół, aby stamtąd niepostrzeżenie, pośród nich, obracając się powoli na pięcie, otrzymać trzystu-sześćdziesięcio-stopniowy panoramiczny obraz, albo też będzie się starał zrobić ujęcie z platformy jadącej obok Baala i Abu Simbela, kiedy ci idą, względnie trzymaną w dłoni stabilną kamerą wniknie w sekrety sypialni Naczelnika. Lecz przeważnie siedzi na szczycie góry Cone, zupełnie jak facet, który zapłacił za miejsce w najniższej łoży, a Dżahilijja jest jego srebrnym ekranem. Ogląda i ocenia akcję jak każdy miłośnik kina, rozkoszuje się walkami zdradami kryzysami moralnymi, lecz za mało tam dziewcząt, jak na naprawdę kasowy film, człowieku, i gdzie są te cholerne piosenki? Powinni byli porządnie opracować scenę na jarmarku, może nawet charakterystyczna rólka dla Pimple Billimorii — w namiocie pokazów kręciłaby swoimi sławetnymi cyckami.

I wówczas, bez ostrzeżenia, Hamza mówi do Mahounda: Idź i zapytaj Gibrila, i on, śniący, czuje, jak serce mu skacze z trwogi, kto, ja? To ja mam znać odpowiedź? Siedzę tu sobie i oglądam ten film, i nagle ten aktor pokazuje palcem na mnie, kto słyszał coś podobnego, kto prosi cholerną widownię oglądającą film „teologiczny” o rozwiązanie tego cholernego wątku? — Lecz w miarę jak sen się rozwija, stale zmienia formę, on, Gibril, nie jest już tylko widzem, ale centralną postacią, gwiazdą. Ze swoją słabością do przyjmowania zbyt wielu ról: tak, tak, gra nie tylko archanioła, ale również jego, biznesmena, Posłańca, Mahounda, wspina się na górę razem z nim. Żeby ta podwójna rola się udała, potrzeba eleganckiego montażu, nie mogą się pojawiać razem w jednym ujęciu, każdy z nich musi mówić w pustkę, w stronę wyobrazonego wcielenia tego drugiego i ufać, że współczesna technika stworzy ten brakujący obraz przy pomocy nożyczek, taśmy klejącej lub bardziej egzotycznie, z udziałem przesuwanej maty. Nie mylić jej tylko z jakimś he he latającym dywanem.

Zrozumiał: że boi się tego drugiego, biznesmena, czyż to nie idiotyczne? Archanioł trzęsący się ze strachu przed śmiertelnikiem. To prawda, ale: ten rodzaj lęku, który odczuwasz, kiedy jesteś po raz pierwszy na planie filmowym i ma tam właśnie wkroczyć jedna z żywych legend kina; myślisz, zbłąźnię się, nie będę wiedział, co mam powiedzieć, zdrętwieję, chcesz za wszelką cenę być *coś wart*. Zostaniesz wessany w gwałtowny strumień jego geniuszu; on może sprawić, że będziesz dobrze wyglądał, jak człowiek o wygórowanych ambicjach, ale poczujesz, kiedy nie będziesz spełniał swojego zadania, a co gorsza on też... Strach Gibrila, strach przed własnym ja tworzonym przez jego sen, każe mu przeciwstawić się przybyciu Mahounda, próbować za wszelką cenę przesunąć je w czasie, ale on już się zbliża, nie ma wątpliwości, i archanioł wstrzymuje oddech.

Te sny, w których wypychają cię na scenę, gdzie w ogóle nie wiesz o co chodzi, nie jesteś w temacie, nie nauczyłeś się ani linijki ze swojej roli, ale cała widownia patrzy, patrzy: tak się to odczuwa. Albo też prawdziwa historia o białej aktorce grającej Murzynkę w sztuce Szekspira. Weszła na scenę i wtedy zdała so-

bie sprawę z tego, że na nosie ciągle ma okulary, ojej, ale zapomniała poczernić sobie ręce, nie mogła więc ich podnieść i zdjąć szkieł, podwójne ojej: i tak również się to odczuwa. *Mahound przychodzi do mnie po objawieniu, prosząc mnie, abym wybierał pomiędzy monoteizmem a henoteizmem, a ja jestem tylko idiotycznym aktorem, którego prześladowuje jakiś bhaen-chud, koszmarne sen, skąd, kurwa, mam wiedzieć, jar, jak brzmi odpowiedź, ratunku. Ratunku.*

* * *

Aby dostać się z Dżahiliji na górę Cone, trzeba wejść w ciemne wąwozy, gdzie piasek nie jest biały, nie jest tym czystym piaskiem przefiltrowanym dawno temu przez ciała strzykw, lecz czarny i surowy, wysysający światło słońca. Coney kuli się przed tobą niczym jakiś wyimaginowany zwierz. Idziesz w górę wzdłuż jego grzbietu. Zostawiwszy za sobą ostatnie drzewa, ukwiecone białymi, grubymi, mlecznymi liśćmi, wspinasz się między głazami, które stają się tym większe, im wyżej się wspinasz, aż w końcu przypominają olbrzymie ściany i słońce staje się niewidoczne. Jaszczurki są czarne jak cienie. Potem jesteś na szczycie, Dżahilija za tobą, a monotonna pustynia przed tobą. Schodzisz w dół, ku pustyni, i około pięćset stóp niżej dochodzisz do grotty, która jest na tyle wysoka, że można w niej stanąć prosto i której dno jest wyścielone cudownym białym piaskiem. Podczas wspinaczki słyszysz, jak pustynne gołębicę wzywają cię po imieniu, a skały witają również w twoim własnym języku, wołając *Mahound, Mahound*. Kiedy wreszcie dochodzisz do jaskini, jesteś zmęczony, kładziesz się, zasypiasz.

* * *

Ale kiedy już wypoczął, wkracza w inny rodzaj snu, coś w rodzaju nie-snu, w stan, który nazywa swoim *śluchaniem*, i odczuwa przewlekły ból w trzewiach, jakby coś próbowało urodzić się i Gibril, który dotąd unosił się-w-górze-spoznając-w dół, odczuwa zmieszanie, *kim jestem*, w takich chwilach zaczyna się wydawać, że archanioł jest w rzeczy samej *wewnątrz Proroka*, ja jestem tym drażeniem w trzewiach, ja jestem aniołem, którego coś wypycha z pępka śpiącego wyłaniam się, Gibril Fariszta, podczas gdy moje drugie ja, Mahound leży, *śluchając*, w transie, jestem z nim związany, pępek z pępkiem lśniącem sznurem świetlnym, niemożliwe jest powiedzieć, który z nas śni drugiego. Płyniemy w obu kierunkach

wzdłuż pępowiny.

Dzisiaj, tak jak przemożną siłę Mahounda, Gibril odczuwa jego rozpacz: jego wątpliwości. Również to, że jest w wielkiej potrzebie lecz Gibril wciąż nie zna swojej roli... słucha słuchania-które-jest-również-pytaniem. Mahound *pyta*: Widzieli cuda, lecz nie uwierzyli. Widzieli, jak przychodzisz do mnie, na oczach całego miasta, i otwierasz moją pierś, widzieli, jak obmywasz moje serce w wodach Zam-zam i wkładasz je na powrót do ciała. Wielu z nich widziało to, lecz wciąż czczą kamienie. A kiedy przyszedłeś nocą i sprawiłeś, że poleciałem do Jerozolimy i uniosłem się nad świętym miastem, czyż nie powróciłem i nie opisałem dokładnie jego wyglądu, do najdrobniejszego szczegółu? Tak aby nie było żadnych wątpliwości co do cudu, a mimo to udali się do Lat. Czyż nie zrobiłem już wszystkiego, co w mojej mocy, aby uprościć im wszystko? Kiedy zaniósłeś mnie przed sam Tron, Allah obarczył wiernych ogromnym ciężarem czterdziestu modlitw dziennie. W drodze powrotnej spotkałem Mojżesza, a on powiedział, że ten ciężar jest zbyt wielki, zawróć i błagaj o mniej. Czterokrotnie zawracałem, czterokrotnie Mojżesz mówił, wciąż zbyt wiele, wróć jeszcze raz. Lecz za czwartym razem Allah zmniejszył obowiązującą ilość do pięciu modlitw i odmówiłem powrotu. Wstyd mi było błagać dalej. W swojej szczodrości prosi jedynie o pięć zamiast czterdziestu, a mimo to oni uwielbiają Manat, oni chcą Uzzy. Co mam robić? Jakie modlitwy odmawiać?

Gibril zachowuje milczenie, nie potrafi odpowiedzieć, na miłość Boską, Bhai, przestań zadawać mi pytania. Udręka Mahounda jest straszliwa. *Pyta*: czy to możliwe, że one są aniołami? Lat, Manat, Uzza... czy mogę nazywać je anielskimi? Gibrilu, czy ty masz siostry? Czy one są córkami Boga? A on karze sam siebie, O moja próżności, jestem zarozumiałym człowiekiem, czy to jest słabość, czy to jest sen o potędze? Czy mam zdradzić siebie w zamian za stołek w radzie miejskiej? Czy jest to rozsądne i mądre, czy też próżne i egoistyczne? Nie wiem nawet, czy Abu Simbel jest szczery. Czy on wie? Być może nawet nie on. Jestem słaby, a on jest mocny, ta oferta daje mu wiele sposobów, żeby mnie zniszczyć. Lecz ja, również, mam wiele do zyskania. Dusze całego miasta, całego świata, czy z całą pewnością są one warte trzech aniołów? Czy Allah jest tak nieugięty, że nie przyjmie trzech dalszych bóstw, aby ocalić rodzaj ludzki? — Nic nie wiem. — Czy Bóg powinien być dumny czy też pokorny, majestatyczny czy prosty, uступliwy czy nie? — *Jakiego rodzaju idea on jest? Jaką jestem ja?*

* * *

Zawieszony gdzieś pomiędzy jawą a snem, Gibril Fariszta często czuje ura-

zę z powodu nieobecności, w prześladowających go wizjach, Tego, który powinien znać odpowiedzi. *On* nigdy się nie pojawia, ten, który trzymał się z daleka, kiedy umierałem, kiedy potrzebowałem. Ten, o którego tu naprawdę chodzi, Allah Iszwar Bóg. Jak zawsze nieobecny, kiedy wijemy się i cierpimy w jego imię.

Najwyższa Istota wciąż trzyma się z dala; natomiast to, co wciąż powraca, to ta scena, pogrążony w ekstazie Prorok, wypychanie, świetlny sznur i wtedy Gibril w swojej podwójnej roli patrzy zarówno z-góry-w-dół, jak i z-dołu-w-górę. I obydwaj wystraszeni do szaleństwa transcendentalnością tego. Gibril czuje się sparaliżowany obecnością Proroka, jego wielkością, myśli, nie mogę się nawet odezwać, wyszedłbym na tak cholernego głupca. Rada Hamzy: nigdy nie dawaj poznać po sobie, że się boisz: rada ta przydaje się na równi archaniołom i nosiwodom. Archanioł musi sprawiać wrażenie opanowanego, co pomyślałby sobie Prorok, gdyby Wyniesiony Przez Boga zaczął niezrozumiale bełkotać z powodu tremy?

Zdarza się: objawienie. W ten sposób: Mahound, wciąż w swoim nie-śnie, sztywnieje, żyły pulsują mu na karku, zwija się w kłębek. Nie, nie przypomina to w niczym epilepsji, nie można tego wytłumaczyć w tak łatwy sposób; jakież to atak padaczki kiedykolwiek zamienił dzień w noc, zgromadził chmury nad głową, a powietrze zageścił jak zupe, podczas gdy anioł wisiałby, blady ze strachu, na niebie, nad cierpiącym, przytrzymywanym jak latawiec na złocistej nitce? Drżenie, znowu to drżenie, a teraz cud zaczyna się w jego moich naszych wnętrzościach, on walczy z czymś z całą siłą, wymusza coś i Gibril zaczyna czuć tę siłę, tę moc, oto jest ona *przy mojej własnej szczęce*, porusza się, otwierając zamykając; i ta moc, zaczynając się gdzieś w samym Mahoundzie, dosięga *moich strun głosowych* i wydobywa się dźwięk.

Nie mój głos nigdy bym nie znał takich słów nie jestem żadnym rasowym mówcą nigdy nie byłem nigdy nie będę lecz to nie jest mój głos to jest Głos.

Oczy Mahounda szeroko otwarte, ma coś w rodzaju objawienia, wpatruje się w to, och, racja, przypomina sobie Gibril, mnie. On mnie widzi. Moje wargi poruszają się, są poruszane. Przez co, przez kogo? Nie wiem, nie umiem powiedzieć. Niemniej jednak, oto i one, wychodzą z moich ust, przez moje gardło, między moimi zębami: te Słowa.

Niewesoło jest być listonoszem Boga, jar.

Alealeale: Boga nie ma w tym filmie.

Bóg wie, czym jestem listonoszem.

* * *

W Dżahilijji czekają na Mahounda przy studni. Chalid nosiwoda, jak zwykle najbardziej niecierpliwy, biegnie do bramy miejskiej, aby wypatrywać. Hamza, jak wszyscy starzy żołnierze przyzwyczajony do własnego towarzystwa, przysiadła w kurzu i rozpoczyna grę w kamyki. Nie ma sensu się spieszyć; czasami nie wraca całymi dniami, tygodniami nawet. A dzisiaj miasto prawie opustoszało, wszyscy poszli do wielkich namiotów na terenie jarmarku, aby przysłuchiwać się zawodom poetów. W ciszy słycać tylko szcęk kamyków Hamzy i gruchanie pary gołębi skalnych, gości z góry Cone. I wtedy słyszą odgłos biegnących stóp.

Przybywa Chalid, bez tchu, wygląda na nieszczęśliwego. Posłaniec powrócił, ale nie kieruje się ku studni Zamzam. Teraz wszyscy zrywają się na równe nogi, zdumieni tym odstępstwem od ustalonej praktyki. Ci, którzy czekali z łodygami i palmowymi liśćmi w dłoniach, pytają Hamzę: W takim razie nie będzie żadnego Przesłania? Lecz Chalid, ciągle łapiąc oddech, kręci głową. — Myślę, że będzie. On wygląda tak jak wtedy, kiedy otrzymał Słowo. Ale nie rozmawiał ze mną i zamiast tego poszedł na jarmark.

Hamza przejmuje kierownictwo, uprzedzając dalsze dyskusje, i idzie przodem. Uczniowie — zebrało się ich około dwudziestu — idą za nim w stronę świętującego miasta, przybierając wyraz pobożnego obrzydzenia. Jedyne Hamza wydaje się cieszyć z wyprawy na jarmark.

Przed namiotami Właścicieli Pstrokatych Wielbłądów znajdują Mahounda, stojącego z zamkniętymi oczyma, przygotowującego się do próby. Zadają mu pełne niepokoju pytania; nie odpowiada. Po chwili wchodzi do namiotu poezji.

* * *

Wewnątrz namiotu widownia wita drwinami przybycie niepopularnego Proroka i jego nędznych niewolników. Jednak w miarę jak Mahound idzie dalej, z mocno zamkniętymi oczyma, wycie i gwizdy powoli milkną i zapada cisza. Mahound nie otwiera oczu nawet na chwilę, lecz jego kroki są pewne, i dochodzi do sceny, nie potykając się ani nie zderzając z niczym. Wspina się po kilku stopniach i wychodzi w jasno oświetloną przestrzeń; oczy w dalszym ciągu pozostają zamknięte. Zebrani tu poeci liryczni, autorzy sławiących zbrodnie panegieryków, recytatorzy prozy poetyckiej i satyrycy — Baal jest tutaj, oczywiście — patrzą z rozbawieniem, ale i z pewnym niepokojem, na lunatycznego Mahounda. Jego uczniowie z trudem torują sobie drogę w tłumie. Skryby walczą o miejsce jak

najbliżej Mahounda, aby zapisać wszystko, cokolwiek powie.

Naczelnik Abu Simbel spoczywa na poduszkach ułożonych na jedwabistym dywanie tuż obok podwyższenia. Obok niego, oślepiąco wspaniała, w złotym egipskim naszyjniku, jego żona, Hind, ten słynny grecki profil, te czarne włosy, tak długie jak jej ciało. Abu Simbel powstaje i woła do Mahounda: — Witaj. — Jest teraz uosobieniem dwornych manier. — Witaj, Mahoundzie, jasnowidzu, wieszczu. — Jest to publiczna deklaracja szacunku i jako taka wywiera wrażenie na zebranych. Uczniów Proroka nie odpycha się już na bok, lecz robi się im miejsce, by mogli przejść. Oszołomieni i mile połechtani idą do przodu. Mahound przemawia, nie otwierając oczu.

— Wielu poetów zebrało się tutaj — mówi dobitnie — i ja nie mogę twierdzić, że jestem jednym z nich. Ale jestem Posłańcem i przynoszę wersety od Tego, który większy jest niż wszyscy tu zebrani.

Widownia zaczyna tracić cierpliwość. Religia jest dobra w świątyni; zarówno Dżahilijczycy, jak i pielgrzymi przybyli tu dla rozrywki. Uciszyć tego faceta! Wyrzucić go! — Lecz Abu Simbel ponownie zabiera głos. — Jeżeli twój Bóg naprawdę przemówił do ciebie — mówi — to cały świat musi tego wysłuchać. — I natychmiast w namiocie zapada zupełna cisza.

— *Gwiazda* — wykrzykuje Mahound, a skryby zaczynają pisać.

— W imię Allaha, Litościwego i Miłosiernego!

— Na Plejady, kiedy zachodzą: Wasz towarzysz nie myli się; ani też nie zbacza.

— Ani też nie przemawia, kierowany własnymi pragnieniami. To jest objawienie, które zostało mu dane: ten, który jest potężny mocą, pouczył go.

— Stał wysoko na horyzoncie: pan siły. A następnie podszedł blisko, bliżej niż na odległość dwóch łuków, i objawił swemu słudze to, co jest objawione.

— Serce sługi było wolne od fałszu, kiedy zobaczył to, co zobaczył. Czy zatem ośmielicie się poddawać w wątpliwość to, co widziano?

— Zobaczyłem go również przy drzewie lotosu, na najdalszym krańcu, nie opodal którego znajduje się Ogród Wytchnienia. Kiedy okrycie tego drzewa przykryło je, nie odwróciłem oczu, ani też moje spojrzenie nie błędziło; i zobaczyłem jedno z największych znaków Pana.

W tym miejscu, bez cienia wahania czy wątpliwości, Mahound recytował dwa dalsze wersety.

— Czy pomyśleliście o Lat i Uzzie oraz Manat, tej trzeciej, tej innej? — Po pierwszym wersecie Hind zrywa się na nogi; Naczelnik Dżahilijji już wcześniej stoi wyprostowany jak struna. A Mahound, z zamkniętymi oczyma, recytuje: — Są one wysoko postawionymi ptakami i ich wstawiennictwo jest naprawdę pożądane.

Kiedy hałas — okrzyki, głosy oburzenia, krzyki sławiące boginię Al-Lat — nabrzmiwa i wybuchą całą mocą w namiocie, i tak już zdumiona widownia ogłą-

da podwójnie sensacyjny spektakl Naczelnika Abu Simbela, który kładzie kciuki na płatkach swoich uszu, wachluje palcami obu rąk i wymawia wielkim głosem zakłęcie: „Allahu, Akbar”. Po czym upada na kolana i przyciska rozważnie czoło do ziemi. Jego żona Hind natychmiast bierze z niego przykład.

Nosiwoda Chalid pozostawał cały czas przy odsłoniętym wejściu do namiotu. Teraz, z przerażeniem w oczach, wpatruje się, jak wszyscy tam zgromadzeni, zarówno tłum w samym namiocie, jak i kobiety i mężczyźni, którzy nie zmieścili się wewnątrz, zaczynają klękać rząd za rzędem, ruch, który kolistymi falami idzie od środka, od Hind i Abu Simbela, jak gdyby byli kamykami wrzuconymi do jeziora; aż w końcu całe zgromadzenie, na zewnątrz namiotu, a także w nim samym, klęczy z zadartymi-w-górze-tyłkami przed zamkniętym Prorokiem, który uznał opiekuńcze bóstwa miasta. Sam posłaniec w dalszym ciągu stoi, jak gdyby wstrętym mu było przyłączenie się do modłów tego tłumy. Wybuchając płaczem, nosiwoda ucieka do pustego serca miasta piasków. Kiedy tak biegnie, łyzy spływające mu z oczu wypalają dziury w ziemi, jak gdyby zawierały mocny, żrący kwas.

Mahound pozostaje nieruchomy. Nie można dostrzec żadnego śladu wilgoci na rzęsach jego nie otwartych oczu.

* * *

W tę noc osamotniającego triumfu biznesmena w namiocie niewiernych ma miejsce kilka zabójstw, które pierwsza dama Dżahiliji straszliwie pomści dopiero po wielu latach.

Wuj Proroka, Hamza, wracając samotnie do domu, z głową zwieszoną i siwą, w zmierzchu tego przynębiającego zwycięstwa, słyszy ryk, podnosi wzrok i widzi gigantycznego szkarłatnego lwa gotującego się do skoku na niego z wysokich blanków murów miejskich. Zna tę bestię, tę baśń. *Wszystkie kolory tęczy, jakimi mieni się jej szkarłatna skóra, zlewają się z migoczącym blaskiem pustynnych piasków. Z jej nozdrzy zieje grozą wszystkich odludnych miejsc na ziemi. Pluje zarazą, a gdy jakieś wojska ośmielą się zapuścić na pustynię, pożre je w całości.* Poprzez gasnący błękit wieczoru krzyczy do bestii, przygotowując się, tak jak stoi — nieuzbrojony — na spotkanie własnej śmierci. — Skacz, ty skurwielu, mantykoro. Bywało, że dusiłem duże koty gołymi rękoma. Kiedy byłem młodszy. Kiedy byłem młody. — Słyszysz śmiech za sobą i drugi, odległy, zda się wtórujący echem z murów miejskich. Rozgląda się; mantykora zniknął z obwarowań. Otacza go grupa Dżahilijczyków, chichoczących przebierańców powracających z jarmarku. — Teraz, kiedy ci mistycy stali się wyznawcami naszej Lat, widzą nowych bogów za każdym rogiem, no nie? — Hamza, domyślając się, że noc będzie pełna rzeczy

strasznych, powraca do domu i każe sobie przynieść miecz. — Bardziej niż cze-
gokolwiek na świecie — mruczy do wątego, chudego służącego, który usługiwał
mu podczas wojny i pokoju przez czterdzieści cztery lata — nienawidzę przy-
znawania swoim wrogom racji. O wiele lepiej zabić tych skurwieli, zawsze tak
myślałem. Najzręczniejsze, kurwa, rozwiązanie. — Miecz pozostawał schowany
w skórzanej pochwie od dnia, kiedy Hamza został nawrócony przez bratanka, ale
dzisiejszej nocy zwierza się służącemu: — Lew jest na wolności. Pokój będzie
musiał poczekać.

Jest to ostatnia noc świąt Ibrahima. Dżahilijja jest maskaradą i szaleństwem.
Naoliwione tłuste cielska zapaśników przestały się już wić, a siedem poematów
zostało zawieszonych na ścianach Domu Czarnego Kamienia. Teraz śpiewające
kurwy zastępują poetów, a i kurwy tańczące, też z naoliwionymi ciałami, zabie-
rają się do pracy; dzienne zapasy zostają zastąpione nocnymi. Kurtyzany tańczą
i śpiewają w złotych maskach z ptasimi dziobami, a złoto odbija się w lśniących
oczach ich klientów. Złoto, wszędzie złoto, w łapach spekulujących Dżahilijczy-
ków i ich lubieżnych gości, w jaskrawych refleksach piasku, w jarzących się nocą
ścianach miasta. Hamza przemierza smętnie ulice ze złota, mijając nieprzytom-
nych pielgrzymów, podczas gdy towary zarabiają na życie. Zza wszystkich lśni-
ących złotem drzwi słyszy rozmyte w daktylowym winie odgłosy hulanki i ma
wrażenie, że śpiewy i ryczący śmiech, pobrzękiwanie monet ranią go jak śmier-
telne zniewagi. Ale nie znajduje tego, czego szuka, nie tutaj, więc oddala się od
rozświetlonej złotem biesiady i zaczyna przemierzać cienie, polując na widmo
lwa.

I po godzinach poszukiwań znajduje to, co i tak czekałoby w ciemnych zaka-
markach zewnętrznych murów miasta, istotę jego wizji, czerwonego mantykora
z trzema rzędami zębów. Mantykora, który ma błękitne oczy i twarz mężczyzny,
a głos na poły trąby i fletu. Jest szybki jak wiatr, ma szpony skrócone na kształt
korkociągu, a jego ogon miota zatrute kolce. Uwielbia karmić się ludzkim mię-
sem. . . jakaś burda ma tu miejsce. Noże świszczą w ciszy, niekiedy metal z trza-
skiem uderza o metal. Hamza rozpoznaje zaatakowanych mężczyzn: Chalida, Sal-
mana, Bilala. A teraz sam lew, Hamza wyciąga miecz, rozrywając na strzępy ciszę
gniewnym okrzykiem, pędzi przed siebie tak szybko, jak mogą go ponieść sześć-
dziesięcioletnie nogi. Ci, którzy napastują jego przyjaciół, są nierozpoznawalni
pod maskami.

Jest to noc masek. Wcześniej przemierzając rozpustne ulice Dżahilijji z ser-
cem pełnym goryczy Hamza widział kobiety i mężczyzn przebranych za orły,
szakale, konie, gryfy, salamandry, guźce, ptaki-olbrzymy; wynurzając się z mroku
wąskich uliczek, nadeszły dwugłowe węże i skrzydlate byki, znane jako sfinksy
asyryjskie. Dżinny, hurysy, demony zaludniają miasto w tę noc fantasmagorii i po-
żądania. Ale dopiero teraz, w tym ciemnym miejscu, dostrzega czerwone maski,
których szukał. Maski ludzi-lwów: rzuca się ku swojemu przeznaczeniu.

* * *

Ogarnięci zgubną żalością trzech uczniowie zaczęli pić i nie zaznajomieni z alkoholem, wkrótce byli nie tyle nietrzeźwi, co kompletnie zachlani. Stanęli na małym placu i zaczęli lżyć przechodniów, a po jakimś czasie nosiwoda Chalid jął wymachiwać swoim skórzanym workiem na wodę i przechwalać się. Może zniszczyć to miasto, nosi przecież broń ostateczną. Woda: wysprząta plugawą Dżahiliję, zmyje ją, a potem będzie można zacząć na nowo na oczyszczonych białych piaskach. I właśnie wtedy ludzie-lwy zaczęli biec za nimi i po długiej pogoni zostali otoczeni, przy czym pod wpływem strachu alkohol szybko wyparował, już patrzyli w czerwone maski śmierci, kiedy w samą porę zjawił się Hamza.

... Gibril szybuje nad miastem, przyglądając się walce. Kończy się szybko, z chwilą przybycia Hamzy. Dwóch zamaskowanych napastników ucieka, dwaj leżą martwi. Bilal, Chalid i Salman zostali ranni, lecz niezbyt groźnie. Od ich ran poważniejsza jest wiadomość, jaką znaleźli pod maskami zabitych ludzi-lwów. — Bracia Hind — rozpoznaje ich twarze Hamza. — No to dla nas wszystko skończone.

Pogromcy mantykorów, wodo-terrorysty, zwolennicy Mahounda siedzą i płaczą w cieniu miejskich murów.

* * *

Co się tyczy jego, Proroka Posłańca Biznesmena: jego oczy są teraz otwarte. Chodzi po wewnętrznym podwórzu swojego domu, domu żony, i nie chce wejść. Ona ma prawie siedemdziesiąt lat i obecnie czuje się bardziej matką niż kimkolwiek. Ona, bogata kobieta, która wynajęła go dawno temu do zarządzania karawanami. Pierwszą rzeczą, która się jej w nim spodobała, była jego umiejętność zarządzania. A po jakimś czasie pokochali się. Niełatwo jest być olśniewającą kobietą sukcesu w mieście, gdzie bogowie są kobietami, a kobiety zaledwie towarem. Mężczyźni albo się jej bali, albo też uważali, iż jest tak mocna, że nie potrzebuje ich względów, on nie obawiał się jej i dał jej poczucie stałości, którego potrzebowała. Natomiast on, sierota, znalazł w niej jednej wiele kobiet: matkę siostrę kochankę Sybillę przyjaciółkę. Kiedy uważał siebie za szaleńca, ona była tą, która wierzyła w jego wizje. — To jest archanioł — powiedziała mu — a nie jakaś mgła wychodząca z twojej głowy. To jest Gibril, a ty jesteś Posłańcem Boga.

Nie może nie chce widzieć się z nią teraz. Ona przygląda mu się z okna przez rzeźbioną w kamieniu kratę. On nie może przestać chodzić, porusza się po podwórzu w przypadkowej sekwencji nie uświadomionych figur geometrycznych, kreśląc swoimi śladami serię elips, trapezów, rombów, owali, okręgów. W tym czasie ona przypomina sobie, jak wracał ze szlaków karawan, pełen opowieści zasłyszanych w oazach mijanych po drodze. Prorok, Jezus, którego urodziła kobieta imieniem Maria pod drzewem palmowym na pustyni, nie zrodzony z żadnego mężczyzny. Historie, które sprawiały, że oczy jej błyszczały, a potem przygasały zamglone. Przypomina sobie jego pobudliwość: pasję, z którą dowodził, całymi nocami, jeżeli zachodziła potrzeba, że stare koczownicze czasy były lepsze od tego miasta ze złota, którego mieszkańcy porzucali swoje nowo narodzone córki na pustkowiu. W starych plemionach zatroszczono by się nawet o najbiedniejszą sierotę. Bóg jest na pustyni, mawiał, a nie tutaj, w tym absurdalnym miejscu. A ona odpowiadała, Nikt się z tobą nie spiera, mój kochany, jest późno, a jutro czekają księgi rachunkowe.

Ona ma długie uszy; już usłyszała, co powiedział o Lat, Uzzie, Manat. I co z tego? Dawniej chciał ochronić nowo narodzone córki Dżahilijji; dlaczego nie miałyby również wziąć pod swoje skrzydła córek Allaha? Jednak zadawszy sobie to pytanie, kręci głową i opiera się ciężko o chłodną ścianę obok przesłoniętego kamienną siecią okna. Podczas gdy tuż pod nią jej mąż wypacerowuje pięcioboki, równoległoboki, sześcioramienne gwiazdy, a następnie abstrakcyjne i coraz bardziej zawiłe wzory, na które nie ma nazw, jak gdyby nie mógł znaleźć linii prostej.

Jednak kiedy ona zagląda na podwórze kilka chwil później, już go tam nie ma.

* * *

Prorok budzi się w jedwabnej pościeli, z rozsadzającym bólem głowy, w pokoju, którego nigdy nie widział. Za oknem słońce zbliża się do okrutnego zenitu, a na tle bieli rysuje się sylwetka wysokiej zakapturzonej postaci w czarnym płaszczu, nucącej coś cichym, silnym, niskim głosem. Jest to pieśń, którą śpiewają chórem kobiety Dżahilijji, kiedy przy wtórze bębnow wyprawiają swoich mężczyzn na wojnę.

*Atakuj i uściśniemy cię,
Uściśniemy cię, uściśniemy cię,
atakuj i uściśniemy cię,
pościelimy kobierce.*

*Stchórzysz i opuścimy cię,
Zostawimy cię, opuścimy cię,
Cofnij się i nie kochamy cię,
nie w łożu miłosnym.*

Rozpoznaje głos Hind, podnosi się i widzi, że jest zupełnie nagi. Woła do niej: — Czy napadnięto na mnie? — Hind odwraca się do niego, uśmiechając się swoim Hindowym uśmiechem. — Napadnięto? — Przedrzeźnia go i klaszcze, żeby wniesiono śniadanie. Słudzy wchodzą, przynoszą, podają, zabierają, zmywają. Inni pomagają Mahoundowi nałożyć atłasową czarnozłocistą szatę; Hind z przesadą odwraca oczy. — Moja głowa — pyta znowu. — Czy mnie uderzono? — Kobieta staje przy oknie, z nisko zwieszoną głową odgrywając rolę przesadnie skromnej dziewicy. — Och, Posłańcze, Posłańcze — kpi z niego. — Cóż to za nierycerski Posłaniec. Czy nie mogłeś przyjść do mojej komnaty świadomie, z własnej woli? Nie, oczywiście, że nie, brzydzisz się mnie, jestem pewna. — On jednak nie podejmuje jej gry. — Czy jestem więźniem? — pyta i Hind ponownie śmieje się z niego. — Nie bądź głupcem — A następnie, wzruszając ramionami, ustępuje. — Szłam zeszłej nocy ulicami miasta ukryta pod maską, aby przyjrzeć się uroczystościom, i o cóż to się potykam, jak nie o twoje nieprzytomne ciało? Jak pijak w rynsztoku, Mahound. Posłałam służących po lektykę i sprowadziłam cię do domu. Powiedz „dziękuję”.

— Dziękuję.

— Nie sądzę, żeby cię rozpoznano — mówi. — Inaczej pewnie byś już nie żył. Wiesz, co się działo w mieście tej nocy. Ludzie posuwają się za daleko. Moi rodzeni bracia dotąd jeszcze nie wrócili do domu.

Wraca teraz do niego jego szalona, pełna udreki wędrówka po zepsutym mieście, przyglądanie się duszom, które rzekomo ocalił, wpatrywanie się w podobizny feniksów, maski diabłów, potworów i pegazów. Zmęczenie tego długiego dnia, w ciągu którego zszedł z góry Cone, dotarł do miasta, uległ silnym napięciom w namiocie poetów — a później, gniew uczniów, wątpliwości — wszystko to przygniotło go swoim ciężarem. — Zemdlałem — przypomina sobie.

Ona podchodzi do łoża i siada blisko niego, wyciąga palec, znajduje otwór w jego koszuli i gładzi jego pierś. — Zemdlał — mruczy. — To jest słabość, Mahoundzie. Czy ty słabniesz?

Zanim zdąży odpowiedzieć, kładzie na jego wargach palec, który gładził pierś. — Nie mów nic, Mahoundzie. Jestem żoną Naczelnika i żadne z nas nie jest twoim przyjacielem. Mój mąż jest jednak słabym człowiekiem. W Dżahilijji uważa się, że jest przebiegły, ale ja wiem lepiej. On wie, że biorę sobie kochanków, ale nie reaguje na to, ponieważ świątynie znajdują się pod zarządem mojej rodziny. Te — czy tak mam je nazwać — *meczety* twoich nowych aniołów, Lat, Uzzy, Manat — Częstuje go kostkami melona z półmiska, próbuje karmić. On nie pozwala

wkładać sobie do ust owoców, bierze kawałki ręką, je. Ona ciągnie dalej. — Moim ostatnim kochankiem był ten chłopiec, Baal. — Widzi wściekłość na twarzy mężczyzny. — Tak — mówi z zadowoleniem. — Słyszałam, że ci zalazł za skórę. Ale on się nie liczy. Ani on, ani Abu Simbel nie są ci równi. Ale ja tak.

— Muszę już iść — mówi. — Już niedługo — odpowiada mu, wracając do okna. Na krańcach miasta zwijane są namioty, długie sznury wielbłądów przygotowują się do drogi, konwoje wozów już obrały kurs gdzieś hen w dal przez pustynię; karnawał się skończył. Odwraca się znowu do niego.

— Jestem równa tobie — powtarza — a jednocześnie ci przeciwna. Nie chcę, abyś stał się słaby. Nie powinieneś być robić tego, co zrobiłeś.

— Ale ty na tym zyskasz — odpowiada cierpko Mahound. — Nic w tej chwili nie zagraża dochodom, które czerpiesz ze świątyń.

— Nie rozumiesz, w czym rzecz. — Hind mówi łagodnie, podchodząc do niego tak blisko, że ich twarze prawie się stykają. — Jeżeli ty jesteś za Allahem, ja jestem za Al-Lat. A ona nie ufa twojemu Bogu, kiedy on ją uznaje. Jej sprzeciw wobec niego jest nieprzejednany, nieodwołalny i wszechogarniający. Wojna między nami nie może zakończyć się zawieszeniem broni! Twój Bóg to protekcyjnalny łaskawy władca. Al-Lat nie ma najmniejszej ochoty na to, by być jego córką. Jest mu równa, podobnie jak ja tobie. Zapytaj Baala: on ją zna. Podobnie jak zna mnie.

— A więc Naczelnik złamie swoje przyrzeczenie — mówi Mahound.

— Któż to wie — szydzi Hind. — On nie zna nawet samego siebie. Musi skalkulować swoje szanse. Słaby, jak ci już powiedziałam. Ale ty wiesz, że mówię prawdę. Nie może być pokoju między Allahem i Trzema. Ja go nie chcę. Chcę walki. Na śmierć; tego rodzaju ideą jestem. Jaka jesteś ty?

— Ty jesteś piaskiem, a ja wodą — mówi Mahound. — Woda wymywa piasek i unosi ze sobą.

— A pustynia wchłania wodę — odpowiada mu Hind. — Rozejrzyj się wokół siebie.

Wkrótce po jego wyjściu do pałacu Naczelnika przybywają poranieni mężczyźni, zdobywszy się wreszcie na odwagę, żeby powiadomić Hind, że stary Hamza zabił jej braci. Ale nie można już nigdzie znaleźć Posłańca, który znowu, powoli, podąża w stronę góry Cone.

* * *

Gibril, kiedy jest zmęczony, chce zamordować rodzoną matkę za to, że dała mu tak cholernie głupie przezwisko, *anioł*, cóż to za słowo, błaga *co? kogo?*, żeby

mu oszczędzono tego miasta ze snu, miasta rozsypujących się zamków z piasku i lwów o trzech rzędach zębów, dosyć już obmywania serc proroków czy pouczeń, jak odmawiać modlitwy, czy obietnic raju, koniec z objawieniami, finko, khattam-shud. Do czego tęskni: spać jak kamień i nie mieć żadnych snów. Pieprzone sny, przyczyna wszelkich kłopotów ludzkości, filmy podobnie, gdybym był Bogiem, pozbawiłbym ludzi wyobraźni i wtedy może takie biedne skurwysyny jak ja mogłyby dobrze się wyspać. Walcząc ze snem, zmusza oczy, by pozostały otwarte, nie mrugały, aż w końcu czerwień znika z siatkówki i sprawia, że on ślepie, ale jest tylko człowiekiem, w końcu wpada do króliczej nory i oto jest, znowu w Krajinie Czarów, na szczycie góry, i biznesmen budzi się, i raz jeszcze jego pragnienia, jego potrzeby zaczynają oddziaływać, tym razem nie na moje szczęki i głos, ale na całe moje ciało; pomniejsza do swoich wymiarów i przyciąga do siebie, jego pole grawitacyjne jest nieprawdopodobne, tak potężne jak jakaś sakramencka mega-gwiazda. . . i wtedy Gibril i Prorok zwierają się w zapasach, obydwaj nadzy, turlając się, w jaskini czystego, białego piasku, który wznosi się wokół nich jak welon. *Jak gdyby to on uczył się mnie, przenikał, jak gdybym to ja był badany.*

W jaskini, około sto pięćdziesiąt metrów poniżej wierzchołka góry Cone, Mahound mocuje się z Archaniołem, miotając nim z jednej strony na drugą, i powiem wam, że sięga *wszędzie*, jego język w moim uchu jego dłoń wokół moich jąder, nie było nigdy osoby, która by wpadła w taki szal, on musi musi wiedzieć on musi WIEDZIEĆ, a ja nie mam mu nic do powiedzenia, jest dwakroć sprawniejszy ode mnie i czterokroć mądrzejszy, minimum, obydwaj mogliśmy byli wiele się nauczyć słuchając, lecz jasno widać, że on jest jeszcze lepszym słuchaczem ode mnie; tak więc toczymy się kopie my drapiemy, on jest już nieźle pokaleczony, lecz oczywiście moja skóra pozostaje gładka jak u niemowlęcia, nie da się nadziać anioła na cholerny krzew ciernisty, nie da się go zmiażdżyć uderzeniem o skałę. A do tego mają widownię; są tam dzinny i złe demony, i wszelkiego rodzaju zjawy, które przysiadły na głazach, aby obserwować walkę, a na niebie trzy skrzydlate stwory, podobne do czapli albo łabędzi, albo po prostu do kobiet, w zależności od tego, jakiego figla spleta obserwatorowi światło. Mahound kończy sprawę. Umyślnie przegrywa walkę.

Po godzinach czy nawet tygodniach zmagania Mahound leży, w końcu przygwożdżony pod aniołem, to jest to, czego chciał, to jego wola wypełniała mnie i dodawała mi siły, żebym nie dał mu się podnieść, ponieważ archaniołowie nie mogą przegrywać takich walk, to byłoby niewłaściwe, to tylko diabły są pokonywane w takich okolicznościach, tak więc w chwili, kiedy znalazłem się na nim, zaczął płakać z radości, a potem znowu zastosował swoją starą sztuczkę, otwierając mi siłą usta i zmuszając głos, ten Głos, by jeszcze raz wylał się ze mnie, zmuszając, by oblał go całego.

* * *

Na koniec zawodów zapaśniczych z Archaniołem Gibrilem wyczerpany Prorok Mahound zapada w typowy sen poobjawieniowy, lecz tym razem powraca do życia o wiele szybciej niż zwykle. Kiedy odzyskuje świadomość, na tym wysoko położonym pustkowiu nie widać nikogo, żadnych uskrzydłych stworów przypniętych na skałach, i zrywa się na równe nogi, przeniknięty nagłą myślą. — To był Diabeł — mówi w pustkę, uwiarygodniając ją poprzez przydanie jej głosu. — Ostatnim razem to był Szejtan. — Właśnie to *usłyszał* podczas *śluchania*, że został wyprowadzony w pole, że Diabeł przyszedł do niego w przebraniu archanioła, tak więc wersety, które zapamiętał, te, które recytował w namiocie poezji, nie były prawdą, lecz jej diabolicznym przeciwstawieniem, nie boskie, ale szatańskie. Pospiesznie wraca do miasta, aby wymazać te plugawe wersety cuchnące ogniem piekielnym i siarką, usunąć ich zapis na wieki wieków, dzięki czemu przetrwają jedynie w jednym lub dwóch zbiorach podań ludowych wątpliwej wartości i ortodoksyjni tłumacze będą usiłowali napisać je na nowo, lecz Gibril, unoszący się — obserwujący z punktu widzenia najwyżej umieszczonej kamery — zna jeden mały szczegół, drobną rzecz, która stanowi tu niewielki problem, mianowicie, że *obydwa razy to byłem ja, baba, ja za pierwszym razem i ja za drugim razem również*. Z moich ust zarówno oznajmienie jak i odrzucenie, wersety i ich odwrócenie, wszechświaty i antyświaty, ot i cała rzecz, a wszyscy wiemy, w jaki sposób moje usta wprawiono w ruch.

— Za pierwszym razem to był Diabeł — mruczy Mahound, pędząc ku Dżahiliji. — Ale tym razem, anioł, nie ma wątpliwości. Położył mnie na łopatki i przygwoździł do ziemi.

* * *

Uczniowie zatrzymują go w parowach u stóp góry Cone, aby ostrzec go przed furją Hind, która włożyła biały żałobny strój i rozpuściła swoje czarne włosy, pozwalając im unosić się za nią jak burza lub nurzać się w piasku, zacierając ślady jej stóp, przez co wydaje się być wcieleniem samego ducha zemsty. Uciekli z miasta, a Hamza również pozostaje w ukryciu; lecz chodzą słuchy, że Abu Simbel nie przystał jeszcze dotąd na żądania żony, by krew zmyła krew. Wciąż jeszcze oblicza szansę w sprawie Mahounda i bogiń... Mahound, wbrew swoim uczniom, powraca do Dżahiliji, zmierzając prosto do Domu Czarnego Kamienia. Uczniowie, mimo strachu, idą za nim. Zbierają się tłumy, spodziewając się nowe-

go skandalu lub rozczłonkowania, lub innej podobnej rozrywki. Mahound nie rozczarowuje ich.

Staje przed posągami Trzech i ogłasza zniesienie wersetów, które podszeptał mu Szejtan. Wersety te usuwa z prawdziwego tekstu, *al-qur'an*. W ich miejsce pojawiają się nowe wersety, wypowiedziane grzmiącym głosem.

— Czy On ma mieć córki, a wy synów? — Mahound recytuje. — Niezły byłby to podział!

— Są to jedynie imiona, o których śniliście, wy i wasi ojcowie. Allah nie nadaje im żadnej władzy.

Opuszcza osłupiałe ze zdumienia zgromadzenie, nim komukolwiek przyjdzie do głowy podnieść lub rzucić pierwszy kamień.

* * *

Po odrzuceniu Szatańskich wersetów Prorok Mahound wraca do domu, gdzie czeka go pewien rodzaj kary. Rodzaj zemsty — czyjej? Czarnego czy białego? Złogofaceta dobregofaceta? — wywartej, co nie jest niczym niezwykłym, na niewinnych. Żona Proroka, lat siedemdziesiąt, siedzi u stóp witrażowego okna, siedzi wyprostowana, wsparta plecami o ścianę, martwa.

Mahound pogrążony w nieszczęściu, trzyma się na uboczu, przez całe tygodnie nie odzywa się ani słowem. Naczelnik Dżahilijji wprowadza politykę prześladowań, która według Hind rozwija się zbyt wolno. Nowa religia nazywa się *Uległość*; teraz Abu Simbel zarządza, że jej wyznawcy muszą poddać się: przesiedleniu do najnędniejszej dzielnicy miasta, godzinie policyjnej, zakazowi pracy. Poza tym mają miejsce napaści, kobiety opluwane są w sklepach, wierni są maltretowani przez gangi młodych zawadiaków będących pod tajną kontrolą Naczelnika, ogień wrzucany przez okno ląduje pośród nieostrożnych śpiących. A mimo to, co jest jednym z dobrze znanych paradoksów historii, szeregi wiernych mnożą się — zboże, które rośnie cudownie wbrew pogarszającej się glebie i klimatowi.

Otrzymują propozycję od mieszkańców Jasrib, osady położonej w oazie na północy: Jasrib udzieli schronienia tym-którzy-są-ulegli, jeżeli chcą opuścić Dżahilijję. Hamza jest zdania, że powinni odejść. — Tutaj nigdy nie doprowadzisz swego Posłannictwa do końca, bratanku, uwierz mi. Hind nie spocznie, aż nie wyrwie ci języka, nie wspominając już o moich jajach, za przeproszeniem. — Mahound, samotny i pełen różnych myśli w domu swojej żałoby, wyraża zgodę i wierni oddalają się, by poczynić przygotowania. Chalid, nosiwoda, ociąga się z odejściem i zapadłooki Prorok czeka, aż ten zacznie mówić. — Posłańcze, zwątpiłem w ciebie — mówi z zakłopotaniem. — Lecz jesteś mądrzejszy, niż sądziliśmy.

Najpierw mówiliśmy, Mahound nigdy nie pójdzie na kompromis, a ty poszedłeś. Potem powiedzieliśmy, Mahound nas zdradził, lecz niosłeś nam jeszcze głębszą prawdę. Przyniosłeś nam samego Diabła, abyśmy mogli być świadkami uczynków Złego i powalenia go przez Dobro. Wzbogaciłeś naszą wiarę. Żałuję, że tak myślałem.

Mahound odchodzi od światła słonecznego padającego przez okno. — Tak. — Gorycz, cynizm. — To, co zrobiłem, to była cudowna rzecz. Jeszcze głębsza prawda. Przyniesienie wam Diabła. Tak, to do mnie podobne.

* * *

Ze szczytu góry Cone Gibril widzi, jak wierni uciekają z Dżahiliji, pozostawiając jałowe miasto i kierując się ku miejscu, gdzie chłodne palmy i woda, woda, woda. Małymi grupkami, niemal z próżnymi rękoma, przemierzają imperium słońca, w ten pierwszy dzień pierwszego roku w godzinie nowego początku Czasu, który sam narodził się ponownie, kiedy stare umiera za nimi, a nowe ich oczekuje. I któregoś dnia sam Mahound wymyka się. Kiedy jego ucieczka zostaje odkryta, Baal układa pożegnalną odę:

*Jaką ideą
wydaje się „Uległość” dziś?*

*Wylęknioną myślą.
Ideą, która bieży sobie gdzieś.*

Mahound dotarł do swojej oazy; Gibril nie ma tyle szczęścia. Często siedzi teraz w samotności na wierzchołku góry Cone, obmywany przez chłodne spadające gwiazdy, i wtedy spadają na niego z nocnego nieba one, trzy uskrzydłone stworzy, Lat Uzza Manat, trzepocząc wokół jego głowy, usiłując wbić szpony w jego oczy, gryząc, chłoscząc go swoimi włosami, swoimi skrzydłami. Usiłuje zasłaniać głowę rękoma, lecz są niestrudzone w swojej zemście, atakując, kiedy tylko pozwala sobie na wytchnienie, kiedy tylko przestaje być czujny. Walczy z nimi, ale są szybsze, zwinniejsze, uskrzydłone.

Nie ma żadnego diabła, na którego mógłby zrzucić winę. Śniąc nie może spowodować ich zniknięcia.

III

Eloen Deigreken

1

Wiem, czym jest duch, potwierdziła w myśli stara kobieta. Nazywała się Rosa Diamond; miała osiemdziesiąt osiem lat; i mrużąc po belfersku oczy, przez pokryte solą szyby sypialni obserwowała morze przy pełni księżyca. I wiem również, czym nie jest, znowu pokiwała głową, nie jest on luźną skórą ani też trzepoczącym prześcieradłem, a więc precz z tym, tfu, z *całą tą* paplaniną. Co to jest duch? Nie dokończona sprawa, ot co. — I tu starsza pani, metr osiemdziesiąt wzrostu, wyprostowana, z włosami krótko podciętymi jak u mężczyzny, nagle ściągnęła kąciki ust ku dołowi, z upodobaniem robiąc nadąsaną minę greckiej maski, — owinęła robiony na drutach błękitny szal wokół kościstych ramion — i zamknęła, na chwilę, swoje bezsenne oczy, aby modlić się o powrót przeszłości. No, dalejże, przybawajcie wy, okręty Normanów, błagała: zjaw się, Wilusiu Nochalu.

Dziewięćset lat temu wszystko to znajdowało się pod wodą, ten wydzielony kawałek brzegu, ta prywatna plaża, której kamienista płaszczyna wznosiła się stromo ku krótkiemu szeregowi łuszczących się z farby wili, z obdrapanymi szopami na łodzi, zwalonymi po sam dach leżakami, pustymi ramami po obrazach, wiekowymi pudełkami po słodyczach wypchanymi stosami listów przewiązanych wstążką, jedwabną koronkową bielizną przełożoną kulkami naftaliny, doszczętnie zaczytanymi i oplakanymi lekturami młodych niegdyś dziewcząt, kijami do hokeja na trawie, albumami znaczków i całą resztą tego ukrytego i zapomnianego skarbcza wspomnień i minionego czasu. Linia brzegowa uległa zmianie, morze cofnęło się o milę lub więcej, pozostawiając pierwszy zamek Normanów na mieliźnie, daleko od wody, otoczony moczarami, które ciężko doświadczały biedaków żyjących na swoich jakimśtam *parcelach* wszelkiego rodzaju gorączkami błotnymi i bagiennymi. Ona, stara dama, uważała ten zamek za szczątki ryby porzuconej przez jakiś starożytny odpływ, za potwora morskiego przemienionego w kamień przez czas. Dziewięćset lat! Przed dziewięciu wiekami flota Normanów przepłynęła dokładnie przez dom tej Angielki. W bezchmurne noce przy pełni księżyca czekała na jej świetlistego ducha.

Najlepsze miejsce, z którego można przyglądać się ich przybyciu, rozpraszała swoje wątpliwości, widok z głównych trybun. Powtarzanie stało się z czasem otuchą jej starych lat; oklepane zwroty *nie dokończona sprawa, widok z głównych trybun*, dawały jej poczucie trwałości, niezmienności, nieśmiertelności, nie czuła się wtedy pełną pęknięć i niedostatków istotą, którą przecież była. — Kiedy księżyc w pełni zachodzi, ciemność przed brzaskiem, to jest właśnie ich chwila. Falowanie żagla, błysk wiosł i Zdobywca we własnej osobie na dziobie okrętu admirałskiego, żeglujący w górę plaży między obrośniętymi skorupiakami drewnianymi falochronami i kilkoma odwróconymi łódkami. — Ach, swego czasu to widziałam rzeczy, zawsze miałam ten dar, widzenie duchów. — Zdobywca w spiczastym hełmie z przyłbicą przechodzi przez frontowe drzwi, prześlizguje

się między szafkami i kanapami w pokrowcach, podobnie jak rozbrzmiewające w tym domu echo wspomnień i tęsknot; po czym cichnie; *jak grób*.

— Kiedyś, jako dziewczynka na Wzgórzu Bitewnym, lubiła szczegółowo opowiadać zawsze tymi samymi wypolerowanymi przez czas słowami — kiedyś, jako samotne dziecko, znalazłam się całkiem nagle i bez jakiegokolwiek poczucia niezwykłości sytuacji w samym środku wojny. Łuki, maczugi, kopie. Jasnowłosi anglosascy chłopcy skoszeni w słodkim rozkwicie młodości. Harold Arroweye i Wilhelm z ustami pełnymi piasku. Tak, zawsze ten dar, widzenie duchów. — Historia tego dnia, w którym mała Rosa miała wizję bitwy pod Hastings, stała się dla starej kobiety jednym z punktów określających jej istotę, mimo iż często mówiono, że nikt, nawet sama opowiadająca, nie mógłby z całą pewnością przysiąc, że to jest prawda. *Tęsknię za nimi nieraz*, Rosa przebiegła myślą wielokrotnie powtarzane wypowiedzi. *Les beaux jours: kochane, minione dni*. Ponownie przymknęła tęskne oczy. Kiedy je otworzyła, zobaczyła tam, tuż przy brzegu, bez wątpienia, coś, co zaczynało się poruszać.

Oto, co powiedziała głośno w podnieceniu: — Nie mogę w to uwierzyć. — To nieprawda! — Nigdy go *tutaj* nie było! — Na chwiejnych nogach, z głośnym kołatanem w piersiach, Rosa poszła po kapelusz, płaszcz, laskę. W tej samej chwili na zimowym brzegu morza obudził się Gibril Farisza z ustami pełnymi, nie, nie piasku.

Śniegu.

* * *

— Tfu!

Gibril splunął: skoczył na równe nogi, jak gdyby odrzucony przez wyplutą właśnie breję; zyczył Czamczy — jak już wcześniej wspomniano — wszystkiego najlepszego; i jął strzepywać śnieg z przemoczonych szkarłatnych rękawów.

— Boże, jar — krzyknął, przeskakując z nogi na nogę — nic dziwnego, że tym ludziom wyrastają serca z cholernego lodu.

Zaraz jednak szczerzy zachwyty z powodu takiej ilości otaczającego go śniegu wziął górę nad jego pierwotnym cynizmem — wszak był człowiekiem tropików — i zaczął płaszać dookoła z posępną miną i całkowicie przemoczony, lepić kule ze śniegu i ciskać nimi w leżącego twarzą do ziemi towarzysza, udawać bałwana i śpiewać zupełnie dziką i porywającą wersję kolędy „Jingle Bells”. Pierwszy promyk światła pojawił się na niebie, a na tym przytulnym brzegu morza tańczył Lucyfer, gwiazda zaranna.

Jego oddech, należy o tym wspomnieć, w ten czy inny sposób całkowicie utra-

cił swój zapach. . .

— No, dalejże, dziecino — krzyczał niezwycięzony Gibril, w którego zachowaniu czytelnik może dostrzec, i nie byłoby to całkiem niedorzeczne, zaburzenia i nadmierną wesołość, efekty jego niedawnego upadku.

— Wstań i świeć. Weźmy ten kraj szturmem. — Odwrócił się tyłem do wody, wymazując złe wspomnienia, aby zrobić miejsce na inne myśli, zawsze z pasją oczekujący nowości, z pewnością zatknąłby flagę (gdyby tylko takową posiadał), aby ogłosić, że zajmie tę białą krainę, ten nowo odnaleziony ląd, w imieniu ktowieczym. — Spoono — błagał — rusz się, mój mały, czy to twój cholerny koniec? — Pytanie to przywróciło wreszcie mówcy zdrowy rozsądek (albo przynajmniej pchnęło go lekko w tym kierunku). Pochylił się nad wyprostowanym ciałem, nie śmiał go dotknąć. — Nie teraz, stary Czamczo — ponaglał. — Nie teraz, kiedy dotarliśmy tak daleko.

Saladyn: nie umarł, ale płakał. Łzy wywołane szokiem zamarły mu na twarzy. A całe jego ciało pokryte delikatną lodową powłoką, gładką jak szkło, jak gdyby spełniał się jakiś zły sen. W tej miazmatycznej podświadomości wywołanej przez obniżoną temperaturę ciała owładnął nim koszmarny strach, że popeka, że zobaczy, jak jego krew wypływa, bulgucąc, ze szczelin w powłoce, że jego ciało zacznie odłamywać się razem z kawałkami lodu. Był pełen pytań, czy my naprawdę, mam na myśli, dzięki temu, że machałeś rękoma, a potem fale morskie, nie chcesz mi chyba powiedzieć, że one *naprawdę*, jak na filmie, kiedy to Charlton Heston wysunął łaskę, żebyśmy mogli, po dnie morza, nie, to nigdy nie miało miejsca, nie mogło się stać, ale jeżeli nie, wobec tego jak, albo czy my w jakiś sposób pod wodą, eskortowani przez syreny, morze przechodziło przez nas jak gdybyśmy byli rybami albo duchami, czy tak było, tak czy nie, ja muszę. . . ale kiedy otworzył oczy, te pytania stały się równie niewyraźne jak marzenia senne i już nie potrafił objąć ich myślą, ich ogony śmignęły przed nim i zniknęły jak jakieś płetwy. Patrzył w górę, na niebo, i zauważył, że ma ono całkowicie nieodpowiedni kolor, krwistopomarańczowy z zielonymi kropkami, a śnieg jest niebieski jak atrament. Przymrużył oczy, ale kolory nie chciały się zmieniać, co spowodowało myśl, że spadł z nieba w jakąś obcość, w jakieś niewłaściwe miejsce, nie do Anglii, lub może do nie-Anglii, jakiejś fałszywej strefy, lichej dzielnicy, odmienionego państwa. Być może, rozważał błyskawicznie: Piekło? Nie, nie, rozproszył swoje wątpliwości w strachu przed nieświadomością, to nie może być to, jeszcze nie, nie umarłeś jeszcze; ale umierasz.

A więc: poczekalnia dla podróżujących tranzytem.

Zaczął dygotać; wibracje stały się tak intensywne, że przyszło mu na myśl, że może w końcu rozsypać się na kawałki pod wpływem napięcia jak, jak, samolot.

Potem nie było już niczego. Tkwił zawieszony w próżni i gdyby miał przeżyć, musiałby budować wszystko od samego początku, musiałby odkryć ziemię pod swoimi stopami, zanim mógłby zrobić chociaż jeden krok, tylko że nie było

już żadnej potrzeby zwracania sobie głowy takimi sprawami, ponieważ oto tuż przed nim stało to nieuniknione: wysoka, koścista postać Śmierci, w słomkowym kapeluszu z obszernym rondem, w czarnym płaszczu powiewającym na wietrze. Śmierć, wspierająca się na lasce ze srebrną rączką i mająca na nogach oliwkowo-zielone kalosze.

— A co wy tu robicie? — chciała wiedzieć Śmierć. — To teren prywatny. Jest tablica. — Zostało to powiedziane kobiecym głosem, który był nieco drżący i bardziej niż nieco wzruszony.

Chwilę później Śmierć pochyliła się nad nim — *żeby mnie pocatować*, wpadł w niemy popłoch. *Żeby wyssać ze mnie oddech*. Poruszył się nieznacznie, na próżno próbując protestować.

— Nie ma wątpliwości, żyje — powiedziała Śmierć do, kto to był, do Gibrila. — Ale mój drogi. Ten jego oddech: cóż to za *smród*, kiedy on ostatnio mył zęby?

* * *

Oddech jednego stał się słodki, natomiast drugiego, w wyniku jednakowych, lecz przeciwnych tajemniczych procesów, nabrał kwaśności. A czego się spodziewali? Spadając w taki sposób z nieba: czy wyobrażali sobie, że nie będzie żadnych skutków ubocznych? Siła Wyższa okazała zainteresowanie, powinno to być oczywiste dla nich obu, a taka Siła (mówię oczywiście o sobie) ma figlarny, niemal złośliwy stosunek do spadających much. I jeszcze jedna rzecz, bez niedomówień: wielkie upadki zmieniają ludzi. Sądzicie, że *oni* spadli z dużej wysokości? Jeśli chodzi o spadanie, nikomu nie oddam palmy pierwszeństwa, bez względu na to, czy to istota śmiertelna, czy też nie. Z chmur w popioły, w dół kominem, powieście, ze światłaniebios w ogieńpiekieł... pod wpływem stresu wywołanego długim nurkowaniem, jak mówiłem, należy spodziewać się mutacji, a nie wszystkie z nich są przypadkowe. Dobór nienaturalny. Niezbyt to wysoka cena za ocalenie życia, za ponowne narodziny, za *odnowę*, a w dodatku w ich wieku.

Co? Powinienem wyliczyć te zmiany?

Normalny zapach z ust/przykry zapach z ust.

I Rosie Diamond wydawało się, że wokół głowy Gibrila Fariszty, kiedy tak stał tyłem do brzasku dnia, spostrzegła słabą, lecz zdecydowanie złocistą, *poświatę*.

I czy na skroniach Czamczy pojawiły się te zgrubienia, pod jego nasiąkniętym wodą melonikiem, znajdującym się wciąż-na-miejscu?

I, i, i.

* * *

Kiedy jej wzrok padł na dziwną, przypominającą satyra postać Gibrila Farriszy, tańczącego na śniegu w nastroju dionizyjskim, Rosie Diamond nie przyszli na myśl, *powiedzmy*, aniołowie. Dostrzegłszy go ze swojego okna, przez zamgloną solą szybę, zamglonymi wiekiem oczyma, poczuła dwa walnięcia serca, tak bolesne, że przestraszyła się, że może się ono zatrzymać; ponieważ w tym niewyraźnym kształcie zdawała się dostrzegać wcielenie najskrytszego pragnienia swojej duszy. Zapomniała już o najeźdźcach normańskich, jak gdyby nigdy ich nie było, i z wysiłkiem zesłała w dół zbocza pokrytego zdradliwymi kamykami, zbyt szybko zważwszy bezpieczeństwo swoich jeszcze-niezupełnie-dziewięćdziesięcioletnich kończyn, aby móc udawać, że krzyczy na tego nieprawdopodobnego nieznanego za wejście na jej posiadłość.

Zwykle była nieprzejednana w obronie swojego ukochanego skrawka wybrzeża i kiedy latem sobotnio-niedzielnymi turyści zapędzali się na teren powyżej linii przypiływu, spadała na nich *jak wilk na stado owieczek*, tak to nazywała, aby wyjaśnić i aby żądać — To jest mój ogród, chyba widzicie. — A jeśli wczasowicze odpowiadali jej beczelnie — Wynoś się starym krokiem to jest przecie kurwapała, — szła z powrotem do domu po długi zielony wąż ogrodowy i bezlitośnie kierowała strumień wody na ich kraciaste koce i plastikowe kije do krykieta, i butelki z olejkiem do opalania, druzgotała zamki z piasku zbudowane przez ich dzieci i moczyła doszczętnie ich kanapki z kielbasą, cały czas słodko się uśmiechając: *Chyba wam nie przeszkodzi, jeśli tylko podleję swój trawnik... ?* O, tak, była Dziwaczka, znaną we wsi, nie mogli jej zamknąć w żadnym domu starców, przepędzała całą swoją rodzinę, kiedy tylko ośmielali się to zasugerować, noga ich nigdy nie miała stanąć w jej domu, mówiła im, nie zapiszę tej bandzie ani grosza, nie pytając ich o zdanie. Teraz żyła zupełnie samotnie, tydzień po błogosławionym tygodniu nie pojawiał się u niej nikt, nawet Dora Shufflebotham, która przychodziła sprzątać przez całe te lata, Dora umarła we wrześniu, niech spoczywa, niemniej jednak jest zadziwiające w jej wieku, jak to stare próchno radzi sobie, te wszystkie schody, z pewnością ma lekkiego fioła, ale trzeba oddać tej czarownicy sprawiedliwość, wielu zbikowałoby kompletnie w takiej samotności.

Gibril nie został przywitany ani węzłem ogrodowym, ani *uszczypliwościami*. Rosa powiedziała kilka słów, które miały brzmieć jak wyrzut, wstrzymała oddech przy badaniu leżącego i od niedawna zięjącego siarką Saladyna (który w tym momencie nie uchylił swego melonika), a następnie w przypiływie nieśmiałości, który zadziwił ją i przyprawił o nostalgię, wyjąkała słowa zaproszenia, lepiej niech pan wniesie swego przyjaciela do środka z tego zimna, i podreptała w górę plaży, żeby wstawić czajnik, wdzięczna szczypiącemu zimowemu powietrzu za to,

że poczerwieniło jej policzki i oszczędziło, aby użyć tego starego pokrzepiającego zwrotu, *rumieńców*.

* * *

Jako młody człowiek Saladyn Czamcza miał twarz całkiem wyjątkowo niewinną, twarz, która wyglądała tak, jakby nigdy nie dotknęło jej rozczarowanie lub zło, a której skóra była tak delikatna i gładka jak dłoń księżniczki. Bardzo mu się to przydało w postępowaniu z kobietami i, w rzeczy samej, było głównym powodem, dla którego jego przyszła żona Pamela Lovelace się w nim zakochała, jak sama zresztą twierdziła. — Tak okrągła i tak anielska — podziwiała, ujmując w dłonie jego podbródek. — Jak gumowa piłka.

Poczuł się urażony. — Ależ mam kości — zapewnił — Cały *układ* kostny.

— No tak, gdzieś tam w środku — zgodziła się. — Każdy ma.

Przez jakiś czas po tym wydarzeniu prześladowała go myśl, że wygląda jak bezkształtna meduza i chęć złagodzenia tego odczucia była w dużej mierze głównym powodem, dla którego zabrał się za ćwiczenia tego wyniosłego sposobu zachowania, który obecnie stał się jego drugą naturą. Tak więc było rzeczą dość istotną, kiedy po przebudzeniu się z długiego snu, pełnego dręczących nieznośnych mar sennych, pośród których dominowała postać Zini Wakil, zamienionej w syrenę i śpiewającej dla niego z góry lodowej rozdzierająco słodkim głosem, lamentującej nad tym, że nie może towarzyszyć mu na suchym lądzie, przyzywającej go, przyzywającej; — lecz kiedy przyszedł do niej, zamknęła go szybko w sercu swojej góry lodowej, a jej pieśń stała się pieśnią triumfu i zemsty... było to, powtarzam, było to coś poważnego, kiedy Saladyn Czamcza obudził się, spojrzął w lustro oprawione w lakierowaną niebiesko-i-złotą ramę i zobaczył, że patrzy na niego znowu ta anielska buzia sprzed lat; natomiast na swoich skroniach zauważył parę intensywnie zabarwionych opuchniętych miejsc, które świadczyły o tym, że w którymś momencie swoich ostatnich przygód musiał otrzymać kilka potężnych ciosów.

Patrząc w lustro na zmienioną twarz, Czamcza próbował przypomnieć sobie siebie samego. Jestem prawdziwy, powiedział do lustra, z prawdziwą historią i zaplanowaną przyszłością. Jestem człowiekiem, który przykłada wagę do pewnych rzeczy: dokładność, samodyscyplina, rozsądek, dążenie do szlachetności bez uciekania się do tej odwiecznej podpory, Boga. Ideał piękna, możliwości radosnego uniesienia, umysł. Jestem: żonatym mężczyzną. Ale pomimo tej litanii przekorne myśli wciąż go nachodziły. Jak na przykład: że świat nie istnieje poza tą plażą w dole i, teraz, poza tym domem. Że, jeżeli nie będzie uważał, jeżeli będzie pona-

głał bieg spraw, spadnie z krawędzi w chmury. Rzeczy należało *wytwarzać*. Albo znowu: że jeżeli zadzwoniłby do swego domu właśnie teraz, tak jak powinien, jeżeli miałby poinformować swoją kochającą żonę, że wcale nie umarł, nie został rozerwany na strzępy w powietrzu, lecz jest tutaj, na twardej ziemi, jeżeli by zrobił tę wybitnie rozsądną rzecz, osoba, która podniosłaby słuchawkę z drugiej strony, nie rozpoznałaby go. Albo też trzecia myśl: że odgłos kroków, rozbrzmiewający w jego uszach, nie jest jakimś chwilowym dzwonieniem w uszach, wywołanym jego upadkiem, lecz dźwiękiem jakiejś nadchodzącej katastrofy, przybliżającej się, litera po literze, eloen, deigreken, Londyn. *Oto jestem, w domu Babki. Jej wielkie oczy, ręce, zęby.*

Na jego nocnym stoliku stał telefon. Uspokój się, strofował sam siebie. Podnieś słuchawkę, wykręć numer, a twoja równowaga zostanie przywrócona. Takie bredzenie: przecież to do ciebie niepodobne, niegodne ciebie. Pomyśl o jej żalu; zadzwoń do niej teraz.

Była noc. Nie wiedział, która może być godzina. W pokoju nie było zegara, a jego zegarek zniknął gdzieś w trakcie wydarzeń. Powinien nie powinien? — Wykręcił dziewięć cyfr. Po czwartym dzwonku odezwał się głos mężczyzny.

— Co u diabła? — Zaspany, nieznany, znajomy.

— Przepraszam — powiedział Saladyn Czamcza. — Bardzo przepraszam. Pomyłka.

Patrząc na telefon, przyłapał się na tym, że wspomina sztukę, którą oglądał w Bombaju, opartą na angielskim opowiadaniu napisanym przez, nie mógł sobie przypomnieć nazwiska, Tennyson? Nie, nie. Somerset Maugham? — A do diabła z tym. — W tekście oryginalnym, obecnie pozbawionym autora, mężczyzna od dawna uznany za zmarłego powraca po wielu latach nieobecności, jak żywy duch, do miejsca, gdzie niegdyś straszył. Do swojego domu przychodzi w nocy, potajemnie, i zagląda do środka przez otwarte okno. Stwierdza, że jego żona, uważając się za wdowę, powtórnie wyszła za mąż. Na parapecie okiennym dostrzega zabawkę dziecka. Dłuższy czas stoi w ciemności, zmagając się ze swoimi uczuciami; potem zabiera zabawkę z parapetu; i odchodzi na zawsze, nie widziany przez nikogo. W wersji hinduskiej historia była cokolwiek inna. Żona poślubiła najlepszego przyjaciela swojego męża. Powracający mąż stanął przed drzwiami i wkroczył pewnie do środka, nie spodziewając się niczego. Widząc, że jego żona i najlepszy przyjaciel siedzą razem, nie zrozumiał, że są małżonkami. Podziękował swojemu przyjacielowi za pocieszenie żony; ale teraz jest już w domu i wszystko wraca do normy. Małżonkowie nie wiedzieli, w jaki sposób powiedzieć mu prawdę; aż w końcu służący przypadkiem wyjaśnił sytuację. Mąż, którego długa nieobecność najwyraźniej spowodowana była atakiem amnezji, zareagował na wiadomość o ślubie oświadczeniem, że on, również, z pewnością musiał powtórnie się ożenić, w którymś momencie swojej długiej nieobecności w domu; niestety, teraz, kiedy odzyskał pamięć swojego poprzedniego życia, za-

pomniał wszystko, co wydarzyło się od jego zniknięcia. Wyszedł, aby zwrócić się do policji o pomoc w odszukaniu swojej nowej żony, mimo iż nie mógł sobie niczego o niej przypomnieć, ani koloru jej oczu, ani nawet tego prostego faktu, że naprawdę istniała.

Opadła kurtyna.

Saladyn Czamcza, sam w nieznannej sypialni, w obcej piżamie w czerwono-białe prążki, rzucił się na wąskie łóżko i zapłakał. — Cholera ze wszystkimi Hindusami — krzyczał w kneblującą mu usta pościel, jego pięści biły tak mocno w obrębione falbankami poszewki od Harrodsa z Buenos Aires, że pięćdziesięcioletnia tkanina została rozdarta na strzępy. — *Co u diabła. Ależ to wulgarne, ależ, pieprzę to, pieprzę to. Co u diabła.* Ten skurwysyn, te skurwysyny, ich brak *skurwysyńskiego* taktu.

I właśnie w tym momencie przyjechała policja, aby go aresztować.

* * *

Następnego nocy po zabraniu tych dwóch z plaży do swojego domu Rosa Diamond znowu stała przy nocnym oknie swojej starczej bezsenności, wpatrując się w dziewięćsetletnie morze. Ten śmierdzący spał cały czas od momentu, kiedy położyli go do łóżka i obłożyli szczelnie butelkami z gorącą wodą, najlepsza rzecz dla niego, niech nabierze sił. Ulokowała ich na górze, Czamczę w wolnym pokoju, a Gibrila w gabinecie swojego zmarłego męża, i kiedy tak patrzyła w wielką świecącą płaszczyznę morza, słyszała jego kroki tam nad głową, pośród rycin ornitologicznych i ptasich wabików byłego Henry'ego Diamonda, bolasy i bat na byki i lotnicze zdjęcia estancji Los Alamos daleko stąd i dawno temu, męskie kroki w tym pokoju, jak uspokajająco działały. Farisza chodził tam i z powrotem, unikając snów z sobie tylko znanych powodów. A pod jego stopami Rosa, patrząc w górę na sufit, wymówiła szeptem dawno nie wypowiedane imię. Przyzywała go. Martin powiedziała. Nazwisko, które nosił, takie samo jak nazwa najbardziej jadowitego węża jego kraju, żmija. Vibora, *de la Cruz*.

Nagle zobaczyła kształty poruszające się na plaży, jak gdyby wymówienie zakazanego imienia przywołało umarłych. Oby nie znowu, pomyślała i poszła po swoją lornetkę teatralną. Kiedy wróciła, zobaczyła, że plaża pełna jest cieni i tym razem przestraszyła się, ponieważ o ile flota Normanów, kiedy przybywała, przybywała, żeglując dumnie i otwarcie, bez uciekania się do podstępów, te cienie poruszały się ukradkiem, wydając z siebie ciche przekleństwa oraz niepokojące przytłumione ujadanie i szczekanie, wydawały się pozbawione głów, skulone, z luźno zwisającymi kończynami jak gigantyczne wyjęte ze skorupy kraby. Pospiesznie

i ukośnie stawiane ciężkie buty chrzęściły na kamienistej plaży. Mnóstwo ich. Zobaczyła, że dotarli już do jej hangaru na łodzi, na którym szczyrzyła zęby coraz bardziej wyblakła postać jednookiego pirata wymachującego kordem i tego już było za wiele, *na to nie pozwolę*, zdecydowała, potykając się zeszła na dół, po coś ciepłego do ubrania, po drodze zabrała oręż swojej zemsty: duży zwój zielonego węża ogrodowego. Przy drzwiach frontowych zawołała czystym głosem. — Widzę was całkiem wyraźnie. Wychodźcie, wychodźcie, kimkolwiek jesteście.

Zapalili siedem słońc i oślepił ją, i wówczas wpadła w popłoch, oświetlona niebiesko-białym światłem siedmiu reflektorów, wokół których, jak robaczki świętojańskie albo satelity, poruszała się bezładnie chmara mniejszych światła: latarnie latarki papierosy. Kręciło się jej w głowie i na chwilę straciła zdolność różnicowania pomiędzy *wtedy* i *teraz*, przerażona zaczęła mówić, zgaście to światło, czy nie wiecie, że obowiązuje zaciemnienie, Szkop nam się zwali na głowę, jeżeli nie przestaniecie. — Wygaduję brednie — uprzytomniła sobie z odrazą i stuknęła końcem swojej laski w wycieraczkę. Na co, jakby za dotknięciem różdżki czarodziejskiej, policjanci zmaterializowali się w oślepiającym kręgu światła.

Okazało się, że ktoś doniósł o pojawieniu się podejrzanego osoby na plaży, pamiętacie, jak to było, kiedy przyplływali tu w łodziach rybackich, nielegalni imigranci, i dzięki temu pojedynczemu anonimowemu telefonowi pięćdziesięciu siedmiu policjantów przeczesywało teraz plażę, a światła ich latarek tańczyły jak oszalałe w ciemności, policjanci nawet z tak dalekich miejscowości jak Hastings Eastbourne Bexhill-upon-Sea, a nawet delegacja z Brighton, ponieważ nikt nie chciał stracić okazji do rozrywki, dreszczyku emocji podczas pogoni. Pięćdziesięciu siedmiu przeczesywaczom plaż towarzyszyło trzynaście psów, wszystkie węszyły nosem w morskim powietrzu i podnosiły w podnieceniu nogi. Natomiast w górze przy samym domu, z dala od tego pospolitego ruszenia psów i ludzi, Rosa Diamond zaskoczona przyglądała się pięciu policjantom pilnującym wyjść, drzwi frontowych, okien na parterze, drzwi kuchennych, na wypadek, gdyby jakiś domniemany przestępca próbował rzekomej ucieczki; przypatrywała się również trzem mężczyznom w zwyczajnych cywilnych ubraniach, zwyczajnych płaszczach i zwyczajnych kapeluszach, i o takichże twarzach; a przed tą gromadą chodził ze spuszczonego wzrokiem inspektor Lime, powłóczył nogami i pocierał nos, i miał bardziej nabiegłe krwią oczy, i wyglądał starzej, niż na swoje czterdzieści lat. Końcem laski uderzyła lekko w jego pierś, *o tak późnej porze, Frank, co ma znaczyć to*, ale nie miał zamiaru pozwolić, by narzuciła mu swoją wolę, nie dzisiaj, kiedy ludzie z urzędu imigracyjnego obserwują każdy jego ruch, więc niósł dumnie głowę, redukując swoje podbródki.

— Bardzo przepraszam, pani D. — pewne twierdzenie jakoby, — doniesienia, które otrzymaliśmy, — powód by sądzić, — zasługują na zbadanie, — konieczność przeszukania domu, — uzyskano nakaz rewizji.

— Przestań gadać głupstwa, drogi Franku — zaczęła Rosa, ale właśnie trzej

mężczyźni o zwyczajnych twarzach wyprostowali się i jakby zastygli, każdy z nich z jedną nogą lekko podniesioną, zupełnie jak pointery; pierwszy zaczął wydawać jakiś niezwykły syk, co miało chyba oznaczać zadowolenie, natomiast z ust drugiego wyrwał się cichy jęk, a trzeci zaczął przewracać oczyma z osobliwym upojeniem. Następnie wszyscy wyciągnęli ręce, wskazując gdzieś poza Rosę Diamond, na jej oświetlony reflektorami korytarz, gdzie stał pan Saladyn Czamcza, lewą ręką podtrzymując piżamę, od której odleciał guzik, kiedy on rzucił się na łóżko.

Prawą ręką przecierał oczy.

— Bingo — powiedział syczący oficer, natomiast jęczący splótł palce obu rąk pod brodą, żeby pokazać, że wszystkie jego modlitwy zostały wysłuchane, a ten od przewracania oczyma przepchnął się obok Rosy Diamond bez większych ceregieli, mrużąc jedynie: Proszę *mi* wybaczyć, madame.

Następnie nadeszła powódź i Rosa została wepchnięta w kąt własnego salonu przez kołyszące się morze kasków policyjnych, nie mogła więc już dostrzec Saladyna Czamczy, ani też usłyszeć tego co mówi. Nigdy nie usłyszała, jak mówi o rozerwaniu *Bustana* — to jakaś pomyłka, krzyczał, nie jestem jednym z tych waszych imigrantów, potajemnie przemykających się w łodziach rybackich, nie jestem jednym z tych waszych ugandokenijczyków, to nie ja. Policjanci zaczęli szczerzyć zęby, tak, rozumiem proszę pana, z wysokości dziesięciu kilometrów, a potem pan sobie popłynął do brzegu. Ma pan prawo nic nie mówić, chichotali, ale wkrótce parsknęli głośnym rubasznym śmiechem, mamy właściwego ptaszka, nie ma wątpliwości. Lecz Rosa nie dosłyszała protestów Saladyna, przeszkodził jej śmiech policjantów, musicie mi uwierzyć, jestem Brytyjczykiem, mówił, w dodatku z prawem zamieszkania, ale kiedy nie mógł okazać paszportu ani żadnego innego dokumentu tożsamości, zaczęli płakać z uciechy, łzy spływały nawet po obojętnych twarzach tych w cywilnych ubraniach z urzędu imigracyjnego. Oczywiście, nie musisz mi mówić, chichotali, wypadły ci z marynarki, kiedy spadałeś, a może to syreny powyciągały ci wszystko z kieszeni? Rosa nie mogła widzieć w tym falującym śmiechem rozkołysaniu ludzi i psów, co robią ręce w mundurach z rękoma Czamczy, albo ich pięści z jego żołądkiem, albo buty z jego goleniami; ani też nie mogła być całkiem pewna, czy to on krzyknął, czy było to tylko wycie psów. Ale w końcu usłyszała jego ostatni rozpaczliwy krzyk: — Czy żaden z was nie ogląda telewizji? Czy nie widzicie? Jestem Maksym. Maksym Obcy.

— Rzeczywiście — powiedział oficer z wybałuszonymi oczyma. — A ja jestem Kermit Żaba.

To, czego Saladyn Czamcza nigdy nie powiedział, nawet wtedy, gdy było jasne, że coś jest bardzo nie w porządku: — Oto londyński numer telefonu — zaniedbał poinformowania o tym aresztujących go policjantów. — Na drugim końcu linii znajdziecie osobę, która poręczy za mnie, za prawdziwość tego, co mówię, moją śliczną, białą żonę, Angielkę. Nie, mój panie. *Co u diabła.*

Rosa Diamond zebrała swoje siły. — Chwileczkę, Franku Lime — zawołała. — Słuchajcie no — lecz ci trzej w cywilnych ubraniach ponownie rozpoczęli swoją dziwną procedurę syków jęków przewracania oczyma i w ciszy, która nagle zapanowała w tym pokoju, przewracacz oczyma wskazał drżącym palcem na Czamcę i powiedział: — Szanowna pani, jeżeli to jest ten dowód, którego pani szukała, to naprawdę nie mogła pani znaleźć czegoś lepszego, niż *to tam*.

Saladyn Czamcza, idąc w ślad za wskazującym palcem Wyłupiastookiego, sięgnął rękoma do czoła i wtedy zrozumiał, że obudził się w jednym z najbardziej przerażających koszmarów sennych, w koszmarze, który właśnie się rozpoczął, ponieważ tam, u jego skroni, wydłużając się z każdą chwilą i na tyle ostre, że mogły kaleczyć do krwi, rysowały się dwa nowiuteńkie, koźle, niezaprzeczalne rogi.

Zanim armia policjantów zabrała Saladyna Czamcę w nowy etap jego życia, miało miejsce jeszcze jedno nieoczekiwane zdarzenie. Gibril Fariszta, widząc blask świateł i słysząc szalony śmiech stróżów porządku publicznego, zszedł na dół ubrany w kasztanową bonzurkę i bryczesy wybrane z szafy Henry'ego Diamonda. Roztaczając lekką woń naftaliny, stał na półpiętrze i przyglądał się zebraniu bez słowa. Stał tam nie zauważony, dopóki Czamcza, prowadzony w kajdankach i bez butów do sukki, wciąż trzymając kurczowo swoją piżamę, nie spostrzegł go i nie zawołał — Gibril, na litość boską, powiedz im co i jak.

Syczący Jęczący Wyłupiastooki ochoczo zwrócili się ku Gibrilowi. — A któż to taki? — zapytał inspektor Lime. — Jeszcze jeden podniebny nurek?

Ale słowa zamarzyły mu na ustach, ponieważ w tym właśnie momencie wyłączono reflektory, rozkaz taki został wydany wcześniej, kiedy Czamcę formalnie aresztowano, nakładając mu kajdanki, a w ciemnościach, które zapadły po zgaśnięciu siedmiu słońc, wszyscy obecni zdali sobie sprawę z tego, że blade, złociście światło wydobywające się gdzieś w pobliżu mężczyzny w bonzurce, w rzeczy samej wypływa łagodnie z punktu znajdującego się tuż za jego głową. Inspektor Lime już nigdy nie wrócił do tematu tego światła, a gdyby zapytano go o nie, zaprzeczyłby, że kiedykolwiek widział taką rzecz, aureola, pod koniec dwudziestego wieku, nie dam się nabrać.

W każdym razie, gdy Gibril zapytał, „Czego ci ludzie chcą?“, wszyscy obecni zostali owładnięci pragnieniem, aby odpowiedzieć na jego pytanie dokładnie i szczegółowo, aby podzielić się swoimi własnymi tajemnicami, jak gdyby był, jak gdyby, ależ nie, to śmieszne, będą kręcić głowami przez całe tygodnie, aż wszyscy wyperswadują sobie, że zrobili to, co zrobili, kierując się czystą logiką, on jest starym przyjacielem pani Diamond, we dwójkę znaleźli tego łobuza Czamcę ledwie żywego na plaży i przenieśli go do domu z humanitarnych powodów, nie ma potrzeby dalej niepokoić ani Rosy, ani pana Fariszty, godniej wyglądającego dżentelmena nie można sobie wyobrazić, w swojej bonzurce i swojej, swojej, no cóż, ekscentryczność nigdy nie była zbrodnią, w każdym razie.

— Gibril — powiedział Saladyn Czamcza — pomóż.

Ale Rosa Diamond zdołała przyciągnąć wzrok Gibrila.

Spojrzał na nią i nie mógł już oderwać oczu. Następnie kiwnął głową i poszedł z powrotem na górę. Nikt nie usiłował go zatrzymać.

Kiedy Czamcza doszedł do suki, zobaczył, że zdrajca, Gibril Fariszta, patrzy na niego z góry, z małego balkonu sypialni Rosy, a wokół głowy skurwysyna nie świeci żadne światło.

Kan ma kan / Fi qadim azzaman... Było tak, a może nie było, dawno, dawno temu, w krainie srebra, Argentynie, żył sobie pewien Don Enrique Diamond, który wiele wiedział o ptakach, a mało o kobietach, i jego żona, Rosa, która nie wiedziała nic o mężczyznach, ale sporo o miłości. Pewnego dnia tak się złożyło, że seniora, odbywając konną przejażdżkę w damskim siodle, ubrana w kapełusz z piórem, znalazła się przy wielkiej kamiennej bramie estacji Diamondów, stojącej zupełnie zwariowanie w samym środku pustych pampasów, i dostrzegła strusia pędzącego w jej stronę co sił, uciekał on, ratując życie, stosując wszystkie możliwe sztuczki i pomysły, jakie tylko przyszły mu do głowy; bowiem struś jest przebiegłym ptakiem, trudnym do złapania. W pewnej odległości za strusiem widać było chmurę pyłu, pełną dźwięków wydawanych przez polujących myśliwych i kiedy struś był raptem dwa metry od Rosy, chmura wyrzuciła z siebie bolę, która owinęła się wokół jego nóg i w końcu powaliła go z hukiem u kopyt jej konia. Mężczyzna, który zsiadł z wierzchowca, aby zabić ptaka, ani przez moment nie spuścił wzroku z twarzy Rosy. Wyjął z pochwy przy swoim pasie nóż o srebrnej rękojeści i zanurzył go w szyi ptaka, aż po koniec ostrza, a robiąc to, ani razu nie spojrzął na umierającego strusia, wpatrując się w oczy Rosy Diamond, kiedy tak klęczał na rozległej żółtej ziemi. Nazywał się Martin de la Cruz.

Po aresztowaniu Czamczy Gibril Fariszta często zastanawiał się nad swoim postępowaniem. W tej krótkiej nierealnej chwili, kiedy usidliły go oczy starej Angielki, wydawało mu się, że nie ma już własnej woli, którą mógłby się kierować, że decydują teraz potrzeby innej osoby. Ponieważ był oszołomiony tym, co się ostatnio wydarzyło, jak również zdecydowany nie poddawać się snowi tak długo, jak to jest możliwe, dopiero po kilku dniach powiązał w logiczną całość to, co działo się na świecie za jego powiekami, i dopiero wtedy zrozumiał, że musi się wyrwać, ponieważ wszechświat koszmarów sennych zaczął przenikać do życia na jawie, i że jeżeli nie będzie uważał, nigdy nie uda mu się rozpoznać od nowa, odrodzić się z nią, przez nią, Alleluja, która widziała dach świata.

Był zgorszony sobą samym, kiedy zdał sobie sprawę z tego, że dotąd w ogóle nie próbował skontaktować się z Allie; nie usiłował pomóc Czamczy w potrzebie. Ani też nie zaniepokoiło go wcześniejsze pojawienie się na głowie Saladyna pary wspaniałych nowych rogów, rzecz, która z pewnością powinna była wzbudzić pewne zaniepokojenie. Trwał w pewnego rodzaju ekstazie i kiedy zapytał starą damę, co ona sądzi o tym wszystkim, uśmiechnęła się tajemniczo i powiedziała mu, że nie jest to nic nowego pod słońcem, ona widziała rzeczy, zjawy mężczyzn w hełmach z rogami, w tak starożytnej krainie jak Anglia nie ma już miejsca na

nowe historie, każde źdźbło trawy w darni było deptane setki tysięcy razy. Wielokrotnie przez dłuższy czas mówiła ona rzeczy bez związku i mieszała fakty, ale innymi razy upierała się i gotowała mu obfite pożywne posiłki, zapiekanki z mięsa i ziemniaków, kruche ciasto z rabarbarem i gęstym słodkim kremem z mleka i jaj, ragout w tłustym i gęstym sosie, wszelkiego rodzaju zawiesziste zupy. I cały czas z jakiegoś niewytłumaczalnego powodu sprawiała wrażenie osoby zadowolonej, jak gdyby sama jego obecność dawała jej przyjemność w jakiś niezgłębiony, nieoczekiwany sposób. Chodził z nią do wsi na zakupy; ludzie wytrzeszczali oczy; ona nie zwracała na nich uwagi, wymachując swoją władcą laską. Dni mijały. Gibril nie odchodził.

— Niech diabli wezmą tę angielską madam — mówił sobie. — Jakiś okaz wymarłego gatunku. Co ja tu, u diabła, robię? — Ale zostawał, skuty jakimiś niewidzialnymi łańcuchami. Kiedy ona, przy każdej okazji, śpiewała starą pieśń, po hiszpańsku, nie mógł zrozumieć ani słowa. Czy to jakieś czary? Jakaś starożytna Morgan Le Fay wabiąca śpiewem młodego Merlina do swojej kryształowej jaskini? Gibril skierował się ku drzwiom. Rosa powiedziała coś piskliwym głosem; on zatrzymał się. — Dlaczego nie, ostatecznie — wzruszył ramionami. — Stara kobieta potrzebuje towarzystwa. Przywiedła wspaniałość, słowo daje! Patrzcie, na co jej przyszło. W każdym razie ja potrzebuję odpoczynku. Zebrać siły. Tylko kilka dni.

Wieczorami siedzieli w salonie zapchanym srebrnymi ozdobami, pośród których wisiał na ścianie jakiś nóż ze srebrną rękojeścią pod gipsowym popiersiem Henry'ego Diamonda, który spoglądał w dół ze szczytu narożnej szafki, i kiedy stary stojący zegar wybijał szóstą, Gibril nalewał dwa kieliszki sherry, a ona zaczynała mówić, wcześniej jednak musiała wypowiedzieć sakramentalne: *Dziadek spóźnia się zawsze o cztery minuty, ma nienaganne maniery, nie lubi być zbyt punktualny*, które to zdanie pojawiała się regularnie, jak w zegarku. Następnie zaczynała, nie zwracając sobie głowy tym pewnegorazubysobie, i bez względu na to, czy opowiadanie było całe prawdziwe, lub całe fałszywe, widział niepohamowaną energię, która emanowała z jej opowieści, ostatnie desperackie rezerwy jej woli, które wkładała w swoje historie, jedyny pogodny okres, który pamiętam, powiedziała mu, i zrozumiał, że ten worek na skrawki materiału wypełniony mieszaniną wspomnień w rzeczy samej jest jej najgłębszą naturą, jej autoportretem, ten sposób, w jaki patrzyła w lustro, kiedy poza nią nie było nikogo w pokoju, i że jej ulubionym miejscem zamieszkania była tamta srebrna kraina jej przeszłości, a nie ten zrujnowany dom, w którym stale wpadała na przedmioty, — przewracając stoliki do kawy, nabijając sobie siniaki o klamki — i w końcu wybuchała płaczem i krzyczała: Wszystko się kurczy.

Kiedy popłynęła statkiem do Argentyny w 1935, jako świeżo poślubiona żona

Anglo-Argentyńczyka Don Enrique'a z Los Alamos, on wskazał na ocean i powiedział, to jest pampa. Nie poznasz jej wielkości, patrząc tylko na nią. Musisz podróżować przez nią, tę niezmienną, dzień po dniu. W niektórych jej częściach wiatr jest mocny jak cios pięścią, ale jest przy tym absolutnie cichy, uderzy cię mocno, ale niczego nie usłyszysz. Żadnych drzew, oto dlaczego: ani ombii, ani topoli, nic. I musisz uważać na liście drzewa ombii. Śmiertelna trucizna. Wiatr cię nie zabije, ale sok z drzewa może. Klasnęła w ręce jak dziecko: Naprawdę, Henry, cichy wiatr, trujące liście. Mówisz tak, że brzmi to jak bajka. Henry, jasnowłosey ocieżyły mężczyzna o sflaczałym ciele i szeroko otwartych oczach, robił wrażenie przerażonego. *Och, nie*, powiedział. *Aż tak źle to nie jest*.

Przyjechała do tego bezmiaru pod nieskończonym błękitnym sklepieniem nieba, ponieważ Henry nagle się jej oświadczył, a ona dała mu jedyną odpowiedź, jakiej może udzielić czterdziestoletnia stara panna. Ale kiedy już przybyła na miejsce, zadała sobie istotniejsze pytanie: na co ją było stać w tej całej przestrzeni? Na co się mogła powazyć, w jaki sposób mogła się *rozwinąć*? Być dobrą lub złą, powiedziała sobie: ale być *nową*. Nasz sąsiad, doktor Jorge Babington, powiedziała Gibrilowi, nigdy specjalnie mnie nie lubił, wiesz, często opowiadał mi o Brytyjczykach w Południowej Ameryce, zawsze takie wesołe chwasty, mówił z pogardą, szpiedzy i zbóje, i szabrownicy. *Czy nie jesteście tak egzotyczni w swojej zimnej Anglii?* pytał ją, i sam sobie odpowiadał, *seniora, nie sądzę, żeby tak było. Wepchnięci w tę trumnę, którą jest wasza wyspa, musicie szukać szerszych horyzontów, aby dać wyraz tajemniczej części swoich osobowości*.

Tajemnicą Rosy Diamond była tak olbrzymia potrzeba miłości, że wkrótce stało się oczywiste, że jej biedny prozaiczny Henry nigdy temu nie podoła, ponieważ resztki romantyczności, jakie się jeszcze ostały w tym galaretowatym ciele, były zarezerwowane dla ptaków. Sokoły błotne, jerzyki, słonki. Na miejscowych lagunach, pośród sitowia, spędzał w małej łódce swoje najszcześniejsze dni z lornetką przytkniętą do oczu. Kiedyś w pociągu do Buenos Aires wprawił ją w zakłopotanie, demonstrując pasażerom swoje ulubione krzyki ptasie w wagonie restauracyjnym, zwijając ręce w trąbkę wokół ust: oto śpioch, ibis, trupiał. Dlaczego nie możesz być taki, kiedy kochasz się ze mną, chciała zapytać. Ale nigdy nie zadała tego pytania, ponieważ w oczach Henry'ego była porządną kobietą, a namiętność była dziwactwem innych rodów. Stał się generalissimumem tego domostwa i usiłowała stłumić swoje niegodziwe pragnienia. W nocy zaczęła wychodzić na spacer po pampie, kładła się na wznak i patrzyła na nieboskłon ponad sobą i czasami pod wpływem tego jasnego strumienia piękna zaczynała drzeć na całym ciele, drzeć z wielkiej rozkoszy i nucić nieznaną melodię, i ta gwiazdna muzyka była dla niej niemal radością.

Gibril Fariszta: czuł, że jej opowieści owijają się wokół niego jak pajęczyna, zatrzymując go w tym zagubionym świecie, gdzie *pięćdziesięciu zasiadało codziennie do kolacji, cóż to byli za mężczyźni, nasi gauchos, nic w nich służalczego*,

bardzo gwałtowni i dumni, bardzo. Wyłącznie mięsożerni; możesz to zobaczyć na zdjęciach. Podczas długich nocy, bezsennych dla obojga, opowiedziała mu o mgle przychodzącej w czasie upałów nad pampę, kiedy to kilka drzew wystawało z niej jak wyspy, a jeździec wyglądał jak mitologiczny stwór galopujący po powierzchni oceanu. To był jakby *duch morza*. Opowiedziała mu historie, jakich słuchało się przy ogniskach, na przykład o gaucho-ateiście, który udowodnił, że nie ma Raju, kiedy zmarła jego matka, wzywając jej ducha do powrotu przez siedem nocy z rzędu, ósmej nocy ogłosił, na pewno go nie usłyszała, gdyż w przeciwnym razie przyszłaby pocieszyć swojego ukochanego syna; tak więc śmierć musi być końcem. Usidlała go opisami tych dni, kiedy to zjawili się ludzie Perona w białych garniturach i przylizanych włosach, a peoni ich wypędzili, opowiadała o tym, jak Angole budowali linie kolejowe do obsługi ich estancji, o swojej przyjaciółce Claudette, ta to złamała serce, mój drogi, poślubiła faceta o nazwisku Granger, który był inżynierem, sprawiła tym zawód połowie Hurlingham. Wyjechali w teren do jakiejś tamy, którą on budował, i niedługo potem otrzymali wiadomość, że jadą do nich powstańcy, aby wysadzić ją w powietrze. Granger z ludźmi pojechał pilnować tamy, zostawiając Claudette tylko ze służącą, i wyobraź sobie, kilka godzin później przybiegła służąca, seniora, być jeden hombre u drzwi, on taki duży jak dom. Co jeszcze? Kapitan powstańców. — A małżonek pani, madame? — Czekaj na pana przy tamie, tak jak powinien. — Wobec tego skoro on nie uznał za rzecz słuszną chronić pani, rewolucja to uczyni. — I porozstawiał strażę dookoła budynku, mój drogi, niesamowite. Ale w walce obydwaj mężczyźni zostali zabici, mąż i kapitan, i Claudette uparła się, by wyprawić im wspólny pogrzeb, patrzyła, jak dwie trumny są spuszczone do ziemi, jedna obok drugiej, opłakiwała obu. Po tej historii wiedzieliśmy, jakie to niebezpieczne z niej ziółko, trop fatale, no nie? Co? *Trop cholernie fatale.* W nieprawdopodobnej historii pięknej Claudette Gibril usłyszał muzykę tęsknot samej Rosy. W takich chwilach spostrzegął, że ukradkiem patrzy na niego i czuł jakieś szarpnięcie w okolicy pępka, jak gdyby coś usiłowało wyjść na zewnątrz. Wówczas odwracała głowę i uczucie to znikało. Być może był to jedynie efekt uboczny napięcia, w jakim się znajdował.

Zapytał ją którejś nocy, czy widziała rogi wyrastające z głowy Czamczy, lecz przestała słuchać i zamiast odpowiedzi usłyszał, jak to zwykle siadała na stołku przy galpon czy ogrodzeniu dla byków w Los Alamos i byki, zdobywcy nagród na wystawach, podchodziły do niej i kładły swoje rogate łby na jej kolanach. Pewnego popołudnia dziewczyna, Aurora del Soi, która była narzeczoną Martina de la Cruz, pozwoliła sobie na impertynencką uwagę: Myślałam, że kładą one łby tylko na kolanach dziewczyc, którą scenicznym szeptem skierowała do swoich chichoczących przyjaciółek, a Rosa odwróciła się do niej i odpowiedziała słodko, wobec czego może ty zechcesz spróbować, moja droga? Od tego czasu Aurora del Soi, najlepsza tancerka w estancji i najbardziej atrakcyjna ze wszystkich kobiet, stała się śmiertelnym wrogiem tej zbyt wysokiej i zbyt kościstej kobiety zza morza.

— Ty wyglądasz zupełnie jak on — powiedziała Rosa Diamond, kiedy stali przy jej nocnym oknie ramię w ramię, patrząc na morze. — Jego sobowtór. Martin de la Cruz. — Na dźwięk imienia tego kowboja Gibril poczuł tak gwałtowny ból w swoim pępku, porywający ból, jakby ktoś przyczepił hak do jego żołądka, że z jego ust wyrwał się okrzyk. Rosa Diamond sprawiała wrażenie, że tego nie słyszy.

— Popatrz! — krzyknęła uszczęśliwiona. — Tam.

Pędząc wzdłuż nocnej plaży w stronę wieży Martello i obozu wczasowiczów — pędząc blisko skraju wody w ten sposób, że nadchodzący przypływ zmywał jego ślady — robiąc uniki i zmyłki, pędząc co sił w nogach, pojawił się przed nimi dorosły, naturalnej wielkości struś. Uciekał wzdłuż plaży, a oczy Gibrila podążały za nim w zdumieniu, aż zniknął mu w ciemności.

Następna rzecz, jaka się wydarzyła, miała miejsce we wsi. Pojechali do miasta, aby kupić ciasto i butelkę szampana, ponieważ Rosa przypomniała sobie o swoich osiemdziesiątych urodzinach. Rodzina została wykluczona z jej życia, więc nie było żadnych kartek z życzeniami ani telefonów. Gibril nalegał, żeby uczcić tę okazję w jakiś sposób i pokazał jej swój sekret pod koszulą, wypchany pas na pieniądze pełen funtów szterlingów zdobytych na czarnym rynku przed wyjazdem z Bombaju. — Również karty kredytowe, w bród — powiedział. — Nie jestem żadnym tam biednym facetem. Zgódź się, chodźmy. Ja stawiam. Był teraz do tego stopnia więźniem magicznych opowieści Rosy, że z dnia na dzień prawie zapomniał, że ma życie, do którego może wrócić, i kobietę, którą zadziwi po prostu tym, że wciąż żyje, i inne podobne rzeczy. Posłusznie wlokąc się za panią Diamond, niósł jej torbę z zakupami.

Właśnie czekał beczynn timer na rogu ulicy, podczas gdy Rosa gawędziła sobie z piekarzem, kiedy znowu poczuł ten ciągnący hak w swoim brzuchu, zatoczył się na słup latarni i zaczął ciężko łapać powietrze. Usłyszał odgłos kopyt końskich, a następnie zza rogu wyjechał staroświecki dwukołowy wózek ciągnięty przez kucyka, pełen młodych ludzi, na pierwszy rzut oka przebierańców: mężczyźni w obcisłych czarnych spodniach, zdobionych przy łydkach srebrnymi guzami, ich białe koszule rozpięte prawie do pasa; kobiety w szerokich spódnicach z falbanami i licznymi halkami w jaskrawych, purpurowych, szmaragdowych, złotych kolorach. Śpiewali w obcym języku, a ich wesołość, barwność ich strojów sprawiły, że ulica wydawała się szara i tandetna, lecz Gibril zdał sobie sprawę z tego, że dzieje się coś niesamowitego, ponieważ nikt inny nie zwrócił najmniejszej uwagi na wózek. Wtedy właśnie z piekarni wyszła Rosa, trzymając na sznurku, zaczepionym o palec wskazujący lewej dłoni, kołyszące się pudełko z ciastem, i wykrzyknęła: — O, oto i są. Przyjeżdżają na tańce. Zawsze mieliśmy tańce. Wiesz, oni je uwielbiają, mają to we krwi. — A po przerwie: — To były tańce, w czasie których zabił tego sępa.

To były tańce, w czasie których Juan Julia, przezywany Sępem z powodu tru-

piego wyglądu, wypił za dużo i obraził honor Aurory del Soi, i nie przestawał, aż Martin nie miał innego wyboru niż walczyć, *hej, Martin, jaką masz przyjemność z pieprzenia się z tą tam, ona jest cholernie głupia* — Wyjdźmy z tańców — powiedział Martin, i w ciemności na tle szklanych lamp zawieszonych na drzewach wokół miejsca tańców dwaj mężczyźni owinęli poncza wokół przedramion, wyciągnęli noże, krążyli, walczyli. Juan zgiął, Martin de la Cruz podniósł kapelusz zabitego i rzucił go do stóp Aurory del Soi. Podniosła kapelusz i patrzyła, jak odchodzi.

Osiemdziesięciodziewięcioletnia Rosa Diamond w długiej srebrnej obcisłej sukni, z cygarniczką w osłoniętej rękawiczką dłoni i srebrnym turbanie na głowie, piła dzin i grzech z zielonego szklanego trójkąta i opowiadała o starych dobrych czasach.

— Chcę tańczyć — oznajmiła nagle. — To są moje urodziny, a ja jeszcze ani razu nie tańczyłam.

Wysięk tej nocy, którą Rosa i Gibril przetańczyli aż do świtu, okazał się nadmierny dla starszej pani, która następnego dnia padła na łóżko z niewielką gorączką, a ta sprowokowała coraz to dalsze szalone zjawy: Gibril zobaczył Martina de la Cruz i Aurorę del Soi tańczących flamenco na pokrytym dachówkami stromym dachu domu Diamondów, i Peronistów w białych garniturach, którzy weszli na szopę z łodziami, aby przemówić do zgromadzenia peonów o przyszłości: — Pod rządami Perona ziemie te zostaną wywłaszczone i rozdzielone między lud. Brytyjskie linie kolejowe również staną się własnością państwa. Wyrzucmy ich, tych bandytów, tych piratów... — Gipsowe popiersie Henry'ego Diamonda wisiało w powietrzu, przyglądając się scenie, wygarniturzony na biało agitator wskazał palcem na niego i krzyknął, To on, wasz ciemieżca, tu jest ten wróg. Gibril czuł tak silny ból w jamie brzusznej, że obawiał się o swoje życie, lecz w tym samym momencie, kiedy jego racjonalny umysł rozważał możliwość perforacji wrzodu lub zapalenia wyrostka robaczkowego, reszta jego mózgu wyszeptwała prawdę, którą było to, że siła woli Rosy więziła go i manipulowała nim, podobnie jak kiedyś nieprzeparata potrzeba Proroka Mahounda kazała Aniołowi Gibrilowi, przemówić.

— Ona umiera — zrozumiał. — To już nie potrwa długo. Rzucając się na łóżku w ataku gorączki, Rosa Diamond mamrotała coś o truciźnie z ombii i o wrogim do niej stosunku sąsiada, doktora Babingtona, który zapytał Henryka, czy twoja żona jest naprawdę wystarczająco spokojna jak na życie na wsi, i który dał (jako prezent, by wyzdrowiała z tyfusu) egzemplarz relacji Amerigo Vespucciego z jego podróży. — Ten człowiek był znanym notorycznym fantastą, oczywiście — uśmiechnął się Babington — lecz fantazja może być silniejsza od faktów; ostatecznie jego nazwiskiem nazwano kontynent. — W miarę jak słabła, wlewała coraz więcej pozostałych jej sił w swoje własne marzenia o Argentynie i Gibril czuł

się tak, jakby podpalono mu pępek. Leżał w fotelu przy jej łóżku, tak jak się w niego osunął, a ilość zjaw rosła z godziny na godzinę. Powietrze wypełniła muzyka fletów, i, najcudowniejsza rzecz, jaka się mogła stać, mała biała wysepka pojawiła się tuż przy brzegu, a biały piasek sięgał w górę zbocza aż do kępy drzew-albinosów, które były białe, jak kreda, jak papier, do sennych koniuszków liści.

Po przybyciu białej wyspy Gibril zapadł w głęboki letarg. Leżał w fotelu w sypialni umierającej kobiety, powieki stale mu opadały i czuł, że ciężar jego ciała wciąż rośnie, aż w końcu udaremnił wszelkie poruszanie. Następnie znalazł się w innej sypialni, w obcisłych czarnych spodniach ze srebrnymi guzikami wzdłuż łydek i ciężką srebrną sprzączką u pasa. Wzywał pan mnie, Don Enrique, mówił do cichego, ciężkiego mężczyzny o twarzy jakby należącej do białego gipsowego popiersia, ale wiedział dobrze, kto go wzywał, i ani przez chwilę nie spuszczał wzroku z jej twarzy, nawet wtedy, gdy widział rumieniec, który rozlewał się powoli, poczynając od białej kryzy wokół jej szyi.

Henry Diamond odmówił władzom zgody na interwencję w sprawę Martina de la Cruz, *ja odpowiadam za tych ludzi*, powiedziała Rosie, *jest to kwestia honoru*. Natomiast zadał sobie sporo trudu, aby zamanifestować swoje niezachwiane zaufanie do zabójcy, Martina de la Cruz, na przykład mianując go kapitanem drużyny polo na estancji. Jednak Don Enrique zmienił się bardzo od chwili, kiedy Martin zabił Sępa. Coraz łatwiej się męczył, stał się apatyczny, nie interesowały go nawet ptaki. Coś zaczęło się psuć w Los Alamos, początkowo niezauważalnie, później stało się to bardziej oczywiste. Ludzie w białych garniturach wrócili i nikt ich nie wypędził. Kiedy Rosa Diamond zachorowała na tyfus, wielu z estancji odebrało to jako alegorię upadku starego majątku.

Cóż ja tu robię, pomyślał Gibril poważnie zaniepokojony, kiedy tak stał przed Don Enrique w gabinecie ranchera, a Donia Rosa płonęła rumieńcem na dalszym planie, *to miejsce należy do kogoś innego*. — Całkowite zaufanie do ciebie, mówił Henryk w jakimś innym języku, ale mimo to Gibril rozumiał. — Moja żona ma wyruszyć w podróż samochodem, dla nabrania sił, będziesz jej towarzyszył... Obowiązki w Los Alamos nie pozwalają mi z nią jechać. *Teraz muszę się odezwać, co tu powiedzieć*, ale kiedy otworzył usta, wypłynęły z nich nie jego słowa, będą zaszczycony, Don Enrique, trzaśnięcie obcasami, zwrot, wyjście.

Ogarnięta swą osiemdziesięciodziewięcioletnią słabością Rosa Diamond zaczęła śnić swoją historię nad historiami, której strzegła przez przeszło pół wieku, i Gibril znalazł się na koniu za jej hispano-suizą, jeżdżąc od estancji do estancji, poprzez lasek drzew arayana, u stóp wysokich gór, przybывая do groteskowych domostw zbudowanych w stylu szkockich zamków lub hinduskich pałaców, zwiedzając posiadłości pana Cadwalladera Evansa, tego od siedmiu żon, które były uszczęśliwione tym, że każda ma tylko jedną noc obowiązku tygodniowo, oraz terytorium osławionego MacSweena, który rozkochał się w ideach, przybywszy do Argentyny z Niemiec, i powiesił na maszcie estancji czerwoną flagę ze złama-

nym czarnym krzyżem w samym środku białego kręgu. I właśnie na estacji Mac-Sweena natknęli się na tę lagunę, i Rosa po raz pierwszy zobaczyła białą wyspę swojego przeznaczenia, uparła się, by popłynąć nań łodzią na piknik, bez służącej czy szofera, jedynie z Martinem de la Cruz, który miał wiosłować, rozłożyć szkarłatny obrus na białym piasku i podarować jej mięso i wino.

Białe jak śnieg i czerwone jak krew i czarne jak heban. Kiedy wyciągnęła się w swojej czarnej spódnicy i białej bluzce, leżąc w szkarłacie, który z kolei spoczywał na bieli, a on (również ubrany w czerń i biel) nalewał czerwone wino do kieliszka, który trzymała w dłoni obleczonej białą rękawiczką, — i następnie ku własnemu zdziwieniu, *niech to cholera*, kiedy ujął jej rękę i zaczął całować, — coś się stało, obraz zamazał się i w chwilę później leżeli na szkarłatnym obrusie, tarzali się po nim, tak że sery i plastry mięsa na zimno i sałatki i paszteciki zostały zgniecione pod ciężarem ich pożądania i kiedy powrócili do hispano-suizy, nie dało się ukryć niczego przed szoferem lub służącą, gdyż całe ich ubrania były poplamione jedzeniem, — a znowu chwilę później ona odskoczyła od niego, nie ze złością, lecz zasmucona, cofając swoją dłoń i czyniąc lekki ruch głową, nie, a on wstał, skłonił się i odszedł, pozostawiając jej cnotę i obiad nietknięte — te dwie szansę zmieniały się co chwilę, podczas gdy Rosa rzucała się na swoim łóżku, zrobiła-to-nie-zrobiła-tego, tworząc ostatnią wersję swojej biografii, niezdolna zdecydować, którą z nich chciałyby uczynić prawdziwą.

* * *

„Zwariuję chyba — pomyślał Gibril. — Ona umiera, ale ja tracę rozum”. Księżyc odszedł i oddech Rosy był jedynym dźwiękiem w pokoju: chrapała i cicho pomrukiwała, wciągając i ciężko wypuszczając powietrze. Gibril spróbował wstać z fotela, ale stwierdził, że nie może. Nawet w czasie tych przerw pomiędzy wizjami jego ciało pozostawało nieprawdopodobnie ciężkie. Jak gdyby ktoś położył mu na piersi ogromny kamień. A obrazy, kiedy znowu przyszły, nadal były przemieszane, tak więc raz zjawiła się w stodole w Los Alamos i kochał się z nią, a ona raz po raz szeptała jego imię. *Marcin od Krzyża*, — to znowu nie zwracała na niego uwagi w jasny dzień pod czujnym wzrokiem niejakiej Aurory del Sol — niemożliwością było więc odróżnić wspomnienia od pragnień lub od konfesjonalnych prawd zrekonstruowanych z nieczystym sumieniem, — ponieważ nawet na łóżu śmierci Rosa Diamond nie wiedziała, jak spojrzeć na swoje życie.

Światło księżyca wpłynęło do pokoju. Kiedy padło na twarz Rosy, zdało się przenikać ją na wskroś i rzeczywiście Gibril zaczynał rozróżniać wzory na koronkowych haftach poszewki. Następnie zobaczył Don Enrique’a i jego przyjaciela,

purytańskiego i zawsze krytycznie nastawionego doktora Babingtona, stojących na balkonie, tak realnych, jak moglibyście tylko sobie życzyć. Przyszło mu na myśl, że w miarę jak zjawy stają się coraz bardziej wyraźne, Rosa słabnie, marniejąc w oczach, można było powiedzieć, zamieniając się miejscem, można by powiedzieć, z duchami. A ponieważ zdawał sobie również sprawę z tego, że istnienie zjaw zależy od niego, od jego bólu brzucha, ciężaru, który czuł na piersiach, zaczął się obawiać również o swoje życie.

— Chciałeś, abym sfalszował świadectwo zgonu Juana Julii — mówił doktor Babington. — Zrobiłem to ze względu na naszą starą przyjaźń. Ale nie należało tego czynić; rezultat widzę przed sobą. Osłoniłeś mordercę i być może z tego powodu gryzie cię sumienie. Wracaj do domu, Enrique. Wracaj do domu i weź tę swoją żonę, zanim zdarzy się coś gorszego.

— Jestem w domu — powiedział Henry Diamond. — I czuję się dotknięty tym, że tak mówisz o mojej żonie.

— Gdziekolwiek nie osiedliliby się Anglicy, nigdy nie opuszczają Anglii — powiedział doktor Babington, znikając w świetle księżyca. — Chyba że, podobnie jak Donia Rosa, zakochują się.

Chmura przesłoniła na chwilę księżyc i teraz, kiedy balkon był pusty, Gibril Fariszta zdołał wreszcie poderwać się z fotela i stanąć na nogi. Idąc miał wrażenie, że ciągnie po podłodze kulę na łańcuchu, ale jakoś doszedł do okna. Wszędzie jak okiem sięgnąć rosły gigantyczne osty falujące na wietrze. Tam, gdzie kiedyś było morze rozciągał się teraz ocean ostów, dochodzący aż do horyzontu, osty wysokości dorosłego mężczyzny. Usłyszał pozbawiony powłoki cielesnej głos doktora Babingtona, szepczący mu do ucha: — Pierwsza plaga ostów od pięćdziesięciu lat, przeszłość wydaje się powracać. Zobaczył jakąś kobietę, przebiegającą przez gęste, falujące poszycie, boso, z rozpuszczonymi czarnymi włosami. — Ona to zrobiła — usłyszał za sobą wyraźny głos Rosy. — Zdradziła go z Sępem i uczyniła z niego mordercę. Nie mógł po tym patrzeć na nią. Ach, bez wątpienia, ona to zrobiła. Bardzo niebezpieczna, ta tam. Bardzo. — Gibril stracił z oczu Aurorę del Soi, która zniknęła w ostach; jeden miraż przesłaniał następny.

Poczuł, jak coś go od tyłu złapało, obróciło i cisnęło nim tak, że upadł na plecy. Nikogo nie było widać, lecz Rosa Diamond siedziała na łóżku sztywno jakby kij połknęła, patrząc na niego szeroko otwartymi oczyma, dając mu do zrozumienia, że straciła już nadzieję na utrzymanie się przy życiu i że potrzebuje go, aby dokończyć ostatni obraz. Podobnie jak w przypadku tego handlowca ze swoich snów, czuł się teraz bezsilny, nieświadomy czegokolwiek. ... a ona jednak zdawała się wiedzieć, jak wydobyć z niego obrazy. Spostrzegł łączący ich oboje, od pępka do pępka, świetlisty sznur.

Teraz znalazł się przy jakimś stawie w bezkresie ostów, napoił konia, ona podjechała na swojej klaczy. Objął ją, rozebrał, rozpuścił jej włosy, a teraz kochali się. Później szeptała mu, jak mogę ci się podobać, jestem dużo starsza od ciebie, a on

koił ją słowami pocieszenia.

Teraz wstała, ubrała się i odjechała, natomiast on pozostał, ciepłe i ospałe ciało; nie zauważył momentu, kiedy kobieca ręka wysunęła się ukradkiem z ostów i ujęła jego nóż o srebrnej rękojeści. . .

Nie! Nie! Nie, w ten sposób!

Teraz ona podjechała do niego tam przy stawie i w chwili, kiedy zsiadła z konia, patrzyła na niego pełna obaw, on rzucił się na nią, powiedział, że już dłużej nie zniesie jej odmów, upadli razem na ziemię, ona krzyczała, on rwał na niej ubranie, a jej dłonie, kiedy drapała go paznokciami, trafiały na rękojeść noża. . .

Nie! Nie, nigdy, nie! O tak: w ten sposób!

Teraz znowu kochali się, czule, obdarzając się pieścizotami; pojawił się trzeci jeździec i kochankowie zerwali się do ucieczki, każde w inną stronę; następnie Don Enrique wyciągnął mały pistolet i wycelował w serce rywala; —

— i poczuł, że Aurora dźga go nożem w serce, i jeszcze raz, i jeszcze raz, teraz za to, że mnie porzuciłeś, a teraz za tę twoją wielkopańską angielską kurwę, —

— i poczuł, że nóż jego ofiary wchodzi w jego serce, Rosa dźga go raz, drugi i jeszcze raz, —

— i kiedy kula Henryka zabiła go, Anglik wyjął nóż z trupa i po wielokroć wbijał go w krawiącą ranę.

Gibril krzyknął przeraźliwie i stracił przytomność.

Kiedy się ocknął, stara kobieta w łóżku mówiła do siebie tak cicho, że z trudnością mógł rozróżnić słowa. — Przyszedł pampero, południowo-zachodni wiatr, przyginający osty do ziemi. Wtedy właśnie go znaleźli, a może trochę wcześniej. — Kres opowiadania. O tym, jak Aurora del Soi na pogrzebie Martina de la Cruz splunęła Rosie w twarz. Jak załatwiono, że nikt nie zostanie oskarżony o to morderstwo, pod warunkiem, że Don Enrique zabierze Donie Rosę i jak najszybciej powróci z nią do Anglii. Jak wsiedli do pociągu na stacji w Los Alamos, a mężczyźni w białych garniturach stali na peronie w kapeluszach borsalino, dopilnowując ich wyjazdu. Jak, tuż po tym, jak pociąg ruszył, Rosa Diamond otworzyła torbę podróżną leżącą obok niej na siedzeniu i powiedziała wyzywająco, przyniosłam coś. *Małą pamiątkę*. I rozpakowała płócienne zawiniątko, z którego wypadł gauchowski nóż ze srebrną rękojeścią.

— Henryk umarł pierwszej zimy po powrocie. A później już nic się nie stało. Wojna. Koniec. — Przerwała na chwilę. — Zniknąć się w czymś takim, kiedy było się w tak niezmierzonej przestrzeni. To jest nie do zniesienia. — I po chwili milczenia: — Wszystko się kurczy.

Nastąpiła jakaś zmiana w księżycowym świetle i Gibril poczuł, że przygniatający go ciężar ustępuje szybko, tak że miał wrażenie, że uniesie się do sufitu. Rosa Diamond leżała nieruchomo, z zamkniętymi oczyma, jej ręce spoczywały na pstrokatej kołdrze. Wyglądała: *normalnie*. Gibril uświadomił sobie, że nic już

nie powstrzymuje go od opuszczenia tego domu.

Zszedł ostrożnie na dół, krokiem wciąż jeszcze chwiejnym; znalazł ciężki gabardynowy płaszcz, który niegdyś należał do Henryka Diamonda oraz stary filcowy kapelusz z nazwiskiem Don Enrique'a wyszytym na tasie ręka jego żony; i wyszedł, nie oglądając się za siebie. W chwili, gdy opuszczał dom, wiatr zerwał mu kapelusz i pognał, tocząc wzdłuż plaży. Gibril dogonił go, złapał i wciśnął z powrotem na głowę. *Londyn sharif, oto nadchodzi*. Miał miasto w swojej kieszeni: mapa Geographers' London, cała metropolia na kilku złożonych kartkach, od A do Z.

Co mam robić? — zastanawiał się. — Zadzwonić czy nie zadzwonić? Nie, po prostu zjawić się, nacisnąć dzwonek i powiedzieć, dziecino, twoje marzenia sprawdziły się, z łoża oceanu do twojego łóżka, trzeba by czegoś gorszego niż katastrofa lotnicza, by mnie oddzielić od ciebie. — Okay, no, może niezupełnie te słowa, ale coś w tym rodzaju. — Tak, działanie przez zaskoczenie jest najlepszą taktyką. Allie Bibi, a-ku-ku!

I wtedy usłyszał ten śpiew. Dochodził ze starej szopy na łodzie, z wymalowaną na ścianie postacią jednookiego pirata, a pieśń ta była w obcym języku, lecz znajoma: pieśń, nucona często przez Rosę Diamond, głos również był znajomy, chociaż trochę inny, mniej drżący; *młodszy*. Drzwi hangaru z jakichś nie wyjaśnionych powodów były otwarte i skrzypiały poruszane podmuchem wiatru. Poszedł w stronę pieśni.

— Zdejmij płaszcz — powiedziała. Była ubrana tak samo jak w dniu białej wyspy: czarna spódnica i wysokie buty, biała jedwabna bluzka, goła głowa. Rozesłał płaszcz na podłodze hangaru, a jaskra — wopurpurowa podszewka lśniła w niewielkiej błyszczącej światłem księżycy przestrzeni. Położyła się pośród tego przypadkowego rozgardiaszu angielskiego życia, palików do krykieta, poźółkłych abażurów, wyszczerbionych wazonów, składanych stolików, waliz; i wyciągnęła do niego rękę. Położył się u jej boku.

— Jak mogę ci się podobać? — wyszeptała. — Jestem dużo starsza od ciebie.

3

Kiedy w policyjnej karetce bez okien ściągnęli z niego piżamę i Saladyn Czamcza zobaczył te gęste, ciemne kędzierzawe włosy pokrywające jego uda, załamał się po raz drugi tej nocy; tym razem jednak zaczął histerycznie chichotać, zarażony być może nieustającą wesołością swoich strażników. Trzej oficerowie imigracyjni byli w szczególnie dobrych humorach i to właśnie jeden z nich — facet z wyłupiastymi oczyma, noszący nazwisko, jak się wreszcie okazało, Stein — „wyportkował” Saladyna z wesołym okrzykiem — Zaczynamy, Packy; zobaczmy, z czegoż to cię zrobiono! — Ściągnięto czerwono — białe paski z protestującego Czamczy, który na wpół leżał na podłodze furgonu, przy czym czterech tęgich policjantów trzymało go za ramiona, a but piątego przygniatał mu klatkę piersiową, i na którego protesty nie zwracano najmniejszej uwagi w ogólnej wesołej wrzawie. Wciąż walił rogami, a to o obudowę wnętrza na koło, a to o podłogę nie przykrytą wykładziną, czy też o policyjną łydkę — w tych ostatnich przypadkach odczuwający uzasadnioną wściekłość poszkodowany stróż porządku solidnie grzmocił go po twarzy — a więc, w sumie, był przygnębiony jak nigdy dotąd. Niemniej jednak, kiedy zobaczył, co znajdowało się pod pożyczoną piżamą, nie mógł powstrzymać się od chichotu zdumienia.

Jego uda stały się niezwykle szerokie i potężne, no i pokryły się sierścią. Pod kolanem owłosienie kończyło się, jego nogi zwęzły się w twarde, kościste, niemal pozbawione mięśni łydki, kończąc się parą rozczepionych błyszczących kopyt, takich, jakie można zobaczyć u każdego kozła. Saladyn był zaskoczony widokiem, jaki przedstawiał jego fallus, znacznie powiększony i żenująco sztywny, narząd, który z największą trudnością mógł uznać za swój. — A co to takiego? — żartował Novak, uprzednio „Syczący”, szczypiąc go figlarnie. — Może masz ochotę na któregoś z nas? — Na co „Jęczący” oficer imigracyjny, Joe Bruno, klepnął go w udo, dał Novakowi kuksańca pod żebro i krzyknął. — Nie, to nie to. Wydaje się, że naprawdę zapędziliśmy go w kozi róg i jest poirytowany. — Rozumiem — odkrzyknął Novak, a jego pięść przypadkowo uderzyła Saladyna w dopiero co powiększone jądra. — Hej! Hej! — wył Stein, a w jego oczach pokazały się łzy radości. — Słuchajcie, tu mam coś lepszego... nic dziwnego, że jest tak kurewsko rogaty.

Na to wszyscy trzej, powtarzając wielokrotnie — w kozi róg... rogaty... — rzucili się jeden drugiemu w objęcia, wyjął z uciechy. Czamcza chciał się odezwać, ale bał się, że zamiast głosu wydobędzie z siebie kozie beczenie, a poza tym but policjanta zaczął jeszcze bardziej przygniatać jego pierś i było mu trudno wykrztusić cokolwiek. Jedyne, co intrygowało Czamczę, to okoliczność, którą on sam uznał za całkowicie oszałamiającą i wprost niesłychaną — jego metamorfoza w tego tu nadprzyrodzonego diabełka traktowana jest przez innych tak, jak

gdyby była to najbanalniejsza i najoczywistsza sprawa, jaką mogli sobie wyobrazić. „To nie jest Anglia” pomyślał, nie po raz pierwszy, ani ostatni. Ostatecznie, jak to jest możliwe, gdzież w całym tym umiarkowanym i kierującym się zdrowym rozsądkiem kraju było miejsce dla takiej karetki policyjnej, w której mogły dzieć się tak niewiarygodne rzeczy? Zmuszało go to do przyjęcia wniosku, że on naprawdę zginął w eksplodującym samolocie i że wszystko, co nastąpiło później, jest pewnym rodzajem życia po śmierci. Jeżeli tak naprawdę rzeczy się mają, jego uporczywe odrzucanie Nieśmiertelnego zaczyna wyglądać całkiem głupio. — Ale gdzie, w tym wszystkim, był jakikolwiek znak Najwyższej Istoty, łaskawej czy mściwej? Dlaczego Czyściec lub Piekło, czy czymkolwiek mogło być to miejsce, było tak podobne do hrabstwa Sussex, tego od kar i wrózek, które znał każdy uczeń? — A może, przyszło mu do głowy, nie, zginął w katastrofie *Bustana*, ale leży śmiertelnie chory na jakimś oddziale szpitalnym, nękany przez koszmary senne? To wyjaśnienie przemawiało do niego najbardziej, może nie tylko dlatego, że przypominało pewną nocną rozmowę telefoniczną oraz męski głos, które usiłował nadaremnie zapomnieć. . . Poczuł mocne kopnięcie w zębra, na tyle bolesne i realistyczne, że zmusiło go do poddania w wątpliwość wszystkie te teorie o halucynacjach. Skupił się z powrotem na rzeczywistości, tej obecnej, na którą składała się zaplombowana furgonetka zawierająca trzech oficerów imigracyjnych i pięciu policjantów, i to, przynajmniej na razie, był cały wszechświat, jaki miał. Wszechświat strachu.

Novak i pozostali otrząsnęli się już z poprzedniego wesołego nastroju. — Bydłę. — Stein sklął go, aplikując mu jednocześnie serię kopniaków, zawtórował mu Bruno: — Jesteście wszyscy tacy sami. Nie można oczekiwać, że zwierzęta będą przestrzegać cywilizowanych norm. Co? — A Novak podjął przerwany wątek: — Mówimy tu o pierdolonej higienie osobistej, ty mały pierdoło.

Czamacza nie wiedział, o co chodzi. I wtedy zauważył, że na podłodze suki pojawiła się duża ilość miękkich kulek. Poczuł przyptyw goryczy i wstydu. Wyglądało na to, że nawet jego procesy fizjologiczne stały się obecnie koźle. Ależ poniżenie! Był przecież — a przynajmniej dołożył pewnych starań, aby stać się — człowiekiem na pewnym poziomie! Takie mydlenia mogą być dobre dla tej hołoty ze wsi Sylhetu lub warsztatu naprawy rowerów w Gudźranwali, ale on jest z całkiem innej gliny! — Moi dobrzy ludzie — zaczął, starając się nadać swojemu głosowi ton powagi, co ciężko było uczynić, leżąc w tej poniżającej pozycji na plecach i z szeroko rozrzuconymi kopytnymi nogami, pośród toczących się dookoła własnych ekskrementów — moi dobrzy ludzie, zrozumcie swoją omyłkę, zanim będzie za późno.

Novak przyłożył rękę do ucha. — Co to takiego? Co to za hałasy? — zapytał, rozglądając się wokół siebie i Stein mruknął: — Nie mam zielonego pojęcia. — Pokażę wam, jak to brzmiało — zaferował się Joe i przyłożywszy ręce do ust wrzasnął: — Meee-ee-ee! — I ci trzej zaczęli się znowu śmiać, więc Saladyn nie

był w stanie powiedzieć, czy po prostu ubliżają mu, czy też jego struny głosowe zostały naprawdę dotknięte, jak się obawiał, tą makabryczną demonizacją, która zaatakowała go bez najmniejszego ostrzeżenia. Zaczął ponownie dygotać. Noc była niezwykle zimna.

Oficer Stein, który wydawał się być przywódcą trójcy lub przynajmniej kimś w rodzaju primus inter pares, powrócił nagle do tematu bobków toczących się po podłodze karetki. — W tym kraju — poinformował Saladyna — sami sprzątam po sobie.

Policjanci podnieśli Czamczę na kolana. — Zgadza się — powiedział Novak. — Posprzątaj to. — Joe Bruno położył swą olbrzymią łapę na karku Czamczy i pchnął jego głowę ku zaśmieconej bobkami podłodze. — No, zaczynaj już — powiedział tonem człowieka prowadzącego zwyczajną rozmowę. — Szybciej zaczyniesz, szybciej się z tym uwiniesz.

* * *

Nawet w trakcie wykonywania (nie mając wyboru) tego ostatniego i najbardziej niegodziwego rytuału, swojego niczym nie usprawiedliwionego poniżenia, — lub, mówiąc innymi słowy, w miarę jak konsekwencje cudownego ocalenia stały się coraz bardziej piekielne i outré — Saladyn Czamcza zauważył, że trzech oficerowie imigracyjni przestali wyglądać i zachowywać się dziwnie, tak jak na początku. Przede wszystkim w najmniejszym stopniu nie byli już podobni do siebie. Okazało się, że oficer Stein, którego koledzy nazywali „Mack” lub „Jockey”, jest dużym krzepkim mężczyzną o mięsistym nosie w kształcie diabelskiej kolejki z wesołego miasteczka, a akcent, okazało się teraz, miał przesadnie szkocki. — No, teraz git! — powiedział z aprobatą, podczas gdy nieszczęśliwy Czamcza kontynuował przeżuwanie. — Aktor, co nie? Lubię popatrzeć na grę dobrego aktora.

Ta uwaga skłoniła oficera Novaka — to jest „Kima” — którego natura obdarzyła niepokojącą bladą cerą, ascetycznie kościstą twarzą, przywodzącą na myśl średniowieczne ikony, oraz grymasem, który sugerował jakieś głębokie wewnętrzne cierpienie, — do wygłoszenia krótkiej aczkolwiek gwałtownej mowy o swoich ulubionych gwiazdach seriali telewizyjnych oraz prowadzących konkursy i widowiska TV. Wtedy oficer Bruno, który w oczach Czamczy stał się nagle niesamowicie przystojny, ze świecą fryzurą z przedziałkiem pośrodku, która kształt zawdzięczała specjalnemu żelowi, i z blond bródką, dramatycznie kontrastującą z ciemniejszymi włosami na głowie, — Bruno, najmłodszy z trójki, zapytał lubieżnie, no, a co powiecie na podglądanie dziewcząt, to moje hobby. Pod wpływem tej nowej myśli wszyscy trzej zaczęli opowiadać różne anegdotki, które za-

wierały sugestie określonego typu, lecz kiedy pięciu policjantów spróbowało stanąć z nimi w szranki, ci zwarli szeregi, przybrali surowe miny i pokazali szeregowcom, gdzie jest ich miejsce. — Dzieci i ryby — strofował ich pan Stein — głosu nie mają.

W tym momencie Czamcza poczuł straszliwe mdłości, zmuszał się, aby nie zwymiotować, gdyż wiedział, że taki błąd jedynie przedłuży jego mękę. Czołgał się po podłodze karetki, poszukując swoich ekskrementów, a te przelatywały z jednej strony wozu na drugą i policjanci, aby dać upust swojej frustracji wywołanej skarceniem przez oficera, zaczęli z pasją ubliżać Saladynowi i szarpać mu sierść na zadzie, w ten sposób powiększając jego skrępowanie i zmieszanie. Następnie pięciu policjantów w prowokujący sposób zaczęło tworzyć własną wersję rozmowy oficerów imigracyjnych i zabrali się do omawiania walorów różnych gwiazd filmowych, graczy w lotki, zawodowych zapaśników i im podobnych; ponieważ jednak zarozumiałość „Jockeya” Steina wprawiła ich w zły humor, nie byli w stanie zachować abstrakcyjnego i intelektualnego tonu wyższych stopniem i zaczęli klócić się o zalety poszczególnych graczy zespołu Tottenham Hotspur z wczesnych lat sześćdziesiątych w zestawieniu z grą Liverpoolu, silnej współczesnej drużyny, — w trakcie dyskusji zwolennicy zespołu Liverpool doprowadzili do wściekłości fanów Spursów, utrzymując, że wielki Danny Blanchflower jest „zbytkownym” graczem, delikatnym ptysiem, mizernym kwiatem, urodzonym pedulkiem-kwiatulkiem; — na co obrażona klaka zareagowała wrzaskiem, że w Liverpoolu z kolei kibice są pedałami, zwolennicy Spursów mogliby ich roznieść w pył z palcem w dupie. Oczywiście, ci policjanci byli obeznani z technikami stosowanymi przez chuliganów na stadionach piłkarskich, spędziwszy wiele sobót na płytach boiska, gdzie stali tyłem do graczy i obserwowali widzów, i to na różnych stadionach całego kraju, i kiedy dyskusja stawała się coraz gorętsza, doszli do momentu, w którym pragnęli zademonstrować swoim przeciwnikom, co mieli na myśli, używając takich zwrotów, jak: „rozrywanie”, „kopanie w jaja”, „przyskrzynianie” i tym podobne. Zwaśnione strony mierzyły się nawzajem wzrokiem pełnym nienawiści i wtedy wszyscy razem zwrócili uwagę na osobę Saladyna Czamczy. Cóż, raban w karetce policyjnej stawał się coraz głośniejszy, — i prawdą będzie, jeżeli powiem, że częściowo była to wina Czamczy, ponieważ zaczął kwiczeć jak świnia, — a młodzi policjanci walili w różne części jego ciała i żłobili w nich rowki, był dla nich zarówno królikiem doświadczalnym, jak i zaworem bezpieczeństwa, mimo całego swojego podniecenia pilnowali jednak, by uderzenia ograniczyć do miękkich, bardziej umięśnionych części, zmniejszając w ten sposób do minimum niebezpieczeństwo złamań, czy stłuczeń; i kiedy Jockey, Kim i Joey zobaczyli psoty swoich młodszych kolegów, postanowili okazać wyrozumiałość, ponieważ dzieci muszą mieć rozrywkę.

W dodatku, cała ta rozmowa o obserwowaniu ludzi skierowała uwagę Steina, Bruna i Novaka na bardziej doniosłe sprawy i teraz z poważnymi minami i gło-

sem pełnym rozsądku rozmawiali o konieczności, jaka pojawia się w tych czasach wzmożonej obserwacji, i to nie tylko w sensie „kierowania na kogoś wzroku”, lecz również w sensie „czujności” i „inwigilacji”. Doświadczenie młodych policjantów było niezwykle istotne, zaintonował Stein: obserwować tłum, a nie grę. — Nieustanna czujność jest ceną wolności — obwieścił.

— Kwik — wrzasnął Czamcza, który nie mógł opanować się na tyle, by nie przerywać rozmowy. — Aargh, annhh, ołu.

* * *

Po jakimś czasie Saladyna ogarnęło poczucie całkowitej obojętności. Przestał się orientować, jak długo już jedzie tą suką, która uwieńczyła jego gwałtowne wypadnięcie z łask, ani też nie miał odwagi zgadywać, jak blisko jest ich ostateczny cel, mimo że dzwonienie w uszach stawało się coraz głośniejsze, te upiorne kroki jego babki, zaduszki, złe duszki, eloen deigreken, Londyn. Ciosy spadające na niego były teraz miękkie jak pieszczoty kochanki; groteskowy widok jego przemienionego ciała przestał już go przerażać; nawet ostatnie kulki kozich ekskrementów nie pogorszyły stanu jego znękanego żołądka. Niemal pozbawiony czucia skulił się w swoim małym światku, starając się stać jak najmniejszym, w nadziei, że w końcu będzie mógł całkowicie zniknąć i w ten sposób odzyskać wolność.

Rozmowa o technikach inwigilacji pojednała ponownie oficerów imigracyjnych i policjantów, zasypała przepaść, korą wykopały słowa purytańskiej przygany wypowiedziane przez Jockeya Steina. Czamcza, mały robaczek na podłodze karetki, słyszał, jak gdyby przez telefon, dochodzące z oddali głosy swoich przesładowców z ożywieniem mówiących o potrzebie wprowadzenia większych ilości kamer telewizyjnych przy okazji publicznych zgromadzeń i o korzyściach skomputeryzowania informacji, i, co wydawało się całkowicie sprzeczne, o skuteczności karmienia policyjnych koni nadmiernie bogatą mieszanką w noc przed dużym meczem, ponieważ koński rozstrój żołądka powoduje obsypanie maszerujących łajnem, a to zawsze prowokuje ludzi do ekscesów, i *wtedy możemy naprawdę się za nich zabrać, no nie* Nie potrafiąc złożyć tego świata telewizyjnych seriali, meczów dnia, sensacji, w jakąś spójną całość, Czamcza ogłuchł na to trajkotanie i wsłuchiwał się w kroki dźwięczące w jego uszach.

I wtedy oświeciło go.

— Zapytajcie Komputer!

Trzech oficerów imigracyjnych i pięciu policjantów oniemiało, kiedy olbrzymi stwór usiadł na podłodze i huknął na nich. — O co mu chodzi? — zapytał najmłodszy policjant — jeden z kibiców Tottenhamu, jakby nie było — z powąt-

piewaniem. — Czy mam mu znowu przyłożyć?

— Nazywam się Salahuddin Czamczawalla, jestem znany pod nazwiskiem Saladyn Czamcza — wymamrotał pół-koziół. — Jestem członkiem Związku Zawodowego Aktorów, Związku Automobilowego i Klubu Garnek. Numer rejestracyjny mojego wozu jest takiataki. Zapytajcie Komputer. Proszę.

— Kogo próbujesz nabierać? — zapytał jeden z fanów Liverpoolu, ale wydawało się, że mówi niepewnie. — Popatrz na siebie. Jesteś pierdolonym pakistańskim kozłem, Sala — jak to szło? Cóż to za imię dla Anglika?

Czamcza gdzieś jeszcze znalazł odrobinę gniewu. — A oni to co? — zapytał energicznie, ruchem głowy wskazując na imigracyjnych oficerów. — Nie wyglądamy mi na Anglosasów.

Przez chwilę wydawało się, że rzucą się na niego i rozerwą go na strzępy za taką zuchwałość, ale w końcu oficer Novak, ten z twarzą jak pupcia niemowlęcia, chlasnął go tylko kilka razy po gębie, odpowiadając mu: — Jestem z Weybridge, ty skurwielu. Zapamiętaj to sobie: Weybridge, gdzie kiedyś mieszkały te skurwysyńskie Beatlesy.

Stein powiedział: — Lepiej go sprawdź. — Trzy i pół minuty później suka zatrzymała się i trzech oficerów imigracyjnych, pięciu policjantów i jeden kierowca policyjny odbyli naradę wojenną — *ładna historia*— i Czamcza zauważył po zmianie nastrojów, że wszyscy oni, cała dziewiątka, upodobnili się do siebie, pod wpływem napięcia i strachu stali się równi i identyczni. Wkrótce też zrozumiał, że ich rozmowa z Narodowym Komputerem Policyjnym, który natychmiast zidentyfikował go jako Obywatela Brytyjskiego pierwszej klasy, wcale nie poprawiła jego sytuacji, a wręcz przeciwnie, znalazł się w jeszcze większym niebezpieczeństwie niż poprzednio.

— Możemy powiedzieć — zaproponował jeden z dziewiątki — że nieprzytomny na plaży. — To na nic — przyszła odpowiedź, z powodu starej damy i tego starego pryka. — No to wobec tego, stawiał opór przy aresztowaniu i zrobił się niemiły, i w zamieszaniu, które w związku z tym wynikło, właściwie zemdłał. — Albo też, ta stara baba była głupkowata, żaden z nas nie mógł jej zrozumieć, a ten drugi facet jakmutam nie powiedział ani słowa, a jeśli chodzi o tego drania, aż się naprasza, cholera, żeby mu dołożyć, wygląda jak sam diabeł, za kogo mieliśmy go uważać? — No i potem, to on wziął i zemdłał, co więc mieliśmy robić, po sprawiedliwości pytam wysoki sąd, jak nie przywieźć go do szpitala w Centralnym Areszcie, gdzie otrzymałby właściwą opiekę, a później został poddany obserwacji i przesłuchany, takie były, mamy podstawy przypuszczać, nasze wytyczne; co sądzicie o czymś takim? — Dziewięć do jednego, że stara baba i ten drugi zrobią trochę szumu. — Słuchajcie, historię sklecimy później, najważniejsze jest, jak cały czas mówię, żeby stracił przytomność. — Tak jest!

* * *

Czarcza obudził się na łóżku szpitalnym, zielony śluz wydobywał mu się z płuc. Jego kości sprawiały wrażenie, jak gdyby ktoś na dłuższy czas włożył je do lodówki. Zaczął kaszleć, a kiedy dziewiętnaście i pół minuty później atak się skończył, Czarcza zapadł w płytki, niezdrowy sen, nie zorientowawszy się w żadnych szczegółach swojej obecnej sytuacji. Kiedy się ponownie obudził, patrzyła na niego uśmiechnięta przyjaźnie kobieta, która podziałała na niego kojąco. — Na pewno wyzdrowiejesz — powiedziała, poklepując go po ramieniu. — Masz tylko małe zapalenie płuc. — Przedstawiła się jako fizjoterapeutka, Hiacynta Philips. I dodała: — Nigdy nie sądzę osób po pozorach. Nigdy, mój drogi panie. Możesz przestać myśleć o tym, że wygląd jest dla mnie ważny.

Mówiąc to, przewróciła go na bok, postawiła przy jego ustach małe tekturowe pudełko, podkasła białą szlafrok, zrzuciła z nóg buty, skoczyła jak sportswomenka na łóżko i siadła na nim okrakiem, jota w jotę jak gdyby był koniem, na którym miała zamiar wprost wyjechać, przez parawany otaczające jego łóżko, na zewnątrz, bóg jeden wie do jakiej magicznie przemienionej krainy. — Polecenie lekarza — wyjaśniła. — Trzydziestominutowa sesja dwa razy dziennie. — Bez dalszych wstępów zaczęła go energicznie okładać w okolicy pasa swoimi lekko zaciśniętymi, lecz najwyraźniej znającymi się na rzeczy pięściami.

Dla biednego Saladyna, świeżo po przejściach w karetce policyjnej, ta nowa napaść była już kroplą przepełniającą kielich goryczy. Zaczął rzucać się pod okładającymi go pięściami, krzycząc głośno: — Wypuście mnie stąd; czy ktoś zawiadomił moją żonę? — Wysięk wywołał kolejny paroksyzm kaszlu, trwający siedemnaście i trzy czwarte minuty, który zakończył się burą od fizjoterapeutki, Hiacynty. — Szkoda mojego czasu — powiedziała. — Powinnam już skończyć z twoim prawym płucem, a przez to wszystko ledwie zaczęłam. Będiesz się zachowywał przyzwoicie, czy nie? — W dalszym ciągu siedziała na nim okrakiem i skakała w górę i w dół jak jeździec ujeżdżający konia na rodeo, usiłujący za wszelką cenę dotrzeć do dzwonka po dziewięciu sekundach. Jego ciało skręcało się w konwulsjach. Pokonany, przestał walczyć i pozwolił, by uderzeniami wygnatała zielony płyn z jego płonących płuc. Kiedy skończyła, musiał przyznać, że czuje się o wiele lepiej. Zabrała małe pudełko, które było teraz do połowy wypełnione śluzem, i powiedziała wesoło: — Wkrótce będziesz stał mocno na nogach. — Po czym zmieszana zaczerwieniła się, przeprosiła: — Wybacz *mi*. I uciekła, zapominając ustawić parawany na swoich miejscach wokół łóżka.

— Czas zbadać sytuację — mruknął do siebie. Pobieżne badanie ciała powiedziało mu, że jego nowy status mutanty pozostał nie zmieniony. To odkrycie przygnębiło go, przecież miał cichą nadzieję, że jego koszmar skończy się pod-

czas snu. Ubrany był w nową nieznaną pizamę, tym razem jednolicie bładozieloną, której kolor harmonizował zarówno z kolorem firanek, jak i ścian i sufitu, przynajmniej tego ich fragmentu, który mógł dojrzeć, tego tajemniczego i anonimowego oddziału. Jego nogi w dalszym ciągu zakończone były tymi nieszczęsnymi kopytami, a rogi na jego głowie były równie ostre jak przedtem. . . W tym posępnym remanencie przeszkodził mu męski głos dobiegający gdzieś z pobliza, który krzychał w rozdzierającej serce rozpacz: — Och, czy kiedykolwiek ktoś tak cierpiał. . . !

„Co u licha?” — pomyślał Czamcza i postanowił zbadać sprawę. Lecz w tym momencie zaczęło do niego dochodzić wiele innych odgłosów, równie niepokojących jak ten pierwszy. Wydawało mu się, że słyszy różne głosy zwierząt: sapanie byków, piski małp, nawet skrzekliwy głos gadających papug. Następnie, już z innej strony, dobiegły go pomruki i wrzaski jakiejś kobiety, jakby już pod koniec bolesnego porodu; po czym nastąpiło kwilenie noworodka. Jednak kobiece krzyki wcale nie ustawały wraz z pojawieniem się głosu dziecka; wręcz przeciwnie, stały się jeszcze bardziej intensywne i chyba piętnaście minut później Czamcza wyraźnie usłyszał głos drugiego niemowlaka, przyłączający się do pierwszego. Niemniej jednak męka porodowa kobiety nie chciała się zakończyć i w odstępach od piętnastu do trzydziestu minut, co wydawało się wiecznością, wciąż dorzucała nowe niemowlaki do tych już nieprawdopodobnych liczb wymaszerowujących jak armia zdobywców z jej łona.

Jego nos poinformował go również, że to sanatorium, czy jaka tam nie była nazwa tego miejsca, zaczynało również nieprawdopodobnie śmierdzieć; odór dżungli i gospodarstwa rolnego mieszał się z silną wonią podobną do tej, która wydziela się z egzotycznych przypraw smażących się w klarownym maśle — kolendry, kurkumy, cynamonu, kardamonu, goździków. „No, trochę już za dużo tego”, postanowił zdecydowanie. „Czas, żeby wyjaśnić kilka rzeczy”. Zsunął nogi z łóżka, spróbował stanąć i natychmiast upadł, zupełnie nie mógł przyzwyczaić się do swoich nowych nóg. Niemal godzinę stracił na pokonywanie trudności — uczył się chodzić, korzystając z pomocy łóżka i potykając się wokół niego, aż nabrał jako takiej pewności siebie. W końcu chwiejnym krokiem podszedł do najbliższego parawanu; i w tym momencie pojawiła się twarz oficera imigracyjnego, Steina, zupełnie na-wzór-Kota-z-Cheshire, pomiędzy dwoma ekranami na lewo od niego; zaraz za twarzą szła reszta tego faceta, który podejrzenie szybko zasunął parawany za sobą.

— Czujemy się lepiej? — zapytał Stein, wciąż szeroko się uśmiechając.

— Kiedy będę mógł zobaczyć się z lekarzem? Kiedy będę mógł iść do toalety? Kiedy będę mógł sobie stąd pójść? — zapytał Czamcza pospiesznie. Zrównoważona odpowiedź Steina: lekarz pojawi się niebawem; siostra Philips przyniesie basen; będzie mógł stąd wyjść, skoro tylko wyzdrowieje. — Cholernie ładnie z twojej strony, że złapałeś tę chorobę płuc — dodał Stein z wdzięcznością au-

tora, którego bohater nieoczekiwanie rozwiązał delikatny problem techniczny. — Czyni to całą historię o wiele bardziej przekonująco. Wydaje się, że byłeś tak chory, że w końcu sam zemdlałeś. Nasza dziewiątka pamięta to doskonale. Dzięki. — Czamcza nie mógł znaleźć odpowiednich słów. — Aha, i jeszcze jedno. — ciągnął Stein. — Ta stara baba, pani Diamond. Znalaziono ją martwą we własnym łóżku, zimną jak lód, a ten drugi dżentelmen po prostu się rozplynał. Możliwość dokonania przestępstwa nie została jak dotąd wykluczona.

— Na zakończenie — powiedział przed zniknięciem na dobre z nowego życia Saladyna — proponuję, panie Obywatelu Saladyn, żebyś nie zadawał sobie trudu z wnoszeniem skargi. Wybacz, że mówię bez ogródek, ale ze swoimi maleńkimi różkami i wielkimi kopytami nie wyglądałbyś na najbardziej wiarygodnego świadka. A teraz, do widzenia.

Saladyn Czamcza zamknął oczy, a kiedy je otworzył, jego prześladowca zamienił się w pielęgniarkę i fizjoterapeutkę, Hiacyntę Philips. — Czemu chcesz chodzić sam? — zapytała. — Co dusza zapagnie, poproś mnie, Hiacyntę, i zobaczymy, co się da załatwić.

* * *

— Pssst.

Tej nocy, w zielonkawym świetle tajemniczej instytucji, Saladyna zbudziło syczenie rodem z hinduskiego bazaru.

— Pssst. Ty, Belzebub. Obudź się.

Stała przed nim postać tak nieprawdopodobna, że Czamcza chciał schować głowę pod poduszkę; jednak nie mógł, może dlatego, że nie był sobą. . . ? — Zgadza się — powiedział stwór. — Widzisz, nie jesteś sam.

Miał zupełnie normalne ludzkie ciało, tylko w miejscu głowy znajdował się łeb dzikiego tygrysa, z potrójnym rzędem zębów. — Strażnicy nocnej zmiany często przysypiają — wyjaśnił. — Dlatego możemy ze sobą pogadać.

I właśnie wtedy na jednym z łóżek — każde łóżko, Czamcza wiedział to już teraz, zasłonięte było parawanem — ktoś zajęczał głośno: — Och, czy ktokolwiek tak cierpiał! — i człowiek-tygrys albo mantykora, jak sam siebie zwał, warknął poirytowany. — Ach, ten jęczący Mumia Liza — wykrzyknął. — Przecież nic mu takiego nie zrobili, jedynie pozbawili wzroku.

— Kto zrobił coś takiego? — Czamcza był wstrząśnięty.

— Rzecz w tym — ciągnął dalej mantykora — czy zamierzasz to cierpliwie znosić?

Saladyn wciąż nie wiedział, co o tym myśleć. Ten drugi sugerował chyba, że

te wszystkie mutacje są sprawką — czyją? Jak to jest możliwe? — Nie rozumiem — odważył się. — Kogo można winić. . .

Najwyraźniej zawiedziony mantykora zazgrzytał swoimi trzema rzędami zębów. — Z tej strony leży kobieta — powiedział — która obecnie jest raczej indyjskim bawołem domowym. Są tu biznesmeni z Nigerii, którym wyrosły ogony twarde jak kij żebraczy. Jest grupa turystów z Senegalu, którzy właśnie przesiadali się z samolotu na samolot, kiedy zostali zamienieni w ośliżę węże. Ja sam robię w ciuchach; przez ostatnich kilka lat byłem dobrze płatnym modelem, mieszkałem w Bombaju, miałem do noszenia całą kolekcję garniturów i koszul. A teraz kto mnie zatrudni? — wybuchnął nagłym i nieoczekiwanym płaczem. — Dobrze już, dobrze — powiedział odruchowo Czamcza. — Wszystko się dobrze ułoży, jestem pewien. Odwagi.

Stwór uspokoił się. — Rzecz w tym — powiedział z zawziętością — że część z nas nie chce dłużej tego tolerować. Zamierzamy wyrwać stąd, zanim nie zmienią nas w coś gorszego. Noc w noc czuję, że coraz to inna część mnie zaczyna się przeistaczać. Na przykład zacząłem na okrągło puszczać wiatry. . . Przepraszam bardzo. . . wiesz, co mam na myśli? A propos, spróbuj tych. — Wsunął Czamczy do ręki paczuszkę ekstra-mocnych cukierków miętowych. — Pomogą ci na zapach z ust. Przekupiłem jednego ze strażników, żeby przyniósł mały zapasik.

— Ale jak oni to robią? — dopytywał się Czamcza.

— Oni nas opisują — wyszeptał ten drugi uroczyście. — I to wszystko. Posiadają moc opisywania, a my ulegamy obrazom, które oni konstruuja.

— Trudno w to uwierzyć — upierał się Czamcza. — Mieszkam tu od wielu lat i nigdy przedtem mi się to nie przydarzyło. . . — Zamilkł, ponieważ zobaczył, że mantykora patrzy na niego zwężonymi, nieufnymi oczyma. — Od wielu lat? — zapytał. — Jak to jest możliwe? — A może jesteś kapusiem? — Tak, tak, szpiegiem?

Właśnie w tej chwili z drugiego końca oddziału dobiegły ich jęki. — Puścić mnie — wył kobiecy głos. — O Jezu, chcę wyjść. Jezus Maria, ja muszę wyjść, puście mnie, o Boże, o Jezu. — Wilk o bardzo lubieżnym wyglądzie wetknął łeb między parawany Saladyna i ponaglił mantykorę do odejścia. — Zaraz tu będą strażnicy — zasyczał. — To znowu ona, Szklana Berta.

— Szklana. . . ? — zaczął Saladyn. — Tak, jej skóra zamieniła się w szkło — wyjaśnił niecierpliwie mantykora, nie wiedząc, że w ten sposób urzeczywistnia najgorszy koszmar Czamczy. — I te skurwysyny potłukły szkło na kawałeczki. Teraz nie może nawet pójść do toalety.

Nowy głos zasyczał przez zieleń nocy. — Na miłość boską, kobieto. Weź ten pieprzony basen.

Wilk już odciągał mantykorę. — Czy on jest z nami, czy nie? — chciał wiedzieć. Mantykora wzruszył ramionami. — Nie może się zdecydować — odpowiedział. — Nie może uwierzyć własnym oczom, na tym polega jego problem.

Uciekli, usłyszawszy zbliżające się skrzypienie ciężkich buciorów strażników.

* * *

Następnego dnia nie było ani śladu lekarza czy też Pameli i kompletnie oszłomiony Czamcza na przemian budził się i zasypiał, jak gdyby te dwa stany już nie musiały być uważane za przeciwstawne sobie, lecz przepływały przez siebie nawzajem, tworząc rodzaj nie kończącego się delirium zmysłów... Przyłapał się na tym, że śni o Królowej, że kocha się czule z Monarchinią. Ona była ciałem Brytanii, ucieleśnieniem Państwa, a on ją wybrał, połączył się z nią; była jego Ukochaną, księżycem jego rozkoszy.

Hiacynta przychodziła o wyznaczonych porach, żeby go ujeżdżać i okładać pięściami, i poddawał się temu bez awantur. Ale kiedy skończyła, szepnęła mu do ucha: — Jesteś razem z innymi? — i zrozumiał, że ona uczestniczy w tym wielkim spisku. — Jeżeli ty jesteś — usłyszał siebie mówiącego — możesz i mnie włączyć. — Kiwnęła głową, sprawiając wrażenie zadowolonej. Czamcza poczuł właśnie wypełniające go ciepło i zaczął się zastanawiać, czy nie ująć jednej z bardzo delikatnych, ale jakże silnych małych rączek fizjoterapeutki; kiedy nagle usłyszał krzyk dobiegający z tej części sali, gdzie leżał ślepiec: — Moja laska, zgubiłem swoją laskę.

— Biedny stary pierdziel — powiedziała Hiacynta i zeskoczywszy z Czamczy, popędziła do niewidomego faceta, podniosła leżącą laskę, podała ją właścicielowi i wróciła do Saladyna. — No — powiedziała — przyjdę jeszcze po południu; okay, poza tym zero problemów?

Chciał, żeby została jeszcze chwilę, ale ona powiedziała energicznie: — Jestem bardzo zajęta, panie Czamcza. Tyle rzeczy do zrobienia, tylu ludzi do oporządzenia.

Kiedy odeszła, położył się na plecach i po raz pierwszy od dłuższego czasu uśmiechnął się. Nie przyszło mu do głowy, że chyba w dalszym ciągu przechodzi metamorfozę, skoro w rzeczy samej dopuścił do siebie romantyczną myśl krążącą wokół czarnej kobiety; i zanim zdążył wprawić w ruch takie skomplikowane myśli, ślepiec w sąsiednim pokoju ponownie zaczął mówić.

— Spozregłem cię — usłyszał jego słowa Czamcza — zauważyłem cię i doceniam twoje dobre serce i wyrozumiałość. — Saladyn zorientował się, że tamten wygłasza formalną mowę dziękczynną, kierując głos do pustego miejsca, w którym, jak sądził, wciąż stoi jeszcze fizjoterapeutka. — Nie jestem człowiekiem, który zapomina o przysłudze. Któregoś dnia, być może, będę w stanie spłacić zaciągnięty dług, a chwilowo, wiedz o tym, że zostało to zauważone, i do tego

z serdecznością. . . — Czamcza nie miał odwagi, żeby krzyknąć *jej tam nie ma, staruszku, wyszła już jakiś czas temu*. Słuchał tego przygnębiony, aż w kortcu niewidomy zadał powietrzu pytanie: — Mam również nadzieję, że może mnie pani zapamięta. Może choć trochę? Może przy stosownej okazji? — Potem nastąpiła cisza; krótki urywany śmiech; odgłosy siadania na łóżku, ciężko, nagle. A w końcu, po nieznośnej przerwie, przyziemność: — Och — zawył ten mówiący do siebie — och, czy ktokolwiek tak cierpiał. . . !

Dążymy do gwiazd, lecz zdradza nas nasza natura — rozmyślał Czamcza. — Każdy z nas jest jak błazen pragnący korony. Ogarnęło go rozgoryczenie. *Kiedyś byłem lżejszy, szczęśliwszy, ciepły. Teraz wody Styksu krążą w moich żyłach*.

Wciąż ani śladu Pamelii. *Co u diabła*. Tej nocy powiedział mantykorze i wilkowi, że zdecydowanie stoi po ich stronie.

* * *

Wielka ucieczka odbyła się kilka dni później, kiedy płuca Saladyna zostały niemal oczyszczone ze śluzu dzięki zabiegom panny Hiacynty Philips. Okazało się to dobrze zorganizowaną akcją na całkiem dużą skalę, która obejmowała nie tylko pacjentów sanatorium, lecz również aresztantów, jak ich nazywał mantykora, przetrzymywanych w Centralnym Areszcie za drucianym płotem nie opodal. Nie będąc jednym z wielkich strategów planujących ucieczkę, Czamcza po prostu czekał obok swojego łóżka, tak jak mu polecono, aż Hiacynta przyjdzie go zawiadomić, a następnie wybiegli z tego oddziału koszmarów sennych i znaleźli się pod czystym, oświetlonym zimnym światłem księżyca, niebem, mijając po drodze kilku związanych i zakneblowanych mężczyzn; swoich byłych strażników. Przez połyskliwą noc biegło wiele niewyraźnych, tajemniczych postaci i Czamcza dostrzegł stwory, których nigdy wcześniej nie byłby w stanie sobie wyobrazić, kobiety i mężczyźni, będący również częściowo roślinami lub gigantycznymi owadami, a nawet, od czasu do czasu, istoty zbudowane częściowo z cegły lub kamienia; byli tam mężczyźni z rogami nosorożców zamiast nosa i kobiety o szyjach długich jak u żyrafy. Potwory dobiegły szybko i cicho do granicy Aresztu Centralnego, gdzie mantykora i inne ostrożne mutanty czekały obok wielkich dziur wygryzionych przez siebie w płocie otaczającym teren, a następnie wyszły na zewnątrz, już wolne, kierując się każdy w swoją stronę, bez nadziei, ale również bez wstydu. Saladyn Czamcza i Hiacynta Philips biegli ramię w ramię, jego koźle kopyta stuknęły o twarde chodniki; *na wschód* powiedziała, mu akurat kiedy usłyszał, że odgłos własnych kroków zastępuje mu dzwonienie w uszach, na wschód na wschód na wschód biegli, wybierając boczne drogi do Londynu.

Joshi Jumpy został kochankiem Pameli Czamczy w sposób, jak później sama to określiła, „zupełnie przypadkowy” tego samego wieczora, kiedy dowiedziała się o śmierci swego męża w eksplozji *Bustana*. Tak więc głos Saladyna, jego starszego przyjaciela ze studiów przemawiającego zza grobu w środku nocy i wypowiadającego pięć zagadkowych słów *przepraszam, bardzo przepraszam, to pomyłka* — a do tego odzywający się w niecałe dwie godziny po tym, jak Jumpy i Pamela utworzyli dwugłową bestię dzięki dwóm butelkom whisky — spowodował, że Jumpy znalazł się w kropce. — Kto *to* był? — Pamela, wciąż pogrążona we śnie, z przepaską zasłaniającą oczy, przewróciła się na drugi bok, żeby o to zapytać, a on postanowił odpowiedzieć: — Jakiś wygłup, nie przejmuj się — co było niezłym wyjściem, z tym że został sam z całym zmartwieniem, siedział na łóżku, nagi, i ssał dla otuchy, tak jak to robił całe swoje życie, kciuk prawej dłoni.

Był niewielkim mężczyzną, którego ramiona przypominały drucziany wieszak i który bardzo łatwo się denerwował, czego oznaką była jego blada twarz z zapadniętymi oczyma; przeredzająca się czupryna — wciąż całkowicie ciemna i kędzierzawa, która tak często była wzburzana przez jego szalejące ręce, że włosy przestały już w ogóle reagować na szczotki i grzebienie, każdy z nich układał się w inną stronę, sprawiając wrażenie, jakby ich właściciel dopiero co wstał, późno i w pośpiechu; jego przymilnie wysoki, nieśmiały i samokrytyczny, zarazem przypominający czkawkę, i nadpobudliwy chichot; wszystko to razem przyczyniło się do zmiany jego imienia Jamshed na Jumpy, którego obecnie wszyscy używali odruchowo, nawet zupełnie nowi znajomi; to jest wszyscy z wyjątkiem Pameli Czamczy. Żony Saladyna, myślał gorączkowo, ssąc gorączkowo palec. — A może wdowy po nim? — A może, Boże dopomóż mi, żony mimo wszystko. Złapał się na tym, że czuje urazę do Czamczy. Powrót z wilgotnego grobu: wydarzenie w obecnych czasach tak sceniczne, że wydawało mu się być nieprzyzwoite niemal jak akt złej woli.

Popędził do mieszkania Pameli zaraz po usłyszeniu wiadomości; zastał ją opaloną, bez śladu łez na twarzy. Zaprowadziła go do swojego gabinetu, pokoju miłośniczki nieładu, gdzie na ścianach wisiały akwarele przedstawiające ogrody różane, umieszczone między afiszami z zaciśniętą pięścią i napisami *Partido Socialista*, fotografie przyjaciół i grupę afrykańskich masek, i kiedy szedł ostrożnie między leżącymi na podłodze popielniczkami, egzemplarzami „Voice” i feministycznymi powieściami SF, powiedziała apatycznie: — Zdumiewające, że kiedy powiedzieli mi, pomyślałam, cóż, wzruszenie ramion, jego śmierć to naprawdę niewielka strata w moim życiu. — Jumpy, który był bliski łez i pełen wspomnień, stanął jak wryty i zatrzepotał ramionami, wyglądając, w swoim długim, bezkształtnym, czarnym płaszczu i z tą bladą przezroczystą twarzą, jak wampir pochwycony przez nieoczekiwane i obrzydliwe światło dnia. I wtedy zobaczył

puste butelki po whisky. Według słów Pameli, zaczęła pić kilka godzin wcześniej i zabrała się do tego energicznie, ale i rytmicznie, z poświęceniem godnym długodystansowca. Usiadł obok niej na jej miękkiej i niskiej kanapie i zaproponował, że będzie nadawał tempo. — Jak sobie tylko życzysz — powiedziała i podała mu butelkę.

Teraz, kiedy siedział na łóżku z kciukiem w ustach zamiast butelki, kiedy tajemnica i kac jednakowo boleśnie łomotały w jego głowie (nigdy nie przepadał za piciem czy za dotrzymywaniem tajemnic), Jumpy czuł, że ponownie lży stają mu w oczach, i postanowił wstać i trochę przejść się po mieszkaniu. Poszedł na górę, do czegoś, co Saladyn upierał się nazywać swoją „jaskinią” a co było dużym poddaszem ze świetlikami i oknami wychodzącymi na rozległe komunalne ogrody, usiane zapewniającymi dobre samopoczucie drzewami — dębem, modrzewiem, a nawet nielicznymi wiązami, którym udało się przetrwać lata zarazy. *Najpierw wiązy, teraz my*, rozmyślał Jumpy. *Być może, że los tych drzew był ostrzeżeniem.* Wzdrygnął się, żeby odpędzić takie niezdrowe myśli zjawiające się we wczesnych godzinach porannych i przysiadł na krawędzi mahoniowego biurka swojego przyjaciela. Kiedyś na przyjęciu w czasach studenckich usiadł w podobny sposób na stole mokrym od wina i piwa tuż obok zmizerowanej dziewczyny w czarnej koronkowej mini spódniczce, purpurowym boa z piór i z powiekami jak dwa srebrne hełmy, i nie mógł zdobyć się na odwagę, żeby jej powiedzieć cześć. W końcu odwrócił się do niej i wyjąkał jakąś banalną uwagę, jedną czy drugą; spojrzała na niego z absolutną pogardą i powiedziała, nie poruszając swoimi na czarno pomalowanymi wargami, *rozmowa skończona, koleś.* Bardzo go to wytrąciło z równowagi, tak bardzo, że wyrzucił z siebie, *powiedz mi, dlaczego wszystkie dziewczyny w tym mieście są takie nieuprzejme*, a ona odpowiedziała od razu, bez namysłu, *ponieważ większość chłopaków jest podobna do ciebie.* Po kilku chwilach zbliżył się do nich Czamcza cuchnący olejkiem paczuli, ubrany w białą kurtkę, w oczach wszystkich cholerny filmowy symbol tajemnicy Wschodu i pięć minut później dziewczyna wyszła razem z nim. Ten skurwysyn, myślał dalej Jumpy Joshi, ożywiając stare urazy, nie miał za grosz wstydu, był gotów dostarczyć wszystko, co one chciały kupić, to całe czytam-z-twojej-dłoni marynarka do przykrycia Hare-Kryszna cnota-dupa, raz się żyje. To zatrzymało go, te ostatnie słowa. *Się żyje.* Spójrz na to ucziwie, Jamshed, dziewczyny nigdy na ciebie nie leciały, święta prawda, a cała reszta to zazdrość. Cóż, być może tak w połowie przyznał sobie rację, i potem znowu. *Może nie żyje, dodał, ale potem znowu, może i żyje.*

Pokój Czamczy wydał się bezsennemu intruzowi wymyślony, a przez to smutny: parodia garderoby aktora pełna fotografii z autografami kolegów, ulotek, programów, oprawionych w ramki fotosów z przedstawień, pochwał, nagród, tomów pamiętników napisanych przez gwiazdy filmowe, standardowy pokój, tyle a tyle za metr kwadratowy, imitacja życia, maska maski. Oryginalne przedmioty na całej powierzchni: popielniczki w kształcie fortepianów, porcelanowe pierrotki wygła-

dające zza półki z książkami. I wszędzie, na ścianach, na afiszach filmowych, w poświęconej lampy podtrzymywanej przez Erosa z brązu, w lustrze w kształcie serca, ta przedostająca się przez krwisto-czerwony dywan, czy też kapiąca z sufitu saladyńska potrzeba miłości. W teatrze każdy otrzyma swoje buziaki i każdy jest kochany. Życie aktora podsuwa, dzień w dzień, pozory miłości; maskę można zadowolić lub przynajmniej pocieszyć ją echem tego, czego ona sama poszukuje. Ta rozpacz, która w nim tkwiła, Jumpy zorientował się, że za jedno czułe słówko zrobiłby wszystko, włożyłby każdy cholerny kostium błazna, przybrałby dowolny kształt, Saladyn, o którym przecież nie można było powiedzieć, że nie ma powodzenia u kobiet, patrz wyżej. Nieszczęśliwy próżniak. Nawet piękna i inteligentna Pamela nie wystarczała mu.

Oczywistym było, że i on coraz mniej jej wystarcza. Gdzieś koło dna drugiej butelki whisky położyła mu głowę na ramieniu i powiedziała bełkotliwym głosem: — Nie wyobrażasz sobie, jaka to ulga być z kimś, z kim nie musisz walczyć za każdym razem, kiedy wypowiadasz jakąś opinię. Kimś trochę podobnym do tych cholernych aniołów. — Czekał; po chwili przerwy przyszedł dalszy ciąg. — On i ta jego Rodzina Królewska, nie uwierzyłbyś, Krykiet, Izby Parlamentu, Królowa. Ten kraj nigdy nie przestał być dla niego widokówką. Nie można go było zmusić do tego, by patrzył na to, co naprawdę autentyczne. — Zamknęła oczy i pozwoliła, by jej ręka przypadkowo spoczęła na jego dłoni. — On był prawdziwym Saladynem — powiedział Jumpy. — Miał za zadanie podbić ziemię świętą, tę swoją Anglię, tę, w którą wierzył. I ty byłaś jej częścią. — Odsunęła się od niego i wyciągnęła na czasopiśmie i zmiętych kulach wyrzuconego papieru, jeden bałagan. — Jej częścią? Ja byłam tą cholerną Brytanią. Grzane piwo, paszteciki z mięsem, zdrowy rozsądek i ja. Ja również jestem naprawdę autentyczna ja, J. J.; naprawdę. — Wyciągnęła do niego ręce, przyciągnęła go tam, gdzie czekały jej usta, i pocałowała go głośno, zupełnie w niepamelowy sposób. — Rozumiesz, co mam na myśli? — Tak, zrozumiał dobrze.

— Szkoda, że nie słyszałeś go, jak mówił o wojnie o Falklandy — powiedziała później, odrywając się od niego i poprawiając włosy. — „Pamela, powiedzmy, że usłyszałaś hałas w środku nocy, zeszałaś na dół, żeby sprawdzić, co się dzieje i zastałaś w salonie potężnego mężczyznę z rewolwerem, który mówi ci, wracaj na górę, co byś zrobiła?” Poszłabym na górę, powiedziałam. „No właśnie, to jest podobne do tej sytuacji. Intruz w domu. Nie można się na to zgodzić.” — Jumpy zauważył, że zacisnęła pięści, aż zbiały kostki. — Powiedziałam, jeżeli już musisz stosować te przekłete, wygodne metafory, musisz je dobrze rozumieć. To jest *podobne* do sytuacji, w której dwóch ludzi rości sobie prawa do jednego domu i jeden z nich bezprawnie zajmuje to miejsce, a *wtedy* ten drugi wpada z rewolwerem. Oto, do czego to jest *podobne*. — Tak, to naprawdę jest autentyczne. — Jumpy poważnie skinął głową. — *Właśnie* — klepnęła go po kolanie. — Tak jest, właśnie, panie Autentyczny Dżem... naprawdę tak to wygląda, w rzeczy samej.

Jeszcze drinka.

Sięgnęła do magnetofonu i nacisnęła przycisk. Jezu, pomyślał Jumpy, *BoneyM?* Daj mi spokój! Mimo tych wszystkich jej zdecydowanych poglądów w sprawach rasowych i zawodowych, lady musi się jeszcze sporo nauczyć o muzyce. Oto pojawiły się, dźwięki bumtararabum. I nagle, bez ostrzeżenia, zaczął płakać, pobudzony do prawdziwych łez przez fałszywe uczucie, przez rytmiczno-rąbaną imitację bólu. Był to psalm sto trzydziesty siódmy, „Nad rzekami Babilonu”. Król Dawid wołający poprzez wieki. Jakże możemy śpiewać pieśń Pańską w obcej krainie.

— Musiałam uczyć się psalmów w szkole — powiedziała Pamela Czamcza, siedząc na podłodze, z głową wspartą o kanapę, i mocno zaciskając oczy. *By the river of Babylon, where we sat down, oh oh we wept...* zatrzymała taśmę, znowu odchyliła się do tyłu, zaczęła recytować. „Jeruzalem, jeśli zapomnę o tobie, niech uschnie moja prawica! Niech język mi przyschnie do podniebienia, jeśli nie będę pamiętał o Tobie, jeśli nie postawię Jeruzalem ponad największą moją radość”.

Później zasnęła w łóżku i śniła jej się szkoła zakonna, godzinki i nieszpory, śpiewanie psalmów, i nagle Jumpy wpadł do pokoju i potrząsnął nią krzyżąc: — Na nic to, muszę ci powiedzieć. On nie zginął. Saladyn: on, cholera, żyje.

* * *

Przebudziła się od razu, zanurzając ręce w swoich gęstych, kręconych, farbowanych henną włosach, w których pojawiały się pierwsze białe kosmyki; uklękła naga na łóżku, z rękoma cały czas we włosach, niezdolna do ruchu, aż Jumpy przestanie mówić, a wtedy, bez ostrzeżenia, zaczęła bić go, uderzając w pierś, ręce i ramiona, i nawet w twarz, tak mocno, jak tylko potrafiła. Usiadł obok niej na łóżku, wyglądał śmiesznie w jej szlafroku z falbankami, a ona tłukła go; rozluźnił mięśnie, aby przyjąć uderzenia, aby je znieść. Kiedy wyczerpał się zapas jej sił, cała była pokryta potem, a on podejrzewał, że złamała mu rękę. Usiadła obok niego dysząc i zaległa cisza.

Do sypialni wszedł jej pies, wyglądał na przygnębionego, i przydreptał do niej, podał łapę i polizał w lewą nogę. Jumpy poruszył się bardzo ostrożnie. — Myślałem, że go ukradli — powiedział po chwili. Pamela podniosła gwałtownie głowę, żeby *tak, ale*. — Złodzieje skontaktowali się ze mną. Zapłaciłam okup. Obecnie reaguje na imię Glenn. Niech będzie; w końcu nigdy nie mogłam nawet wymówić imienia Szer Khan prawidłowo.

Po chwili Jumpiemu wróciła ochota do rozmowy. — To, co zrobiłaś przed chwilą — zaczął.

— Och, Boże.

— Nie, w porządku. Zachowałem się kiedyś podobnie. Chyba była to najrozsądniejsza rzecz, którą w życiu zrobiłem. — Latem 1967 roku zmusił „apolitycznego” dwudziestoletniego Saladyna, by poszedł z nim na antywojenną demonstrację. „Chociaż raz w twoim życiu, Panie Kinol, zamierzam zniżyć cię do mojego poziomu”. Do miasta przyjeżdżał Harold Wilson i w związku z poparciem rządu labourzystów dla amerykańskiej interwencji w Wietnamie planowano zorganizowanie masowego protestu. Czamcza zgodził się, „z ciekawości”, powiedział. „Chcę zobaczyć, jak rzekomo inteligentni ludzie zmieniają się w dziki motłoch”.

Tego dnia lało. Demonstranci na Market Square byli kompletnie przemoczeni. Jumpy i Czamcza, porwani przez tłum, znaleźli się w końcu na schodach ratusza; *efektowny widok z trybun*, powiedział Czamcza ironicznie. Obok nich stało dwóch studentów przebranych za rosyjskich zamachowców, w czarnych kapeluszach filcowych, płaszczach i ciemnych okularach, w rękach mieli pudełka po butach pełne pomidorów wypełnionych atramentem, na pudełkach drukowanymi literami, *bomby*. Na krótko przed przyjazdem premiera jeden z nich klepnął policjanta w ramię i powiedział: „Przepraszam. Kiedy pan Wilson, samozwańczy premier, podjedzie swoim długim samochodem, uprzejma prośba, opuścić szybę w oknie, tak aby mój przyjaciel mógł wrzucić tam bomby”. Policjant odpowiedział, „Ha, ha, szanowny panie. Bardzo dobre. A teraz coś panu powiem. Możecie sobie rzucać w niego jajkami, szanowny panie, nie mam nic przeciwko temu. Możecie sobie rzucać w niego pomidorami, szanowny panie, choćby tymi z atramentem, które ma pan w pudełku z napisem *bomby*, ponieważ nie mam nic przeciwko temu. Ale spróbuj pan rzucić czymś twardym, szanowny panie, a mój kolega kropnie pana ze swojej spluwy”. O dni niewinności, kiedy świat był jeszcze młody. . . kiedy przyjechał samochód, tłum ruszył i rozdzielił Czamczę i Jumpy’ego. Po jakimś czasie Jumpy pojawił się na masce limuzyny Harolda Wilsona i zaczął skakać po niej, robiąc duże wgłębienia, harując jak jakiś dzikus w takt okrzyków tłumu: *Powalczymy, zwyciężymy, niech tyje Ho Szi Min*.

— Saladyn zaczął wrzeszczeć do mnie, żebym schodził, częściowo dlatego, że w tłumie było sporo typów z Oddziału Specjalnego, ale głównie dlatego, że czuł się tak cholernie zażenowany. — Lecz on skakał w dalszym ciągu, wysoko w górę i mocno w dół, przemoczony do suchej nitki, jego długie włosy powiewały: Skoczny Nerwus wskakiwał do mitologii tamtych antycznych lat. A Wilson i Marcia skulili się ze strachu na tylnym siedzeniu. *Ho! Ho! Ho Szi Min!* Dosłownie w ostatniej chwili Jumpy wziął głęboki oddech i zanurkował w morze mokrych i przyjaznych twarzy; i zniknął. Nigdy go nie złapali: gliny świniaki plugastwa. — Saladyn nie rozmawiał ze mną przeszło tydzień — przypomniał sobie Jumpy. — A kiedy się odezwał, powiedział jedynie, „Mam nadzieję, że zdajesz sobie sprawę z tego, że ci gliniarze mogli podziurawić cię jak sito, tylko po prostu nie strzelali”.

W dalszym ciągu siedzieli obok siebie na krawędzi łóżka. Jumpy dotknął ra-

mienia Pameli. — Chcę przez to powiedzieć, że wiem, jakie to uczucie. Buch, bam. Wprost nie do wiary. Czułem, że jest mi to potrzebne.

— O, mój Boże — powiedziała, zwracając się do niego. — O, Boże, tak mi przykro, ale masz rację, potrzebowałam tego.

* * *

Rano uzyskanie połączenia z liniami lotniczymi zabrało jej godzinę z powodu ilości rozmów związanych z katastrofą, a następne dwadzieścia pięć minut obstawanie przy swoim — *ale przecież to on dzwonił, to był jego głos* — a przez cały ten czas na drugim końcu linii kobiecy głos, fachowo przygotowany na takie okoliczności, umiejący sobie radzić z ludzkim nieszczęściem, rozumiał jej tragedię, łączył się z nią w tej ciężkiej chwili i był bardzo cierpliwy, ale nie wierzył ani jednemu słowu. *Przykro mi, proszę pani, nie chcę być brutalna, ale samolot rozpadł się w powietrzu na wysokości dziesięciu tysięcy metrów*. Pod koniec rozmowy Pamela Czamcza, zwykle jedna z najbardziej opanowanych kobiet, która zamykała się w łazience, kiedy chciała płakać, zaczęła wrzeszczeć, na miłość boską, kobieto, czy przymkniesz się z twoimi nędnymi przemówieniami dobrego Samarytanina i wysłuchasz, co mam do powiedzenia? W końcu z trzaskiem odłożyła słuchawkę i naskoczyła na Jumpy Joshiego, który po wyrazie oczu zrozumiał, co się z nią dzieje i wylał przyniesioną kawę, ponieważ ręce i nogi zaczęły trząść mu się ze strachu. — Ty pieprzony sraluchu — skłęła go. — On żyje czy nie? Przypuszczam, że sfrunął na dół z nieba na swoich pieprzonych *skrzydłach* i pognął wprost do najbliższej budki telefonicznej, żeby ściągnąć z siebie ten swój pieprzony strój Supermana i żeby zadzwonić do żonusi. — Byli w kuchni i Jumpy zauważył na ścianie kilka kuchennych noży przyczepionych do taśmy magnetycznej w pobliżu lewej ręki Pameli. Otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale nie pozwoliła mu. — Wynoś się, zanim coś ci zrobię — powiedziała. — Nie mogę uwierzyć, że tak dałam się nabrać. Ty i te twoje głosy w telefonie: powinnam była, kurwa, wiedzieć.

Na początku lat siedemdziesiątych Jumpy prowadził objazdową dyskotekę w tylnej części swojej żółtej mini-bagażówki. Nazwał to Kciukiem Finna na cześć legendarnego śpiącego olbrzyma z Irlandii, Finna MacCoola, jeszcze jeden frajer, jak mówił o nim Czamcza. Któregoś dnia Saladyn spłatał figla Jumpy'emu, zadzwonił do niego, nadając głosowi zbliżony do śródziemnomorskiego akcent, i poprosił w imieniu pani Jacqueline Kennedy Onassis o muzyczny serwis Kciuka na wyspie Skorpion, proponując honorarium w wysokości dziesięciu tysięcy dolarów oraz transport do Grecji prywatnym samolotem na sześć osób. Zrobienie

takiej strasznej rzeczy Jumpy'emu, tak niewinnemu i prawemu, było czymś potwornym. — Potrzebuję godzinę do namysłu — powiedział, a następnie rozpełtała się w jego duszy śmiertelna udręka. Kiedy godzinę później Saladyn zadzwonił ponownie i usłyszał, że Jumpy odrzuca ofertę pani Onassis z przyczyn politycznych, zrozumiał, że jego przyjaciel przygotowuje się, aby zostać świętym, i że robienie mu kawałów nie ma sensu. — Pani Onassis na pewno pęknie serce z tego powodu. — rzekł, na co Jumpy odpowiedział zmartwiony: — Proszę jej przekazać, że to nie z powodów prywatnych, w rzeczy samej osobiście bardzo ją podziwiam.

Zbyt długo już się wszyscy znamy, pomyślała Pamela, kiedy Jumpy wyszedł. Dwudziestoletnimi wspomnieniami możemy tylko wzajemnie się ranić.

* * *

O pomyłkach z głosami rozmyślała po południu, jadąc o wiele za szybko szosą M4 swoim starym MG, który był dla niej źródłem przyjemności, w stopniu, jak zwykle radośnie wyznawała, „ideologicznie dość ryzykownym”, — w tej sprawie powinnam być naprawdę bardziej wyrozumiała.

Pamela Czamcza, z domu Lovelace, była właścicielką głosu, za który, na wiele sposobów, musiała płacić przez resztę swego życia. Był to głos, na który składały się tkaniny tweedowe, chustki na głowę, letni pudding, kije hokejowe, domy kryte strzechą, mydło do czyszczenia skóry, domowe przyjęcia, zakonnice, rodzinne ławki kościelne, duże psy i filisterstwo, i pomimo wszystkich jej starań, by zmniejszyć jego siłę, pozostał on tak głośny, jak wysmokingowany pijak rzucający kulkami chleba w Klubie. Tragedią jej młodości było to, że dzięki temu głosowi nieustannie nagabywali ją panowie farmerzy, wsiowi uwodziciele, a także różni ważniacy z miasta, którymi gardziła z całego serca, natomiast zieloni i członkowie ruchów pokojowych, i naprawiacze świata, z którymi instynktownie czuła wspólnotę, traktowali się z podejrzliwością graniczącą z niechęcią. Jak ktoś może stać *po stronie aniołów*, skoro jego głos za każdym razem, kiedy ta osoba otwiera buzię, brzmi jak głos nie-dobrzaka? Przyspieszając koło Reading, Pamela zacisnęła zęby. Jednym z powodów, dla których postanowiła, *przynaj to*, zakończyć swoje małżeństwo, jeszcze zanim wyręczył ją los, był fakt, że obudziła się pewnego dnia i zrozumiała, że Czamcza tak właściwie nie ją kocha, ale ten głos zalatujący puddingiem Yorkshire i noszonymi na sercu liśćmi dębowymi Karola II, ten krzepki, rumiany głos starej wymarzonej Anglii, w której tak rozpaczliwie chciał zamieszkać. Było to małżeństwo sprzecznych celów, każde z nich dążyło właśnie ku tej rzeczy, od której drugie uciekało.

Nikt nie przeżył. A w środku nocy Jumpy idiota i jego głupi fałszywy alarm.

Tak była tym wstrząśnięta, że nawet jeszcze nie zdążyła przeżyć wstrząsu z powodu pójścia do łóżka z Jumpym i kochania się z nim w całym, *przyznaj to*, zadowolającym stylu, *oszczędź mi tej twojej obojętności*, skarciła samą siebie, *kiedy po raz ostatni miałaś tyle uciechy*. Musiała rozwiązać wiele poważnych problemów i dlatego właśnie była tu, rozwiązując je poprzez jak najszybszą od nich ucieczkę. Kilka dni folgowania sobie w drogim hotelu poza miastem i świat może znowu zacząć się wydawać mniej podobny do pieprzonej otchłani piekieł. Terapia luksusem: wporządkuwporządku, przyznała się, wiem: *powracam do formy*. Pierdołę to; zobaczysz, dam sobie radę. A jeżeli masz coś naprzeciw, to wsadź sobie palec w cipę. W dupę. W cipę.

Sto mil na godzinę na wysokości Swindon i pogoda zrobiła się paskudna. Nagłe, czarne chmury, piorun, ulewa; trzymała w dalszym ciągu nogę na gazie. *Nikt nie przeżył*. Ludzie zawsze zaskakują ją swoją śmiercią, zostawiając z ustami pełnymi słów i bez kogokolwiek, przed kim mogłaby się wygadać. Jej ojciec był humanistą, który potrafił układać kalambury w grece i po którym odziedziczyła ten Głos, spuścizna i przekleństwo; a jej matka, która usychała z tęsknoty za mężem podczas Wojny, kiedy pilotował samolot rozpoznawczy i był zmuszony sto jedenaście razy lecieć do domu z Niemiec powolną maszyną poprzez noc, rozświetlaną dla nadciągających bombowców wystrzelonymi przez niego flarami i która przysięgła, kiedy on wrócił, wciąż jeszcze mając „pom-pom” w uszach, że go nigdy nie opuści, — tak więc szła za nim wszędzie, w powolną pustkę depresji, z której tak naprawdę nigdy już nie wyszedł, — i w długi, ponieważ nie miał odpowiedniej twarzy, by grać w pokera, i roztrwonil jej pieniądze, kiedy już zabrakło mu własnych, — i ostatecznie na dach wysokiego budynku, gdzie znaleźli ostatecznie swoją własną drogę. Pamela nie wybaczyła im nigdy, szczególnie tego, że pozbawili ją możliwości oznajmienia, że im nie wybacza. Aby się zemścić, ogłosiła, że zrywa z wszystkim, co wiązało się z nimi. Jej rozum, na przykład: odmówiła pójścia na studia. A ponieważ nie mogła pozbyć się swojego głosu, zmuszała go, by wypowiadał myśli, które jej konserwatywni rodzice-samobójcy obłożyliby klątwą. Wyszła za Hindusa. A ponieważ okazał się zbyt podobny do nich, postanowiła go porzucić. Już postanowiła go porzucić, kiedy ponownie została oszukana przez śmierć.

Wyprzedzała konwój ciężarówek z mrożonkami, oślepiona strugami wody wydobywającymi się spod kół, kiedy wjechała w ogromną kałużę czekającą na nią w płytkim wgłębieniu i wówczas MG z przerażającą prędkością zaczął ślizgać się po wodzie, zjechał z pasa szybkiego ruchu i obrócił wokół własnej osi tak, że ujrzała reflektory ciężarówki wlepione w nią jak oczy anioła śmierci, Azraila. „Kurtyna”, pomyślała; lecz jej wóz skręcił i ześliznął się z drogi zbliżającego się molocha, przecinając wszystkie trzy pasy autostrady, cudem puste, i zatrzymał się z mniej donośnym, niż można było się spodziewać, hukiem na barierce przy krawędzi pobocza, obracając się o następne sto osiemdziesiąt stopni, a więc znowu

skierowany przodem ku zachodowi, gdzie z banalną wręcz zbieżnością, spotykaną tylko w prawdziwym życiu, słońce właśnie przebijało się przez burzowe chmury.

* * *

To, że wciąż jest się żywym, stanowi jakąś rekompensatę za wszystko, czego dotąd doznało się od życia. Tegoż wieczora, w jadalni wykładanej dębową boazerią i przybranej średniowiecznymi chorągwiami, Pamela Czamecza w swojej najbardziej olśniewającej sukni jadła dziczyznę i piła Chateau Talbot przy stole uginającym się pod ciężarem sreber i kryształów, świętując nowy początek, ucieczkę ze szponów, rozpoczęcie wszystkiego, aby narodzić się ponownie, musisz najpierw: cóż, o mało co, w każdym razie. Taksowana pożądanymi spojrzeniami Amerykanów i handlowców, siedziała i jadła sama, wcześniej udała się na spoczynek do sypialni księżniczki na szklanej górze, tam wzięła kąpiel, a potem oglądała stare filmy w telewizji. W następstwie spotkania ze śmiercią czuła, jak przeszłość ucieka od niej: wiek dojrzewania na przykład, spędzony pod opieką niegodziwego wuja, Harry'ego Highama, który mieszkał w siedemnastowiecznym dworze, niegdyś będącym własnością dalekiego krewnego Matthew Hopkinsa, Głównego Łowczego Czarownic, który dał posiadłości nazwę Czartowisko, niewątpliwie siląc się na czarny humor. Przypomniała sobie pana sędziego Highama, aby o nim zapomnieć, mamrotała do nieobecnego Jumpy'ego, że ona również ma swój wietnamski epizod. Po pierwszej dużej demonstracji na Grosvenor Square, podczas której wielu ludzi rzucało szklane kulki pod kopyta szarżujących koni policyjnych, miał miejsce jeden jedyny znany prawu brytyjskiemu przypadek uznania kulek do gry za śmiertcioną broń i młodzi ludzie byli więzieni, a nawet deportowani, za ich posiadanie. Sędzią, który przewodniczył w rozprawie Kulek z Grosvenor, był tenże sam Henry (później znany jako „Powieś”) Higham, i pokrewieństwo z nim było dodatkowym brzemieniem dla młodej kobiety, i tak już uginającej się pod swoim pravicowym głosem. Teraz w ciepłe łóżka, w swoim tymczasowym zamku, Pamela Czamecza uwolniła się od tego starego demona, *żegnaj, Powieś, nie mam już dla ciebie czasu*; i od duchów swoich rodziców; gotowa na to, aby pozbyć się również tych najnowszych.

Sącząc koniak, Pamela oglądała wampiry w telewizji i pozwoliła sobie na przyjemność zajęcia się, cóż, sobą. Czyż to nie ona stworzyła samą siebie na swój obraz i podobieństwo? Jam jest, która jest, wzniosła toast na swoją cześć i spełniła go kieliszkiem Napoleona. Pracuję w radzie do spraw stosunków społecznych okręgu Brickhall, Londyn, NE1; zastępca kierownika d/s stosunków społecznych i na dodatek cholernie dobra, jakzwykła mówią sobie. Na zdrowie! Wybraliśmy

właśnie naszego pierwszego czarnego przewodniczącego i przeciw niemu głosowali jedynie biali. Chlup w ten głupi dziób! W ostatnim tygodniu ogólnie szanowany handlarz uliczny, Azjata, w którego obronie stanęli członkowie wszystkich partii w parlamencie, został deportowany po osiemnastoletnim pobycie w Brytanii, ponieważ piętnaście lat temu spóźnił się z wysłaniem jakiegoś tam formularza o czterdzieści osiem godzin. Do dna! W nadchodzącym tygodniu przed Niższym Sądem w Brickhall policja będzie próbowała zaopatrzyć w odpowiedni wyrok pięćdziesięcioletnią Nigeryjkę, oskarżając ją o naruszenie nietykalności osobistej, uprzednio pobiwszy ją do utraty przytomności. Skol! To moja głowa; no nie? Oto, co nazywam swoją pracą: walenie głową w mur w Brickhall.

Saladyn umarł, a ona wciąż żyje.

Wypiła i za to. Czekałam na to, żeby powiedzieć ci o pewnych sprawach, Saladynie. O pewnych wielkich sprawach: o tym nowym biurowcu przy High Street w Brickhall, naprzeciwko McDonalda; — ten wieżowiec zbudowano jako dźwiękoszczelny, ale urzędnikom tam zatrudnionym tak przeszkadzała cisza, że przez głośnik puszczała im delikatny szmer. — Podobałoby ci się to, co? — Aha, i o tej Parsyjce, którą znam, na imię jej Bapsy, przez pewien czas mieszkała w Niemczech i zakochała się w Turku. — Rzecz w tym, że jedynym językiem, w którym mogli się porozumiewać, był niemiecki; Bapsy zapomniała już prawie wszystko, czego się kiedyś nauczyła, a jego niemiecki staje się coraz lepszy; śle jej coraz bardziej romantyczne listy, a ona może mu odpowiedzieć zaledwie dziecięcą rymowanką. — Miłość umierająca z powodu nieznamości języka, co o tym sądzisz? Umierająca miłość. Oto temat dla nas, co? Saladynie? Co na to powiesz?

I kilka małych, malutkich spraweczek. Gdzieś w mojej okolicy grasuje morderca, specjalizuje się w zabijaniu starszek; więc nie przejmuj się, jestem bezpieczna. O wiele starsze ode mnie.

I jeszcze jedna sprawa: odchodzę od ciebie. Koniec. Koniec z nami

Nigdy nie wolno mi było zwrócić ci uwagi, nawet najmniejszej. Jeżeli mówiłam, że tyjesz, wrzeszczałeś co najmniej przez godzinę, jak gdyby to mogło zmienić twoje odbicie w lustrze albo to, co mówiły ci twoje przyciasne spodnie. Przerywałeś mi przy innych. Ludzie zauważali, jaki masz do mnie stosunek. Przebaczyłam ci, to był mój błąd; widziałam, co siedziało wewnątrz ciebie, pytanie tak przerażające, że musiałeś je chronić całą pewnością siebie. To próżnia.

Żegnaj, Saladynie. Wychyliła kieliszek do dnia i odstawiła. Powracający deszcz zastukał w jej okna; zaciągnęła zasłony i zgasiła światło.

Leżąc tak, unosząc się w stronę snu, myślała o ostatniej już rzeczy, którą musi powiedzieć swojemu świętej pamięci mężowi. — W łóżku — w końcu nadeszły słowa — nigdy nie wydawałeś się specjalnie zainteresowany ani mną, ani moimi potrzebami; tym, czego tak bardzo pragnęłam, chociaż czasami. Odkryłam w końcu, kogo potrzebujesz, nie kochanki. Służącej. — No, dosyć już. Teraz spoczywaj w pokoju.

Śniła o nim, jego twarz wypełniała cały sen. — Sprawy zbliżają się ku końcowi — powiedział jej. — Ta cywilizacja; coś ją dławi. Była to całkiem niezła kultura, wspaniała i plugawa, kultura kanibali i chrześcijan, chwała świata. Powinniśmy czcić ją, dopóki się da; nim zapadnie noc.

Nie mogła się z tym zgodzić, nawet we śnie, lecz wiedziała, śniąc, że teraz nie ma sensu mówić mu o tym.

* * *

Po tym jak Pamela Czamecza wyrzuciła go, Jumpy Joshi poszedł do kawiarni pana Sufjana, do Shaandaar Café na High Street w Brickhall i siadł sobie tam, zastanawiając się, czy jest głupcem. Było wcześniej rano i kawiarnia świeciła pustkami, nie licząc otylej damy kupującej opakowanie pista, barfi i jalebis, kilku samotnych krawców pijących chaloo chai i starszej Polki pamiętającej te czasy, kiedy Żydzi prowadzili fabryczki żerujące na taniej sile roboczej, która siedziała przez cały dzień w rogu nad dwiema jarzynowymi samosas, jedną puri i szklanką mleka, informując każdego wchodzącego, że siedzi tu tylko dlatego, że „ta kawiarnia jest tylko trochę gorsza od koszernego lokalu i że dziś trzeba starać się, jak tylko można”. Jumpy usiadł ze swoją kawą pod tragicznym malowidłem przedstawiającym jakąś mityczną kobietę o kilku głowach i obnażonych piersiach, których sutki zakrywały małe obłoczki, postać była naturalnej wielkości, w kolorach łososioworóżowym, neonowozielonym i złotym, a ponieważ ruch się jeszcze nie zaczął, pan Sufjan zauważył, że jego gość jest w złym nastroju, wręcz przygnębiony.

— Hej, święty Jumpy — zawołał głośno — dlaczego przychodzisz do mojego lokalu z zachmurzonym obliczem? Czy nie mamy w tym kraju wystarczająco kiepskiej pogody?

Jumpy zaczerwienił się, kiedy Sufjan naskoczył na niego, na głowie miał jak zwykle małą białą myckę, był bez wąsów, broda wciąż ufarbowana czerwoną henną po niedawnej pielgrzymce do Mekki. Muhammad Sufjan był tęgim facetem z wielkim brzuchem i grubymi przedramionami, tak pobożnym i niefanatycznym wiernym, że drugiego takiego ze świecą szukać, i Joshi uważał go za kogoś w rodzaju starszego krewnego. — Słuchaj, Wuju — powiedział, kiedy właściciel kawiarni stanął nad nim — czy myślisz, że jestem kompletnym idiotą lub kimś takim?

— Czy kiedykolwiek doszedłeś do jakichś pieniędzy? — zapytał Sufjan.

— Nie, Wuju, to nie w moim stylu.

— Zrobiłeś kiedykolwiek jakiś interes? Import-eksport? Koncesja na sprzedaż alkoholu? Jakiś monopol?

— Nigdy nie miałem głowy do liczb.
— A gdzie twoja rodzina?
— Nie mam żadnej rodziny, Wuju. Jestem sam.
— Wobec tego musisz się stale modlić do Boga, by cię prowadził w twojej samotności?
— Znasz mnie, Wuju. Nie modlę się,
— Nie ma wątpliwości — podsumował Sufjan. — Jesteś jeszcze większym głupcem, niż myślisz.
— Dzięki, Wuju — powiedział Jumpy, dopijając kawę. — Bardzo mi pomogłeś.

Sufjan, wiedząc, że afektowane żarty rozweselą Jumpy'ego mimo jego niezmiernie smutnej twarzy, zawołał błękitnookiego Azjatę, który właśnie wszedł do sali, ubrany w płaszcz w kratkę z nadzwyczaj szerokimi klapami. — Ty, Hanif Johnson — zawołał — podejdź tu i rozwiąż tajemnicę. — Johnson, bystry prawnik i miejscowy szczęściarz, który prowadził biuro nad Shaandaar Café, z trudem oderwał się od miłego towarzystwa dwu pięknych córek Sufjana i podszedł do stołu Jumpy'ego. — Wytłumacz mi, o co chodzi temu koleśowi — poprosił Sufjan. — Nie mogę tego zrozumieć. Nie pije, pieniądze traktuje jak zarazę, posiada wszystkiego może ze dwie koszule, żadnego magnetowidu, ma czterdziecę i nie ożenił się, pracuje za psie pieniądze w centrum sportowym, gdzie uczy sztuk walki i czegoś tam jeszcze, żyje powietrzem, postępuje jak riszi lub pir, ale nie wyznaje religii, nigdzie nie chodzi, ale wygląda jakby był posiadaczem jakiejś tajemnicy. Zbierz to do kupy, dodaj swoje wyższe wykształcenie, a rozwiązanie samo przyjdzie. Hanif Johnson szturchnął Jumpy'ego w ramię. — On słyszy głosy — powiedział. Sufjan wznosił ręce do nieba, udając zdumienie. — Głosy, ojej — baba! Głosy skąd? Z telefonu? Z nieba? Z walkmana firmy Sony ukrytego w płaszczu?

— Wewnętrzne głosy — powiedział Hanif uroczyście. — Na górze, na jego biurku leży kawałek papieru zapisany kilkoma wersami. A tytuł: „Rzeka Krwi”.

Jumpy skoczył na nogi, przewracając pustą filiżankę. — Zabiję cię — krzyczał do Hanifa, który uciekał szybko przez salę, wołając: — Mamy poetę wśród nas, sahibie Sufjan. Odnosić się z szacunkiem. Zachować ostrożność. Twierdzi, że ulica jest rzeką, a my unosimy się z jej prądem; ludzkość jest rzeką krwi, oto puenta poety. Tak samo jak pojedynczy człowiek — przerwał, żeby przebiec na drugą stronę dużego stołu, Jumpy ruszył za nim, czerwony ze złości i machający rękoma — bo przecież czy w naszych własnych ciałach nie płynie rzeka krwi? — *Podobnie jak Rzymianinowi*, powiedział kiedyś szpiclowaty Enoch Powell, *wydaje mi się, że rzeka Tybr sphywa krwią*. Trzeba oswoić tę metaforę, powiedział do siebie Jumpy Joshi. Przekształcić ją; zrobić z niej przedmiot, którego można używać. — To jest jak gwałt — błagał Hanifa. — Na miły Bóg, przestań.

— Głosy, które słyszymy, są na zewnątrz nas, ale — dumiał właściciel kawiarni — Joanna d'Arc, na. Albo ten jak mu tam, z kotem: Wróc, Whittington. Ale gdy

się słyszy takie głosy, człowiek może stać się wielki albo przynajmniej bogaty. Ten tutaj jednak nie jest wielki, a do tego biedny.

— Wystarczy. — Jumpy uniósł obie ręce nad głową, uśmiechając się wbrew sobie od ucha do ucha. — Poddaję się.

Jeszcze trzy dni później, pomimo wszystkich wysiłków pana Sufjana, pani Sufjan, ich córek: Miszal i Anahity, oraz prawnika Hanifa Johnsona, Jumpy Joshi ciągle nie mógł przyjść do siebie, — Jest bardziej przygnębiony niż podenerwowany — jak to powiedział Sufjan. Niby prowadził normalny tryb życia, pokazywał się w klubach młodzieżowych, biurach spółdzielni filmowej, do której należał, a na ulicach rozdawał ulotki, sprzedawał gazety, tracił czas, nic nie robiąc; lecz kiedy tak szedł swoją drogą, jego krok był ociężały. I wtedy, czwartego wieczora, za ladą kawiarni Shaandaar Café rozległ się dźwięk telefonu.

— Pan Jamshed Joshi — zaśpiewała radośnie Anahita Sufjan, na swój sposób naśladowując angielski akcent wyższych sfer. — Uprasza się pana, by podszedł do telefonu. Rozmowa osobista.

Jej ojciec raz tylko spojrział na tryskającą radością twarz Jumpy'ego i powiedział cicho do żony — Pani, głos, który ten chłopak chce usłyszeć, nie jest bynajmniej głosem wewnętrznym, stanowczo nie.

* * *

To nieprawdopodobne stworzenie weszło między Pamelę i Jamsheda po siedmiu dniach spędzonych na kochaniu się, co robili z takim niewyczerpanym entuzjazmem, nieskończoną czułością i takim szczerym zapałem, że można by pomyśleć, że całą tę procedurę dopiero co wymyślono. Przez siedem dni byli nadzy, centralne ogrzewanie włączyli na maksa i udawali, że są tropikalnymi kochankami w jakimś upalnym miejscu na południu. Jamshed, zawsze niezręczny w postępowaniu z kobietami, powiedział Pamelę, że nie czuł się tak wspaniale od dnia swoich osiemnastych urodzin, kiedy to w końcu nauczył się jeździć na rowerze. Ledwo to wypowiedział, przestraszył się, że wszystko zepsuł, że to porównanie największej miłości jego życia do rozklekotanego roweru ze szkolnych czasów zostanie poczytane za zniewagę, jaką niewątpliwie było; ale niepotrzebnie się martwił, ponieważ Pamela pocałowała go w usta i podziękowała mu za wypowiedzenie najpiękniejszych słów, jakie kiedykolwiek jakikolwiek mężczyzna powiedział jakiegokolwiek kobiecie. W tym momencie zrozumiał, że cokolwiek zrobi, zawsze to będzie dobrze odebrane i po raz pierwszy w życiu zaczął czuć się autentycznie bezpieczny, bezpieczny jak w domu rodzinnym, bezpieczny jak człowiek, który jest kochany; podobnie było z Pamelą Czamca.

Siódmej nocy wyrwał ich z głębokiego snu niewątpliwy odgłos włamywania się do domu. — Pod łóżkiem leży kij hokejowy — wyszeptała przerażona Pamela. — Daj mi go — zasyczał Jumpy, który był równie wystraszony. — Idę z tobą — zatrzęsa się Pamela, a Jumpy zadrżał: — O nie, zostań tu. — W końcu oboje, skradając się, zeszli w dół, każde ubrane w falbankowy szlafrok Pameli, każde z ręką na kiju hokejowym, którego oboje bali się użyć. A jeśli ten facet ma spluwę, wyobraziła sobie Pamela, facet ze spluwą, który mówi, Wracajcie na górę... Doszli do końca schodów. Ktoś zapalił światło.

Pamela i Jumpy jednocześnie krzyknęli, rzucili kij hokejowy i błyskawicznie pobiegli na górę; natomiast na dole w sieni stało jasno oświetlone światłem przechodzącym przez szybę w drzwiach frontowych, którą wcześniej stłukło, aby otworzyć zamek zatrzaskowy (Pamela w ferworze namiętności zapomniała zamknąć na zasuwę) straszdyło żywcem wyjęte z koszmarne snu lub kina nocnego, postać pokryta błotem i lodem, i krwią, najbardziej obrośnięty stwór, jakiego kiedykolwiek widzieliście, z nogami i kopytami olbrzymiego kozła, z ludzkim torsem pokrytym koźlą sierścią, z ludzkimi ramionami i głową, wprawdzie przyozdobioną dwoma rogami, ale poza tym całkiem ludzką, pokrytą gnojem i brudem, i kilkudniowym zarostem. Samotne, przez nikogo nie obserwowane to nieprawdopodobne stworzenie runęło na podłogę i zastygło w bezruchu.

Na samej górze, to jest w „jaskini” Saladyna, pani Pamela Czamcza łkała spazmatycznie w ramionach kochanka, rozpaczliwie szlochając i wrzeszcząc wniebogłosy: — To nieprawda. Mój mąż eksplodował. Nikt nie przeżył. Słyszysz mnie? Jestem wdową po Czamczy, który jest przeraźliwie martwy.

Pana Gibrila Fariszte jadącego pociągiem do Londynu na powrót ogarnęło przerażenie, zresztą kto by mu nie uległ, że oto Bóg postanowił ukarać go za brak wiary, przyprawiając o utratę zmysłów. Usiadł przy oknie w pierwszej klasie, w przedziale dla niepalących, niestety tyłem do kierunku jazdy, ponieważ niestety jakiś facet wcześniej zajął miejsce po przeciwnej stronie, i wcisnąwszy mocniej kapelusz na głowę, siedział z dłońmi głęboko ukrytymi w lamowanej szkarłatem gabardynie i trząsł się ze strachu. Lęk przez postradaniem zmysłów na rzecz czegoś zupełnie paradoksalnego, przed zniszczeniem przez zjawiska, w których istnienie dawno przestał wierzyć, przed przeobrażeniem się jego szaleństwa we wcielenie jakiegoś chimerycznego archanioła, przerażenie to było tak potężne, że nie dało się na nie długo patrzeć; a jednak jak inaczej miał wytłumaczyć te cuda, metamorfozy i zjawy ostatnich dni? „Wybór jest oczywisty — zadygotał cicho na samą myśl o tym. — Wariant A — zwariowałem, albo też B, baba, ktoś się zjawił i zmienił reguły”.

Teraz jednak znajdował się w tym dodającym otuchy schronieniu, w przedziale, w którym na szczęście nie było elementu cudowności, oparcia były wystrzępione, lampka do czytania nad jego ramieniem nie działała, w ramie brakowało lustra, a do tego przepisy: małe, okrągłe czarno-białe znaki zakazujące palenia, napisy grożące karą za nieuzasadnione użycie hamulca, strzałki oznaczające do jakiego poziomu — ale ani centymetr niżej! — można otworzyć okno. Gibril odwiedził toaletę i tutaj również cały szereg zakazów i nakazów radował jego serce. Kiedy pojawił się konduktor z półokrągłym, tchnącym powagą władzy dziurkaczem do biletów, Gibril zdążył już cokolwiek uspokoić się, widząc te wszystkie dowody istnienia praw, i nabrał otuchy, i zaczął szukać realnego wytłumaczenia. Szczęśliwie uniknął śmierci i specyficznych majaków, które potem nastąpiły, a teraz, kiedy już doszedł do siebie, mógł się spodziewać, że poszczególne wątki jego dawnego życia — to jest jego dawnego, nowego życia, nowego życia, które planował jeszcze przed tą, hm, przerwą — zostaną ponownie złożone w jedną całość. Podczas gdy pociąg uwoził go coraz dalej od tej sfery mroku, okrywającej jego przybycie, i następującego potem tajemniczego zniewolenia, unosząc go wzdłuż radosnej oczywistości równoległych linii z metalu, poczuł, że przyciąganie wielkiego miasta zaczyna wywierać na niego swój magiczny wpływ, i dar nadziei, który miał uprzednio, powrócił, dając mu możliwość prolongaty starego długu, zamknięcia oczu na trudy przeszłości po to, by mógł spojrzeć w przyszłość. Zerwał się ze swojego miejsca i klapnął po przeciwnej stronie, z twarzą symbolicznie zwróconą w stronę Londynu, choć oznaczało to rezygnację z miejsca przy oknie. Co go zresztą obchodzą okna? Cały ten Londyn, którego tak pragnął, był tam, we wnętrzu jego duszy. Wymówił głośno jej imię: — Alleluja.

— Alleluja, bracie — potwierdził jedyny poza nim pasażer w tym przedziale.
— Hosanna, mój dobry panie, i amen.

* * *

— Chociaż muszę dodać, proszę pana, że moje przekonania nie mieszczą się w ramach żadnej religii czy sekty — kontynuował nieznajomy. — Gdyby pan użył słowa „Lailaha”, z przyjemnością odpowiedziałbym panu na cały głos „illa’llah”.

Gibril zrozumiał, że to, że się przesiadł oraz nieroztropnie wymówił rzadkie imię Allie, zostało błędnie odebrane przez tamtego jako wstęp do rozmowy zarówno na tematy towarzyskie, jak i religijne. — John Maslama — wrzasnął facet, wyszarpując wizytówkę ze swojej aktówki z krokodylej skóry i wciskając ją Gibrilowi. — Jeśli o mnie chodzi, jestem wyznawcą swojego własnego wariantu, uniwersalnej wiary wynalezionej przez Cesarza Akbara. Bóg, rzekłbym, jest czymś pokrewnym Muzyce Sfer.

Było oczywistym, że z pana Maslamy wytryśnie kaskada słów i że teraz, kiedy się ujawnił, nie można zrobić nic innego, jak tylko pozwolić, by ta ulewa wypadała się do końca. Ponieważ facet miał budowę zawodowego boksera, było raczej niewskazane, by go denerwować. W jego oczach Fariszta dostrzegł blask Prawdziwego Wiernego, lśnienie, które do niedawna codziennie zauważał przy goleniu w swoim własnym lustrze.

— Powiodło mi się w życiu, proszę pana — chełpił się Maslama, doskonale modulując akcent na oksfordzki. — Jak na kolorowego, wyjątkowo dobrze, zważywszy na rzeczywiste warunki, w których żyjemy; mam nadzieję, że zgodzisz się ze mną. — Oszczędnym, ale wymownym gestem tłustej jak baleron ręki podkreślił bogactwo swojego ubioru: szyty na zamówienie elegancki garnitur w prążki, złoty zegarek z dewizką, włoskie buty, ozdobnie zawiązany jedwabny krawat, wysadzone klejnotami spinki przy wykrochmalonych mankietach. Ten kostium angielskiego milorda wieńczyła głowa zdumiewającej wielkości, pokryta gęstymi zaczesanymi do tyłu włosami i wypuszczająca niewiarygodnie bujne brwi, pod którymi płonęły dzikie oczy, które Gibril zdążył już zauważyć. — Dość wyszukane — przyznał Gibril, bo najwyraźniej domagano się teraz od niego jakiejś reakcji. Maslama kiwnął głową. — Zawsze miałem skłonności — potwierdził — do stylu kwiecistego.

Pierwsze swoje pieniądze, a właściwe *grube pieniądze* — mówiąc jego słowami — zrobił na reklamowych wierszykach „tej starej diabelskiej muzyki”, przywabiających kobiety do bielizny i szminek, a mężczyzn wodzących na pokuszenie. Obecnie był właścicielem sklepów muzycznych w całym mieście, cieszącego

się powodzeniem klubu nocnego Hot Wax oraz sklepu ze lśniącymi instrumentami muzycznymi, źródła jego dumy i radości. Był Indianinem z Gujany — lecz nie tam nie zostało w tym kraju, proszę pana. Ludzie uciekają stamtąd szybciej niż samoloty potrafią latać. — Dorobił się błyskawicznie — z łaski Boga Wszechmogącego. Co niedziela regularnie chodzę do kościoła, proszę pana; przyznaję, mam słabość do Zbioru Hymnów Angielskich i wyspiewuję pod niebiosa.

Autobiografia została zakończona krótką wzmianką o istnieniu żony i jakiegoś tuzina dzieci. Gibril złożył gratulacje i miał nadzieję na chwilę ciszy, ale Maslama dopiero teraz walnął z grubej rury. — Nie musi mi pan opowiadać o sobie — zaczął jowialnie. — Oczywiście wiem, kim pan jest, nawet jeżeli człowiek nie spodziewa się spotkać tak wybitnej osoby na trasie Eastbourne-Victoria. — Mruknął chytrze i położył palec na ustach. — Ani słówka! Szanuję prawo człowieka do prywatnego życia, żadnych pytań o to, żadnych pytań w ogóle.

— Ja? Kim ja jestem? — Gibril był niedorzecznie wystraszony. Tamten z powagą pokiwał głową, jego brwi zafalowały jak miękkie rogi jelenia. — Moim zdaniem, pytanie godne nagrody. W dzisiejszych czasach obyczajnemu człowiekowi, proszę pana, nie żyje się łatwo. Jeżeli człowiek nie jest pewny istoty swojego bytu, skąd może wiedzieć, czy jest dobry czy zły? Ale zanudzam pana. Sam sobie odpowiadam na swoje pytania wiarą w To, proszę pana — tu Maslama wskazał sufit przedziału — a poza tym, pan oczywiście nie ma żadnych wątpliwości co do własnej tożsamości, ponieważ jest pan tym sławnym, tym, mogę powiedzieć legendarnym panem Gibrilem Fariszta, gwiazdą kina i w coraz większym stopniu, przykro mi to mówić, pirackiego przemysłu wideo; dwanaścioro moich dzieci, jedna żona i ja jesteśmy wszyscy od dawna oddanymi wielbicielami pana boskich, bohaterskich wyczynów. — Pochwycił prawicę Gibrila i potrząsnął nią mocno.

— Ponieważ skłaniam się ku poglądom panteistycznym — grzmiał dalej Maslama — moje zrozumienie dla pana dzieła bierze się stąd, że chętnie się pan wcielił w bóstwa wszelkiego możliwego do pomyślenia autoramentu. Tak, proszę pana, jest pan tęczą kolacją mieszkańców niebios, chodzącymi Narodami Zjednoczonymi bogów! Jest pan, krótko mówiąc, przyszłością. Proszę pozwolić oddać sobie honory. — W powietrzu zaczęła roznosić się wyraźna do rozpoznania woń prawdziwego szaleństwa i mimo że Maslama jeszcze nie powiedział, ani nie zrobił niczego, co by wykraczało poza normę, zatrwożony Gibril niespokojnymi zerknięciami mierzył odległość do drzwi. — Skłaniam się, proszę pana — mówił Maslama — ku opinii, że jakimkolwiek imieniem nazywałoby się To, nie byłoby to niczym więcej jak kodem; szyfrem, panie Fariszta, za którym dopiero ukryte jest prawdziwe imię.

Gibril milczał i Maslama, nie próbując nawet ukryć rozczarowania, czuł się w obowiązku mówić za niego. — Pyta pan, jak brzmi to prawdziwe imię — i wtedy Gibril zrozumiał, że się nie myli; ten człowiek jest skończonym obłąkańcem,

a jego biografia to prawdopodobnie taki sam czczy wymysł, jak jego „wiara”. Gdziekolwiek się człowiek nie ruszy, wszędzie chodzą po świecie fikcje, rozmyślał Gibril, fikcje przebrane za prawdziwych ludzi. „To ja go sobie ściągnąłem na głowę — oskarżał się — obawiając się o swoje zdrowe zmysły, przywołałem, Bóg jeden wie, z jakich ciemnych zakamarków, tego gadatliwego i być może niebezpiecznego świra”.

— Nic o tym nie wiesz — wrzasnął nagle Maslama, zrywając się na nogi. — Szarlatan! Pozer! Oszust! Twierdzisz, że jesteś kinowym nieśmiertelnym. Wciele niem stu i jeden bogów, a nie masz o nich *najmniejszego pojęcia!* Jak to możliwe, że ja, biedny chłopak z Bartica nad rzeką Essequibo, który coś osiągnął, wiem takie rzeczy, natomiast Gibril Fariszta nie wie? Fałszywce! Tfu!

Gibril wstał, ale tamten zajmował prawie całą przestrzeń pomiędzy siedzeniami i on, Gibril, musiał uchylić się niezgrabnie, aby uniknąć młócających powietrze rąk tamtego; jedna z nich straciła kapelusz Fariszty. Maslama natychmiast zastygł i pozostał tak z otwartymi ustami. Wydawało się, że skurczył się o parę cali, a po kilku nieznośnie długich chwilach opadł na kolana z głuchym odgłosem.

Cóż on wyczynia na tej podłodze, zastanawiał się Gibril, podnosi mój kapelusz? Lecz szalenciec błagał o wybaczenie. — Nigdy nie wątpiłem, że przybędziesz — mówił. — Wybacz mi mój nietaktowny gniew. — Pociąg wjechał do tunelu i Gibril zauważył, że otacza ich ciepła złocista poświata, która emanuje zza jego głowy. W szybkie drzwi przedziału zobaczył odbicie unoszącej się nad nim aureoli.

Maslama walczył ze swoimi sznurowadłami. — Przez całe życie, proszę pana, wiedziałem, że zostałem wybrany — mówił głosem, który teraz był równie pokorny, jak przedtem groźny. — Nawet będąc dzieckiem w Bartica, wiedziałem. — Ściągnął prawy but i zaczął zdejmować skarpetkę. — Dano mi — powiedział — znak. — Skarpetka została zdjęta, ukazując coś, co wyglądało na całkiem normalną, no może trochę za dużą, stopę. Wówczas Gibril policzył i znowu policzył, od jednego do sześciu. — To samo druga stopa — powiedział Maslama z dumą. — Nigdy ani przez chwilę nie wątpiłem w znaczenie tego. — Był on mianowanym przez siebie samego współpracownikiem Pana, szóstym palcem u stopy Najwyższego. Coś jest nie w porządku z duchowym życiem planety, myślał Gibril Fariszta. Zbyt wiele diabelstwa w ludziach utrzymujących, że wierzą w Boga.

Pociąg wyjechał z tunelu, Gibril powziął decyzję. — Wstań sześciopalcy Johnie — zaintonował w doskonały sposób, żywcem wyjęty z jego hinduskich filmów religijnych. — Maslamo, powstań.

Tamten wygramolił się z trudem i stanął z pochyloną głową, nerwowo wyłamując palce u rąk. — Chcę wiedzieć, proszę pana — wymamrotał — które z nich to będzie? Unicestwienie czy zbawienie? Dlaczego powróciłeś?

Gibril myślał intensywnie. — Aby sądzić — odpowiedział w końcu. — Fakty muszą zostać dokładnie zbadane, argumenty za i przeciw rozważone. Cały rodzaj ludzki będzie przedmiotem sądu, a jest oskarżonym z paskudną przeszłością:

falszerz historii, nicpoń. Należy przeprowadzić wyważone analizy. Na razie wydanie wyroku odkłada się; zostanie obwieszczony we właściwym czasie. Zanim to nastąpi, moja obecność musi być utrzymana w tajemnicy, z istotnych względów bezpieczeństwa. — Włożył ponownie kapelusz na głowę, czuł się zadowolony.

Maslama kiwnął gwałtownie głową. — Może pan na mnie polegać — obiecał. — Jestem człowiekiem, który szanuje prywatność drugiej osoby. Ani słówka — po raz drugi!

Gibril uciekł z przedziału, a hymny szaleńca ścigały go nieustannie. Kiedy wreszcie dobiegł na sam koniec pociągu, peany Maslamy już ledwo było sły-chać. „Alleluja! Alleluja!” Najwidoczniej jego nowy zwolennik zaatakował wy-jątki z „Mesjasza” Haendla.

Jednakowoż nikt nie ścigał Gibrila i na szczęście w tyle pociągu również znaj-dował się wagon pierwszej klasy. Nie był podzielony na przedziały, wygodne po-marańczowe fotele ustawiono po cztery wokół stołów i Gibril usiadł przy oknie, wypatrując Londynu z łomotaniem w piersiach, a kapelusz miał mocno wciśnięty na głowę. Próbował pogodzić się z niezaprzeczalnym faktem istnienia aureoli i nie udało mu się to, ponieważ za sobą miał obłąkanie Johna Maslamy, a przed sobą zdenerwowanie Allelui Cone i trudno mu było uporządkować myśli. Następnie zauważył z rozpaczą, że za oknem unosi się na swoim dywanie z Suchary pani Rekha Merchant, najwyraźniej nie zwracając uwagi na śnieżycę, która rozszalała się tam na zewnątrz i upodabiała Anglię do obrazu w telewizji po zakończeniu emisji. Pomachała mu i poczuł, że nadzieja z niego uchodzi. Zemsta na lewitują-cym dywaniku: zamknął oczy i skoncentrował się na tym, żeby opanować drzenie.

* * *

— Wiem, czym jest duch — powiedziała Allie Cone do klasy pełnej nasto-latek, których twarze jaśniały od delikatnego wewnętrznego światła uwielbienia. — W wysokich partiach Himalajów często zdarza się, że alpinistom towarzyszą duchy tych, którzy zginęli podczas próby zdobycia szczytu, albo też smutniejsze, ale zarazem bardziej dumne duchy tych, którym udało się osiągnąć wierzchołek, po to tylko, by stracić życie w drodze powrotnej.

Za oknem w parku Fields śnieg osiadał powoli na wysokich nagich drzewach i na trawnikach. Pomędzy nisko wiszącymi, ciemnymi śniegowymi chmurami a miastem przykrytym białym dywanem można było dostrzec brudnożółte świa-tło, słabe, zamglone światło, które gasiło porywy serca i odbierało chęć snucia marzeń. *Tam* w górze, przypomniawszy sobie Allie, tam w górze na wysokości ośmiu tysięcy metrów światło było tak czyste, że zdawało się dźwięczeć, śpiewać, po-

dobne muzyce. Tutaj na płaskiej ziemi światło również było płaskie, i przyziemne. Tutaj nic nie fruwało w powietrzu, trzcina znikła już z jeziora i umilkły ptaki. Wkrótce zapadanie zmrok.

— Pani Cone? — Ręce dziewcząt, uniesione w górę, zaciągnęły ją z powrotem do klasy. — Duchy, proszę pani? Tam w górze? Pani stroi sobie z nas żarty, no nie? — Powątpiewanie na ich twarzach walczyło z uwielbieniem. Znała pytanie, które chciały jej zadać, a które prawdopodobnie nie padnie: pytanie o cud, jakim jest jej skóra. Wchodząc do klasy, słyszała jak szeptały podniecone, to prawda, zobacz, jaka *blada*, to niewiarygodne. Alleluja Cone, której lodowatość była w stanie oprzeć się gorącu słońca na wysokości ośmiu tysięcy metrów. Allie, śnieżna dziewczica, królowa lodu. *Proszę pani, jak to się dzieje, że pani nie może się opalić?* Kiedy zdobyła Everest z ekspedycją Collingwooda, gazety nazywały ich Królową Śnieżką i Siedmioma Krasnoludkami, chociaż nie przypominała dziewczyny z filmów Disneya, miała pełne usta blade raczej, a nie czerwone jak maki, włosy śnieżno-blond, nie czarne, oczy wcale nie otwarte szeroko, niewinne, lecz przy-mrużone z przyzwyczajenia, dla ochrony przed blaskiem słońca odbijającym się od śniegu. Wspomnienie o Gibrilu Fariszcie pojawiło się niespodziewanie, zaskakując ją: Gibril w pewnej chwili podczas ich wspólnych trzech i pół dni, zagrział, z tym swoim zwykłym brakiem umiaru, „Dziecino, nie jesteś żadną górą lodową, co by tam nie mówili. Jesteś namiętą kobietą, bibi. Gorącą i ostrą jak kachori”. Udawał, że dmucha na poparzone koniuszki palców i dla podkreślenia potrząsał ręką: *Och, za gorącą. Och, przynieście wody.* Gibril Fariszta. Opanowała się: Hej-ho, do pracy.

— Duchy — powtórzyła stanowczo. — W czasie wspinaczki na Everest, po przejściu lodospadu, zobaczyłam mężczyznę siedzącego w pozycji lotosu na odsłoniętej skale, oczy miał zamknięte, na głowie szkocki beret, zawodził starą mantrę: „om mani padmé hum”. — Po jego archaicznym ubiorze i dziwnym zachowaniu domyśliła się od razu, że jest to zjawa Maurice’a Wilsona, jogi, który w roku 1943 przygotowywał się do samotnego wejścia na Everest poprzez trzytygodniowe posty, mające mu pomóc w osiągnięciu tak silnego zespolenia ciała i duszy, że góra będzie za słaba, aby więź tę rozerwać. Poleciał niewielkim samolotem tak wysoko, na ile maszyna mogła się wznieść, i wylądował awaryjnie na śnieżnym poletku, rozmyślnie rozbijając samolot, ruszył w górę i nigdy nie wrócił. Kiedy Allie podeszła bliżej, Wilson otworzył oczy i lekko skinął głową na powitanie. Szedł obok niej przez resztę dnia albo też wisiał w powietrzu, kiedy wspinająca się po ścianie. W pewnym momencie klapnął brzuchem w śnieg na stromym zboczu i zaczął sunąć pod górę, jak gdyby wyjeżdżał na niewidzialnym toboganie, wbrew sile grawitacji. Allie uświadomiła sobie, że zachowuje się wobec niego całkiem naturalnie, jak gdyby wpadła przed chwilą na starego znajomego — później przyczyny tego były dla niej niezrozumiałe.

Wilson sporo gawędził, — „Nie narzekam obecnie na nadmiar towarzystwa,

ani w tę stronę, ani w tamtą”, i wyraził między innymi swoje oburzenie z powodu odkrycia jego ciała przez chińską ekspedycję z 1960 roku. — „Ci mali żółci faceci mieli naprawdę tupet, czelność niesamowitą, żeby filmować moje ciało”. Alleluja Cone była pod wrażeniem jaskrawej, żółto-czarnej szkockiej kraty jego nieskazitelnych pumpów. Wszystko to opowiedziała dziewczynom z Gimnazjum Żeńskiego w Brickhall Fields, które wcześniej napisały do niej tyle listów z prośbą, by przyjechała do nich z wykładem, że po prostu nie mogła odmówić. „Musisz pani”, błagały w listach, „Pani mieszka tuż obok”. Z okna w klasie, patrząc ponad parkiem, mogła dostrzec swoje mieszkanie, w tej chwili ledwo widoczne poprzez coraz mocniej syjący śnieg.

A oto, czego nie powiedziała klasie: jak duch Maurice’a Wilsona opisał jej z najdrobniejszymi szczegółami jego własną wspinaczkę, a także odkrycia dokonane po śmierci, na przykład powolny, pokrętny, nieskończenie delikatny i niezmiennie bezproduktywny rytuał kopulacji yeti, którego świadkiem był ostatnio na South Col, — przyszło więc jej na myśl, że spotkanie z duchem ekscentryka z 1934, pierwszej istoty ludzkiej, która próbowała samotnie wejść na Everest i która sama była pewnego rodzaju obrzydliwym człowiekiem śniegu, nie było przypadkiem, ale rodzajem drogowskazu, deklaracją pokrewieństwa. Proroctwem, być może, ponieważ właśnie w tamtym momencie narodziło się jej ciche marzenie, ta nieosiągalna rzecz: marzenie o samotnej wspinaczce. Było również możliwe, że Maurice Wilson był aniołem jej śmierci.

— Chcę mówić o duchach — oznajmiła — ponieważ większość alpinistów po zejściu ze szczytu zaczyna odczuwać zażenowanie z tego powodu i nie wspomina o tym w swoich relacjach. Naprawdę istnieją, muszę to przyjąć do wiadomości, chociaż jestem realistką twardo stąpającą po ziemi.

Śmiechu warte. Jej stopy. Nawet przed wyprawą na Everest odczuwała przeszywający ból i jej lekarka, doktor Mistry, bardzo konkretna kobieta — zasadnicza kobieta z Bombaju, powiedziała jej, że ma zniekształcone łuki stóp. „W języku potocznym płaskostopie”. Jej podbicie, zawsze słabe, zostało jeszcze bardziej osłabione przez lata chodzenia w trampkach i innym nieodpowiednim obuwiu. Doktor Mistry nie mogła zalecić jej nic specjalnego: ćwiczenie zaciskania i wyprostowywania palców u nóg, bieganie boso po schodach, wygodne obuwie. — Jest pani jeszcze młoda — powiedziała. — Jeżeli będzie pani dbała o siebie, będzie pani zdrowa. Jeżeli nie, zostanie pani kaleką w wieku czterdziestu lat — Kiedy Gibril — cholera! — dowiedział się, że weszła na Everest pomimo cierni w stopach, zaczął ją nazywać swoją kurzą łapką. Czytał kiedyś zbiór bajek, w którym znalazł opowiadanie o morskiej kobiecie, która porzuciła ocean i przybrała ludzką postać dla ukochanego mężczyzny. Miała teraz stopy zamiast płetw, lecz każdy krok był dla niej śmiertelną udręką, jak gdyby chodziła po potłuczonym szkle; mimo to szła przed siebie, dalej i dalej, w głąb ładu. Zrobiłaś coś takiego dla jakiejś cholernej góry, powiedział. Czy zrobiłabyś to dla mężczyzny?

Zataiła swoje dolegliwości przed kolegami z ekspedycji, ponieważ czar Everestu był wprost nieodparty. Lecz obecnie ból wcale nie ustąpił, można by wręcz powiedzieć, nasilał się, jeżeli to w ogóle możliwe. W jej przypadku rolę stopokształtka odegrała wrodzona choroba. Koniec przygód, pomyślała Allie; zdradzona przez swoje stopy. Obraz celowo zniekształconych stóp wciąż pozostał przed jej oczyma. *Cholerni Chińczycy*, zadumała się, powtarzając za duchem Wilsona.

— Życie jest dla niektórych takie łaskawe — płakała kiedyś w ramionach Gibrila Farszity. — Dlaczego *ich* przeklęte stopy nie nawalają? — Pocałował ją w czoło. — Być może tobie pisana jest walka — powiedział. — Za bardzo tego pragniesz.

Dziewczęta czekały na nią coraz bardziej zniecierpliwione tą całą mową o duchach. Chciały *tej* relacji, jej relacji. Chciały stać na szczycie góry. *Czy wiecie, jakie to uczucie*, chciała je zapytać, *kiedy całość waszego życia jest skoncentrowana do jednej chwili, trwającej kilka godzin? Czy wiecie, jak to jest, kiedy jedyną możliwością jest droga w dół?* — Byłam w parze z Szerpą Pembą — powiedziała. — Pogoda była świetna, świetna. Powietrze tak przejrzyste, aż czuło się, że można przesyć wzrokiem całe niebo i spojrzeć we wszystko, co leżało za nim. Pierwsza dwójka najprawdopodobniej już doszła do szczytu, powiedziałam do Pemby. Warunki utrzymują się, możemy ruszać. Pemba bardzo spoważniał, co było nowością, jako że był clownem ekspedycji. Także nigdy nie był na szczycie. W tamtej chwili nie miałam najmniejszego zamiaru iść bez tlenu, ale kiedy zobaczyłam, że on zdecydował się na to, pomyślałam sobie, OK, ja również. Był to niemądry kaprys, zupełnie szczeniacki, lecz nagle zapragnęłam być kobietą, która siądzie na szczycie tej parszywej góry, istotą ludzką, a nie maszyną do oddychania. Pemba powiedział, Allie Bibi, nie rób tego, ale już ruszyłam. Wkrótce minęliśmy tamtych, schodzących, i widziałam cudowną rzecz w ich oczach. Byli tak szczęśliwi, tak triumfowali, że nawet nie zauważyli braku aparatu tlenowego. Bądźcie ostrożni, krzyknęli do nas, uważajcie na anioły. Pemba zaczął oddychać miarowo, a ja próbowałam naśladować ten rytm, kiedy on wdychał i ja wdychałam, kiedy wydychał i ja wydychałam. Czułam, że coś ulatuje z czubka mojej głowy i wyszczerzyłam zęby, po prostu wyszczerzyłam zęby od ucha do ucha, a kiedy Pemba spojrział w moją stronę, zauważyłam, że robi to samo. Wyglądało to jak jakiś grymas, jak ból, ale to była po prostu głupia radość. — Była kobietą, która doszła do tego, co transcendentne, do cudów duszy, dzięki ciężkiej fizycznej pracy — wspinaniu się po skutej lodem skale. — W tym momencie — powiedziała dziewczętom, które razem z nią wspiwały się, pokonując każdy krok jej trasy — uwierzyłam w to wszystko: że świat ma własny głos, że można podnieść zasłonę i zobaczyć twarz Boga, wszystko. Ujrzałam Himalaje rozpościerające się pode mną i to także była twarz Boga. Pemba musiał dostrzec coś w wyrazie mojej twarzy, co zaniepokoiło go, ponieważ krzyknął do mnie, Uważaj, Allie Bibi, kulminacja. Przypominam sobie, że było tak, jakbym przepłynęła nad ostatnim

nawisem i dalej w górę, na sam wierzchołek i oto znaleźliśmy się tam, a ziemia opadała w dół, w każdym kierunku. Takie światło; świat tak oczyszczony, że stał się światłem. Chciałam zedrzeć z siebie rzeczy i pozwolić, by przeniknęło przeze mnie. — Nikt w klasie nie zachichotał; wszystkie tańczyły nago na dachu świata. — Wówczas pojawiły się obrazy, tęcze spletały się i tańczyły na niebie, blask spływał jak wodospad ze słońcem, i były tam anioły, tamci nie żartowali. Widziałam je, podobnie zresztą jak Szerpa Pemba. Klęczeliśmy już wtedy. Jego źrenice były zupełnie białe, tak jak moje, jestem pewna. Prawdopodobnie umarlibyśmy tam, jestem pewna, oślepieni przez śnieg i otumanieni przez górską euforię, ale nagle usłyszałam hałas, głośny i przeraźliwy huk, podoby do strzału. To mnie wyrwało z tego nastroju. Musiałam krzyczeć na Pembę, aż i on otrząsnął się i zaczęliśmy schodzić. Pogoda zmieniła się gwałtownie; nadchodziła zamieć. Powietrze było teraz ciężkie, ciężkość zamiast tego światła, tej światłości. Z trudem dobrnęliśmy do punktu spotkania i cała nasza czwórka wtoczyła się do małego namiotu w Obozie Szóstym, ponad osiem tysięcy metrów. Niewiele się tam rozmawia. Wszyscy mieliśmy swoje Everesty, na które wspinaliśmy się ponownie, wiele razy w ciągu nocy. Ale w pewnej chwili zapytałam: „Co to był za hałas? Czy ktoś wystrzelił z rewolweru?” Popatrzyli na mnie jak na wariatkę. Kto zrobiłby taką cholerną głupią rzecz na tej wysokości, powiedzieli, a poza tym, Allie, wiesz przecież bardzo dobrze, że nigdzie na tej górze nie ma rewolweru. Mieli rację, oczywiście, ale słyszałam strzał, tego jestem pewna: bam, bam, strzał i echo. I to byłoby na tyle — zakończyła nagle. — Koniec. Historia mojego życia.

Chwyciła laskę ze srebną rączką i przygotowała się do wyjścia. Nauczycielka, pani Bury, podeszła do niej, aby wygłosić zwykłe w tej sytuacji banały. Ale dziewczęta nie chciały dać się zbyć byle czym. — Więc co to było w takim razie, Allie? — nalegały: a ona, wyglądająca tak jakby do jej trzydziestu trzech lat nagle przybyło dziesięć, wzruszyła ramionami. — Nie wiem — powiedziała im. — Może to był duch Maurice’a Wilsona?

Wyszła z klasy, wspierając się mocno na lasce.

* * *

Miasto — Ten Właśnie Londyn, jar, *wyobraźcie* sobie do cholery — spowite było w białą szatę jak żałobnik na pogrzebie. — Czyim, cholera, pogrzebie, proszę pana, zapytał sam siebie bliski obłądu Gibril Fariszta, nie moim, mam *cholerną* nadzieję i *ufam*. Kiedy pociąg wjechał na stację Victoria, Gibril wyskoczył w biegu, potknął się i wyłożył jak długi wprost pod wózki bagażowe i szyderstwa czekających Londyńczyków, trzymając kurczowo, kiedy padał, swój coraz

bardziej sponiewierany kapelusz. Rekhi Marchant nigdzie nie było widać i chcąc wykorzystać ten moment, Gibril zaczął biec przez rzednący tłum jak opętaniec, po to tylko, by zastać ją przy barierce biletowej, gdzie cierpliwie unosiła się na swoim dywanie, niewidzialna dla niczyich oczu z wyjątkiem jego, trzy stopy nad ziemią.

— Czego chcesz — wybuchnął — jaką masz do mnie sprawę? — Zobaczyć twój upadek — odpowiedziała natychmiast — Rozejrzyj się — dodała. — Już teraz udało mi się zrobić z ciebie całkiem niezłego durnia.

Ludzie rozstępowali się przed Gibrilem, szaleńcem w przydługim płaszczu i w kapeluszu włóczęgi, *ten pan mówi sam do siebie*, powiedział jakiś dziecięcy głosik, a mama dziecka wyszeptała *ćśśś, kochanie, nie wolno śmiać się z czyjegoś nieszczęścia*. Witamy w Londynie. Gibril Fariszta popędził w stronę schodków prowadzących do metra. Siedząca na swoim dywanie Rekha pozwoliła mu odejść.

Lecz kiedy wpadł na peron Linii Victorii w kierunku północnym, zobaczył ją znowu. Tym razem była kolorową fotografią na czterdziestoośmioarkusowym afiszu reklamującym zalety systemu bezpośrednich międzynarodowych połączeń telefonicznych, rozlepionym wzdłuż torów. *Wykup miejsce na magiczną podróż do Indii na latającym dywanie*, doradzała. *Nie potrzeba dżinnów ani czarodziej-skich lamp*. Krzyknął głośno, ponownie budząc wśród współpasażerów wątpliwości co do stanu swojego zdrowia psychicznego, i uciekł na peron Unii południowej, przy którym właśnie zatrzymywał się pociąg. Wskoczył do środka i znalazł się twarzą w twarz z Reką, trzymającą na kolanach zwinięty dywan. Drzwi zamknęły się za nim z hukiem.

Tego dnia Gibril Fariszta uciekał metrem londyńskim we wszystkich możliwych kierunkach i dokądkolwiek się nie ruszył, Rekha zawsze go odnajdywała; siedziała u jego stóp na niekończących się ruchomych schodach przy Oxford Circus, a w niemiłosiernie zatłoczonych windach stacji Tufnell Park ocierała się o niego w sposób, który za życia uważałaby za skandaliczny. Na końcowych odcinkach Linii Metropolitan strącała zjawy swoich dzieci z drzew o rozcapierzonych gałęziach, a kiedy wyszedł na ulicę nie opodal Banku Angielskiego, żeby zaczerpnąć powietrza, rzuciła się w teatralnym geście ze szczytu frontonu klasycystycznego budynku. I mimo że nie miał pojęcia, jaki jest kształt tego najbardziej zmiennego i podobnego kameleonowi miasta, doszedł do przekonania, że nieustannie zmienia ono swoją postać w czasie, kiedy przemieszczał się pod jego powierzchnią, a więc że stacje metra przenoszą się z jednej linii na drugą i pojawiają w dowolnej kolejności. Niejeden raz wynurzał się, na wpół uduszony, z tego podziemnego świata, w którym przestały obowiązywać prawa czasu i przestrzeni i próbował złapać taksówkę; żadna jednak nie chciała się zatrzymać, co zmuszało go do ponownego zanurzania się w piekielnym labiryncie, labiryncie bez wyjścia, i kontynuowania swojej eposu godnej ucieczki. W końcu beznadziejnie zmęczony, uległ nieuchronnej logice własnego obłądu, na którejś z kolei stacji,

która jak postanowił, musi być ostatnim z przystanków w jego z góry skazanej na niepowodzenie pogoni za chimera. Wszedł na zewnątrz i znalazł się na dramatycznie obojętnej ulicy wyściełanej śmieciami, nie opodal ronda, które aż roiło się od ciężarówek. Było już ciemno, kiedy chwiejnym krokiem, przywołując ostatnie już zapasy optymizmu, wszedł do jakiegoś nieznanego parku, zupełnie upiornego na skutek ektoplazmowego światła lamp sodowych. Klękając w pustce zimowego wieczoru, zobaczył jakąś kobiecą postać sunącą wolno w jego stronę poprzez trawnik okryty całunem śniegu i odgadł, że musi to być jego nemezis, Rekha Merchant, która zbliża się, by złożyć na jego ustach pocałunek śmierci, by wciągnąć go w otchłań jeszcze głębszą niż ta, w której dokonała dzieła zniszczenia jego ducha. Było mu już wszystko jedno i kiedy kobieta zbliżyła się, zdążył już opaść na ręce, a na dodatek płaszcz zwisał z niego luźno, co nadawało mu wygląd wielkiego umierającego żuka, który z jakichś niezrozumiałych powodów ma na głowie szary brudny kapelusz.

Jakby z oddali dobiegł go okrzyk zdziwienia, który wyrwał się z ust kobiety, mieszały się w nim niedowierzanie, radość i dziwna uraza i zanim stracił przytomność, zdołał jeszcze zrozumieć, że Rekha pozwoliła mu, przynajmniej chwilowo, mieć złudzenie, że osiągnął bezpieczną przystań, by tym słodszy był jej ostateczny triumf.

— Żyjesz — powiedziała kobieta, powtarzając słowa, którymi się kiedyś po raz pierwszy do niego zwróciła. — Odzyskałeś życie. A to przecież najważniejsze. Uśmiechając się zapadł w sen u płaskich stóp Allie, a śnieg padał, padał.

IV

Aisza

Nawet seriale telewizyjne już wyemigrowały; znają to miasto lepiej od niego. W następstwie spotkań z Rosą i Reką światy marzeń jego drugiego, archańskiego ja zaczęły wydawać się obecnie tak realne, jak zmieniające się jedna po drugiej rzeczywistości, które on zamieszkuje, kiedy się budzi. Na przykład, pojawia się coś takiego: kamienica czynszowa w holenderskim stylu w dzielnicy Londynu, którą później zidentyfikuje jako Kensington, do której to kamienicy marzenie przenosi go z dużą prędkością obok domu towarowego Barkers i małego, szarego budynekczku z podwójnymi oknami w wykuszach, w którym Thackeray pisał swoje „Targowisko próżności” oraz obok placu z klasztorem, do którego zawsze wchodziły małe dziewczynki w mundurkach, ale nigdy z niego nie wychodzą, obok domu, gdzie mieszkał pod koniec życia Talleyrand, kiedy po tysiącu i jednej kameleonowych zmianach zasad przybrał zewnętrzną formę ambasadora Francji w Londynie, i wreszcie przybywa on do siedmiopiętrowego narożnego bloku z zielonymi balkonami z kutego żelaza aż do piętra czwartego, a teraz wizja przyspiesza jego podróż w górę wzdłuż wewnętrznej ściany budynku i na czwartym piętrze odsuwa on ciężkie zasłony w oknie salonu, i w końcu siedzi w tym pokoju, nie śpiąc jak zwykle, szeroko otwarte oczy w przyćmionym żółtym świetle, patrząc w przyszłość, brodaty Imam w turbanie.

Kim jest? Wygnańcem. Czego nie wolno mylić i co nie może się zlewać z tymi wszystkimi innymi określeniami, których ludzie używają tak lekkomyślnie: emigrant, osoba która zrzekła się obywatelstwa, uciekinier, imigrant, cisza, przebiegłość. Wygnanie jest marzeniem o powrocie w chwale. Wygnanie jest wizją rewolucji: Elbą, a nie Świętą Heleną. Jest nieustannym paradoksem: patrzeniem do przodu poprzez stałe patrzenie wstecz. Wygnaniec to piłka rzucona wysoko w górę. Wisi tam, zastygły w czasie, przemieniony w fotografię; wstrzymany ruch, zawieszony nieprawdopodobnie ponad swoją rodzinną ziemią, wygląda on tego nieuniknionego momentu, w którym fotografia musi zacząć się ruszać, a ziemia zażąda swego. O takich sprawach myśli Imam. Jego domem jest wynajęte mieszkanie. Jest ono poczekalnią, fotografią, powietrzem.

Gruba tapeta, oliwkowe paski na kremowym tle, nieco tylko wyblakła, a jednak wystarczająco, aby podkreślić żywsze prostokąty i owale, które zdradzają miejsca, gdzie kiedyś wisały obrazki. Imam jest wrogiem podobizn, kiedy wprowadził się, obrazy ześliznęły się bezszelestnie ze ścian i wymknęły ukradkiem z pokoju, usuwając się w ten sposób przed wściekłością jego milczącej dezaprobaty. Niektórym podobiznom pozwolono jednak zostać. Na obramowaniu kominika trzyma kilka widokówek ze stereotypowymi obrazami rodzinnej miejscowości, która nazywa się po prostu Desz: jakaś góra wznosi się nad miastem; malownicza scenka wiejska pod olbrzymim drzewem; meczet. Ale w sypialni, na ścianie naprzeciwko twardego składanego łóżka, na którym sypia, wisi ikona, portret kobiety o nadzwyczajnej sile, słynnej z profilu greckiego posągu i czarnych włosów długich do samej ziemi. Potężna kobieta, jego wróg, jego alter ego: trzyma

ją blisko siebie. Podobnie zresztą, daleko stąd, w pałacach swojej wszechwładzy ona będzie trzymać kurczowo jego portret ukryty pod królewskim płaszczem lub schowany w medalionie na szyi. Cesarzowa, a nazywa się — jakżeby inaczej? — Aisza. Na tej wyspie, Imam-uchodźca, a w kraju, w Desz, Ona. Każde obmyśla śmierć drugiego.

Zasłony, gruby, złocisty aksamit, są zaciągnięte przez cały dzień, ponieważ gdyby je odsłonięto, zło mogłoby wkraść się do mieszkania: cudzoziemszczyzna, zagranica, obcy naród. Przykry powód, dla którego on jest tu, a nie Tam, na którym koncentruje wszystkie swoje myśli. W tych rzadkich chwilach, kiedy Imam wychodzi zaczerpnąć kensingtonskiego powietrza, w samym środku kwadratu utworzonego przez ośmiu młodych mężczyzn w ciemnych okularach i z wybrzuszeniami pod marynarkami, składa przed sobą ręce i idzie ze wzrokiem utkwionym w ochroniarzy, żeby żaden element czy cząstka tego znenawidzonego miasta, — tego gniazda rozpusty, które poniża go udzielając mu schronienia, za co musi czuć się zobowiązany wobec niego pomimo tej pożądlivości, chęci zysku i próżności, — nie dostał się jak pyłek kurzu do jego oczu. Kiedy zostawi za sobą to ohydne wygnanie i powróci tryumfalnie do tego innego miasta, pod widokówkową górą, będzie mógł z dumą powiedzieć, że nadal pozostaje w stanie całkowitej niewiedzy o tej Sodomie, w której musiał czekać; nie wiedzący, a więc nie splamiony, nie zmieniony, czysty.

Inną przyczyną, dla której zasłony pozostają zaciągnięte, jest oczywiście to, że wokół niego są oczy i uszy, ale nie wszystkie przyjazne. Te pomarańczowe budynki nie są neutralne. Gdzieś po drugiej stronie ulicy pojawi się teleobiektyw, sprzęt wideo, olbrzymie mikrofony; i zawsze niebezpieczeństwo snajperów. I nad, i pod, i obok Imama znajdują się bezpieczne mieszkania zajęte przez jego strażników, którzy przechadzają się po ulicach Kensington przebrani za kobiety w całunach i ze srebrzystymi dziobami; ale nadmiar ostrożności nigdy nie zaszkodzi. Dla wygnańca paranoja jest niezbędnym warunkiem utrzymania się przy życiu.

Bajka, którą usłyszał z ust jednego ze swoich ulubieńców, amerykańskiego neofity, niegdyś słynnego piosenkarza, znanego obecnie jako Bilal X. W pewnym nocnym klubie, do którego Imam ma zwyczaj wysyłać swoich ludzi, aby przysłuchiwali się temu, co powiedzą pewne osoby należące do pewnych ugrupowań opozycyjnych, Bilal spotykał młodego człowieka z Desh, również śpiewającego, zaczęli więc rozmawiać. Okazało się, że ten Mahmud jest bardzo przerażonym osobnikiem. Ostatnio schronił się u gori, wysokiej kobiety o rudych włosach, i wtedy wyszło na jaw, że poprzednim kochankiem jego kochanej Renaty był emigracyjny szef SAVAK-u, organizacji oprawców podległej szachowi Iranu. Sam Wielki Bonzo numer jeden; nie jakiś tam pomniejszy sadysta z talentem do wrywania paznokci lub przypalania powiek, ale wielki harem zada we własnej osobie. Dzień po wprowadzeniu się Mahmuda i Renaty do nowego mieszkania Mahmud otrzymał list. *W porządku, gnoju, posuwasz moją kobietę, chciałbym ci*

tylko powiedzieć czolem. Następnego dnia przyszedł kolejny Ust. *A propos, kutasie, zapomniałem ci podać, oto twój nowy numer telefonu.* Mahmud i Renata zwrócili się wcześniej z prośbą o numer zastrzeżony, ale jak dotąd nie otrzymali go jeszcze od przedsiębiorstwa telefonicznego. Kiedy przydzielono ten numer dwa dni później i okazał się identyczny, jak ten otrzymany w liście, Mahmudowi natychmiast wypadły wszystkie włosy. Wtedy, widząc je leżące na poduszce, złożył ręce przed Renatą i błagał: — Dziecino, kocham cię, ale jesteś zbyt gorąca dla mnie, proszę, odejść gdzieś, daleko daleko. — Kiedy Imamowi opowiedziano tę historię, pokręcił głową i powiedział, to dziwka, kto ją teraz dotknie, mimo że jej ciało wzbudza u mężczyzn pożądanie? Naznaczyła sobie piętnem gorszym od trądu; w ten sposób istoty ludzkie okaleczają same siebie. Ale prawdziwym morałem tej przypowieści jest potrzeba wiecznej czujności. Londyn jest miastem, w którym były szef SAVAK-u miał dojścia w przedsiębiorstwie telefonicznym, a były kucharz Szacha prowadził świetnie prosperującą restaurację w Hounslow. Takie gościnne miasto, taka przystań, przyjmuje ludzi wszelkiego pokroju. Koniecznie zaciągajcie zasłony.

W tym domu z okazałymi mieszkaniami piętra od trzeciego do piątego są chwilowo wszystkim, co Imam posiada. Tu właśnie znajdują się pistolety i krótkofalówki, i pokoje, w których bystrzy młodzi ludzie w garniturach siedzą i załatwiając pilne sprawy mówią do kilku słuchawek naraz. Nie widać tu nigdzie alkoholu ani kart do gry czy kości, a jedyną kobietą jest ta postać wisząca na ścianie w sypialni starego człowieka. W tej zastępczej ojczyźnie, którą bezsenny święty traktuje jako swoją poczekalnię lub strefę eksterytorialną, ogrzewanie działa pełną parą dzień i noc, a okna są szczelnie zamknięte. Wygnaniec nie może zapomnieć, a więc musi symulować suchy upał w Desz, ziemi przeszłości i przyszłości, gdzie nawet księżyc jest gorący i apetyczny jak świeżutki, ociekający masłem czapati. O, ty tak wytęskniona części świata, gdzie i słońce, i księżyc są rodzaju męskiego, lecz ich gorące, słodkie światło nosi kobiece imiona. W nocy wygnaniec odsuwa swoje zasłony i obce światło księżyca wchodzi ukradkiem do pokoju, a jego chłód uderza w oczy mężczyzny jak gwoździe. Krzywi się, przymyka powieki. Przyobleczony w luźną szatę, niezadowolony, złowieszczy: oto jest Imam.

Wygnanie jest krainą bez duszy. Na wygnaniu meble są brzydkie, drogie, wszystkie kupione w tym samym czasie i w tym samym sklepie i z nadmiernym pośpiechem: błyszczące srebrne kanapy z płetwami jak w starych buickach de Soto oldsmobilach, oszklone półki, na których zamiast książek stoją segregatory z wycinkami z gazet. Na wygnaniu za każdym odkręceniem kranu w kuchni z prysznicą nagle leci wrzątek, tak więc kiedy Imam zażywa kąpieli, cała jego świta musi pamiętać, aby nie nalewać wtedy wody do czajnika i nie opłukiwać brudnego talerza, a kiedy Imam idzie do toalety, jego ludzie wyskakują poparzeni spod prysznicą. Na wygnaniu nie gotuje się w ogóle nic: jego straż osobista, chłopcy w ciemnych okularach, idą do knajpy, by wziąć jedzenie na wynos. Na

wygnaniu wszelkie próby zapuszczenia korzeni wyglądają jak zdrada; są przyznaniem się do klęski.

Imam jest w samym środku koła.

Cały ruch promieniuje od niego na zewnątrz, zgodnie z ruchem wskazówek zegara. Jego syn, Chalid, wchodzi do sanktuarium ojca, niosąc szklankę z wodą, trzyma ją prawą ręką, a lewa dłoń jest pod szklanką. Imam ustawicznie pije wodę, szklankę co pięć minut, aby pozostać czystym; zanim zacznie pić, woda jest oczyszczona w amerykańskim aparacie filtracyjnym. Wszystkim młodym ludziom z jego otoczenia znana jest słynna Monografia Imama na temat Wody, której czystość, jak Imam wierzy, udziela się pijącemu, jej rozcieńczenie i prostota, ascetyczne przyjemności jej smaku. — Cesarzowa — zaznacza — pije wino. — Burgundy, wina czerwone, wina reńskie — swoje upajające działanie rozkładające łączą w jej ciele, zarówno pięknym, jak i plugawym. Grzech ten wystarczy, żeby skazać ją na wieczne potępienie, bez nadziei odkupienia. Obraz na ścianie jego sypialni przedstawia Cesarzową Aiszę trzymającą w dłoniach ludzką czaszkę wypełnioną ciemnoczerwonym płynem. Cesarzowa pije krew, ale Imam jest człowiekiem wody. „Nie bez powodu narody naszych gorących krajów okazują jej taki szacunek — głosi Monografia. — Woda daje życie. Żaden cywilizowany osobnik nie może odmówić jej bliźniemu. Staruszka, o nogach nie wiadomo jak sztywnych z powodu artretyzmu, podniesie się od razu i pójdzie do kranu, jeżeli małe dziecko do niej przyjdzie i poprosi, pani, nani. Strzeżcie się wszystkich tych, którzy bluźnią przeciw wodzie. Kto ją zanieczyszcza, wyjaławia swoją duszę”.

Imam często daje upust złości na wspomnienie o nieżyjącym Aga Khanie; kiedyś pokazano mu tekst wywiadu, w którym zauważono, że głowa Izmailitów pije szampana. *Ależ proszę pana, ten szampan jest tylko na pokaz. W chwili, kiedy dotyka moich ust, przemienia się w wodę.* Szatan, grzmi Imam. Apostata, bluźnierca, oszust. Kiedy nadejdzie przyszłość, takie indywidualia będzie się sądzić, mówi swoim ludziom. Przyjdzie dzień wody i krew będzie płynąć jak wino. Tak wygląda cudowna istota przyszłości wygnańców: to, co po raz pierwszy jest wypowiedane w czasach bezsilności w przegrzonym mieszkaniu, staje się przeznaczeniem narodów. Komu nie śnił się ten sen, że na jeden dzień został królem? — Ale Imam marzy o okresie dłuższym niż jeden dzień, czuje emanujące z koniuszków palców pajęczce nitki, dzięki którym pokieruje biegiem historii.

Nie: nie historii.

Jego sen jest snem jeszcze dziwniejszym.

* * *

Jego syn, nosiwoda Chalid, bije pokłony przed swoim ojcem jak pielgrzym w świątyni, informuje go, że na zewnątrz sanktuarium straż trzyma w tej chwili Salman Farsi. Bilal siedzi przy nadajniku radiowym, transmitując do Desz posłanie na dzisiejszy dzień, na uzgodnionej częstotliwości.

Imam jest bryłową ciszą, bezruchem. Jest żywym kamieniem. Jego olbrzymie sękaty ręce, szare jak granit, wspierają się ciężko o poręczę fotela z wysokim oparciem. Jego głowa, zbyt wielka w stosunku do ciała, wspiera się nonszalancko a zarazem ociężale na zdumiewająco chudej szyi, wyzierającej poprzez szaroczarne kosmyki brody. Oczy Imama są zamglone; wargi nie poruszają się. Jest siłą w czystej formie, istotą żywiołów; porusza się bez ruchu, działa bez jakiegokolwiek działania, mówi bez wydania najmniejszego dźwięku. Jest kuglarzem i historia to jego magiczna sztuczka.

Nie, nie historia: coś dziwniejszego.

Wyjaśnienie tej zagadkowej łamigłówki można usłyszeć właśnie w tej chwili, na pewnych tajnych falach radiowych, na których głos amerykańskiego neofity, Bilala, śpiewa świętą pieśń Imama. Muezzin Bilal: jego głos wchodzi do amatorskiego radioaparatu w Kensington, a wychodzi w wysnionym Desz, przeobrażony w grzmiące przemówienie samego Imama. Zaczynając od rytualnych obelg pod adresem Cesarzowej, od długich list jej zbrodni, morderstw, łapówek, jej stosunków seksualnych z jaszczurkami i tak dalej, przechodzi w końcu do tematu, wygłaszając gromkim głosem conocne wezwanie Imama skierowane do jego ludu, by powstał przeciwko złu, jakim jest jej Państwo. „Zrobimy rewolucję — obwieszcza Imam przez muezzina — która jest buntem nie tylko przeciwko tyranowi, lecz przeciwko historii”. Wszak za Aiszą kryje się jeszcze inny wróg, a jest nim Historia sama w sobie. Historia jest krwią-winem, którego dłużej już nie wolno pić. Historia — trucizna, dzieło i opętanie Diabła, wielkiego Szejtana, to największe z kłamstw — postęp, nauka, prawa — przeciwko którym Imam występuje. Historia jest zejściem ze Ścieżki, wiedza jest ułudą, ponieważ skarbiec wiedzy zapełnił się do końca w dniu, w którym Al-Lah zakończył przekazywanie swoich objawień Mahoundowi. „My usuniemy zasłonę historii — głos Bilala przenika w zasłuchaną noc — i kiedy to się spełni, ujrzymy Raj w całym jego blasku i chwale”. Imam wybrał Bilala do tego zadania z powodu piękna jego głosu, który w swoim poprzednim wcieleniu zdołał wspiąć się na Everest listy przebojów, i to nie jeden raz, a tuzin razy, na sam szczyt. Głos jest głęboki i stanowczy, jest to głos nawykły do posłuchu, dobrze utrzymany, świetnie wyszkolony, głos amerykańskiej pewności siebie, broń Zachodu skierowana przeciwko jej twórcom, których potęga wspiera Cesarzową i jej tyranie. Dawniej Bilal protestował przeciwko takiemu

opisowi swojego głosu. On również należący do uciskanego ludu — tak mówił — a więc niesprawiedliwością jest przyrównywać go do jankeskich imperialistów. Imam odparł nie bez łagodności: Bilalu, twoje cierpienie jest również naszym cierpieniem. Ale rozrastanie się władzy w domu oznacza poznanie jej dróg, wchłanianie jej w siebie, i to przez tę samą skórę, która jest przyczyną twojego ucisku. Przyzwyczajenie, jakie daje potęga, jej barwa głosu, jej postawa, jej sposób odnoszenia się do innych. To jest choroba, Bilal, atakująca wszystkich, którzy podejną do niej zbyt blisko. Jeżeli ci potężni podepczą cię, zostaniesz zarazony podeszwami ich stóp.

Bilal w dalszym ciągu kieruje swoje słowa w ciemność. „Śmierć tyranii Cesarzowej Aiszy, kalendarza, Ameryki, czasu! My poszukujemy wieczności, nieskończoności, Boga. Jego niezmaconych wód, a nie jej płynącego wina”. Palcie książki, a zawierzcie Księdze, targajcie papiery na strzępy, a słuchajcie Słowa, tego, które zostało objawione przez Anioła Gibrila Posłańcowi Mahoundowi i rozwinięte przez waszego przewodnika i Imama. „Amen” — powiedział Bilal, kończąc pracę tej nocy. Podczas gdy w swoim sanktuarium Imam wysyła własne posłanie: wzywa, wywołuje, archanioła Gibrila.

* * *

Widzi sam siebie w marzeniu sennym: żaden z niego anioł, po prostu mężczyzna w normalnym codziennym ubraniu, używanej garderobie, którą dostał po Henrym Diamondzie: na zewnątrz gabardyna i kapelusz filcowy, a pod spodem za duże spodnie przytrzymywane szelkami, rybacki wełniany pulower, obszerna biała koszula. Ten Gibril ze snu, tak podobny do tego na jawie, stoi drżący w sanktuarium Imama, którego oczy są białe jak obłoki.

Gibril mówi zrzędliwie, aby ukryć swój strach.

— Dlaczego upierać się przy archaniołach? Tamte czasy, powinieneś wiedzieć, dawno minęły.

Imam zamyka oczy, wzdycha. Dywan wyrzuca z siebie długie wąsy, które owijają się wokół Gibrila, mocno go przytrzymując.

— Nie potrzebujesz mnie — podkreśla Gibril. — Objawienie jest już skończone. Puść mnie

Tamten kręci głową i mówi, z tą drobną różnicą, że jego wargi nie poruszają się, i uszy Gibrila wypełnia głos Bilala, jakkolwiek prelegenta nigdzie nie widać, *dziś jest ta noc*, mówi głos, *i musisz przenieść mnie do Jerozolimy*.

Wówczas mieszkanie znika i oto stają na dachu, obok zbiornika wodnego, ponieważ Imam, kiedy życzy sobie się przenieść, może pozostać w miejscu — poru-

sza świat wokół siebie. Jego broda powiewa na wietrze. Jest teraz dłuższa; gdyby nie wiatr, który łapie ją, jak gdyby był to szalik szyfonowy, dotknęłaby ziemi przy jego stopach; ma zaczerwienione oczy, a jego głos unosi się wokół niego na niebie. *Zabierz mnie*. Gibril spiera się, wydaje się, że możesz to z łatwością zrobić sam: lecz Imam, pojedynczym, zdumiewająco błyskawicznym ruchem przerzuca brodę za ramię, podwija swój płaszcz, odsłaniając dwa cienkie patyki nóg, pokryte monstrualnym włosiem, i skacze wysoko w nocne powietrze, lecąc robi zwrot i osiada na ramionach Gibrila, trzymając się go kurczowo pazurami, które zmieniły się w długie kręcone szpony. Gibril czuje, że unosi się w niebo, niosąc na sobie tego starego żeglarza, Imama, którego włosy stają się dłuższe z minuty na minutę, płynąc we wszystkich kierunkach, jego brwi powiewają jak proporce na wietrze.

Jerozolima, zastanawia się, w którą to stronę? — A poza tym, śliskie to słowo, Jerozolima, może być zarówno ideą, jak i miastem: cel, triumf. Gdzie jest ta Jerozolima Imama? „Upadek wszetecznicy — mówi mu w ucho jakiś głos oderwany od ciała. — Jej koniec, tej babilońskiej kurwy”.

Wzlatują w noc. Księżyc nagrzewa się coraz bardziej, zaczyna bulgotać jak ser na rożnie; i on, Gibril, widzi, jak kawałki odpadają od niego od czasu do czasu, księżycowe kapki, które syczą i kipią na skwierczącej blasze nieba. Pod nimi pojawia się ziemia. Nadchodzi wielki upał.

Jest to olbrzymia kraina, czerwona, ze spłaszczonymi czubkami drzew. Przelatują nad górami, których wierzchołki są również spłaszczone przez żar; nawet kamienie tutaj są płaskie z gorąca. W końcu są przy wysokim wzniesieniu, niemal dokładnie w kształcie stożka, góra również przycupnęła sobie w formie pocztówki na gzymsie kominka daleko stąd; a w jej cieniu miasto, rozciągnięte jak długie u jej stóp, jakby błagało o coś, a na dolnych skłonach góry, pałac, ten pałac, jej dom: Cesarzowej, którą zniszczyły orędzia radiowe. To rewolucja radioamatorów.

Gibril, z Imamelem ujeżdżającym go jakby był dywanem, obniża się gwałtownie i w parnej nocy zdawać by się mogło, że ulice żyją, wiją się jak węże; natomiast wydaje się, że przed pałacem klęski Cesarzowej wyrasta nowe *wzgórze popatrzmy, baba, co tu się dzieje!* Głos Imama zawisa w powietrzu: „Zejdź niżej. Pokażę ci Miłość”.

Są już na wysokości dachów, kiedy Gibril zdaje sobie sprawę z tego, że na ulicach jest mrowie ludzi. Istoty ludzkie są tak gęsto upakowane na tych wijących się ścieżkach, że zlewają się w większą, bardziej złożoną całość, nieustępliwą, węzową. Ludzie poruszają się wolno, idą równym krokiem, bocznymi ulicami do zaułków, zaułkami do ważniejszych ulic, ważniejszymi ulicami na gościńce, z których wszystkie dążą do wielkiej alei, dwunastopasmowej, z olbrzymimi eukaliptusami po bokach; a ta prowadzi do bram pałacowych. Wielka aleja jest wypełniona ludźmi, to centralny organ nowej, wielogłowej istoty. Po siedemdziesiąt osób w szeregu, ludzie idą pełni powagi w kierunku bram Cesarzowej, przed którymi czeka w trzech szeregach jej gwardia pałacowa, leżąc, klęcząc, stojąc, z ka-

rabinami maszynowymi gotowymi do strzału. Ludzie podchodzą w górę zbocza ku karabinom; siedemdziesięciu za jednym razem, znajdują się w zasięgu broni; karabiny szemrzą i ci umierają, a dalej następna siedemdziesiątka przechodzi nad ciałami poległych, karabiny chichoczą ponownie i wzgórze umarłych staje się coraz wyższe. Teraz kolej na następnych, którzy zaczynają swoją wspinaczkę. W ciemnych drzwiach domostw miasta matki z zakrytymi twarzami pchają swoich ukochanych synów, by dołączyli do pochodu, *idź, zostań męczennikiem, zrób to, co powinno się zrobić, umrzyj*. — Widzisz, jak mnie kochają — mówi głos bez ciała. — Żadna tyrania na świecie nie oprze się potędze tej wolno idącej miłości.

— To nie jest miłość — odpowiada, płacząc. Gibril. — To nienawiść. Cesarzowa pchnęła ich w twoje objęcia, — Wyjaśnienie to brzmi nieprzekonywająco, powierzchownie.

— Oni mnie kochają — mówi głos Imama — ponieważ ja jestem wodą. Ja jestem płodnością, a ona jest rozkładem. Kochają mnie za ten mój zwyczaj rozbiwania zegarów. Istoty ludzkie, które odwracają się od Boga, tracą miłość i pewność, a także poczucie Jego nieograniczonego czasu, który zawiera w sobie przeszłość, teraźniejszość i przyszłość, nie kończący się czas, który nie odczuwa żadnej potrzeby ruchu. Tęsknimy za czymś wiecznym, a ja jestem wiecznością. Ona jest niczym: tik-lub-tak. Patrzy codziennie w swoje lustro i jest przerażona pojęciem wieku, przemijania czasu. Tak więc jest więźniem swojej własnej natury, ona, również, jest w okowach Czasu. Po rewolucji nie będzie żadnych zegarów; zmiążdżymy je. Słowo *zegar* zostanie wymazane z naszych słowników. Po rewolucji nie będzie żadnych urodzin. My wszyscy urodzimy się na nowo. Wszyscy w oczach Wszechmogącego Boga będziemy w tym samym, nie zmieniającym się wieku.

Przestaje mówić, teraz, ponieważ poniżej nadchodzi wielka chwila: ludzie doszli do karabinów, które z kolei zostają uciszone, gdy nie kończący się wąż ludzki, gigantyczny pyton powstały z mas, chwyta członków gwardii w pól, dusi ich i ucisza śmiertelne gdakanie broni. Imam wzdycha ciężko. — Zrobione.

Światła pałacu gasną, kiedy ludzie zaczynają iść w tamtą stronę, tym samym miarowym krokiem co poprzednio. Wtem, gdzieś z czeluści pogrążonego w ciemnościach pałacu, podnosi się szkaradny dźwięk, początkowo jako wysoki, cienki, przenikliwy jęk, który następnie obniża ton i przechodzi w wycie, zawroscenie na tyle głośnie, by swoją wściekłością zapełnić każdą kryjówkę w mieście. Następnie złocista kopuła pałacu otwiera się, pękając zupełnie jak skorupka jajka, i wylatuje z niej, połykując swoją czernią, mityczna zjawia o olbrzymich czarnych skrzydłach, jej włosy powiewają luźno na wietrze, tak długie i czarne, jak długie i białe są włosy Imama: Al-Lat, pojmuje Gibril, eksplodująca ze skorupy Aiszy.

— Zabij ją — rozkazuje Imam.

Gibril stawia go na głównym balkonie pałacu. Ramiona Imama wyciągnięte, aby objąć radość ludzi, która głuży nawet wycie bogini i unosi się pod niebiosa jak pieśń. I wtedy coś pcha go do góry, nie ma wyboru, jest marionetką wyrusza-

jąca na wojnę; a ona, widząc, że się zbliża, odwraca się, gotuje do skoku w powietrzu i jęcząc przeraźliwie, spada na niego z całej siły. Gibril jest świadom, że Imam, prowadząc wojnę, jak zwykle rękoma swoich zastępców, poświęci go równie chętnie, jak poświęcił to wzgórze ciał przy bramie pałacowej, rozumie, że jest kamikadze w służbie sprawy, sprawy duchownego. Jestem słaby, myśli, nie jestem dla niej godnym przeciwnikiem, ale i ona została poważnie osłabiona przez porażkę, którą poniosła. Siła Imama porusza Gibrila, wkłada mu pioruny w dłonie i rozpoczyna się bitwa; ciska świetlistymi włóczniami w jej stopy, a ona zatapia komety w jego podbrzuszu, *zabijemy się nawzajem*, myśli, *umrzemy i w przestrzeni kosmicznej pojawią się dwie nowe konstelacje: Al-Lat i Gibril*. Podobni do wyczerpanych wojowników na zasłanym trupami polu, ślaniają się na nogach i rozdają ciosy dookoła. Oboje szybko tracą siły.

Ona pada.

Runęła w dół, Al-Lat królowa nocy; uderza głową w ziemię, rozbijając ją na kawałki; i oto leży, bezgłowy czarny anioł, z wyszarpanymi skrzydłami, obok furtki w bramie prowadzącej do pałacowych ogrodów, żałośnie zmiażdżony stos. — A Gibril, z odrazą odwracając od niej oczy, widzi, jak Imam staje się monstrualnie wielki, leżąc na pałacowym podwórku tuż przy bramie, ma szeroko otwarte usta; kiedy ludzie maszerują przez bramy, połyka ich w całości.

Ciało Al-Lat kurczy się na trawie, zostaje po nim tylko ciemna plama; i w tym momencie wszystkie zegary w stołecznym mieście Desz zaczynają dzwonić, i wybiwszy dwunastą, dzwonią dalej bez końca, dwadzieścia cztery, tysiąc jeden i dalej, ogłaszając koniec Czasu, godzinę, której nie da się określić, godzinę powrotu wygnańca, zwycięstwa wody nad winem, początek Nieczasu Imama.

* * *

Kiedy nocna opowieść zmienia się, kiedy, bez ostrzeżenia, bieg wydarzeń w Dżahiliji i Jasrib musi ustąpić miejsca walce Imama i Cesarzowej, Gibril przez krótką chwilę ma nadzieję, że jego kłątwa już minęła, że jego marzenia senne powróciły już do zupełnej ekscentryczności normalnego życia; ale wówczas, wraz z nową opowieścią, wpada w stary schemat, podejmując wątek dokładnie tam, gdzie został on przerwany, i ponownie pojawia się obraz jego własnej osoby, przemienia się w zstąpienie archanioła, po raz kolejny, więc jego nadzieja umiera — on sam znowu poddaje się nieubłaganemu. Sytuacja doszła do tego punktu, gdzie niektóre z jego nocnych sag wydają się być bardziej znośne niż inne i po apokalipsie Imama czuje się niemal zadowolony, że oto znów rozpoczyna się kolejne opowiadanie, rozszerzając tym samym jego wewnętrzny repertuar, ponieważ

w ten sposób przynajmniej ono sugeruje, że bóstwo, które on, Gibril, bezskutecznie próbował zabić, może równie dobrze być bogiem miłości, jak i zemsty, potęgi, obowiązków, reguł i nienawiści; jest to również opowieść nostalgiczna o utraconej ojczyźnie; sprawiająca wrażenie powrotu do przeszłości. . . cóż to za opowiadanie? Właśnie się zaczyna. Ale zacznijmy od początku: Rankiem w dniu swoich czterdziestych urodzin, w pokoju pełnym motyli, Mirza Sajid Achtar patrzył na swoją śpiącą żonę. . .

* * *

Tego fatalnego ranka w dniu swoich czterdziestych urodzin, w pokoju, w którym roilo się od motyli, zamindar Mirza Sajid Achtar czuwał przy swojej śpiącej żonie, a jego serce kipiało nadmiarem miłości. Przynajmniej dzisiaj obudził się wcześniej i wstał przed świtem, wciąż mając w pamięci zły sen, z powodu którego czuł gorycz w ustach, jego powracający sen o końcu świata, w którym niezmiennie był winien tej katastrofy. Poprzedniego wieczoru czytał Nietzschego — „bezlitosny koniec tego małego, nadmiernie rozprzestrzenionego gatunku zwanego Człowiekiem” — i zasnął z otwartą książką na piersiach. Kiedy obudził się w chłodnym, ciemnym pokoju, świadomy szelestu motyli skrzydeł, był zły na siebie za tak nierozsądny wybór lektury do poduszki. Teraz jednak otrząsnął się już z resztek snu. Wstawszy cicho z łóżka, wsunął stopy w czappale i przeszedł powoli wzdłuż kilku werand wielkiego budynku, pogrążonych wciąż w ciemności dzięki opuszczonym roletom, a motyle unosiły się za nim jak dworzanie, to w górę, to w dół. Gdzieś w oddali ktoś grał na flecie. Mirza Sajid podniósł rolety i zamocował ich sznury. Ogrody zasnuwała głęboka mgła, w której wirowały obłoki motyli, mgła przenikająca mgłę. Ten odległy region zawsze słynął z łuskoskrzydłych, z tych nadprzyrodzonych eskadr, które wypełniały powietrze dniem i nocą, motyli z talentem kameleonów, których skrzydła zmieniały swój kolor w zależności od tego, czy siedziały na cynobrowych kwiatach, ochrowych zasłonach, pucharach z obsydianu czy bursztynowych pierścieniach. W rezydencji zamindara, a także w pobliskiej wiosce, ten motyli cud stał się już tak znany, że w końcu zaczął wydawać się czymś nieświętym, banalnym, w rzeczywistości powróciły dopiero przed dziewiętnastu laty, jak przypominają sobie służące. Niegdyś były dobrze znanymi duchami, przynajmniej tak utrzymuje legenda o miejscowej świętej, świątobliwej kobiecie znanej po prostu jako Bibidzi, która dożyła dwustu czterdziestu dwóch lat i której grób, przynajmniej wtedy jeszcze pamiętano, gdzie się znajdował, miał właściwość leczenia impotencji i brodawek. Od czasu śmierci Bibidzi sto dwadzieścia lat temu motyle zniknęły w tym samym królestwie legend, co i sama

Bibidzi, tak więc ich powrót, dokładnie sto jeden lat po zniknięciu, początkowo wyglądał jak zapowiedź jakiegoś cudownego wydarzenia, które wkrótce miało się urzeczywistnić. Po śmierci Bibidzi — należy dodać — wiosce nadal powodziło się dobrze, zbiory ziemniaków pozostały obfite, lecz w wielu sercach pojawiła się jakaś pustka, mimo że późniejsi mieszkańcy nie mogli już pamiętać czasów dawnej świętej. Tak więc powrót motyli podniósł wielu na duchu, kiedy jednak spodziewane cuda jakoś się nie ziściły, miejscowi wieśniacy powpadali z powrotem w rutynę szarego życia. Nazwa rezydencji zamindara, *Peristan*, podobnie jak nazwa wioski *Titlipur*, na pewno wywodzi się od czarodziejskich skrzydełek tych magicznych stworzeń. Ale nazwy, skoro już wejdą w powszechne użycie, szybko stają się tylko pustymi dźwiękami, a ich etymologię pokrywa, podobnie jak wiele cudów tego świata, kurz przyzwyczajenia. Ludzie mieszkający w Titlipur oraz jego motyle hordy ocierali się o siebie z pewnym rodzajem wzajemnej pogardy. Wieśniacy i rodzina przewielebnego dawno już porzucili próby przegnanania motyli ze swoich domów, nic więc dziwnego, że kiedy tylko otwierano jakąś skrzynię, zwykle wylatywała z niej chmara skrzydeł zupełnie jak zawartość puszkii Pandory, zmieniając kolor z każdym ruchem; motyle były zamknięte wieczkami puzderek z kosmetykami na toaletkach Peristanu, w każdej szafie i pomiędzy stronami książek. Po przebudzeniu znajdowano motyle drzemające na policzkach.

Codziennosc staje się w końcu niewidzialna i Mirza Sajid przez wiele lat nie zauważał motyli. Jednak wczesnym rankiem w dniu czterdziestych urodzin, kiedy tylko pierwsze światło świtu musnęło dom, a motyle natychmiast zaczęły iskrzyć się i jarzyć, piękno tej chwili zaparło mu dech w piersiach. Pospieszył do sypialni, w skrzydle zenany, gdzie spała jego żona, Miszal, zasłonięta moskitierą. Czarodziejskie motyle odpoczywały na palcach jej stóp, a i jakiś moskit najwyraźniej w sobie tylko znany sposób przedostał się do środka, gdyż wzdłuż uniesionej linii jej obojczyka biegła ścieżka drobnych ukłuc. Chciał podnieść moskitierę, wpelznąć do środka i scałować ślady ukąszeń. Jakżeż były zaognione! Jak bardzo będą ją swędzieć, kiedy się przebudzi! Powstrzymał się jednak, wołąc podziwiać niewinność jej śpiącego ciała. Miała miękkie kasztanowe włosy, białą skórę, a jej oczy pod zamkniętymi powiekami były jedwabistoszare. Jej ojciec sprawował funkcję dyrektora banku państwowego, trudno więc było Mirzie oprzeć się tak świetnej partii, umówionej transakcji ślubnej, która odświeżyła majątek jego starodawnej wymierającej rodziny. Z czasem ich małżeństwo dojrzało i stało się związkiem opartym na prawdziwej miłości, mimo że nie udało im się mieć dzieci. Mirza Sajjid patrzył wzruszony na śpiącą Miszal, odpędzając od siebie resztki nocnej zmy. „Jakże ten świat może być zgubiony — z zadowoleniem przekonywał sam siebie — skoro ukazuje nam takie przejawy doskonałości jak dzisiejszy cudowny świt?”

Podążając śladem tych szczęśliwych myśli, po cichu wygłosił przemówienie do śpiącej żony. — Miszal, mam czterdzieści lat, a zadowolony jestem jak czter-

dziestodniowe niemowlę. Widzę teraz, że z biegiem lat coraz bardziej zanurzałem się w naszej miłości i teraz pływam, do ryby podobny, w tym morzu pełnym ciepła. — Jak wiele ona mu dała, nie mógł wyjść z podziwu, jak bardzo on jej potrzebuje! Ich małżeństwo wykroczyło poza zwyczajną zmysłowość, stworzyło więź tak intymną, że jakakolwiek rozłąka była nie do pomyślenia. — Starzenie się u twojego boku — powiedział jej, wciąż pogrążonej we śnie — będzie, Miszal, prawdziwym zaszczytem. — Pozwolił sobie na sentymentalny gest przesłania pocałunku w jej stronę, a następnie wyszedł na palcach z pokoju. Kiedy znalazł się ponownie na głównej werandzie swojego prywatnego mieszkania na piętrze budynku, zapatrzył się w ogrody, które zaczęły się właśnie wyłaniać z porannej mgły, i ujrzał widok, który odbierze mu spokój ducha na zawsze, niszcząc go do końca i to w tej samej chwili, kiedy był pewien, że jest niewrażliwy na ciosy losu.

Na trawniku przykucnęła młoda kobieta, z wysuniętą przed siebie lewą dłonią. Motyle sadowiły się na niej, a ona chwyciła je prawą ręką i wkładała do ust Wolno, metodycznie, spożywała śniadanie składające się z uległych skrzydeł.

Jej wargi, policzki, podbródek były mocno zabrudzone wieloma kolorami skradzionymi z umierających motyli.

Kiedy Mirza Sajjid Achtar zobaczył młodą kobietę jedzącą swoje pajęczce śniadanie na jego trawniku, poczuł przypływ żądz tak potężny, że natychmiast się tego zawstydził. „Tak nie może być — zbeształ się w myślach. — Ostatecznie nie jestem zwierzęciem”. Młoda kobieta miała na sobie szafranowożółte sari owinięte zwyczajem biednych niewiast tego regionu wokół nagiego ciała i kiedy pochylała się nad motylami, sari wystawiało drobne piersi na spojrzenia oniemiałego zamindara.

Mirza Sajjid wyciągnął ręce, by mocno uchwycić poręcz balkonu, i lekkie poruszenie jego białej kurty musiało zwrócić uwagę dziewczyny, ponieważ szybko uniosła głowę i spojrzała mu prosto w oczy.

I nie spuściła ich tak od razu. Nie wstała też i nie uciekła, czego niemal oczekiwał.

Oto, co zrobiła: poczekała kilka sekund, jak gdyby chciała upewnić się, czy nie ma zamiaru odezwać się do niej. Kiedy nic nie powiedział, po prostu dalej jadła swój dziwny posiłek, nie spuszczać z Mirzy wzroku. Najdziwniejsze było to, że motyle sprawiały wrażenie, jakby jakimś lejem spadały w dół z rozjaśniającego się powietrza i chętnie przesuwały się ku jej wyciągniętym dłoniom i ku własnej śmierci. Chwytała je za koniuszki skrzydeł, odrzucała głowę do tyłu i wciągała je do ust końcem wąskiego języka. W pewnym momencie nie zamknęła ust, jej ciemne wargi rozchyliły się wyzywająco i Mirza Sajjid z drżeniem zobaczył, że wewnątrz tej ciemnej jamy śmierci trzepocze motyl, który jednak nie próbuje uciekać. Kiedy upewniła się, że widzi to, zamknęła usta i zaczęła żuć. Pozostali w tej pozycji, chłopka na dole, właściciel ziemski na górze, aż niespodziewanie wywróciła oczyma i ciężko upadła na lewy bok, wijąc się w drgawkach.

Po kilku sekundach panicznego osłupienia krzyknął: — Hej, dom! Hej, obudź się, ratunku! — W tym samym czasie pobiegł ku majestatycznym, mahoniowym, angielskim schodom sprowadzonym tutaj z jakiegoś nieprawdopodobnego Warwickshire, jakiegoś urojonego miejsca, gdzie, w jakimś wilgotnym i ciemnym klasztorze, Król Karol I wszedł raz po tychże schodach, zanim jeszcze stracił głowę, w siedemnastym wieku według innej rachuby czasu. Tymi schodami Mirza Sajjid Achtar pognał w dół, ostatni z rodu, i kiedy mknął w stronę trawnika, deptał po upiornych śladach oddzielonych od głowy stóp.

Dziewczyna trwała w konwulsjach, a tarzając się i kopiąc gwałtownie, przyniałała sobą motyle. Mirza Sajjid dobiegł do niej pierwszy, chociaż służący i Miszal, zbudzeni jego krzykiem, biegli tuż za nim. Uchwycił szczękę dziewczyny i otworzył ją siłą, wtykając między zęby jakiś patyk podniesiony z trawy, który przegryzła od razu na pół. Krew kapłała z jej ust i wystraszył się o jej język, lecz akurat w tym momencie atak ustał, uspokoiła się i zasnęła. Miszal kazała ją zanieść do własnej sypialni i teraz Mirza Sajjid był zmuszony patrzeć na drugą już śpiącą w tym łóżku królową i po raz drugi ogarnęło go coś, co wydawało się doznaniem zbyt bogatym i głębokim, by po prostu prymitywnie nazwać je *pożądaniem*. Zaskoczony stwierdził, że jednocześnie czuje obrzydzenie do siebie samego z powodu swoich nieczystych zamiarów i niezwykle uniesienia wywołane uczuciami, które nim targają, świeżymi uczuciami, których nowość bardzo go podniecała. Miszal stanęła obok niego. — Znasz ją? — zapytał Sajjid, a ona kiwnęła głową. — Sierota. Lepi małe emaliowane zwierzątka i sprzedaje je przy głównej szosie. Od dzieciństwa cierpi na padaczkę. Mirza Sajjid nie mógł wyjść z podziwu, zresztą nie po raz pierwszy, dla talentu żony, który pozwalał jej angażować się w sprawy innych ludzi. On sam z trudem mógł rozpoznać nieco więcej niż garstkę wieśniaków, ale ona знаła przezwiska, historie rodzinne i dochody każdego we wsi. Opowiadali jej nawet swoje sny, chociaż niewielu z nich śniło się cokolwiek częściej niż raz w miesiącu, gdyż byli zbyt biedni, by pozwolić sobie na taki luksus. Powróciła ta przepelniająca go czułość, która ogarnęła go o świcie, i objął żonę ramieniem. Oparła na nim swoją głowę i powiedziała łagodnie: — Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin. — Pocałował ją w czubek głowy. Stali objęci, patrząc na śpiącą dziewczynę. Aisza: żona powiedziała mu imię.

* * *

Kiedy sierota Aisza weszła w okres dojrzewania i stała się, z powodu swojej oszałamiającej urody i zwyczaju wpatrywania w inny świat, przedmiotem pożądania wielu młodych mężczyzn, zaczęto mówić, że szuka kochanka z niebios,

ponieważ uważa się za zbyt wspaniałą dla śmiertelników. Odrzucani przez nią konkurenci skarżyli się, że praktycznie rzecz biorąc, nie ma prawa tak grymasić, po pierwsze dlatego, że jest sierotą, a po drugie — ponieważ jest opętana przez demona epilepsji, który z pewnością odstraszy każde niebiańskie duchy, mogące być nią ewentualnie zainteresowane. Niektórzy z rozgoryczonych młodzieńców posuwali się do tego, że sugerowali, iż skoro mankamenty Aiszy przeszkadzają jej w znalezieniu sobie męża, równie dobrze mogłaby zacząć brać sobie kochanków, aby nie zmarnować tej urody, którą sprawiedliwie powinna była otrzymać jakaś mniej problematyczna osoba. Pomimo prób młodzieńców z Titlipur zrobienia z niej ich własnej kurwy, Aisza pozostała czysta, a środkiem jej obrony było spojrzenie tak mocno skoncentrowane na warstwach powietrza tuż nad lewym ramieniem rozmówcy, że stale brano to za wyraz pogardy. Następnie ludzie usłyszeli o jej nowym zwyczaju, polegającym na połykaniu motyli, i zmieniali o niej zdanie, przekonani, że ma bzika i że niebezpieczną rzeczą byłoby kochać się z nią, gdyż demony mogłyby przejść na jej kochanków. Tak więc pożądlivi mężczyźni z wioski zostawili ją w jej norze, razem z jej figurkami i tym szczególnym trzepoczącym pokarmem. Jeden z młodzieńców zaczął jednakże siadywać w pewnej odległości od jej drzwi, dyskretnie spoglądając w przeciwnym kierunku, jak gdyby stał na straży, mimo iż już nie potrzebowała obrońców. Upřednio był pariasem w sąsiedniej wiosce Czatnapatna, który przeszedł na islam i przyjął imię Osman. Aisza nigdy nie dała poznać po sobie, że świadoma jest jego stróżowania, ani też zresztą on takiego uznania z jej strony się nie domagał. Pokryte bujnym listowiem gałęzie szumiały na wietrze nad ich głowami.

Wioska Titlipur wyrosła w cieniu olbrzymiego drzewa figowego, pojedynczego monarchy, który sprawował rządy przy pomocy swoich licznych korzeni nad obszarem o przeszło półmilowej średnicy. Stopniowo przemiana drzewa w wioskę i wioski w drzewo stawała się coraz bardziej zawiła i obecnie niemożliwe było dostrzeżenie różnic między nimi. Pewne obszary drzewa stały się dobrze znanymi miejscami schadzek kochanków, jeszcze inne były wybiegiem dla drobiu. Niektórzy biedniejsi wieśniacy zbudowali sobie proste szałas u zbiegu potężniejszych konarów i teraz mieszkali wśród wcale gęstego listowia. Były gałęzie, których używano jako wioskowych dróg, huśtawki dla dzieci robiono z powojnika rosnącego gęsto na drzewie, a w miejscach, gdzie drzewo pochylało się nisko nad ziemią, jego liście tworzyły dach dla wielu baraków, które sprawiały wrażenie, że zwisają z zieleni, zupełnie jak gniazda ptaka tkacza. Kiedy zbierał się wiejski panczajat, zasiadał na najpiękniejszej ze wszystkich gałęzi. Wieśniacy przyzwyczaili się nazywać drzewo wioską, a wiosce po prostu dali nazwę „drzewo”. Inni lokatorzy figowca — mrówki miodne, wiewiórki, sowy — były traktowane z szacunkiem należnym współmieszkańcom. Jedyne na motyle nie zwracano uwagi, podobnie jak na nadzieje, których płonność dawno stała się oczywista.

Była to wioska muzułmańska, co wyjaśnia powód przybycia tutaj przechrzt

Osmana w przebraniu kłowna i z wołem „bum-bum”, kiedy w akcie rozpaczy zmienił wiarę, mając nadzieję, że przyjęcie muzułmańskiego imienia przyniesie mu większy pożytek niż wcześniejsze zmiany imion, jak na przykład ta, która kazała członków najniższej kasty nazywać „dziećmi Boga”. Jako dziecku Boga w Czatnapatnie nie pozwolono mu czerpać wody z publicznej studni, ponieważ dotyk pariasa mógłby zabrudzić wodę do picia. . . Nie miał ziemi i, podobnie jak Aisza, był sierotą, zarabiał więc na życie, występując jako kłown. Jego wół nosił na rogach stożki z jaskrawego czerwonego papieru, a nozdrza i grzbiet przybrane miał błyskotkami. Osman chodził od wioski do wioski dając przedstawienia na weselach i innych uroczystościach, podczas których wół był jego głównym partnerem i przeciwnikiem, kiwając łbem w odpowiedzi na pytania, jedno kiwnięcie na nie, dwa na tak.

— Czyż ta wioska, do której przyszliliśmy, nie jest przyjemna? — pytał Osman.

Bum, zwierzę było innego zdania.

— Co, nie jest? Ależ jest. Popatrz: czy ci ludzie nie są dobrzy?

Bum.

— Co? Czy wobec tego jest to wioska pełna grzeszników?

Bum, bum.

— O, ojczulku! Czy w takim razie oni wszyscy pójną do piekła?

Bum, bum.

— Ależ, braciszku, Czy jest dla nich jakaś nadzieja?

Bum, bum, wół dał szansę zbawienia. Podniecony Osman pochylił się i przyłożył ucho do pyska zwierzęcia. — Powiedz szybko. Co powinni zrobić, ażeby zostać zbawionymi? — Na to wół zrywał Osmanowi czapkę z głowy i obchodził z nią zebrany tłum, prosząc o pieniądze, a Osman przytakiwał cały szczęśliwy: Bum, bum.

Przechrzcie Osmana i jego woła bum-bum lubiano w Titlipur, lecz młody człowiek czekał na pochwałę jednej tylko osoby, a ta nie chciała mu jej dać. Przyznał się jej kiedyś, że jego przejście na islam było w dużej mierze kwestią taktyki. „Po prostu, żebym mógł dostać łyk wody do picia, bibi, cóż ma człowiek zrobić?” Czuła się znieważona, że jego dusza jest w niebezpieczeństwie i jeśli o nią chodzi, to może sobie wracać do Czatnapatny i umrzeć z pragnienia. Cała poczerwieniała, kiedy to mówiła, najwyraźniej z niezrozumiałych powodów silnie nim rozczarowana, a właśnie gwałtowność tego rozczarowania była źródłem nadziei dla Osmana, który dzień w dzień w dalszym ciągu siedział kilkanaście kroków od jej domu, ale ona niezmiennie przechodziła obok niego dumnym krokiem, z nosem w górę, nie mówiąc mu ani dzień dobry, ani jak-się-masz.

Raz w tygodniu z Titlipur wyjeżdżały wozy z ziemniakami, które toczyły się pokrytą koleinami, wąską, czterogodzinną drogą do Czatnapatny, leżącej u zbiegu traktu i głównej szosy. W Czatnapatnie stały wysokie, błyszczące aluminiowe silosy hurtowników ziemniaczanych, ale nie miało to nic wspólnego z regularnymi

wyjazdami Aiszy do miasta. Zwykle jechała tam na przygodnym wozie z ziemniakami, trzymając kurczowo małe zawiniątko z workowego płótna, aby zawieźć swoje zabawki na rynek. Czatnapatna znana była w całym regionie ze sprzedaży różnych dziecięcych drobiazgów, rzeźbionych drewnianych zabawek i emaliowanych figurek. Osman i jego wół stali w cieniu figowca, patrząc, jak Aisza podskakuje na górze worków z ziemniakami, dopóki nie zmniejszyła się do rozmiarów małej kropki.

W Czatnapatnie szła do firmy Sri Sriniwasa, właściciela największej fabryki zabawek w mieście. Na murach factorii widniały aktualne polityczne graffiti: *Głosuj na Handa*. Albo, grzeczniej: *Oddaj swój głos na CP(M)*. Ponad tymi zakłęciami znajdował się dumny napis: *Zabawki Sriniwasa — Toy Univas. Naszą dewizą: Szczerość i Duch Twórczy*. Srinivas był w biurze: duży galaretowaty mężczyzna, jego głowa jaśniała jak tyse słońce, facet około pięćdziesiątki, którego nie zdołało przepchnąć goryczą życie spędzone na sprzedaży zabawek. Aisza zawdzięczała mu utrzymanie. Tak ujęło go mistrzostwo jej struganych figurek, że zgadzał się kupować od niej wszystko, co zdołała zrobić. Ale, mimo że zazwyczaj był człowiekiem jowialnym, teraz twarz mu spochmurniała. Aisza rozwiązała swoje zawiniątko i pokazała mu dwa tuziny figurek przedstawiających młodego mężczyznę w kapeluszu kłowna, któremu towarzyszył specjalnie przystrojony wół, przechylający swoją sprytną głowę przybraną świecidełkami. Rozumiejąc, że Aisza wybaczyła Osmanowi zmianę religii, Sri Srinivas krzyknął — Ten człowiek sprzeniewierzył się swoim narodzinom, jak dobrze ci wiadomo. Któż to zmienia bogów równie łatwo jak swoje dhoti? Bóg jeden wie, co w ciebie wstało, córko, ale ja nie chcę takich lalek. Na ścianie za biurkiem wisiał dyplom w ramach o następującej treści wypisanej drukiem z ozdobnymi zawijasami: *Niniejszym zaświadcza się, że PAN SRI S. SRINIWAS jest Ekspertem w Dziedzinie Geologii Historycznej Planety Ziemia, w wyniku przelotu wzdłuż Wielkiego Kanionu samolotem UNII LOTNICZYCH SCENIC*. Srinivas zamknął oczy i skrzyżował ramiona, nie śmiejąc się Budda o niewątpliwym autorytecie „tego-który-latał”. — Ten chłopak jest diabłem — powiedział nieodwołalnie i Aisza złożyła figurki do workowego płótna, i chciała wyjść bez słowa protestu. Srinivas natychmiast otworzył oczy. — Niech cię diabli wezmą — wrzasnął — zamierzasz mnie przycisnąć? Czy myślisz, że nie wiem, że potrzebujesz pieniędzy? Dlaczego postąpiłaś tak cholernie głupio? Co teraz zrobisz? Cóż, idź i zrób kilka lalek PR, i to biegiem, a ja kupię je po najwyższych stawkach, ponieważ jestem hojny aż do przesady. Osobistym wynalazkiem pana Sriniwasa była lalka Planowanie Rodziny, społecznie odpowiedzialny wariant starej lalki rosyjskiej. Wewnątrz wygarniturowanej-i-obutej lalki Abby znajdowała się Amma przyodziana w skromne sari, a wewnątrz niej córka, w której z kolei był syn. Dwoje dzieci to aż nadto: takie było znaczenie figurek. — Zrób je szybko szybko — zawołał Srinivas za odchodzącą Aisza. — Lalki PR idą jak woda. — Aisza odwróciła się do niego i uśmiechnęła. — Nie

martw się o mnie, Srinivasji — powiedziała i odeszła.

Sierota Aisza miała dziewiętnaście lat, kiedy ruszyła w drogę powrotną do Titlipur pełnym kolein traktem ziemniaczanym, ale kiedy pojawiła się w swojej wiosce jakieś czterdzieści osiem godzin później, osiągnęła rodzaj niezależności od czasu, ponieważ jej włosy stały się białe jak śnieg, natomiast skóra odzyskała lśniąca doskonałość skóry noworodka i mimo iż była zupełnie naga, motyle obsiadły ją całą w takiej masie, że wydawało się, iż ma na sobie suknię z najdelikatniejszego materiału na świecie. Kłown Osman ćwiczył swoje sztuczki z wołem bum-bum w pobliżu drogi, ponieważ mimo że bardzo się martwił z powodu przedłużającej się nieobecności dziewczyny i spędził całą poprzednią noc szukając jej, musiał przecież zarabiać na życie. Kiedy ją nareszcie ujrzał, on, ten młody człowiek, który nigdy nie miał szacunku dla Boga, ponieważ urodził się pariasem, poczuł wszechogarniającą bojaźń Bożą i nie śmiał podejść do dziewczyny, którą tak beznadziejnie kochał.

Weszła do swojej chaty i spała dzień i noc bez przerwy. Następnie poszła zobaczyć się ze starszym wioski, sarpanczem Muhammadem Dinem, i oznajmiła mu głosem chłodnym-i-rzeczowym, że objawił się jej Archanioł Gibril i ułożył się obok niej, aby spocząć. — Wielkość zesła pomiędzy nas — powiedziała zatrwożonemu sarpanczowi, który do tej chwili bardziej interesował się kontyngentami ziemniaków niż rzeczami transcendentnymi. — Wszystkiego od nas zażądają, ale również wszystko będzie nam dane.

W innej części drzewa żona sarpancza, Chadidża, pocieszała płaczącego kłowna, który nie mógł pogodzić się z faktem, że utracił swoją ukochaną Aiszę na rzecz wyższej istoty, ponieważ kiedy archanioł pokłada się z kobietą, to jest stracona dla mężczyzny na zawsze. Chadidża była stara, miała słabą pamięć i próbując okazać Osmanowi trochę czułości, często była wręcz niezręczna. Pouczyła go chłodno: — Słońce zawsze zachodzi, kiedy ludzie zaczynają bać się tygrysów. — Cytowała starą prawdę: złe wiadomości zawsze chodzą stadami.

Niedługo później historia cudu rozniosła się po okolicy i dziewczynę Aiszę wezwano do wielkiego domu. Przez kilka następnych dni spędzała długie godziny, konferując z żoną zamindara, Begum Miszal Achtar, do której z wizytą przyjechała matka. Również i ona uległa urokowi białowłosej żony archanioła.

* * *

Śniący, śniąc chce (ale nie jest w stanie) zaprotestować: „Nigdy nie tknąłem jej palcem, cóż sobie wyobrażacie, że to jest jakiś rodzaj polucji nocnej, czy co? Niech mnie diabli porwą, jeżeli wiem, skąd ta dziewczyna otrzymała swoją infor-

mację/inspirację. Na pewno nie ode mnie.

A oto, co się wydarzyło: wracała pieszo do swojej wioski i wygląda na to, że zupełnie nagle poczuła się zmęczona i zeszła z drogi na bok, aby odpocząć w cieniu tamaryndowego drzewa. W chwili, kiedy zamknęły się jej oczy, on był już u jej boku, śniący Gibril w płaszczu i kapeluszu, oblewający się potem w upale. Patrzyła na niego, ale nie potrafiła powiedzieć, co widzi, skrzydła może, aureole, cuda. I on leżał tam, i uświadomił sobie, że nie może się podnieść, jego nogi i ręce stały się cięższe od sztab żelaza, wydawało się, że jego ciało własnym ciężarem zostanie wgniecione w ziemię. Kiedy przestała patrzeć na niego, skinęła głową, uroczyście, jak gdyby coś powiedział, a następnie zsunęła z siebie sari, ten skrawek materiału, i wyciągnęła się obok niego, naga. Następnie, wciąż śniąc, zasnął w tym swoim marzeniu sennym momentalnie i kiedy obudził się z tego drugiego snu, ona stała nad nim z rozpuszczonymi białymi włosami i okrywającymi ją motylami: przemieniona. Wciąż kiwała głową, a twarz jej zdradzała uniesienie — otrzymała posłanie z miejsca, które nazywała sobie Gibrilem. Następnie zostawiła go leżącego tam i powróciła do wioski, aby dokonać uroczystego wejścia.

A więc mam żonę z marzenia sennego, śniący staje się na tyle świadomy, by móc myśleć. Co, u diabła, z nią zrobić? — Ale decyzja nie leży w jego mocy. Aisza i Miszal Achtar są razem w wielkim domu.

* * *

Od czasu swoich urodzin Mirza Sajjid był pełen zmysłowego pożądania, „jak gdyby życie naprawdę zaczynało się po czterdziestce”, zdumiewała się jego żona. Ich pożycie małżeńskie stało się tak intensywne, że służba musiała zmieniać prześcieradła trzy razy dziennie. Miszal żywiła po kryjomu nadzieję, że to wzmocnienie libido u jej męża doprowadzi w końcu do poczęcia dziecka, ponieważ przekonana była, że liczy się entuzjazm, cokolwiek by o tym negatywnego nie mówili lekarze, i że lata porannego mierzenia sobie temperatury przed wstaniem z łóżka, a następnie nanoszenie wyników na papier milimetry cellem ustalenia momentu owulacji, w istocie rzeczy odwiodły maluchy od ostatecznej decyzji, częściowo dlatego, że trudno być odpowiednio namiętym, kiedy nauka wchodzi do łóżka razem z tobą, a częściowo również dlatego, że w jej mniemaniu żaden szanujący się zarodek nie chciałby wejść do łona tak mechanicznie zaprogramowanej matki. Miszal wciąż modliła się o dziecko, chociaż przestała już o tym wspominać Sajjidowi, żeby oszczędzić mu poczucia winy w tej kwestii. Z oczyma zamkniętymi, udając sen, błagała Boga o znak i kiedy Sajjid stawał się taki namiętny, a zdarzało się to coraz częściej, zaczęła się zastanawiać, czy to nie jest właśnie ten znak.

Skutkiem tego jego dziwna prośba, aby od tej chwili przy każdym przyjeździe do Peristanu, przyjęła „stare zwyczaje” i usuwała się do pardy, nie spotkała się z jej strony z pogardą, na jaką zasługiwała. W mieście, gdzie mieli olbrzymi gościnny dom, zamindar i jego żona znani byli jako jedna z najbardziej „nowoczesnych” i „rozrywkowych” par na scenie życia towarzyskiego; kolekcjonowali dzieła sztuki awangardowej i urządzali ekstrawaganckie przyjęcia, spraszając znajomych na migdalenie się w ciemnościach na sofach przy wtórze wyświetlanych na wideo filmów soft-porno. Tak więc, kiedy Mirza Sajjid zaproponował: „Czy nie byłoby cudownie, Miszu, gdybyśmy przystosowali swoje zwyczaje do klimatu tego starego domu?”, powinna była roześmiać mu się w twarz. Zamiast tego odpowiedziała: „Jak sobie życzysz, Sajid”, ponieważ dał jej do zrozumienia, że jest to rodzaj gry erotycznej. Nawet napomknął, że namiętność, jaką czuje wobec niej, stała się tak potężna, że może odczuwać potrzebę wyrażania jej w każdej chwili i że jeżeli znalazłaby się wtedy w ogólnodostępnej części domu, mogłoby to wprawić służbę w zakłopotanie; z pewnością jej nieobecność pozwoli mu koncentrować się na każdym z jego przedsięwzięć, a poza tym, w mieście, „będziemy wciąż szli-z-duchem-czasu”. Z tego wszystkiego zrozumiała, że miasto rozprasza Mirzę i że jej szansę zajścia w ciążę największe są tu, w Titlipur. Postanowiła więc nie ruszać się z tego miejsca. Właśnie wtedy zaprosiła swoją matkę, aby przyjechała zamieszkać z nią, ponieważ jeżeli musi ograniczyć swoje ruchy do zenany, będzie potrzebowała towarzystwa. Pani Kurajszi przyjechała rozdygotana z wściekłości, zdecydowana tak długo krzyczeć na swojego zięcia, aż w końcu zrezygnuje on z tej głupoty z „parda”, ale Miszał zdumiała swoją matkę, błagając ją: — Proszę cię, nie rób tego. — Pani Kurajszi, żona dyrektora banku państwowego, sama również posiadała spore doświadczenie. — Tak naprawdę, Miszu, jako nastolatka byłaś głupią gąską, natomiast ja biegałam w biodrówkach. Myślałam, że wyszłam już z tego bagna, ale widzę, że on zepchnął cię tam ponownie”. Żona finansisty zawsze uważała, że jej zięć jest w głębi serca strasznym kutwą i nie zmieniła tej opinii, mimo że nie dysponowała nawet najdrobniejszym skrawkiem dowodu. Nie zważając na protesty córki, odszukała Mirzę Sajjida w zewnętrznym ogrodzie i zaatakowała go, cała się przy tym trzęsąc, jak było to w jej zwyczaju, dla podkreślenia wagi swoich słów. — Cóż to za tryb życia wprowadzasz? — zapytała. — Nie po to masz moją córkę, by ją zamykać w czterech ścianach, ale by wyprowadzić ją w świat! Po co ci te wszystkie pieniądze, skoro je również trzymasz cały czas pod kluczem? Mój synu, wydobądź z ukrycia i portfel, i żonę! Zabierz ją w jakieś miłe *gdzieś*, odświeżcie swoją miłość! — Mirza Sajjid otworzył usta, nie wiedział, co odpowiedzieć, zamknął je ponownie. Olśniona własnym krasomówstwem, które zupełnie przypadkowo naprowadziło ją na myśl o wakacjach, pani Kurajszi zapaliła się do tego projektu — Całkiem po prostu, zbierz się i jedźcie! — ponaglała. — Jedź, człowieku, jedź! Wybierz się z nią w podróż, bo inaczej sama się tam wybierze — tutaj dźgnęła złowieszczą palcem w niebo — *na zawsze?*

— Świadom swojej winy, Mirza Sajjid obiecał rozważyć ten pomysł. — Na co czekasz? — krzyknęła triumfalnie. — Ty dupo wołowa? Ty... ty *Hamlecie!*

Atak teściowej wywołał wyrzuty sumienia, które co jakiś czas trapiły Mirzę Sajjida od dnia, kiedy przekonał Miszal, by wyszła za niego. Aby się pocieszyć, zabrał się do czytania powieści Tagore'a pod tytułem *Ghae-Baire*, w której zamindar namawia żonę, by *opuściła* parde, po czym ona zaczyna żyć z kontrowersyjnym politykiem zaangażowanym w kampanię „swadeszu”, a zamindar umiera. Powieść ta rozchmurzyła go na jakiś czas, ale wkrótce podejrzewania powróciły. Czy był szczery, podając żonie powody jej zamieszkania w pardzie, czy też po prostu szukał sposobu, aby mieć wolny teren na uganie się za tą motylą madonną, epileptyczką Aiszą? „Jakiś tam grunt — pomyślał, przypominając sobie panią Kurajszki patrzącą zimnym, przenikliwym wzrokiem. — Jakaś tam wolność”. Obecność teściowej, przekonywał sam siebie, jest kolejnym dowodem jego dobrej wiary. Czyż naprawdę nie zachęcał Miszal, aby poszła po nią, mimo iż wiedział, że tłusta starucha nie znosi go i będzie podejrzewała o każde najbardziej cholerne oszustwo pod słońcem! „Czy zależałoby mi tak bardzo na jej przyjeździe, gdybym planował jakieś sztuczki?” — pytał sam siebie. Ale te uporczywe wewnętrzne głosy ciągnęły dalej: „Wszystkie twoje ostatnie wyczyny seksualne, to ponowne zainteresowanie twoją panią-żoną, to po prostu zwykły wybieg. Tak naprawdę, pragniesz, żeby przyszła chłopska kurwa i kurwiła się z tobą”.

Poczucie winy spowodowało, że zamindar uznał siebie za całkowicie bezwartościowego. Obelgi teściowej zaczęły mu się wydawać, w jego nieszczęściu, prawdziwe co do joty. — Dupa wołowa — powiedziała mu i siedząc teraz w swoim gabinecie, otoczony książkami, całymi szafami książek, w którym mole książkowe z zadowoleniem chrupały teksty Sanskrytu, jakimi nie dysponowały nawet archiwa krajowe, i z mniejszą ochotą komplet dzieł Percy'ego Westermonta, G.A. Hentye'ego i Dornforda Yatesa, Mirza Sajjid przyznał, tak, jestem dupek. Dom został wybudowany siedem pokoleń temu i przez siedem pokoleń zachodził w nim proces dupo-wołowienia. Przeszedł się wzdłuż korytarza, na którego ścianach wisieli jego przodkowie w złowrogich pozłacanych ramach i zaczął medytować nad lustrem, które kazał powiesić na ostatnim pustym miejscu jako memento, że pewnego dnia on również musi wejść na tę ścianę. Był mężczyzną o wygładzonym ciele, bez kantów i ostrych krawędzi; nawet łokcie miał pokryte małymi poduszkami ciała. W lustrze zobaczył rzadki wąsik, niewyraźnie zarysowany podbródek, wargi poplamione betelem. Policzki, nos, czoło: wszystko to miękkie, miękkie, miękkie. — Kto dopatry się czegokolwiek w takim facecie jak ja? — krzyknął, a kiedy zdał sobie sprawę z tego, iż z powodu wzburzenia nawet zaczął mówić na głos, zrozumiał, że na pewno jest zakochany, że jest jak szczeniak chory z miłości i że obiektem jego westchnień wcale nie jest jego kochająca żona.

— Wobec tego, cóż ze mnie za piekielnie płytki, chytry i zakłamany facet — westchnął sam do siebie — że potrafię zmieniać się tak bardzo, tak szybko.

Zasługuję na natychmiastową śmierć, bez dalszych ceregieli. — Nie był jednak typem człowieka, który rzuca się na własny miecz. Zamiast tego przechadzał się korytarzami Peristanu i wkrótce zadziałała magia tego domu i przywróciła mu ponownie coś, co można nazwać dobrym nastrojem.

Dom: pomimo czarodziejskiej nazwy, był to solidny, raczej prozaiczny budynek, który stał się egzotyczny jedynie wskutek tego, że znajdował się w niewłaściwym kraju. Zbudował go siedem pokoleń wstecz niejaki Perowne, angielski architekt cieszący się dużym uznaniem władz kolonialnych, który doceniał jedynie neoklasycyzyzm angielskiej rezydencji wiejskiej. W owych czasach wielcy zamindarowie mieli bzika na punkcie architektury europejskiej. Pra-pra-pra-pradziad Sajida zaangażował tego faceta po pięciu minutach rozmowy w recepcji hotelu Viceroy, aby zaznaczyć publicznie, że nie wszyscy indyjscy muzułmanie popierają akcję zbuntowanych żołnierzy w Mirut, czy też sympatyzują z następnymi powstaniem, nie, bynajmniej nie; — a następnie dał budowniczemu wolną rękę; — i oto stał sobie teraz Peristan pośrodku prawie-tropikalnych pól ziemniaczanych i nie opodal wielkiego drzewa figowego, cały pokryty pnączem bugenwilli z węzłami w pomieszczeniach kuchni i motylami szkielecikami w szafach. Niektórzy twierdzili, że nazwę budynku należy raczej zawdzięczać Anglikowi, a nie zjawiskom bardziej fantastycznym: że była to po prostu skrócona forma nazwy *Perownistan*.

W siódmym pokoleniu dom zaczął wreszcie nabierać wyglądu, który świadczyłby o jego przynależności do tego krajobrazu wolich zaprzęgów, drzew palmowych i wysokiego, przezroczystego, przeładowanego gwiazdami nieba. Nawet witrażowe okno nad schodami Króla Karola Bezgłowego w jakiś nieokreślony sposób zostało znaturalizowane. Tylko nieliczne z tych starych zamindarowskich domów uniknęły egalitarnej grabieży obecnych czasów i w rezultacie nad Peristanem wisiało coś w rodzaju stęchłej muzealnej atmosfery i to pomimo — a może właśnie dlatego — że Mirza Sajjid był bardzo dumny ze starej rezydencji i nie żałował pieniędzy, aby utrzymać ją w dobrym stanie, spał pod wysokim baldachimem z obrabianego i kutego mosiądzu, w łóżku o kształcie okrętu, które w przeszłości służyło trzem wicekrólom. Lubił siadywać w wielkim salonie, co niezwykle, z Miszal i panią Kurajshi na osobliwej trójosobowej kozetce, mającej służyć miłosnej pogawędce. W rogu tego pokoju stał olbrzymi perski dywan z Szirazu, nawinięty na drewniane bloki i czekający na wspańnięte przyjęcie, które by uzasadniało jego rozłożenie, a które nigdy nie nadeszło. W jadalni stały grube klasyczne kolumny o ozdobnych korynckich zwieńczeniach, w domu były też pawie, zarówno kamienne, jak i prawdziwe, przechadzające się po głównych schodach, oraz kandelabry z weneckiego szkła, dzwoniące delikatnie w holu. Oryginalne punkah wciąż jeszcze były całkowicie sprawne: wszystkie te sznury służące do ich poruszania przechodziły przez krążki i otwory w ścianach i podłogach do małego dusznego pomieszczenia, gdzie siedział służący, punka-walla, który wprawiał

w ruch maszynę, był w mocy straszliwej ironii zaduchu tego małego pokoju, skąd wysyłał podmuchy chłodnego powietrza do wszystkich innych części domu. Również służba miała za sobą historię siedmiu pokoleń, w wyniku czego straciła umiejętność skarżenia się. Obowiązywały ich stare zwyczaje: nawet titlipurski sprzedawca słodczy był zobowiązany starać się o zgodę zamindara na sprzedaż jakiegokolwiek nowego cukierka, który właśnie sam wyprodukował. Życie w Peristanie było równie łatwe, jak trudne było to pod drzewem, ale nawet nad takim sielskim krajobrazem czasami zrywa się gwałtowny wichur.

* * *

Kiedy Mirza odkrył, że jego żona spędza większość czasu, rozmawiając sama na sam z Aiszą, ogarnęła go irytacja nie do zniesienia, egzema ducha doprowadzająca go do szału, ponieważ nie było sposobu, żeby dostać się do niej i podrapać chore miejsce. Miszal miała nadzieję, że archanioł, mąż Aiszy, wysłucha jej prośby i pozwoli jej mieć dziecko, jednak nie mogła tego powiedzieć mężowi i dlatego stawała się coraz bardziej markotna i wzruszyła w rozdrażnieniu ramionami, gdy ten pytał ją, dlaczego marnuje tyle czasu z najbardziej pomyloną dziewczyną we wsi. Dziwna małowówność Miszal powiększyła jeszcze bardziej pożądanie w sercu Mirzy Sajjida, w dodatku wzbudziła w nim zazdrość, nie był tylko pewien, czy jest zazdrosny o Aiszę, czy o Miszal. Zauważył po raz pierwszy, że władczyni motyli ma oczy o tym samym połyskującym szarym odcieniu, co jego żona, i również ten fakt, z jakiejś przyczyny, wywołał jego niezadowolenie. Jak gdyby miało to stanowić dowód, że kobiety te spiskują przeciw niemu, szepcząc Bóg jeden wie jakie tajemnice; być może gawędziły i plotkowały o *nim*! Ta zmowa przyniosła efekt odwrotny od zamierzonego; a nawet ta stara galareta, pani Kurajszi, dała się podejść Aiszy. Niezła trójca, pomyślał Mirza Sajjid; kiedy fetysze i bzdurne o nich rozmowy wchodziły drzwiami, zdrowy rozsądek ucieka oknem.

Co do Aiszy: kiedy spotykała Mirzę na balkonie lub w ogrodzie, gdzie przechadzał się powoli, czytając poezję miłosną w języku urdu, była niezmiernie skromna i okazywała mu szacunek; ale właśnie to poprawne zachowanie w połączeniu z całkowitym brakiem choćby jednej iskry erotyzmu pogrążyło Sajjida coraz bardziej w bezbronnej rozpacz. Nic więc dziwnego, że kiedy któregoś dnia podpatrzył Aiszę wchodzącą do kobiecej części domu i kilka minut później posłyszał melodramatyczny wrzask jego teściowej, ogarnął go nastrój upartej mściwości i z premedytacją odczekał pełne trzy minuty, zanim poszedł zbadać sprawę. Zastał panią Kurajszi wrywającą sobie włosy z głowy i szlochającą jak gwiazda marnego filmu. Miszal i Aisza siedziały po turecku w łóżku, przodem do siebie,

szare oczy utkwione w szarych, a wyciągnięte dłonie Aiszy ujmowały twarz Miszal.

Okazało się, że archanioł poinformował Aiszę, że żona zamindara umiera na raka, że jej piersi wypełnione są złośliwymi guzkami śmierci, i że ma przed sobą nie więcej niż kilka miesięcy życia. Umieszczenie raka było dla Miszal dowodem okrucieństwa Boga, ponieważ tylko złośliwe bóstwo może włożyć śmierć do piersi kobiety, której jedynym marzeniem jest przecież karmienie nowego życia. Kiedy wszedł Sajjid, Aisza właśnie gorączkowo szeptała do Miszal: — Nie wolno ci myśleć w ten sposób. Bóg cię ocali. To próba wiary.

Pani Kurajshi przekazała Mirzy Sajjidowi tę fatalną wiadomość, nie mogąc opanować krzyków i wycia, i skołowanemu zamindarowi tego było już za wiele. Wpadł w złość i zaczął wrzeszczeć i trząść nią, jak gdyby lada moment miał zacząć niszczyć meble w pokoju wraz z jego lokatorami.

— Do diabła z twoim wymyślonym rakiem — wrzasnął na Aiszę poirytowany. — Wszedł do mojego domu wraz ze swoim szaleństwem i aniołami i wsączyłaś jad w uszy mojej rodziny. Wynoś się ze swoimi zwidami i swoimi straszidłami. Żyjemy w nowoczesnym świecie i to lekarze, doktorzy medycyny, a nie duchy w kartofliskach stwierdzają, czy jesteśmy chorzy. Wywołałaś to piekielne zamieszanie bez powodu. Wynoś się i nigdy tu już nie przychodź.

Aisza wysłuchiwała go, wciąż patrząc w oczy Miszal i trzymając jej twarz w swoich dłoniach. Kiedy Sajjid przerwał na chwilę, żeby wziąć oddech, a cały czas przy tym nerwowo zaciskał i otwierał pięści, Aisza powiedziała cicho do jego żony: — Wszystkiego od nas zażądają, ale również wszystko będzie dane. — Kiedy usłyszał tę formułę, którą ludzie w całej wiosce zaczęli już powtarzać jak papugi, jakby rozumieli jej znaczenie, Mirzy Sajjidowi Achtarowi na krótko odebrało rozum, podniósł rękę i uderzył Aiszę tak, że straciła przytomność. Upadła na podłogę, krew poleciała jej z ust, z miejsca po wybitym zębie, i kiedy tak leżała, pani Kurajshi obrzuciła swojego zięcia stekiem wyzwisk. — O Boże, oddałam swoją córkę w ręce mordercy. O Boże, damski bokser. No już, uderz i mnie, poświęć sobie. Tfu, bezcześciciel świętych, bluźnierca, diabeł, nieczysty. — Sajjid wyszedł z pokoju bez słowa.

Następnego dnia Miszal Achtar nalegała, żeby wrócić do miasta i przeprowadzić wszystkie badania lekarskie. Sajjid sprzeciwiał się. — Jeśli chcesz ulegać przesądom, jedź, lecz nie spodziewaj się, że dam się namówić. To osiem godzin jazdy samochodem w jedną stronę; a więc do diabła z tym. — Miszal wyjechała po południu ze swoją matką i szoferem i w następstwie tego Mirzy Sajjida nie było tam, gdzie powinien był być, to jest boku u żony w chwili, kiedy zakomunikowano jej wynik prób: dodatni, nieoperacyjny, zbyt zaawansowany, szpony raka worały się głęboko w jej piersi. Kilka miesięcy, sześć w najlepszym razie, a wcześniej, i to już wkrótce — bóle. Miszal wróciła do Peristanu i udała się prosto na swoje pokoje w zenanie, gdzie napisała krótki formalny list do męża na papeterii koloru

lawendy, w którym przekazała mu diagnozę lekarską. Kiedy przeczytał jej wyrok śmierci, napisany jej własną ręką, bardzo chciał wybuchnąć płaczem, ale jego oczy uparcie pozostawały suche. Przez wiele lat nie miał czasu dla Najwyższej Istoty, ale teraz kilka zwrotów Aiszy pojawiło się ponownie w jego pamięci. *Bóg cię ocali. Wszystko będzie dobrze.* Gorzka, przesądna myśl przysłała mu do głowy: „To klątwa — pomyślał. — Ponieważ tak bardzo pragnąłem Aiszy, zamordowała mi żonę”.

Kiedy poszedł do zenany, Miszal nie chciała się z nim widzieć, ale jej matka, zagradzając sobą drogę, przekazała mu drugą notatkę na perfumowanym niebieskim papierze listowym. „Chcę widzieć Aiszę — brzmiał tekst. — Uprzejmie proszę, zgódź się”. Skłaniając głowę, Mirza Sajjid wyraził zgodę i powlókł się zawstydzony z powrotem.

* * *

Kiedy ma do czynienia z Mahoundem, jest walka, z Imamem — niewolnictwo; ale z tą dziewczyna — po prostu nie ma niczego. Gibril jest apatyczny, zazwyczaj śpi pogrążony w marzeniu sennym, zupełnie identycznie jak na jawie.

Ona zastaje go pod drzewem, lub w rowie, słucha tego, czego nie mówi, bierze to, czego potrzebuje, i odchodzi. Co na przykład może wiedzieć na temat raka? Najzupełniej nic.

Wszędzie wokół niego, myśli, na wpół pogrążony w marzeniu sennym, na wpół już w świecie rzeczywistym, ludzie słyszą głosy, uwiedzeń! przez słowa. Ale wcale nie jego; nie jest to nigdy jego własne dzieło. — W takim razie czyje? Kto to szepcze do ich uszu, umożliwiając im przenoszenie gór, zatrzymywanie zegarów, diagnozowanie choroby?

Nie potrafi rozwiązać tej zagadki.

* * *

Dzień po powrocie Miszal Achtar do Titlipur, dziewczyna Aisza, którą ludzie zaczęli nazywać kahina, zniknęła bez śladu na tydzień. Jej nieszczęsny wielbiciel, kłown Osman, który podążał za nią w pewnej odległości po zakurczonym szlaku ziemniaczanym prowadzącym do Czatanapatny, powiedział wieśniakom, że nagle zawiął wiatr i sychnął mu piaskiem w oczy; kiedy mógł znowu patrzeć, ona

„po prostu zniknęła”. Zazwyczaj kiedy Osman i jego wół zaczynali opowiadać swoje historie o dzinnach i magicznych lampach i różnych „sezamie-otwórz-się”, wieśniacy przyjmowali to wyrozumiale i dogadywali mu, w porządku, Osman, zachowaj to sobie dla tych idiotów w Czatnapatnie; być może dadzą się nabrać na takie historyjki, ale tutaj, w Titlipur, wiemy, jak się rzeczy mają, i że pałace nie zjawiają się same, jeżeli nie zbuduje ich jakichś tysięcy i jeden robotników, ani też nie znikają, chyba że ci sami robotnicy je rozbiorą. Tym razem jednak nikt nie śmiał się z kłowna, ponieważ w sprawach dotyczących Aiszy wieśniacy byli skłonni przyjąć każde wyjaśnienie. Doszli do przekonania, że śnieżnowłosa dziewczyna jest prawdziwą następczynią starej Bibi-dzi, bo czyż motyle nie powróciły w roku jej urodzin i czyż nie podążały za nią, okrywając ją jak płaszcz? Aisza była spełnieniem ich nadziei zgorzkniałej długim czekaniem, a wywołanej powrotem motyli. Była również dowodem na to, że wielkie rzeczy wciąż są możliwe w tym życiu, nawet dla tych najsłabszych i najbiedniejszych w kraju.

— Anioł ją zabrał — nie mogła wyjść z podziwu żona Sarpancza, Chadidża, i Osman wybuchnął płaczem. — Ależ nie płacz, to wspaniała rzecz — wyjaśniła stara Chadidża, nie rozumiejąc niczego. Wieśniacy przygadywali Sarpanczowi: — Jak udało ci się zostać starszym wioski, jeżeli masz taką nietaktowną małżonkę, naprawdę trudno to zrozumieć.

— Wyście mnie wybrali — odpowiadał ponuro.

Siódmego dnia po zniknięciu dostrzeżono zbliżającą się do wsi Aiszę. Była znowu naga i okryta złocistymi motylami, jej srebrne włosy rozwiewał wiatr. Poszła wprost do domu Sarpancza Muhammada Dina i poprosiła, aby jak najszybciej zwołać nadzwyczajne zebranie titlipurskiego panczajatu. — Jesteśmy świadkami wielkiego wydarzenia w historii drzewa, zwierzyła się. — Muhammad Din nie potrafił jej odmówić i wyznaczył czas spotkania na wieczór, tuż po zmroku.

Tego wieczora członkowie panczajatu zajęli miejsca na zwykłej gałęzi drzewa, a kahina Aisza stanęła przed nimi na ziemi. — Leciałam z aniołem pod niebiosa — powiedziała. — Tak, nawet do Drzewa na najdalszym krańcu. Archanioł Gibril: przyniósł nam wieść, która jest również rozkazem. Wszystkiego od nas żądają i wszystko będzie dane.

Nic w życiu Sarpancza Muhammada Dina nie przygotowało go do dokonania tego wyboru, przed którym miał zaraz stanąć. — O co anioł prosi, Aiszo, córko? — zapytał, usiłując opanować drżenie głosu.

— Jest wola anioła, żebyśmy wszyscy, każdy mężczyzna, każda kobieta i każde dziecko w wiosce, zaczęli natychmiast przygotowywać się do pielgrzymki. Mamy rozkaz pójść piechotą z tej tu miejscowości do Mekki Szarif, aby ucałować Czarny Kamień w Kaabie w samym centrum Haram Szarif, w świętym meczecie. Musimy tam iść.

Panczajatowska piątka rozpoczęła gwałtowną dyskusję. Trzeba było wziąć pod uwagę nie zebrane z pól zbiory oraz fakt, że nie można porzucić domów tak

en masse. — Nie, to absolutnie wykluczone, dziecko — powiedział jej Sarpancz. — Dobrze wiadomo, że Allah wybacza, jeżeli ktoś naprawdę nie jest w stanie odbyć hadżdży i umry ze względu na ubóstwo lub stan zdrowia. — Ale Aisza nie odezwała się ani słowem i starsi kontynuowali dyskusję. Następnie stało się tak, jak gdyby jej milczenie zaraziło pozostałych i przez dłuższą chwilę, w czasie której sprawa została rozstrzygnięta — chociaż w jaki sposób, nikt nigdy nie zdołał pojąć — nikt nie odezwał się ani słowem.

To kłown Osman przerwał w końcu tę ciszę, Osman przechrzta, dla którego nowa wiara nie była niczym więcej jak piciem wody. — Stąd do morza jest prawie dwieście mil — krzyknął. — Są tu stare kobiety, dzieci. Jakżeż my wszyscy możemy pójść?

— Bóg da nam siłę — odpowiedziała spokojnie Aisza.

— Czy nie przyszło wam do głowy — krzyczał dalej Osman, nie chcąc dać za wygraną — że między nami a Mekką Szarif jest olbrzymi ocean? Jak go przebedziemy? Nie mamy pieniędzy na opłacenie miejsc na statkach dla pielgrzymów. Może anioł spowoduje, że wyrosną nam skrzydła, abyśmy mogli polecieć?

Wielu rozzłoszczonych wieśniaków otoczyło bluźniercę Osmana kołem. — Uspokój się natychmiast — zganił go Sarpancz Muhammad Din. — Przecież całkiem niedawno przyłączyłeś się do naszej wioski i wiary. Trzymaj swoją jadaczkę zamkniętą i ucz się naszych zwyczajów.

Osman jednak odpowiedział zuchwale: — To tak witacie nowych osadników? Nie jako ludzi równych, ale chłopów, którzy mają robić to, co im powiedziano? — Krąg mężczyzn o czerwonych twarzach zaczął się zacieśniać wokół Osmana, ale zanim cokolwiek zdążyło się wydarzyć, kahina Aisza zmieniła całkowicie atmosferę, odpowiadając na pytanie kłowna:

— To również zostało wyjaśnione przez anioła — powiedziała spokojnie. — Przejdziemy dwieście mil, a kiedy dojdziemy do brzegów morza, zanurzymy nasze stopy w pianie morskiej i wody otworzą się przed nami. Fale rozdziela się i przejdziemy po-dnie-oceanu do Mekki.

* * *

Następnego ranka Mirza Sajjid Achtar obudził się w domu, w którym panowała niezwykła cisza, i kiedy wezwał służących, nie było żadnej odpowiedzi. Cisza ta ogarnęła również pola ziemniaków; jedynie pod szerokim rozpostartym dachem Titlipurskiego drzewa panował rwetes i krzątania. Panczajat jednogłośnie zdecydował, że trzeba usłuchać rozkazu Archanioła Gibrila, a wieśniacy rozpoczęli przygotowania do wymarszu. Początkowo Sarpanch chciał, aby cieśla Isa zrobił

lektyki ciągnięte przez woły, na których mogłyby jechać osoby stare i niedołężne, ale pomysł ten został uśmiercony przez jego własną żonę, która powiedziała mu, — Nie słuchaj tego, Sarpanchu! Czyż anioł nie powiedział, że musimy podążać piechotą? W takim razie właśnie tak musimy uczynić. — Jedyne najmłodsze z małych dzieci miały być niesione (tak zdecydowano) przez dorosłych na zmianę. Wieśniacy połączyli wszystkie swoje zapasy i obok gałęzi panczajatu piętrzyły się stosy ziemniaków, soczewicy, ryżu, gorzkich tykw, czerwonego pieprzu, oberżyny i innych warzyw. Te wszystkie produkty żywnościowe miały być podzielone na równe porcje pomiędzy pielgrzymów. Również naczynia kuchenne zostały złożone na wspólnym stosie, a także pościel, jeśli taką dało się w ogóle znaleźć. Miano zabrać zwierzęta pociągowe oraz kilka wozów do przewozu żywych kurczaków i tym podobnych, ale ogólnie pielgrzymów obowiązywały instrukcje Sarpancza, stanowiące, że rzeczy osobiste należy zredukować do minimum. Przygotowania rozpoczęto jeszcze przed świtem i kiedy rozzłoszczony Mirza Sajjid wszedł do wsi, prace były daleko zaawansowane. Przez czterdzieści pięć minut zamindar zwolnił tempo tych robót, wygłaszając gniewne przemówienie i potrząsając niektórymi chłopami, aż w końcu na całe szczęście zrezygnował i odszedł, a więc można było kontynuować pracę w poprzednim, szybkim tempie. Kiedy Mirza odchodził, pukał się w czoło i wyzywał ludzi, krzyczał *wariaci kpy* i używał jeszcze innych bardzo brzydkich określeń, no ale cóż ostatecznie zawsze był bezbożnikiem, słabym spadkobiercą silnego rodu i trzeba było go pozostawić własnemu losowi, by sam odnalazł swoje przeznaczenie; z ludźmi jego pokroju nie ma sensu dyskutować.

Przed zachodem słońca wieśniacy byli gotowi do drogi i Sarpancz polecił wszystkim zebrać się we wczesnych godzinach porannych na modlitwy, aby zaraz potem mogli wyruszyć i w ten sposób uniknąć największego upału. Tej nocy, kładąc się na macie obok starej Chadidży, mruknął: — Nareszcie. Zawsze chciałem zobaczyć Kaabę, obejść ją dookoła, zanim umrę. — Uścisnęła jego rękę. — Ja również zawsze żyłam taką nadzieją, wbrew nadziei — powiedziała. — Pójdziemy razem przez fale.

Mirza Sajjid, doprowadzony widokiem przygotowującej się do drogi wioski do bezsilnego szaleństwa, wpadł bezceremonialnie do pokojów swojej żony. — Powinnaś zobaczyć, co się tam dzieje, Miszu — wykrzyknął, śmiesznie gestykulując. — Całe Titlipur pożegnało się ze zdrowym rozsądkiem i rusza ku morskemu wybrzeżu. Co się stanie z ich domami, polami? Okolicę czeka ruina. Musieli być w to zamieszani agitatorzy polityczni. Ktoś kogoś przekupił. Czy myślisz, że postąpią jak normalni ludzie i zostaną, gdy zaoferuję im pieniądze? — Zamilkł. W pokoju była Aisza.

— Ty dziwko — przeklął ją. Siedziała po turecku na łóżku, a Misza i jej matka przykucnęły na podłodze, sortując swoje rzeczy i próbując jak najbardziej ograniczyć ilość potrzebnych im na pielgrzymce.

— Ty nie pójdziesz — wykrzykiwał patetycznie Mirza Sajjid. — Zakazuję ci, chyba tylko diabeł wie, jakim chorobskim ta dziwka zaraziła wieśniaków, ale ty jesteś moją żoną i nie daję swojego pozwolenia na twój udział w tym samobójczym przedsięwzięciu.

— No, no, niezłe słowa. — Miszal zaśmiała się z goryczą. — Sajjid, dobry dobór słów. Wiesz, że umieram, a mówisz o samobójstwie. Sajjid, dzieją się tu ważne rzeczy, a ty ze swoim importowanym europejskim ateizmem nie wiesz, czego dotyczą. Zresztą, może byś i wiedział, gdybyś zajrzał pod te swoje angielskie garnitury i spróbował odnaleźć serce.

— Nie do wiary — krzyknął Sajjid. — Miszal, Miszu, czy to naprawdę ty? Nagle zmieniłaś się w dewotkę, typ z zamierzchłych czasów?

Pani Kurajszi powiedziała: — Odejdź, synu. Nie ma tu miejsca dla niewierzących. Anioł powiedział Aiszy, że kiedy Miszal dojdzie z pielgrzymką do Mekki, jej rak zniknie. Wszystkiego żądają i wszystko będzie dane.

Mirza Sajjid Achtar oparł dłonie o ścianę w sypialni żony i przycisnął czoło do tynku. Po dłuższym milczeniu powiedział: — Jeżeli chodzi tu o spełnienie umry, wobec tego, na miłość boską, jedźmy do miasta i wsiądźmy do samolotu. Możemy być w Mekce za parę dni.

Miszal odpowiedziała: — Rozkazano nam podążać pieszo.

Sajjid stracił panowanie nad sobą. — Miszal? Miszal? — wykrzyknął. — Rozkazano? Archanioły, Miszu? *Gibril*? Bóg z długą brodą i aniołowie ze skrzydłami? Niebo i piekło, Miszal? Diabeł ze spiczastym ogonem i rozszczepionymi kopytami? Co jeszcze? Czy kobiety mają dusze, co powiesz na to? Albo inaczej: czy dusze są podzielone na dusze kobiet i dusze mężczyzn? Czy Bóg jest czarny, czy biały? Kiedy rozstąpią się fale oceanu, dokąd przemieści się ta dodatkowa woda? Czy woda stanie pionowo po dwóch stronach jak ściany? Miszal? Odpowiedz mi. Czy istnieją cuda? Czy wierzysz w Raj? Czy zostaną mi wybaczone grzechy? — Zaczął szlochać i padł na kolana, z czołem wciąż przyciśniętym do ściany. Jego umierająca żona podeszła do niego i objęła go. — Idź wobec tego na pielgrzymkę — powiedział przytłumionym głosem. — Ale przynajmniej weź swojego mercedesa kombi. Ma klimatyzację i możesz wziąć całą lodówkę pełną coca-coli.

— Nie — odpowiedziała cicho. — Pójdziemy jak wszyscy. Jesteśmy pielgrzymami, Sajjid. To nie piknik na plaży.

— Nie wiem, co zrobić — szlochał Mirza Sajjid Achtar. — Miszu, nie potrafię sam sobie z tym poradzić.

Aisza odezwała się z łóżka, na którym wciąż siedziała. — Mirza, sahibie, chodź z nami — powiedziała. — Twoje idee się przeżyły. Chodź i ocal swoją duszę.

Sajjid podniósł się. oczy miał zaczerwienione — Chciałaś cholernej wycieczki — powiedział ze złością do pani Kurajszi. — Kto mieczem wojuje, od miecza ginie. Twoje przekleństwo z pewnością spadło na głowę przeklinającego. Twoja

wycieczka wykończy nas wszystkich, siedem pokoleń, całą tę paczkę.

Miszał oparła swój policzek o jego plecy. — Chodź z nami, Sajjid. Po prostu chodź.

Odwrócił się ku Aiszy. — Boga nie ma — powiedział stanowczo.

— Nie ma Boga innego niż Bóg, a Muhammad jest Jego Prorokiem — odpowiedziała.

— Doświadczenie mistyczne jest prawdą subiektywną, a nie obiektywną — ciągnął. — Wody się nie rozstapia.

— Morze rozstąpi się na rozkaz anioła — odpowiedziała Aisza.

— Prowadzisz tych ludzi ku oczywistej katastrofie.

— Zabieram ich na łono Boga.

— Nie wierzę w ciebie — upierał się Mirza Sajjid. — Ale zamierzam pójść i na każdym kroku będę próbował położyć kres temu szaleństwu.

— Bóg wybiera wiele środków — odparła Aisza — wiele dróg, które mogą przywieść wąpiących do jego prawd.

— Idź do diabła — krzyknął Mirza Sajjid Achtar i wybiegł z pokoju, rozpędzając motyle.

* * *

— I kto tu jest szalony — szepnął kłown Osman swemu wołowi do ucha, czyszcząc go w małej obórcie — obłąkana czy błazen, który kocha obłąkaną? — Wół nie odpowiedział. — A może powinniśmy byli zostać pariasami? — mówił dalej Osman. — Przymusowy ocean brzmi o wiele gorzej niż zakazana studnia. — I byczek kiwnął głową, dwakroć na tak, bum, bum.

V

**Miasto widzialne,
lecz nie widziane**

1

Kiedy już przemienię się w sowę, jak wypowiem zaklęcie, które przywróci mi moją właściwą postać? Pan Muhammad Sufjan, właściciel Shaandaar Café i gospodarz znajdujących się ponad nią pokoi do wynajęcia, mentor różnorodnych, przejezdnych i różnokolorowych gości obu tych miejsc, doświadczony facet, najmniej doktrynerski z wszystkich hadzi i najbardziej bezwstydy z entuzjastów filmów wideo, były nauczyciel, samouk i znawca klasyki wielu kultur, zwolniony z pracy na poczcie w Dhace z powodu zapatrywań na kulturę skrajnie odmiennych od przekonań pewnych generałów w tych dawnych czasach, kiedy Bangladesz był zaledwie Wschodnim Skrzydłem, i od tej pory, mówiąc jego słowami „nie tyle karzeł imigrant, co emigrant” — słowo „karzeł” to jego dobroduszna aluzja do zbyt małej ilości centymetrów, gdyż mimo że był barczystym mężczyzną, potężnym w ramionach i w pasie, nie wznosił się nad ziemię wyżej niż na jakieś metr pięćdziesiąt, stał mrugając zaspanymi oczyma w drzwiach swojej sypialni, obudzony gwałtownym dobijaniem się Jumpy Joshiego tuż po północy, wyczyścił swoje okulary w półoprawkach o skraj kurty w stylu bengalskim (ze sznurkami zawiązanymi pod szyją w zgrabną kokardkę), zacisnął mocno powieki, zamknął je przed swoimi krótkowzrocznymi oczyma, włożył z powrotem okulary, otworzył oczy, pogłaskał się po pozbawionej towarzystwa wąsów, farbowanej henną brodzie, cmoknął, i zareagował na niezaprzeczną obecność rogów na czole trzęsącego się faceta, którego Jumpy, zupełnie jak kot, najwyraźniej zwabił do środka wymyślonemu na poczekaniu żartem, o treści podanej wyżej, skradzionemu, z bystrością umysłu pochwały godną jak na kogoś wyciągniętego z głębokiego snu, Lucjuszowi Apulejuszowi z Madaury, kapłanowi marokańskiemu, A.D. 120-ok. 180, obywatelowi kolonii wczesnego Cesarstwa, osobie, która odparła oskarżenie, jakoby rzuciła urok na bogatą wdowę, jednak przyznała się, nieco przewrotnie, do tego, że w młodości padła ofiarą czarnej magii i została zamieniona w (nie, wcale nie w sowę, lecz) osła.

— Tak, tak — ciągnął Sufjan, wychodząc na korytarz i dmuchając w zgrabiałe dłonie białą mgłą zimowego oddechu. — Biedny nieszczęśnik, ale nie czas na rozpamiętywanie. Trzeba przyjąć konstruktywną postawę. Pójdę obudzić żonę.

Czarny miał potarganą i pokrytą kurzem brodę. Owinięty był w koc udrapowany na nim jak toga, spod którego wystawały komicznie zdeformowane koźle kopyta, górę okrywała tragikomiczna kurtka z owczej skóry pożyczona od Jumpy’ego, z postawionym kołnierzem, tak że owcze kędziory znajdowały się o kilka tylko centymetrów od ostrych kozich rogów. Wydawał się niezdolny wykrztusić z siebie choćby słowo, ruchy ciała miał niemrawe, wzrok przyćmiony; nawet pomimo to, że Jumpy usiłował dodać mu otuchy — „Dobrze już, dobrze, rozumiesz,

rozwiążemy całą sprawę w mig” — on, Saladyn, wciąż był najbardziej apatycznym i biernym ze wszystkich — wszystkich co? — powiedzmy: satyrów. Tymczasem Sufjan wystąpił z dalszymi słowami apulejuszowskiego współczucia. — W przypadku osła odwrotna metamorfoza wymagała osobistej interwencji bogini Izdy — rozpromienił się. — Ale stare dzieje są dla starych pryków. W twoim przypadku, mój młody panie, pierwszym krokiem będzie miska dobrej gorącej zupy.

Tutaj jego dobrotliwy głos został zagłuszony przez interwencję drugiego, wznoszącego się z przerażenia na operowe rejestry; kilka chwil później niska postać Sufjana została popchnięta i odsunięta na bok przez ogromną otyłą kobietę, która najwidoczniej nie mogła się zdecydować, czy całkowicie usunąć go ze swojej drogi, czy też trzymać przed sobą jako tarczę ochronną. Kuląc się za Sufjanem, ta nowa istota wyciągnęła trzęsącą się rękę zakończoną drżącym, grubym palcem wskazującym o purpurowym paznokciu. — To coś, o tam — zawyła. — Co to za zjawa zwała się nam na głowę?

— To jest przyjaciel Joshiego — Sufjan uśmiechnął się łagodnie i mówił dalej, zwracając się do Czamczy: — Proszę wybaczyć, ale nagłość tego et cet, no nie? W każdym razie, czy mogę przedstawić moją panią; moją Begum Sahiba, Hind.

— Co za przyjaciel? Jak to przyjaciel? — krzyknęła kuląca się osoba. — Ya Allah, czy nie masz oczu na miejscu?

Korytarz, — o podłodze z gołych desek i ze ścianami pokrytymi podartą tapetą w kwiatki, — zaczął wypełniać się zaspanymi mieszkańcami. Wyróżniały się pomiędzy nimi dwie nastolatki, jedna rozczochrana, druga z włosami związanymi w koński ogon, a obydwie z przyjemnością korzystały z okazji zademonstrowania swoich umiejętności (zdobytych od Jumpy’ego) w walkach obronnych karate i Wing-Chun: córki Sufjana, Miszal (lat siedemnaście) i piętnastoletnia Anahita, wyskoczyły ze swojej sypialni w strojach sportowych, piżamach Bruce’a Lee, zarzuconych niedbale na T-shirty z nadrukiem nowej Madonny; — spostrzegły nieszczęsnego Saladyna; — i aż pokręciły głowami z niekłamanego zachwytu.

— Ostre — powiedziała Miszal z uznaniem. A jej siostra przytaknęła, kiwając głową: — Ale bomba. Pieprzona piątka — Matka jednak nie zganiła jej za niewybredny język; Hind myślami była gdzie indziej i zaczęła zawodzić jak nigdy dotąd: — Spójrzcie na tego mojego męża. Co za hadzi z niego? Oto sam Szejtan we własnej osobie wchodzi do naszego domu, a mnie zmusza się jeszcze, żebym podała mu gorącą yakhni z kurczaka, przygotowaną moimi własnymi rękoma.

Na nic się teraz zdały skierowane do Hind prośby Jumpy Joshiego o wyrozumiałość, próby wyjaśnień czy domaganie się solidarności. — Jeżeli on nie jest diabłem wcielonym, u licha — dama z falującym biustem użyła argumentu nie do zbicia — to skąd ten nieznośny smród, który on wydycha? Może z Wonnych Ogrodów?

— Wcale nie z Gulistanu, ale z Bustanu — odezwał się nagle Czamcza. —

Lot AI-420 — Kiedy jednak Hind usłyszała jego głos, zapiszczała przeraźliwie i rzuciła się w stronę kuchni.

— Proszę pana — powiedziała Miszal do Saladyna, kiedy jej matka zbiegła jak oszalała schodami w dół — ktoś, kto jest w stanie ją aż tak przerazić, musi być naprawdę zły.

— Paskudny — zgodziła się Anahita. — Witamy na pokładzie.

* * *

Owa Hind, obecnie tak mocno okopana na pozycjach wrzaskliwego sposobu reagowania, była kiedyś — dziwnetoleczprawdziwe! — najbardziej rumieniącą się ze wszystkich panien młodych, uosobieniem łagodności, prawdziwym wcieleniem tolerancyjnego dobrego nastroju. Jako żona nauczyciela i erudyty z Dhaki ochoczo podjęła swoje obowiązki, doskonała towarzysza życia, przynosząca mężowi herbatkę pachnącą kardamonem, kiedy siedział do późna w nocy, sprawdzając prace egzaminacyjne, wkradał się w łaski dyrektora szkoły na cosemestralnej Wycieczce Rodzin Nauczycieli, borykał się z powieściami Bibhutibhuszana Banerdziego i z metafizyką Tagore'a, próbowała być godna swojego małżonka, który potrafił swobodnie cytować z Rigwedy, jak i z Koranu, z zapisków wojennych Juliusza Cezara, jak również z Apokalipsy św. Jana. W owych czasach była pełna podziwu dla jego pluralistycznej otwartości umysłu i w swojej kuchni dążyła do podobnego eklektyzmu, ucząc się przygotowywać *dosa* i *uttapam* południowej Indii, jak również delikatne klopsiki Kaszmiru. Stopniowo jej poparcie dla sprawy gastronomicznego pluralizmu przerodziło się w wielką pasję i podczas gdy zwolennik laicyzacji Sufjan połykał rozliczne kultury subkontynentu — „i nie udawajmy, że nieobecna jest tu kultura Zachodu; po upływie stuleci, jakże mogłaby i ona nie być częścią naszej spuścizny?” — jego żona przyrządzała, i zjadała w coraz większych ilościach, jedzenie. I kiedy tak pożerała mocno przyprawione dania Hajdarabadu i wysokokaloryczne jogurty z Lukhnau, jej ciało zaczęło się zmieniać, ponieważ całe to jedzenie musiało znaleźć gdzieś swoje miejsce, i powoli zaczęła przypominać ten łagodnie pofałdowany olbrzymi kraj, subkontynent bez granic, ponieważ jedzenie przekracza wszelkie możliwe granice.

Pan Muhammad Sufjan, jednakże, nie przybrał w ogóle na wadze: ani jednej *tola*, ani jednej *uncji*.

Jego odmowa przybierania na wadze była początkiem problemów. Kiedy czyniła mu wymówki: — Nie lubisz mojej kuchni? Dla kogo robię to wszystko i puchnę jak balon? — odpowiadał jej łagodnie, patrząc na nią z dołu (była wyższa) sponad górnej krawędzi okularów w półoprawce: — Powściągliwość jest

również częścią naszej tradycji, Begum. Jedzenie dwóch kęsów mniej niż domaga się nasze ciało: samozaparcie, droga ascetyczna. — Co za mężczyzna: ma odpowiedzi na wszystko, ale nie można sprowokować go do uczciwej walki.

Powściągliwość — to nie było coś dla Hind. Być może, gdyby Sufjan kiedykolwiek zaczął narzekać; gdyby chociaż raz powiedział, *myślałem, że żenię się z jedną kobietą, ale teraz jest Ciebie tyle, że dałoby się zrobić dwie*; gdyby tylko kiedykolwiek dał jej jakiś bodziec! — wówczas być może powstrzymałaby się, dlaczego by nie, na pewno by to zrobiła; a więc to on był winny, nie mając w sobie żadnej agresji, cóż to jest za mężczyzna, który nawet nie wie, jak lżyć swoją tłustą żonę? — W istocie było wysoce prawdopodobne, że Hind nie byłaby w stanie opanować swoich gastronomicznych szaleństw, nawet gdyby Sufjan nie zawiódł jej nadziei i poczęstował ją porcją przekleństw i błagań; jednak ponieważ tego nie zrobił, w dalszym ciągu pałaszowała swoje przysmaki, rada, że może zrzucić na męża całą winę za swój wygląd.

Prawdę powiedziawszy, skoro już raz zaczęła winić go za cokolwiek, stwierdziła, że jest jeszcze spora liczba innych spraw, które również ma mu za złe; a na dobitkę przypomniała sobie, że ma język w gębie, nic więc dziwnego, że skromne mieszkanie nauczycielskie rozbrzmiewało donośnymi dźwiękami regularnie wtórującymi Sufjanowi w czasie poprawiania wypracowań, których z powodu swojej nieśmiałości nie oddawał uczniom. A przede wszystkim dostawało mu się za jego całkowicie nienaruszalne zasady, które, Hind powiedziała mu, nigdy nie pozwolą jej zostać żoną bogatego człowieka; — no bo co można powiedzieć o człowieku, który stwierdziwszy, że bank omyłkowo wpłacił na jego konto dwie pensje w jednym miesiącu, z miejsca *zwrócił uwagę tej instytucji* na błąd i oddał gotówkę?; — jaką nadzieję można było łączyć z nauczycielem, który, nagabywany przez najbogatszych rodziców, kategorycznie odmawiał przyjęcia zwykłej przecież zapłaty za przysługę wyświadczoną przy ocenianiu arkuszy egzaminacyjnych młodych ludzi?

— Jednak wszystko to mogłabym jeszcze wybaczyć — mamrotała ponuro pod jego adresem, nie dopowiadając zdania do końca, który to koniec brzmiał *gdyby nie twoje dwa prawdziwe występki: twoje seksualne, i polityczne, zbrodnie*.

Od samego początku małżeństwa podejmowali życie seksualne nieczęsto, w całkowitej ciemności, głuchej ciszy i niemal kompletnym bezruchu. Hind nie przyszłoby do głowy kręcić się to w jedną, to w drugą stronę czy kołysać się, a ponieważ wydawało się jej, że Sufjan załatwia sprawę ograniczając ruch do absolutnego minimum, przyjmowała za pewnik — zawsze tak uważała — że oboje są jednomyślni w tej kwestii, mianowicie, że jest to nieprzyzwoita sprawa, o której nie powinno się rozmawiać ani przed, ani po, jak również na którą nie należy zwracać uwagi w trakcie. To, że dzieciom nie spieszo było na ten świat, przyjęła jako karę Bożą za On tylko wie jakie przewiny jej młodości; a winą za to, że dzieci były dziewczynkami, nie obarczała Allaha, dając pierwszeństwo cherlawemu

nasieniu wszczepionemu w nią przez jej niemieckiego małżonka, nie powstrzymała się zresztą przed wyrażeniem swojego zdania, i to z naciskiem i ku przerażeniu akuszerki, podczas urodzin małej Anahity. — Znowu dziewczynka — zasapała z odrazą. — Cóż, jeśli się weźmie pod uwagę, kto zrobił to dziecko, to powinnam być szczęśliwa, że nie urodziłam karalucha albo myszy. — Po tej drugiej córce powiedziała Sufjanowi, że już dosyć, i kazała mu wynieść się z łóżkiem do sieni. Przyjął bez dyskusji jej decyzję, że nie chce mieć więcej dzieci; ale stwierdziła wtedy, że ten rozpustnik sądzi, że od czasu do czasu może jeszcze wchodzić sobie do jej ciemnego pokoju i uprawiać ten dziwny rytuał ciszy i niemal-bezruchu, któremu przedtem poddawała się jedynie w imię reprodukcji. — Czy ty sobie myślisz — krzyczała na niego za pierwszym razem, kiedy tego spróbował — że robie tę rzecz dla *przyjemności*?

Kiedy już dotarło do jego zakutego łba, że ona mówi poważnie, więcej żadnego bara-bara, o nie, mój panie, że jest przyzwoitą kobietą, a nie szalejącą z pożądaniami rozpustnicą, zaczął późno wracać do domu. Właśnie w tym czasie — sądziła wtedy, niesłusznie, że odwiedza prostytutki — zaangażował się w politykę, i to nie żadną tam staroświecką politykę, och nie, Pan Inteligentny musiał wstąpić do samych diabłów, do Partii Komunistycznej, a to niemało jak na człowieka z takimi zasadami; demony, oto czym oni byli, o wiele gorsi od kurew. I właśnie z powodu tego babrania się w siłach nadprzyrodzonych musiała spakować się w tak krótkim czasie i wyjechać do Anglii wlokąc za sobą dwójkę maleńkich dzieci; z powodu tej ideologicznej czarnej magii musiała znosić całą tę nędzę i upokorzenie procesu imigracyjnego; to przez ten jego kult szatana utknęła na zawsze w tej Anglii i nigdy już nie zobaczy rodzinnej wioski. — Anglia — powiedziała mu pewnego razu — jest twoją zemstą za to, że nie pozwoliłam ci na te sprośności, jakie chciałeś wyczyniać z moim ciałem. — Nic na to nie odpowiedział; a milczenie jest oznaką zgody.

I co zapewniło im przeżycie w tym Wilajacie jej wygnania, tym Yuké mściwości jej opętanego seksem męża? Co? Czy Jego książkowa wiedza? Jego *Gitan-dżali*, *Eklogom*. czy tej sztuce *Otello*, która, jak wyjaśniał, naprawdę nazywała się Attallah, czy też Attaullah, po prostu autor nie mógł tego wymówić, zresztą, co to był za pisarz?

Tym czymś było: jej gotowanie. — Shaandaar — chwalono je. — Znakomite, świetne, wyśmienite. — Ludzie przyjeżdżali z całego Londynu, żeby jeść jej samosa, jej bombajski chaat, jej gulab-dżaman prosto z Raju. Co miał tam Sufjan do roboty? Przyjmować pieniądze, podawać herbatę, biegać to tu, to tam, zachowywać się jak służący, mimo całego swojego wykształcenia. O tak, oczywiście, klienci lubili go, zawsze miał miły charakter, ale kiedy prowadzi się restaurację, nie za konwersację ci płacą. Jalebis, barfi. Dziś szef kuchni poleca. Jakiego figla spletało mu życie! Ona była teraz panią.

Zwycięstwo!

A jednak prawdą było również, że ona, kucharka i żywicielka rodziny, główny konstruktor sukcesu Shaandaar Café, który pozwolił im ostatecznie wykupić cały trzypiętrowy budynek i zacząć wynajmować pokoje, — *ona* była jedyną osobą, wokół której unosił się, jak zły oddech, miazmat klęski. Sufjan w dalszym ciągu błyszczał, natomiast ona wyglądała na przygaszoną, jak żarówka z przepalonym włóknem, jak wypalona gwiazda, jak zgaszony płomień. — Dlaczego? — Dlaczego, kiedy Sufjan, pozbawiony swojego zawodu, uczniów i szacunku, skakał jak kózka i zaczął nawet przybierać na wadze, tyjąc w Tym Właśnie Londynie, tak jak nigdy nie udało mu się to tam, w domu; dlaczego, kiedy władza wymknęła mu się z rąk i przeszła w jej ręce, dlaczego wyglądała jak — według określeń męża — „smętny worek”, „stary kapeć” i „zmokła kura”? Po prostu: nie pomimo, lecz z powodu. Wszystko, cokolwiek ceniła, zostało wywrócone przez zmianę; zostało w tym procesie przeniesienia — utracone.

Jej mowa: zmuszona obecnie do wydawania z siebie tych obcych dźwięków, które szybko męczyły jej język, czyż nie miała prawa jęczeć? Jej rodzinne strony: co to ma za znaczenie, że przedtem mieszkali w Dhace, w skromnym mieszkaniu nauczycielskim, a teraz, dzięki duchowi przedsiębiorczości, oszczędnościom i wprawie w stosowaniu przypraw zajmują ten trzypiętrowy budynek stojący w szeregu domów? Gdzie jest teraz to miasto, które znała? Gdzie ta wioska jej młodości i zielone kanały jej kraju? Zwyczaję, na których zbudowała swoje życie, też gdzieś się zapodziały, a przynajmniej trudno było je odnaleźć. Nikt w tym Wilajacie nie kwapił się do celebrowania czasochłonnej wymiany uprzejmości, charakterystycznej dla życia w kraju rodzinnym, czy rozlicznych obrzędów religijnych. Ponadto: czy nie musi cierpliwie znosić męża, człowieka bez pozycji, choć wcześniej mogła się pławić w blasku jego dostojności? Czy może teraz być dumna z tego, że musi pracować na swoje utrzymanie, jego utrzymanie, natomiast przedtem mogła sobie siedzieć w domu w stosownym przepychu? — A wiedziała, jakżeby mogła nie wiedzieć, że pod jego jowialnością kryje się smutek, i to również było klęską; nigdy nie czuła się tak nie na miejscu jak teraz jako żona, co to zresztą za Pani, która nie potrafi pocieszyć swojego męża, a musi zachować pozory szczęścia i zadowolić się nimi, jak gdyby to była prawda. — A dodatkowo jeszcze: przybyli do diabelskiego miasta, gdzie wszystko mogło się przytrafić, w nocy twoje szyby wylatywały z okien bez żadnego powodu, niewidzialne ręce przewracały cię na ulicy, w sklepach padały takie obelgi, że uszy więdną, ale kiedy człowiek spojrział w kierunku słów, widać było jedynie pustą przestrzeń i uśmiechnięte twarze, a codziennie słyszało się, że ten chłopiec czy ta dziewczyna zostali pobici przez duchy. — Tak, kraj niewidzialnych skrzatów, oto jak można to wyjaśnić; najlepiej pozostać w domu, nie wychodzić nawet, aby wrzucić list, pozostać wewnątrz, zamknąć drzwi na klucz, odmówić należne modlitwy, a gobliny (być może) będą się trzymać od nich z daleka. — Przyczyny klęski? Baba, kto potrafiłby je zliczyć? Nie tylko to, że jest żoną sklepikarza i kuch-

ta, ale nawet to, że nie można polegać na swoich rodakach; — było wśród nich wielu mężczyzn, których uważała za porządnych facetów, sharif, którzy przez telefon rozwodzili się z żonami, a sami uciekali z jakąś tam haramzadi-kobietą, były wśród nich dziewczyny, które zabijano ze względu na posag (niektóre rzeczy wolno było przewieźć przez granicę bez cła); (a co najgorsze, trucizna tej diabelskiej-wyspy dostała się do krwi jej własnych dzieci, które dorastając odmówiły używania ojczystego języka, chociaż rozumiały każde słowo, a jeżeli używały, to tylko po to, żeby kogoś zranić; Miszal obcięła całkiem włosy, a następnie pomalowała na wszystkie kolory tęczy; a dzień w dzień wciąż walki, kłótnie, awantury, — najboleśniej było to, że w jej skargach nie było nic nowego pod słońcem, tak wyglądała sytuacja wszystkich kobiet do niej podobnych, a więc nie była wyjątkiem, po prostu przykładem, po prostu sobą, po prostu Hind żoną nauczyciela Sufjana; utonęła w anonimowości, w bezkształtnym tłumie, stając się tylko jedną-z-podobnych-sobie-kobiet. Była to lekcja historii: kobietom-jej-podobnym nie pozostawało nic innego, jak cierpieć, wspominać, i umrzeć.

A oto, co zrobiła: aby zanegować słabość męża, przeważnie traktowała go jak pana, jak władcę, ponieważ w jej utraconym świecie jej chwała ukryta była w jego chwale; aby zaprzeczyć, że na zewnątrz kawiarni istnieją duchy, pozostawała cały czas wewnątrz, wysyłając innych po zakupy prąwiantu i rzeczy niezbędnych w gospodarstwie, a również po nie kończącą się dostawę wideo-filmów w języku bengalskim i hindi, dzięki którym (jak również dzięki jej stale-powiększającemu-się zbiorowi hinduskich czasopism filmowych) mogła pozostawać w kontakcie z wydarzeniami w „prawdziwym świecie”, takimi jak dziwaczne zniknięcie niezrównoważonego Gibrila Fariszty, a następnie tragiczny komunikat o jego śmierci w katastrofie lotniczej; i aby dać ujście swoim uczuciom pokonanej, wyczerpanej rozpaczy, krzyczała na swoje córki. Starsza, odpłacając pięknym za nadobne, obcięła sobie włosy i pozwoliła, by jej sutki przebijały się przez prowokacyjnie obcisłe koszulki.

Zjawienie się w pełni rozwiniętego diabła, rogatego kozła-człowieka było, w świetle powyższego, czymś w rodzaju przepełniającej, a w każdym razie na pewno dopełniającej kielich kropli.

* * *

Mieszkańcy Shaandaaru zebrali się w nocnej kuchni na zaimprovizowanej kryzysowej konferencji na szczycie. Kiedy tak Hind miotła przekleństwami w zupę z kurczaka, Sufjan umieścił Czamcę przy stole, podsuwając mu najpierw aluminiowe krzesło z niebieskim plastikowym siedzeniem, i rozpoczął nocne ob-

rady. Z przyjemnością donoszę, że nauczyciel na wygnaniu, mówiący swoim najlepszym dydaktycznym głosem, cytował teorie Lamarcka. Kiedy Jumpy skończył szczegółowo opowiadać niemiłą historię Czamczowego upadku z nieba — sam bohater był zbyt pochłonięty jedzeniem zupy z kurczaka i swoim cierpieniem, by móc mówić — Sufjan, cmokając, nawiązał do ostatniego wydania „O powstawaniu gatunków”. — W którym nawet wielki Karol przyjął ideę mutacji in extremis, która miałyby zapewnić przetrwanie gatunków; a więc cóż z tego, że zwolennicy jego teorii — zawsze bardziej darwinowscy niż on sam! — odrzucili po śmierci uczonego tę lamarksowską herezję, podkreślając znaczenie doboru naturalnego i niczego innego poza tym — jednak, jestem zmuszony przyznać, taka teoria nie obejmuje pojedynczych osobników, lecz jedynie gatunek jako całość — a dodatkowo odnośnie istoty niutacji, rzecz w tym, aby zrozumieć rzeczywistą przydatność takiej zmiany.

— Ta-ta — Anahita Sufjan przerwała te rozmyślenia, wzniosła oczy ku niebu podpierając się dłonią. — Przestań. Chodzi o to, w jaki sposób on mógł przemienić się w takiego, takiego — z podziwem w głosie — potwora.

Na co diabeł we własnej osobie oderwał wzrok od rosołu z kurczaka i wrzasnął. — Nie, nie jestem. Nie jestem potworem o nie, z całą pewnością nie jestem. — Wydawało się, że jego głos wydobywa się z niezmierzonej otchłani żalu i wzruszył on i zaniepokoił młodszą dziewczynę, która podbiegła do niego i spontanicznie głaszcząc nieszczęśliwą bestię po ramieniu, powiedziała chcąc naprawić szkodę: — Oczywiście, że nie jesteś, przepraszam oczywiście, nie sędzę, żebyś był potworem; ale po prostu wyglądasz jak potwór.

Saladyn Czamcza wybuchnął płaczem.

W tym czasie pani Sufjan, przerażona zachowaniem młodszej córki, która przecież naprawdę dotknęła tego stwora, zwróciła się do galerii mieszkańców w nocnych koszulach, machnęła w ich stronę chochlą, starając się uzyskać z tej strony poparcie. — To nie do zniesienia. — Honor, bezpieczeństwo młodych dziewcząt są w niebezpieczeństwie. — Że też w moim własnym domu, taka rzecz...!

Miszał Sufjan straciła cierpliwość.

— Jezu, Mamo.

— *Jezu?*

Myślicie, że to tylko tymczasowe? Miszał obróciła się tyłem do zgorzzonej Hind, kierując pytanie do Sufjana i Jumpy'ego. — Jakiś rodzaj tego tam opętania, — może moglibyśmy wicie poddać go *egzorcyzmom*? — Wróżby, znaki, światła, wampiry, koszmary z Elm Street, wszystko to pojawiło się w podnieconych oczach dziewczyny, wydawało się, że jej ojciec, taki sam pasjonat filmów wideo jak każdy nastolatek, jest gotów rozważyć tę możliwość poważnie. — W „Der Steppenwolf” — zaczął, lecz Jumpy miał już dosyć tych głupstw. — Zasadniczą sprawą — powiedział — jest ideologiczne spojrzenie na sytuację.

Uciszyło to wszystkich.

— Obiektywnie rzecz biorąc — powiedział z lekkim samokrytycznym uśmiechem — co się tu wydarzyło? Po pierwsze: Bezprawne aresztowanie, zastraszenie, użycie siły. Po drugie: Nielegalne przetrzymywanie, bliżej nieokreślone eksperymenty medyczne w szpitalu, — tu dało się słyszeć potakujące głosy, w miarę jak wszyscy obecni wrócili pamięcią do wspomnień o badaniach ginekologicznych, skandalach Depo-Provera, nielegalnych sterylizacjach przeprowadzanych tuż po porodzie oraz, jeszcze wcześniejszych, wiadomościach o zarzucaniu Trzeciego Świata bezwartościowymi lekarstwami, wszystko dodało wagi oskarżeniom mówiącego, — ponieważ to, w co wierzysz, zależy od tego, co widziałeś — nie tylko od tego, co jest widzialne, ale od tego, czemu jesteś gotów spojrzeć prosto w oczy — zresztą coś musiało uzasadnić obecność tych rogów i kopyt; a na tych policyjnych oddziałach medycznych wszystko jest możliwe. — A po trzecie — ciągnął Jumpy — załamanie psychiczne, utrata poczucia własnego ja, niezdolność radzenia sobie w różnych sytuacjach. Wszystko to już widzieliśmy.

Nikt tego nie kwestionował, nawet Hind; są pewne prawdy, z którymi trudno jest się nie zgodzić. — Ideologicznie rzecz biorąc — powiedział Jumpy — nie zgadzam się z przyjęciem postawy biernej ofiary. Z całą pewnością *uczyniono* z niego ofiarę, ale wiemy, że za każde nadużycie władzy są po części odpowiedzialne same ofiary; nasza bierność współdziała z takimi zbrodniami, dopuszcza do nich. — Nakrzyczawszy na zebranych, co przyjęli z wstydliwą uległością, zażądał od Sufjana, aby ten udostępnił mały pokój na poddaszu, który akurat był wolny, a Sufjan, z kolei, zrozumiał, że poczucie solidarności i winy nie pozwala mu zażądać chociażby jednego pensa opłaty. Hind, co prawda półgłosem, wymamrotała: — Teraz, kiedy diabeł jest gościem w moim domu, wiem, że świat zwariował — ale powiedziała to tak cicho, że nikt z wyjątkiem jej starszej córki Miszal nie słyszał tej wypowiedzi.

Idąc za przykładem swojej młodszej córki, Sufjan podszedł do Czamczy, owiniętego w koc i pijącego olbrzymie ilości niezrównanego Hindowego rosołu, przykucnął i otoczył ramieniem wciąż-trzęsącego-się nieszczęśnika. — Najlepsze miejsce dla ciebie jest tutaj — powiedział, jakby zwracał się do prostaka czy małego dziecka. — Gdzie jeszcze mógłbyś leczyć swoje zeszpecenie i wracać do zdrowia? Gdzie jak nie tutaj, z nami, pośród swoich rodaków?

Dopiero kiedy Saladyn Czamcza został sam w pokoju na poddaszu, dosłownie resztką sił odpowiedział na retoryczne pytanie Sufjana. — Nie jestem taki jak wy — rzucił wyraźnie w noc. — Nie jesteście moimi rodakami. Pół życia spędziłem usiłując od was uciec.

* * *

Jego serce zaczęło brykać, kopać i potykać się, jak gdyby i ono chciało przyjąć jakąś nową diaboliczną formę, zastąpić stary metronomiczny rytm absolutną nieprzewidywalnością tabla improwizacji. Kiedy tak leżał na wąskim łóżku i, nie mogąc zasnąć, rzucał się i przewracał, raz po raz dziobiąc rogami w prześcieradła i poduszki, nagle poczuł nawrót wieńcowych dziwactw, które przyjął z fatalistyczną rezygnacją: jeżeli spotkały go już wszystkie inne nieszczęścia, wobec tego, dlaczego i nie to? Badumbum, uderzyło serce i szarpnęło tułowiem. *Uważaj, bo tym razem naprawdę zrobisz ci psikusy. Dum. Bumbadum.* Tak: to jest Piekło, bez żartów. Miasto Londyn, przemienione w Dżahannam, Gehennę, Muspellheim.

Czy diabły cierpią w Piekło? Czyż to nie ci z widłami?

Przez okno dymnika zaczęła miarowo kapać woda. Tam na zewnątrz, do tego zdradzieckiego miasta przysła odwilż, nadając nawierzchniom niepewną konsystencję mokrej tektury. Powolne masy bieli ześlizgiwały się z pochyłych dachów pokrytych szarą dachówką. Ślady samochodów dostawczych odciskały się karbami w na wpół stajałym śniegu. Pierwszy świt; i rozpoczął się poranny chór, terkot świdrów przy robotach drogowych, ćwierkanie alarmów przeciwwłamaniowych, ryk istot na kółkach zderzających się na skrzyżowaniach, głęboki warkot oliwkowozielonego zjadacza śmieci, wrzaskliwe odgłosy radia, dobiegające z drewnianego pomostu dla malarzy, przytulonego do wyższego piętra Piwiarni, ryk budzących się do życia olbrzymów drogowych pędzących z przeraźliwą prędkością tą długą wąską uliczką. Spod ziemi dochodziły drgania oznaczające przejście ogromnych dżdżownic, które wchłaniały i wypluwały ludzi, a z nieba dobiegało bębnienie helikopterów i wycie jeszcze wyżej lecących lśniących ptaków.

Wstało słońce, rozpakowując miasto, jak gdyby było ono prezentem. Saladyn Czamcza spał.

Nie dawało mu to jednak żadnej ulgi: wręcz odwrotnie, przeniosło na ulicę z poprzedniej nocy, którą to ulicą uciekał wtedy w towarzystwie fizjoterapeutki Hiacynty Philips, ku swojemu przeznaczeniu klip-klop, na niepewnych kopytach; i przypomniało mu, w miarę jak miejsce niewoli pozostawało coraz bardziej z tyłu, a miasto przybliżało się, że twarz i ciało Hiacynty zaczęły się jakby zmieniać. Zobaczył, jak między jej środkowymi górnymi siekaczami pojawiła się i zaczęła rozszerzać przerwa, że jej włosy powiązały się i zaplotły w meduzy i że dziwny trójkąt jej profilu, który spadał od czoła do koniuszka nosa, obrócił się wokół osi i teraz siedł do wewnątrz, ku szyi. W żółtym świetle zobaczył, że jej skóra ciemnieje z każdą minutą, zęby uwydatniają się coraz bardziej, a ciało swoją długością zaczyna przypominać patykowate postacie z rysunków dzieci. Jednocześnie rzu-

cała mu spojrzenia coraz bardziej lubieżne i pochwyciła jego rękę w palce tak kościste i tak mocno go trzymające, że odniósł wrażenie, że to szkielet złapał go i usiłuje wciągnąć ze sobą do grobu; czuł zapach świeżo skopanej ziemi, jej zbyt intensywną woń, w jej oddechu, na jej wargach... ogarnęło go obrzydzenie. Jak w ogóle mogła kiedykolwiek wydać mu się atrakcyjną, jak mógł jej kiedykolwiek pożądać, posuwając się nawet do tego, że wyobrażał sobie, kiedy tak siedziała na nim okrakiem i uderzeniami wyduszała flegmę z jego płuc, że są kochankami miotającymi się w ferworze seksualnych zapasów?... Miasto gęstniało wokół nich jak puszcza; budynki oplatały się wokół siebie i stawały się tak splątane jak jej włosy. — Żadne światło nie przedostanie się tutaj — szeptała do niego. — Jest ciemno; wszędzie ciemno. — Uczyniła ruch jak gdyby chciała się położyć i przyciągnąć go do siebie, do ziemi, lecz on krzyknął — szybko, kościół — i rzucił się do wnętrza niezbyt przyjemnego pudełkowatego budynku, mając nadzieję znaleźć w nim prawdziwe sanktuarium, w pełnym tego słowa znaczeniu. Wewnątrz jednak ławki wypełnione były Hiacyntami, młodymi i starymi, Hiacyntami mającymi na sobie niezgrabne spodniemy, sztuczne perły i małe okrągłe-sztywne czepeczki przybrane kawałkami gazy, Hiacyntami w narzuconych dziewiczo białych koszulach, wszelkimi możliwymi do wyobrażenia formami Hiacynty, a wszystkie one śpiewały głośno *Umocnij mnie, Jezu*; a kiedy zobaczyły Czamczę, porzuciły nabożne pienia i zaczęły obrzucać go przekleństwami w bynajmniej nie nabożnym stylu, *Szatan, Kozioł, Kozioł* i tym podobne. Stało się oczywiste, że ta sama Hiacynta, z którą wszedł do środka, patrzyła teraz na niego zupełnie innymi oczyma, spoglądała na niego tak, jak on na nią przed chwilą na ulicy; że ona również zaczynała dostrzegać coś, co przyprawiało ją o mdłości; i kiedy zobaczył obrzydzenie na tej niewyraźnej twarzy o szkaradnie ostrych rysach, po prostu machnął na wszystko ręką „*Hubszi*” przeklął je w tym kościele, z niewiadomego powodu przechodząc na zarzucony język ojczysty. Intrygantki i dzikuski, wrzeszczały na nie. — Żal mi was — oświadczył. — Każdego ranka musicie oglądać siebie w lustrze i widziacie, że patrzy na was coś ciemnego: skaza, dowód, że jesteście najpodlejszymi z podłych. Otoczył go wówczas ten pobożny tłum Hiacynt, jego własna gdzieś zniknęła pośród innych, nie do odróżnienia, już nie odrębna osoba, ale kobieta-taka-sama-jak-pozostałe i zaczęło go przeraźliwie bić, beczał przy tym żałośnie i biegał w koło, próbując się wydostać; a w końcu zorientował się, że strach tych, które napadły na niego, jest o wiele większy od ich gniewu, wyprostował się więc, rozpostarł ramiona i wrzasnął na nie, wydając przeraźliwe czarcie odgłosy, aż te rozbiegły się, szukając schronienia wśród ławek, natomiast on cały pokrwawiony, ale z podniesionym czołem, dumnym krokiem opuścił pole bitwy.

Marzenia senne kształtują rzeczywistość na swój sposób; ale Czamcza, budząc się na krótko pod wpływem nowej serii synkopowania, w którą ponownie skoczył sobie jego puls, z goryczą zdał sobie sprawę, że ten koszmar senny nie był aż tak odległy od prawdy; przynajmniej atmosfera była identyczna. — Chyba pozbyłem

się wreszcie Hiacynty, pomyślał i ponownie zniknął. — Po to tylko, żeby znaleźć się, cały roztrzęsiony, w sieni własnego domu, podczas gdy na piętrze Jumpy Joshi spierał się gwałtownie z Pamelą. *Z moją żoną.*

I kiedy Pamela-z-marzeń-senny, jak echo powtarzając wszystkie słowa tej prawdziwej Pameli, wyparła się swojego męża sto i jeden razy, *on nie istnieje, takich rzeczy nie ma*, to właśnie ten prawy Jamshed odsunął na bok miłość i pożądanie i przyszedł z pomocą. Pozostawiając za sobą płaczącą Pamelę — *Tylko się nie waź przyprowadzić mi tego z powrotem* krzyknęła z najwyższego piętra — z jaskini Saladyna — Jumpy, nałożywszy baranią skórę na Czamczę i owinąwszy go kocem, zaprowadził osłabionego przez ciemne ulice do Shaandaar Café, obiecując z gołosłowną dobroduszością: — Będzie dobrze. Zobaczysz. Będzie dobrze.

Kiedy Saladyn Czamcza obudził się, wspomnienie tych słów napełniło go gniewem i goryczą. Gdzie jest Fariszta, zastanawiał się. Ten skurwiel: założę się, że świetnie mu idzie. — Do tej myśli wciąż później wracał, i to ze zdumiewającym rezultatem; teraz jednak miał inne zmartwienie.

Jestem wcieleniem zła, myślał. Musiał przyjąć to za fakt. Bez względu na to, jak to się stało, nie można temu zaprzeczyć. Nie jestem *już sobą*, i nie tylko to. Jestem uosobieniem zła, tego-czego-nienawidzimy, grzechu.

Dlaczego? Dlaczego ja?

Jakież to zło wyrządził — jaką to podłość mógł popełnić czy też popełnił?

Za co — nie mógł o to nie zapytać — za co był karany? A jeżeli już, *to przez kogo?* (Tu ugryzłem się w język).

Czyż nie dążył do osiągnięcia własnej idei *dobra*, czy nie starał się stać tym, co najbardziej podziwiał, czy nie poświęcił się z zapalem woli, graniczącym z obsesją, konkwiście angielskości. Czy nie pracował ciężko, czy nie unikał kłopotów, czy nie dokładał starań, żeby stać się kimś nowym? Pracowitość, wytrwałość, wymagania, umiarkowanie, panowanie nad sobą, niezależność, uczciwość, życie rodzinne: do czego się to wszystko sprowadzało, jeśli nie do kodeksu moralnego? Czy było jego winą, że nie miał dzieci z Pamelą? Czy był odpowiedzialny za swój kod genetyczny? A może, w tych zwariowanych czasach, stawał się ofiarą — *fatum*, taką nazwę uzgodnił z samym sobą dla prześladowających go sił — właśnie z *powodu* dążeń ku temu „dobru”? — Może obecnie takie dążenia są uważane za przewrotne, nawet moralnie złe? — W takim razie jakżeż okrutne było to *fatum*, skoro doprowadziło do odrzucenia go przez ten właśnie świat, o który tak zdecydowanie zabiegał; jak smutne było przepędzenie go spod bram miasta, które, jak mu się wydawało, przekroczył dawno temu! — Cóż to za nikczemna małostkowość, odesłać go na łono *własnego narodu*, który od tak dawna był mu tak obcy! — Nagle pojawiły się wspomnienia o Zini Wakil i nerwowo, z poczuciem winy, znowu je zdławił.

Jego serce łomotało gwałtownie, usiadł, zgiął się wpół, z trudem łapał oddech.

Uspokój się, bo inaczej to koniec. Nie miejsce tu na takie stresujące dywagacje: już wystarczy. Odetchnął głęboko; położył się na plecach; odsunął wszelkie myśli. Ten zdrajca w jego klatce piersiowej podjął normalną pracę.

Dosyć już tego, powiedział sobie Saladyn Czamcza stanowczo. Dosyć już tego traktowania siebie samego jako uosobienia zła. Pozory mylą; okładka wcale nie jest najlepszą reklamą dla książki. Diabeł, Koziół, Szejtan? To nie ja.

Nie ja: kto inny.

Kto?

* * *

Miszal i Anahita pojawiły się ze śniadaniem na tacy i z podnieceniem na twarzach. Czamcza pochłaniał płatki kukurydziane i neskę, a w tym czasie dziewczyny, po kilku chwilach początkowego onieśmienia, zaczęły trajkotać do niego jedna przez drugą. — Wiesz, narobiłeś tutaj szumu, jak babcię kocham. — W nocy nie zwiąłeś ani nie zmieniłeś się z powrotem, ani nic takiego, prawda? — Słuchaj, to nie żadna sztuczka, prawda? No, wiesz, chcę powiedzieć, że nie przebrałeś się, nie pomalowałeś sobie twarzy — jak w teatrze? — Wiesz, Jumpy powiedział, że jesteś aktorem i tak sobie tylko myślałam, mam na myśli — i tu młoda Anahita zamilkła, ponieważ Czamcza, plując płatkami kukurydzianymi, zawył ze złością: — Przebrałeś się? Jak w teatrze? *Sztuczka!*

— Bez urazy — powiedziała z niepokojem Miszal w imieniu siostry. — Po prostu myślałyśmy, wiesz co mam na myśli, i byłoby okropne, gdybyś nie był, ale jesteś, oczywiście jesteś, a więc wszystko w porządku — skończyła pospiesznie, ponieważ Czamcza znowu patrzył na nią z furią. — Chodzi o to, że — podjęła Anahita, a następnie, zająknąwszy się: — Chcę powiedzieć, wiesz, że myślę sobie, że to wspaniałe. — Wiesz, ona chce powiedzieć — poprawiła Miszal. — Uważamy, że jesteś, no wiesz. — Kapitalny — powiedziała Anahita i oślepiła zdezorientowanego Czamczę uśmiechem. — *Zaczarowany. Wiesz. Total.*

— Nie spałyśmy całą noc — powiedziała Miszal. — Wpadłyśmy na pomysł. — Pomyślałyśmy sobie — Anahita aż zadrżała na myśl o tym — że skoro zamieniłeś się w, — no, w to, czym jesteś — wobec tego może, cóż, może, naprawdę, nawet jeżeli sam tego jeszcze nie wypróbowałeś, jest możliwe, że mógłbyś... — A starsza dziewczyna dokończyła myśl: — Że mógłbyś rozwinąć w sobie — no wiesz — *moce.*

— W każdym razie, myślałyśmy — dodała słabym głosem Anahita, widząc chmury zbierające się na czole Czamczy. I cofając się w stronę drzwi, dodała: — Ale być może nie mamy racji. — Taa. Dobrze już, myliłyśmy się. Smacznego.

— Miszal, zanim uciekła, z kieszeni swojej grubej kurtki w czerwono-czarną-kratę wyjęła małą buteleczkę pełną zielonego płynu, postawiła ją na podłodze przy drzwiach i na pożegnanie wypaliła: — O, przepraszam, ale Mama mówi, że możesz tego używać, to jest płyn do płukania ust, na ten twój przykry zapach.

* * *

Uwielbienie, które Miszal i Anahita okazywały jego zeszcpeceniu, którego on sam nienawidził z całego serca, przekonało go, że „jego naród” jest tak zwario-
wanie-przewrotny, jak to od dawna przypuszczał. To, że obydwie dziewczyny zareagowały na jego rozgoryczenie wyrażając swoje współczucie — kiedy, drugiego ranka spędzonego na poddaszu przyniosły mu masala dosę zamiast paczki płatków ze srebrnymi figurkami kosmonautów, i kiedy wykrzyknął, bez cienia wdzięczności: — I co, mam teraz jeść to obrzydliwe obce jedzenie? — a więc, kiedy to zrobiły, jedynie pogorszyły sytuację. Obrzydliwe paskudztwo — zgodziła się Miszal. — Nawet bez przypraw. Pieprzone życie. — Świadom tego, że uraził ich gościnność, próbował wyjaśnić, że uważa się obecnie, hmm, za Brytyjczyka... — No, a my? — chciała wiedzieć Anahita. — Kim jesteśmy, jak sądzisz? — A Miszal zwierzyła się: — Bangladesz nic dla mnie nie znaczy. Po prostu jakieś miejsce, o którym tata i mama wciąż nawijają. — A Anahita, stawiając kropkę nad i powiedziała: — Banglawesz! — kiwając z zadowoleniem głową. — Przynajmniej ja to tak nazywam.

Ależ one nie są Brytyjkami, chciał im powiedzieć, że nie, że *naprawdę* w pełni nie spełniają żadnego z kryteriów. A jednak stare prawdy opuszczały go wraz z jego starym stylem życia... — Gdzie jest telefon? — zapytał. — Muszę zadzwonić.

Był w hallu; Anahita, rujnując swoje oszczędności, pożyczyła mu mone-
ty. Z głową zawiniętą w pożyczony turban, a ciałem ukrytym w pożyczonych spodniach (Jumpy’ego) i butach Miszal Czamcza wykręcił numer przeszłości.

— Czamcza — powiedział głos Mimi Mamouliau. — Ty nie żyjesz.

To stało się pod jego nieobecność: Mimi straciła przytomność i zęby. — A właściwie to ludzie okazali dużą przytomność umysłu — powiedziała mu, mówiąc bardziej szorstko niż zazwyczaj ze względu na uszkodzoną szczękę. — Dlaczego tak się stało? Nie pytaj. Co za sens pytać o powód w tych czasach? Jaki jest twój numer? — dodała, kiedy ucichł sygnał. — Zaraz do ciebie zadzwonię. Ale upłynęło całe pięć minut, zanim to zrobiła. — Poszłam zrobić siusiu. Czy mógłbyś wyjaśnić, dlaczego jeszcze żyjesz? Dlaczego wody rozstały się przed tobą i tym drugim facetem, a zamknęły się nad resztą? Nie mów mi tylko, że bar-

dziej sobie na to zasłużyłeś. Ludzie nie pójdą na takie plewy w obecnych czasach, nawet a twoim przypadku, Czamcza. Szłam sobie wzdłuż Oxford Street szukając butów z krokodylej skóry, kiedy to się stało: straciłam przytomność nagle, w pół kroku i przewróciłam się jak podcięte drzewo, wylądowałam na brodzie i wszystkie zęby mi powypadały na chodnik tuż przed facetem, który szukał-sobie-panienki. Ludzie potrafią być bardzo troskliwi, Czamcza. Kiedy doszłam do siebie, znalazłam swoje zęby ułożone w kupce tuż obok twarzy. Otworzyłam oczy i zobaczyłam, że te małe skurwiele gapią się na mnie, miłe to, no nie? Pierwszą rzeczą, o której pomyślałam, było, dzięki Bogu, mam pieniądze. Dałam je sobie wstawić z powrotem, prywatnie oczywiście, świetna robota, jest lepiej niż było. A więc od jakiegoś czasu odpoczywam sobie. Nasza działka w radiu nie wygląda najlepiej, jakby zresztą mogła, biorąc pod uwagę fakt, że ty sobie umierasz, a ja tracę zęby, po prostu nie mamy za grosz poczucia odpowiedzialności. Poziom się obniżył, Czamcza. Włącz telewizor, posłuchaj radia i usłyszysz, jak kiepskie są obecnie reklamówki pizzy, reklamy piwa wypowiedane z niemnieckim akcentem ludzi z agencji doboru obsady, Marsjanie zajadają się purée ziemniaczanym w proszku, z głosem istot, które spadły z księżyca. Wylali nas z programu „Obcy z kosmosu”. Wracaj do zdrowia. Nawiasem mówiąc, mógłbyś życzyć mi tego samego.

A więc oprócz żony, domu, kontroli nad swoim życiem, stracił jeszcze pracę. — Mam problemy nie tylko ze spółgłóskami zębowymi — ciągnęła dalej Mimi. — Strasznie się boję w czasie programu tych pieprzonych głosek zwartowymbuchowych. Myślę sobie, że kiedyś znowu rozsieję te swoje stare kości po ulicy. Podeszły wiek, Czamcza: składa się tylko z upokorzeń. Rodzisz się, potem cię objijają i siniaczą na całym ciele, w końcu wysiadasz i łopata zgarniają cię do urny. W każdym razie, nie mam nic przeciwko temu, żeby nie pracować. Czy wiesz, że teraz kręcę z Billym Battutą? Oczywiście, skąd miałbyś wiedzieć, przecież pływałeś. Taa, zrezygnowałam z czekania na ciebie i padłam w ramiona jednego z twoich rodaków. Możesz uważać to za komplement. Teraz muszę już pędzić. Miło było rozmawiać z umarłym, Czamcza. Następnym razem skacz z niższej trampoliny. Pa.

Z natury jestem introwertykiem, powiedział cicho do głuchej już słuchawki. Walczyłem, na swój sposób, aby znaleźć drogę do zrozumienia rzeczy wyższych, do chociażby odrobiny piękna. Kiedy miałem dobre dni, czułem, że było to w zasięgu ręki, tuż, tuż, gdzieś we mnie, gdzieś wewnątrz. Ale wciąż łudziło mnie. Uwikłałem się w rzeczy, w świat i jego bałagan i nie potrafię oprzeć się temu. Znalazłem się w niewoli groteski, tak jak uprzednio byłem w niewoli codzienności. Morze wypłuło mnie z głębin w górę; życie na lądzie wciąga w dół.

Zjeżdżał po jakiejś szarej pochyłości, czarna woda chlupotała mu w sercu. Dłaczego powtórne narodziny, ta druga szansa dana Gibrilowi Fariszcie i jemu samemu, były tak bardzo podobne, w jego przypadku, do bezustannego końca?

Rodząc się na nowo, otrzymał wiedzę o śmierci; i nieuchronność zmian, rzeczy-zawsze-innych, dróg-bez-powrotu zatrwożyła go. Kiedy tracisz swoją przeszłość, stajesz zupełnie nagi przed pogardliwym Azrailem, aniołem-śmierci. Trzymaj się, jeżeli możesz, powiedział do siebie. Trzymaj się kurczowo swoich dni wczorajszych. Pozostaw po sobie ślady paznokci na tym szarym zboczcu, po którym się ześlizgujesz.

Billy Battuta: ta bezwartościowa kupa gówna. Pakistański playboy zmienił zwykle biuro podróży — *Battuta's Travels* — we flotę supertankowców. Oszust, znany głównie ze swoich romansów z czołowymi gwiazdami hinduskich filmów, i według plotek, ze szczególnego upodobania do białych kobiet o wydatnym biuście i takim samym zadku, z którymi „źle się obchodził”, jak brzmiało eufemistyczne określenie, i które „sowicie wynagradzał”. Na co był Mimi potrzebny zły Billy, jego akcesoria seksualne i jego maserati biturbo? Dla chłopców pokroju Battuty białe kobiety — nieważne, czy grube, czy Żydówki, nie-łatwe białe kobiety — są po to, by je pieprzyć i porzucać. To, czego nienawidzi się u białych — zamięłowanie do kolorowych panienek — zasługuje również na nienawiść, kiedy analogicznie pojawia się u czarnych. Fanatyzm niekoniecznie musi być pochodną siły.

Mimi zadzwoniła następnego wieczora z Nowego Jorku. Anahita zawołała go do telefonu, imitując jak tylko umiała najlepiej tych cholernych Jankesów. Szybko zaczął się ubierać. Zanim dotarł do telefonu, zdążyła już odłożyć słuchawkę, ale za chwilę zadzwoniła ponownie. — Nikt nie będzie płacił transatlantyckich sum za czekanie na linii. — Mimi — powiedział z wyraźną rozpaczą w głosie — nic mi nie mówiłaś o tym, że wyjeżdżasz. — A ty nawet nie podałaś mi tego cholernego adresu — odparła. — Tak więc każde z nas ma swoje tajemnice. — Chciał jej powiedzieć, Mimi, wracaj do domu, zostaniesz sponiewierana. — Przedstawiłam go rodzinie — powiedziała nazbyt ironicznie. — Możesz sobie wyobrazić. Jasir Arafat spotyka się z państwem Begin. Mniejsza o to. Przeżyjemy. — Chciał jej powiedzieć, jesteś wszystkim, co mi pozostało. Zdołał ją tylko wkurwić. — Chciałem ostrzec cię przed Billym — tylko tyle powiedział.

Jej głos stał się lodowaty. — Słuchaj, Czamcza. Kiedyś porozmawiam o tym z tobą, bo chociaż pieprzysz, trochę ci na mnie zależy. Zrozum więc, proszę, że jestem inteligentną kobietą. Czytałam „Finnegans Wake” i posiadam gruntowną znajomość post-modernistycznej krytyki Zachodu, na przykład tej, która twierdzi, że my tutaj jesteśmy społeczeństwem, które stać tylko na pastisz: „spłaszczony świat”. Kiedy staję się głosem butelki z płynem do kąpieli, wchodzę do Płasklandii świadomie, rozumiejąc, co robię i dlaczego. To jest tłukę szmal. I jako inteligentna kobieta, która potrafi mówić przez piętnaście minut na temat stoicyzmu i dłużej na temat japońskiego kina, oświadczam ci, Czamczo, że w pełni jestem świadoma repertuaru Billy boya. Nie rób mi wykładów o wyzysku. Mieliśmy prawdziwy wyzysk, kiedy ty, przepraszam, wy, biegaliście w skórach. Spróbuj

raz być narodowości żydowskiej, kobietą i może na dodatek brzydulą. Będiesz wtedy błagał, żebyś mógł stać się czarny. Przepraszam cię za tę chińszczyznę: brązowy.

— Przyznajesz wobec tego, że on cię wykorzystuje — wtrącił Czamcza, ale potok mowy porwał go z sobą. — Co to, kurwa, zmienia? — powiedziała jak Ćwierkający Placek z reklamówki. — Billy jest zabawnym chłopcem, naturalnym naciągaczem, artystą, jednym z największych. Kto wie, jak długo to potrwa? Podam ci kilka pojęć, do których ja nie przywiązuję wagi: patriotyzm, Bóg i miłość. Zdecydowanie nie są potrzebne w czasie podróży. Lubię Billy'ego, ponieważ zna życie.

— Mimi — powiedział — coś mi się przydarzyło — ale ona wciąż go przekrzykiwała i uszło to jej uwagi. Odłożył słuchawkę, nie podając jej swojego adresu.

Zadzwoiła do niego jeszcze raz, kilka tygodni później i teraz trzymali się już niewypowiedzianych zasad ustalonych w poprzednich rozmowach; ona nie prosiła o jego adres, on go nie podał, było oczywiste dla obojga, że skończyła się pewna epoka, że oddalili się od siebie i przyszedł czas, by sobie pomachać na do widzenia. Mimi wciąż mówiła o Billym: jego planach kręcenia hinduskich filmów w Anglii i Ameryce, importowania takich gwiazd, jak Vinod Khanna, Sri-devi, robieniu z szumem zdjęć przed ratuszem w Bradford i na tle Golden Gate — Oczywiście jest to pewien sposób na obejście podatków — śpiewała Mimi radośnie. W rzeczy samej. Billy'emu palił się grunt pod nogami; Czamcza dostrzegł wcześniej jego nazwisko w gazetach, w sąsiedztwie określeń *brygada śledcza d/s oszustw i uchylania się od podatków*, ale skoro już raz ktoś był naciągaczem, zawsze nim zostanie, powiedziała Mimi. — Więc on mnie pyta, czy chcesz futro z norek? Mówię, Billy, nie kupuj mi rzeczy, ale on na to, kto tu mówi o kupowaniu? Weź sobie futro. To business. — Byli znowu w Nowym Jorku i Billy wynajął mercedesa-limuzynę z naciąganym dachem i „naciąganym szoferem”. Kiedy przyjechali do sklepu z futrami, wyglądali jak szejki, właściciel pól naftowych, i jego dupeczka. Mimi zaczęła przymierzać pięciocyfrowe modele czekając na zagrywkę Billy'ego. W końcu ten powiedział, Podoba ci się to? Ładne. Billy, wyszeptła, to *czterdzieści tysięcy*, ale on już gładko przekonywał sprzedawcę: było piątkowe popołudnie, banki już zamknięte, czy wobec tego przyjmą czek. — Cóż, obsługa sklepu *wiedziała już* teraz, że jest on szejkiem naftowym, powiedzieli więc tak, wychodzimy z futrem, a on prowadzi mnie do drugiego sklepu, tuż za rogiem, i mówi, przed chwilą kupiłem to za czterdzieści tysięcy dolarów, oto rachunek, czy możecie dać mi trzydzieści, potrzebuję gotówki, mam przed sobą upojny weekend. — Mimi i Billy'ego poproszono, by poczekali, a w tym czasie pracownicy drugiego sklepu zadzwonili do pierwszego, gdzie w mózgu kierownika zadźwięczał system alarmowy, a po pięciu minutach przyjechała policja, aresztowała Billy'ego za puszczenie w obieg czeku bez pokrycia, i on i Mimi spędzili

weekend w więzieniu. W poniedziałek rano otwarto bank i okazało się, że konto Billy'ego ma saldo dodatnie na sumę czterdziestu dwóch tysięcy stu siedemnastu dolarów, a więc czek miał pokrycie. Poinformował sklep futrzarski o swoim zamiarze zaskarżenia ich do sądu o odszkodowanie w wysokości dwóch milionów dolarów za zniesławienie, błyskawiczna rozprawa, i w ciągu czterdziestu ośmiu godzin załatwili sprawę polubownie za 250.000 dolarów płatnych od ręki. — Jak tu go nie lubić? — zapytała Mimi Czamczę. — Ten chłopak jest geniuszem. Chcę powiedzieć, że to było zrobione z *klasą*.

Jestem człowiekiem, pomyślał sobie Czamcza, który nie zna życia, żyjąc w amoralnym świecie, w którym ważne jest, aby przetrwać i mieć-farta. Miszal i Anahita Sufjan, które wciąż z niezrozumiałych powodów traktowały go jako pokrewną-duszę mimo jego prób przekonania ich, że są w błędzie, były istotami najwyraźniej pełnymi podziwu dla takich stworów jak osoby wyłudzające zasiłek dla bezrobotnych, złodzieje sklepowi, drobne złodziejaszki: dla mistrzów nieuczciwości ogólnie rzecz biorąc. Poprawił się: nie, nie podziwu, to nie o to chodziło. Żadna z dziewczyn nie ukradłaby nawet szpilki. Ale uważały takie osoby za przedstawicieli prawdziwego świata. Chcąc przeprowadzić doświadczenie, opowiedział im historię Billy'ego Battuty i futra z norek. Oczy im błyszczały, a pod koniec biły brawo i chichotały z uciechy: niegodziwość nie ukarana wywoływała śmiech. Czamcza zrozumiał, że nie inaczej ludzie bili kiedyś brawo i chichotali nad wyczynami wcześniejszych wyjętych spod prawa Dicka Turpina, Neda Kelly'ego, Phulan Devi i oczywiście, tego innego Billy'ego: Williama Bonneya, bardziej znanego jako Billy the Kid.

Przestępczy Idole Śmietnikowych Gówniarzy, przeczytała Miszal w jego myślach, a następnie, śmiejąc się z jego dezaprobaty, przetłumaczyła je na nagłówki prasy brukowej, a na dodatek układała swoje smukłe i, jak zauważył to Czamcza, zdumiewające ciało, w równie wystudiowane pozycje, tak charakterystyczne dla fotosów tychże gazet. Nadymając bezwstydnie wargi, w pełni świadoma tego, że go podnieciła, ładnie dodała: — Buzi, buzi?

Nie chcąc być gorszą, jej młodsza siostra próbowała naśladować pozę Miszal, ale z mamiejszym rezultatem. Porzuciła tę próbę z pewnym zakłopotaniem i powiedziała nadaśana: — Chodzi o to, że mamy dobre perspektywy, my. Interes rodzinny, żadnych braci, i już. Ten dom robi dużą kasę, cholera. No nie? — Shaandaar był domem zaklasyfikowanym jako interes Śniadaniowo-Łózkowy. Rady poszczególnych dzielnic miejskich coraz częściej korzystały z takich budynków z powodu kryzysu w publicznym budownictwie mieszkaniowym; umieszczały pięcioosobowe rodziny w jednym pokoju, przymykając oko na naruszanie przepisów sanitarnych i bezpieczeństwa, domagając się funduszy na „mieszkania tymczasowe” od rządu. — Dziesięć funciochów za noc od osoby — poinformowała Czamczę Anahita w jego pokoju na poddaszu. — Trzysta pięćdziesiąt funciaków za pokój tygodniowo, najczęściej dochodzi do takich sum. Sześć za-

jętych pokoi: oblicz sobie sam. Obecnie tracimy trzysta funtów miesięcznie na tym pokoiku, mam więc nadzieję, że jesteś naprawdę zmartwiony. — Za takie pieniądze, zorientował się Czamcza, można by wynająć niedrogi mieszkanie dla całej rodziny w sektorze prywatnym. Ale wówczas nie mogłoby ono zostać zaklasyfikowane jako „mieszkanie tymczasowe”; żadnych centralnych funduszy dla takich rozwiązań. Przeciwstawiliby się temu również miejscowi politycy, zaangażowani w walkę „cięciami”. *La lutte continue*; w tym czasie Hind i jej córki zgarniały pieniądze, a oderwany od świata Sufjan pojechał do Mekki i wrócił do domu, aby dzielić się niewyszukaną mądrością, życzliwością i uśmiechami. A za sześciorgiem drzwi, które uchylały się nieco za każdym razem, kiedy Czamcza szedł do telefonu albo do toalety, przebywało tymczasowo około trzydziestu istot ludzkich, nie mających niemal żadnej nadziei, że zmieni się ich status.

Po prostu realia.

— Nie musisz przy tym robić miny oburzonego świętoszka — wytknęła mu Miszal Sufjan. — Spójrz tylko, dokąd zaprowadziło cię to twoje przestrzeganie prawa.

* * *

— Twój wszechświat się kurczy. Zapracowany człowiek, Hal Valance, twórca programu „Obcy z kosmosu” oraz wyłączny posiadacz, poświęcił dokładnie siedemnaście sekund na złożenie Czamczy gratulacji z okazji przeżycia katastrofy, a następnie przeszedł do wyjaśnień, dlaczego ten fakt nie wpłynął na zmianę decyzji zwalniającej Czamczę z udziału w programie. Valance rozpoczął karierę w reklamach i jego słownictwo nigdy nie powróciło do normy po tym ciosie. Jednak Czamcza był w stanie dostosować swój sposób mówienia do interlokutora. Wszystkie te lata pracy przy użyczeniu głosu nauczyły go kilku ordynarnych wyrażeń. W języku reklam *wszechświat* był olbrzymim potencjalnym rynkiem zbytu dla danego produktu czy usługi: wszechświat czekolady, wszechświat odchudzania. Wszechświat zębów oznaczał wszystkich ludzi z zębami; pozostali tworzyli coś, co nazywano kosmosem protetyki. — Mam w tej chwili na myśli — popłynął linią telefoniczną najlepszy wariant jego Głęboko Gardłowego głosu — wszechświat etniczny.

Znowu mój naród: ubrany w turban i całą resztę źle na nim leżących cudzych rzeczy, stał w hallu ze słuchawką mocno przyciśniętą do ucha, a oczy kobiet i dzieci bez prawa do stałego pobytu błyszczały w szparach uchylonych drzwi; i zastanawiał się, co też takiego ten jego naród mu zrobił. — Nie kapuję — powiedział, pamiętając o zamiłowaniu Valance’a do włosko-amerykańskiego żar-

gonu złodziejskiego — ostatecznie był to autor hasła reklamującego potrawy na wynos *Bierz pizzę i szamaj*. Jednak tym razem Valance nie podjął gry. — Sondaż wśród widzów wykazuje — sapał w słuchawkę — że kolorowi nie chcą oglądać programów z kolorowymi. Nie chcą ich, Czamcza. Chcą tej pierdolonej *Dynastii*, tak jak wszyscy inni. Masz zły profil, jeśli dobrze mnie rozumiesz: twoje uczestnictwo w programie zmienia go w spektakl z kontekstem rasowym, zbyt cholernie rasowym. „Obcy z kosmosu” jest wielkim przedsięwzięciem i nie mogą go wstrzymywać problemy rasowe. A jakie są możliwości sprzedaży tego programu, o tym chyba nie muszę ci mówić.

Czamcza zobaczył swoje odbicie w małym popękany lustrze nad aparatem telefonicznym. Wyglądał jak zagubiony dzinn z bajek arabskich, poszukujący swojej cudownej lampy. To zależy od punktu widzenia — odpowiedział Valance’owi, wiedząc, że spieranie się nie ma sensu. Dla Hala wszystkie wyjaśnienia były jedynie racjonalizacją post factum. Był człowiekiem, który-kieruje-się-wyłącznie-własnym-wyczuciem i który za swoje motto przyjął radę udzieloną przez Głęboko Gardłowy głos Bobowi Woodwardowi: *Goń za pieniędzmi*. Kazał wydrukować to hasło wielką czcionką i zawiesić nad fotografią sceny z filmu *Wszyscy ludzie prezydenta*: Hal Holbrook (jeszcze jeden Hal!), na parkingu samochodowym, stoi w cieniu. Goń za pieniędzmi: slogan ten wyjaśniał, jak Valance lubił powtarzać, skąd się wzięło jego pięć żon, z których każda była bogata i została mu niezłą sumką jako odprawę rozwodową. Jego obecną żoną było wyblakłe dziewczę, prawdopodobnie trzykrotnie młodsze od niego, o kasztanowych, długich, sięgających do pasa włosach i przenikliwym spojrzeniu, dziewczę, które miałoby duże szanse zostać wielką piękną ćwierć wieku wcześniej. — Ta akurat nie ma ani grosza; wyciąga ode mnie wszystko, co mam, a kiedy już nic nie zostanie, oleje mnie — powiedział Valance Czamczy, kiedyś, w szczęśliwych jeszcze czasach. — Tam do diabła. Też jestem człowiekiem. Tym razem to miłość. — Coraz częściej stare pierniki wiążą się z małolatami. To nagminne w dzisiejszych czasach. Teraz, w trakcie rozmowy, Czamcza stwierdził, że nie może sobie przypomnieć imienia tej małej. — Znasz moje motto — mówił Valance. — Tak — odpowiedział Czamcza obojętnie. — Tak właśnie postępuje się z towarem. — Ten towar, skurwielu, to ty.

Kiedy spotkał po raz pierwszy Hala Valance’a (ile to lat temu? Pięć, może sześć), na obiedzie w White Tower, człowiek ten już był znany jako potwór: idealny, stworzony przez niego samego wizerunek, bez żadnych domieszek, zbiór cech gęsto poprzyklepanych jedna przy drugiej na jego ciele, jak mówił sam Hal, miały go upodobnić do Orsona Wellsa. Palił absurdalnie śmieszne cygara, rezygnował jednak z gatunków kubańskich ze względu na swoją nieprzejednaną kapitalistyczną postawę. Nosił kamizelkę z flagą brytyjską i uparł się, że nad jego agencją, jak również drzwiami domu w Highgate także powinien wisieć Union Jack; miał skłonność do przebierania się za Maurice’a Chevaliera i do naśladowa-

nia jego śpiewu, z kapeluszem słomkowym i laseczką, na ważniejszych konferencjach w obecności zdumionych klientów; twierdził, że posiada pierwszy chateau nad Loarą wyposażony w teleks i fax; a także chwalił się swoją „wielką zażyłością” z panią premier, o której mówił z czułością „Pani Tortura”. Hal, mówiący akcentem środkowoatlantyckim, uosobienie filisterskiego triumfalizmu, był jedną ze sławniejszych postaci tego wieku, twórcza połowa najbardziej energicznej agencji w mieście, Spółki Valance i Lang. Podobnie jak Billy Battuta lubił wielkie samochody prowadzone przez wielkich chauffeurs. Mówiono o nim, że kiedyś jego szofer spowodował wypadek, jadąc po wąskich drogach Kornwalii z prędkością, która miała „rozgrzać” towarzyszącą Valance’owi wyjątkowo lodowatą dwumetrową fińską modelkę: nikt nie został ranny, ale kiedy kierowca drugiego wozu wścikiły wynurzył się ze swojego rozbitego pojazdu, okazało się, że jest jeszcze wyższy od kierowcy Hala. I kiedy kolos ten rzucił się ku niemu, Hal nacisnął guzik i opuścił szybę, i powiedział cicho, ze słodkim uśmiechem: „Naprawdę, radzę panu, żeby pan zawrócił i szybko odjechał; ponieważ, szanowny panie, jeżeli pan tego nie zrobi w ciągu piętnastu sekund, każę pana zabić”. Inni geniusze reklamy słynęli ze swoich dzieł: Mary Wells ze swoich różowych samolotów Braniff, David Ogilvy ze swojej opaski na oko, Jerry delia Femina z dzieła „Od tych wspaniałych facetów, którzy dali wam Pearl Harbour”. Valance, którego agencja zajmowała się tanią i wesołą wulgarnością, wszystkie te damskie tyłki i wesoła muzyczka, znany był w branży właśnie z tego (prawdopodobnie mało oryginalnego) zwrotu „Każe pana zabić”, który dla dobrze poinformowanych był dowodem, że facet naprawdę jest geniuszem. Czamcza od dawna podejrzewał, że cała ta historia została przez niego zmyślona, zwłaszcza jeśli się weźmie pod uwagę doskonałe egzotyczne elementy — skandynawska królowa lodu, dwóch bandziorów, kosztowne samochody, Valance w roli Blofelda, no i agent 007 nieobecny na scenie — a do tego rozpuszczona jako plotka, kora mogła być pomocna w interesach.

Obiad był formą podziękowania Czamczy za jego ostatnią przebojową kampanię reklamową dietetycznej żywności Slimbix. Saładyn był wtedy głosem rezolutnej plamki z filmu rysunkowego: *Cześć. Nazywam się Kal i jestem po prostu smutną kalorią. Cztery dania i mnóstwo szampana jako nagroda za namówienie ludzi, by się głodzili. W jaki sposób biedna kaloria może zarobić na życie? To dzięki Slimbixowi jestem bez pracy.* Czamcza nie wiedział, czego się spodziewać po Halu. To, co w końcu powiedział, było przynajmniej pozbawione upiększeń. — Nieźle to zrobiłeś — pogratulował mu Valance — jak na kolorowego. — I kontynuował, nie odrywając wzroku od twarzy Czamczy: — Pozwól, że podam ci kilka faktów. W ciągu ostatnich trzech miesięcy musieliśmy powtórnie kręcić reklamę masła orzechowego, ponieważ nasz sondaż opinii publicznej wykazał, że będzie przyjęty lepiej bez czarnego dziecka w tle. Musieliśmy jeszcze raz nagrywać wierszyk reklamujący przedsiębiorstwo, ponieważ Szefunio uznał,

że piosenkarz ma głos Murzyna, mimo że ten był biały jak, kurna, prześcieradło; i chociaż rok wcześniej użyliśmy głosu czarnoskórego chłopaka, ten, na szczęście dla siebie, nie uważał się za Jamesa Browna. Jedna z ważniejszych linii lotniczych powiedziała nam, że nie możemy pokazywać Czarnych w jej reklamach, mimo że wielu z nich było tam zatrudnionych. Czarny aktor zgłosił się do mnie na przesłuchanie i miał wpięty w ubranie okrągły znaczek Równości Rasowej, czarna ręka ściskająca białą. Powiedziałem mu tak: nie myśl sobie, koleś, że będę cię traktował w jakiś specjalny sposób. Rozumiesz? Czy rozumiesz, co do ciebie mówię? „Przecież jestem właśnie na cholernym przesłuchaniu” — zdał sobie sprawę Saladyn. — Nigdy nie czułem przynależności do jakiejś rasy — odparł. I być może właśnie dlatego Czamcza znalazł się na „liście A” Hala Valance’a, kiedy ten uruchamiał swoje przedsiębiorstwo produkcyjne; i dlatego w końcu trafiła mu się rola Maksyma Obcego.

Kiedy program „Obcy z kosmosu” zaczął być krytykowany przez czarnych radykałów, do Czamczy przyłgnęło przezwisko. Ze względu na to, że chodził do prywatnej szkoły i ze względu na powiązania ze zniechodzonego Valance’em, znany był jako „Brazowy Wuj Tom”.

Najwyraźniej presja polityczna wywierana na ten program musiała wzrosnąć pod nieobecność Czamczy. Wszelkimi naciskami kierował niejaki doktor Uhuru Simba. — Doktor czego, zastanawiam się — powiedział Valance do słuchawki swoim niskim głosem. — Nasi specjaliści jeszcze niczego nie znaleźli. — Masowe pikietowanie, kłopotliwe wystąpienie w programie „Prawo do odpowiedzi” — Facet wygląda jak, kurwa, nie przymierzając czołg. — Czamcza wyobraził sobie tę parę, Valance’a i Simbę, z których jeden był antytezą drugiego. Wydaje się, że protesty poskutkowały: Valance „odpolitycznił” swój program, zwalniając Czamczę i wrzucając w świat olśniewającego uzębienia i komputerowej wyobraźni jasnowłosego Teutona z przerośniętą klatą i kobietę o ostrych rysach. Lateksowy-i-wysokojakościowy Schwarzenegger, syntetyczna, przemawiająca biodrami wersja Rutgera Hauera z „Łowcy androidów”. Żydzi też musieli odejść: zamiast Mimi w nowym programie miała wystąpić zmysłowa gojka. — Posłałem doktorowi Simbie wiadomość: Wsadź sobie w dupę to swoje pieprzone de er. Nie nadeszła żadna odpowiedź. Będzie musiał wziąć się ostro do roboty, jeżeli chce przejąć to *mate* państwo. Ja — oznajmił Hal Valance — kocham to pieprzone państwo. I właśnie dlatego zamierzam sprzedać je całemu cholernemu światu, Japonii, Ameryce, pieprzonej Argentynie. Zamierzam wyprzedać jego dupę. I to właśnie sprzedawałem przez całe swoje pieprzone życie: ten pieprzony naród. Tę *flagę*. — Nie słyszał tego, co mówi. Kiedy już wszedł na ulubiony temat, robił się czerwono-brązowy, a często płakał. Właśnie tak stało się w White Tower, za pierwszym razem, kiedy zapchał się greckim jedzeniem. Czamcza przypomniał sobie datę: było to tuż po wojnie o Falklandy. Ludzie mieli w tym czasie skłonność do składania przysięgi lojalności, w autobusach nucili sobie pod nosem „Wielką

Paradę”. A więc kiedy Valance, nad olbrzymią butlą Armagnac, rozpoczął — „Powiedz mi, dlaczego kocham ten kraj” — Czamcza, który sam popierał rozwiązanie falklandzkie, był przekonany, że wie, co się stanie. Ale Valance zaczął opisywać program badań naukowych brytyjskiego przedsiębiorstwa produkującego sprzęt lotniczy i kosmiczny, które było jednym z jego klientów, a które właśnie, w wyniku studiów nad lotem zwyczajnej muchy domowej, zrewolucjonizowało budowę systemu kierowania pociskami. — Poprawki kursu podczas lotu — wyszeptał teatralnie. — Tradycyjnie przeprowadza się to w płaszczyźnie lotu: poprawić o lekki kąt w górę, nieco w dół, małe wychylenie w prawo lub w lewo. Jednak naukowcy, przestudiowawszy film w zwolnionym tempie, odkryli, że te małe dranie dokonują korekty lotu zawsze, ale to zawsze, *pod kątem prostym*. — Zademonstrował to wyciągając otwartą dłoń ze złączonymi palcami. — Bzzt! Bzzt! Te cholerniki, tak naprawdę, latają pionowo do góry, na dół lub pod kątem prostym w bok. Jest to o wiele dokładniejsze. Zaoszczędza się więcej paliwa. Spróbuj to zrobić z silnikiem, który uzależniony jest od przepływu powietrza, od-przodu-do-ogona i co się dzieje? Ta pieprzona maszyna nie potrafi oddychać, traci prędkość, spada z nieba, ląduje wprost twoim cholernym sojusznikom na głowy. Zła karma. Rozumiesz? Rozumiesz, co mówię? A więc ci faceci biorą i wymyślają silnik o potrójnym przepływie powietrza: od przodu do ogona, a dodatkowo od góry ku dołowi, plus z jednej strony na drugą. I oto, hokus pokus: pocisk, który zapierdala jak mucha i może trafić w pięćdziesięciopensówkę z prędkością stu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę z odległości trzech mil. To, co tak bardzo lubię, jeśli chodzi o ten kraj, to jego geniusz. Najwięksi wynalazcy na świecie. Wspaniałe: mam rację czy nie? — Był śmiertelnie poważny. Czamcza odpowiedział: — Masz rację. — A ty masz, kurwa, rację mówiąc, że mam rację — potwierdził.

Po raz ostatni spotkali się tuż przed odlotem Czamczy do Bombaju: niedzielny obiad w ozdobionej flagami rezydencji w Highgate, boazeria z palisandra, taras z kamiennymi urnami, widok w dół z porośniętego lasem wzgórza. Valance narzekający na ekspansję nowych domów, które zepsują krajobraz. Jak było do przewidzenia, obiad składał się z dań szowinistycznych: *rosbif*, *boudin Yorkshire*, *choux de brouxelles*. Dziecina, czyli jego dziewczęca żona, nie przyłączyła się do nich, lecz jadła gorące żytnie pastrami w pobliskim pokoju, grając jednocześnie w bilard. Służba, zwalający z nóg burgund, znowu Armagnac, cygara. Raj człowieka, który wszystko zawdzięcza tylko sobie, rozmyślał Czamcza i dostrzegł zazdrość w tych rozmyśleniach.

Po obiedzie, niespodzianka. Valance zaprosił go do pokoju, w którym stały dwa klawikordy, sprawiające wrażenie bardzo lekkich i delikatnych. — Tak, sam je zrobiłem — przyznał. — Dla relaksu. Dziecina chce, żebym jej, kurna, zrobił gitarę. — Bezsprzecznie Hal Valance był utalentowanym stolarzem meblowym i jakoś ów talent pozostawał w sprzeczności z resztą osobowości tego człowieka. — Mój ojciec był z branży — przyznał się w końcu Czamczy i Saladyn zrozumiał,

że uprzywilejowano go, pozwalając mu rzucić okiem na jedyną nie zmienioną część, jaka pozostała po oryginalnym Halu, na tego Harolda, który wywodził się z historii i krwi, a nie był jedynie wytworem jego własnego, szalonego umysłu.

Kiedy zostawili za sobą tajną salę klawikordów, natychmiast powrócił ten dobrze znany Hal Valance. Opierając się o balustradę tarasu, zwierzał się Czamczy: — Zdumiewa przy tym ogrom tego, czego ona chce dokonać. — Ona? Dziecina? Czamcza stracił orientację. — Wiesz, o kim w tej chwili mówię — brzmiało pomocne wyjaśnienie Valance'a. — O Torturze. O Maggie Suce. — Ona naprawdę jest radykalna. Chce teraz i w rzeczy samej sądzi, że tego, kurwa, *dokona*, dosłownie tworzyć całą tę cholerną nową klasę średnią w kraju. Pozbyć się tych starych sklerotycznych nieudolnych dziadów z pieprzonych hrabstw Surrey i Hampshire i wprowadzić nowych. Ludzi bez przeszłości, bez historii. Głodnych ludzi. Ludzi, którzy naprawdę *chcą* i którzy wiedzą, że dopóty, dopóki ona sprawuje urząd, że, do cholery, na pewno *dostaną* to, czego chcą. Nikt nigdy wcześniej nie próbował wymienić całej pieprzonej *klasy* i jest rzeczą zdumiewającą, że ona może dopiąć swego, chyba że wcześniej jej dopadną. Stara klasa. Trupy. Rozumiesz, o czym mówię. — Tak, sądzę, że tak — skłamał Czamcza. — I nie chodzi wyłącznie o biznesmenów — dodał Valance, zlewając ze sobą słowa. — Również o intelektualistów. Won z całą tą zramolałą zgrają. Wpuścić zgłodniałych facetów z niewłaściwym wykształceniem. Nowi profesorowie, nowi malarze, wszyscy. To cholerna rewolucja. Nowe wchodzi do tego kraju, który wypchany jest po brzegi pieprzonymi starymi *trupami*. Będzie to coś, co warto zobaczyć. Zresztą już można.

Dziecina wyszła wolno z budynku, zmierzając w ich stronę. Wyglądała na znudzoną. — Czas na ciebie, Czamcza — zarządził jej mąż. — w niedzielne popołudnie idziemy do łóżka i oglądamy filmy porno. To zupełnie nowy świat, Saladynie. Wszyscy muszą kiedyś się do niego przyłączyć.

Żadnych kompromisów. Jesteś z nimi albo po prostu giniesz. Nie była to droga Czamczy; ani jego, ani tej Anglii, którą sobie wyidealizował i którą przyjechał podbić. Powinien był od razu to zrozumieć: dawano mu, dano mu uczciwe ostrzeżenie.

A teraz coupe de grâce. — Nie czujesz się chyba urażony — mówił mu cicho do ucha Valance. — Do zobaczenia kiedyś tam, co? OK. W porządku.

— Hal — zmusił się, by zaprotestować — Przecież mam kontrakt.

Jak by było prowadzone na rzeź. Głos w jego uchu był teraz szczerze rozba-wiony. — Nie wygłupiaj się — powiedział mu. — Jasne, że nie masz. Przeczytaj tekst drobnym drukiem. Daj ten tekst *prawnikowi* do przeczytania. Wytocz mi sprawę. Rób, co musisz zrobić. Mnie to nie obchodzi. Czy jeszcze nie rozumiesz? Przeszedłeś do historii.

Ciągły sygnał w słuchawce.

* * *

Porzucony przez jedną obcą mu Anglię, izolowany w drugiej, pan Saladyn Czamcza był wciąż bardzo przygnębiony, kiedy nadeszły wiadomości o jego starym współtowarzyszu, któremu najwidoczniej powodziło się o wiele lepiej niż jemu samemu. Wrzask jego gospodyni — „*Tini benche achen!*” — ostrzegł go, że coś się szykuje. Hind biegła jak wzburzona fala po korytarzach części mieszkalnej Shaandaaru (Noclegi-i-Śniadania), machając, jak się okazało, ostatnim numerem importowanego hinduskiego fanzin „Cine-Blitz”. Drzwi otworzyły się; tymczasowi wyskoczyli na korytarz, zdziwieni i zaniepokojeni. Miszal Sufjan wynurzyła się ze swojego pokoju ukazując całe kilometry brzucha pomiędzy króciutką koszulką a pięćsetjedynekami. Z biura po drugiej stronie korytarza wyłonił się Hanif Johnson w zupełnie niestosownym jak na tę okazję eleganckim garniturze z kamizelką i porażony widokiem gołego ciała zakrył twarz. — Panie, zmiłuj się — błagał. Miszal zlekceważyła jego uwagę i krzyknęła do matki: — Co się dzieje? Kto żyje?

— Bezwstydnico — odkrzyknęła Hind — zakryj swoją nagość.

— Spierdalaj — mruknęła cicho Miszal i utkwiała buntownicze oczy w Hanifie Johnsonie. — Chciałabym wiedzieć, co to za zwąły tłuszczu pomiędzy jej sari a choli. — W przyćmionym świetle można było dostrzec Hind rzucającą „Cine-Blitz” w lokatorów i powtarzającą, on żyje. Z całym tym ferworem, z jakim Grecy po zniknięciu polityka Lambrakisa pokryli mury całego kraju literą Z. *Zet: on żyje.*

— Kto? — dopytywała się znowu Miszal.

— *Gibril* — odkrzyknęły tymczasowe dzieci. — *Fariszta benche achen.* — Hind, znikając na parterze, nie przyglądała się, jak starsza córka wraca do pokoju, — ta zostawiła drzwi uchylone; — a kiedy było pewne, że korytarz jest pusty, wśliznął się za nią odziany w garnitur, znany prawnik Hanif Johnson, który prowadził biuro, aby zachować kontakt z nizinami społecznymi, któremu szła również nieźle praktyka w wytwornej dzielnicy miasta, który posiadał rozległe znajomości wśród miejscowego kierownictwa Partii Pracy i którego aktualny członek parlamentu z tego okręgu oskarżał o intrygi, mające na celu zajęcie jego miejsca w najbliższych wyborach.

Kiedy wypadały osiemnaste urodziny Miszal Sufjan? — Nie wcześniej jak za kilka tygodni. I gdzie była jej siostra, jej współmieszkanka, kompan, cień, echo i partner do sparingów? Gdzie była jej potencjalna przyzwoitka? Była: poza domem.

Ale oto i dalszy ciąg:

Wiadomość z „Cine-Blitz” głosiła, że nowa wytwórnia filmowa z siedzibą

w Londynie, na czele której stoi cudowne dziecko, potentat przemysłowy Billy Battuta, o szeroko znanych koneksjach w świecie kina, przystąpił do spółki z szanowanym niezależnym hinduskim producentem filmowym panem S. S. Sisodia w celu nakręcenia filmu, który byłby okazją do powrotu na ekran legendarnego Gibrila, który, jak ujawniał artykuł w gazecie, w ostatniej chwili uciekł śmierci spod kosa. „To prawda, że miałem zarezerwowane miejsce w tym samolocie pod nazwiskiem Nadžmuddin — przekazywała gazeta słowa gwiazdora. — Wiem, że kiedy tajniacy prowadzący śledztwo odkryli, że było to moje przybrane nazwisko — w rzeczy samej, moje prawdziwe — wywołało to wielki żal w kraju i za to szczerze przepraszam swoich wielbicieli. Widzi pan, rzecz w tym, że dzięki łasce boskiej jakoś nie zdążyłem na ten samolot i ponieważ chciałem i tak zdeintegrować się, przepraszam bardzo, ten dowcip jest zupełnie niezamierzony, pozwoliłem sobie nie prostować tej pomyłki na temat własnej śmierci i poleciałem późniejszym samolotem. Ależ miałem szczęście: naprawdę, musiał czuwać nade mną anioł”. Po okresie przemyślenia doszedł jednak do wniosku, że jest błędem w tak niesportowy i bolesny sposób pozbawianie publiczności prawdziwych informacji, a również jego obecności na srebrnym ekranie. „Tak więc przyjąłem ten projekt z pełnym zaangażowaniem i radością”. Film ten miał być — jakżeby inaczej — filmem religijnym, ale nowego typu. Akcja rozgrywałaby się w zmyślonym i bajecznym mieście wzniesionym z piasku i byłyby to historia spotkania proroka i archanioła; a również kuszenia proroka, który wybiera drogę czystości zamiast nędznego kompromisu. „Jest to film — jak poinformował »Cine-Blitz« producent Sisodia — o tym, jak nowe przychodzi do tego świata”. — Ale czy nie będzie to uważane za bluźnierstwo, zbrodnię przeciw... — „Z pewnością nie — utrzymywał Billy Battuta. — Fikcja jest fikcją; a fakty faktami. Naszym zamiarem nie jest nakręcenie sieczki takiej jak film „Posłanie” w którym jeśli tylko Prorok Mahomet (pokój z nim!) zaczynał mówić, widziało się jedynie łeb jego wielbłąda z poruszającym się pyskiem. *Takie postępowanie* — proszę mi wybaczyć, że tak to podkreślam — nie miało klasy. Kręcimy w tej chwili niezły obraz o wysublimowanej estetyce. Opowieść z morałem: podobnie jak w tych tam — jak je nazywacie? — bajkach”.

„Podobnie jest we śnie”, odpowiedział pan Sisodia.

Kiedy Anahita i Miszal Sufjan przyniosły tę wiadomość na poddasze do pokoiku Czamczy, ogarnęła go najgwałtowniejsza furia, jaką kiedykolwiek widziały, szał, pod którego strasznym wpływem jego głos podniósł się tak wysoko, że wydawał się rozdzierać powietrze, jak gdyby w gardle wyrosły mu noże i rozpruwały jego okrzyki na strzępy; jego wstrętny oddech prawie wyrzucił je z pokoju, a tańcząc wściekle na koźlich nogach i trzymając ręce wzniesione wysoko w górę wyglądał wreszcie niemal identycznie jak ten diabeł, którego stał się wizerunkiem. — Kłamca — wrzeszczał pod adresem nieobecnego Gibrila. — Zdrajca, dezert, szumowina. Nie zdążyłem na ten samolot, ha, czyżby? W takim razie czyja

to głowa, w moich objęciach...? Kogo to gładziłem, kto mówił wciąż o zmorach czyhających we śnie i kto wreszcie spadł z nieba ze śpiewem na ustach?

— Dobrze, już dobrze — prosiła przerażona Miszal. — Uspokój się. Zaraz ściągniesz tu mamę.

Saladyn uciszył się i znowu był patetyczną bryłą koziego mięsa, nie zagrażając nikomu. — To nieprawda — lamentował. — To, co się przydarzyło, przydarzyło się nam obu.

— Oczywiście że tak — zachęciła go Anahita. — Nikt przecież nie wierzy temu, co wypisują w tych czasopismach filmowych. Są gotowi wypisać największą bzdurę, ci tam.

Siostry wycofały się z pokoju, wstrzymując oddech, pozostawiając Czamczę z jego własnym cierpieniem i nie zauważając czegoś naprawdę nadzwyczajnego. Nie należy ich za to winić; błazeństwa Czamczy wystarczyły, by odciągnąć uwagę najbystrzejszych oczu. Trzeba też uczciwie przyznać, że i sam Saladyn nie zauważył tej zmiany.

Co się stało? Mianowicie to: podczas krótkiego, ale gwałtownego wybuchu gniewu Czamczy rogi na jego głowie (które, jak może warto by zaznaczyć, w czasie jego cierpienia na poddaszu Shaandaar, Noclegi-i-Śniadania, urosły o kilka dalszych cali) zdecydowanie, tu nie może być żadnej pomyłki — *skurczyły się* o około trzy czwarte cała.

W imię jak największej precyzji trzeba by dodać, że nieco niżej jego zmienionego ciała, — wewnątrz pożyczonych spodni (skromność nie pozwala na określenie dokładniej tych szczegółów) — coś innego, zostawmy to w tej formie, również nieco się zmniejszyło.

Jak tam było, tak było: wyszło na jaw, że optymizm doniesienia zamieszczonego w importowanym czasopiśmie filmowym był przedwczesny, ponieważ kilka dni później miejscowe gazety doniosły o aresztowaniu w centrum Nowego Jorku w barze Sushi Billy'ego Battuty oraz towarzyszącej mu Mildred Mamoulian, według dziennikarza, aktorki, lat czterdzieści. Zgodnie z tym doniesieniem Billy zwrócił się do pewnej liczby matron, przedstawicielek sfer bardzo wpływowych, z prośbą o „pokaźną” sumę pieniędzy, których jak twierdził, potrzebował na wykupienie swojej wolności od sekty czcicieli diabła. Oszust zawsze pozostanie oszustem: niewątpliwie akcję tę Mimi Mamoulian nazwałaby majstersztykiem. Docierając do samego rdzenia religijności Amerykanów, błagając o pomoc w zbawieniu — „kiedy się już sprzedało duszę, nie można liczyć na to, że będzie ją można wykupić za grosze” — Billy otrzymywał, jak wykazało dochodzenie „sumy sześciocyfrowe”. Pod koniec lat osiemdziesiątych światowa społeczność wiernych tęskniła za *bezpośrednim kontaktem z sitami nadprzyrodzonymi* i Billy, twierdząc, że rozżościł piekielne bestie (i w rezultacie potrzebował ratunku przed nimi), był bliski sukcesu, zwłaszcza że Diabeł, którego im oferował, był tak demokratycznie posłuszny nakazom Wszechmocnego Dolara. W zamian za pokaź-

ne czeki Billy oferował damom z West Side potwierdzenie: tak, Diabeł istnieje; widziałem go na własne oczy — Boże, to było przerażające! — a jeżeli istnieje Lucyfer, to musi istnieć również Gabriel; jeżeli widziano Ognie Piekielne, wobec tego gdzieś tam, nad tęczą, z pewnością jest Raj. Według gazet Mimi Mamouljian brała udział w tych oszustwach, płacząc i błagając o pomoc tak przekonująco, jak tylko potrafiła. Zgubiła ich nadmierna pewność siebie, w barze Takesushi dostrzegła ich (krzyczących z radości i dowcipkujących z szefem kuchni) niejaka pani Aileen Struwelpeter, która poprzedniego popołudnia wręczyła nieszczęśliwej wówczas i przerażonej parze czek na pięć tysięcy dolarów. Pani Struwelpeter miała pewne wpływy w nowojorskiej policji i niebiescy chłopcy przyjechali, zanim Mimi zdążyła spożyć swoją tempurę. Oboje poszli spokojnie do wozu. Na zdjęciach w gazetach widać było, że Mimi ma na sobie okrycie, które Czamcza uznał za futro z nerek wartości czterdziestu tysięcy dolarów, a wyraz jej twarzy można było interpretować w jeden tylko sposób.

Do diabła z wami wszystkimi.

Przynajmniej przez jakiś czas milczano o filmie Fariszty.

* * *

*Było tak, a może nie było, że w miarę, jak uwięzienie Saladyna Czamczy w ciele diabła i na poddaszu Shaandaaru (Noclegi-i-Sniadania) przeciągało się już w tygodnie i miesiące, nie można było nie zauważyć, że jego stan stopniowo się pogarsza. Rogi (pomijając ich chwilowe i niezauważalne zmniejszenie się) stały się i grubsze, i dłuższe, zwijając się w fantazyjne arabeski, wieńczące jego głowę turbanem ciemniejszej kości. Wyrosła mu gęsta, długa broda, co było dezorientujące u osoby, której okrągła, księżycowa twarz nigdy wcześniej nie mogła poszczycić się owłosieniem; w rzeczy samej włosy rosły mu na całym ciele, a u nasady kręgosłupa zafundował sobie wspaniały ogon, który z każdym dniem stawał się coraz dłuższy i który zmusił go do rezygnacji z noszenia spodni; zamiast tego wkładał swoją nową część ciała w obszerne majtasy, które Anahita Sufjan dziubnęła z zasobnej kolekcji matki. Łatwo sobie wyobrazić rozpacz, którą wywoływały u Saladyna niekończące się przeobrażenia w jakiś gatunek dzinna z butelki. Nawet jego przyzwyczajenia kulinarne zaczęły się zmieniać. Zawsze był bardzo wybredny, jeśli chodzi o jedzenie, a teraz z przerażeniem stwierdził, że traci delikatność podniebienia, że wszystko *zaczyna* mu smakować tak samo, a od czasu do czasu przyłapywał się też na tym, że z roztargnieniem podskubuje swoją pościel lub stare gazety, i natychmiast, zaskoczony, przytomniał w poczuciu winy i bardzo zawstydzony z powodu tych kolejnych dowodów na postęp, jaki*

czynił na drodze od człowieczeństwa ku — tak, tak — ku kozłowości. Trzeba było coraz większych ilości zielonego płynu do płukania ust, żeby utrzymać jego oddech w granicy ludzkiej wytrzymałości. To już naprawdę było trudne do zniesienia.

Jego obecność w tym domu była cierniem w oku Hind, u której żal straconych pieniędzy mieszał się z resztkami pierwszego przerażenia, jakkolwiek prawdą będzie, jeżeli powiemy, że kojące procesy przyzwyczajenia podziały na nią jak czary i spowodowały, że zaczęła uważać przypadek Saladyna za rodzaj esłoniowacizny, choroby, która wywołuje obrzydzenie, ale niekoniecznie obawę. — Niech mi nie wchodzi w drogę, a ja nie będę jemu wchodziła — powiedziała swoim córkom. — A wy, dzieci mojej straconej nadziei, dlaczego spędzacie tyle czasu siedząc tam z chorą osobą, podczas gdy wasza młodość ucieka, kto to wie, ale w tym Wilajacie mam wrażenie, że wszystko, co zdołałam poznać, jest kłamstwem, jak na przykład prawidłowość, że młode dziewczęta powinny pomagać swojej matce, myśleć o małżeństwie, zajmować się studiami, a nie przesiadywać z kozłami, którym nasz stary zwyczaj, tam w Indiach Wschodnich, każe podrysnąć gardła.

Jej mąż nie przestał troszczyć się o Czamczę nawet po dziwnym incydencie, który wydarzył się wtedy, kiedy któregoś dnia wspiał się na poddasze i powiedział Saladynowi, że może jednak dziewczęta miały trochę racji, że być może temu, jak to wyrazić, temu opętaniu jego ciała można położyć kres przez interwencję mułły? Na wzmiankę o kapłanie Czamcza stanął dęba, uniósł ręce nad głowę i jakimś dziwnym sposobem pokój wypełnił się gęstym siarczanym dymem, a wysoki wibrujący skrzek o rozdzierających właściwościach przebił uszy Sufjana jak ostrze. Dym zniknął szybko, ponieważ Czamcza otworzył okno i przepędził opary, przepraszając jednocześnie Sufjana, najwyraźniej bardzo zażenowany: — Naprawdę nie wiem, co mnie opętało, — ale czasami boję się, że zamieniani się w coś — co nazywają *złem*.

Sufjan, będąc dobrodusznym facetem, podszedł do Czamczy, którego ręce kurczowo zaciskały się na rogach, poklepał go po ramieniu i próbował go na tyle, na ile mógł, pocieszyć. — Kwestia zmienności zasadniczego rdzenia jaźni — zaczął ni w pięć, ni w dziewięć — od dawna jest przedmiotem głębokiej debaty. Na przykład, wielki Lukrecjusz mówił nam w swoim *De Rerum Natura* taką rzecz: *quodcumque suis mutatum finibus exit, continuo hoc mors est illius quod fuit ante*. Co w tłumaczeniu brzmi, wybac mi moją niezdarność, „Cokolwiek wskutek swej zmiany wychodzi poza swoje granice” — to jest, występuje ze swoich brzegów — albo też być może, omija swoje ograniczenia — że tak powiem, przestaje zważać na rządzące nim zasady, lecz być może jest to zbyt dowolne, myślę... w każdym razie „ta rzecz”, jak utrzymuje Lukrecjusz, „poprzez takie zachowanie sprowadza natychmiastową śmierć na swoją poprzednią jaźń”. Jednakże — palec byłego nauczyciela powędrował w górę — poeta Owidiusz w swoich *Meta-*

morfozach przyjmuje diametralnie odmienny pogląd. Dowodzi on w następujący sposób: „Jak miękki wosk” — ogrzewany, rozumiesz, po to, by pieczętować dokumenty i tym podobne, — „jest wyciskany wciąż nowymi stemplami i zmienia kształt i nie wydaje się być nadal tym samym. A jednak jest on wciąż taki sam, podobnie ma się nawet z naszymi duszami” — czy słyszysz, mój panie? Nasze duchy! Nasza nieśmiertelna istota! „Na zawsze są one takie same, ale przyjmują w swoich migracjach wciąż zmieniające się formy.”

Przeskakiwał teraz z nogi na nogę, wzruszony antycznymi słowami.

— Zawsze stawiam Owiudiusza nad Lukrecjuszem — oświadczył. — Twoja dusza, mój dobry biedny szanowny panie, pozostaje niezmieniona. Jedyne w swojej migracji przyjęła tę obecnie przekształcającą się formę.

— To mizerna pociecha. — Czamcza zdobył się na odrobinę swojego dawnego sarkazmu. — Albo przyjmuję Lukrecjusza i wyciągam wnioski, że jakieś diabelskie i nieodwracalne mutacje zachodzą w najskrytszych głębiach mojej duszy, albo też przyjmuję rozumowanie Owidiusza i przyznaję, że wszystko to, co zaczyna się obecnie pojawiać, nie jest niczym innym, jak przejawem tego, co już od dawna tam było.

— Źle przedstawiłem swoją argumentację — usprawiedliwił się przygnębiony Sufjan.

— Chciałem jedynie rozproszyc twoje wątpliwości.

— Jaką pociechę może znaleźć człowiek — zgorzkniałe odpowiedział Czamcza, po czym jego ironia rozsypała się w pył pod wpływem nieszczęścia — którego stary przyjaciel i wybawca jest jednocześnie conocnym kochankiem jego żony, w ten sposób powodując — co twoje stare książki z pewnością potwierdzą — wzrost rogów rogowca?

* * *

Stary przyjaciel, Jumpy Joshi, nie potrafił pozbyć się świadomości, nawet na drobną chwilę w ciągu dnia, że po raz pierwszy, jak daleko sięgnąć pamięcią wstecz, stracił wolę, by kierować się w życiu w oparciu o własne normy moralne. W ośrodku sportowym, gdzie coraz większe masy studentów uczył technik walk Wschodu, podkreślając duchowe aspekty tych dyscyplin, zresztą wzbudzając tym ich wesołość („Ach, rozumiem. Koniku Polny — drażniła się z nim jego najlepsza studentka, Miszal Sufjan — kiedy czcigodna faszystowska świnka wyskoczy na ciebie z ciemnej bocznej uliczki, zaoferuj mu najpierw nauki Buddy, zanim go kopniesz w jego czcigodne jaja”), — zaczął przejawiać *porywczą intensywność*, aż jego studenci, domyślając się jakiejś wewnętrznej przyczyny, poważnie

się zaniepokoiłi. Kiedy Miszal zapytała go o to pod koniec treningu, z którego oboje wyszli zasapani i posiniaczeni, i podczas którego oboje, studentka i nauczyciel rzucili się na siebie jak wygłodzeni kochankowie, odpowiedział jej pytaniem, z nietypowym dla siebie brakiem otwartości. — Przyganiał kocioł garnkowi — powiedział. — Problem źdźbła w oku bliźniego, belki w twoim. — Stali przy automatach z napojami. Wzruszyła ramionami. — W porządku — powiedziała. — Wyznam ci coś, ale trzymaj to w tajemnicy. — Sięgnął po swoją colę: — Co to za tajemnica? — Naiwny Jumpy. Miszal szepnęła mu do ucha: — Sypiam z facetem. Z twoim przyjacielem: panem Hanifem Johnsonem, adwokatem.

Oburzył się, co z kolei ją rozzłościło. — Daj spokój, przecież to nie to samo, co gdybym miała *piętnaście lat*. Odpowiedział, bez przekonania: — Gdyby twoja mama kiedykolwiek — i ponownie zniecierpliwiła się. — Jeśli chcesz wiedzieć — opryskliwie — martwię się nie o siebie, ale o Anahitę. Ona zawsze chce mieć to, co ja. A ona, tak a propos, ma właśnie piętnaście lat — Jumpy zauważył, że potracił swój tekturowy kubek z colą i wylał jego zawartość na buty. — Wyduś to z siebie — nalegała Miszal. — Ja swoje powiedziałam. Teraz twoja kolej. — Ale Jumpy nie mógł powiedzieć; wciąż kręcił głową na myśl o Hanifie. — To go wykończy — powiedział. Na to Miszal zadarła głowę. — Ach, rozumiem — odparła. — Uważasz, że nie jestem dla niego wystarczająco dobra. — I rzuciła przez ramię: — Hej, Koniku Polny. Czy święci nigdy się nie pieprzą?

Nie tacy święci. Nie był stworzony do świętości, przynajmniej nie bardziej niż postać Davida Carradine'a w starych programach Kung Fu: podobny do Konika Polnego, podobny do Jumpy'ego. Codziennie cierpi męki usiłując trzymać się z dala od dużego domu w Notting Hill i co wieczór ląduje u drzwi Pameli, z palcem w ustach, z którego obgryza skórki wokół paznokcia, odpędzając psa i własne wyrzuty sumienia, i kierując się od razu, bez zbędnych ceregieli, do sypialni. Gdzie w końcu rzucają się na siebie, usta szukają tych miejsc na ciele, od których zaczynali lub nauczyli się zaczynać grę miłosną: najpierw jego wargi wokół jej sutków, później jej wzdłuż jego kciuka.

Pokochała w nim tę niecierpliwość, ponieważ szła za nią taka cierpliwość, jakiej ona nigdy nie doświadczyła, cierpliwość mężczyzny, który nigdy nie był „atrakcyjny”, i cenił sobie to, co mu oferowano, w każdym razie myślał tak na początku; później nauczyła się doceniać to, że wyczuwał i przejmował się własnym wewnętrznym napięciem, że orientował się w trudności, z jaką jej szczupłe kościste ciało o małych piersiach znajdowało, uczyło się i w końcu poddawało jego rytmowi, jego znajomości czasu. Kochała w nim również jego pokonywanie siebie; kochała wiedząc, że jest to niedobre uzasadnienie, jego gotowość przezwyćzania skrupułów po to, żeby mogli być razem: kochała w nim to pożądanie, które odsuwało na bok wszystkie jego imperatywy. Kochała je, nie chcąc widzieć właśnie w tej miłości początku końca.

Pod koniec aktu miłosnego stawiała się hałaśliwa. — Och! — krzyczała, cała

arystokratyczność jej głosu skupiała się w tych pozbawionych znaczenia sylabach — sylabach oddania i samotności. — Uch! Och! Och!

Wciąż piła na umór, różne szkocką burbon żytniówkę, czerwona pręga biegła przez środek jej twarzy. Pod wpływem alkoholu jej prawe oko skurczyło się do połowy wielkości lewego i, ku przerażeniu Hanifa, zaczęła wzbudzać w nim odrazę. Jednak zabroniona była jakakolwiek dyskusja na temat jej chłania: raz, kiedy próbował, znalazł się na ulicy z butami w prawej ręce i płaszczem przewieszonym przez lewe ramię. Nawet po tym wydarzeniu powrócił: a ona otworzyła drzwi i poszła prosto na górę, jak gdyby nic się nie stało. Zakazane tematy Pameli: dowcipy o jej pochodzeniu, wszelkie uwagi o pustych butelkach po whisky i jakiegokolwiek sugestie, że jej świętej pamięci mąż, aktor Saladyn Czamcza żyje pod postacią nadprzyrodzonej bestii i mieszka w tanim hotelu oferującym noclegi i śniadania.

Obecnie Jumpy — który początkowo zdręczał ją nieustannymi uwagami o Saladynie, mówiąc, że powinna bez namysłu rozwieść się z nim, że przecież to symulowanie wdowieństwa jest nie do zniesienia: przecież co stanie się z majątkiem tego człowieka, co z jego prawem do nieruchomości, i tak dalej? Chyba nie zostawi go bez środków do życia? — już nie protestował przeciw jej niedorzecznemu zachowaniu. — Mam prawnie potwierdzony akt zgonu — powiedziała mu wtedy, ten jedyny raz, kiedy zdecydowała się zabrać głos w tej sprawie. — A ty co masz? Śmierdzącego capa, potwora z cyrku, nic wspólnego toto ze mną nie ma. I to także, podobnie jak jej picie, zaczęło ich dzielić. Treningi sztuki walki prowadzone przez Jumpy'ego stawały się tym gwałtowniejsze, im większy niepokój odczuwał z powodu swoich problemów.

Jak na ironię, mimo że Pamela kategorycznie odmówiła przyjęcia do wiadomości faktów dotyczących swojego wypędzonego męża, została wciągnięta, poprzez pracę w Komitecie do Spraw Społeczności, w śledztwo, jakie wszczęto w związku z doniesieniem o czarnej magii szerzącej się wśród policjantów miejscowego komisariatu. Rzeczywiście różne komisariaty od czasu do czasu „wymykały się spod kontroli” — to w Notting Hill, to w Kentish Town, to znowu w Islington — ale czarna magia? Jumpy odnosił się do tego sceptycznie. — Kłopot z tobą — odezwała się do niego Pamela najbardziej wzniosłym i arystokratycznym głosem, na jaki mogła się zdobyć — polega na tym, że wciąż sądzisz, że normalność jest normalna. Mój Boże: popatrz, co się dzieje w tym kraju. To, że kilku popieprzonych gliniarzy ściąga swoje gatki i pije mocz z własnych hełmów, nie jest jeszcze niczym niesamowitym. Można to raczej nazwać masonerią świata pracy. Codziennie przychodzą do mnie Murzyni, wprost nieprzytomni ze strachu i mówią o fetyszach, wnętrznościach kurczaków, o takich rzeczach. Te cholerne skurwiele *uwielbiają* takie sytuacje: przerazić czarnuchów, wykorzystując ich własne czary mary, a potem na dodatek otrzymują w prezencie kilka niegrzecznych nocy. Nieprawdopodobne? Cholerne *obudź się*. — Polowania na

czarownice, wydawało się, są cechą rodzinną: od Matthew Hopkinsa po Pamelę Lovelace. W głosie Pameli, słyszonym wszędzie — na zebraniach ludności w lokalnym radiu, nawet w wiadomościach regionalnych telewizji, dał się słyszeć cały ten zapal i autorytet starego Wielkiego Inkwizytora i właściwie tylko z tego powodu, że głos ten przywodził na myśl dwudziestowieczną Glorianę, kampania ta nie została tak od razu wyśmiana i zapomniana. *Nowa Miotła Potrzebna, by Wymieść Czarownice*. Słyszano pogłoski o oficjalnych dochodzeniach. Jednak do zupełnego szału doprowadził Jumpiego upór Pameli, która nie chciała przenieść argumentów użytych w kwestii okultyzmu policyjnego na sprawę swojego własnego męża: ostatecznie transformacja Saladyna Czamczy miała wiele wspólnego z ideą głoszącą, że normalność przestała się już składać (jeśli kiedykolwiek w ten sposób była skonstruowana) z banalnych, „normalnych” elementów. — Nie ma to z tym nic wspólnego — odpowiedziała stanowczo, kiedy próbował argumentować: równie stanowczo, pomyślał, jak pierwszy lepszy sędzia wydający wyrok śmierci.

* * *

Dowiedziawszy się od Miszal Sufjan o jej potajemnych stosunkach seksualnych z Hanifem Johnsonem, Jumpy — idąc znowu do Pameli Czamczy, musiał stłumić w sobie całą masę fanatycznych myśli, takich jak: *gdyby jego ojciec nie był białym, nigdy by tego nie zrobił*; Hanif, Jumpy aż szalał ze złości, ten niedojrzały skurwiel, który prawdopodobnie robi sobie nacięcia na kutasie, żeby nie stracić rachuby podbojów miłosnych, ten Johnson z aspiracjami reprezentanta swoich ludzi, który zaczyna ich dziobać, zanim osiągną pełnoletność!... czy nie widział, że Miszal, pomimo tego swojego wszechwiedzącego ciała, jest jeszcze dzieckiem? — *Nie, już nie jest*. Niech go diabli, niech go diabli wezmą za to (i tutaj Jumpy zaszokował sam siebie), że był pierwszy.

Idąc tak do swojej kochanki, Jumpy usiłował przekonać sam siebie, że uraza, jaką czuje do Hanifa, *przyjaciela Hanifa*, ma swoje uzasadnienie — jak to powiedzieć? — *lingwistyczne*. Hanif doskonale włada językami, które się liczyły: językiem socjologicznym, socjalistycznym, murzyńskich radykałów, anty-anty-antyrasistowskim, demagogicznym, krasomówczym, kaznodziejskim: wszelkim słownictwem dającym władzę. *A ty, skurwielu, ty grzebiesz w moich szufladach i śmiejesz się z moich głupich wierszy. Prawdziwy problem z językiem: jak nagiąć go, nadać mu kształt, jak zmusić, by był naszą wolnością, jak odzyskać jego zatrute światło, jak opanować tę rzekę słów czasu krwi; o tym wszystkim nie miał najmniejszego pojęcia*. Jak ciężka to walka, jak nieunikniona klęska. *Nikt nie wy-*

bierze mnie na żadne stanowisko. Gdzie moi zwolennicy, gdzie moi wyborcy: to tylko walka przy pomocy słów. Ale on, Jumpy, musiał też przyznać, że w równym stopniu zazdrościł Hanifowi większej łatwości w posługiwaniu się językami pożądania. Miszal Sufjan jest bardzo atrakcyjną dziewczyną, piękną o smukłym ciele, ale on nie wiedziałby, jak to zrobić, nawet gdyby o tym pomyślał, nigdy by się nie ośmielił. Język jest odwagą: umiejętnością sformułowania myśli, wypowiedzenia jej, a przez to uwiarygodnienia.

Kiedy Pamela Czamcza otworzyła mu drzwi, dowiedział się, że w ciągu jednego dnia jej włosy zmieniły kolor na śnieżnobiały i że w odpowiedzi na to niewytłumaczalne nieszczęście ścięła je i ogoliła do samej czaszki, a następnie owinęła głowę absurdalnym turbanem w kolorze burgunda, którego za nic nie chciała zdjąć.

— Po prostu stało się to i już — powiedziała. — Nie można wykluczyć możliwości, że zostałam zaczarowana.

Nie miał zamiaru tego tak zostawić. — Albo też prawdopodobieństwa, że jest to reakcja, jakkolwiek spóźniona, na wiadomość o zmienionym i niestety wciąż trwającym stanie twojego męża.

Odwróciła się gwałtownie w jego stronę, będąc w połowie schodów prowadzących do sypialni i dramatycznym gestem wskazała na otwarte drzwi salonu.

— W takim razie — powiedziała triumfująco — dlaczego to samo przydarzyło się psu?

* * *

Mógł powiedzieć jej tej nocy, że chce to zakończyć, że jego sumienie nie pozwala mu już dłużej, — może i gotów był znieść jej gniew i żyć ze świadomością paradoksu, że decyzja może wynikać z dyktatu sumienia i mimo to być niemoralna (ponieważ jest okrutna, egoistyczna i podjęta tylko przez jedną stronę); ale kiedy wszedł do sypialni, ujęła jego twarz w dłonie i obserwowała go bacznie, żeby przekonać się, jak zareaguje na wiadomość o jej kłamstwach dotyczących brania przez nią środków antykoncepcyjnych. Była w ciąży. Okazało się, że ona o wiele lepiej sobie radzi z jednostronnymi decyzjami niż on i że po prostu wzięła sobie z niego dziecko, którego Saladyn Czamcza nie był jej w stanie dać. — Chciałam tego dziecka — krzyknęła wyzywająco, tuż przy jego twarzy. — A teraz zamierzam je urodzić.

Jej egoizm przelicytował jego własny. Odkrył, że czuje niesamowitą ulgę; zwolniony od odpowiedzialności dokonywania wyborów moralnych i wprowadzania ich w życie, — no bo jak mógł ją teraz zostawić? — wyrzucił takie myśli

z głowy i pozwolił, by łagodnie, ale niewzruszenie pchnęła go na łóżko.

* * *

Bez względu na to, czy uznamy, że przeobrażający się Saladyn Czamcza zmienił się w pewien rodzaj mutantu z książek science-fiction lub filmów grozy, a więc był rzadkim przykładem przypadkowej mutacji, która wkrótce miała go wyeliminować zgodnie z prawami doboru naturalnego, — czy też przekształcał się we wcielenie Władcy Piekieł, — czy też w zupełnie coś innego (a wnioskować w obecnej sprawie należy ostrożnie, przechodząc krok po kroku od jednego ustalonego faktu do drugiego, nie skracając sobie drogi do konkluzji, że ślepy zaułek nienawiści stanowi zaledwie cal lub dwa naszego szlaku ku przeznaczeniu) pozostaje faktem, że dwie córki Hadzi Sufjana wzięły Czamczę pod swoje skrzydła, opiekując się Bestią tak jak tylko Piękne potrafią; i że z biegiem czasu sam bardzo je polubił. Przez dłuższy czas uważał Miszal i Anahitę za nierozłączną parę, pięść i jej cień, wystrzał i echo, przy czym młodsza dziewczyna usiłowała zawsze rywalizować z wyższą od siebie, wojowniczą starszą siostrą, ćwicząc kopnięcia karate, wyprowadzane z przedramienia ciosy według systemu Wing-Chun, co było pochlebną imitacją bezkompromisowego stylu Miszal. Jednak ostatnio Czamcza ze smutkiem zauważył narastanie wrogości między siostrami. Któregoś wieczoru Miszal pokazywała mu z okna jego pokoiku na poddaszu bardziej znane postacie Ulicy, — o, tam, staruszek Sikh, który w czasie rasistowskiego napadu doznał szoku i stracił mowę; nie mówi już, według miejscowych, od prawie siedmiu lat; przed atakiem był jednym z nielicznych „czarnych” sędziów w mieście. . . , teraz jednak nie wypowiada żadnych skazujących formułek prawniczych i wszędzie towarzyszy mu jego kapryśna żona, odnosząca się do niego lekceważąco i z rozgoryczeniem. *O, nie zwracajcie na niego uwagi, on nigdy nie puszcza pary z ust;* a tam znowu, całkiem zwyczajnie wyglądający „typ księgowego” (określenie Miszal), który wraca do domu z teczką i pudełkiem słodczy w rękę; znany jest z tego na Ulicy, że rozwinął w sobie dziwny nawyk przestawiania co wieczór mebli w salonie przez pół godziny, ustawia krzesła rzędem, z przerwą na przejście w środku i udaje, iż jest konduktorem w autobusie jadącym do Bangladeszu, obsesyjna fantazja, zachcianka, w której musi brać udział cała rodzina, *dokładnie po pół godzinie otrząsa się z tego nastroju i przez pozostałą część doby pozostaje najnudniejszym facetem, jakie go można spotkać;* — po kilku minutach takich objaśnień piętnastoletnia Anahita wmieszała się do rozmowy ze złośliwą uwagą: — Ona chce przez to powiedzieć, że nie jesteś jedyną ofiarą, takich dziwadeł jest tu na pęczki, trzeba tylko dobrze popatrzeć.

Miszal miała zwyczaj mówić o Ulicy tak, jak gdyby było to mitologiczne pole walki, a ona, stojąc na wysokościach przy oknie poddasza Czamczy, była aniołem rejestrującym szczegóły, a także aniołem ferującym wyroki. To od niej Czamcza usłyszał baśni o nowych synach Kuru i Pandu, białych rasistach i czarnej „samopomocy”, czyli oddziałach straży obywatelskiej, występujących w tej nowożytnej *Mahabharacie*, albo też, co byłoby trafniejsze, *Mahawilajacie*. A tam dalej pod wiaduktem kolejowym Front Narodowy staczał bitwy z nieustraszonymi radykałami z Socjalistycznej Partii Robotniczej, — co niedzielę od czasu zamknięcia do czasu otwarcia — szydziła — pozostawiając nam wszystkim tyle gruzów do sprzątnięcia, że mieliśmy co robić przez resztę pieprzonego tygodnia. — W głębi tamtej uliczki słynna Trójka z Brickhall została zaatakowana i pobita przez policję, a następnie sterroryzowano ich i postawiono w stan oskarżenia; z kolei, gdyby skrócić w tę boczną uliczkę, znaleźlibyśmy się w miejscu, gdzie zamordowano Jamajczyka Ulissesa E. Lee, a plama na dywanie tamtej knajpy oznacza dokładnie miejsce, w którym wyzionął ducha Jatinder Singh Meht. — Thatcherizm wydał swoje owoce — perorowała Miszal, natomiast Czamcza, któremu zabrakło już ochoty i słów, by sprzeczać się z nią, by mówić o sprawiedliwości i rządach prawa, przyglądał się, jak w Anahicie narasta gniew. — Nie ma obecnie żadnych walnych bitew — wyjaśniała Miszal. — Teraz popiera się rozwój przedsiębiorczości na małą skalę i podkreśla się znaczenie pojedynczego człowieka. Innymi słowy, pięciu lub sześciu białych skurwysynów morduje nas, jednego po drugim. — Obecnie grupy ochotników wędrują nocami po Ulicy gotowi pogorszyć sytuację. — To nasza działka — powiedziała Miszal Sufjan o tej Ulicy bez jednego kwiatka jak okiem sięgnąć. — Niech tylko spróbują przyjść ją zabrać.

— Patrzcie ją — wybuchła Anahita. — Ależ wytworna z niej dama, no nie? A jak mądrze mówi. Wyobraźcie sobie, co powiedziałyby mama, gdyby wiedziała. — Gdyby co wiedziała, ty mała donosicielko? — Ale Anahita nie dała się zastraszyć: — O, tak — zawodziła. — O, tak, my wiemy, nie myśl sobie, że nie. Jak to w niedzielne poranki ona chodzi sobie na koncerty, na których potajemnie zażywają narkotyki, jak to przebiera się w damskiej toalecie w te bezwstydnie szmatki — z kim to wije się, kręci tyłkiem w dziennej dyskotecie Hot Wax, według niej ja o tym miejscu nigdy nie słyszałam — o tym, co się działo podczas tych tańców bluesowych, na które wymknęła się razem z Panem Ty-wiesz-kim Chujoglutem — to mi dopiero siostra — po czym zamknęła wystąpienie bardzo efektownie — prawdopodobnie skończy umierając na tak zwaną ignorancję. — Chciała powiedzieć, jak Czamcza i Miszal dobrze wiedzieli, — te reklamy filmowe, ekspresjonistyczne nagrobki powstające z ziemi i z morza, nieźle wszczepiły swój slogan, choćby w szczątkowej postaci, nie ma wątpliwości — *Aids*.

Miszal rzuciła się na siostrę, szarpnęła ją za włosy — Anahita, mimo że zabolęła ją to bardzo, zdołała jednak zrewanżować się następnym docinkiem. — Ja przynajmniej nie obcięłam swoich włosów i nie zamieniłam ich w dziwacz-

ną poduszkę do igieł, tylko jakimś pomyłkowemu może podobać się coś *takiego* — i obydwie wyszły, pozostawiając Czamczę jego myślom; zastanawiał się nad tym, co mogło spowodować, że Anahita tak nagle i tak całkowicie poparła etykę kobiecości głoszoną przez swoją matkę. *Dojrzewa jakaś burza*, podsumował.

I burza nadeszła: niedługo potem.

* * *

Coraz częściej w chwilach samotności czuł, że jakiś powolny ciężar pcha go ku dołowi, aż w końcu tracił przytomność i śmigał jak wiatraczek, a w tych okresach nieaktywności, które zresztą zawsze kończyły się tuż przed przyjściem gości, jego ciało wydawało zatrważające dźwięki, wycie piekielnych przetworników o-uuu, o-uuu, trzaskanie szatańskich kości. W takich to momentach jego ciało powoli rośło. A wraz z ciałem rosła liczba plotek na temat jego postaci; nie można zamknąć diabła na strychu i spodziewać się, że nikt się o tym nigdy nie dowie.

A oto, w jaki sposób wiadomość o nim dotarła do ludzi (bo przecież ci, którzy byli wtajemniczeni, trzymali język mocno za zębami, Sufjanowie — w obawie przed utratą klientów, „tymczasowi” dlatego, że ich ulotny status nie pozwalał im działać, przynajmniej na razie, — a wszystkie zainteresowane strony — po prostu z obawy przed przybyciem policji, która chętnie wykorzystywała każdą okazję do wkroczenia do instytucji tego typu, przy czym policjanci najzupełniej przypadkowo uderzali w drobniejsze meble i równie przypadkowo przydeptywali jakieś tam ramiona nogi szyje): zaczął się ukazywać mieszkańcom dzielnicy w ich snach. Mułłom meczetu Dżame Masdżid, który wcześniej był synagogą Machzikel Hadath, która z kolei zajęła miejsce kościoła kalwinów; — i doktorowi Uhuru Simbie, człowiekowi-górze w afrykańskiej okrągłej sztywnej czapeczce bez daszka i czerwono-żółto-czarnym ponczo, który stał na czele udanej kampanii protestów przeciwko programowi „Obcy z kosmosu” i którego Miszal Sufjan nienawidziła najbardziej ze wszystkich Murzynów, a to z powodu jego zamiłowania do bicia zarozumiałych kobiet pięścią w twarz, sama mogła służyć tu za przykład, stało się to w miejscu publicznym, na zebraniu, mnóstwo świadków, ale nie przeszkodziło to Doktorowi, to *szalony skurwysyn* powiedziała Czamczy, wskazując mu go któregoś dnia z okna pokoika na poddaszu, *zdolny do wszystkiego; mógł mnie wtedy zabić, a to wszystko dlatego, że rozpowiadałam naokoło, że nie jest żadnym tam Afrykańczykiem, znałam go, kiedy nazywał się po prostu Sylwester Roberts i mieszkał przy ulicy New Cross; pieprzony szarlatan, jeśli chcesz wiedzieć;* — ukazywał się też samej Miszal i Jumpy’emu, i Hanifowi; — a także Konduktorowi Autobusowemu, wszyscy oni widzieli go w swoich snach, jak góruje nad Ulicą

na kształt Apokalipsy i bez trudu spala miasto jak grzanekę. I w każdym z tych tysiąca i jeden snów on, gigantyczny i z turbanem na głowie Saladyn Czamcza śpiewał, śpiewał głosem tak diabelnie upiornym i gardłowym, że niemożliwością było rozpoznać słowa, mimo że okazało się, że te sny są emitowane z przerażającą jakością i tworzą pewien rodzaj serialu, każdy następny jest kontynuacją snu z nocy poprzedniej i tak dalej, noc po nocy, aż w końcu nawet Milczący Człowiek, były sędzia pokoju, który nie odezwał się słowem od tego wieczora w hinduskiej restauracji, kiedy to pijany młokos podsunął mu nóż pod nos, zagroził pocięciem go, a następnie popełnił o wiele bardziej skandaliczne przestępstwo, bo opluł mu całe jedzenie, — aż w końcu ten łagodny dżentelmen zadziwił swoją małżonkę, siadając nagle wyprostowany w łóżku, nadal pogrążony we śnie, pochylając głowę ku przodowi jak gołąb, klaszcząc dłońmi przy prawym uchu i wykrzykując z całych sił pieśń, która wydawała się tak cudzoziemska i była tak niewyraźna, że kobieta nie mogła zrozumieć ani słowa.

Ponieważ obecnie wszystko, co ma się zdarzyć, zdarza się raczej wcześniej niż później, podobizna diabła ze snów szybko weszła w obieg, stając się niezwykle popularną, trzeba to dodać, jedynie wśród grup, które Hal Valance nazwał ludźmi o *kolorowym przekonaniu*. I kiedy niekolorowym neo-georgianom jawił się we śnie ziejący siarką wróg, miażdżący swoją dymiącą piętą ich wychuchane rezydencje przywrócone do poprzedniej świetności, śpiący brązowi-i-czarni krzyczeli, dodając otuchy temu jak-by-nie-było-czarnemu, być może nieco skrzywionemu przez los klasę rasę historię, albo wszystkie naraz, złemu i wściekłemu, podnoszącemu wreszcie swój zasiedziały dotąd zad, aby kopnąć tamtą delikatną dupkę.

Początkowo sny te były intymną kwestią nocną, lecz wkrótce zaczęły przenikać w dzienne życie ludzi, kiedy azjatyccy sprzedawcy i producenci odznak koszulek afiszów zrozumieli potęgę tego snu, i wtedy z dnia na dzień pojawił się on wszędzie, na piersiach młodych ino dziewcząt i w oknach zakratowanych w obawie przed rzucanymi cegłami, był wyzwaniem i ostrzeżeniem. Sympatia dla Diabła; nowe życie dla starej śpiewki. Dzieciaki na Ulicy zaczęły nosić na głowach diabelskie rogi z gumy, zupełnie tak jak kilka lat wcześniej nosiły różowe-i-zielone kulki kołyszące się na końcach sztywnych drutów, kiedy to wołały naśladować obcych z kosmosu. Symbol Rogatego, z pięścią wzniesioną w górę na znak potęgi, zaczął pojawiać się wszędzie. Wskakiwał na flagi niesione w czasie demonstracji politycznych. Ocalić Sześciu, Uwolnić Czterech, Zjeść Heinza 57. *Pleasechu meechu*, śpiewały odbiorniki radiowe, *hopeyu guessma nayym*. Rzecznicy prasowi policji wskazywali na „rosnący kult diabła pośród młodych Murzynów i Azjatów”, nazywając go „pożałowania godną skłonnością”, korzystając z tego „nawrotu satanizmu” w walce z oskarżeniami Pani Pamelii Czamczy i miejscowych Komitetów do Spraw Stosunków Społecznych: Kto teraz jest czarownicą? — Czamcza — wykrzyknęła podniecona Miszal — jesteś bohaterem. Wiesz,

ludzie naprawdę identyfikują się z tobą. Białe społeczeństwo od tak dawna odrzuca ten obraz, że naprawdę możemy go przejąć, wiesz, zająć go, wprowadzić do niego nasze wartości, oswoić go i uczynić naszym. Czas najwyższy, żebyś zaczął działać.

— Odejdź — krzyknął Saladyn, pogrążony w plątaninie myśli. — Nie tego chciałem. To wcale nie to, co zamierzałem osiągnąć.

— W każdym razie stajesz się za duży na to poddasze — odparła Miszal, urażona. — Już wkrótce będzie ci tu za ciasno.

Wydarzenia zbliżały się do punktu kulminacyjnego.

* * *

— Następna starsza dama dostacz ciach wczorajszej nocy — oznajmił Hanif Johnson, siląc się, co było typowe dla niego, na wymowę trynidadzką. — Już więcej nie miecz żadne ubezpieczenie. — Anahita, której akurat przypadł dyżur za kontuarem Shaandaar Café, trzasnęła talerzami i filiżankami. — Nie wiem, dlaczego to robisz — utyskiwała. — Denerwuje mnie to. — Hanif nie zwrócił na nią uwagi, usiadł obok Jumpy'ego, który zamruczał nieprzytomnie: — Co mówią. — Myśl o nadchodzącym ojcostwie przygniatała Jumpy Joshiego, ale Hanif klepnął go po plecach. — Cóż, stara poezja nie robisz postępu, co, brachu — wyraził swoje współczucie. — Wyglądacz na to, że ta rzeka krwi po prostu stygnąca. — Tu Jumpy tak popatrzył na Hanifa, że ten z miejsca przestał się wygłupiać. — Mówią, co mówią — odpowiedział. — Zwracacz uwagę na kolorowi wolno jeżdżący samochodami. No, a gdyby staruszka była Murzynką, człowieku, wtedy mówiliby „Brak podstaw, by podejrzewać motywy rasowe”. Mówię ci — tu zupełnie już zrezygnował z silenia się na inny akcent. — Czasami poziom agresji pulsującej tuż pod skórą tego miasta po prostu mnie przeraża. I to nie tylko ten Rozpruwacz Staruszek. To jest wszędzie. Zawadzisz o gazetę faceta w porannym pociągu i pokiereszują ci twarz. Wydaje mi się, że wszyscy są jakoś cholernie *wściekli*. Łącznie, stary przyjacielu, z tobą — tą uwagą zakończył. Jumpy wstał, przeprosił i wyszedł bez słowa. Hanif przeciągnął się i poczęstował Anahitę swoim najbardziej ujmującym uśmiechem: — Co takiego ja zrobisz?

W odpowiedzi Anahita uśmiechnęła się słodko. — Czy ty kiedykolwiek pomyślicz, że być może ludzie nie przepadają za tobą aż tak bezgranicznie?

Kiedy rozniosła się wiadomość o następnym uderzeniu Rozpruwacza, coraz częściej dały się słyszeć głosy, że do rozwiązania tajemnicy tych ohydnych zabójstw starych kobiet dokonywanych przez „diabła w ludzkiej skórze” — który niezmiernie troskliwie układał organy wewnętrzne ofiar przy ich ciałach, płuca

przy uszach, a serca z oczywistych przyczyn włożone w usta — może doprowadzić śledztwo nad nowym okultyzmem, który zdobył sobie tak wielką popularność wśród murzyńskiej ludności miasta i który stał się też powodem poważnego zaniepokojenia władz miejskich.

W związku z tym nasilono zatrzymania i przesłuchania „kolorowych”, jak również zwiększono częstotliwość niespodziewanych najazdów policji na hoteliki „podejrzane o udzielanie schronienia zakonspirowanym komórkom ruchu okultystycznego”. Jakkolwiek nie przyznawano się do tego, a początkowo nawet nie zdawano sobie z tego sprawy, wszyscy: czarni brązowi biali zaczęli uważać postać ze snów za *prawdziwą*, za kogoś, kto przekroczył granicę, unikając kontroli wszelkich norm, i teraz wędrował nie skrupowany po mieście. Nielegalny tułacz — imigrant, król wyjętych spod prawa, ohydny przestępca lub bohater rasy, Saladyn Czamcza stawał się powoli rzeczywistością. Po mieście krążyły plotki: jakaś fizjoterapeutka sprzedała absurdalną historię niedzielnym gazetom, nie uwierzono temu, ale *nie ma dymu bez ognia*, mówili ludzie; był to bardzo niepewny stan rzeczy i wkrótce należało spodziewać się rozróby zakończonej posłaniem Shaandaar Café do diabła. Do dysputy przyłączyli się duchowni, którzy dodali jeszcze jeden wątpliwy element — powiązanie pomiędzy pojęciem *belzebub* a grzechem *bluźnierstwa* — do tej całej mieszanki. A Saladyn Czamcza powoli rósł na swoim poddaszu.

* * *

Przedkładał Lukrecjusza nad Owidiusza. Niestąły duch, zmienność wszystkiego, das Ich, do ostatniego źdźbła. Istota idąca przez życie może stać się tak *odmienna*, w swoim mniemaniu, że po prostu staje się kimś innym, oderwanym, odcięty od historii. Myślał czasami o Zini Wakil na tej drugiej planecie, w Bombaju, na krańcach galaktyki; Zini, ekletyczność, hybrydyzacja. Optymizm tamtych idei! Pewność, której byli pewni: wola, wybór! Ależ, mojaż ty Zini, życie po prostu ci się przytrafia, jak wypadek. Nie: to przydarza się jako wynik tego uwarunkowania. Nie wybór, lecz — w najlepszym razie — proces, a w najgorszym — wstrząsająca, całkowita zmiana. Nowość: poszukiwał innego rodzaju, a oto, co otrzymał.

Również gorycz i nienawiść, wszystkie te prostackie, ordynarne i nieokrzesane cechy. Wejdzie w tę swoją nową osobowość; będzie tym, czym się stał: głośnym, śmierzącym, olbrzymim, groteskowym, nieludzkim, potężnym. Miał świadomość, że może wyciągnąć mały palec i burzyć wieże kościelne przy pomocy tej siły, która wciąż w nim rosła, tego gniewu, tego gniewu, tego gniewu.

Moce.

Szukał kogoś, kogo mógłby obarczyć winą za to wszystko. On również miał sny; i tam w jego snach pewien kształt, pewna twarz podpływała coraz bliżej do niego, wciąż jeszcze była rozmazana jak oblicze upiora, mglista, ale wkrótce przyjdzie taki dzień, kiedy będzie mógł zwrócić się do niej, nazywając ją jej własnym imieniem.

Jestem, zgodził się, tym, czym jestem.

Uległość.

* * *

Jego życie w bezpiecznym kokonie Shaandaar Café, Noclegi-i-Śniadania, skończyło się nagle tego wieczoru, kiedy Hanif Johnson wszedł do kawiarni krzyżąc, że aresztowano Uhuru Simbę za morderstwa Rozpruwacza Staruszek, i że mówiono, że oskarżą go o Czarną Magię, zrobią z niego kapłana-vooodoo, barona-samedi, kozła ofiarnego, a akcje odwetowe — pobicia, ataki na domy, to co zwykle — już się zaczęły. — Zamknijcie drzwi na klucz — polecił Hanif Sufjanowi i Hind. — Czeka nas fatalna noc.

Hanif stał dokładnie na samym środku kawiarni, pewien wrażenia, jakie musi wyrzucić przyniesiona przez niego wiadomość, toteż kiedy Hind podeszła do niego i z całej siły uderzyła go w twarz, był tak nie przygotowany na ten cios, że po prostu zemdłał, bardziej ze zdziwienia niż z bólu. Ocucił go Jumpy, wylewając na niego szklankę wody, dokładnie tak, jak nauczył się z filmów. Jednak w owej chwili Hind była już w biurze, na piętrze, skąd wyrzucała wyposażenie biurowe przez okno na ulicę; taśmy maszynowe i czerwone tasiemki, służące do zabezpieczenia ważnych dokumentów prawnych, leciały w powietrze niczym świąteczne serpentyny. Anahita Sufjan nie potrafiła już dłużej walczyć z diabelskimi podszeptami swojej zazdrości i zdradziła matce tajemnicę związku Miszal z wielce obiecującym prawniko-politykiem, a wtedy nie było już niczego, co mogłoby powstrzymać Hind, wszystkie te lata jej poniżenia znalazły teraz swoje ujście; nie dosyć, że utknęła w tym kraju pełnym Żydów i przybyszów z obcych stron, którzy pakowali ją do jednego worka z Murzynami, nie dosyć, że mąż był słabym człowiekiem, który co prawda odbył hadżdżę, ale któremu we własnym domu nie można było zawracać głowy pobożnością, nie dosyć było tego wszystkiego, to jeszcze musiała ją spotkać taka rzecz; ruszyła na Miszal z nożem kuchennym, a jej córka odpowiedziała bolesną serią kopnięć i uderzeń, oczywiście tylko z zakresu samoobrony, inaczej z całą pewnością skończyłoby się to matkobójstwem. — Hanif odzyskał przytomność i Hadzi Sufjan pochylił się nad nim, nieskoordynowane

ruchy rąk były odzwierciedleniem bezradności, nie ukrywając łez, niezdolny czerpać pociechę z wiedzy, ponieważ jeżeli dla większości muzułmanów podróż do Mekki była wielkim błogosławieństwem, w jego przypadku stała się początkiem działania klątwy; — Odejdź — powiedział — Hanifie, mój przyjacielu, wynoś się. — Ale Hanif nie zamierzał się wynieść bez wypowiedzenia ostatniego słowa, *Trzymałem gębę na kłódkę zbyt długo* — krzyczał — *nazywacie siebie ludźmi o wysokiej moralności, podczas gdy zbijacie fortuny na nieszczęściu własnej rasy*, stało się wtedy jasne, że Hadzi Sufjan nie miał pojęcia o pobieranych przez żonę opłatach, która nie powiedziała mu o tym, i zaklęła na wszystkie świętości swoje córki, aby dochowały tajemnicy, wiedząc, że jeśli on to odkryje, na pewno znajdzie sposób na zwrócenie tych pieniędzy, tym samym pogrążając całą rodzinę w ubóstwie; — a on, wiecznie żywy rodzinny duch Shaandaar Café, straciłby całą radość życia. A teraz w kawiarni pojawiła się Miszal i ku zawstydzeniu rodziny zaczęła wywlekać na światło dzienne ich prywatne sprawy, które jak tania komedia rozegrały się przed oczyma klientów, — pomimo ucieczki ostatniej amatorki herbaty, która wyniosła się z widowni tak szybko, jak były w stanie unieść ją stare nogi. Miszal trzymała w rękach torby. — Ja też się wyprowadzam — zakomunikowała. — Spróbuj mnie zatrzymać. To tylko jedenaście dni.

Kiedy Hind zobaczyła swoją starszą córkę, odchodzącą z jej życia na zawsze, zrozumiała, że to cena, jaką płaci człowiek za przyjęcie pod swój dach Księcia Ciemności. Błagała męża, by pojął wreszcie, że jego dobroduszna bezinteresowność sprowadziła na nich to piekło i gdyby tylko ten diabeł Czamcza został usunięty po pierwszych zwiastunach nadchodzącego nieszczęścia, wtedy zapewne mogliby na powrót stać się szczęśliwą rodziną z tradycjami. Zaledwie jednak zamilkła, dom nad jej głową zaczął grzmieć i trząść się i wkrótce na schodach rozległo się ciężkie stąpanie czegoś, co ryczało i jakby podśpiewywało sobie i to głosem tak wstrętne ochrypłym, że niemożliwością wprost było zrozumieć słowa.

W końcu Miszal zdobyła się na odwagę i poszła na górę. Miszal z Hanifem Johnsonem trzymającym ją za rękę, a zdrajczyni Anahita przyglądała się temu z dołu. Czamcza rozrósł się i mierzył obecnie prawie dwa i pół metra, z jego nozdrzy wydobywał się dym w dwóch różnych kolorach: żółty z lewej strony, a czarny z prawej. Stwór nie miał na sobie odzienia. Włosy na ciele zmieniły się w gęstą i długą sierść, ogon w złości ze świstem przecinał powietrze, oczy były bladoczerwone, ale błyszczące i potwór zdążył już śmiertelnie przerazić „tymczasowych” lokatorów, wszystkich „tymczasowych” mieszkańców instytucji noclegi i śniadania. Jednakże Miszal nie była na tyle wystraszona, żeby stracić głos. — Dokąd to się wybierasz? — zapytała go. — Myślisz, że przeżyjesz na ulicy choćby pięć minut, wyglądając tak jak wylądasz? — Czamcza przystanął, spojrzał na siebie, dostrzegł pokaźnych rozmiarów erekcję, która zaczynała się gdzieś w okolicach łędźwi i wzruszył ramionami. — Zamierzam *natychmiast zacząć działać* — powiedział, używając jej własnych słów, jakkolwiek wypowiedziane tym gło-

sem ze sfery lawy, gromów i piorunów, nie wydawały się należeć do niej. — Jest pewna osoba, którą pragnę odnaleźć.

— Ściągnij cugle — odpowiedziała Miszal. — Coś wymyślimy.

* * *

Cóż można tu znaleźć, w odległości około jednej mili od kawiarni Shaandaar, tu gdzie rytm wychodzi na ulicę, tu w Klubie Hot Wax, dawniej u Brązowo-Czarnych? W tę nieszczęsną i bezksiężycową noc pójdźmy za tymi postaciami — niektóre z nich idą dumnym krokiem, wystrojone, drepczące niecierpliwie w miejscu, inne przemykają się ukradkiem, trzymając się cienia, nieśmiałe — dążącymi tutaj z całej okolicy i nagle zapadającymi się pod ziemię, za tymi bardzo zwyczajnymi drzwiami. A co wewnątrz? Światła, płyny, pudry, proszki, trzęsące się ciała, pojedynczo, parami, trójkami, próbujące wszelkich możliwości. Leczący są te inne postacie, niemal niewidoczne w migoczącym tęczowym blasku *przeźreni*, te formy zastygłe w swoich pozach pośród oszalałych tancerzy? Kim są ci, którzy gotowi są pisać w rytmie hip-hop i hindu-pop, ale nie poruszają się ani o krok? — Świetnie wyglądacie, pospolite ruszenie Klubu Hot Wax! — Nasz gospodarz mówi: deklamuje z patosem, wznosi toasty, niezrównany DJ — tańczący Pinkwalla, jego świetlisty strój skrzy się zgodnie z pulsem rytmu. Naprawdę jest nadzwyczajny; albinos o ponad dwóch metrach wzrostu, włosy w odcieniu najbledszego różu, podobnego koloru białka jego oczu, rysy niewątpliwie hinduskie, hardy nos, wąskie usta, twarz jakby przeniesiona z tkaniny *Hamzanama*. Hindus, który nigdy nie widział Indii, człowiek Wschodnich Indii z Indii Zachodnich, biały czarny. Gwiazda.

W dalszym ciągu nieruchome postacie tańczą pośród gibających się siostr, podskoków i odskoków młodzieży. Co to za postacie? — Cóż, figury woskowe, nic więcej. — Kim są? — Historią. Popatrz, oto Mary Seacole, która zdziałała na Krymie tyle samo, co inna Dama od magicznej lampy, ale z powodu ciemnej skóry była niewidoczna przy płomyku świecy Florence; — a tam znowu, o tam! Niejaki Abdulkadir, znany jako Munsji, którego królowa Wiktorja chciała odznaczyć, ale został oszukany przez ministrów mających awersję do kolorów. Są tu oni wszyscy, tańczą bez ruchu w gorącym wosku: czarny błazen Septymiusza Sewera, to ten na prawo; na lewo tańczy cyrulik Jerzego IV z niewolnicą, Grace Jones. Afrykański książę Ukawsaw Groniosaw, sprzedany za sześć łokci sukna, tańczy swój staroświecki taniec razem z synem niewolnika, Ignatiusem Sancho, który w 1782 został pierwszym afrykańskim autorem, którego dzieło opublikowano w Anglii. — Ci migranci przeszłości, w równym stopniu poprzednicy, jak i krew z krwi,

kość z kości żywych tu tancerzy, wirują nieruchomo, podczas gdy Pinkwalla deklamuje wznosi toasty dowcipkuje na scenie. *Teraz-mi-czuć-abominacja-kiedy-ich-mó-więc-imigracja-kiedy-ich-robić-insynuacja-myywiznie-częścią-nacji-i-my-z-melka-dete rminacja-dać-wyktad-od-Rzymu-Okupacja*, a z różnych części zatłoczonej sali czołgają się ze strachu i wysyłają przerażone grymasy skąpani w zielonym świetle zła, woskowi nikczemnicy: Mosley, Powell, Edward Long i inni miejscowi awatarzy Legree. I nagle słychać pomruk w samych trzewiach Klubu, pomruk narasta, staje się pojedynczym słowem, skandowanym raz po raz: — Stopić — zażądali goście. — Stopić, stopić, stop.

Pinkwalla szybko podchwycił myśl tłumu, *więc-to-czas-topienia-kiedy-zbrodniarze-ustawiają-się-w-kolejce-aby-smażyć-się-w-piekielnym-ogniu*, po czym zwraca się do tłumu z szeroko rozpostartymi ramionami, nogi ruszają się zgodnie z rytmem i pyta *Kto-to-ma-być? — Kogo-chcecie-zobaczyć?* Wykrzykują nazwiska, głosy rywalizują ze sobą zlewają się, aż w końcu zebrane towarzystwo jest znowu jednomyślne i skanduje tylko jedno słowo. Pinkwalla klaszcze w dłonie. Za jego plecami rozsunała się kurtyna, co pozwala dziewczynom w błyszczących różowych szortach i krótkich koszulkach wytoczyć przerażającą szafkę: wysokości człowieka, z przednią ścianą ze szkła i wewnętrznym oświetleniem — kuchenkę mikrofalową, z kompletnym wyposażeniem i Krzesłem Elektrycznym, która znana jest bywalcom jako: Kuchnia Piekieł. — W porządku — krzyczy Pinkwalla. — No, teraz to naprawdę gotujemy.

Dziewczyny z obsługi idą w stronę grupy znienawidzonych postaci, rzucają się na tę, która dzisiejszej nocy ma być złożona w ofierze, postać najczęściej dotąd wybierana, jeżeli mamy powiedzieć prawdę, przynajmniej trzy razy w tygodniu. Ze swoją trwałą ondulacją, perłami na szyi, niebieskim strojem. *Maggie-maggie-maggie* — wyje tłum. — *Na stos-na stos-na stos*. Przywiązują kukłę do Krzesła Elektrycznego. Pinkwalla naciska przełącznik. O, jak pięknie się topi, od środka, później na zewnątrz, zapadając się w bezkształtność. A później jest już jedynie kałużą i tłum wzdycha w ekstazie: *zrobione*. — Ależ tym razem był ogień — mówi im Pinkwalla. Muzyka ponownie zawładnęła nocą.

* * *

Kiedy DJ Pinkwalla zobaczył, jaki to stwór wspina się pod osłoną ciemności na tył jego bagażówki, którą jego przyjaciele Hanif i Miszal polecieli mu postawić pod kawiarnię Shaandaar od podwórza, serce zamarło w nim ze strachu przed czarami; ale doznał też uczucia przeciwnego, radości, kiedy zdał sobie sprawę z tego, że potężny bohater wielu jego snów jest postacią prawdziwą, z krwi-i-kości. Stał

później po drugiej stronie ulicy pod latarnią i trząsał się cały, mimo że nie było specjalnie zimno, stał tam z pół godziny, podczas gdy Miszal i Hanif usilnie go przekonywali, *on potrzebuje jakiegoś lokum, musimy myśleć o jego przyszłości*. Wreszcie wzruszył ramionami, poszedł do bagażówki i uruchomił silnik. Hanif usiadł obok niego w kabinie; Miszal jechała z tyłu z Saladynem, ukrytym przed ludzkim wzrokiem.

Była prawie czwarta nad ranem, kiedy ułożyli Czamczę do snu w pustym i zamkniętym nocnym klubie. Pinkwalla — nikt nigdy nie nazywał go jego właściwym nazwiskiem Sewsunker — zdobył gdzieś na zapleczu kilka śpiworów i to wystarczyło. Hanif Johnson, mówiąc dobranoc tej przerażającej istocie, której jego kochanka Miszal zupełnie się nie obawiała, usiłował nadać rozmowie ton poważny. — Musisz zdać sobie sprawę z tego, że możesz być nam bardzo potrzebny, że chodzi tu o coś więcej niż twoje osobiste problemy — ale mutant Saladyn tylko prychnął, żółtym i czarnym dymem, i Hanif szybko się wycofał. Kiedy Czamcza pozostał sam na sam z figurami woskowymi, mógł znowu skoncentrować swoje myśli na twarzy, która wreszcie ukazała się oczom jego duszy jako jedna całość, na tej promieniującej twarzy, otoczonej światłem płynącym z punktu tuż na głowę, na Panu Perfecto, odtwórcy bogów, który zawsze spadał na cztery łapy, któremu zawsze wybaczano grzechy, którego zawsze kochano, chwalono, wielbiono... twarz tę usiłował odtworzyć w swoich snach, Pana Gibrila Fariszę równie pewnie przekształconego w coś na podobieństwo anioła, jak on sam był zwierciadlanym odbiciem samego Diabła.

Kogo Diabeł powinien winić, jeśli nie Archanioła, Gibrila?

Stwór w śpiworze otworzył oczy, z jego nozdrzy począł wysnuwać się dym. Twarze wszystkich woskowych figur były teraz takie same, twarz Gibrila, z charakterystyczną grzywką nad czołem i jego spojrzenie — przeciągłe ostre ponure dobre. Stwór obnażył zęby i zrobił głęboki, długi wydech o obrzydliwym zapachu i z figur woskowych zostały kałuże i ubrania. Stało się tak z wszystkimi figurami, co do jednej. Stwór z powrotem położył się, zadowolony. I skupił całą uwagę na swoim wrogu.

Wtedy właśnie zaczął odczuwać, że w jego wnętrzu mają miejsce dziwne procesy, jakieś ściskanie, wsysanie, cofanie się; jego ciałem wstrząsnęły straszliwe konwulsje. Skowyczał przy tym głosem tak przenikliwym, że nikt, nawet Miszal, która stała z Hanifem w pokoju Pinkwalli nad Klubem, nie zdobyła się na odwagę, by zejść na dół i zbadać sytuację. Bóle stawały się bardziej intensywne i stwór miotał się po parkiecie, waląc rękoma i nogami we wszystko, co stało na drodze i zawodząc żałośnie; aż w końcu, gdy spłynęła nań upragniona ulga, natychmiast zasnął.

Kiedy Miszal, Hanif i Pinkwalla ośmielili się kilka godzin później zejść do sali Klubu, oczom ich ukazała się scena przerażającego spustoszenia, powywracane stoły, połamane krzesła i, co oczywiste, wszystkie figury woskowe — i dobre,

i złe — Topsy i Legree — roztopiły się jak masło; a w samym środku tego pojowiska, śpiąc jak niemowlę, wcale nie żadna postać z mitologii, żadny tam konwencjonalny Stwór znany z obrazów, z rogami i o piekielnym oddechu, ale pan Saladyn Czamcza we własnej osobie, najwyraźniej przywrócony do swojej dawnej postaci, nagusieńki jak go Pan Bóg stworzył, lecz o ludzkim wyglądzie i proporcjach, *uczłowieczony* — cóż pozostało innego jak podsumować? — poprzez przerażającą koncentrację własnej nienawiści.

Otworzył oczy; które wciąż żarzyły się bladą czerwienią.

Alleluja Cone, schodząc z Everestu, zobaczyła miasto z lodu na zachód od Obozu Szóstego, za Opaską Skalną, całe lśniące w świetle słonecznym poniżej masywu Cho Oyu. *Shangri-La* pomyślała natychmiast; jednak nie była to wcale żadna zielona dolina nieśmiertelności, lecz metropolia gigantycznych lodowych iglic, cienkich, ostrych i zimnych. Z zamyślenia wyrwał ją głos Szerpy Pemby, nakazującego jej zachowanie koncentracji i kiedy obejrzała się, miasta już nie było. Znajdowała się wciąż na wysokości ośmiu tysięcy metrów, ale widok nie widzianego miasta przeniósł ją wstecz w czasie i przestrzeni do gabinetu przy londyńskim Bayswater, pełnego starych ciemnych mebli i ciężkich aksamitnych zasłon, w którym jej ojciec, Otto Cone, historyk sztuki i biograf Picabii, opowiadał jej — wchodziła wówczas w swój cztertnasty, a on w ostatni rok życia — o „najbardziej niebezpiecznym ze wszystkich kłamstw, jakim karmi się nas za naszego życia”, którym jest, według niego, idea continuum. Jeżeli ktokolwiek będzie usiłował ci wmówić, że ta najpiękniejsza i najbardziej zła z planet jest jednak jednorodna, że składa się z możliwych do pogodzenia elementów, że ostatecznie to wszystko pięknie się *sumuje*, dzwoni wówczas do krawca szyjącego kaftany bezpieczeństwa — poradził jej, i udało mu się przy tym stworzyć wrażenie, że przed dojściem do takiego wniosku zwiedził więcej niż jedną planetę. — Świat składa się z elementów nie do pogodzenia, nigdy tego nie zapomnij: jest wariatem. Duchy, naziści, święci, wszyscy oni żyją obok siebie; na jednej ulicy, w jednym miejscu — błogie szczęście, a nieco dalej — piekło. Nie ma nigdzie niczego bardziej zwariowanego”. Otto nie przejąłby się wcale lodowymi miastami na dachu świata. Podobnie jak jego żona Alicja, matka Allie, był polskim emigrantem, człowiekiem, któremu udało się przeżyć obóz koncentracyjny w czasach wojny; nazwy obozu nie wymieniono przy Allie przez całe dzieciństwo. Chciał wymazać obóz z pamięci, jak gdyby go w ogóle nie było — powiedziała później Alicja swojej córce. — Pod wieloma względami nie był realistą. Ale był dobrym człowiekiem; najlepszym, jakiego znałam. — Twarz jej rozjaśniła się przy tym jakimś wewnętrznym uśmiechem tolerancji, na którą nie zawsze było ją stać za jego życia, kiedy często był dla niej po prostu przerażający. Na przykład: żywił taką nienawiść do komunizmu, że prowadziło to do skrajnych reakcji, kłopotliwych dla innych, zwłaszcza podczas Świąt Bożego Narodzenia, kiedy to ten Żyd upierał się, że będzie wraz ze swoją żydowską rodziną i znajomymi Żydami obchodził święta według czegoś, co określał jako „angielski rytuał”, na dowód szacunku dla narodu, dla swojego nowego „narodu zastępczego” — a następnie zepsuł wszystko (w opinii żony) wpadając do salonu, gdzie zebrane towarzystwo odpoczywało przy żarzącym się na kominku ogniu, świecących na choince lampkach i kieliszku brandy, przebrany za typowego Chińczyka z pantomimy, z obwisłym wąsem i tak dalej, i krzycząc:

— Święty Mikołaj nie żyje! Zabiłem go! Jestem Mao: żadnych prezentów dla nikogo! Hi — hi — hi! — Wspominając to na Evereście, Allie skrzywiła się — grymas jej matki, zdała sobie z tego sprawę, został przeniesiony na jej własną oszronioną twarz.

Niemożność pogodzenia elementów życia: w namiocie Obozu Czwartego, osiem tysięcy dwieście osiemdziesiąt metrów, idea, która nieraz była natchnieniem jej ojca, wydawała się banalna, pozbawiona znaczenia, *atmosfery*, przez samą wysokość. — Everest cię wycisza — zwierzyła się Gibrilowi Fariszcie w łóżku, nad którym jedwab spadochronu tworzył firmament pustych Himalajów. — Kiedy schodzisz w dół, wydaje się, że nie ma niczego, o czym warto by mówić, dosłownie niczego. Stwierdzasz, że spowija cię nicość, jak dźwięk. Niebyt. Nie można tego utrzymać przez dłuższy czas, oczywiście. Świat szybko znowu wdiera się w ciebie. A zamyka ci usta, jak sądzę, ten obraz czegoś doskonałego, który miałeś przed oczyma: dlaczegoż mówić o tym, jeżeli nie dysponujesz doskonałymi myślami, doskonałymi zdaniem? Odczuwa się to jako zdradę tego, przez co się przeszło. Ale uczucie to zanika; zgadzasz się z tym, że pewne kompromisy, zaniknięcia rozdziałów są konieczne, jeżeli mamy trwać. Podczas pierwszych wspólnych tygodni większość czasu spędzili w łóżku: pożądanie, jakie odczuwali wobec siebie, zdawało się być nie do zaspokojenia, kochali się sześć lub siedem razy dziennie. — Otworzyłeś mnie — mówiła mu. — Ty, z tą szynką w ustach. Wyglądało to dosłownie tak, jak gdybyś rozmawiał ze mną, jak gdybym mogła czytać w twoich myślach. Nie, nie jak gdyby — dodała. — Ja naprawdę w nich czytałam, czy nie tak? Kiwnął głową: — Prawda. — Czytałam w twoich myślach, a z moich ust wypływały właśnie te słowa, co trzeba — powtarzała zdumiona. — Po prostu wypływały. Brawo: miłość. Na początku było słowo.

Matka Allie zapatrywała się fatalistycznie na ten dramatyczny zwrot w jej życiu, na ten powrót kochanka z za grobu. — Powiem ci uczciwie, co pomyślałam, kiedy przekazałaś mi wiadomość — mówiła nad obiadową zupką i kreplach w restauracji Blooma w Whitechapel. — Pomyślałam sobie, Boże mój, to wielka namiętność, i biedna Allie musi teraz właśnie przez to przechodzić, nieszczęsne dziecko. — Strategia Alicji polegała na dokładnym panowaniu nad swoimi uczuciami. Była wysoką kobietą o bujnych kształtach i zmysłowych ustach, ale jak sama przyznawała, „Nigdy nie krzyczałam z rozkoszy”. Szczerze mówiła Allie o swojej seksualnej bierności i ujawniła, że Otto wykazywał, „Powiedzmy, inne skłonności. Miał słabość do wielkiej namiętności i zawsze był bardzo przygnębiony z tego powodu, że nie umiem dojść do stanu dużego podniecenia”. Pocięszała ją jednak świadomość, że kobiety, z którymi zadawał się jej niski, łysy i kapryśny mąż, były „jej typu”, podobne do niej, wysokie i hoże, „poza tym, że były również bezwstydnymi: robiły to, co on chciał, krzyczały głośno, aby go jeszcze bardziej podniecić, udając, ile tylko mogły; reagowały w ten sposób na jego zapach, sądzę, a być może również na jego książeczkę czekową. Był ze starej szkoły i dawał

hojne prezenty”.

Otto nazywał Alleluję swoją „bezcenną perłą” i marzył o wielkiej przyszłości dla niej, przyszłości wielkiej pianistki lub, gdyby to nie wyszło, Muzy. „Twoja siostra, szczerze mówiąc, zawiodła moje nadzieje — powiedział trzy tygodnie przed swoją śmiercią w tym gabinecie Wielkich Ksiąg pełnym Picabiańskich bi-belotów — a to wypchana mała, która, według niego, była „pierwszym szkicem” słynnego *Portretu Cezanne’a*, *Portretu Rembrandta*, *Portretu Renoira*, a to liczne urządzenia mechaniczne, pomiędzy nimi stymulatory seksualne, które potrafiły wywoływać lekkie wstrząsy elektryczne, a to znowu pierwsze wydanie *Ubu Króla* Jarry’ego. Zamiast myśli Elena ma zachcianki. Zangielszczył to imię — z Jelienny na Ellayna — podobnie zresztą jak jego pomysłem było skrócenie Alleluji do Allie, a także usunięcie drażliwego fragmentu z własnej książki życia, zamiana Cohena z Warszawy na Cone’a. Echa przeszłości przygnębiały go; nie czytał w ogóle literatury polskiej, odwrócił się plecami do Herberta, do Miłosza, do „młodszych facetów”, takich jak Barańczak, ponieważ w jego oczach język ten był nieodwracalnie skażony przez historię. Jestem teraz Anglikiem — mówił dumnie z wyraźnym wschodnioeuropejskim akcentem. — Głupie średniaki! Też mi coś! Wdowa po Księciu Windsoru! Wielkie zero. — Pomimo tych niedopowiedzeń robił wrażenie człowieka w miarę zadowolonego z tego, że jest pantomimicznym członkiem angielskiej klasy wyższej. Jednak z perspektywy lat wydawało się prawdopodobne, że dobrze wiedział, iż całe przedstawienie opiera się na bardzo kruchych podstawach i dlatego też grube zasłony w jego pokoju były zawsze zaciągnięte, na wypadek gdyby nielogiczność rzeczy kazała mu zobaczyć za oknem potwory lub krajobraz księżycowy zamiast dobrze znanej Moscow Road.

— Był całkowitym zwolennikiem stopienia się wielu narodowości w jeden naród — powiedziała Alicja atakując dużą porcję cymesu. — Kiedy zmienił nasze nazwisko, powiedziałam mu, Otto, nikt tego od nas nie żąda, to nie Ameryka, to Londyn W-2; ale on chciał zacząć zupełnie od nowa i wymazać przeszłość, nawet swoje żydowskie pochodzenie, wybacz, ale tak było. Te walki z Radą Deputowanych! Wszyscy zachowywali się nienagannie, kulturalne słowa od początku do końca, niemniej jednak szła tam walka na noże. — Po jego śmierci wróciła od razu do nazwiska Cohen, do synagogi, chanuki i Blooma. — Koniec z imitacją życia — żując, machnęła widelcem w nagłym, roztargnionym ruchu. — Ten film. Przepadałam za nim. Lana Turner, czyż nie? I Mahalia Jackson śpiewająca w kościele.

Mając lat siedemdziesiąt z okładem Otto Cone skoczył do szybu dźwigowego bez windy i zginął. I była to sprawa, o której Alicja absolutnie nie chciała mówić, mimo iż zazwyczaj nie uznawała niemal żadnych tematów tabu: dlaczego więzień, który przeżył obozy koncentracyjne, żyje jeszcze czterdzieści lat, po czym wykańcza to, czego nie zdołały zrobić te bestie? Czy ostatecznie, triumfuje wielkie zło bez względu na wysiłki przeciwstawienia się mu? Czy pozostawia ono we

krwi lodową drzazgę, aby powoli torowała sobie drogę i w końcu uderzyła w serce? Albo gorzej: czy śmierć człowieka może być niezgodna z jego życiem? Allie, której pierwszą reakcją na wiadomość o śmierci ojca był atak szału, zarzucała teraz matkę pytaniami właśnie tego typu. A ona, z kamienną twarzą ukrytą pod szerokim rondem czarnego kapelusza, powiedziała tylko: — Odziedziczyłaś po nim brak umiaru, moja droga.

Po śmierci Ottona Alicja zarzuciła elegancki wyniosły styl ubierania się i gestykulacji, który był dotąd jej ofiarą składaną na ołtarzu męzowskiej pasji osiągnięcia integracji, jej próbą stania się jego beatonowską wielką damą. — Uff — zwierzyła się Allie — co za ulga, moja droga, znowu być dla odmiany niezgrabną. — Upinała teraz swoje rzadkie siwe włosy w kok, nosiła jedną po drugiej identyczne perkalowe sukienki z supermarketu z nadrukowanymi wzorami kwiatów, przestała się malować, sprawiła sobie źle dopasowaną bolesną sztuczną szczękę, sadziła jarzyny, tam gdzie według Ottona miał być angielski ogród kwiatowy (porządnie utrzymane rabatki wokół centralnego, symbolicznego drzewa, „chimery” powstałej ze szczodrzenia i janowca) i wydała, w miejsce kolacji pełnych intelektualnego szczebiotu, cały szereg obiadów — każdy z nich to ciężkostrawne gulasze i minimum trzy niesamowite puddingi — na których węgierscy dysydenci poeci opowiadali mętne dowcipy Gurdzijewowskim mistykom, albo też (jeżeli była totalna kłapa) goście siedzieli na poduszkach na podłodze, wpatrzeni ponuro w swoje naładowane talerze i w pokoju panowało coś na kształt totalnej ciszy, i to zdawało się trwać całe tygodnie. Allie w końcu porzuciła ten rytuał niedzielnych popołudni i tkwiła nadąsana w swoim pokoju, aż osiągnęła pełnoletność i mogła się wyprowadzić, na co Alicja chętnie przystała; porzuciła również drogę, jaką wybrał dla niej ojciec, którego sprzeniewierzenie się własnej woli przetrwania z okresu wojny tak bardzo ją rozżłościła. Zwróciła się ku działaniu; i odkryła, że czekają na nią góry, na które musi się wspiąć.

Alicja Cohen, która tę zmianę kursu Allie uznała za rzecz całkowicie zrozumiałą, a nawet godną pochwały, i która kibicowała jej przez cały czas, nie rozumiała poczynań córki (przyznała to przy kawie), jeśli chodzi o Gibrila Fariszę, powracającą z zaświatów gwiazdę filmu hinduskiego.

— Sposób, w jaki o nim mówisz, moja droga, świadczy o tym, że nie jest to człowiek twojej klasy — powiedziała, używając zwrotu, który, jak sądziła, znaczy tyle samo co *nie w twoim typie*, byłaby oburzona, gdyby ktoś odebrał to jako obraźliwą uwagę o podłożu rasowym lub religijnym, zmazę albo plamę: nieoczekiwanie właśnie w tym znaczeniu odebrała ten zwrot jej córka, Allie. — Mnie to nie przeszkadza — odcięła się żywo i wstała. — W rzeczy samej nawet nie *lubię* mojej klasy.

Stopy miała obolałe i z tego powodu wyszła z restauracji kuśtykając, zamiast wypaść z niej jak burza. — Wielka namiętność — usłyszała za sobą, jak jej matka mówi głośno, na całą salę. — Dar języków; oznacza to, że każda dziewczyna

może wyrzucić z siebie każde bluźnierstwo.

* * *

Pewne aspekty edukacji zostały z niewiadomych powodów przez nią zaniedbane. Którejś niedzieli tuż po śmierci ojca kupowała właśnie niedzielną prasę w kiosku na rogu ulicy, kiedy sprzedawca oznajmił: — To już ostatni tydzień. Stoję na tym rogu od dwudziestu trzech lat i w końcu przez Pakistańców muszę zwiąć interes. — Dostyszała tylko słowo p-a-k-i i od razu stanął jej przed oczyma dziwny obraz słoni ciężko biegnących wzdłuż Moscow Road i wdeptujących w ziemię sprzedawców niedzielnych gazet. — Co to takiego paki? — zadała niemądre pytanie, a w odpowiedzi otrzymała zjadliwe: — Brązowy Żyd. — Po tym wydarzeniu przez długi czas uważała właścicieli miejscowego kiosku „SPP” (słodycze-papierosy-prasa) za *pakidermów*: grupy ludzi izolowanej i obrzydliwej ze względu na kolor swojej skóry. Opowiedziała tę historyjkę również Gibrilowi. — Och, — jego odpowiedź była miażdżąca, — ciężki dowcip. — Nie był on łatwym człowiekiem.

Niemniej jednak miała go akurat w swoim łóżku, tego wielkiego prostackiego faceta, przed którym potrafiła otworzyć się jak przed nikim dotąd; potrafił sięgnąć dłonią do samego jej serca i pieścić je. Od dawna już nie wchodziła na arenę życia seksualnego z taką skwapliwością i nigdy przedtem tak szybko nawiązany romans nie pozostawał całkowicie wolny od wyrzutów sumienia i uczucia obrzydzenia do samej siebie. Przedłużające się milczenie Gibrila (gdyż za takie je uważała, aż do chwili, gdy dowiedziała się, że jego nazwisko figurowało na liście pasażerów *Bustana*) bolało bardzo i świadczyło o tym, że on inaczej ocenia ich spotkanie; ale pomylić się co do jego pożądanego, co do jego samotności, choć to bolesne uświadomienie, było niemożliwe. Tak więc wiadomość o jego śmierci wywołała u niej dwojakiego rodzaju reakcję: z jednej strony odczuwała wdzięczność, ulgę i radość, jakie czerpała ze świadomości, że oto gnał przez pół świata, żeby tylko zrobić jej niespodziankę, że zrezygnował z całego swojego dotychczasowego życia po to, aby zacząć budować nowe razem z nią, no i z drugiej strony pozostał jej pusty żal, że odebrano go jej dosłownie w tym momencie, kiedy spostrzegła, że ktoś ją naprawdę kocha. Później zdała sobie sprawę z jeszcze jednej, już nie tak szlachetnej myśli. Co też on sobie wyobrażał, jeśli zamierzał przybyć bez uprzedzenia pod jej drzwi i jeśli spodziewał się, że będzie na niego czekała z otwartymi ramionami, że będzie prowadził życie wolne od obciążeń i że bez wątplenia zamieszkają w apartamencie wystarczająco dużym dla nich obojga? Takiego postępowania można było się spodziewać po zepsutym do cna aktorze filmowym, który

oczekuje, iż przedmioty jego pożądanego wpadną mu w ręce jak dojrzałe śliwki... krótko mówiąc, czuła, że naruszono jej spokój, względnie zamierzano to uczynić. Po takich myślach czyniła sobie wyrzuty, a same myśli spychała do dołu, z którego wypęzły, bo czyż Gibril nie zapłacił ciężko za swoją pewność, jeżeli to naprawdę była pewność siebie. Zmarły kochanek zasługuje na to, by wątpliwości, które go dotyczą, interpretować na jego korzyść.

Później znowu leżał nieprzytomny u jej stóp w śniegu, a jej aż dech zaparło na samą myśl, jak nieprawdopodobny jest fakt jego istnienia, i przez chwilę zastanawiała się, czy aby nie jest on wynikiem jeszcze jednej aberracji wzrokowej, których miała dotąd całą serię — wołała użyć tu neutralnego zwrotu, zamiast bardziej obciążonego semantycznie słowa *wizje* — i które prześladowały ją od chwili, kiedy pogardziła butlami z tlenem i postanowiła zdobyć Czomolungmę polegając tylko na możliwościach swoich płuc. Wysiłek, jaki musiała włożyć w podniesienie go, zarzucenie sobie jego ręki na ramiona i niemal zanieśenie go do swojego domu — a nawet więcej, niż niemal, jeżeli mamy powiedzieć prawdę — całkowicie przekonał ją, że nie jest żadną chimera, ale ciężką istotą z krwi i kości. Klucie w stopach czuła przez całą drogę do domu, a ból ponownie tchnął życie we wszystkie urazy, które zdusiła w sobie, kiedy sądziła, że on nie żyje. Co teraz miała z nim zrobić, z tym ciałem, rozwalonym na jej łóżku? Boże, przecież już zapomniała, jakim rozwalaczem był ten mężczyzna, jak w nocy kolonizował jej część łóżka i anektował całą kołdrę. Ale pojawiły się ponownie także i inne uczucia, i one odniosły zwycięstwo; bo przecież ma go tu, śpiącego pod jej opieką, porzuconą nadzieję: po długim czasie wreszcie, miłość.

Przez tydzień przespisał niemal dwadzieścia cztery godziny na dobę, budząc się tylko po to, by nieco zaspokoić głód i podstawowe potrzeby fizjologiczne, prawie się wtedy nie odzywał. We śnie znosił męczarnie: rzucał się po całym łóżku, a od czasu do czasu jakieś słowa uciekały z jego warg: *Dżahilijja, Al-Lat, Hind*. W tych krótkich chwilach, kiedy nie spał, sprawiał wrażenie, że chce odeprzeć atak snu, ale sen wygrywał, całymi falami przelewał się i zatapiał, podczas gdy on, niemal żałośnie, machał słabo wyciągniętą ręką. Allie nie była w stanie odgadnąć, jakie to traumatyczne wrażenia mogły spowodować takie zachowanie i, poważnie zaniepokojona, zadzwoniła do swojej matki. Alicja przybyła na inspekcję, przyjrzała się śpiącemu Gibrilowi, zacisnęła usta i oświadczyła: — To człowiek opętany. — Coraz bardziej uciekała w praktyki religijne typu spirytyzmu braci Singer, zajmującego się dybukami, i nie było wypadku, by mistycyzm Alicji nie zdenerwował jej pragmatycznej córki-alpinistki. — Być może należałoby przyłożyć mu do ucha pompę ssącą — zaleciła. — Jest to wyjście, które te istoty przedkładają nade wszystko. — Allie odciągnęła swoją matkę do drzwi. — Bardzo ci dziękuję — powiedziała. — Zadzwoń do ciebie.

Siódmego dnia obudził się na dobre, wytrzeszczył oczy i natychmiast wyciągnął po nią rękę. Bezceremonialność tej propozycji, w równym stopniu co jej

nagłość, rozśmieszyła ją, ale znowu w tym geście była naturalność i poczucie słuszności; uśmiechnęła się. — W porządku, sam tego chciałeś — i wyśliznęła się z luźnych, elastycznych kasztanowych spodni i luźnego kaftana — nie znosiła rzeczy, które podkreślały kształt jej ciała — i tak rozpoczął się ich łóżkowy maraton. Kiedy się wreszcie skończył — byli obolali, wyczerpani, ale i szczęśliwi.

Powiedział jej: spadł z nieba i żyje. Odetchnęła głęboko i uwierzyła mu, częściowo ze względu na wiarę jej ojca w niezliczone i wzajemnie wykluczające się możliwości, jakie niosło życie, a częściowo również ze względu na naukę, którą otrzymała od himalajskiej góry. — W porządku — powiedziała, wypuszczając powietrze. — Kupuję to. Tylko nie opowiadaj tego mojej matce, dobrze? — Świat jest miejscem, w którym dzieją się cuda, i jedynie przyzwyczajenie, ta narkoza codzienności, przytępia nasz wzrok. Kilka dni wcześniej czytała, że w trakcie swojego naturalnego procesu spalania gwiazdy na niebie miazdzą węgiel i zamieniają w diamenty. Idea gwiazd sypiących deszczem diamentów w pustkę kosmiczną: to również brzmi jak cud. Jeżeli taka rzecz jest możliwa, to dlaczego nie upadek Fariszty. Niemowlęta spadają z okien milionowych pięter i skaczą sobie jak piłki. Była taka scena w filmie Francois Truffauta *L'Argent du Poche*. . . Skupiła myśli. — Czasami — zdecydowała się wreszcie ujawnić — mnie także przydarzają się cudowne rzeczy.

Powiedziała mu wtedy o przeżyciach, o których dotąd nie mówiła nikomu: o wizjach na Evereście, aniołach i mieście z lodu. — I nie działa się to tylko tam — dodała i po chwili wahania mówiła dalej. Po powrocie do Londynu poszła na spacer bulwarem nad Tamizą, próbując zapomnieć o nim, a także o górze. Był wczesny ranek i świat spowijała mgła, a gęsty śnieg odbierał wszystkiemu kontury. Wtedy nadeszły te góry lodowe.

Było ich dziesięć i posuwały się w uroczystym pochodzie, jedna za drugą, w górę rzeki. Mgła wokół nich była gęstsza, i dopiero kiedy podpłynęły bliżej, zrozumiała ich kształty, były dokładnymi miniaturami dziesięciu najwyższych gór świata, przy czym płynęły w kolejności od najniższej, a jej góra, *ta* góra, zamykała pochód. Allie usiłowała właśnie odpowiedzieć sobie na pytanie, w jaki sposób te góry lodowe zdołały przepłynąć pod mostami na rzece, kiedy mgła zgęstniała, a następnie, kilka chwil później, rozwiąła się całkowicie, zabierając góry ze sobą. — Ale one naprawdę tam były — tłumaczyła Gibrilowi — Nanga Parbat, Dhaulagiri, Szisza Pangma. — Nie spierał się. Skoro tak mówisz, wobec tego wiem, że naprawdę tak było.

Góra lodowa to woda, która stara się być lądem; natomiast góra, szczególnie góra w Himalajach, a w szczególności Everest, jest z kolei próbą ziemi, by przemienić się w niebo; jest unieruchomionym lotem, ziemią zmienioną — prawie — w powietrze, czymś, co w istocie rzeczy, stało się wyniosłe. Na długo przed spotkaniem z górą Allie zdała sobie sprawę z tej ciężkiej obecności w swojej duszy. Jej mieszkanie wypełnione było Himalajami. Everesty rzeźbione w korku, two-

rzywach sztucznych, kaflach, kamieniu, żywicach akrylowych, cegle, rozpychały się i walczyły o przestrzeń; w kolekcji był nawet jeden wyrzeźbiony w lodzie, maleńka góra lodowa, którą trzymała w zamrażarce i wyjmowała od czasu do czasu, aby pochwalić się nią przed przyjaciółmi. Dlaczego aż tyle? *Dlatego* — chyba tylko tak można było na to odpowiedzieć — *że po prostu tam były*. — Popatrz — powiedziała, wyciągnęła rękę nie wstając z łóżka i podniosła ze stolika swój najnowszy nabytek, prosty Everest rzeźbiony w powykrzywianej przez wichry sośnie. — Podarunek Szerpów z Namche Bazar. — Gibril wziął go do rąk i obejrzał dokładnie. Pemba wręczył go jej nieśmiało przy pożegnaniu, mówiąc, że jest to prezent od całej grupy Szerpów, mimo że nawidoczniej wystrugał to sam. Był to szczególny model, ukazujący nawet lodospad i Stopień Hillary’ego, ostatnie poważne przeszkody przed samym szczytem, a droga, którą przeszli, była oznaczona głębokim wycięciem w drewnie. Kiedy Gibril odwrócił model do góry nogami, znalazł w podstawie napis wydrapany tam w mozolnej angielszczyźnie. *Dla Ali Bibi. My mieli szczęście. Nie próbować znowu.*

Allie nie powiedziała Gibrilowi, że zakaz Szerpy przeraził ją, gdyż utwierdził w przekonaniu, że jeśli kiedykolwiek postawi ponownie stopę na tej bogini-górze, z pewnością umrze, ponieważ śmiertelnik może tylko raz spojrzeć bóstwu w twarz; jednak góra ta jest w równym stopniu diaboliczna co transcendentalna, albo jeszcze inaczej, jej diaboliczność i transcendentalność to jedno, nic więc dziwnego, że samo rozważanie zakazu Pemby wydobyło z niej tak bolesne pragnienie, że aż jęknęła głośno, jak gdyby w ekstazie seksualnej czy rozpacz. — Himalaje — zaczęła szybko tłumaczyć Gibrilowi, chcąc ukryć prawdziwą myśl — to szczyty zarówno w sensie fizycznym, jak i emocjonalnym: podobnie jak opera. I właśnie przez to budzą taką grozę. Nic oprócz zawrotnych wysokości. Rzadko komu udaje się ta sztuka. Allie miała zwyczaj przeskakiwania z tematów konkretnych na abstrakcyjne, przy czym przejście to następowało tak niepostrzeżenie, że wreszcie słuchacz zaczynał się zastanawiać, czy dostrzega ona różnicę między nimi, czy w ogóle można powiedzieć o owej różnicy istnieniu.

Allie nie podzieliła się z nikim swoim przekonaniem, że musi albo odpowiedzieć na zew góry, albo umrzeć, że pomimo płaskich stóp, które wykluczały myśl o jakiegokolwiek poważnej wspinaczce, wciąż była zarażona bakcylem Everestu i że w najgłębszych tajnikach swojej duszy wciąż przechowywała nieprawdopodobny plan, śmiertelną wizję Maurice’a Wilsona, nie spełnioną po dziś dzień. To jest: samotne wejście.

O czym jeszcze nie powiedziała: o tym, że po swoim powrocie do Londynu widziała Maurice’a Wilsona, siedzącego sobie na dachu wśród kominów, tego chochlika w kraciastych pumpach i w szkockim berecie z pomponem, który to chochlik przywołał ją do siebie. Z kolei Gibril Fariszta nie opowiedział jej o swojej ucieczce przed duchem Rekhi Merchant. Mimo całego tego fizycznego zbliżenia wciąż istniały między nimi zamknięte drzwi; każde z nich utrzymywało

w tajemnicy istnienie niebezpiecznego ducha. — Gibril, słysząc relację Allie o innych zjawach, musiał ukryć swoje wiekie wzburzenie za pozornie obojętnym — *jeżeli tak mówisz, wobec tego wiem* — wzburzenie, które reakcję na pojawienie się dalszych dowodów świadczących o tym, że świat marzeń sennych przedstawiał się do jego realnego świata, że pękały pieczęcie na bramach dzielących te dwie rzeczywistości i że lada moment te dwa firmamenty mogą złąć się w jeden. Któregoś ranka Allie, budząc się z głębokiego i niczym nie zakłóconego snu, zaskoczyła Gibrila na lekturze książki, której od dawna nie otwierała, Blake’a „Zaślubiny Nieba i Piekła”; w egzemplarzu tym naniosła kiedyś, w młodości, kiedy nie szanowała specjalnie książek, całą serię uwag: podkreśleń, znaczków na marginesie, wykrzykników, wielokrotnych znaków zapytania. Kiedy zobaczył, że już nie śpi, przeczytał jej kilka wyjątków z figlarnym uśmiechem na twarzy. — Z Przysłów piekielnych — zaczął. — *Lubieżność satyra jest hojnością Bożą.* — Zacerwieniła się nagle. — A co więcej — czytał dalej — *Prawdziwym jest starożytny przekaz, jaki usłyszałem w Piekło, że świat będzie ogniem strawiony po sześciu tysiącletniach.* A następnie, niżej na tej samej stronie: *Dokona się to dzięki wydoskonaleniu uciech zmysłowych.* Powiedz mi, kto to jest? Znalazłem ją pomiędzy stronami tej książki. — Podał jej fotografię nie żyjącej kobiety: jej siostry, Eleny, zagrzebanej tutaj i zapomnianej. Jeszcze jednej osoby oddającej się nałogowo wizjom; i ofiary własnego nawyku. — Nie mówimy o niej prawie wcale. — Klęczała naga na łóżku, jasne włosy zasłaniały jej twarz. — Odłóż ją tam, gdzie ją znalazłeś.

Nie widziałem żadnego Boga ani też nie usłyszałem głosu Jego w ograniczonym organicznym postrzeganiu; ale moje zmysły odkryły to, co jest nieskończone w każdej rzeczy. Przerzucił kilka kartek książki i umieścił Elenę Cone obok podobizny Odrodzonego Człowieka, który siedział sobie na wzgórzu, nagi i z szeroko rozstawionymi płaskimi stopami, a słońce świeciło zza jego pleców. *Zawsze wiedziałem, że Aniołowie są na tyle próżni, by podawać się za jedyne mądrych.* Allie ukryła twarz w dłoniach. Gibril próbował ją pocieszyć. — Napisałaś na początku książki: „Stworzenie świata wg Arcybisk. Ushera rok 4004 przed Chr. Przewid. data apokalipsy,..., 1996”. A więc mamy jeszcze trochę czasu na doskonalenie uciech zmysłowych. Potrząśnęła głową: — Przestań. — Przestał. — Opowiedz mi — powiedział odkładając książkę.

* * *

Mając lat dwadzieścia, Elena szturmem zdobyła Londyn. Swoim nieokiełznanym stuosiemdziesięciocentymetrowym ciałem prześwitującym przez strój przy-

pominający złotą kolczugę. Zawsze nosiła się z niesamowitą pewnością siebie, głosząc swoje prawo do całej ziemi. Miasto było jej żywiołem, potrafiła pływać w nim jak ryba. Mając lat dwadzieścia jeden, już nie żyła, utopiwszy się w wannie z zimną wodą, przy czym ciało jej wypełnione było środkami psychotropowymi. Czy można utopić się we własnym żywiole, zastanawiała się Allie dawno temu. Jeżeli ryby potrafią utopić się w wodzie, czy istoty ludzkie mogą udusić się powietrzem? W tym czasie, mając osiemnaście-dziewiętnaście lat, Allie zazdrościła Elenie braku wątpliwości. A co było *jej* własnym żywiołem? W jakiejże to periodycznej tablicy ducha można by go znaleźć? — Teraz, jako płaskostopa weteranka Himalajów, opłakiwała jego utratę. Kiedy już zdobędzie się wysokie horyzonty, nie jest łatwo na powrót wtłoczyć się w ramy, na wąską wyspę, do ciągłej przyziemności. Ale stopy odmówiły jej posłuszeństwa, a góra mogłaby zabić.

Mitologiczna Elena, dziewczyna z okładek, spowita w sztuczne tworzywa najmodniejszych kreacji, była pewna swojej nieśmiertelności. Allie, odwiedzając ją w jej tymczasowym locum przy World's End, nie przyjęła ofiarowanej kostki cukru, mamrocząc coś o uszkodzeniach mózgu i jak zwykle, czując, że nie dorasta Elenie do pięt. Twarz jej siostry, z oczyma otwartymi zbyt szeroko, ze zbyt ostrym podbródkiem, wrażenie niesamowite, kpiąco wpatrywała się w nią. — Kto tu mówi o braku komórek mózgowych — powiedziała Elena. — Mogłabyś sporo ich odstąpić. — Nadmierna pojemność mózgu była kapitałem Eleny. Pozbywała się swoich szarych komórek jak pieniędzy, poszukując własnych szczytów; i w kulminacji usiłując odlecieć, fraza dnia. Śmierć, podobnie jak życie, przyszła do niej polukrowana.

Próbowała „popracować” nad młodszą od siebie Allelują. — Hej, masz piękne kształty, dzieciaku, dlaczego chować je w tych drelichowych spodniach? Chcę przez to powiedzieć, Boże drogi, kochana, schowałaś tam swój cały ekwipunek. — Któregoś wieczoru sama ubrała Allie, włożyła na nią coś oliwkowo-zielonego, co się składało prawie wyłącznie z falbanek i wycięć i co ledwie zakrywało jej pachwiny, na które naciągnięty był obcisły trykot: *pokrywa mnie lukrem, jak ciasteczko*, przyszła Allie do głowy purytańska myśl, *moja rodzona siostra wypycha mnie na wystawę w oknie sklepowym, dziękuję bardzo*. Poszły do klubu gry pełnego podjaranych lordziątek i Allie szybko wyszła stamtąd, gdy tylko Elena odwróciła od niej uwagę. Tydzień później, wstydząc się, że była takim tchórzem i że odrzuciła próby siostry, zмирzające do nawiązania z nią serdeczniejszych stosunków, siedziała na twardej poduszce w mieszkaniu przy World's End i przyznała się Elenie do utraty dziewictwa. Na co jej starsza siostra uderzyła ją w twarz i obrzuciła starodawnymi wyzwiskami: *ladacznica, lampucera, wszetecznic*a. — Elena Cone nigdy nie pozwalała mężczyźnie dotknąć się choćby *palcem* — wrzeszczała, pokazując przy tym, że potrafi myśleć o sobie w osobie trzeciej — nawet cholernym tycim *paznokietkiem*. Wiem, co jestem warta, kochana, wiem, jak cała tajemniczość ginie natychmiast z chwilą, gdy wsadzą co trzeba do

środką, powinnam była się domyśleć, że okazesz się w końcu kurwą. To pewnie jakiś pierdolony komunista — zakończyła. Odziedziczyła po ojcu jego uprzedzenia w tych kwestiach, czego nie można było powiedzieć o Allie, i Elena dobrze o tym wiedziała.

Po tym wydarzeniu spotykały się sporadycznie, Elena pozostała dziewiczą królową miasta — sekcja zwłok potwierdziła jej status określony jako *Virgo intacta* — natomiast Allie przestała nosić bieliznę, chwyciła się różnych dorywczych prac w małych, gniewnych czasopismach i ponieważ jej siostra była nietykalna, sama stała się jej przeciwieństwem, a każdy stosunek z mężczyzną — policzkiem wymierzonym w tę groźnie patrzącą twarz siostrzyczki o sinych wargach. Trzy usunięcia ciąży w przeciągu dwóch lat i poniewczasie uzyskana świadomość, że wskutek częstego stosowania pigułki antykoncepcyjnej znajduje się w grupie osób o najwyższej zapadalności na raka.

O zgonie siostry dowiedziała się z afisza przy kiosku z gazetami, „ŚMIERĆ MODELKI W KWAŚNEJ KĄPIELI”. Nawet śmierć nie chroni człowieka przed kalamburami dziennikarzy, to była jej pierwsza myśl. A zaraz potem stwierdziła, że nie potrafi płakać.

— Jeszcze przez wiele miesięcy wciąż widziałam ją w czasopismach — powiedziała Gibrilowi. A to z powodu długiego cyklu wydawniczego periodyków drukowanych na błyszczącym papierze. Zwłoki Eleny tańczyły po marokańskich pustyniach okryte jedynie przezroczystymi welonami; albo też dostrzeżono je znowu na księżycowym Morzu Cieni, zupełnie nagie, jeżeli nie będziemy liczyli kosmicznego hełmu na głowie i kilka jedwabnych krawatów opasujących jej piersi i biodra. Allie zaczęła dorysowywać wąsy na ilustracjach, ku oburzeniu właścicieli kiosków z gazetami; obrywała okładki ze świętej pamięci siostrą z czasopism pokazujących nie-śmierć w stylu zombie i zgniatała je. Prześladowana przez periodycznego ducha Eleny, Allie rozmyślała o niebezpieczeństwach związanych z *odlotem*; jakież to upadki w ogniu płomieni, jakie makabryczne piekła były zarezerwowane dla tych, którzy szli w ślady Ikara! Zaczęła w końcu myśleć o Elenie jako o duszy w męczarniach i doszła do przekonania, że jej własna niewola w świecie determinujących notatek w kalendarzyku, w świecie czarnych biustonoszy z wkładkami o trzy numery powiększającymi piersi; w świecie pseudo-erotycznych póz; i haseł wydrukowanych na jej pępku, że ta właśnie niewola nie była wcale lżejszą od osobistego piekła Eleny. W jej oczach Allie zaczęła dostrzegać niemy krzyk, udrękę z powodu uwięzienia na zawsze w tych reklamach mody. Elena była dręczona przez demony, niszczył ją ogień, a ona nawet nie mogła się ruszyć... po jakimś czasie Allie musiała omijać sklepy, w których mogła dostrzec siostrę patrzącą na nią z półek. Nie potrafiła zdobyć się na kartkowanie czasopism i schowała wszystkie fotografie Eleny, jakie tylko były w jej posiadaniu. — Żegnaj, Jel — powiedziała wspomnieniu siostry, nazywając je imieniem wczesnego dzieciństwa. — Muszę odwrócić od ciebie wzrok.

— Ale w końcu okazałam się podobna do niej. — Góry zaczęły wabić ją swoim śpiewem; po czym również ona zaryzykowała swoje komórki mózgowe, decydując się na poszukiwanie uniesień. Wybitni lekarze specjalizujący się w problemach, jakie stają przed himalaistami, udowodnili wielokrotnie ponad wszelką wątpliwość, że istoty ludzkie nie mogą utrzymać się przy życiu bez aparatu tlenowego na wysokościach znacznie przekraczających osiem tysięcy metrów. Następuje wówczas krwawienie z gałek ocznych, nie do opanowania, a i mózg zaczyna eksplodować, miliardami tracąc komórki, a więc zbyt wiele i za szybko, co ostatecznie prowadzi do stałych uszkodzeń, znanych jako Deterioracja Wysokogórska, po których szybko następuje śmierć. W warunkach wiecznej zmarzliny panującej na tych najwyższych zboczach oślepienie zwłoki nie ulegną rozkładowi. A jednak Allie i Szerpa Pemba poszli w górę, a następnie zdołali zejść i przekazać innym swoje doświadczenie. Komórki ze skrzynek depozytowych mózgu zastąpiły te, które padły ofiarą i zniknęły z rachunku bieżącego. Nie pękły również ich oczy. Dlaczego naukowcy się pomylili? — Uprzedzenie, przede wszystkim — powiedziała Allie, leżąc zwinięta wokół Gibrila pod jedwabiem spadochronu. — Nie potrafią oznaczyć ilości woli, a więc pomijają ją w swoich obliczeniach. A przecież to wola stawia cię na szczycie Everestu, wola i wściekłość, i potrafi nagiąć każde prawo przyrody, jakie tylko przyjdzie ci do głowy, przynajmniej na krótko, nie wyłączając prawa ciężenia. To jest, jeżeli nie wystawisz swojego szczęścia na próbę zbyt często.

Pewne uszkodzenia jednak nastąpiły. Od czasu do czasu miała niewytłumaczalne zaniki pamięci: nieistotne, nagłe zjawiska. Kiedyś w sklepie rybnym zapomniała słowa *ryba*. Innego ranka zauważyła w łazience, że bierze do ręki szczotkę do zębów i spogląda na nią zakłopotana, nie mając pojęcia, do czego może służyć. Jeszcze innego ranka obudziła się obok wciąż jeszcze śpiącego Gibrila i już chciała szarpnąć go za ramię i zapytać, „Kim pan, u diabła, jesteś? Jak się znalazłeś w moim łóżku?” — kiedy akurat w porę wróciła jej pamięć. — Mam nadzieję, że to chwilowe — powiedziała mu. Ale nawet teraz nie zdecydowała się przyznać, że raz po raz widzi ducha Maurice’a Wilsona machającego do niej zapraszająco z dachów domów wokół parku Fields.

* * *

Była świetnym fachowcem, kobietą, z którą pod wieloma względami trzeba było się liczyć: typową zawodową sportsmenką lat osiemdziesiątych, klientką gigantycznej agencji reklamowej MacMurraya, osobą sponsorowaną aż do przesady. Obecnie również występowała w programach telewizyjnych, reklamując

sprzęt i stroje alpinistyczne, aby maksymalnie poszerzyć to, co Hal Valance nazwałby wszechświatem w danej dziedzinie, przy czym adresatami tej reklamy byli raczej urlopowicze i amatorzy alpinistyki niż zawodowi wspinacze. Była tą złotą dziewczyną z dachu świata, pozostała przy życiu częścią „mojego teutońskiego duetu”, jak Otto Cone miał w zwyczaju nazywać swoje córki. *I znowu, Jel, idę twoimi śladami*. To, że była atrakcyjną kobietą w dziedzinie sportu zdominowanej przez, hm, cóż, zarośniętych mężczyzn, oznaczało łatwość w znalezieniu sponsorów, no a obraz „królowej lodu”, jaki stworzono, również nie przynosił jej szkody. Były w tym pieniądze i teraz, kiedy wiek pozwalał już jej na skwitowanie starych, płomiennych ideałów prostym wzruszeniem ramion i wybuchem śmiechu, gotowa była zarabiać masę pieniędzy, gotowa nawet wystąpić w dyskusjach telewizyjnych, podczas których odparowywała, stosując pikantne docinki, nieuniknione i wciąż niezmiennie pojawiające się pytania o współżycie z chłopcami na wysokości ośmiu tysięcy metrów. Takie łamańce prezentowane szerokiej widowni telewizyjnej niezbyt pasowały do obrazu własnej osoby, jaki chciała za wszelką cenę zachować: do idei, że jest naturalną samotniczką, najbardziej prywatną spośród wszystkich kobiet i że wymogi jej zawodowego życia dosłownie rozdzielają ją na pół. Pierwszą swoją walkę z Gibrilem stoczyła właśnie z tego powodu, ponieważ powiedział, jak to on zwykle, bez upiększeń: — Myślę, że uciekać przed kamerami można dopóty, dopóki wiemy, że jeszcze nas gonią. Ale przypuśćmy, że zatrzymują się, co wtedy? Myślę, że wtedy zawrócisz i pobiegiesz w przeciwnym kierunku. — Później, kiedy się pogodzili, drażniła go swoją rosnącą popularnością (ponieważ była pierwszą pociągającą blondynką, która podbiła Everest, wrzawa wokół niej zrobiła się naprawdę duża, otrzymywała pocztą fotografie wspaniałych młodych atletów, a także zaproszenia na wieczorne spotkania śmietanki towarzyskiej i pewną ilość obelg od osób niezrównoważonych): — Cóż, mogłabym teraz sama zostać aktorką filmową, skoro ty się wycofałeś. Kto wie? Być może to zrobię. — Na co odpowiedział, zaskakując ją przy tym gwałtownością słów: — Kurwa, po moim trupie.

Mimo, iż gotowa była z chłodnym pragmatyzmem wskoczyć w brudne wody świata wolnego, a także płynąć z ich prądem, nigdy właściwie nie pozbyła się przeświadczenia, że jakieś straszliwe nieszczęście czyha zaraz za rogiem — następstwo gwałtownych śmierci jej ojca i siostry. To przewrażliwienie spowodowało, że wspiniała się bardzo ostrożnie, zupełnie jak pośrednik w handlu nieruchomościami, jak mawiali chłopcy, a kiedy uwielbiani przez nią przyjaciele ginęli na różnych górach jeden po drugim, jej ostrożność wzrastała. W normalnym życiu przejawiało się to pod postacią niespokojnego spojrzenia, nadmiernej nerwowości; w końcu robiła na ludziach wrażenie mocno obwarowanej fortecy przygotowującej się na nieuchronny atak. Współgrało to z obiegową opinią o niej, utrzymującą, że jest kobietą górą lodową, a nie kobietą; ludzie odnosili się do niej z rezerwą, a z jej własnych słów wynikało, że uważała samotność za cenę, którą

jej przyszło płacić za przywilej samotności. — Było tutaj jednak więcej sprzeczności, ostatecznie dopiero niedawno zaniechała ostrożności, kiedy postanowiła przeprowadzić bez tlenu końcowy szturm na Everest. Pomijając już wszelkie inne implikacje — zapewniała ją agencja w formalnym liście z gratulacjami — „czyn ten przybliży panią wszystkim ludziom, ujawnia, że drzemie w pani ta gotowość poniesienia ryzyka, ta furia a-do-diabła-z-tym, i jest to pozytywny nowy wymiar pani osobowości”. Agencja od razu zabrała się do pracy nad tym. Tymczasem, pomyślała Allie, pomimo zmęczenia uśmiechając się zachęcająco do Gibrila, kiedy ten ześliznął się w dół w stronę jej niższych głębi, tymczasem ty jesteś tutaj. Niemal zupełnie obcy człowiek, zjawiłeś się tu i wtargnąłeś do środka. Boże, nawet przeniosłam cię przez próg, chociaż to chyba nie ma znaczenia. Trudno cię winić za to, że pozwoliłeś się podwieźć.

Nie był przyzwyczajony do porządku. Zwykle robili to służący, a więc zostawiał garderobę, okrucy, torebki po herbacie tam, gdzie upadły. Gorzej jeszcze, on je *upuszczał*, dosłownie pozwalał im upaść tam, gdzie trzeba będzie je podnieść; całkowicie nieświadom, w pełni nieświadom tego, co robi, w dalszym ciągu udowodniał sobie, że on, biedny chłopak z ulicy, nareszcie nie musi po sobie sprzątać. Nie tylko tym doprowadzał ją do szewskiej pasji. Jeżeli nalewała wino do kieliszków, szybko opróżniał swój i kiedy nie patrzyła, chwycił jej kieliszek, uspokajając ją doskonale-niewinnym tonem, z anielskim-wyrazem-twarzy. „Jest jeszcze trochę, no nie?” Lubił pierdzieć. Uskarżał się — rzecz nie do wiary, naprawdę uskarżał się, i to po tym, kiedy ona dosłownie wygrzebała go ze śniegu! — na ciasnotę mieszkania. „Za każdym razem po wykonaniu dwóch kroków uderzam twarzą w ścianę”. Obrażał ludzi telefonujących do Allie, *naprawdę* obrażał, bez zadania sobie trudu, by upewnić się, kto dzwoni: był to automatycznie przejęty styl zachowania gwiazd filmowych Bombaju, kiedy jakimś zbiegiem okoliczności nie było pod ręką fagasa, który chroniłby ich przed natrętem. Kiedy Alicja przetrwała jedną taką burzę i wysłuchała steku obscenicznych przekleństw, powiedziała córce (kiedy ta wreszcie dostała się do telefonu): — Wybacz, że o tym wspominał, kochana, ale twoja sympatia to moim zdaniem niezły okaz.

— Okaz, mamó? — Pytanie sprowokowało Alicję do użycia jej najwytworniejszego tonu. Wciąż stać ją było na majestatyczność, miała szczególny dar ku temu, chociaż od śmierci męża z uporem manifestowała swoją bylejakość. — Okaz — oznajmiła, biorąc pod uwagę fakt, że Gibril jest towarem importowanym z Indii — dziwactwa i małpich jaj.

Allie nie próbowała spierać się z matką, sama nie będąc wcale pewna, czy będzie w stanie żyć dalej z Gibrilem, nawet jeżeli przypędził tu z drugiego końca świata, nawet jeżeli spadł z nieba. Trudno było przypuszczać, że potrwa to długo, nawet średnio-długo wydawało się być wątpliwe. Na razie skoncentrowała się na próbie rozgryzienia tego człowieka, który właśnie przed chwilą wyraził przekonanie, ot tak, od razu, że jest wielką miłością jej życia, i mówił to bez cienia wąt-

pliwości, co oznaczało, że albo ma rację, albo zwariował. Takich trudnych chwil było mnóstwo. Nie miała pojęcia o tym, cóż on ma w swojej głowie, nie wiedziała, jakiej wiedzy się u niego spodziewać: spróbowała sprawdzić to pewnego razu, nawiązując do fatalistycznego gracza szachowego, Luzina, u Nabokova, który doszedł do przekonania, że w życiu, podobnie jak w szachach, istnieją pewne kombinacje, które kiedyś na pewno pojawią się, aby go pokonać, przez analogię chciała wyjaśnić własne przecucie (w rzeczywistości nieco przecież odmienne) nieuchronnej katastrofy (która w jej przypadku nie miała nic wspólnego z powtarzaniem się pewnych schematów, a raczej wynikała z niemożności ucieczki przed czymś niemożliwym do przewidzenia), ale on jedynie spojrzął na nią urażony i ten wzrok powiedział jej, że Gibril nigdy nie słyszał o takim pisarzu, a co dopiero o jego powieści. Dla odmiany, on zaskoczył ją nagłym pytaniem, „Dlaczego Picabia?”. Dodał przy tym, że było to dziwne, czyż nie, iż Otto Cohen, weteran obozów koncentracyjnych, zajął się całą tą neofaszystowską miłością do maszynierii, przemocy, wręcz dehumanizacji. Jeżeli ktokolwiek przez chwilę chociaż zajmował się maszynami, dziecino — wyjaśnił — dotyczy to i ciebie, i mnie, nas wszystkich, zorientuje się z miejsca, że tylko jedno jest w nich pewne i tylko to jedno można o nich powiedzieć, nieważne, czy to będzie komputer, czy rower. Wszystkie one się psują”. Skąd się dowiedziałeś o... , zaczęła, i zająknęła się, gdyż nie spodobał jej się protekcyjny ton, w który zaczęła uderzać, lecz odpowiedział bez cienia próżności. Kiedy po raz pierwszy usłyszał o Marinettim, powiedział, pomieszało mu się wszystko i sądził, że futurizm to coś, co wiąże się z kukielkami. „Marionetki, kathputli, w tym czasie bardzo interesowało mnie zastosowanie w filmie udoskonalonych technologii kukielkowych, na przykład w celu przedstawienia demonów i innych niezemskich istot Tak więc znalazłem sobie książkę”. *Znalazłem książkę*: samouk Gibril powiedział to tak, jak gdyby mówił o zastrzyku. W oczach dziewczyny wychowanej w rodzinie odnoszącej się do książek z nadzwyczajną rewerencją — jej ojciec zmuszał je wszystkie, by całowały każdy tom, który przypadkiem upadł na ziemię — dziewczyny, której reakcją było niszczenie książek, wrywanie stron potrzebnych jej lub przez nią znienawidzonych, bazgranie na nich i gryzmolenie, po to, aby pokazać im, kto tu jest panem, ta forma braku specjalnego szacunku, jaką wybrał Gibril, poprawna i traktująca książki tak, jak na to zasługiwały, ani na klęczkach, ani z nienawiścią, była czymś nowym i przyznała — przyjemnym. Uczyła się od niego. On jednak wydawał się być odporny na wszelkie mądrości, jakie mógłby zechcieć od niej przejąć, na przykład gdzie jest miejsce odpowiednie do składania brudnych skarpetek. Kiedy usiłowała przekonać go, że powinien „mieć swój udział” w utrzymaniu porządku, na długo stracił humor i obnosił się ze swoją miną urażonego dziecka oczekując, że zostanie przeproszony i przebłagany, i będzie mógł powrócić do pogodnego nastroju. Zdziwiona i oburzona stwierdziła u siebie gotowość spełnienia jego oczekiwań, przynajmniej na razie.

Najgorszą stroną jego charakteru, skonkludowała ostrożnie, jest jego wybitny talent do przedstawiania siebie jako osoby lekceważonej, nie docenianej, nieustannie atakowanej. Doszło do tego, że nie można było zwrócić mu najdrobniejszej uwagi, nawet jeżeli wymagał tego rozsądek, nawet jeżeli robiła to bardzo delikatnie. „No, dalej, dalej, karm się złudzeniami” — krzyczał wtedy i uciekał pod namiot swojej urażonej dumy. A jego najbardziej ponętną cechą było intuicyjne wyczucie jej pragnień, łatwość, z jaką, jeśli tylko chciał, mógł zawsze zostać powiernikiem tajemnic jej duszy. Skutkiem tego ich życie seksualne było dosłownie naelektryzowane. Ta pierwsza maleńka iskra, która pojawiła się przy ich inauguracyjnym pocałunku, nie była bynajmniej jednorazowym zjawiskiem. Fenomen ten wciąż trwał i czasami, kiedy się kochali, była przekonana, że dookoła słyszy trzaski wyładowań elektrycznych; czasami czuła, że włosy jej stają na głowie. — Przypomina mi to tego elektrycznego Huta z gabinetu mojego ojca — powiedziała Gibrilowi i oboje wybuchnęli śmiechem. — Czy jestem miłością twojego życia? rzuciła, a on odpowiedział, równie szybko: — Oczywiście.

Na początku ich zażyłości zwierzyła mu się, że pogłoski o jej nieosiągalności, a nawet oziębłości nie są nieuzasadnione. — Po śmierci Jel i w tej dziedzinie poszłam jej śladami. — Nie czuła już potrzeby szokowania siostry swoimi kochankami. — A poza tym przestało mi to sprawiać przyjemność. — Wtedy przeważnie byli to rewolucyjni socjaliści, którzy musieli zadowalać się mną, podczas gdy tak naprawdę marzyli o bohaterkich kobietach widzianych na Kubie podczas trzytygodniowych wycieczek na tę wyspę. *Tamtych* nigdy nie tknęli palcem, oczywiście; mundury polowe i czystość ideologiczna odstraszały ich nie na żarty. Wracali do kraju nucąc „Guantanamerę” i dzwonili do mnie. — Wypisała się z tego. — Pomyślałam sobie, niech najświatlejsze umysły mojego pokolenia wygłaszają swoje mowy nad ciałem jakiejś innej pożałowania godnej kobiety, ja to olewam. — Zaczęła się wspinać i zwykle tłumaczyła wtedy „robię to, gdyż wiem, że oni nigdy za mną tam nie wejdą”. — Potem jednak pomyślałam, a gównu. Nie zrobiłam tego ze względu na nich; zrobiłam to dla siebie.

Co wieczór przez godzinę ćwiczyła boso na palcach wbieganie i zbieganie po schodach, a to ze względu na swoje obniżone łuki stóp. Po powrocie rozwścieczona padała na stos poduszek, następnie miotła się bezsilnie po mieszkaniu i wreszcie kończyło się to nalaniem sobie mocnego drinka: przeważnie irlandzkiej whisky. Zaczęła nieźle popijać, kiedy zrozumiała wreszcie, jak realnym problemem jest jej płaskostopie. („Na miłość Boską, niech pani tylko nie wspomina o swoich stopach — głos z agencji reklamowej nierealnie brzmiał w słuchawce telefonicznej. — Jeżeli wyjdą na jaw, wówczas finito, koniec, sajonara, zbieramy manatki, dobranoc.”) Podczas dwudziestej pierwszej wspólnej nocy, kiedy już rozprawiła się z pięcioma podwójnymi drinkami Jamesona, powiedziała: — Dlaczego naprawdę poszłam w te góry. Tylko się nie śmieję: aby uciec przed dobrem i złem. — On się nie zaśmiał. — Czy sądzisz, że moralność nie dotyczy gór?

— zapytał poważnie. — Tego nauczyłam się podczas rewolucji — zaczęła. — Przede wszystkim: informację obalono kiedyś tam w dwudziestym wieku, nie potrafię powiedzieć dokładnie kiedy; trudno temu zaprzeczyć, to właśnie ta część informacji, która musiała zostać obalona. *Obalona*. Od tego czasu żyjemy w bajce. Rozumiesz mnie? Wszystko dzieje się za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. My, wróżki i czarnoksiężnicy, nie mamy najmniejszego pieprzonego pojęcia o tym, co naprawdę się dzieje. Skąd więc mamy wiedzieć, czy coś jest słuszne, czy nie? Nie wiemy nawet, czym *to* jest. Pomyślałam więc sobie, że albo człowiek zamęczy się na śmierć, usiłując rozwikłać to wszystko, albo też wdrapie się i siądzie na górze, bo właśnie tam uciekła prawda, możesz mi wierzyć lub nie, po prostu uniosła się wysoko w górę i uciekła daleko od tych miast, gdzie nawet grunt pod naszymi stopami jest czymś sztucznym, fałszem, i ukryła się tam wysoko, wysoko, w rzadkim powietrzu, gdzie kłamcy nie ośmielą się przyjść w pogoni za nią, bojąc się eksplozji swoich mózgów. Ona naprawdę tam jest. Byłam tam. Zapytaj mnie. — Zasnęła; zaniósł ją do łóżka.

Kiedy dotarła do niej wiadomość o jego śmierci w katastrofie lotniczej, zadreżczała się wymyślaniami go: inaczej mówiąc, rozmyślaniami o swoim utraconym kochanku. Przez ostatnie pięć lat, do chwili, kiedy nie pojawił się on, nie spała z żadnym mężczyzną, to nieźle, jak na nią. Odwróciła się od seksualności, jej instynkt ostrzegł ją, że seksualność może ją pochłonać; że jest to dla niej, zawsze będzie, ważna dziedzina, cały nieznaną kontynent, którego mapę dopiero trzeba sporządzić, i że ona nie może pójść tą drogą, zostać tym odkrywcą, nakreślić zarys tych brzegów: już nie może tego zrobić, względnie, być może, jeszcze nie. Nigdy jednak nie pozbyła się uczucia, że niszczy ją jej nieznaną Miłości, nieświadomość tego, jak mogłoby wyglądać moment, kiedy ów archetypiczny dżinn o imieniu pisanym wielką literą posiadłby ją całkowicie, owa tęsknota za tym zacieraniem się własnego ja, owo stopniowe rozpinanie, aż otwierasz się od jabłka Adama po krocze: ale to wszystko słowa, ponieważ nie знаła istoty rzeczy. Przypuśćmy, że jednak przyjechał do mnie, marzyło się jej. Mogłabym nauczyć się go, krok po kroku, wspinać się po nim aż do samego szczytu. Skoro moje stopy o słabych kościach nie pozwoliłyby mi pójść w góry, szukałabym tej góry w nim: założyłabym główny obóz, powoli badała trasy przejścia, pokonała lodospady, szczeliny, nawisy. Zaatakowałabym szczyt i ujrzała tańczące anioły. Och, żebym tak mogła, ale on nie żyje i spoczywa na dnie morza.

I wtedy go znalazła. — Być może on również wymyślił ją sobie, chociaż trochę wymyślił kogoś, dla czyjej miłości warto byłoby porzucić stare życie. — Nic w tym nadzwyczajnego. Zdarza się to w miarę często i dwoje takich wynalazców kontynuuje swoje eksperymenty, ścierając sobie wzajemnie ostre krawędzie, przystosowując nawzajem do siebie swoje wymysły, rzeźbiąc wyobraźnię tak, by pasowała do stanu rzeczywiściego, ucząc się, jak być razem: albo i nie. Kończy się to sukcesem, albo i nie. Jednak przypuszczając, że Gibril Farisza i Alleluja Co-

ne mogli pójść tak zgodnie tą drogą, popełnilibyśmy poważny błąd: uznalibyśmy ich związek za przeciętny. Nie był nim; nie miał w sobie najmniejszej drobinę przeciętności.

Był to związek pełen prawdziwych skaz.

(„Współczesne miasto — mówił na temat swojego konika Otto Cone, wygłaszając odczyt dla znudzonej rodziny siedzącej wokół stołu — stanowi locus classicus nie przystawalnych rzeczywistości. Ludzie nie mający ze sobą nic wspólnego mieszają się ze sobą w dumie, siedząc obok siebie w autobusie. Jeden świat, mrugający właśnie jak królik, stoi na przejściu dla pieszych oślepiony światłem reflektorów samochodu, w którym znajduje się całkowicie odmienne, a wręcz przeciwne continuum. I dopóki do tego się to sprowadza, mijają się w ciemności nocy, potracając się na stacjach metra, uchylając kapelusza w jakimś korytarzu hotelowym, nie jest źle. Ale jeśli się spotkają! Wówczas jest to uran i tor, jedno powoduje rozpad drugiego, buum. — Prawdę powiedziawszy, najdroższy — skomentowała Alicja z poważną miną — ja również często czuję się trochę skłócona z sobą samą.”)

Skazy w wielkiej namiętnej miłości Allelui Cone i Gibrila Fariszty były następujące: jej tajemniczy strach przed własnym tajemnym pożądaniem, to jest, miłością; — z którego to powodu miała zwyczaj uciekać od tej właśnie osoby, której oddania najbardziej poszukiwała, a nawet często czyniła ją celem swoich ataków; — im większa intymność, tym mocniej się buntowała; — tak więc jej partner, przywiedziony do miejsca, w którym panowało absolutne zaufanie, wyzbywał się środków samoobrony i wówczas spadała na niego cała siła ciosu i niszczyła go; — i właśnie to przydarzyło się Gibrilowi Fariszcie, kiedy to po trzech tygodniach najbardziej ekstatycznego kochania się, jakie obojgu było znane, powiedziano mu po prostu, żeby znalazł sobie inne miejsce do mieszkania, i to szybko, ponieważ ona, Allie, potrzebowała więcej wolnej przestrzeni niż miała do dyspozycji w danej chwili; —

— oraz jego arogancka zaborczość i zazdrość, z której jedynie on sam całkowicie nie zdawał sobie sprawy, a która wynikała z faktu, że nigdy poprzednio nie uważał kobiety za skarb, którego za wszelką cenę należy strzec przed hordami piratów, którzy oczywiście zawsze będą próbowali ją porwać; — o czym będzie mowa zaraz dalej; —

— i decydująca skaza, mianowicie, niebezpieczna świadomość Gibrila Fariszty — lub, jeśli wolicie, *obłąkańcza idea* — że był ni mniej, ni więcej, ale archaniołem w ludzkiej postaci, i to nie byle archaniołem, lecz Aniołem Recytacji, najwyżej postawionym (skoro już Szejtan był upadł) ze wszystkich aniołów.

* * *

Spędzili te dni w takiej izolacji, owinięci w płaszczyzny prześcieradła własnego pożądanego, że jego dzika, nieposkromiona zazdrość, co do której Jago ostrzegał, że „czyni pośmiewiskiem ciało, na którym się żywi”, nie od razu wyszła na jaw. Po raz pierwszy pojawiła się przy absurdalnej okazji trzech rysunków, które Allie powiesiła przy drzwiach frontowych, w kremowej oprawie i ramkach koloru starego złota, wszystkie miały tę samą dedykację zagryzmołoną w prawym dolnym rogu kremowej oprawki: *Dla A, z nadzieją, od Brunela*. Kiedy Gibril zobaczył te dedykacje, zażądał wyjaśnienia, z wściekłością wskazując jedną ręką na rysunki, a drugą przytrzymując na sobie prześcieradło (odziany był w ten nieformalny strój, ponieważ doszedł do wniosku, że nadszedł stosowny czas, aby przeprowadzić dokładną inspekcję całego lokalu, *nie można przecież spędzić całego życia na własnych plecach, czy choćby na twoich* — powiedział); Allie, przebacząc mu, roześmiała się. — Wyglądasz jak Brutus, pełen godności i żądzy mordy — drażniła go. — Portret szacownego męża. — Przeraził ją krzycząc gwałtownie: Powiedz mi natychmiast, kim jest ten skurwiel.

— Chyba nie mówisz poważnie — odparła. Jack Brunel pracował jako animator, zbliżał się do sześćdziesiątki i znał jeszcze jej ojca. Nigdy nie była nim zainteresowana w najmniejszym stopniu, ale on zaczął starać się o jej względy w ten właśnie dziwny sposób, bez słów, podarowując jej od czasu do czasu takie rysunki.

— Dlaczego nie wyrzuciłaś ich do kosza na śmieci? — zawył Gibril. Allie, wciąż jeszcze do końca nie pojmując intensywności jego furii, ciągnęła swoje wyjaśnienia tonem żartobliwym. Zachowała te rysunki, ponieważ podobały jej się. Pierwszy z nich był starą karykaturą z *Puncha*, w której Leonardo da Vinci stał w swojej pracowni w otoczeniu grona uczniów i jak dyskiem rzucał Moną Lizą przez cały pokój. „*Zważcie na moje słowa, panowie* — mówił w podpisie pod ilustracją — *któregoś dnia ludzie będą latać do Padwy w taki właśnie sposób*”. W drugiej ramce znajdowała się strona z Toff, pisma humorystycznego dla chłopców z czasów Drugiej Wojny Światowej. Pomyślano w redakcji tego pisma, że w czasach, kiedy tyle dzieci zostało wysiedlonych ze swoich domów, konieczne trzeba stworzyć komiksową wersję wydarzeń w świecie dorosłych, która by te tak niecodzienne wydarzenia tłumaczyła. Tak więc ilustracja przedstawia jedno z cotygodniowych spotkań między zespołem gospodarzy — Elegant (przerazający dzieciak z monoklem w oku, ubrany w etoński frak i prążkowane spodnie) i Bert, chłopiec w kaszkiecie i z poobijanymi kolanami — a wrażym zespołem szubrawców, to jest Hokropnym Hadolfem i Nieprzyjemnikami (bandą niesamowitych zbirów, z których każdy miał jakąś bardzo nieprzyjemną część ciała, np. stalo-

wy hak zamiast dłoni, stopy podobne do szponów, zęby, które mogły przegryźć ci ramię). Zespół brytyjski niezmiennie wygrywał. Gibril pogardliwie spojrzął na komiks w ramce. — Wy cholerne *Angole*. Naprawdę myślicie w ten sposób; oto czym naprawdę była dla was ta wojna. — Allie postanowiła nie wspominać o swoim ojcu, ani też nie mówić Gibrilowi o tym, że jeden z artystów pracujących dla *Toffa*, zjadliwie antyfaszystowski Berlińczyk o nazwisku Wolf, został pewnego dnia aresztowany i odtransportowany do obozu dla internowanych razem z innymi Niemcami zamieszkałymi w Brytanii i według Brunela ani jeden z jego kolegów nie kiwnął palcem w jego obronie. „Nieczułość — rozmyślał przy niej Jack. — Jedyna rzecz, która jest karykaturzyście naprawdę potrzebna. Czegóż mógłby dokonać Disney, gdyby nie miał serca. A on miał tę nieszczęsną wadę”. Brunel prowadził małe studio filmów rysunkowych o nazwie Wytwórnia Strach na Wróble, zapożyczonej z *Czarnoksiężnika z Krainy Oz*.

Trzecia ramka zawierała ostatnie ujęcie z jednego z filmów wielkiego japońskiego animatora Yoji Kuri, którego wyjątkowo cyniczne obrazy doskonale ilustrują niesentymalny pogląd Brunela na sztukę rysownika. W tym filmie człowiek spada z drapacza chmur, wóz strażacki zajeżdża pędem na miejsce i ustawia się pod wciąż spadającym człowiekiem. Z otwartego dachu samochodu wysuwa się olbrzymi stalowy kolec. W kadrze wiszącym na ścianie pokoju Allie człowiek spadając głową w dół wbija sobie ów kolec w mózg. — Chore — zawyrokował Gibril Fariszta.

Skoro te hojne dary nie przyniosły żadnych rezultatów, Brunel musiał wyjść z ukrycia i zjawić się we własnej osobie. Stawił się w mieszkaniu Allie któregoś wieczoru, nie zapowiedziany, nieźle podchmielony, i wyciągnął butelkę rumu z podniszczonej aktówki o trzeciej nad ranem wypił ostatnią kroplę trunku, ale nie zdradzał najmniejszej ochoty do wyjścia. Allie ostentacyjnie ruszyła do łazienki umyć zęby i kiedy wróciła, zastała animatora stojącego nagusieńkiego na samym środku dywanu w jej saloniku, ku swojemu zdziwieniu zauważyła, że ma on niezwykle kształtne ciało pokryte nadmierną masą gęstych siwych włosów. Kiedy ją zobaczył, wyciągnął ramiona i zawołał: „Bierz mnie! Rób ze mną, co zechcesz!” Ubrała go, zdobywając się przy tym na całą uprzejmość, jaka jej jeszcze została i delikatnie wypchnęła go razem z teczką za drzwi. Nigdy nie wrócił.

Allie opowiedziała Gibrilowi tę historyjkę, niczego nie tając i chichocząc od czasu do czasu, co sugerowało, że jest całkowicie nie przygotowana na burzę, którą jej opowiadanie miało rozpętać. Jest jednak prawdopodobne (stosunki między nimi były raczej napięte przez kilka ostatnich dni), że jej niewinna postawa była nieco obłudna, że miała prawie nadzieję, iż on zacznie zachowywać się niewłaściwie, w wyniku czego za wszelkie następstwa odpowiedzialność spadnie na niego, a nie na nią... bądź co bądź, Gibril wybuchnął jak wulkan, pod same chmury, oskarżając Allie o to, że sfalszowała koniec opowiadania, sugerując, że biedny Brunel na pewno wciąż czeka na telefon od niej i że właśnie zamierzała zadzwono-

nić do tamtego, skoro tylko on, Fariszta, odwróciłby się na chwilę. Miotanie się w szale, krótko mówiąc, zazdrość o jej przeszłość, najgorsza ze wszystkich. Kiedy to okrutne uczucie całkowicie go opanowało, złapał się na tym, że wymyśla dla niej tabuny kochanków, wyobrażając sobie, że czekają za każdym rogiem. Posłużyła się historią o Brunelu po to, aby naigrywać się z niego, wrzeszczał, była to okrutna groźba, przygotowana z całą premedytacją. — Chcesz widzieć mężczyzn klęczących u twych stóp — krzyczał, resztki jego opanowania dawno już się ulotniły. — Ja, ja na kolana nie padnę.

— Otóż to — powiedziała. — Wynocha.

Gniew rozgorzał w nim na dobre. Trzymając kurczowo w garści swoją togę, przeszedł majestatycznie do sypialni, aby się ubrać; włożyć na siebie jedyne rzeczy, jakie posiadał, włączając w to gabardynowy płaszcz o szkarłatnym podbiciu i szary filcowy kapelusz Don Enrique Diamonda; Allie stała w drzwiach i przyglądała się. — Nie myśl sobie, że wrócę — krzyknął, wiedząc, że jego wściekłość jest siłą, która bez trudu przepchnie go przez próg i wciąż czekając na jej gest, na to, że zacznie go uspokajać, przemawiać do niego czule, że da mu pretekst pozwalający zostać. Ale ona wzruszyła ramionami i odeszła, i właśnie wtedy, dokładnie w momencie jego największego gniewu, pękły granice ziemi, usłyszał hałas przypominający jakby pęknięcie tamy i kiedy duchy świata marzeń sennych zaczęły się wlewać przez wyrwę do świata codzienności, Gibril Fariszta zobaczył Boga.

Dla Blake'owego Izajasza Bóg był po prostu immanentnością, bezcielesnym oburzeniem; ale wizja Najwyższej Istoty, jaką miał Gibril, nie była bynajmniej abstrakcyjna. Ujrzał siedzącego na łóżku mężczyznę mniej więcej równego sobie wiekiem, średniego wzrostu, o krępej budowie ciała i z szarą brodą przyciętą krótko, blisko linii szczęki. Najbardziej uderzyło go to, że duch ten wyraźnie łysiał, miał prawdopodobnie łupież i nosił okulary. Nie był to Wszechmocny, jakiego się spodziewał. — Kim jesteś — zapytał z zainteresowaniem. (Nie interesowała go natomiast w tej chwili Alleluja Cone, która usłyszawszy, że zaczyna rozmawiać sam ze sobą, natychmiast się zatrzymała i obserwowała go właśnie najwyraźniej ogarnięta paniką.)

— Nad-ziemiarni — odpowiedziała zjawą. — Facet z Góry.

— Skąd mam wiedzieć, że nie jesteś tym Drugim? — zapytał chytrze Gibril — Pod-ziemiarni. Facetem z Dołu?

Śmiałe pytanie, wywołujące natychmiastową zgryźliwą odpowiedź. To Bóstwo mogło sobie wyglądać jak jakiś urzędniczy krótkowidz, ale z całą pewnością potrafiło zmobilizować tradycyjny aparat gniewu bożego. Za oknem zgęstniały chmury; wiatr i gromy wstrząsnęły pokojem. W parku Fields łamały się drzewa. — Tracimy do ciebie cierpliwość, Gibrilu Fariszto. Chyba już dosyć długo w Nas wąpiałeś. — Gibril zwiesił głowę, zmiażdżony gniewem Boga. — Nie musimy się przed tobą tłumaczyć z Naszej istoty — pranie mózgu trwało dalej. — Nie będzie się tutaj rozwiązywało kwestii, czy My jesteśmy wielopostaciowi, w wielu

osobach, czy stanowimy jedność-poprzez-krzyżowanie takich przeciwieństw jak *Nad i Pod*, ani też tej kwestii, czy My jesteśmy nieskalani, absolutni i najwyżsi. Rozgrzebane łóżko, na którym jego gość usadowił Swój tyłek (teraz dopiero Gibril zauważył, że tyłek ów lekko promieniował, podobnie jak i reszta Osoby) zostało obrzucone spojrzeniem pełnym najwyższej dezaprobaty. — Rzec w tym, że nie będzie już żadnego ociągania się. Domagałeś się wyraźnych dowodów Naszego istnienia? Zesłaliśmy Objawienie, które wypełniło twoje sny: wyjaśniło nie tylko Naszą istotę, ale i twoją. Ale ty walczyłeś z nim, walczyłeś z tym snem, w którym My ciebie budziliśmy. Twój strach przed prawdą zmusił Nas w końcu do ujawnienia się o późnej nocnej porze, z niewątpliwym narażeniem się na osobiste niewygody, w miejscu zamieszkania tej kobiety. Czas już najwyższy, żebyś zaczął rozwijać się po naszej myśli. Czy po to wyrwaliśmy cię z niebios, byś mógł się gzić i kłócić z jakąś (niewątpliwie godną uwagi) płaskostopą blondynką? Jest robota.

— Jestem gotów — powiedział Gibril pokornie. — Tak, czy inaczej, już odchodziłem.

— Słuchaj — powiedziała Allie Cone — Gibril, niech to cholera, zapomnij o walce. Posłuchaj: kocham cię.

W mieszkaniu byli teraz tylko oni we dwoje. — Muszę iść — powiedział cicho Gibril. Uwiesiła się u jego ramienia — Naprawdę, jestem pewna, że źle się czujesz. — W dalszym ciągu zachowywał się w stosunku do niej wyniośle. — Skoro rozkazałaś mi wyjść, nie możesz już decydować o moim zdrowiu. — Uciekł. Allie usiłowała iść za nim i nagle odczuła tak rozdzierający ból w stopach, że nic innego jej nie pozostało jak upaść, szlochając, na podłogę: podobnie jak aktorka w hinduskim filmie masala; lub jak Rekha Merchant w dniu, w którym Gibril porzucił ją na dobre. W każdym razie podobnie jak postać w opowiadaniu, z którą utożsamienia nigdy wcześniej by sobie nie wyobraziła.

* * *

Turbulencje meteorologiczne wywołane gniewem Boga na swojego sługę ustąpiły miejsca jasnej kojącej nocy, której przewodniczył tłusty kremowy księżyc. Jedyne zwalone drzewa wciąż świadczyły o potędze przechodzącego tędy Najwyższego. Gibril, w filcowym kapeluszu wciśniętym aż po oczy, z pasem na pieniądze mocno zapiętym na brzuchu, rękoma głęboko w kieszeniach gabardyny, przy czym prawa wyczuwała wyraźny kształt książki — cicho dziękował za swoją ucieczkę. Pewien już swojego archanielskiego statusu, odpędził od siebie wszelkie wyrzuty sumienia, które mógłby odczuwać z powodu momentu zwąt-

pienia, a w ich miejsce wprowadził nowe postanowienie: przywrócenie tej metropolii współczesnych bezbożnych pobratymców ludu Ad i plemienia Samud wiary w Boga, obsypania ich błogosławieństwami Recytacji, Świętego Słowa. Poczuli, że odpada odeń poprzednie ego, pożegnał je wzruszeniem ramion, postanowił jednak zachować, przynajmniej na razie, wymiary ludzkiego ciała. Nie nadszedł jeszcze czas, by zacząć rosnąć i wypełnić w końcu całe niebo od horyzontu po horyzont — chociaż i to stanie się już niedługo.

Ulice miasta okręcały się wokół niego, wijąc się jak węże. Londyn ponownie stracił równowagę, jeszcze raz ujawniając swoją prawdziwą, kapryśną i udręczoną naturę, katusze miasta, które zagubiło swój sens i pławiło się w poczuciu bezsilności wobec swojego egoistycznego i wściekłego organizmu składającego się z masek i parodii, miasta umęczonego i powykręcane przez nieznośną i na czas nie wyrzyganą zawartość trzewi własnej przeszłości, miasta wpatzonego w posępny obraz nędznej przyszłości. Wędrował jego ulicami tej nocy, cały następny dzień, całą następną noc, aż w końcu światło i ciemność straciły jakiegokolwiek znaczenie. Wydawało się, że przestał odczuwać potrzebę jedzenia czy odpoczynku, szedł wciąż naprzód przez tę umęczoną metropolię, której budulec uległ obecnie całkowitej przemianie, domy w bogatych dzielnicach były zbudowane z zastygłego strachu, budynki rządowe częściowo z zarozumiałstwa, częściowo z pogardy, a miejsca zamieszkania biedoty — z bałaganu i marzeń o bogactwie. Kiedy spoglądało się na to wszystko oczyma anioła, widziało się esencję zamiast powłoki, widziało się wyciek dusz z pęcherzy bulgoczących na skórkach przewodników, widziało się wspaniałomyślność pewnych dusz, które pod postacią ptaków spoczęły na ludzkich ramionach. I kiedy tak włóczył się po tym przemienionym mieście, widział skrzaty o skrzydłach nietoperzy, siedzące na narożnikach budynków zbudowanych z oszustwa i dojrzał również chochliki wydostające się z pokrytych potłuczonymi dachówkami publicznych pisuarów. Podobnie jak kiedyś trzynastowieczny mnich niemiecki Richalmus zamykał oczy i natychmiast widział chmary małych demonów otaczających każdego mężczyznę i kobietę na ziemi, tańczących w świetle słonecznym jak pyłki kurzu, tak i Gibril, mając otwarte oczy i to przy świetle księżycy jak i słońca, dostrzegał wszędzie obecność swojego adwersarza, swojego — wróćmy tu do oryginalnego znaczenia tego starego słowa — *szejtana*.

Na długo przed Potopem, przypomniał sobie — teraz, kiedy ponownie przyjął rolę archanioła, najwyraźniej krok po kroku przywracano mu pełen zakres archanielskiej pamięci i mądrości — pewna liczba aniołów (jako pierwsze przyszły mu na myśl imiona Semdżaza i Azazel) została wyrzucona z nieba, ponieważ *pożądała córek człowieczych*, które w odpowiednim czasie wydały na świat złą rasę gigantów. Zaczynał teraz rozumieć ogrom niebezpieczeństwa, przed którym go ocalono, pozwalając mu odejść od Allelui Cone. O najbardziej fałszywe ze stworzeń! O księżniczko mocy powietrza! — Kiedy Prorok, niech będzie pokój Jego

imieniu, po raz pierwszy otrzymał wahi, Objawienie, czyż nie obawiał się, że postradał zmysły? — A kto wówczas ofiarował mu tę uspokajającą pewność, która tak była mu potrzebna? — Cóż, Chadidza, jego żona. To ona przekonała go, że nie jest majaczącym pomyłkencem, lecz Posłańcem Bożym. — Natomiast co zrobiła dla niego Alleluja? *Nie jesteś sobą. Jestem pewna, że źle się czujesz.* — O przynosząca cierpienia stwórczyni konfliktów i bólu duszy! Syreno, kusicielko, diable w ludzkiej skórze! To śnieżnobiałe ciało i te jasne, jasne włosy: jak ona posłużyła się nimi, aby otumanić jego duszę, i jak ciężko było jemu, który ma takie słabe ciało, odeprzeć to... do tego stopnia przez nią usidlony, złapany w pajęczynę miłości tak skomplikowaną, że wprost trudno uwierzyć, doszedł do samej krawędzi ostatecznego Upadku. Jak dobroczynna okazała się wobec niego Nad-Istota! — Rozumiał teraz, że wybór jest prosty: pomiędzy diabelską miłością córek człowieczych a niebiańskim uwielbieniem Boga. Był w stanie wybrać to drugie; i w samą porę.

Wyciągnął z prawej kieszeni płaszcz książkę, która tkwiła tam cały czas od momentu, kiedy wyszedł z domu Rosy tysiącletnie temu: książki o tym mieście, które przyszedł ocalić, o Tym Właśnie Londynie, stolicy Wilajatu, mieście, które było tu szczegółowo naszkicowane specjalnie dla niego. Wybawi to miasto: Londyn Geografów i to cały od A do Z.

* * *

Na rogu ulicy w centrum miasta, dzielnicy niegdyś słynnej ze względu na jej mieszkańców, artystów i radykałów, mężczyźni poszukujących prostytutek, a obecnie danej w posiadanie urzędnikom zajmującym się reklamami i drobniejszym producentom filmowym, Archanioł Gibril przypadkowo dostrzegł zagubioną duszę. Była młoda, rodzaju męskiego, wysoka i bardzo piękna, o orlim nosie, z długimi czarnymi włosami nasmarowanymi olejkiem i z przedziałkiem na środku głowy; miała złote zęby. Zagubiona dusza stała na samej krawędzi chodnika, odwrócona tyłem do ulicy, lekko pochylała się do przodu i trzymała w prawej ręce coś, co najwyraźniej było jej bardzo drogie. Zachowanie duszy zastanawiało: najpierw dzikim wzrokiem patrzyła w rzecz, którą trzymała w prawej dłoni, następnie rozglądała się na wszystkie strony, i z przenikliwą koncentracją wbijała wzrok twarze przechodniów. Nie chcąc spłoszyć duszy, Gibril minął ją bez słowa i zobaczył, że tym przedmiotem w jej dłoni była mała paszportowa fotografia. Za drugim nawrotem podszedł wprost do nieznanego i zaoferował mu swoją pomoc. Tamten nieufnie popatrzył na niego, a następnie podetknął mu tę fotografię niemal pod sam nos. — Ten człowiek — powiedział, dźgając fotografię długim

palcem wskazującym. — Czy zna pan tego człowieka?

Kiedy Gibril zobaczył, że z fotografii spogląda na niego młody, bardzo piękny mężczyzna, o imponującym orlim nosie, z długimi czarnymi włosami nasmarowanymi olejkami i z przedziałkiem na środku głowy, zrozumiał, że instynkt go nie zawiódł, że tutaj, na rogu ruchliwej ulicy przyglądała się przechodniom, aby w końcu wyłowić siebie samego, gdyby tamtędy przechodził, Dusza poszukująca swojego zagubionego ciała, widmo rozpaczliwie odczuwające brak utraconej powłoki fizycznej — archaniołom bowiem znany jest fakt, że dusza lub Ka nie może sama istnieć (po zerwaniu złocistego sznura światła łączącego ją z ciałem) dłużej niż jedną noc i jeden dzień. — Mogę ci pomóc — obiecał i młody duch popatrzył na mego z bliskim obłędu niedowierzaniem. Gibril pochylił się, ujął twarz istoty Ka w dłoń i mocno pocałował w same usta, ponieważ dusza ucałowana przez archanioła odzyskuje natychmiast utracone poczucie orientacji i w ten sposób wchodzi na drogę prawdy i sprawiedliwości. — Jednakże zagubiona dusza zareagowała zdumiewająco na to wyróżnienie archanielskim pocałunkiem. — Odpierdol się — krzyknęła. — Może jestem doprowadzony do ostateczności, ale nie aż na tyle, facet — Po czym zademonstrowała krzepkość fizyczną niezwykłą dla ducha uwolnionego od powłoki cielesnej i zadała Archaniołowi Pańskiemu mocne uderzenie w nos tą samą pięścią, w której znajdowała się fotografia; — powodując dezorientujące i krwawe następstwa.

Kiedy poprawiło się jego widzenie, zagubionej duszy już nie było, natomiast tuż obok, na swoim latającym dywanie kilka stóp nad ziemią siedziała Rekha Merchant, kpiąc sobie z jego porażki. — Nie taki znów dobry początek — prychnęła. — Archanioł, dobre sobie. Mój ty szanowny panie Gibril, zwariowałeś, uwierz mi. Grałeś zbyt wielu typów ze skrzydłami, żeby ci to wyszło na dobre. Nie ufałabym również temu twojemu Bóstwu, gdybym była na twoim miejscu — dodała bardziej konspiracyjnym tonem, chociaż Gibril podejrzewał, że intencje jej wypowiedzi pozostają prześmiewcze. — Sam to zasugerował, partacząc odpowiedź na twoje pytanie o kwestię Nad i Pod. Ta myśl o rozdzieleniu funkcji, światło przeciw ciemności, zło przeciw dobru, może być wystarczająco niedwuznaczna w Islamie — *O, dzieci Adama, niech was Diabeł nie zwiedzie, tak jak wygnał waszych rodziców z ogrodu, ściągając z nich ich przyodziewek, żeby móc pokazać im ich wstyd* — ale cofnij się trochę, a przekonasz się, że jest to całkiem niedawno zmyślona rzecz. Amos, ósmy wiek przed Chrystusem, pyta: „Czyż zdarza się w mieście nie-szczęście, by Pan tego nie sprawił?” A również Jahwe, według Deutero-Izajasza, zauważa: „Ja tworzę światło i stwarzam ciemności, sprawiam pomyślność i stwarzam niedolę. Ja, Pan, czynię to wszystko”. Dopiero w Księdze Kronik, a więc zaledwie w czwartym wieku przed Chrystusem, po raz pierwszy zostaje użyte słowo *szejtan* w znaczeniu osobnej istoty, a nie jedynie atrybutu Boga. „Prawdziwa” Rekha nie byłaby po prostu w stanie wygłosić takiego przemówienia, gdyż wychowała się, jakby nie było, w politeistycznej tradycji i nigdy nie przejawiała

najmniejszego zainteresowania porównywaniem religii, a już na pewno nie Apokryfami. Ale ta Rekha, która ścigała go nieustannie od chwili, kiedy wysypał się z *Bustana*, nie była, i Gibril dobrze o tym wiedział, rzeczywiście w jakikolwiek obiektywny, psychologicznie lub cielesnie konsekwentny sposób. — Czym więc była? Łatwo byłoby wyobrazić ją sobie jako zjawisko, do którego powstania sam przyłożył rękę — jego własnego współnika-przeciwnika, jego wewnętrznego demona. To wyjaśniałoby łatwość, z jaką poruszała się po zakamarkach wiedzy. — Ale w jaki sposób on sam doszedł do takiej znajomości rzeczy? Czy naprawdę w dawnych czasach posiadał tę wiedzę, a później ją utracił, jak to obecnie donosiła mu pamięć? (Nie dawało mu spokoju wrażenie jakiejś nieścisłości, ale kiedy usiłował skoncentrować myśli na swoim „ciemnym okresie”, to *znaczy* na tym czasie swojego życia, kiedy w niewyjaśniony sposób przestał wierzyć w swoje anielskie posłannictwo, napotykał gęsty wał chmur, przez które, jak by nie wyęczał wzroku, nie potrafił dostrzec niczego poza rozmazanymi cieniami.) — Albo też, czyż mogło być tak, że materiał wypełniający obecnie jego myśli, dalekie echo, by przytoczyć tylko pojedynczy przykład, starodawnej historii, kiedy to jego posłańcy — aniołowie Ituriel i Zefon zdybali adwersarza *przykucniętego jak ropucha* przy uchu Ewy w Edenie, używając swych sztuczek „by osiągnąć Źródła jej wyobraźni, i tam wykuć Iluzje, jakie tylko chciał, przywidzenia i sny”, więc czyż było tak, że to wszystko zostało wprowadzone do jego głowy i tam zaszczipione przez tę samą zagadkową Istotę, tę rzecz Z-Góry-i-Z-Dołu, która stanęła przed nim twarzą w twarz w sypialni Allelui i która obudziła go z długiego snu na jawie? — Wobec tego, może i Rekha była emisariuszką tego Boga, bożą antagonistką z zewnątrz, a nie wewnętrznym cieniem, wytworem winy; kimś, kto został posłany, aby mocować się z nim, przywrócić mu integralność.

Nos, z którego wciąż leciała krew, zaczął dawać o sobie znać rwącym, pulsującym bólem. Nigdy nie był w stanie znieść cierpienia fizycznego. — Zawsze byłeś mazgajem — Rekha parsknęła śmiechem. Szejtan rozumiał więcej:

*Czy jest ktoś taki, kto kocha swój ból?
Kto, znalazłszy drogę, nie wyrwałby się z piekła,
Choć tam jego przeznaczenie? Ty postąpiłbyś tak, to pewne,
I śmiało uciekał dokądkolwiek,
Byle od bólu jak najdalej, gdzie mógłbyś żywić nadzieję na zamianę
Udręczenie na ulgę...*

Nie można by tego ująć lepiej. Osoba, która trafi do jakiegoś piekła, jest gotowa robić wszystko, gwałcić, wydierać siłą pieniądze, mordować, popełnić samobójstwo, cokolwiek, aby tylko się stamtąd wydostać. . . przyłożył sobie chusteczkę do nosa, a Rekha, wciąż obecna na swoim latającym dywanie, domyślając się intuicyjnie, że wspiął się (zszedł w dół?) w królestwo spekulacji metafizycznych, usiłowała sprowadzić wszystko na bliższą sobie płaszczyznę. — Powinieneś był

zostać ze mną — wyraziła swoje zdanie. — Mogłeś mnie kochać uczciwie, tak jak należy. Wiem przecież, jak kochać. Nie każdy to potrafi; ja potrafię. Potrafiłam, chciałam powiedzieć. Nie jestem jak ta egocentryczna blond bomba, która potajemnie zamierza mieć z tobą dziecko, a tobie nawet jednym słowem o tym nie wspomni. Ani jak twój Bóg; już nie te czasy, kiedy takie Osoby okazywały stosowne zainteresowanie.

Aż się prosiło, żeby temu zaprzeczyć i to na kilku płaszczyznach. — Byłaś zamężna, od początku do końca — odpowiedział. — Łóżyska kulkowe. Byłem dla ciebie przystawką, a nie głównym daniem. Tak więc ja, który czekałem tak długo na Niego, i jego objawienie się, nie będę tutaj wyrażał się o Nim małodusznie, po tym jak mi się objawił we własnej Osobie. Wreszcie o co tu chodzi z tym dzieckiem? Wydaje się, że popadasz w przesadę.

— Nie wiesz, jak wygląda piekło — odparowała natychmiast, zrzucając maskę niewzruszoności. — Ale możesz być pewien, nieudolny skoczku, że je poznasz. Gdybyś tylko zażądał, rzuciłabym tego nudziarza od łóżysk w dwie sekundy, ale ty trzymałeś gębę na kłódkę. A teraz dopilnuję, żebyś się znalazł tam na dole: w Hotelu Pod-ziemia.

— Nigdy nie zostawiłabyś swoich dzieci — dalej upierał się przy swoim. — Biedaczyny, posunęłaś się nawet do tego, że rzuciłaś je w dół, zanim sama skończyłaś. — To ją ruszyło. — Lepiej nic nie mów! Jeszcze taki dziób otwiera! Szanowny panie, już ja nawarzę ci piwa! Usmażę twoje serce i zjem je z grzanką! A jeśli chodzi o twoją Białą Królową Śnieżkę, uważa ona, że dziecko jest wyłączną własnością matki, ponieważ mężczyźni raz są, raz ich nie ma, ale ona trwa zawsze, czyż nie? Jesteś jedynie, przepraszam, nasieniem, ona jest ogrodem. Kto pyta nasienie, czy chce ono wykiełkować? No i czy ty wiesz, co robisz, cholerny głupi bombajski chłopaczku, zadając się z kobietami o nowoczesnych poglądach?

— A ty — odpowiedział gwałtownie. — Czy na przykład zapytałaś tatusia swoich dzieci o zgodę, zanim zrzuciłaś je z dachu?

Zniknęła w ataku furii i w obłoku żółtego dymu, wywołując eksplozję, która zachwiała nim i zdmuchnęła mu kapelusz z głowy (odwrócony wylądował na chodniku u stóp Gibrila). Do tego wszystkiego uruchomiła również mocne efekty zapachowe o tak obrzydliwej woni, że zmusiło go to do zatkania ust, następnie zebrało mu się na wymioty. A tu nic: ponieważ nie było w nim żadnego jedzenia, ani żadnych płynów; już od wielu dni nie jadł i nie pił. Ach, nieśmiertelność, myślał: ach, szlachetne uwolnienie się od tyranii ciała. Zauważył, że przygląda mu się z zaciekawieniem dwoje ludzi, jednym był agresywnie wyglądający młody człowiek, ubrany w skórę i ćwieki, z mohikańską fryzurą we wszystkich kolorach tęczy i z agrafką w nosie, drugą osobą była życzliwa kobieta w średnim wieku i w chustce na głowie. No i bardzo dobrze: korzystaj z chwili. — Okażcie skruchę — krzyknął żarliwie — Ponieważ jestem Archaniołem Pana.

— Biedny skurwiel — powiedział Mohikanin i rzucił monetę do leżącego ka-

pelusza Fariszty. Odszedł; życzliwa dama o błyszczących oczach pochyliła się jednak konfidencjonalnie w stronę Gibrila i podała mu ulotkę. — Zainteresuje to pana. — Szybko zorientował się, że jest to rasistowski tekst domagający się „repatriacji” czarnych obywateli. Wzięła go, wywnioskował, za białego anioła. A więc aniołowie również podlegają takim kategoriom, przyjął tę wiadomość z niedowierzaniem. — Niech pan spojrzy na to w ten sposób — mówiła kobieta, tłumacząc sobie jego milczenie jako przejaw niepewności i swoim przejściem na zbyt wyraźną i zbyt głośną artykulację dowodząc, że uważa go za nie całkiem białego, za anioła z Lewantu być może, Cypryjczyka lub Greka, do którego powinna przemawiać najlepszym, na jaki potrafiła się zdobyć, tonem stosowanym-wobec-ciężko-dotkniętych. — Gdyby przyjechali i zapchali ten kraj, skądkolwiek pan jesteś, cóż! Z pewnością to by się panu nie spodobało.

* * *

Uderzony w nos, wyśmiewany przez zjawy, otrzymawszy jałmużnę zamiast szacunku, i różnorodnymi drogami wprowadzony w bagno upadku mieszkańców miasta, przy czym wyraźnie widać było tu niezmienną wyższość zła, Gibril był bardziej niż kiedykolwiek zdecydowany rozpocząć czynienie dobra, zacząć wielkie dzieło odsunięcia jak najdalej granic panowania adwersarza. Mapa w kieszeni była jego głównym planem działania. Wybawi miasto kwadrat po kwadracie, od Hockley Farm w północno-zachodnim rogu nakreślonego obszaru do Chance Wood na południowym wschodzie; po czym, być może, uczci zakończenie swoich prac drobną rozgrywką na zlokalizowanym na samej krawędzi mapy polu golfowym o trafnie dobranej nazwie: Odludzie.

A gdzieś tam po drodze będzie na niego czekał sam główny przeciwnik. Szejtan, Iblis, czy jakiegokolwiek inne imię sobie przybrał — i w rzeczy samej imię to Gibril miał wciąż na końcu języka — podobnie jak twarz przeciwnika, złośliwa i z rogami nad czołem, wciąż była jakoś zamazana. . . cóż, niedługo odzyska ona swoją wyrazistość, podobnie jak i imię wróci do jego pamięci, Gibril był tego pewien, bo czyż jego możliwości nie powiększały się z każdym dniem, czyż on nie był tym, który przywrócony do swojej chwały ciśnie przeciwnika w dół, ponownie w Najciemniejszą Głębię? — To imię: cóż to mogło być? Cz-coś? Czu Cze Czin Czou. Nieważne. Wszystko w swoim czasie.

* * *

Ale miasto w swoim zepsuciu moralnym nie chciało poddać się nowemu panowaniu kartografów, zmieniając kształt według własnego widzimisię i bez ostrzeżenia uniemożliwiając Gibrilowi zbliżanie do obranych celów w jakiś systematyczny sposób, który by przecież wołał. W niektóre dni skręcał na rogu przy końcu wspaniałej kolumnady zbudowanej z ciała ludzkiego i pokrytej skórą, która krwawiła, jeśli się ją podrapało, i nagle znajdował się na nie wykorzystanych terenach, pustkowiu nie ujętym na mapie, na którego obrzeżu mógł rozpoznać wysokie sylwetki znajomych budowli, kopułę katedry św. Pawła, sypiącą iskrami, świecącą zapłonową Wieżę Telekomunikacyjnej, rozsypujące się na wietrze jak zamki z piasku. Błądząc przechodził przez anonimową plataninę parków i wychodził na zatłoczone ulice West Endu, na których, ku osłupieniu kierowców, z nieba zaczął padać kwas, wypalając wielkie dziury w nawierzchni dróg. W tym pandemonium miraży często słyszał śmiech: miasto wyśmiewało jego bezsiłę, oczekując poddania się, przyznania, że nie jest nawet w stanie objąć rozumem tego, co tu istnieje, a cóż dopiero mówić o zmienianiu. Wykrzykiwał przekleństwa pod adresem wciąż niewidocznego przeciwnika, błagał Boga o następny znak, obawiając się, że jego siły naprawdę nigdy nie sprostają zadaniu. Krótko mówiąc, stawał się najbardziej żalonym i zszarganym z archaniołów; ubiór jego brudny, włosy długie i przetłuszczone, podbródek pokryty kępkami nieujarzmionych kłaków. W takim właśnie żalonym stanie dotarł do stacji metra Angel.

Musiał być wczesny ranek ponieważ na jego oczach głębia wypłuła z siebie obsługę, która otworzyła, a następnie odciągnęła metalową kratę nocy. Wszedł za nimi powłócząc nogami, głowa spuszczone, ręce głęboko w kieszeniach (plan ulic został już dawno wyrzucony); i podniósłszy w końcu oczy, znalazł się twarzą w twarz z osobą, która była bliska płaczu.

— Dzień dobry — zaryzykował, a młoda kobieta w kasie biletowej odpowiedziała z goryczą: — Co w nim takiego dobrego, chciałabym wiedzieć — i teraz dopiero pojawiły się jej łzy, pełne, kuliste i obfite. — No dobrze, już dobrze, moje dziecko — powiedział i dziewczyna spojrzała na niego z niedowierzaniem. — Nie jest pan wcale księdzem — wyraziła swoje zdanie. Odpowiedział trochę niezdecydowanie: — Jestem Aniołem, Gibrilem. — Roześmiała się, równie niespodziewanie, jak wcześniej zaczęła płakać. — No tak, tylko że anioły zwisają tu z lamp ulicznych na Boże Narodzenie. Ozdoby. Tylko, że Rada Miejska wieśsza je za szyję. — Nic nie mogło zbić go z tropu. — Jestem Gibril — powtórzył i utkwiał w niej wzrok. — Recytuj. — I ku swemu zdziwieniu, które z naciskiem podkreśliła, *nie mogę uwierzyć, że to robisz, że zwiergam się jakiemuś włóczędze, nie podoba mi się to, wie pan, kasjerka biletowa zaczęła mówić.*

Nazywała się Orfea Phillips, miała dwadzieścia lat, utrzymywała obydwój rodziców, zwłaszcza teraz, kiedy jej postrzelona siostra Hiacynta utraciła pracę fizjoterapeutki „pakując się w jakiś zupełny nonsens”. Młody człowiek nazywał się, bo, a jakże, był w tym i młody człowiek, Uriasz Moseley. Na stacji ostatnio zainstalowano dwie błyszczące nowe windy, i Orfei i Uriaszowi powierzono ich obsługę. W godzinach szczytu, kiedy pracowały obydwie dźwigi, było mało czasu na rozmowy; jednak w innych porach dnia używano tylko jednego. Orfea stawała wówczas na stanowisku kontroli biletów nie opodal szybu windy i Uriemu udało się spędzić wiele godzin na rozmowie z nią tam na dole, wspierał się o futrynę drzwi swojej błyszczącej windy i czyścił zęby srebrną wykałaczką, którą jego pradziadek dawno temu dziubnął jakiemuś właścicielowi plantacji. Była to prawdziwa miłość. — Ale mnie poniosło uczucie — zawodziła Orfea przed Gibriem. — Jestem zbyt szybka, by zachować rozsądek. Pewnego popołudnia, przy słabym ruchu, opuściła swój posterunek i stanęła przed nim, kiedy był akurat pochyłony i czyścił zęby, i widząc to spojrzenie jej oczu, odłożył wykałaczkę. Po tym wydarzeniu zaczął przychodzić do pracy sprężystym krokiem; ona również była w siódmym niebie, zjeżdżając codziennie do wnętrza ziemi. Ich pocałunki stawały się coraz dłuższe i bardziej namiętne. Czasami nie potrafiła oderwać się od niego, kiedy dzwoniono po windę; Uriasz musiał ją wtedy odpychać krzycząc, „Opanuj się, dziewczyno, ludzie czekają”. Uriasz podchodził do swojej pracy jak do powołania. Mówił Orfei o dumie z munduru, który nosi, o zadowoleniu ze służby dla społeczeństwa, z tego, że daje społeczeństwu życie. Pomyślała, że brzmi to nieco pompatycznie i chciała powiedzieć: „Uri, człowieku, ty żeś tutaj tylko windziarz”, ale wyczuwając, że taki realizm nie byłby mile przyjęty, powstrzymała swój nieznośny język, a ściślej mówiąc, wsadzała go w jego usta.

Ich uściski w tunelu przekształciły się w wojny. Próbował, powiedzmy, oderwać się od niej, wygładzając swój mundur, kiedy ugryzła go w ucho i wsadziła rękę do jego spodni. — Chyba zwariowałaś — powiedział, ale ona kontynuując, zapytała: — No to co? Przeszkadza ci to?

Jak można było przewidzieć, przyłapano ich: skargę złożyła dobrotliwa kobieta w chustce na głowie i tweedowym płaszczu. Mieli szczęście, że nie wyrzucono ich z pracy. Orfeę „uziemiono”, oderwano od szybów i wind, przeniesiono na górę i odizolowano w kasie biletowej. Co gorsza jej miejsce zajęła stacyjna piękność, Rachela Watkins. — Wiem, co się dzieje — krzyknęła ze złością. — Widzę wyraz twarzy Racheli, kiedy wjeżdża na górę, poprawia włosy i nie wie, co jeszcze. — Uriasz unikał obecnie wzroku Orfei.

— Nie mam pojęcia, jak pan zmusił mnie, abym opowiedziała swoją historię — zakończyła niezdecydowanie. — Nie jesteś pan żadnym aniołem. To pewne. — Ale nie potrafiła, mimo że usilnie próbowała, wyrwać się spod władzy jego paraliżującego spojrzenia. — Wiem — powiedział jej — co jest w twoim sercu.

Sięgnął przez okienko kasy i ujął jej nie opierającą się dłoń. — Tak, o to cho-

dziło, wypełniła go siła jej pragnień, co pozwalało mu przetłumaczyć je i przesłać z powrotem do niej, dzięki czemu stało się możliwe działanie — wypowiedzenie przez nią i spełnienie tego, czego najgłębiej pożądała; tak, to było coś, co pamiętała, ta cudowność łączenia się z tą, której się objawiał, a to, co dalej następowało, było owocem tego połączenia. Wreszcie — pomyślał — wracają archanielskie umiejętności. — W kasie biletowej kasjerka Orfea Phillips miała zamknięte oczy, jej ciało osunęło się na krzesło, wyglądała na ciężką i ospałą, a jej wargi poruszały się. — Równocześnie, w całkowitej zgodzie z nimi, poruszyły się jego usta. — Otóż i to. Zrobione.

W tym samym momencie zawiadowca stacji, mały zagniewany człowieczek z dziewięcioma długimi włoskami, które złapane na poziomie ucha jak plaster przyklepione były przez całą łysinę, wypadł jak kukielka zza swoich małych drzwi. — Co ty tam knujesz? — krzyknął na Gibrila. — Wyrывaj stąd, zanim zawołam policję. Gibril nie ruszył się z miejsca. Zawiadowca stacji zobaczył, że Orfea wychodzi ze swojego transu i zaczął wrzeszczeć: — Ty, Phillips, nigdy nie widziałem czegoś takiego. Lecisz na każde spodnie, ale to już jest śmiechu warte. Jak długo żyję. I przysypia w czasie pracy, też pomyśl. — Orfea wstała, włożyła swój płaszcz przeciwdeszczowy, wzięła składaną parasolkę i wynurzyła się z kasy. — Zostawia własność publiczną bez opieki. Natychmiast tu wracaj, albo tracisz robotę, masz to jak w banku. — Orfea ruszyła w stronę spiralnych schodów i zeszła ku głębi. Pozbawiony pracownika, zawiadowca odwrócił twarz do Gibrila. — No, dalej — powiedział. — Zjeżdżaj, już cię nie ma. Pał zelówy.

— Ja czekam — odpowiedział Gibril z godnością — na windę.

Kiedy Orfea Phillips dotarła na sam dół i wyszła zza rogu, zobaczyła Uriasza Moseleya we właściwy sobie sposób opartego o budkę kontrolera biletów i Rachelę Watkins, głupawo uśmiechniętą w rozkoszy. Ale Orfea wiedziała, co robić. — Dałeś już poczuć Cheli swoją wykałaczkę, Uri? — zawołała głośno. — Na pewno chciałyby sobie potrzywać.

Oboje podskoczyli jak użądleni. Uriasz próbował ją zagadać: — No, no nie bądź taka wulgarna, Orfea — ale jej spojrzenie od razu ostudziło jego zapędy. Potem ruszył w jej stronę, cały rozmarzony, zostawiając Rachelę na lodzie. — Właśnie tak — powiedziała delikatnie, nie spuszczać z niego wzroku ani na chwilę. — No, chodź. Chodź do mamy. — *Teraz muszę iść tyłem do windy i po prostu wessać go tam do środka, a potem w górę i odchodzimy sobie.* — Ale coś było nie tak. Już nie szedł ku niej. Rachelę Watkins stanęła obok niego, cholera, o wiele za blisko, i zatrzymał się. — Powiedz jej, Uriasz — odezwała się Rachelę — że jej gusta tu na dole nie działają. — Uriasz objął ramieniem Rachelę Watkins. Nie tak to sobie wyobrażała, nie takiego rozwoju akcji stała się nagle pewna, bardzo pewna, kiedy Gibril ujął jej dłoń, ot po prostu tak, jak gdyby byli sobie *przeznaczeni*; my-ty, myślała; co się ze mną działo? Podeszła bliżej. — Weź ją ode mnie, Uriasz — krzyknęła Rachelę. — Gniecie mi mundur i w ogóle. — Wtedy Uriasz, trzyma-

jąc szamoczącą się bileterkę za oba nadgarstki, ogłosił tę wiadomość: — Proszę ją właśnie, żeby za mnie wyszła! — Na te słowa Orfeę opuściła jakakolwiek chęć walki. Ozdobione paciorkami warkocze przestały wirować i trzaskać. — Więc zostajesz skreślona z zamówienia, Orfeo Phillips — ciągnął Uriasz, sapiąc nieco. — I tak jak dama tu mówi, żadne gusta niczego nie zmieniają. — Orfea, z ubraniem w nieładzie i również dysząc ciężko, opadła na podłogę, zwrócona tyłem do krętej ściany tunelu. Do ich uszu dobiegł odgłos hamującego pociągu, para zaręczonych pospieszyła na swoje stanowiska, po drodze doprowadzając się do porządku, zostawiając Orfeę tam, gdzie usiadła. — Dziewczyno — wypowiedział Uriasz Moseley swoją opinię zamiast pożegnania — jesteś zbyt nieprzyzwoita, diabelnie nieprzyzwoita jak na mój gust. — Rachela Watkins przesłała Uriaszowi buziaka ze swojej budki kontrolera biletów; on, z kolei, nonszalancko oparł się o swoją windę i zaczął czyścić zęby. — Domowe jedzenie — obiecała mu Rachela — bez jakichkolwiek niespodzianek.

— Ty ohydny włóczęgo — wrzasnęła Orfea Phillips na Gibrila, kiedy już pokonała dwieście czterdzieści siedem stopni w spiralnych schodach kłęski. — Ty nic nie wart diabelny włóczęgo. Kto cię prosił, żebyś tak diabelnie zniszczył mi życie?

* * *

Nawet aureola zgaśta, zupełnie jak przepalona żarówka, a ja nie wiem, gdzie jest sklep. Gibril na ławce w małym parku w pobliżu stacji medytował nad bezskutecznością swoich dotychczasowych wysiłków. I stwierdził, że gorą są bluźnierstwa: jeżeli puszki z jedzeniem zostały źle oznakowane i trafiły do niewłaściwego odbiorcy, czy jest to wina dostawcy? Jeżeli któryś z efektów specjalnych — latająca mata, czy coś takiego — nie udał się, i widzisz błyszczące niebieskie kontury postaci lecącego faceta, jak można winić za to aktora? Podobnie dowodząc, jeżeli jego aniołowanie okazywało się mało skuteczne, kto, przepraszam, był za to odpowiedzialny? On sam czy też jakaś inna Wielka Figura? — W ogrodzie jego zwątpienia, pośród rojów muszek, krzaków róży i rozpaczy bawiły się dzieci. Kroki babci, pogromcy duchów, morały. Eloen deigreken, Londyn. Upadek aniołów rozmyślał Gibril, to nie była ta sama para kaloszy co Upadek Kobiety i Mężczyzny. W przypadku ludzi chodziło o moralność. O owoc z drzewa poznania dobra i zła, którego spożywać nie mieli, a spożyli. Najpierw kobieta, a za jej namową mężczyzna, zdobyli zakazane normy etyczne, zaprawione atrakcyjnym smakiem jabłek: wąż przyniósł im system wartości. Umożliwiając im, między innymi, osąd Samego Boga, dając możliwość, we właściwym czasie, za-

danie wszystkich tych niefortunnych pytań: dlaczego zło? Dlaczego cierpienie? Dlaczego śmierć? — Tak więc, fora ze dwora, wyszli. On chciał, aby Jego piękne stworzenia wywyższyły się ponad swój stan. — Dzieci śmiały mu się w twarz: *Coś dziwnego w sąsiedztwie*. Uzbrojeni w pistolety-zabawki, udawali, że chcą go poskromić jak jakiegoś zwyczajnego podłego oszusta. *Odejdźcie stamtąd* — rozkazała jakaś kobieta — kobieta schludnie ubrana, biała, rudowłosa, z szerokim pasem piegów na samym środku twarzy, jej głos był pełen wstrętu i awersji. *Słyszeliście? W tej chwili!* — Natomiast katastrofa aniołów była po prostu sprawą władzy: dziecinnie łatwym fragmentem pracy nad utrzymaniem porządku w niebie, karą za bunt, dobrą i twardą „pour encourager les autres”. — Wobec tego jak bardzo niepewnym Samego Siebie był ten Bóg, Który nie chciał, aby Jego najpiękniejsze stworzenia odróżniały dobro od zła, i Który rządził terrorem, domagając się bezwzględnego posłuszeństwa nawet Swoich najbliższych współtowarzyszy, wysyłając wszystkich dysydemtów do Swoich ogniem płonących Syberii, gułagów-piekielnych przedsionków Piekła. . . pohamował się. Były to szatańskie myśli, włożone mu do głowy przez Iblisa-Belzebuba-Szejtana. Jeżeli Był Najwyższy wciąż karał go za wcześniejszą utratę wiary, z pewnością nie tędy droga do uzyskania odpuszczenia grzechów. Po prostu musi dalej iść, aż, oczyszczony, poczuje, że przywrócona mu została cała moc. Oczyszczając swój umysł siedział sobie w zapadającym zmierzchu i obserwował (już z pewnej odległości) zabawę dzieci. *Hip-hop-raz-dwa-trzy kto-tam-to-nie-ty nie-bo-jesteś-brudny nie-bo-jesteś-czysty*, i w tym momencie, był tego pewien, jeden z chłopców poważny jedenastolatek o bardzo dużych oczach utkwiał w nim wzrok: *mama-mówi-żeś-królowna-z-bajki*.

Zmaterializowała się Rekha Merchant, cała wystrojona, cała w klejnotach. — Chłopcy układają teraz obraźliwe wierszyki o tobie, Aniele Pańskim — sztydziła. — Nawet ta mała kasjerka, nawet ona nie jest specjalnie tobą zachwycona. Wciąż idzie źle, baba, tak to mi wygląda.

* * *

Tym razem, jednakże, duch samobójczyni Reki Merchant nie zjawił się tylko po to, aby kpić. Ku zdumieniu Gibrila stwierdziła, że przyłożyła rękę do jego rozlicznych cierpień: — Czy wyobrażasz sobie, że tylko ta twoja Jedyna Istota nimi szafuje? — krzyknęła. — Cóż, mój kochasiu, pozwól sobie objaśnić. — Jej prze-mądrzała angielszczyzna z Bombaju boleśnie ukuła go w serce nagłą tęsknotą za tym utraconym miastem, ale Rekha nie czekała, aż Gibril odzyska równowagę. — Pamiętaj, że umarłam z miłości do ciebie, ty nieszczery pochlebco; daj mi moje prawa. W szczególności do zemsty na tobie, poprzez całkowite zepsucie ci życia.

Człowiek musi sporo wycierpieć za spowodowanie skoku kochanki; nie uważasz? Taka jest zasada, w każdym razie. Aż dotąd wywracałam cię na drugą stronę, ale teraz mam po prostu dosyć. Nie zapominaj, jak dobra byłam w przebaczeniu. Również i tobie się to podobało, co? Tak więc pojawiałam się, żeby powiedzieć, że kompromis zawsze jest możliwy. Chcesz porozmawiać o tym czy też wolisz w dalszym ciągu gubić się w tym szaleństwie, stając się nie aniołem, a wykolejeńcem, żalonym nieporozumieniem?

Gibril zapytał: — Co za kompromis?

— Ha, cóżby innego? — odpowiedziała, jej zachowanie zmieniło się, stała się delikatna jak nigdy, a twarz jej promieniała. — Mój fariszto, to przecież tak niewiele.

Żeby tylko powiedział, że ją kocha:

Żeby tylko powiedział to i żeby raz w tygodniu, gdy ona przyjdzie położyć się obok niego, okazał jej swoją miłość:

Jeżeli podczas jednej z nocy, o terminie zadecyduje on sam, będzie mogło być tak jak kiedyś, podczas służbowych podróży człowieka od łożysk kulkowych:

„Wówczas położę kres szaleństwu miasta, którymi tak cię nękam; skończy się również twoje opętanie tą pomyloną myślą, że musisz zmienić miasto, *wykupić* je, jakby było zastawione w lombardzie; wszędzie będzie cicho — cichuteńko; możesz sobie nawet żyć ze swoją bladolicą kobietą i zostać największą gwiazdą filmową na świecie, jak mogłabym być zazdrosna, Gibrilku, skoro już umarłam, nie chcę, żebyś mówił, że jestem tak ważna w twoim życiu jak ona, nie, wystarczy mi drugorzędna miłość, pozycja dodatkowej kochanki, jak dodatkowej potrawy na stole. Co ty na to, Gibril, wystarczą dwa-krótkie-słówka, cóż ty na to?

Daj mi czas.

— Ostatecznie nie proszę cię o nic nowego, o nic, na co jeszcze nigdy dotąd się nie zgadzałeś, czego jeszcze nie robiłeś, czemu dotąd nie ulegałeś. Przespanie się ze zjawą to nie najgorsza rzecz. A ta historia na podłodze u starej pani Diamond — w szopie na łodzie, tamtej nocy? Niezła heca, nie uważasz? A więc: jak myślisz, czyja to robota? Posłuchaj, mogę przybrać dowolny kształt, jakiego sobie tylko zażyczysz, jest to jedyna korzyść z mojego obecnego stanu. Chcesz ją znowu, tę kobietę z epoki kamiennej, którą spotkałeś w szopie na łodzie? Hej, presto. A może chcesz zwierciadlane odbicie tej twojej alpinistycznej spoconej narwanej góry lodowej? To też tylko chwila, człowieczku, chłystku. Jak myślisz, któż to czekał na ciebie po śmierci starszej pani?

Przez całą tę noc chodził ulicami miasta, które wciąż pozostawały niezmiennym, banalne, jak gdyby ponownie oddano je pod władanie praw przyrody; podczas gdy Rekha — płynąc przed nim na dywanie, zupełnie jak artystka na scenie, tuż nad głową — umilała mu czas śpiewając najśłodsze z pieśni miłosnych przygrywając sobie na starej fisharmonii o ściankach z kości słoniowej, śpiewała wszystko, począwszy od Faiz Ahmada Faiza, a skończywszy na najlepszych utworach

muzycznych ze starych filmów, takich jak pełna buntu aria śpiewana przez tancerkę Anarkali w obecności Wielkiego Mogoła Akbara w klasycznym filmie z lat pięćdziesiątych „Mughal-e-Azam”, — w której ogłasza i opiewa swoją miłość do Księcia, Salima, uczucie w jej sytuacji nieprawdopodobne i zakazane, — „Pyaar kiya to darna kya?” — Co znaczy miniej więcej, *dlaczego bać się miłości?* i Gibril, którego zaczepiła w ogrodzie jego wątpliwości, czuł, że muzyka ta zakłada coraz większą liczbę pętli na jego serce i prowadzi go wprost ku niej, ponieważ to, o co prosiła, było, w istocie rzeczy, takim drobiazgiem.

Doszedł do rzeki; i do jeszcze jednej ławki, wielbłądy z żeliwa podtrzymywały drewniane listwy, tuż pod Iglicą Kleopatry. Siedząc, zamknął oczy. Rekha śpiewała Faiza:

*Nie prosź mnie, moja miłości,
o tę miłość, którą-żem cię kiedyś darzył...
Jaka śliczna wciąż jesteś, moja miłości
lecz ja też jestem bezradny
ponieważ świat ma inne zmartwienia, niż miłość
I inne też przyjemności.
Nie prosź mnie, moja miłości,
o tę miłość, którą-żem cię kiedyś darzył.*

Poprzez zamknięte powieki Gibril ujrzał mężczyznę: nie Faiza, lecz innego poetę, który najlepsze lata życia miał dawno za sobą, zniedołężniałego faceta. — Tak, to było, jego imię: Baal. Cóż on tu porabia? Co ma do powiedzenia? — Ponieważ wyraźnie usiłował coś powiedzieć; jego głos, niewyraźny i ochrypły, utrudniał jednak zrozumienie... *Każdej nowej idei, Mahoundzie, stawia się dwa pytania. Pierwsze zadaje się wtedy, gdy idea jest słaba JAKIEGO RODZAJU IDEA JESTEŚ? Czy należysz do tych idei, które idą na kompromis, układają się, przystosowują do społeczeństwa. Szukają dla siebie schronienia, aby przetrwać, czy też jesteś przekorną i krwiożerczą myślą, sztywną jak kij ciężką idiotką, która prędzej złamie się niż ugnie pod podmuchem wiatru? — Tym rodzajem, który najprawdopodobniej, dziewięćdziesiąt dziewięć razy na sto, zostanie starty na proch; ale, za setnym razem, zmieni świat.*

— Jakie jest drugie pytanie? — zapytał głośno Gibril.

Odpowiedz najpierw na pierwsze.

* * *

Gibril, otworzywszy oczy o świcie, zastał Rekę niezdolną do śpiewu, uci-

szoną przez nadzieję i niepewność. Z miejsca postanowił dać jej za swoje. — To podstęp. Nie ma Boga prócz Boga. Nie jesteś ani Bytem, ani Jego przeciwnikiem, lecz jedynie jakąś awanturującą się mgiełką. Żadnych kompromisów, nie będę prowadził rozmów z oparami. — Zobaczył wówczas, że spadły z niej szmaragdy i brokaty, a następnie jej ciało, aż został sam szkielet, po czym i on rozsypał się w pył, w końcu dał się słyszeć żalorny rozdzierający krzyk i to, co jeszcze zostało z Rekhi, odleciało ze zdruzgotaną furią do słońca.

I nie powróciło: aż dopiero — lub prawie — przy końcu.

Przekonany, że przeszedł jakąś próbę, Gibril uświadomił sobie, że pozbył się wielkiego ciężaru; jego nastrój ulegał poprawie z sekundy na sekundę i kiedy słońce pojawiło się na niebie, dosłownie szalał już z radości. Teraz naprawdę mogło się to zacząć: tyrania jego wrogów, Rekhi i Allelui Cone i wszystkich kobiet, które chciały go związać okowami pożądania i pieśni, została przełamana na dobre; czuł teraz, że znowu z niewidocznego punktu tuż nad jego głową wypływa strumień światła; i ciężar jego ciała, także, był coraz mniejszy. — Tak, tracił resztki swojej ludzkiej natury, powracał doń dar latania, w miarę jak stawał się coraz bardziej eteryczny, utkany z oświetlonego powietrza. — Mógł zrobić krok naprzód, dosłownie w tej sekundzie, opuszczając poczerńiałą krawędź nabrzeża, i wznieść się wysoko ponad starą szarą rzekę; — albo też skoczyć z któregoś z jej mostów i nigdy już nie dotknąć stopą ziemi. A więc: nadszedł czas, aby pokazać temu miastu wspaniały widok, ponieważ jeśli dostrzeże ono Archanioła Gibrila stojącego w całym swym majestacie na zachodnim horyzoncie, skąpanego w promieniach wschodzącego słońca, z pewnością jego mieszkańcy okrutnie się przerażą i będą żałować za swoje grzechy.

Zaczął powiększać swoją osobę.

Jakież więc zdumiewające było, że z wszystkich kierowców jadących nieprzerwanym potokiem wzdłuż Nabrzeża — ostatecznie były to godziny szczytu — ani jeden nie spojrzał w jego kierunku, nie mówiąc już o zauważeniu jego obecności! Tak, zaiste był to lud, który oślepl. A ponieważ związek między ludźmi i aniołami jest niejasny — aniołowie lub mala'ika są zarówno zarządcami świata przyrody, jak i pośrednikami między Bogiem a rodzajem ludzkim, ale jednocześnie, jak Koran dobitnie stwierdza, i *rzekliśmy do aniołów, bądźcie posłuszni Adamowi*, miało to symbolizować zdolność człowieka do panowania, dzięki jego wiedzy, nad siłami przyrody, uosobionymi przez aniołów — doprawdy niezbyt wiele mógł tu zdziałać niezauważony i rozwścieczony malak Gibril. Archaniołowie mogą mówić jedynie wtedy, gdy ludzie zdecydują się słuchać. Co za banda! Czyż nie on pierwszy dostrzegł Najwyższą-Istotę, zanim uczyniła to ta zgraja przestępców i złoczyńców? „Czy umieścisz ich na ziemi, aby siali na niej niezgodę i przelewali krew?” — zapytał wtedy, a Najwyższy, jak zwykle odpowiedział, że on wie lepiej. Cóż, oto byli oni, panowie ziemi, upakowani jak sardynki w puszkach na kółkach i ślepi jak nietoperze; ich głowy wypełnione są intrygami, a gazety krwią.

Naprawdę trudno było w to uwierzyć. Oto pojawiła się tu niebiańska istota, pełna blasku, promienności i dobroci, większa niż Big Ben, zdolna okraciem stanąć na obu brzegach Tamizy, zupełnie w stylu kolosa, a te małe mróweczki w dalszym ciągu tkwiły po uszy w programie radiowym dla kierowców i kłótniach z innymi kierowcami. — Jestem Gibril — krzyknął głosem, który wstrząsnął każdym budynkiem na obu brzegach rzeki: nikt nie zauważył. Ani jedna osoba nie wybiegła z tych trzęsących się budowli, aby uciec przed trzęsieniem ziemi. Ślepi, głusi i pogrążeni we śnie.

Postanowił iść za ciosem.

Potok samochodów płynął obok niego. Wziął potężny oddech, podniósł gigantyczną stopę i zrobił zamaszty krok naprzód, aby stawić czoła samochodom.

* * *

Cały potłuczony, ze skórą otartą w wielu miejscach na ramionach i twarzy, ale pod wpływem wstrząsu mniej więcej w normie psychicznej, Gibril Farisza został odstawiony z powrotem przed drzwi Allie przez niskiego błyszczącego dżentelmena, który niemożliwie się jąkał i który nie bez trudności przedstawił się jako producent Filmowy S. S. Sisodia, „znany jako Whi-whisky p-p-ponieważ nie s-s-stronię od k-k-kieliszka; p-proszę p-p-pani, moja w-w-wizytówka”. (Kiedy już poznali się bliżej, Sisodia często wywoływał u Allie paroksyzmy śmiechu, kiedy podciągał sobie prawą nogawkę spodni, obnażając kolano, i głaszcząc je dumnie, trzymał swoje olbrzymie okulary filmowca tuż przy skórze: — Au-au-autoportret. — W pewnym stopniu był dalekowidzem: — Nie potrzebuję szkielec, żeby oglądać f-film, ale n-n-normalne życie wdziera się, psiakrew, pod sam nos.) To właśnie wypożyczona limuzyna Sisodii potrafiła Gibrila; na szczęście był to wypadek w zwolnionym tempie, wskutek korków ulicznych; aktor wyładował na masce samochodu, wygłaszając z patosem najstarszą kwestię w historii kina: *Gdzie ja jestem*, a Sisodia, widząc wciśnięte w przednią szybę legendarne rysy zaginionego półboga, miał ochotę odpowiedzieć: *Zpo-zpo-powrotem na Swo-o-oim miejscu: na szk-szk-szklanym ekranie*. — k-k-kości ma całe — powiedział Sisodia Allie. — Pra-a-awdziwy cud. Wpa-wpa-a-akował mi się wprost pod k-k-koła w-w-wozu.

Więc wróciłeś, Allie przywitała cicho Gibrila. *Wydaje się, że jest to miejsce, w którym zawsze lądujesz po upadku*.

— Również Scotch-i-Sisodia — producent filmowy powrócił do tematu swoich przydomków. — Ze względów hu-hu-humorystycznych. Moja ulubiona t-t-trucizna.

— Bardzo to uprzejme z pana strony, że przywiózł pan Gibrila do domu — Allie wreszcie zrozumiała przytyk. — Pozwoli pan poczęstować się drinkiem?

— Ależ oczywiście! Oczywiście! — Sisodia nawet klasnęła w dłonie. — Dla mnie, dla c-c-całego h-h-hinduskiego kina jest dziś w-w-wielki dzień.

* * *

— Być może nie słyszałaś tej historii o paranoidalnym schizofreniku, który uważając się za Cesarza Napoleona Bonaparte, zgodził się poddać testowi z wykrywaczem kłamstw? — Alicja Cohen, jedząc łapczywie rolmopsy, machała przed nosem córki jednym z widelców Blooma. — Pytanie, jakie mu zadano: czy jesteś Napoleonem? A oto odpowiedź, którą dał, uśmiechając się złośliwie, bez wahania: *Nie*. Patrzą więc na maszynę, która z całą przenikliwością współczesnej nauki pokazuje, że wariat kłamie. — Znowu Blake, pomyślała Allie. *Wtedy zapytałem: czy mocne przekonanie o tym, że rzecz jest taka, a nie inna, powoduje zaistnienie tej własności? On — tj. Izajasz — odpowiedział. Wszyscy poeci byli przekonani, że tak się dzieje. I w epokach wyobraźni to mocne przekonanie przenosiło góry; lecz wielu nie stać na głębokie przekonanie.* — Słuchasz mnie, młoda damo? Mówię teraz poważnie. Ten dżentelmen, którego masz u siebie w łóżku: jemu nie są potrzebne twoje conocne zaloty — wybacz, powiem wprost, bo widzę, że to konieczne — ale, szczerze mówiąc, szpitalna cura dla wariatów.

— Ty byś to zrobiła, niewątpliwie. — Allie nie pozostała dłużna. — Potem wyrzuciłabyś klucz. Być może nawet podłączyła go do prądu. Wypalić diabła z jego mózgu: dziwne, jak nasze uprzedzenia wcale się nie zmieniają.

— Hmm — Alicja przemyśliwała sprawę, jednocześnie przybierając swój najbardziej nieprzytomny i najniewinniejszy wyraz twarzy, aby rozłościć córkę. — W czym to może zaszkodzić? Tak, może niezbyt duże napięcie, mała dawka prądu...

— Dostaje to, czego potrzebuje, mamó. Właściwa opieka lekarska, mnóstwo odpoczynku i coś, o czym być może już zapomniałaś. — Zaniemówiła nagle, jej język zasupłał się i już zupełnie innym, niskim głosem, wpatrując się w swoją nietkniętą sałatkę, wydobyła z siebie to ostatnie słowo. — Miłość.

— Ach tak, ta potęga miłości — Alicja poklepała córkę po dłoni (która od razu została cofnięta). — Nie, tego nie zapomniam, Allelujo. Jest to coś, czego właśnie zaczęłaś się uczyć po raz pierwszy w swoim pięknym życiu. I kogo to wybierasz? — Wznowiła swój atak. — Biegacza-z-obiadami! Dziewięćdziesiąt-pensów-zamiast-funta! Faceta-z-motylami-w-mózgownicy! Chciałam powiedzieć *aniola*, kochanie, nigdy czegoś takiego nie słyszałam. Mężczyźni zawsze

roszczą sobie prawa do specjalnych przywilejów, ale ten pobił wszystkich.

— Mamo. . . — zaczęła Allie, jednak nastrój Alicji znowu się zmienił, i tym razem, kiedy odezwała się ponownie, Allie nie przysłuchiwała się już słowom, gdyż dotarł do niej ból, które słowa te zarazem ujawniały i ukrywały, ból kobiety, którą historia potraktowała jak najbardziej brutalnie, która straciła już męża i doczekała się tego, że jej starsza córka zrobiła jej coś, co kiedyś, z niezapomnianym czarnym humorem, nazwała falstartem w wyścigu przez Styks (musiała chyba czytać kolumny sportowe w czasopismach, żeby natknąć się na to określenie). — Allie, moja kochana — powiedziała Alicja Cohen — będziemy musieli bardzo na ciebie uważać.

Allie była w stanie dostrzec ten wyraz paniki-udręki na twarzy swojej matki między innymi dlatego, że niedawno zauważyła tę samą kombinację rysów u Gibrila Fariszty. Kiedy Sisodia pozostawił go pod jej opieką, stało się jasne, że coś musiało wstrząsnąć Gibrilem do głębi, miał wygląd człowieka tak przerażonego i tak zszokowanego swoją wewnętrzną raną, że widok ten wprost rozdzierał jej serce. Fakt swojej choroby psychicznej Gibril przyjął z odwagą, nie chciał go pomniejszać, ani ukrywać pod jakąś fałszywą nazwą, ale uświadomienie sobie tej niemocy przeraziło go, co całkiem zrozumiałe. Nie był już (przynajmniej na razie) tym porywczym parweniuszem, który wzbudził w niej „wielką namiętność” i stał się teraz dla niej, w tym nowym wcieleniu osoby narażonej na niebezpieczeństwo, o wiele droższy niż kiedykolwiek przedtem. Postanowiła doprowadzić go z powrotem do zdrowia psychicznego, wytrzymać do końca i zdobyć swój szczyt. A był Gibril obecnie najłatwiejszym i najbardziej posłusznym z pacjentów, do pewnego stopnia otumaniony silnymi lekami przepisany przez specjalistów ze szpitala Maudsley, spał całymi godzinami, a między jednym snem a drugim bez najmniejszego sprzeciwu spełniał wszystkie jej polecenia. W momentach pełnej świadomości wyjaśnił jej wszystkie szczegóły dotyczące choroby: dziwne serie marzeń sennych, a jeszcze przed nimi niemal-śmiertelną utratę zdrowia w Indii. — Nie boję się już snu — powiedział jej. — Ponieważ to, co przydarza mi się na jawie, jest obecnie o wiele gorsze. — Jego największy lęk przypominał jej Karola II, który, odzyskawszy już tron, zawsze czuł strach, przed ponownym wysłaniem „w swoją drogę”: — Dałbym wszystko za pewność, że to więcej już mi się nie przydarzy — powiedział jej, potulny jak baranek.

Czy jest ktoś taki, kto kocha swój ból? — To się nie powtórzy — uspokajała go. — Masz najlepszą opiekę, jaką można zdobyć. — Wypytał ją o pieniądze, i kiedy próbowała zmienić temat, zaczął nalegać, żeby potraciła koszty leczenia psychiatrycznego z małej fortunki, jaką schował na później w swoim pasie na pieniądze. Był w dalszym ciągu przygnębiony. — Możesz mówić, co chcesz — wymamrotał w odpowiedzi na jej optymistyczne i wesołe uwagi. — Szaleństwo tkwi tutaj i wprost drętwieję cały, kiedy pomyślę, że może wydostać się na zewnątrz lada chwila, dosłownie teraz, i że *on* znowu przejmie kontrolę. — Zaczął

określać „anielską”, „opętaną” część własnego ja jako drugą osobę: prawdziwie Beckettowska formuła, Nie ja. *On*. Jego jak najbardziej własny Mr. Hyde. Allie próbowała wyperswadować mu taki opis. — To wcale nie *on*, to ty, a kiedy wrócisz do zdrowia, nie będzie już tamtego ciebie.

Bez skutku. Przez jakiś czas jednak wyglądało na to, że leczenie przyniesie efekty. Gibril wydawał się spokojniejszy, bardziej opanowany; sny w odcinkach jednak wciąż się pojawiały — wciąż mówił, w nocy, wiersze po arabsku, w języku, którego nie znał: *tilk al-ghara-niq al'ula wa inna shafa' ta-hunna la-turtadza*, na przykład, co, jak okazało się, oznacza (Allie, obudzona jego mówieniem przez sen, zapisała to fonetycznie i ze swoim skrawkiem papieru poszła do meczetu w Brickhall, gdzie jej recytacja spowodowała, że włosy muły stanęły dęba pod turbanem na jego głowie): — Są to wysoko postawione niewiasty i ich wstawienictwo jest pożądane — ale zdawało się, że Gibril uważa te nocne występy za nie związane z sobą samym, co dla Allie i psychiatrów ze szpitala Maudsley było dowodem na to, że Gibril powoli odbudowuje mur dzielący marzenia senne od rzeczywistości i że jest na najlepszej drodze do odzyskania zdrowia; w rzeczy samej, jak się okazało, to rozdzielenie było powiązane, było nawet tym samym zjawiskiem, co podział jego świadomości samego siebie na dwa osobne byty, z których jeden Gibril usiłował bohatersko zdusić, lecz który, poprzez podkreślenie odmienności od właściwego Gibrila, przetrwał, wciąż karmiony i potajemnie wzmacniany.

Jeśli chodzi o Allie, pozbyła się, przynajmniej chwilowo, kłującego *mylnego* odczucia, że została zrzucona w jakieś nieprawdziwe otoczenie, jakieś nieznanie sobie opowiadanie; zajmując się Gibrilem, inwestując w jego mózg, i jak tłumaczyła to samej sobie, walcząc o uratowanie go, aby mogli podjąć na nowo wielką, ekscytującą walkę swojej miłości — ponieważ prawdopodobnie będą się już sprzeczać aż do samej śmierci, dumiała sobie wyrozumiale, będą dwojgiem starych dziwaków, okładających się nieudolnie po głowach zwiniętymi gazetami, kiedy tak będą sobie siedzieli na wieczornej werandzie o zmierzchu swojego życia — z każdym dniem czuła się coraz ściślej z nim związana; zakorzeniona, można powiedzieć, w jego ziemi. Sporo już czasu upłynęło od chwili, kiedy widziała Maurice'a Wilsona siedzącego na dachu wśród kominów i przywołującego ją ku śmierci.

* * *

Pan „Whisky” Sisodia, to błyszczące, pełne uroku kolano w okularach, stał się częstym gościem — trzy lub cztery wizyty w tygodniu — podczas rekonwale-

scencji Gibrila, niezmiennie przywożącym ze sobą pudełka pełne łakoci. Podczas swojego „anielskiego okresu” Gibril zagłodził się niemal na śmierć i zdaniem lekarzy to wygłodzenie w niemałym stopniu przyczyniło się do jego halucynacji. — Więc teraz u-u-utuczmy go — Sisodia klasnął w dłonie i skoro tylko żołądek chorego był gotów sprostać temu zadaniu, „Whisky” zaczął wpychać w niego przysmaki: chińską słodką kukurydzą i zupę z kurczaka, bombajskie placki bhel-puri, zakupione w nowej eleganckiej restauracji na nieszczęście nazwanej „Pagal Khana”, której „Wariackie jedzenie” (choć nazwę tę można by również przetłumaczyć jako „Dom Wariatów”) stało się bardzo popularne, szczególnie wśród młodych brytyjskich Azjatów, i zaczęło nawet podważać wieloletni prymat kawiarni Shaandaar, w której Sisodia, nie chcąc okazać się gorsząco stronnikiem, także kupował jedzenie, słodycze, samosa, kurczaka patti — dla coraz bardziej nienasyconego Gibrila. Przywoził również potrawy, które sam przygotował, ryby w curry, chłodniki raita, danie siwajjan, ryż khir, a następnie skąpo rozdzielał, oprócz żywności, opowiadania o uroczystych kolacjach z udziałem znakomitych osobistości, które miały świadczyć o jego z nimi zażyłych stosunkach: jak Pavarotti uwielbiał napój chłodzący lassi przyrządzony przez Whisky’ego, i Och, jakżeż ten biedny James Mason przepadał za jego ostro przyprawionymi krewetkami. Vanessa, Amitabh, Dustin, Sridevi, Christopher Reeve, wszyscy oni zostali również przywołani. — S-s-supergwiazda powinna orientować się w g-gustach swoich k-k-kolegów. — Sam Sisodia był czymś w rodzaju chodzącej legendy, tyle Allie dowiedziała się od Gibrila. Ten najbardziej przebiegły i elokwentny spośród producentów filmowych zrobił cały szereg „cenionych” filmów przy zupełnie mikroskopijnym budżecie, przez dwadzieścia lat bazując wyłącznie na osobistym uroku i nieustannej krzątaninie. Bywały trudności z płaceniem ekipie, ale nikomu to jakoś nie przeszkadzało. Stłumił pewnego razu bunt obsady któregoś z filmów — oczywiście bunt wywołany kwestiami płacowymi, jakże by inaczej — zabierając cały zespół na wielki piknik w jednym z najszlachetniejszych pałaców maharadży w Indii, miejscu, które na co dzień dostępne jest jedynie dla elity wysokourodzonych, książąt z Gwalijaru, Dżajpuru i Kaszmiru. Nikt nigdy nie dowiedział się, w jaki sposób udało mu się to załatwić, ale większość członków tamtego zespołu zawsze już chętnie zgadzała się pracować przy dalszych filmach Sisodii, kwestia finansów znikała odsunięta na dalszy plan przez wspaniałomyślność takich gestów. — A kiedy jest komuś naprawdę potrzebny, natychmiast staje na wysokości zadania — dodał Gibril. — Kiedy Czarulata, cudowna aktorka-tancerka, którą często zatrudniał, potrzebowała pieniędzy na leczenie raka, nagle z dnia na dzień zmaterializowały się całe lata nie zapłaconych honorariów.

Obecnie, dzięki całej serii zadziwiających kasowych przebojów filmowych, opartych na kompendium *Katha-Sarit-Sagar* — „Ocean Strumieni Opowieści”, dłuższych od Tysiąca i jednej nocy i równie jak one dziwacznych, Sisodia nie działał już tylko i wyłącznie ze swojego małego biura na bombajskiej ulicy Ready-

money Terrace, ale miał apartamenty w Londynie i Nowym Jorku, a w szafkach Oskary. Mówiono o nim, że nosi w portfelu fotografię mieszkającego w Hong Kongu producenta filmów kung-fuj, Run Run Shawa, jego domniemanego bohatera, którego imienia absolutnie nie był w stanie wymówić. — Czasami wychodzą cztery Runy, a kiedy indziej szóstka — opowiadał Gibril Allie, która była szczęśliwa, że widzi go śmiejącego się. — Ale nie mógłbym przysiąc. To tylko plotki z gazet i telewizji.

Allie była wdzięczna za uprzejmość Sisodii. Słynny producent wydawał się dysponować nieograniczonym czasem, w momencie, kiedy harmonogram zajęć Allie znacznie się zwiększył. Podpisała kontrakt promocyjny z gigantyczną siecią sklepów sprzedających mrożonki, której agent reklamowy, pan Hal Valance, powiedział Allie przy śniadaniu otwierającym ich współpracę — grejpfruty, sucha grzanka, kawa bez kofeiny, wszystko to po niebotycznych cenach — że jej *sylwetka*, „łącząc w sobie pozytywne parametry (dla naszego klienta) *chłodu* i *opanowania* jest właśnie odpowiednia. Niektóre gwiazdy funkcjonują jak wampiry, odciągając uwagę od nazwy firmy, ale to zapowiada się na prawdziwą synergię”. A więc nastąpiły teraz uroczyste, z przecinaniem wstęgi otwarcia ośrodków handlujących chłodniami, i konferencje omawiające politykę działów handlowych, i zdjęcia reklamowe z wannami pełnymi lodów, a dodatkowo regularne spotkania z projektantami i producentami, przygotowującymi jej reklamy sprzętu turystycznego i odzieży; oraz, oczywiście, musiało się znaleźć miejsce na ćwiczenia sprawnościowe. Zapisła się na bardzo przez wszystkich polecany kurs walk Wschodu prowadzony przez pana Joshiego w miejscowym centrum sportowym i w dalszym ciągu przebiegała pięć mil dziennie wokół parku Fields, pomimo bólu stóp jak-gdyby-biegała-boso-po-rozbitym-szkle. — Nie ma p-p-pro-blemu — Sisodia odsyłał ją do jej zajęć pogodnym machnięciem ręki. — Zo-zo-zostanę tutaj tylko do p-p-pani powrotu. Przebywanie z Gi-i-ibrilem jest dla mnie za-za-zaszczycem. — Wychodząc zostawiała go usypiającego Fariszte jak zwykle niewyczerpanym zasobem anegdot, opinii i ploteczek, a kiedy wracała, wciąż trzymał się dzielnie. Powoli ustaliła kilka głównych tematów, a w szczególności zbiór jego wypowiedzi o Kłopotcie Z Anglikami. — Kłopot z An-an-anglikami po-po-lega na tym, że ich hi-hi-historia dzi-działa się za morzami, więc n-n-nie wiedzą, co ona nana-prawdę z-znaczy. — Ta-ta-tajemnica u-u-udanego przyjęcia w Londynie p-polega na prze-e-ewadze liczebnej n-n-nie-Anglików. Jeżeli jest ich mniej, zazachowują się popoprawnie, w przeciwnym razie jesteś w k-k-kłopotcie. — Idź do Ga-Ga-Gabinetu Okropności i zobaczysz, czego b-b-brakuje Anglikom. To, co nanaprawdę lubią, t-t-trupy w w-w-wannach krwi, f-f-fryzjerzy-sza-leńcy, it-it-takdalej. Ich gag-gazety pełne zbo-bo-boczonego seksu i śmierci. Ale mówią św-światu, że zazachowują się z rezerwą, są t-t-twardzi i tak dalej, a my jesteśmy na t-t-tyle głupi, żeby w to uwierzyć. — Gibril przysłuchiwał się tej litanii uprzedzeń z taką miną, jakby całkowicie się z nimi zgadzał, co niezmiernie rozdrażniło Allie. Czy

ich obraz Anglii naprawdę ograniczał się do tych uogólnień? — Nie — przyznał Sisodia, beczelnie się uśmiechając. — Ale cz-cz-człowiek cz-czuje się lepiej, k-k-kiedy to z siebie wyrzuci.

Do czasu, kiedy specjaliści z Maudsley uznali, że mogą zalecić zasadniczą redukcję dawek przyjmowanych przez Gibrila, Sisodia zdołał utknąć na dobre przy jego łóżku, do tego stopnia stając się kimś w rodzaju nieoficjalnego ekscentrycznego i zabawnego, pełnego energii kuzyna, że kiedy uruchomił swoją pułapkę, Gibril i Allie byli kompletnie zaskoczeni.

* * *

Był w kontakcie ze swoimi kolegami z Bombaju: siedmioma producentami, których Gibril pozostawił własnemu losowi, kiedy wsiadł do samolotu Air India Lot Nr 420, *Bustan*. — Na wiadomość o tym, że ż-żyjesz wszyscy bab-bardzo się u-u-ucieszyli — poinformował Gibrila. — N-nie-niestety, pojawia się k-k-kwestia zerwania kontraktu. — Również różne inne osoby są zainteresowane zaskarżeniem Fariszy o duże sumy, a zwłaszcza gwiazdka o nazwisku Pimple Billimoria, która twierdzi, że poniosła straty finansowe, a także zawodowe. — To może kosztować dziesiątki milionów rupii — rzekł ponuro Sisodia. Allie była wściekła. — Poruszył pan to gniazdo os — powiedziała. — Dałam się wywieść w pole: to było zbyt piękne, żeby było prawdziwe.

Sisodia wyraźnie się zdenerwował. — Ch-cholera ch-cholera ch-cholera.

— Tu są damy — ostrzegł Gibril, wciąż jeszcze był trochę otumaniony narkotykami, ale Sisodia zaczął machać ramionami jak wiatrak, dając tym samym znak, że próbuje precyzyjnie słowa poprzez zbyt wzburzone zęby. No i nareszcie: — Ograniczyć straty. Moim zamiarem. Nie zdrada, nie w-wolno wam tak m-m-myśleć.

Według Sisodii, nikt tam w Bombaju nie zamierzał tak naprawdę skarżyć Gibrila o odszkodowanie, zabijając w sądzie tę kwokę, która znosi złote jaja. Wszyscy zainteresowani zgodzili się, że prac nad tymi przerwanyymi filmami nie da się już wznowić: aktorzy, reżyserzy, najważniejsi członkowie zespołów, a nawet plany filmowe, na których można by kręcić, wszystko to było wykorzystane w innych filmach. Następnie wszystkie strony uznały, że powrót Gibrila ze świata zmarłych jest elementem daleko bardziej istotnym handlowo niż każdy z tych świętej pamięci tytułów filmowych; pozostawał tylko problem jak spożytkować ten element, by odbyło się to z jak największą korzyścią dla wszystkich zainteresowanych. To, że ostatecznie wylądował w Londynie, również sugerowało możliwość międzynarodowych powiązań, być może zagranicznego finansowania, wykorzy-

stania do kręcenia zdjęć miejsc poza Indią, udział gwiazd „zagranicznych” itd.: krótko mówiąc, nadszedł już czas, aby Gibril porzucił swoje odosobienie i stanął ponownie twarzą w twarz z kamerą. — Nie ma innego w-w-wyjścia — wyjaśnił Sisodia Gibrilowi, który usiadł w łóżku próbując pozbierać myśli. — Jeżeli odmówisz, wszyscy ruszą przeciw tobie *jak jeden mąż*, i nawet twój ma-ma-majątek na niewiele się zda. Bankructwo, w-w-więzienie, ruina.

Sisodia przekonał zainteresowanych, żeby to jemu właśnie powierzyć kierownictwo realizacji projektu. Wszyscy mandatariusze zgodzili się przekazać mu swoje pełnomocnictwo w tej sprawie, no i tym razem udało mu się ułożyć niezły plan. Brytyjski impresario Billy Battuta miał wielką ochotę zainwestować, zarówno w funtach szterlingach, jak i „zablokowanych rupiach” — zyskach osiągniętych na subkontynencie indyjskim przez różnych brytyjskich dystrybutorów filmowych, których to zysków nie wolno było wywieźć z Indii, a które Battuta przejął płacąc w zbywalnych walutach po maksymalnie obniżonych stawkach (trzydziestosiedmiopunktowy rabat). Wszyscy hinduscy producenci dadzą swój wkład finansowy, a panna Pimple Billimoria, aby pozbawić ją chęci zgłaszania roszczeń, zostanie obsadzona w widowiskowej roli, co prawda nie głównej, ale takiej, która przewidywałaby przynajmniej dwa numery taneczne. Zdjęcia będą kręcone na trzech kontynentach — Europa, Indie, wybrzeże Afryki Północnej. Nazwisko Gibrila ma być umieszczone na afiszach przed tytułem filmu, a on sam ma otrzymać trzy procent od zysków netto producentów filmu... — Dziesięć — przerwał Gibril — zamiast dwóch od wpływów brutto. — Najwyraźniej jego umysł odzyskiwał swoją sprawność. Sisodia nie mrugnął okiem. — Dziesięć zamiast dwóch — zgodził się. — Kampania reklamowa ma wyglądać n-na-następująco...

— Ale cóż to za projekt? — dopytywała się Allie Cone. Pan „Whisky” Sisodia rozpromienił się od ucha do ucha — Szanowna p-p-pani — odparł. — Będzie grał archanioła, Gibrila.

* * *

Propozycja dotyczyła serii filmów, zarówno historycznych, jak i współczesnych, każdy z nich miał koncentrować się na jednym wydarzeniu z długiej i znakomitej kariery anioła: co najmniej trylogia. — Chyba nie powie mi pan — ciągnęła Allie, przedrzeźniając tę małą lśniąca ważną osobistość. — *Gibril w Dżahiliji*, *Gibril spotyka Imama*, *Gibril z Motylową Dziewczyną*. — Sisodia nie był ani trochę zakłopotany, natomiast z dumą kiwał głową. — W-w-wątki, projekty scenariuszy, w-warianty obsady są już roz-rozważone. — Tego było już za wiele

dla Allie. — To jest obrzydliwe — wściekła się na niego, a on cofnął nieco swoje drżące i przepaszające kolano, aż w końcu zaczęła go gonić po całym mieszkaniu, wpadając na meble, trzaskając drzwiami. — To jest wykorzystywanie jego choroby, nie ma to nic wspólnego z jego obecnymi potrzebami i okazuje całkowite lekceważenie jego własnym intencjom. On się wycofał z życia zawodowego; czy wy, ludzie, nie możecie tego uszanować? On nie chce być gwiazdą. I proszę, niech pan wreszcie się zatrzyma. Nie zjem pana.

Staął, ale roztropnie, za sofą. — Proszę, niech pani zrozumie, że to jest w-w-waż-ważne, krzyknął, w zdenerowaniu jękając się jeszcze bardziej. — Czy k-k-księżyc może się wycofać? A poza tym, proszę wybaczyć, ale istnieje tych siedem pod-pod-pod. *Podpisów*. To go absolutnie oddaje w ich ręce. Chyba, że chce pani go oddać do pa-pa-pa. — Zrezygnował, zlany potem.

— *Co takiego?*

— Pagal Khana. Szpital psychiatryczny. To byłoby to drugie w-w-wyjście.

Allie podniosła ciężki mosiężny kałamarz w kształcie Mount Everestu i przygotowała się do rzutu.

— Jest pan prawdziwym łajdakiem — zaczęła, ale wtedy Gibril stanął w drzwiach, wciąż bardzo blady, kościsty i o zapadniętych oczach. — Alleluja — powiedział. — Tak się zastanawiam, może ja jednak tego potrzebuję. Może powinienem wrócić do pracy.

* * *

— Gibrilu, sahibie! Nie umiem wprost powiedzieć, jak się cieszę. Gwiazda narodziła się na nowo. — Billy Battuta zaskoczył ich: nie był już tym lwem z kolumn życia towarzyskiego z-żelem-we-włosach-i-pierścionkami-na-palcach; na sobie miał nie rzucającą się w oczy kurtkę z mosiężnymi guzikami i granatowe džinsy, a w miejsce pewnej siebie fanfaronady, której Allie się spodziewała, pojawiła się sympatyczna, niemal uległa, małowówność. Zapуścił krótką, wypielegnowaną bródkę, która spowodowała, że stał się uderzająco podobny do Chrystusa z Całunu Turyńskiego. Witając całą trójkę (Sisodia przyjechał po nich swoją limuzyną, a kierowca Nigel, elegancik z wyspy St. Lucia, przez całą drogę opowiadał Gibrilowi, jak wielu pieszych zawdzięcza swoje ocalenie od ran lub śmierci jego błyskawicznemu refleksowi, od czasu do czasu akcentując te wspomnienia rozmowami przez samochodowy telefon, w których to rozmowach omawiano tajemnicze transakcje dotyczące zdumiewających sum pieniężnych), Billy ciepło uściśnął dłoń Allie, a następnie rzucił się na Gibrila i porwał go w ramiona w przypląwie czystej, zaraźliwej radości. Jego towarzyszka, Mimi Mamoulian, była o wiele

mniej opanowana. — Wszystko jest załatwione — ogłosiła. — Owoce, gwiazdki, reporterzy, wywiady telewizyjne, plotki, wzmianki o skandalach: wszystko, czego postać o sławie światowej może wymagać. Kwiaty, ochrona, kontrakty na tryliony funtów. — Rozgoście się. Czujcie się jak u siebie w domu.

O to w zasadzie chodziło, pomyślała Allie. Jej początkowy sprzeciw wobec całego projektu musiał ustąpić wobec zainteresowania samego Gibrila, co z kolei skłoniło lekarzy do wyrażenia zgody, uważali bowiem, że jego powrót do znanego środowiska — niejako przecież, *powrót do domu* — naprawdę może wywrzeć dobroczynny wpływ. A to, że Sisodia ukradł historie z marzeń sennych, o których usłyszał przy łóżku Gibrila, może okazać się zbawienne: skoro już historie te zostaną wyraźnie umieszczone w sztucznym, wymyślonym świecie kina, powinno wówczas być łatwiej Gibrilowi odbierać je jako fantazje. Ten Mur Berliński między stanem widzenia marzeń sennych a jawą mógłby w rezultacie zostać o wiele szybciej wzniesiony. Ostateczny werdykt stwierdzał, że warto spróbować.

Rzeczy (ponieważ są rzeczami) nie poszły po ich myśli. Allie czuła oburzenie z powodu przejścia kontroli nad życiem Gibrila przez Sisodię, Battutę i Mimi, w tym również objęcia przez nich opieki nad jego ubraniami i rozkładem zajęć, oburzała ją też i to, że wyprowadzili go z jej mieszkania, oświadczając przy tym, że nie nadszedł jeszcze czas na „trwały związek”, że psuje to jego „pozytywny image”. Po oszczędnym okresie u Ritza, Gibril otrzymał trzy pokoje w przepastnym i elegancko urządzonej mieszkanie Sisodii w starym domu przy Grosvenor Square, wszędzie art deco, marmurowe podłogi, stonowane kolory na ścianach. Najbardziej ze wszystkiego złościła Allie pasywność, z jaką Gibril przyjmował te wszystkie zmiany i powoli zaczynała rozumieć, jak wielki krok zrobił wtedy, kiedy porzucił to wszystko, co najwyraźniej stanowiło jego drugą naturę, i kiedy udał się na jej poszukiwania. Teraz, gdy ponownie pogrążał się w świecie uzbrojonych goryli i pokojówek ze śniadaniem na tacy i chichotami, czy porzuci ją równie dramatycznie, jak wcześniej wszedł w jej życie? Czyżby ona sama przyłożyła rękę do przeprowadzenia jego podróży w odwrotnym kierunku, podróży, która ją samą zepchnie na mieliznę? Gibril patrzył na nią z gazet, czasopism, odbiorników telewizyjnych, z wieloma różnymi kobietami uczepionymi jego ramienia, szczerząc zęby w głupim uśmiechu. Nie cierpiała tego, ale on nie chciał zauważyć jej wstępu. — Czym się zajmujesz? — zbywał ją, zapadając głęboko w pokrytą skórą sofę wielkości furgonetki. — To tylko okazja do reklamy: biznes, i to wszystko.

Najgorsze ze wszystkiego: *on* stał się zazdrosny. Kiedy przestał brać silnie działające lekarstwa i kiedy jego praca (a również jej) zaczęła wymuszać na nich okresy rozłąki, znowu opanowała go irracjonalna nie-kontrolowana podejrzliwość, która wywołała tę śmieszłą kłótnię z powodu rysunków Brunela. Kiedykolwiek się spotykali, poddawał ją surowemu i dokładnemu przesłuchaniu: gdzie

była, kogo widziała, a co on robił, czy ona go do tego nie prowokowała? Czują, że się dusi. Jego choroba psychiczna, nowe prądy w jego życiu, a teraz ta conocna kuracja trzeciego stopnia: było to tak, jak gdyby jej prawdziwe życie, to, którego pragnęła, to, w którym tkwiła i o które walczyła, pogrążało się coraz głębiej pod lawiną fałszywych posunięć. *A co z moimi potrzebami* — chciało jej się krzyknąć — *kiedy to ja będę ustalała warunki?* Doprowadzona niemal do utraty kontroli nad sobą, zwróciła się z prośbą o poradę do swojej matki, jako ostatniej deski ratunku. W starym gabinecie ojca w domu przy Moscow Road — w którym Alicja utrzymywała wszystko jak to Otto lubił, z wyjątkiem zasłon, które obecnie były odsunięte, żeby wpuścić do środka tyle światła, na ile Anglię było stać, i wazonów z kwiatami w ważniejszych punktach — Alicja początkowo nie ofiarowała jej nic oprócz uwag osoby zmęczonej światem. — Tak więc plany życiowe kobiety zostają stłumione przez plany mężczyzny — powiedziała nie bez życzliwości. — Witaj więc wśród swojego rodzaju. Widzę, że dziwnie się czujesz pozbawiona kontroli. — I Allie przyznała się: chciała go rzucić, ale stwierdziła, że nie potrafi. Nie tylko z powodu poczucia winy, że porzuca poważnie cierpiącą osobę, ale również z powodu „wielkiej namiętności”, z powodu tego słowa, które nadal usztywniało jej język, kiedy próbowała je wypowiedzieć. — Chcesz jego dziecka — Alicja nazwała rzecz po imieniu. Początkowo Allie wybuchła gniewem: — Chcę *swojego* dziecka — ale później, uspokajając się nagle i wycierając nos, kiwnęła bez słowa głową, a oczy miała pełne łez.

— Musisz dać sobie głowę do zbadania, ot, co — pocieszyła ją Alicja. Jak dawno już nie obejmowały się tak jak teraz? Zbyt dawno. A może to być ostatni raz. . . Alicja trzymała córkę w objęciach. — No, już dobrze. Wytrzymaj oczy. Teraz kolej na dobrą wiadomość. Twoje sprawy mogą rozlecieć się na strzępy, ale twoja stara matka jest w lepszej formie.

Chodziło o profesora amerykańskiego uniwersytetu, niejakiego Bońka, grubą rybę w inżynierii genetycznej. — Tylko nie zaczynaj, kochana, nic nie wiesz, to wszystko to wcale nie Frankenstein i o rany, co to takiego, ma to wiele korzystnych zastosowań — Alicja mówiła z widocznym zdenerwowaniem, i Allie, przewyciężając swoje zaskoczenie i swoje czerwonoookie poczucie nieszczęścia, wybuchnęła konwulsyjnym i wyzwającym śmiechem, aż się od niego zanosząc, a do niej przyłączyła się jej matka. — W twoim wieku — Allie aż płakała — powinnaś się wstydzić. — A właśnie, że się nie wstydzę — odpowiedziała przyszła pani Boniek. — Profesor, i to w Standford w Kalifornii, a więc wnosi w moje życie i promyki słońca. Zamierzam spędzać wiele godzin pracując nad swoją opalenizną.

* * *

Kiedy Allie odkryła (raport znaleziony przypadkowo w szufladzie biurka w pałacu Sisodii), że Gibril wynajął agentów, którzy mieli ją śledzić, zerwała z nim w końcu. Napisała na karteczce — *To mnie zabija* — wsunęła ją do raportu, który położyła na wierzchu; i wyszła bez słowa pożegnania. Gibril ani razu do niej nie zadzwonił. W tym czasie odbywał próby przed swoim wielkim publicznym powrotem; miał wystąpić w ostatnim z całej cieszącej się wielkim powodzeniem serii przedstawień, łączących śpiew-i-taniec, w którym miały się zaprezentować gwiazdy hinduskiego filmu, a przedstawienie wystawiał jeden z teatrów Billy'ego Battuty na Earls Court. Gibril miał wystąpić jako nie zapowiedziana gwiazda-z-czołówki-afisza, absolutna-niespodzianka, aktor otrzymujący owacje na stojąco po każdym numerze, całymi tygodniami ćwiczył więc kroki taneczne z zespołem tancerek rewiowych: musiał również przypomnieć sobie technikę poruszania ustami do muzyki z playbacku. Plotki na temat tożsamości Tajemniczego Człowieka lub Czarnej Gwiazdy puszczali w obieg z aptekarską dokładnością i monitorowali specjaliści od promocji Billy'ego Battuty. Wynajęto również agencję reklamową Valance'a, aby przygotowała serię reklam radiowych oraz lokalną kampanię czterdziestoosmioarkuszowych plakatów. Zamierzano uczynić z przybycia Gibrila na scenę na Earls Court — miał zostać tam spuszczone z nadszcienia w otoczeniu chmur z tektury i dymu — kulminacyjny punkt angielskiego etapu jego powrotu do gwiazdorstwa; następny przystanek Bombaj. Opuszczony, jak to nazywał, przez Alleluję Cone, ponownie „odmówił płaszczenia się” i rzucił się w wir pracy.

Następnym problemem w przygotowaniach było aresztowanie Billy'ego Battuty w Nowym Jorku za jego szatańskie oszustwo. Allie, przeczytawszy o tym w niedzielnej gazecie, schowała do kieszeni swoją dumę i zadzwoniła do Gibrila, który był na próbach, aby ostrzec go przed zadawaniem się z takim jawnie kryminalnym elementem. — Battuta to gangster — utrzymywała. — Ten cały jego sposób zachowania był przedstawieniem, był udawany. Chciał być pewien, że uda się mu ten numer z majątnymi wdowami Manhattanu, a więc wypróbował swoje wrażenie na nas. Ta bródka! I kurtka uniwersytecka, na Boga: jak mogliśmy dać się na to nabrać? — Ale Gibril był chłodny i zamknięty w sobie; w jego rejestrach figurowała jako ta, która zostawiła go na lodzie, a nie miał zamiaru przyjmować rad od dezertów. A poza tym, Sisodia i promocyjny zespół Battuty zapewnili go — a wypytał ich o to jak w śledztwie — że problemy Battuty nie mają żadnego związku z wieczorem galowym (Filmmele, oto jak go nazwano) ponieważ stan finansów przygotowawczych był w dalszym ciągu solidny, pieniądze na honoraria i gwarancje zostały już wyasygnowane, wszystkie gwiazdy z Bombaju potwierdziły przyłot i swój udział zgodnie z planem. — Wszystkie p-p-przygoto-

wania zbliżają się już do końca. — obiecywał Sisodia — P-przedstawienie musi się odbyć.

Kolejny problem, jaki się pojawił, dotyczył samego Gibrila.

* * *

Plan Sisodii, zakładający, że ludzie muszą sobie łamać głowę tożsamością Czarnej Gwiazdy, oznaczał również, że Gibril powinien wejść przez drzwi od sceny ubrany w burkę zakrywającą całą twarz oprócz oczu. Tak więc nawet płęć wchodzącej osoby pozostawała w tajemnicy. Otrzymał największą garderobę — na drzwiach przylepiono pięcioramienną czarną gwiazdę — a drzwi za nim zostały bezceremonialnie zamknięte na klucz przez kolano-podobnego producenta z okularami na nosie. W garderobie znalazł swój anielski kostium, w tym również urządzenie, które włożone na czoło powodowało świecenie żarówek z tyłu głowy, stwarzając w ten sposób iluzję aureoli; dalej — system telewizji przemysłowej, który pozwoli mu śledzić przebieg spektaklu — a więc podskoki i harce Mithuna i Kimi w numerze „disco-maniaków”; Dżajapradhę i Rekhe (zbieżność imion przypadkowa: megagwiazda filmowa, a nie tam jakaś fikcja na dywanie) łaskawie znoszących pytania osób przeprowadzających wywiady na scenie, w których Dżaja wyjawia swoje poglądy na poligamię, podczas gdy Rekha fantazjuje na temat alternatywnych wyborów życiowych — „Gdybym urodziła się poza Indią, byłabym malarką w Paryżu”; kaskaderskie wyczyny He-mana w wykonaniu Winoda i Dharmendry; numer Sridewi, w którym jej sari staje się kompletnie mokre — aż w końcu nadszedł czas, by on sam zajął miejsce w „rydwanie” zawieszonym wysoko nad sceną, a poruszany przy pomocy kołowrotu. Był tam bezprzewodowy telefon, przez który Sisodia powiedział mu, że widownia jest pełna. — Przyszli ludzie wszelkiego rodzaju — triumfował, a następnie zaczął objaśniać Gibrilowi swoją technikę analizy widowni: możesz odróżnić Pakistańczyków, ponieważ się niesamowicie wystrojeni, Hindusów, ponieważ są niesamowicie u fryzowani, i mieszkańców Bangladeszu, ponieważ są niesamowicie pstrokaci, zupełnie bez gustu, „cały ten purpurowy i różowy i z-zło-złoty blichtr, ot, co oni uwielbiają” — a który poza tym jednym razem milczał jak zakłęty; w końcu olbrzymia paczka przewiązana wstążką jak prezent, maleńki prezencik od jego troskliwego producenta, w którym, jak się okazało, znajdowała się panna Pimple Billimoria, z uroczym uśmiechem na twarzy i masą wstążeczek gdzie indziej. Kino przyjechało.

* * *

To dziwne uczucie pojawiło się — to znaczy *powróciło* — kiedy wszedł do „rydwanu” i czekał, aż go opuszczą na dół. Uważał się za osobę, która podróżuje wzdłuż pewnej trasy, na której już lada moment może stanąć przed nim konieczność wyboru, wyboru — ta myśl sama sformuowała się w jego głowie bez jakiegokolwiek pomocy z jego strony — między dwiema rzeczywistościami, pomiędzy tym światem a tym drugim, który również jest dokładnie tutaj, widzialny, lecz nie widziany. Czuł w sobie jakąś powolność, ociężałość, czuł się oddzielony od swojej świadomości i zdał sobie sprawę, że nie ma najmniejszego pojęcia, którą drogę wybierze, do którego świata wejdzie. Teraz dostrzegł, że lekarze mylili się diagnozując jego chorobę jako schizofrenię; rozszczepienie nie było w nim, ale we wszechświecie. Kiedy rydwan zaczął obniżać się ku olbrzymiemu przypiłowowi rynku, którego fala zaczęła piętrzyć się pod nim, powtarzał pierwsze słowa swojej kwestii — *Nazywam się Gibril Fariszta, i powróciłem* — i usłyszał je, jakby w stereo, ponieważ one również tkwiły w dwóch światach, mając w każdym z nich odmienne znaczenie; — a teraz, kiedy poraziły go światła, podniósł wysoko ręce, powracał spowity wieńcem chmur, — i tłum rozpoznał go, podobnie jak jego koledzy aktorzy; wszyscy ludzie wstali z miejsc, każdy mężczyzna, kobieta i dziecko na sali, płynąc falą, której nic nie może powstrzymać, w kierunku sceny, jak morze. Pierwszy człowiek, który go dopadł, zdążył wykrzyknąć *Pamiętasz mnie, Gibrilu? Sześć palców u nóg. . . Maslama, proszę pana, John Maslama. Nikomu nie powiedziałem o twojej obecności między nami; ale owszem, mówiłem o przyjściu Pana, szedłem przed tobą, Głos wołającego na pustyni, drogi kręte niech się staną prostymi, a wyboiste gładkimi* — zanim został odciągnięty, a ludzie z ochrony otoczyli Gibrila, *sytuacja wymknęła się spod kontroli, przecież to niemal pieprzone rozruchy, będziecie musieli*, ale on nie chciał się ruszyć z miejsca, ponieważ zobaczył, że prawie połowa ludzi na widowni ma dziwaczne przybranie głowy, rogi z gumy, które nadawały im wygląd diabłów, jak gdyby były to symbole przynależności i buntu; — i w tym momencie, kiedy ujrzał znak swojego wroga, poczuł, że wszechświat się rozwidła i wszedł na ścieżkę po lewej stronie.

Oficjalna wersja wydarzeń, które nastąpiły, wersja przyjęta przez wszystkie środki przekazu, utrzymywała, że Gibril Fariszta został wyniesiony z niebezpiecznego obszaru w tym samym rydwanie, poruszonym korbą, w którym opadł na scenę, i z którego po prostu nie miał czasu wysiąść; — łatwo więc mu było uciec z tego izolowanego i nie obserwowanego miejsca wysoko ponad zamieszaniem. Wersja ta okazała się na tyle odporna, że udało się jej przeżyć, mimo „rewelacji” podanej przez „Voice”, że asystent reżysera odpowiedzialny za mechanizm dźwiękowy nie uruchomił go, powtarzam, nie uruchomił, po wylądowaniu rydwanu; —

że, w rzeczy samej, rydwan pozostał na scenie podczas tego zamieszania wywołanego przez rozradowanych fanów filmowych; — i że znaczne sumy pieniędzy wypłacono obsłudze sceny, aby namówić ją do udziału w znowie, której celem było sfabrykowanie historyjki, która właśnie z tego powodu, że była całkowitą fikcją, stała się na tyle realistyczna, by mogli w nią uwierzyć czytelnicy gazet. Jednakże pogłoska, że Gibril Fariszta naprawdę uniósł się ze sceny teatru przy Earls Court i zniknął w jasnym niebie bez jakiegokolwiek pomocy z zewnątrz, rozeszła się błyskawicznie wśród azjatyckiej ludności miasta i podtrzymywało ją wiele relacji naocznych świadków, którzy widzieli aureolę wychodzącą z punktu tuż za jego głowę. W niewiele dni po drugim zniknięciu Gibrila Fariszty, sprzedawcy nowości w Brickhall, Wembley i Brixton sprzedawali równe ilości zabawkowych aureol (zielone fluoryzujące obręcze cieszyły się największą popularnością) co opasek na głowę, do których była przymocowana para gumowych rogów.

* * *

Unosił się wysoko nad Londynem! — Ha, nie mogły go teraz tknąć żadne diabły pędzące na niego w tym Pandemonium! — Spojrzał w dół na miasto i zobaczył Anglików. Problem z Anglikami polega na tym, że są angielscy: cholernie zimne ryby! — Żyją pod wodą przez większą część roku, przez dni o kolorze nocy! — Cóż: oto i on, wielki Transformujący, i tym razem pewne zmiany zostaną przeprowadzone — prawa przyrody są prawami przemiany, a on był właśnie tą osobą, która miała je spożytkować! — Tak, naprawdę: tym razem klarowność.

On im pokaże — tak! — swoją *moc*. — Ci bezsilni Anglicy! — Czy nie spodziewali się, że ich historia powróci, aby ich prześladować? — „Krajowiec jest uciśnioną osobą, której nieustannym marzeniem jest stać się prześladowcą” (Fanon). Angielki nareszcie go nie wiążą; spisek został ujawniony! — Wobec tego precz z wszystkimi mgłami. Stworzy tę ziemię na nowo. Jest Archaniołem, Gabrielem. — *Wróciłem!*

Twarz jego przeciwnika ponownie wisiła przed nim, wyostrzając się, stając się wyraźniejszą. Księżycowa z sardonicznym skrzywieniem warg: ale imię wciąż mu się wymykało. . . *cza*, podobnie jak herbata? *Szczacza* — Tak, to już prawie to. A charakter przeciwnika: nienawidzący sam siebie, tworzący fałszywą jaźń, autodestrukcyjny. Fanon ponownie: „W ten sposób osobnik ten — Fanoniowski *krajowiec* — zgadza się na rozpad zarządzony przez Boga, pokornie schyla się przed przybyłym kolonistą i jego pobratymcami i poprzez wewnętrzną ponowną stabilizację uzyskuje kamienny spokój”. — *Ja mu dam kamienny spokój* — Krajowiec i kolonista, ta stara dysputa, kontynuowana nawet teraz na tych prze-

nikniętych wilgocią ulicach, przy czym kategorie uległy odwróceniu. — Przyszło mu na myśl, że jest na zawsze złączony z przeciwnikiem, spleceni w uścisku ramion, usta w usta, głową przy tyłku, tak jak wtedy, gdy spadali na ziemię: kiedy *osiedli*. — Wszystko trwa tak, jak się zaczęło. — Tak, tamten był coraz bliżej. — Cziczi? Sasa? — *Mój sobowtór, moja miłość...*

... Nie! — Płynął teraz nad parkiem i wrzasnął, strasząc ptaki. — Koniec z tymi ambicjami sprowokowanymi przez Anglię, tym biblijno-szatańskim pomieszaniem! — Klarowność, klarowność, za wszelką cenę klarowność! — Ten Szejtan nie był wcale żadnym upadłym aniołem! — Zapomnij o tych fikcyjnych historyjkach o synu-poranka; to wcale nie był dobry chłopak, który zszedł na złą drogę, to było nie fałszowane zło. Prawdę powiedziawszy, nie był to wcale żaden anioł. — „Był on z dzinnów, a więc zgrzeszył”. — Koran 18:50, było to jasne jak słońce. — Jak dużo prostsza była ta wersja! O ileż praktyczniejsza, o wiele bardziej przyziemna, zrozumiała! Iblis/Szejtan oznacza ciemność, Gibril światło. — Precz, precz z tą czułościowością: *łączenie się, splot we wzajemnym uścisku, miłość*. Szukaj i niszc: to wszystko.

... O najbardziej nieuczciwe, najbardziej szatańskie z miast! — W którym takie wyraźne i niezbędne kontrasty tonęły pod niekończącą się mżawką szarości. — Jak słusznie postąpił, na przykład, i wypędził te swoje szatańsko-bibilijne wątpliwości — te dotyczące niechęci Boga, aby zezwolić na bunt wśród swoich zastępców, — ponieważ, skoro Iblis/Szejtan nie był wcale aniołem, nie było żadnych aniołów buntowników, które Bóg musiałby poskramiać; — oraz wątpliwości dotyczące zakazanego owocu i rzekomej odmowy Boga obdarowania swoich stworzeń wyborem moralnym; — ponieważ nigdzie w całej Recytacji nie napisano, że drzewo to zwano (tak jak twierdziła Biblia) drzewem poznania dobra i zła. *To było po prostu inne Drzewo!* Szatan, kusząc edeńską parę, nazwał je tylko „Drzewem Nieśmiertelności” — a ponieważ jest kłamcą, prawdą (odkrytą przez odwrócenie) było, że zakazany owoc (jabłko konkretnie nie wymieniono) wisiał na Drzewie Śmierci, a nie na niczym innym, na zabójcy ludzkich dusz. — Co teraz pozostało z tego obawiającego się moralności Boga? Gdzie Go teraz szukać? — Tylko tam na dole, w sercach Anglików. — Które on, Gibril, przyszedł przemienić.

Abrakadabra!

Hokus-pokus!

Ale gdzie ma zacząć: — Cóż, w takim razie, kłopot z Anglikami polega na ich:

Ich:

Jednym słowem, Gibril uroczyście oświadczył, na ich pogodzie.

Płynąc na swojej chmurze Gibril Fariszta doszedł do wniosku, że brak wyrazistości moralnej u Anglików wynika z ich meteorologii. — Kiedy dzień nie jest wcale cieplejszy od nocy — rozumował — kiedy światło nie jest jaśniejsze od

ciemności, kiedy ziemia nie jest bardziej sucha od morza, wówczas ludzie najwyraźniej tracą zdolność odróżniania jednego od drugiego, i zaczynają widzieć wszystko — poczynając od partii politycznych, poprzez partnerów seksualnych i wyznania religijne — jako coś-bardzo-podobnego, brak-różnicy, wzajemność. Co za szaleństwo! Przecież prawda jest czymś krańcowym, jest *taką*, a nie *tak więc*, jest *nią*. a nie *nim*; jest sprawą, w której okazujemy swoje zaangażowanie, a nie sportem widzów. Krótko mówiąc, wywołuje *gorące* dyskusje. Miasto — zakrzyknął, i jego głos potoczył się łoskotem po metropolii. — Uczynię cię tropikalnym.

Gibril wyliczył korzyści z proponowanej zmiany Londynu na miasto tropikalne: lepsze definicje moralne, instytucja ogólnonarodowej sjeisty, wyłonienie się żywych i ekspansywnych wzorców zachowania wśród ludności, wyższej jakości pop-music, nowe ptaki na drzewach (papugi ary, pawie, kakadu), nowe drzewa pod ptakami (palmy kokosowe, tamaryndy, banijany z wiszącymi brodami). Poprawa jakości życia na ulicy, jaskrawe kolory kwiatów (karmazyn, cynober, sele dyn), małpy szerokonose na dębach. Nowy olbrzymi rynek dla domowych urządzeń klimatyzacyjnych, wentylatorów podsufitowych, moskitier i sprayów. Przemysł bazujący na koprze i włóknie kokosowym. Zwiększona atrakcyjność Londynu jako centrum konferencyjnego, itd.; lepsi gracze w krykieta; większy nacisk na opanowanie piłki przez zawodowych piłkarzy, zdezaktualizowane, pod wpływem upału, tradycyjne i bezduszne przywiązanie Anglików do „wysokiej wydajności pracy”. Żarliwość religijna, polityczny ferment, wznowienie zainteresowania inteligencją. Koniec z brytyjską rezerwą; nakaz wyrzucenia butelek z gorącą wodą na zawsze, zastąpienie ich dotychczasowego użycia podczas cuchnących nocy przez powolną i pachnącą miłość. Pojawienie się nowych wartości społecznych: przyjaciele zaczynają odwiedzać się wzajemnie bez wcześniejszego umawiania się, zamknięcie domów starców, nacisk położony na szeroko pojętą rodzinę. Bardziej pikantne jedzenie; użycie zarówno wody, jak i papieru w angielskich toaletach; radość z biegania w ubraniu przez pierwsze monsunowe deszcze.

Strony ujemne: cholera, dur brzuszny, choroba legionistów, karaluchy, kurz, hałas, kultura nadmiaru.

Stojąc na horyzoncie, rozkładając ramiona tak, aby wypełniły niebo, Gibril krzyknął: „Niech się stanie”.

Wydarzyły się trzy rzeczy, szybko.

Pierwsza to nagłe wypłynięcie z jego ciała niewyobrażalnie kolosalnych żywiołów-potęę procesu transformacyjnego (czyż nie był on tych potęg *wciele niem*?); chwilowo ogarnęła go ciepła, wirująca ociężałość, wywołująca senność kipieli (bynajmniej nie nieprzyjemna), która zmusiła go do zamknięcia, chociaż na krótką chwilę, oczu.

Druga polegała na tym, że w chwili, kiedy miał na krótko zamknięte oczy, pokazały się zaopatrzone w rogi kozie kształty pana Saladyna Czamczy na ekranie

jego umysłu, obraz tak ostry i wyraźny, jak tylko sobie można wyobrazić; do obrazu dołączone było nazwisko jego przeciwnika, jak gdyby był to podtytuł.

Trzecią rzeczą było to, że kiedy Gibril Fariszta otworzył oczy, stwierdził, że ponownie leży przed drzwiami Allelui Cone, błagając o przebaczenie, szlochając, *O Boże, to się stało, to naprawdę znowu się stało.*

* * *

Położyła go do łóżka; czuł, że ucieka w sen, nurkując głową naprzód w materię senną, byle dalej do Tego Właśnie Londynu, w stronę Dżahilijji, ponieważ prawdziwy strach przeszedł przez zburzony mur graniczny i już na jawie zaczął podchodzić coraz bliżej.

— Instynkt naprowadzający na cel: jeden wariat bierze kurs na drugiego — powiedziała Alicja, kiedy jej córka zadzwoniła do niej z wiadomością. — Pewnie wysyłasz jakiś sygnał, pewnie masz przy sobie jakiś rodzaj małego aparaciku emitującego wysokie dźwięki. — Jak zwykle, ukryła zaniepokojenie pod dowcipami. W końcu wyrzuciła z siebie: — Tym razem bądź rozsądna, dobrze, Allelujo? Tym razem do szpitala.

— Zobaczymy, mamó. W tej chwili śpi.

— A więc nie obudzi się już — Alicja próbowała przekonywać, ale opanowała się. — W porządku, wiem, to twoje życie. Słuchaj, ależ ta pogoda jest niesamowita. Mówią, że może tak potrwać kilka miesięcy: „Zablokowany układ wyżów i niżów” słyszałam w telewizji, deszcz nad Moskwą, gdy tutaj mamy falę upałów. Dzwoniłam do Bońka w Standford i powiedziałam mu: my w Londynie też mamy teraz piękną pogodę.

VI

Powrót do Dżahilijji

Kiedy poeta Baal ujrzał pojedynczą kroplę koloru krwi, która pojawiła się w rogu lewego oka posągu Al-Lat w Domu Czarnego Kamienia, zrozumiał, że Prorok Mahound jest w drodze powrotnej do Dżahiliji po ćwierćwieczu spędzonym na wygnaniu. Odbiło mu się gwałtownie — przypadłość wieku, tak, niewątpliwie, a grubiaństwo tego odruchu zdawało się odpowiadać ogólnemu grubieniu wywołanemu upływem lat, grubieniu języka, jak i reszty ciała, powolnemu gęstnieniu krwi, co w wieku lat pięćdziesięciu zmieniło Baala w postać zupełnie nie przypominającą jego samego, bystrego sprzed lat. Czasami miał wrażenie, że samo powietrze zgęstniało, stawiając mu opór, w wyniku czego nawet króciutki spacer wywoływał u niego zadyszkę, co przy bólu w ramieniu i kołatania serca... i Mahound także musiał się zmienić, skoro wracał obecnie z przepychu i wszechmocy do miejsca, z którego kiedyś uciekł z pustymi rękoma, a nawet bez żony. Mahound sześćdziesięciopięcioletni. Nasze imiona spotykają się, rozdzielają i ponownie spotykają, myślał Baal, lecz ludzie noszący te imiona nie pozostają tacy sami. Opuścił Al-Lat, by wynurzyć się w pełnym blasku słońca, a za sobą usłyszał krótki, urągliwy chichot. Odwrócił się ociężale; nikogo nie było widać. Kraj szaty zniknął za rogami. Przeżywający obecnie chude lata Baal często stawał się pośmiewiskiem dla nieznanym. — Skurwieli! — krzyknął na cały głos, gorsząc tym wiernych w Domu. Baal, zniedołężniały poeta, znów zachowuje się nieodpowiednio. Wzruszył ramionami i poszedł do domu.

Miasto Dżahilija nie było już zbudowane z piasku. Upływ czasu, magia pustynnych wiatrów, zamieniający wszystko w kamień księżyc, ludzka zdolność zapominania oraz nieuchronność postępu zahartowały miasto, straciło więc ono swój dawny, zmienny, tymczasowy status fatamorgany, w której mogli żyć ludzie, a stało się prozaicznym miejscem, codziennym i (jak jego poeci) biednym. Ręce Mahounda z czasem wydłużyły się: jego potęga otoczyła miasto, odcięła dopływ żywotnych soków, pielgrzymów i karawan. W obecnych czasach targi Dżahiliji stanowiły żalony widok.

Nawet sam Naczelnik zaczął sprawiać wrażenie zabiedzonego, jego siwe włosy były równie przeredzone jak uzębienie. Jego konkubiny umierały ze starości, a jemu samemu brakowało energii — lub, jak głosiły plotki szeptane w bezładnie rozmieszczonych uliczkach miasta, potrzeby — by szukać nowych. Czasami zapominał się ogolić, co jeszcze bardziej wzmagало wrażenie upadku i kieski. Tylko Hind była taka sama jak dawniej.

Zawsze uważano ją za kogoś w rodzaju czarownicy, która może zesłać na ciebie chorobę, jeżeli nie skłoniłeś się wystarczająco nisko przed jej lektyką, za wiedzmę zdolną przemieniać swoich mężczyzn w pustynne węże, kiedy ma ich już dosyć, a następnie łapać za ogony i żywcem gotować na kolację. Teraz miała sześćdziesiąt lat i wciąż w nadzwyczajny i nienaturalny sposób zachowywała młodość, co dodatkowo potwierdzało legendarną siłę jej czarów. Podczas gdy wszystko wokół niej twardniało i zastygało, podczas gdy dawni członkowie gangów Bał-

wohwalców wkraczali w wiek zaawansowany, wysiadując na rogach ulic, grając w karty i w kości, podczas gdy niby-wróżki i akrobaci cyrkowi umierali z głodu w rynsztokach, podczas gdy wyrosło nowe pokolenie, którego konserwatyzm i ślepe uwielbienie dóbr materialnych zrodziły się z przekonania, że bezrobocie i nędza naprawdę istnieją, podczas gdy to wielkie miasto utraciło poczucie własnego znaczenia i gdy nawet kult zmarłych tracił na znaczeniu, ku wielkiej uldze wielbłądów Dżahiliji, których niechęć do zdychania z podciętymi ścięgnami na grobach właścicieli łatwo można zrozumieć... a więc, krótko mówiąc, podczas gdy Dżahilija rozkładała się, twarz Hind wciąż pozostawała gładka, bez zmarszczek, ciało wciąż jędrne jak u młodej kobiety, włosy wciąż czarne jak skrzydła kruka, oczy wciąż błyszczące jak noże, postawa wciąż wyniosła, głos wciąż nie znoszący żadnego sprzeciwu. Hind, a nie Simbel, rządziła obecnie miastem; lub przynajmniej była o tym święcie przekonana.

Kiedy Naczelnik stał się w końcu zniewieściałym i otyłym starcem, Hind zabrała się do pisania całego cyklu napominających i nawołujących epistoł lub bulli skierowanych do ludności miasta. Rozklejono je na wszystkich murach. Tak więc to Hind, a nie Abu Simbel, stała się dla Dżahilijan symbolem miasta, jego awatarem, ponieważ w jej fizycznej niezmienności i niezachwianym zdecydowaniu pisanych przez nią odezw znaleźli o wiele pochlebniejszy obraz samych siebie niż w wizerunku, który patrzył na nich z popękanego lustra twarzy Simbela. Obwieszczenia Hind wpływały na nich silniej niż wiersze któregośkolwiek z poetów. Wciąż była seksualnie wyuzdana i spała już ze wszystkimi literatami tego miasta (jakkolwiek dawno minęły te czasy, kiedy Baal miał wstęp do jej łoża); obecnie zużyła już i odprawiła wszystkich ludzi pióra, wciąż niesyta. Zarówno miecza, jak i pióra. Była tą Hind, która wyruszyła razem z dżahilijańską armią, przebrana za mężczyznę, używała czarów przeciwko włóczęgom i mieczom wrogów, odnalazła zabójcę swoich braci w zawierusze bitewnej. Hind, która zaszlachtowała wuja Proroka i zjadła wątrobę i serce starego Hamzy.

Któż mógłby się jej oprzeć? Ze względu na jej wieczną młodość, która była również ich młodością; ze względu na jej dzikość, która dawała im złudzenie, że są niezwykłymi; i ze względu na jej bulle; które sprzeciwiały się upływowi czasu, historii, epoki, które opiewały niczym nie przyćmioną wspaniałość miasta i ignorowały brud i zrujnowane ulice, które kładły nacisk na wielkość, na przywództwo, na nieśmiertelność, na status Dżahilijan jako strażników boskości... z wdzięczności za to, co pisała, ludzie wybaczała jej rozwiązłość, głusi na opowiastki o tym, jak w dzień urodzin ważono Hind, używając góry szmaragdów jako przeciwwagi, puszczała mimo uszu plotki o orgiach, śmiali się, kiedy mówiono o przepychu jej garderoby, o pięciuset osiemdziesięciu jeden nocnych koszulach wykonanych z płatków złota i o czterystu dwudziestu parach pantofelek wysadzanych rubinami. Obywatele Dżahiliji snuli się po coraz bardziej niebezpiecznych ulicach, na których zabójstwo za drobną opłatą było na porządku dziennym,

na których gwałcono i rytualnie zarzynano stare kobiety, na których osobista policja Hind, Mantykorpus, brutalnie tłumila rozruchy głodowe; i wbrew świadectwu własnych oczu, żołądków i trzosów, wierzyli w to, co Hind szeptała do ich uszu: Panuj, Dżahilijjo, chlubo świata.

Nie wszyscy z nich, oczywiście. Nie Baal, na przykład. Który odwracał wzrok od spraw publicznych i pisał wiersze o nieodwzajemnionej miłości.

Chrupiąc białą rzodkiewkę, dotarł do domu, przeszedłszy pod odbrapanym łukiem w popękany murze. Znajdowało się tu małe, śmierdzące moczem, zaśmiecone mieszaniną piór, obierków z jarzyn, krwi podwórko. Ani śladu człowieka: tylko muchy, cienie, lęk. W tych czasach trzeba było mieć się na baczności. Zbrodnicza sekta asasynów włóczyła się po mieście. Zamożniejszym obywatelom radzono, by wracali do siebie idąc po przeciwnej stronie ulicy, aby sprawdzić, czy ich dom nie jest obserwowany; jeśli droga była wolna, pędem wbiegali do środka, natychmiast zatrzaskiwali za sobą drzwi, uniemożliwiając czyhającemu przestępcy wdarcie się do wewnątrz. Baal nie zwracał sobie głowy takimi środkami ostrożności. Kiedyś był bogaty, ale było to ćwierć wieku temu. Popyt na satyrę zanikł — powszechny strach przed Mahoundem zniszczył rynek szyderstwa i dowcipu. A wraz z upadkiem kultu zmarłych nastąpił gwałtowny spadek zamówień na epitafia i triumfalne, przesycone słodyczą, ody do zemsty. Czasy w ogóle były ciężkie.

Marząc o minionych bankietach, Baal wszedł po rozchwierutanych schodach do swojego pokoiku na górze. Czy ma tu cokolwiek, co można by ukraść? Nie jest wart nawet pchnięcia nożem. Otworzył drzwi i przestąpił próg, kiedy silny cios przewrócił go i posłał z rozkwaszonym nosem pod przeciwległą ścianą. — Nie zabijaj mnie — zaskowytał, nie widząc jeszcze nikogo. — O Boże, nie zabijaj mnie, na litość boską, O.

Intruz zamknął drzwi. Baal wiedział, że może sobie teraz krzyżeć na całe gardło, i tak zostaną tu sami, odcięci od świata w tym obojętnym na wszystko pokoju. Nikt nie przyjdzie; on sam, słysząc krzyki sąsiada, zabarykadowałby jedynie drzwi własnym barłogiem.

Kaptur płaszcza całkowicie skrywał twarz napastnika. Baal klęczał i trzęsąc się wycierał zakrwawiony nos. — Nie mam pieniędzy — błagał. — Nie mam niczego. — Teraz nieznajomy przemówił: — Jeżeli głodny pies szuka jedzenia, nie zagląda do psiarni. — A następnie, po chwili: — Baal. Niewiele z ciebie zostało. Liczyłem na więcej.

O dziwo, w tym momencie, pomimo strachu, Baal poczuł się dotknięty. Czy jest to jakiś zwariowany wielbiciel, który zabije go za to, że jego poezja obniżyła loty? Wciąż dygocąc, spróbował posłużyć się fałszywą skromnością. — Spotkanie z pisarzem zwykle rozczarowuje — podsunął. Tamten zbył uwagę. — Mahound nadchodzi — powiedział.

To kategoriiczne stwierdzenie przeraziło Baala do głębi. — Co to ma wspól-

nego ze mną? — krzyknął. — Czego on chce? To było tak dawno temu — całe życie temu — więcej niż całe życie. Czego on chce? Czy przychodzisz od, czy jesteś przysłany przez niego?

— Jego pamięć sięga równie daleko jak ramię — powiedział obcy, odrzucając kaptur. — Nie, nie jestem jego posłańcem. Ja i ty jesteśmy nieco podobni do siebie. Obydwaj się go boimy.

— Znam cię — powiedział Baal.

— Tak.

— Twoja wymowa. Jesteś cudzoziemcem.

— „Rewolucja nosiwodów, imigrantów i niewolników” — zacytował przybysz. — Twoje słowa,

— Jesteś tamtym imigrantem — przypomniał sobie Baal. — Pers. Sulejman. — Pers wykrzywił twarz w uśmiechu. — Salman — poprawił. — Nie mądry, lecz skłonny do ugody.

— Byłeś jednym z najbliższych jemu — powiedział Baal, zdumiony.

— Im bliżej jesteś kuglarza, tym łatwiej poznasz się na jego sztuczkach.

A oto, co Gibril wyśnił:

W oazie Jasrib zwolennicy nowej wiary, Uległości nie mieli ziemi uprawnej, byli więc biedni. Przez wiele lat jedynym źródłem ich utrzymania był rozbój, napadali karawany bogaczy przybywających do Dżahiliji, lub z niej wyjeżdżających. Mahound nie miał czasu na skrupuły, mówił Salman Baalowi, ani też wyrzutów sumienia z powodu celów czy środków. Wierni żyli z bezprawia, lecz w owych latach Mahound — a może powinno się powiedzieć Archanioł Gibril? — a może Al-Lah? — został opętany obsesją praworządności. Gibril ukazywał się Prorokowi pośród palm oazy i całymi strumieniami tryskały z niego przepisy, przepisy, przepisy, aż w końcu wierni prawie nie mogli znieść perspektywy jakichkolwiek dalszych objawień, mówił Salman, przepisy dotyczące każdego cholernego drobiazgu, jeżeli człowiek pierdnie, niech zwróci twarz ku wiatrowi, przepis mówiący, której ręki używać przy myciu zadka. Wyglądało to tak, jak gdyby żadna dziedzina ludzkiego życia nie mogła pozostać wolna, nie uregulowana przepisami. Objawienie — *przemówienie* mówiło wiernym, ile mają jeść, jak głęboki powinien być ich sen i które pozycje seksualne otrzymują przyzwolenie Najwyższego, a więc dowiedzieli się, że sodomia i „po bożemu” uzyskały aprobatę archanioła, natomiast w poczet zakazanych zostały zaliczone wszystkie te, w których kobieta bywa na górze. Dalej Gibril wyliczył dozwolone i zabronione tematy rozmów i wymienił te części ciała, po których nie wolno się drapać, bez względu na to, jak by nie swędziało. Postawił veto konsumpcji krewetek, tych dziwacznych stworzeń z innego świata, których żaden członek społeczności wiernych nigdy w życiu na oczy nie widział, oraz zażądał, aby zwierzęta zabijać

powoli, przez wykrwawienie, gdyż tylko pełne doświadczenie śmierci pozwala ludziom zrozumieć sens życia, dopiero w momencie ostatecznym rozumieją, że egzystencja jest czymś obiektywnym, a nie rodzajem marzenia sennego. I archanioł Gibril tak szczegółowo określił sposób pochówku zmarłego i podziału jego majątku, że Salman Pers zaczął się zastanawiać, jakiego rodzaju jest to Bóg, skoro tak bardzo przypomina buchaltera. I wtedy właśnie przyszła mu do głowy myśl, która zniszczyła jego wiarę, ponieważ przypomniał sobie, że przecież oczywiście sam Mahound był kiedyś buchalterem i to takim na dodatek, któremu się cholernie powodziło, nie miał najmniejszych trudności z organizacją i formułowaniem przepisów, a więc niesłychanie dogodnie było sprowadzenie przez Mahounda tego tak bardzo rzeczowego i tak podobnego księgowemu archanioła, który przekazywał decyzje w sprawach zarządzania podjęte przez tę wysoce prawną, aczkolwiek niematerialną osobę, Boga.

Następnie Salman zaczął zauważać, jak przydatne i na czasie są anielskie objawienia, a więc kiedy wierni kwestionowali poglądy Mahounda na dowolny temat, od prawdopodobieństwa podróży kosmicznych począwszy, a na wieczności mąk piekielnych skończywszy, pojawiał się anioł z odpowiedzią i zawsze popierał Mahounda, stwierdzając ponad wszelką wątpliwość, że jest rzeczą niemożliwą, aby człowiek mógł kiedykolwiek chodzić po księżycu, i mając równie niezachwiane przekonanie na temat przemijającego charakteru potępienia: nawet najgorsi złooczyńcy zostaną w końcu oczyszczeni przez ogień piekielny i odnajdą drogę do wonności Gulistanu i Bustanu. Wyglądałoby to inaczej, uskarżał się Salman Baalowi, gdyby Mahound zajął stanowisko w jakiejś sprawie natychmiast po objawieniu się Gibrila, ale nie, po prostu wprowadzał jakieś prawo, a następnie anioł sankcjonował je; więc zaczęło mi to brzydko pachnieć i pomyślałem sobie, musi to być woń tych osławionych, legendarnych nieczystych stworzeń, tych, jak im tam, krewetek.

Ten rybi zapach zaczął prześladować Salmana, który dzięki wyższemu poziomowi szkolnictwa w ówczesnej Persji był najlepiej wykształconym człowiekiem spośród zaufanych Mahounda. Ze względu na wysoki poziom wiedzy Salman został mianowany oficjalnym skrybą Mahounda, a więc to jemu przypadło w udziale spisywanie tych mnożących się bez końca przepisów. Wszystko to były bardzo dogodne objawienia, powiedział Baalowi, i im dłużej wykonywałem swoją pracę, tym bardziej sytuacja pogarszała się. — Na pewien czas musiał jednak odwieść swoje podejrzenia na kołek, gdyż wojska Dżahilijji maszerowały na Jasrib, zdecydowane jednym pacnięciem pozbyć się tych natrętnych much, które prześladowały karawany i przeszkadzały w interesach. Powszechnie wiadomo, jak potoczyły się wypadki, nie ma potrzeby, abym to powtarzał, powiedział Salman, ale zaraz potem wylazł z niego brak skromności, zmuszając do opowiedzenia Baalowi tego, w jaki sposób on, we własnej osobie, ocalił Jasrib przed nieuchronną zagładą, jak jego pomysł wykopania rowu ocalił głowę Mahounda. Salman namówił

Proroka, by ten rozkazał wykopać głęboki rów wokół całej, pozbawionej murów obronnych osady w oazie, tak szeroki, by nie mogły go przeskoczyć nawet słynne arabskie wierzchowce znakomitej kawalerii dżahilijjskiej. Rów: z zaostrzonymi palami wbitymi w dno. Kiedy Dżahilijanie zobaczyli ten ohydny przykład niesportowego kopania dołków, poczucie rycerskości i honoru zmusiło ich, aby zachowali się tak, jak gdyby przeszkoda nie istniała, i całym pędem ruszyli ku niej. Kwiat armii dżahilijjskiej, zarówno ten ludzki, jak i koński, dokonał żywota wbity na zaostrome żerdzie salmańsko-perskiej przebiegłości, i wierz tu obcemu, że nie będzie się uciekał do nieuczciwych sposobów. — A po pokonaniu Dżahilijji? Salman biadolił w rozmowie z Baalem: Mógłbyś sobie pomyśleć, że zostałem bohaterem, nie jestem próżny, ale gdzie podziały się publiczne zaszczyty, gdzie wdzięczność Mahounda, dlaczego archanioł nie wymienił *mnie* w swoich rozkazach dziennych? Nic, ani słowa, wyglądało to tak, jak gdyby również wierni uznali mój rów za nędzny podstęp, za rzecz barbarzyńską, hańbiącą, nieszlachetną; jak gdyby ich męski honor narażony został przez to na szwank, jak gdybym uraził ich dumę, ocalając im skórę. Trzymałem głowę na kłódkę, nic nie powiedziałem, ale potem straciłem wielu przyjaciół, mówię ci, ludzie znienawidzą cię, jeśli wyświadczysz im przysługę.

Pomimo rowu w Jasrib, wielu wiernych poległo w wojnie z Dżahilijją. Podczas wypadów na siły wroga ich straty zrównały się z dotychczasowymi stratami przeciwnika. Ledwo wojna dobiegła końca, hej presto, już na miejscu był Archanioł Gibril, który polecił, by wszyscy mężczyźni, jacy zostali jeszcze przy życiu, poślubili wdowy, gdyż poprzez związki z niewiernymi owe kobiety byłyby stracone dla Uległości. Och, jaki praktyczny anioł, szydził Salman. Wyciągnął już butelkę araku ukrytą pod płaszczem i obaj mężczyźni popijali miarowymi łykami przy gasnącym świetle dnia. W miarę jak poziom żółtawego płynu w butelce obniżał się, Salman stawał się coraz bardziej rozmowny; Baal nie mógł sobie przypomnieć, kiedy po raz ostatni słyszał taki potok słów. Och, te praktyczne objawienia, krzyknął Salman, powiedziano nam nawet, że nie jest istotne, czy jesteśmy już żonaci, możemy mieć nawet cztery żony, jeśli stać nas na to, cóż, możesz sobie wyobrazić, chłopcom naprawdę się to spodobało.

Co ostatecznie spowodowało, że Salman wziął rozbrat z Mahoundem: problem kobiet; a także Szatańskich wersetów. Słuchaj, nie jestem plotkarzem, zwierzał się podпиты Salman, ale po śmierci żony Mahound nie był bynajmniej aniołem, rozumiesz, co mam na myśli. Lecz w Jasrib trafił na równego sobie przeciwnika. Och, tamtejsze kobiety: sprawiły, że w ciągu pół roku siwizna przyprószyła mu brodę. Rzecz w tym, mój drogi Baalu, że Prorok nie lubi, kiedy jego kobiety odgryzają się w odpowiedzi, zazwyczaj szukał typu matki lub córki, pomyśl o jego pierwszej żonie, a następnie o Aiszy: jedna zbyt stara, a druga zbyt młoda, jego dwie miłości. Nie lubił kobiet równych sobie. Lecz w Jasrib kobiety są inne, może nie wiesz, tu, w Dżahilijji, jesteś przyzwyczajony do tego, że możesz nimi

komenderować, ale tam nie pozwolą ci na to. Po ślubie mężczyzna mieszka z rodziną żony! Wyobraź to sobie! Wstrząsające, no nie? A poza tym przez cały czas żona nadal ma swój osobny namiot. Jeżeli chce się pozbyć męża, obraca namiot w ten sposób, by wchodziło się doń z przeciwnej strony, więc kiedy mąż chce przyjść do niej, zamiast wejścia znajduje tkaninę, i to byłby koniec, jest wyrzucony, rozwiedziony i nic nie może wskórać. Cóż, naszym dziewczętom zaczęło się to podobać, nie wiadomo jakie jeszcze rzeczy przysłyby im do głowy, kiedy nagle, bum, pojawia się księga z prawami, anioł wydaje przepisy, jeden za drugim, mówiące, czego kobietom nie wolno robić, zaczyna zmuszać je do powtórnego przyjmowania pokornych postaw, które tak podobają się Prorokowi, pokornych lub macierzyńskich, chodzenia trzy kroki za, albo siedzenia w domu, co jest rozsądne, a poza tym zaokrągła kształty. Ależ te kobiety z Jasrib śmiały się z wierznych, słowo daję; a ten człowiek jest czarodziejem, nikt nie mógł oprzeć się jego urokom; wyznając wiare, czyniły, jak im nakazał. Okazały Uległość: ostatecznie obiecywał im Raj.

— Tak czy inaczej — powiedział Salman, kiedy ukazało się dno butelki — w końcu postanowiłem poddać go próbie.

Pewnej nocy perski skryba miał sen, w którym unosił się nad postacią Mahounda w pobliżu jaskini Proroka na górze Cone. Początkowo Salman uznał to jedynie za nostalgiczne wspomnienie starych czasów w Dżahiliji, ale uderzyło go to, że w tym śnie jego punkt widzenia jest punktem widzenia archanioła, i w tej chwili nagle przypomniała mu się historia z Szatańskimi wersetami, obraz tak żywy, jak gdyby to wydarzenie miało miejsce wczoraj. — Być może nie śniłem się sobie jako Gibril — rozpamiętywał Salman. — Być może byłem Szejtanem. — Uświadomienie sobie takiej możliwości poddało mu iście diabelski pomysł. Potem, kiedy tak siedział u stóp Proroka spisując przepisy, przepisy, przepisy, zaczął ukradkiem zmieniać.

— Na początek drobiazgi. Jeżeli Mahound recytował werset, w którym Bóg był opisany jako *wszystko-słyszący, wszystko-wiedzący*, ja pisałem: *wszystko-wiedzący, wszech-mądry*. I oto rzecz najważniejsza: Mahound nie zauważył tych zmian. Tak więc właściwie to ja pisałem Księgę albo redagowałem ją, wszystko jedno, w każdym razie zanieczyszczałem słowo Boże swoim własnym bluźnierczym językiem. Lecz, wielkie nieba, jeżeli nie można było odróżnić moich nędznych słów od Objawienia przekazanego przez Posłańca samego Boga, co to mogło oznaczać? Cóż można powiedzieć o jakości całej tej boskiej poezji? Zrozum, przysięgam, wstrząsnęło mną to do głębi. Jedna sprawa, to być sobie przemądrzałym draniem i mieć pewne podejrzenia co do jakiejś dziwnej sprawy, w porządku, ale co innego stwierdzić, że ma się rację. Słuchaj: zmieniłem całe swoje życie dla tego człowieka. Rzuciłem ojczyznę, przeszedłem pół świata, zamieszkałem wśród ludzi, którzy uważają mnie za przebrzydłego cudzoziemskiego tchórza za to, że ocaliłem im życie, nigdy nie docenili, że ja, zresztą mniejsza o to.

Prawdę powiedziawszy, spodziewałem się, że po zrobieniu mojej pierwszej małej zmiany, *wszystko-wiedzący* w miejsce *wszystko-słyszącego* — *pragnąłem tego* — kiedy przeczytam to jeszcze raz Prorokowi, on odpowie, Co się z tobą dzieje, Salmanie, czy ogłuchłeś? A ja wtedy odpowiem, Ojej, o Boże, pomyłka, jak mogłem, i poprawię swój błąd. Ale nic takiego nie nastąpiło; i to ja sam pisałem Objawienie i nikt niczego nie zauważył, a nie miałem na tyle odwagi, żeby się do tego przyznać. Byłem nieprzytomny ze strachu, wierz mi. A także: było mi smutno jak nigdy dotąd. Musiałem więc brnąć dalej. Być może on tego nie zauważył, myślałem, każdy może się pomylić. Więc następnym razem zmieniłem większą rzecz. On powiedział *Chrześcijanin*, a ja zapisałem *Żyd*. Zauważy na pewno; jak mógłby nie zauważyć? Ale kiedy przeczytałem mu cały rozdział, kiwnął głową i podziękował uprzejmie, a ja wyszedłem z jego namiotu ze łzami w oczach. Po tym wydarzeniu wiedziałem, że moje dni w Jasrib są policzone; ale nie mogłem tego przerwać. Nie mogłem. Nie ma goryczy większej niż gorycz człowieka, który odkrywa, że wierzył w cienie. Wiedziałem, że mój upadek nastąpi, ale on upadnie razem ze mną. Kontynuowałem więc te swoje diabelskie sztuczki, zmieniając wersety, aż tu któregoś dnia czytam mu to, co spisałem, i widzę, że zmarszczył brwi i potrząsnął głową, jak gdyby chciał odzyskać klarowność myśli, a dopiero potem przytaknął z ociąganiem, wyrażając zgodę zabarwioną cieniem niedowierzania. Wiedziałem, że doszedłem do końca drogi i że przy następnej próbie zmiany Księgi on domyśli się wszystkiego. Tej nocy leżałem, nie mogąc zasnąć, trzymając w swoich rękach zarówno jego los, jak i mój. Gdybym zgodził się na własną zgubę, mógłbym tym samym zgubić i jego. Musiałem wybierać tej okropnej nocy, czy wolę śmierć i zemstę, czy też życie i nic więcej. Jak widzisz, dokonałem wyboru: życie. Przed świtem opuściłem Jasrib na swoim wielbłądzie i po wielu niezbyt miłych przygodach, których opisywaniem nie będę zwracał sobie głowy, powróciłem do Dżahilijji. I teraz Mahound nadchodzi w triumfalnym pochodzie, a więc mimo wszystko utracę życie. Jest teraz zbyt potężny, bym mógł go zniszczyć.

Baal zapytał: — Dlaczego jesteś pewien, że cię zabije?

Pers Salman odpowiedział: — Swoim Słowem wystąpił przeciw mojemu.

* * *

Kiedy Salman ześliznął się nieprzytomny na podłogę, Baal położył się na swoim szorstkim, słomą wypchanym sienniku, czując stalową obręcz bólu wokół czoła, ostrzegawcze trzepotanie serca. Często pod wpływem zmęczenia życiem żałował, że się zestarzał, lecz, jak to powiedział Salman, nasze marzenia o czymś

bardzo się różnią od ich spełnienia. Od pewnego już czasu był świadom tego, że świat zamyka się wokół niego coraz ciasniejszym kręgiem. Nie mógł już dłużej udawać, że jego oczy widzą równie dobrze jak dawniej, a ich osłabienie uczyniło jego życie jeszcze bardziej niewyraźnym, trudniejszym od uchwycenia. Obraz zamazywał się, szczegóły znikwały: nic dziwnego, że jego poezja zesłała na psy. Nie mógł też polegać na swoim słuchu. W ten sposób wkrótce utrata zmysłów zupełnie odetnie go od świata. . . . lecz być może nie wystarczy na to czasu. Mahound nadchodzi. Być może nigdy już nie uda mu się pocałować żadnej kobiety. Mahound, Mahound. Dlaczego ten gadatliwy pijak przyszedł do mnie, myślał ze złością. Co ja mam wspólnego z jego zdradą? Wszyscy wiedzą, dlaczego przed wielu laty pisałem te satyry; on musi wiedzieć. Jak Abu Simbel terroryzował i groził. Nie mogą pociągnąć mnie do odpowiedzialności. A w ogóle: kim on jest, ten zadzierający nosa, naigrawający się cudowny chłopiec, Baal o ostrym języku? Ja go nie rozpoznaję. Popatrzcie na mnie: ciężki, tępy, krótkowzroczny, wkrótce ogłuchnę. Komu zagrażam? Żadnej żywej duszy. Zaczął trząść Salmanem: obudź się, nie chcę, by uważano nas za współników, wpakujesz mnie w tarapaty.

Pers w dalszym ciągu chrapał, siedząc na podłodze z szeroko rozrzuconymi nogami, wsparty plecami o ścianę, z głową zwieszoną na bok jak u kukiełki; Baal, umęczony bólem głowy, opadł z powrotem na łóżko. Jego wersety, myślał, jak one brzmiały? *Jakiego rodzaju idea*, do cholery, nie może nawet przypomnieć ich sobie należycie *wydaje się dzisiaj Uległość*, tak, chyba coś w tym rodzaju, po tak długim czasie prawie już nie dziwi, że to *idea, która ucieka*, tak czy inaczej to jest koniec. Mahoundzie, każdej nowej idei zadaje się dwa pytania. Kiedy jest słaba: czy pójdzie na kompromis? Znamy odpowiedź na to pytanie. A teraz, Mahoundzie, jako że wracasz do Dżahilijji, czas na drugie pytanie. Jak postępujesz, kiedy zwyciężasz? Kiedy wrogowie są zdani na twoją łaskę i niełaskę i kiedy twoja władza staje się absolutna: co wtedy? My wszyscy zmieniliśmy się: wszyscy oprócz Hind. Która zdaje się, biorąc pod uwagę to, co mówi ten pijak, bardziej przypominać kobietę z Jasrib niż z Dżahilijji. Nic dziwnego, że wy dwoje nie mogliście się pogodzić: ona nie byłaby ci ani matką, ani dzieckiem.

Dryfując w kierunku snu, Baal rozmyślał o swojej bezużyteczności, o swojej zbankrutowanej sztuce. Teraz, gdy zrezygnował z wszelkich publicznych występów, jego wiersze przepełnione były poczuciem utraty: młodości, piękna, miłości, zdrowia, niewinności, celu, energii, pewności, nadziei. Utraty wiedzy. Utraty pieniędzy. Utraty Hind. W każdej z jego ód ktoś go opuszczał, i im żarliwiej nawoływał, tym prędzej odchodzili. Krajobrazem jego poezji pozostawała wciąż pustynia, ruchome wydmy z pióropuszcami białego piasku wzbijającymi się z ich wierzchołków. Sypkie góry, nie ukończone podróże, nietrwałość namiotów. Jak sporządzić mapę kraju, który codziennie ujawnia nowe formy? Stawianie takich pytań czyniło jego język zbyt abstrakcyjnym, jego obrazowanie — zbyt płynnym, jego metrum — zbyt nieregularnym. Wskutek tego tworzył formy-chimery, o lwich

głowach, kozlich tułowiach i węzowych ogonach, niemożliwości, których kształty uważały, że powinny zmieniać się natychmiast po złożeniu razem, tak więc gminność zakłóciła klasyczną czystość wersu, a obrazy miłości były stale ośmieszane przez wszechobecny element farsy. Nikt nie przepada za takimi rzeczami, myślał po raz tysiąc pierwszy, i kiedy wreszcie zaczęła go ogarniać nieświadomość, pocieszył się wnioskiem: Nikt mnie nie pamięta. Bezpieczeństwo leży w zapomnieniu. A wtedy jego serce pomyliło się o jedno uderzenie i od razu się obudził, przerażony, zmarznięty. Mahoundzie, być może ograbie cię z twojej zemsty. Przez resztę nocy nie zmrużył oka, przysłuchując się oceanicznemu falowaniu Salmanowego chrapania.

Gibril wyśnił ogniska obozowe:

Słynna i nieoczekiwana postać przechodzi pewnej nocy pomiędzy ogniskami obozu armii Mahounda. Być może z powodu ciemności — lub też ze względu na nieprawdopodobieństwo jego obecności tutaj, wydaje się, że naczelnik Dżahiliji odzyskał, w tym końcowym momencie swojej władzy, część siły, jaką miał w młodości. Przybył sam i jest prowadzony przez Chalida, ongisiejszego nosiwodę, i Bilala, byłego niewolnika, do kwatery Mahounda.

Następnie Gibril wyśnił powrót Abu Simbela do domu:

Miasto wrze od plotek, przed domem zebrał się tłum. Po pewnym czasie można dosłyszeć gniewny, podniesiony głos Hind. Potem na górnym balkonie ukazuje się sama Hind i domaga się, by tłum rozerwał jej męża na drobne strzępy. Obok niej pojawia się Naczelnik; i przyjmuje głośnie, upokarzające uderzenie w oba policzki od swojej kochającej żony. Hind odkryła, że mimo wszystkich wysiłków, nie jest w stanie przeszkodzić Naczelnikowi w poddaniu miasta Mahoundowi.

Ponadto: Abu Simbel przyjął wiarę.

Simbel, choć pokonany, niemal całkowicie pozbył się pokornej do niedawna postawy. Pozwala, by Hind biła go po twarzy, a następnie spokojnie przemawia do tłumy. Mówi: Mahound obiecał, że wszyscy, którzy znajdują w obrębie murów Abu Simbela, zostaną oszczędzeni. — Tak więc chodźcie wszyscy i przyprowadźcie swoje rodziny.

Hind przemawia w imieniu rozjuszonego tłumy. — Ty stary głupcze. Ilu obywateli pomieści jeden dom, choćby taki jak ten? Dobiłeś targu, aby ocalić własną głowę. Niech cię rozszarpną i rzucają w mrowisko.

Abu Simbel jest nadal łagodny. — Mahound obiecuje również, że ci wszyscy, których zastanie w domach, za zamkniętymi drzwiami, będą bezpieczni. Jeżeli nie chcecie przyjść do mojego domu, idźcie wobec tego do swoich; i czekajcie.

Trzeci raz jego żona usiłuje podburzyć tłum przeciw niemu; zamiast miłości, balkonowa scena nienawiści. Nie może być żadnych kompromisów z Mahoundem, krzyczy, nie wolno mu wierzyć, ludzie muszą obalić władzę Abu Simbela

i przygotować się do walki, do ostatniego mężczyzny, ostatniej kobiety. Ona sama jest gotowa walczyć ramie w ramie z nimi i umrzeć za wolność Dżahilijji. — Czy po prostu legniecie u stóp tego fałszywego proroka, tego Dadżdżala? Czy można spodziewać się honorowego postępowania po człowieku, który przygotowuje się do ataku na swoje rodzinne miasto? Czy można mieć nadzieję na uzyskanie kompromisu od bezkompromisowego, litości od bezlitosnego? My jesteśmy potężnymi Dżahilijjanami i nasze boginie, wspaniałe w walce, zwyciężą. — Nakazuje im walczyć w imię Al-Lat. Ludzie jednak zaczynają się rozchodzić.

Mąż z żoną stoją na balkonie i ludzie widzą ich wyraźnie. Przez tyle lat miasto patrzyło w tych dwoje jak w swoje zwierciadło, a ponieważ ostatnio Dżahilijjanie woleli odbicie Hind niż siwiejącego Abu Simbela, doznali teraz potężnego wstrząsu. Naród, który pozostawał tak długo w przekonaniu o swojej wielkości i niezwyciężoności, który zdecydował się uwierzyć w ten mit wbrew wszelkim dowodom, jest narodem pozostającym w szponach jakiegoś snu lub szaleństwa. Teraz, gdy Naczelnik obudził ich z tego snu, stoją zdezorientowani, przecierają oczy, początkowo nie mogąc uwierzyć — jeżeli jesteśmy tacy potężni, wobec tego w jaki sposób upadliśmy tak szybko, tak całkowicie? — a potem przychodzi wiara i pokazuje im, że pewność siebie była zbudowana na piasku, na pasji brzmiącej w oświadczeniach Hind i prawie na niczym więcej. Porzucają ją, a wraz z nią nadzieję. Pogrążając się w rozpacz, mieszkańcy Dżahilijji idą do domów pozamykać drzwi na klucz.

Ona wrzeszczy na nich, błaga, rozpuszcza swoje włosy. — Przyjdźcie do Domu Czarnego Kamienia! Przyjdźcie i złożcie ofiarę Lat! — Oni jednak już poszli. A Hind i Abu Simbel stoją sami na swoim balkonie, podczas gdy w całej Dżahilijji zapada całkowita cisza, miasto pogrąża się w absolutnym bezruchu, Hind opiera się o ścianę swojego pałacu i zamyka oczy.

To koniec. Abu Simbel mamrocze cicho: — Niewielu z nas ma tyle powodów do strachu przed Mahoundem co ty. Jeżeli jadasz na surowo, bez odrobiny soli czy czosnku, wewnętrzności czyjś ukochanego wuja, nie zdziw się, jeżeli on z kolei uzna cię za kawał mięsa. — Następnie zostawia ją i schodzi na dół, idzie ulicami, z których zniknęły nawet psy, aby otworzyć bramy miejskie.

Gibril wyśnił świątynię:

Tuż przy otwartych bramach Dżahilijji stała świątynia Uzzy. I Mahound rzekł Chalidowi, który dawniej był nosiwodą, a obecnie nosi większe ciężary: — Idź i oczyść to miejsce. — Tedy Chalid z siłą mężów ruszył na świątynię, albowiem Mahounda mierzilo wchodzenie do miasta, póki takie paskudztwa stały przy jego bramach.

Kiedy strażnik świątyni, który był z Bałwochwalców, zobaczył, że zbliża się Chalid z niezliczonym tłumem żołnierzy, wyjął swój miecz i podszedł do posągu

bogini. Po odmówieniu ostatnich modlitw powiesił miecz na jej szyi, mówiąc: — Jeśliś w istocie boginią, Uzzo, obroń siebie i twojego sługę przed przybyciem Mahounda. — Wtedy Chalid wszedł do świątyni i kiedy bogini nie poruszyła się, strażnik powiedział: — Teraz zaiste wiem, że Bóg Mahounda jest prawdziwym Bogiem, a ten głaz jedynie głazem. — I Chalid rozbił świątynię i bożka i wrócił do Mahounda siedzącego w swoim namiocie. A Prorok zapytał: — Cóżś widział? — Chalid rozłożył ręce. — Nic — odpowiedział. — Tedyś jej nie zgładził — zakrzyknął Prorok. — Idź raz jeszcze i doprowadź swoje dzieło do końca. — Tak więc Chalid powrócił do zburzonej świątyni i tam olbrzymia kobieta, cała czarna z wyjątkiem długiego szkarłatnego języka, wybiegła mu naprzeciw, naga od stóp do głów, z kruczoczarnymi włosami spływającymi aż do kostek. Zbliżywszy się do niego, zatrzymała się i wyrecytowała strasznym głosem pełnym siarki i ognia piekielnego: — Słyszeliście o Lat, i Uzzie, i Manat, tej Trzeciej, tej Innej? Są one Wywyższonymi Ptakami. . . — Ale Chalid przerwał jej, mówiąc: — Uzzo, są to diabelskie wersety, a tyś jest córą Diabła, stworzeniem, któremu należy się nie boska cześć, lecz potępienie. — Wyciągnął więc miecz i powalił ją.

I powrócił do Mahounda w jego namiocie i opowiedział, co ujrzał. A Prorok odrzekł: — Teraz możemy wejść do Dżahiliji — i powstali, i weszli do miasta, i wzięli je we władanie w Imię Najwyższego, Niszczyciela Istot Ludzkich.

* * *

Ilu bożków w Domu Czarnego Kamienia? Zapamiętajcie: trzystu sześćdziesięciu. Bóg-słońce, orzeł, tęcza. Kolor Hubal. Trzystu sześćdziesięciu czeka na Mahounda, wiedząc, że nie zostaną oszczędzeni. I nie są; ale nie traćmy tam czasu. Posągi upadają; kamień pęka; co miało być dokonane, jest dokonane.

Mahound, po oczyszczeniu Domu, rozbija swój namiot na terenie dawnego jarmarku. Ludzie tłoczą się wokół namiotu, przyjmując zwycięską wiarę. Uległość Dżahiliji: to również jest nieuchronne i nie można z tym zwlekać.

Kiedy tak Dżahilijanie pochylają się przed nim, mamrocząc słowa, które urastają im życie, *nie ma Boga oprócz Al-laha*, Mahound szepcze do Chalida. Ktoś nie przyszedł uklęknąć przed nim; ktoś od dawna oczekiwany. — Salman — chce wiedzieć prorok. — Czy go znaleziono?

— Jeszcze nie. Ukrywa się; lecz to nie potrwa długo.

Chwilowe zamieszanie. Kobieta z zakrytą twarzą klęka przed nim, całując jego stopy. — Przestań — nakazuje jej. — Wielbić należy tylko Boga. — Ależ, cóż to za niezwykle stopo-całowanie! Palec po palcu, staw po stawie, kobieta liże, całuje, ssie. A Mahound, zbity z tropu, powtarza: — Przestań. To niestosowne —

Teraz jednak kobieta zajmuje się podeszwami jego stóp, objawszy dłońmi jego piętę... On, zażenowany, kopie nogą, trafiają w szyję. Ona upada, kaszle, a następnie pada na twarz przed nim i mówi mocnym głosem: — Nie ma Boga oprócz Al-Laha, a Mahound jest jego Prorokiem. — Mahound uspokaja się, przeprosza, wyciąga rękę. — Nie spotka cię żadna krzywda — zapewnia ją. — Wszyscy, którzy ulegają, zostaną oszczędzeni. — Lecz odczuwa dziwne pomieszanie i teraz rozumie dlaczego, rozumie gniew, gorzką ironię w jej oszałamiającej, przesadnej, zmysłowej adoracji jego stóp. Kobieta odrzuca zasłonę: Hind.

— Żona Abu Simbela — oznajmia donośnie i zapada cisza. — Hind — mówi Mahound. — Ja nie zapomniałem.

Lecz po dłuższej chwili, kiwa głową. — Okazałaś Uległość. Nie stanie ci się krzywda w moich namiotach.

Następnego dnia, podczas ciągnących się w nieskończoność nawróceń, przed oblicze Proroka zostaje przy wleczony Pers Salman. Chalid wprowadza do namiotu skulonego, skomlącego z bólu imigranta, ciągnąc go za ucho i przyciskając nóż do jego gardła.

— Znalazłem go, gdzieżby indziej, u kurwy, która darła się na niego, bo nie miał pieniędzy, aby jej zapłacić. Śmierdzi alkoholem.

— Salmanie Persie. — Prorok przystępuje do wygłaszania wyroku śmierci, lecz więzień zaczyna wykrzykiwać kalimę, wyznanie wiary:

— La ilaha ilallah! La ilaha!

Mahound kręci głową. — Twoje bluźnierstwo, Salmanie, jest niewybaczalne. Czy łudziłeś się, że się nie zorientuję? Stawiać swoje słowa przeciw słowom Boga.

Skryba, kopacz rowów, skazaniec: niezdolny, by zdobyć się na najmniejszy choćby okrucieństwo, beczy skamle błaga bije w pierś poniżej się żałuje. Chalid mówi: — Ten hałas jest nie do wytrzymania, Poślanie. Czyż nie mógłbym obciąć mu głowy? — Na co hałas wzmagają się. Salman ręczy za swoją odnowioną lojalność, w dalszym ciągu błaga, po czym, w błysku rozpaczliwej nadziei, występuje z propozycją. — Mogę wam wskazać miejsce, gdzie jest wasz prawdziwy wróg. — Zyskuje w ten sposób kilka sekund. Prorok pochyla głowę. Chalid ciągnie kłęczącego Salmana, szarpiąc go za włosy: — Jaki wróg? — I Salman wymienia imię. W miarę jak powraca mu pamięć, Mahound coraz głębiej zapada w poduszki.

— Baal — mówi, i powtarza dwukrotnie: — Baal, Baal.

Ku wielkiemu rozczarowaniu Chalida, Pers Salman nie zostaje skazany na śmierć. Wstawia się za nim Bilal, a Prorok, nieobecny duchem, zgadza się: tak, tak, niech ten żalosny człek sobie żyje. O, wspaniałomyślna Uległości! Hind została oszczędzona; i Salman; i w całej Dżahaliji nie wyważono ani jednych drzwi, ani jeden z dawnych wrogów nie został wywleczony z domu i nie zginął, zarżnię-

ty jak kurczak, na zakurzonej ulicy. Oto odpowiedź Mahounda na drugie pytanie: *Co się dzieje, kiedy zwyciężasz?* Lecz jedno imię prześladowuje Mahounda, skacze wokół niego, młode, bystre, wskazujące długim pomalowanym palcem, wyśpiewujące wersety, których okrutna doskonałość sprawia ból. Wieczorem, kiedy suplikanci już sobie poszli, Chalid pyta Mahounda: — Wciąż myślisz o nim? — Posłaniec kiwa głową, ale nie odzywa się. Chalid mówi: — Zmusiłem Salmana, żeby mnie zaprowadził do jego domu, nory, lecz nie było go tam, gdzie się ukrywa. — Ponowne skinienie głową, ale bez słowa. Chalid naciska: — Chcesz, abym go wydobył spod ziemi? Uwinę się w mig. Co chcesz, by mu się stało? To? To? — Chalid najpierw przesuwając palcem po szyi, a następnie dźga nim w swój pępek. Mahound traci cierpliwość. — Jesteś głupcem — krzyczy do byłego nosiwody, będącego obecnie szefem sztabu jego wojsk. — Czy nie potrafisz niczego zrobić bez mojej pomocy?

Chalid oddaje pokłon i wychodzi. Mahound zasypia: jego cenny talent, sposób na zły humor.

* * *

Lecz Chalid, naczelną dowódca wojsk Mahounda, nie odnalazł Baala. Pomiędzy rewizji przeprowadzonej dom po domu, obwieszczeń, poruszenia nieba i ziemi, poety nie udało się aresztować. A usta Mahounda pozostały zamknięte, nie wydobyło się z nich ani jedno życzenie. W końcu, nie bez rozdrażnienia, Chalid zaniechał poszukiwań. — Niech tylko ten skurwysyn wychyli głowę, choćby raz tylko, kiedykolwiek — zaklinał się w pełnym miękkości i cieni namiocie Proroka. — Potnę go na tak cienkie plasterki, że będzie można przez nie patrzeć.

Wydawało się Chalidowi, że Mahound jest rozczarowany; ale w mroku namiotu trudno to było stwierdzić z całą pewnością.

* * *

Dla Dżahiliji rozpoczęło się nowe życie: wezwanie do modlitwy pięć razy dziennie, żadnego alkoholu, żony pod kluczem. Hind ukryła się w swoich pokojach... ale gdzie jest Baal?

Gibril wyśnił zasłonę:

Zasłona, *Hidżab*, taką nazwę przybrał najpopularniejszy dom publiczny

w Dzahiliji, olbrzymi pałac z palmami daktylowymi wokół fontann na dziedzińcach, otoczonych podzielonymi na małe pomieszczenia budynkami połączonymi ze sobą według oszłamiających mozaikowych wzorów; przez podwórce przebiegały zawile korytarze, którym celowo nadano podobny wygląd, na ścianach każdego wykaligrafowano identyczne inwokacje do Miłości, każdy wyłożony takimi samymi dywanami, w każdym duża kamienna urna oparta o ścianę. Żaden z klientów Zasłony nie potrafił bez pomocy znaleźć drogi, ani do apartamentów swojej ulubionej kurtyzany, ani też z powrotem na ulicę. W ten sposób dziewczęta były chronione przed niepożądanymi gośćmi, poza tym dawało to gwarancję, że gość zapłaci przed opuszczeniem przybytku. Olbrzymi czerkiescy eunuchowie, ubrani w nedorzeczne stroje dzinnów od cudownej lampy, odprowadzali gości do celu, a następnie z powrotem, czasami przy pomocy kłębka nici. Był to miękki, pozbawiony okien świat draperii, rządziła nim bardzo stara bezimienna Madam, Pani Zasłony, której gardłowe komunikaty wychodzące z tajemniczego miejsca osłoniętego płachtami czarnej tkaniny nabierały z biegiem czasu charakteru przepowiedni. Ani jej personel, ani klienci nie śmieli nie spełniać rozkazów tego sybillińskiego głosu, który był, poniekąd, świecką i bluźnierczą antytezą świętych wypowiedzi Mahounda wygłaszanych w większym i bardziej dostępnym namiocie, niezbyt oddalonym od tego miejsca. Tak więc, kiedy zaszczuty poeta Baal upadł przed nią na twarz i błagał o pomoc, jej decyzja, by go ukryć i ocalić mu życie, przejaw nostalgii za pięknym, pełnym życia i złośliwym młodzieńcem, którym kiedyś był, została przyjęta bez zastrzeżeń; i kiedy żołnierze Chalida przyszli, by przeszukać pomieszczenia, eunuchowie poprowadzili ich w przyprawiającą o zawrót głowy podróż wokół tych naziemnych katakumb pełnych sprzecznych i kolidujących ze sobą szlaków, aż w końcu żołnierze byli kompletnie skołowani i po zagłębieniu do trzydziestu dziewięciu kamiennych urn i znalezieniu tam jedynie maści i marynat, wyszli, przeklinając siarczyście, nawet przez chwilę nie podejrzewając, że istnieje jeszcze czterdziesty korytarz, którym ich ani razu nie poprowadzono, oraz czterdziesta urna, wewnątrz której ukrywa się, jak złodziej, trzęsący się i coraz to moczący swoją piżamę poeta, którego szukali.

Po tym wydarzeniu Madam kazała eunuchom farbować skórę poety, aż stała się ciemnoniebieska, jego włosy również, a włożywszy na niego pantalon i turban dzinna, kazała mu rozpocząć intensywny kurs kulturystyki, ponieważ swoim fatalnym wyglądem z pewnością wzbudzi podejrzenia, jeśli szybko nie przybędzie mu mięśni.

* * *

Pobyty Baala w Zastłonie bynajmniej nie odciął go od informacji o wydarzeniach w świecie na zewnątrz; w rzeczy samej, wprost przeciwnie, gdyż wykonując swoje obowiązki eunucha stał na straży komnat przyjemności i słyszał plotki przynoszone przez klientów. Całkowita niedyskrecja ich języków, sprowokowana przez pieśczęty kurew, dających im radosne uniesienie oraz świadomość, że ich tajemnice nie zostaną zdradzone, umożliwiała podsłuchującemu poecie, krótkowzrocznemu i słabo słyszącemu, lepszy wgląd we współczesne sprawy niż ten, który by uzyskał, gdyby nadal wolno mu było wędrować po ulicach purytańskiego od niedawna miasta. Głuchota była czasami kłopotliwa; powodowała braki w jego wiedzy, ponieważ klienci często zniżali głos i szeptali; lecz zmniejszała ona również do minimum element lubieżności w podsłuchiwanym, gdyż omijały go odgłosy towarzyszące nierządowi, z wyjątkiem, oczywiście, tych momentów, w których ekstatyczni klienci lub symulujące pracownice podnosili głos w okrzykach prawdziwej lub syntetycznej radości.

Oto, czego Baal dowiedział się w Zastłonie:

Od zrzedliwego rzeźnika Ibrahima pochodziła wiadomość, że pomimo wprowadzenia zakazu na wieprzowinę, powierzchownie nawróceni mieszkańcy Dżahiliji tłumnie przychodzili do jego sklepu od tyłu, żeby potajemnie kupić zakazane mięso. — Obroty rosna — mówił półgłosem, wchodząc na swoją wybraną damę — ceny wieprzowiny na czarno są wysokie; ale niech to cholera, te nowe przepisy bardzo utrudniły mi pracę. Świnia nie jest zwierzęciem, które łatwo zarznąć po kryjomu, bez hałasu — i tutaj sam zaczął kwiczeć, z powodu, należy przypuszczać, przyjemności raczej niż bólu. A sklepikarz, Musa, przyznał się innej osobie z poziomego personelu Zastłony, że trudno jest skończyć ze starymi przyzwyczajeniami i że kiedy jest pewny, że nikt nie podsłuchuje, wciąż odmawia jedną lub dwie modlitwy do — mojej ulubienicy, Manat, a czasami, cóż zrobić, również do Al-Lat; nie ma to jak boginie, mają takie atrybuty, że gdzie tam chłopakom do nich — po czym również on padał z ochotą na ziemskie imitacje tych atrybutów. A więc zwiędły, wędzący Baal dowiedział się, w swojej udręce, że żadne imperium nie jest absolutne ani żadne zwycięstwo całkowite. I stopniowo zaczęto krytykować Mahounda.

Baal zaczął się zmieniać. Wiadomość o zburzeniu wielkiej świątyni Al-Lat w Taif, która dotarła do jego uszu w przerwach między chrząknięciami pokątnego rzeźnika Ibrahima, pogrążyła go w głębokim smutku. Ponieważ nawet w okresie największego nasilenia młodzieńczego cynizmu, miłość, jaką żywił dla tej bogini, była niekłamana, być może była jedynym jego prawdziwym uczuciem i jej upadek odsłonił przed nim pustkę życia, w którym jedyny szczerzy sentyment żywił

dla kupy kamieni, która nie potrafiła walczyć we własnej obronie. Kiedy stępiła się ostra krawędź żalu, Baal doszedł do przekonania, że upadek Al-Lat oznacza, że być może jego własny koniec jest bliski. Stracił to dziwne poczucie bezpieczeństwa, jakie na krótko zaszczepiło w nim przebywanie w Zasłonie; jednak powracająca świadomość jego własnej tymczasowości, pewnego odkrycia, po którym następowała równie pewna śmierć, o dziwo, wcale go nie przeraziła. Przeżywszy całe życie jako zdeklarowany tchórz, teraz ze zdumieniem stwierdził, że poczucie zbliżającej się śmierci naprawdę pozwala mu delektować się słodkim smakiem istnienia, i zastanawiał się nad paradoksem, jakim było dostrzeżenie przez niego prawdy w tym domu kosztownych kłamstw. A co było tą prawdą? To, że Al-Lat nie żyje — nigdy nie żyła — lecz nie czyniło to Mahounda od razu prorokiem. Krótko mówiąc, Baal stał się bezbożny. Potykając się wyruszył w drogę prowadzącą poza ideę bogów i przywódców, i przepisów; zaczął dostrzegać również, że jego historia tak splątała się z historią Mahounda, że konieczne jest jakieś wielkie rozwiązanie. To, że takie rozwiązanie najprawdopodobniej będzie oznaczało jego śmierć, ani go zbytnio nie oburzało, ani nie martwiło; i kiedy sklepikarz Musa wspominał któregoś dnia o dwunastu żonach Proroka, narzekając: *jedne przepisy dla niego, inne dla nas*, Baal zrozumiał, jaką formę będzie musiała przybrać jego ostateczna konfrontacja z Uległością.

Dziewczęta w Zasłonie — było sprawą zupełnie umowną, że nazywano je „dziewczętami”, ponieważ najstarsza była kobietą dobrze po pięćdziesiątce, natomiast najmłodsza, mając lat piętnaście, była bardziej doświadczona niż niejedna pięćdziesięciolatka — polubiły tego powłóczącego nogami Baala, w rzeczy samej sprawiało im radość, że mają przy sobie eunucha-który-nim-nie-jest i nieraz po godzinach pracy drażniły go wybornie, ostentacyjnie wystawiając na pokaz swoje ciała, przyciskając swoje piersi do jego ust, oplatając go nogami, całując się namiętnie niecały centymetr od jego twarzy, aż w końcu ziemistokóry poeta był beznadziejnie pobudzony; śmiały się wówczas z jego sztywności i zwodząc go, doprowadzały do rozedrganego wstydlivego ustąpienia; lub, bardzo rzadko, kiedy już przestał mieć jakąkolwiek nadzieję, delegowały jedną spośród siebie, aby zaspokoiła, nieodpłatnie, żądzę, którą rozbudziły. I tak, podobny do krótkowzrocznego obłąskawionego byka, spędzał poeta te dni, kładąc głowę na kolanach kobiet, rozważając o śmierci i zemście i nie mogąc zdecydować, czy jest najbardziej zadowolonym, czy też najniezwyklejszym z mężczyzn.

Właśnie podczas jednej z takich swawolnych sesji pod koniec dnia pracy, kiedy dziewczęta były sam na sam z eunuchami i winem, Baal usłyszał, że najmłodsza opowiada o kliencie, sklepikarzu Musie. — Ach, ten! — powiedziała. — On ma bzika na punkcie żon Proroka. Tak mu nie dają spokoju, że podnieca go już samo wymawianie ich imion. Mówi, że ja osobiście jestem kropka w kropkę podobna do samej Aiszy, a ta jest ulubienicą Waźniaka, jak nam wszystkim dobrze wiadomo. I kropka.

Pięćdziesięcioletnia kurtyzana wtrąciła się do rozmowy. — Słuchajcie, kobiety w tym haremie, mężczyźni obecnie o niczym innym nie mówią. Nic dziwnego, że Mahound trzyma je pod kluczem, ale to tylko pogarsza sprawę. Ludzie fantazjują więcej na temat czegoś, czego nie mogą zobaczyć.

Zwłaszcza w tym mieście, pomyślał Baal; przede wszystkim w naszej wyuzdanej Dżahiliji, gdzie aż do przybycia Mahounda i jego księgi przepisów kobiety nosiły jasne stroje i gdzie rozmawiano jedynie o pieprzeniu i pieniądzech, pieniądzech i seksie, zresztą, nie tylko rozmawiano.

Powiedział do najmłodszej dziwki: — Dlaczego nie udajesz przed nim?

— Przed kim?

— Przed Musą. Jeżeli Aisza tak go podnieca, dlaczego nie miałabyś zostać jego prywatną i osobistą Aiszą?

— Boże — powiedziała dziewczyna. — Gdyby usłyszeli, co tu wygadujesz, usmażyli by ci jaja na maśle.

Ile żon? Dwanaście, i jedna stara dama, zresztą zmarła dawno temu. Ile nierządnic za Zasłoną? Znowu dwanaście; oraz ukryta na swoim tronie w czarnym namiocie, bardzo stara Madam, wciąż opierająca się śmierci. Gdzie nie ma wiary, tam nie ma i bluźnierstwa. Baal powiedział Madam o swoim pomysle; rozstrzygnęła kwestię, mówiąc głosem żaby cierpiącej na zapalenie krtani. — To bardzo niebezpieczne — zawyrokowała — ale interes może na tym wiele zyskać. Będziemy działać ostrożnie, ale będziemy.

Piętnastoletnia szepnęła coś sklepikarzowi do ucha. Od razu zaświeciły mu oczy. — Opowiedz mi wszystko — błagał ją. — Twoje dzieciństwo, twoje ulubione zabawki, konie króla Salomona i całą resztę, opowiedz mi, jak grałaś na tamburynie i jak Prorok przyszedł popatrzeć. — Opowiedziała mu i wówczas zapytał ją, jak utraciła cnotę mając dwanaście lat, i powiedziała mu również o tym, a potem zapłacił podwójnie, ponieważ „było mi tak dobrze jak nigdy”. — Będziemy musiały uważać na stan twojego serca — powiedziała Madam do Baala.

* * *

Kiedy rozniosło się po Dżahiliji, że każda z nierządnic Zasłony przybrała tożsamość jednej z żon Mahounda, skryte podniecenie mężczyzn miasta znacznie się nasiliło; jednak tak bardzo obawiali się odkrycia, zarówno dlatego, że z pewnością zginęliby, gdyby Mahound lub jego zastępcy dowiedzieli się, w jakich świę-

tokradczych aktach uczestniczą, jak również dlatego, że zależało im na utrzymaniu usług w Zastłonie, więc wiadomość utrzymano w tajemnicy przed władzami. W tym czasie Mahound powrócił z żonami do Jasrib, przedkładając chłodny klimat oaz północy nad upałą Dżahiliji. Pieczę nad miastem powierzono generałowi Chalidowi, przed którym łatwo wszystko było ukryć. Przez pewien czas Mahound wahał się, czy nie powiedzieć Chalidowi, by zarządził zamknięcie wszystkich domów publicznych w Dżahiliji, lecz Abu Simbel odradził mu ten gwałtowny krok. — Dżahilijanie nawrócili się niedawno — zauważył. — Nie spiesz się. — Mahound, najbardziej pragmatyczny z Proroków, zgodził się na okres przejściowy. Tak więc, pod nieobecność Proroka, mężowie Dżahiliji tłumnie szli do Zastłony, w której odnotowano trzystuprocentowy wzrost obrotów. Z oczywistych powodów nie było roztropnie ustawiać się w kolejce na ulicy, tak więc przez wiele dni sznur mężczyzn wił się wokół wewnętrznego podwórca burdelu, okrążając centralnie położoną Fontannę Miłości, zupełnie tak jak pielgrzymi z całkiem innych powodów krążą wokół starożytnego Czarnego Kamienia. Wszystkim klientom Zastłony wydawano maski i Baal, obserwując z wysokiego balkonu przesuwające się wokoło zamaskowane postaci, był zadowolony. Istnieje wiele sposobów walki z Uległością. W następnych miesiącach personel Zastłony naprawdę zapalił się do nowego zadania. Piętnastoletnia nierządnica „Aisza” cieszyła się największą popularnością wśród klienteli zakładu, podobnie jak jej imienniczka u Mahounda, i podobnie jak tamta Aisza, która żyła wstrzemięźliwie w swoich apartamentach w pomieszczeniach haremu w wielkim meczecie miasta Jasrib, ta dżahilijańska „Aisza” zaczęła być zazdrosna o dający jej przewagę nad innymi tytuł Najbardziej Ukochanej. Czuła się dotknięta, jeśli któraś z jej „sióstr” miała więcej gości lub otrzymywała wyjątkowo hojny napiwek. Najstarsza, najbardziej otyła z kurew, która przyjęła imię „Sauda”, opowiadała swoim gościom, a miała ich sporo, ponieważ wielu mężczyzn Dżahiliji wybierało właśnie ją ze względu na jej macierzyńskie dobrotliwe usposobienie — historii o tym, jak Mahound poślubił ją i Aiszę tego samego dnia, kiedy Aisza była jeszcze prawie dzieckiem. — W nas dwóch — mówiła, bardzo podniecając tym mężczyzn — znalazł dwie połówki swojej zmarłej pierwszej żony: dziecko i matkę zarazem. Nierządnica „Hafsa” zaczęła równie łatwo wpadać w złość, jak jej imienniczka, i wraz z przejściem przez tuzin kurew osobowości ich pierwowzorów, sojusze w burdelu stały się odbiciem politycznych koterii w meczecie w Jasrib; „Aisza” i „Hafsa”, na przykład, brały udział w niekończącej się rywalizacji, czasami o błahostki, z dwiema najbardziej wyniosłymi dziwkami, które pozostałe uważały za nieco zarozumiałe, a które to wybrały dla siebie najbardziej arystokratyczne tożsamości, stając się „Umm Sulmą Machzumitką” oraz, ta najbardziej snobistyczna ze wszystkich, „Ramlą”; jej imienniczka, jedenasta żona Mahounda, była córką Abu Simbela i Hind. Poza tym były jeszcze — „Zajnab bint Dżahsz” i „Dżuwajrijja”, która przyjęła imię kobiety pojmanej podczas wyprawy wojennej, oraz „Rajhana

Żydówka”, „Safija”, „Majmma” i najbardziej rozpustna ze wszystkich nierządnic, znająca sztuczki, których nie chciała ujawnić swojej rywalce „Aiszy”: olśniewająca Egipcjanka, „Maria Koptyjka”. Najdziwniejszą ze wszystkich była kurwa, która przybrała imię „Zajnab bint Dżahsz”, wiedząc, że ta żona Mahounda niedawno umarła. Nekrofilia jej kochanków, którzy zakazywali jej wykonywania jakichkolwiek ruchów, była jednym z bardziej niesmacznych aspektów nowego porządku w Zasłonie. Ale interes jest interesem, a kurtyzany zaspokajały wszelkie potrzeby.

Pod koniec pierwszego roku dwunastka nabrała takiej wprawy w odgrywaniu swoich ról, że ich poprzednia tożsamość zaczęła zanikać. Baal, z każdym miesiącem coraz bardziej krótkowzroczny i głuchy, widział kształty mijających go dziewcząt, ich zamazane kontury, ich obraz w jakiś podwojony sposób, jakby jeden cień nałożono na drugi. Dziewczętom przyszły do głowy również nowe pomysły dotyczące Baala. W owych czasach było zwyczajem, że nierządnica przed przystąpieniem do wykonywania zawodu brała sobie męża, który nie sprawiłby jej żadnego kłopotu — górę, fontannę, krzak — a dzięki któremu oficjalnie mogłaby cieszyć się tytułem kobiety zamężnej. W Zasłonie panowała zasada, że wszystkie dziewczęta poślubiają Dzióbek Miłości fontanny na centralnym podwórzu, lecz obecnie bunt wisiał w powietrzu i nadszedł dzień, kiedy prostytutki poszły do Madam, aby ogłosić, że skoro teraz weszły w role żon Proroka, domagają się lepszego męża, niż jakiś tam tryskający kamień, co ostatecznie jest niemal bałwochwalstwem, i by powiedzieć, że postanowiły wszystkie zostać żonami tego, który powłóczy nogami, Baala.

Początkowo Madam usiłowała im to wyperswadować, lecz kiedy zobaczyła, że dziewczęta traktują sprawę poważnie, przyznała im rację i nakazała posłać po poetę. Wśród chichotów i poszturchiwań dwanaście kurtyzan eskortowało powłóczącego nogami poetę do sali tronowej. Kiedy Baal usłyszał, o co chodzi, serce zaczęło mu walić tak nierówno, że stracił równowagę i upadł, a „Aisza” krzyknęła przerażona: — O Boże, będziemy wdowami po nim, zanim staniemy się żonami.

Ale przyszedł do siebie; serce uspokoiło się. I nie mając innego wyjścia, przyjął dwunastokrotne oświadczyzny. Wtedy Madam udzieliła wszystkim ślubu i w tej jaskini zwyrodnialstwa Baal poeta został mężem żon byłego biznesmena, Mahounda.

Jego żony dały mu następnie jasno do zrozumienia, że spodziewają się, iż będzie spełniał swoje mężowskie obowiązki co do joty i opracowały system rotacji, według którego miał spędzać dni z każdą z dziewczyn po kolei (W Zasłonie porządek dzień-noc był odwrócony, noc poświęcano na pracę, a dzień na odpoczynek). Zaledwie podjął ten wyniszczający program, zwołały one zebranie, na którym powiedziały mu, że powinien zacząć się zachowywać nieco bardziej jak „prawdziwy” mąż, to jest, Mahound. — Dlaczego nie zmienisz imienia jak my wszystkie? — pytała gderliwa „Hafsa”, lecz tutaj Baal sprzeciwił się stanowczo. — Być może nie ma powodu, by nim się pysznić — klarował — ale to moje imię.

A poza tym, ja nie pracuję tu z klientami. Nie ma żadnego zawodowego uzasadnienia dla takiej zmiany. — Cóż, tak czy owak — zmysłowa „Maria Koptyjka” wzruszyła ramionami — z imieniem czy bez, chcemy, abys zaczął zachowywać się jak on.

— Nie wiem wiele o... — Baal chciał protestować, ale „Aisza”, która naprawdę była najbardziej ponętna z nich wszystkich, albo tak zaczęło mu się ostatnio wydawać, wydeła czarująco wargi. — Naprawdę, mężu — namawiała przymilając się. — To nie takie trudne. Po prostu chcemy, abys tak się zachowywał, wiesz. Bądź tu szefem.

Okazało się, że kurwy z Zasłony są najbardziej staroświeckimi i konwencjonalnymi kobietami w Dżahiliji. Ich praca, która tak łatwo mogła zmienić je w cyniczne i pozbawione złudzeń istoty (oczywiście, potrafiły zabawiać się najdzikszymi myślami o swoich gościach), miast tego uczyniła je marzycielkami. Odcięte od świata zewnętrznego, stworzyły sobie fantazję „normalnego życia”, w którym nie chciały niczego innego, jak być posłusznymi, i — o, tak — uległymi towarzyszками życia mężczyzny, który byłby mądry, kochający, silny. Innymi słowy: całe lata spędzone na odgrywaniu fantazji mężczyzn wkradły się w końcu do ich marzeń i zmieniły je, w wyniku czego nawet w najtajniejszych głębiach swoich dusz pragnęły przemienić się w najstarszą ze wszystkich męskich fantazji. Dodatkowo posmak pikanterii, związany z parodiowaniem prywatnego życia Proroka, wprowadził ich wszystkich w stan najwyższego podniecenia i rozbawiony Baal odkrył sytuację, w której dwanaście kobiet zabiega o jego względy, o przywilej jego uśmiechu, obmywając mu stopy, wycierając je swoimi włosami, smarując olejkami jego ciało i tańcząc dla niego, i na tysiąc innych sposobów odgrywając sceny z wymarzonego małżeństwa, którego nigdy nie spodziewały się zaznać.

Nie można było się temu oprzeć. Powoli odnajdywał w sobie śmiałość, aby wydawać im rozkazy, rozsądzać spory pomiędzy nimi, karać je, kiedy był zły. Raz, gdy rozgniewały go ich kłótnie, na cały miesiąc obłożył je klątwą. Kiedy poszedł do „Aiszy” po dwudziestu dziewięciu nocach, dogadywała mu, że nie mógł wytrzymać bez nich. — Ten miesiąc miał tylko dwadzieścia dziewięć dni — odpowiedział. Innym razem został przyłapany przez „Hafse” z „Marią Koptyjką”, i to w pokojach „Hafsy”, a w dzień „Aiszy”. Błagał „Hafse”, aby nie informowała jego ukochanej „Aiszy”, lecz ta i tak doniosła i Baal przez dłuższy czas musiał trzymać się z dala od „Marii” o jasnej skórze i kędzierzawych włosach. Krótko mówiąc, uległ pokusie stania się zakonspirowanym świeckim odbiciem Mahounda; i znów zaczął pisać.

Były to najśodsze strofy, jakie kiedykolwiek stworzył. Czasami, kiedy był z „Aiszą”, czuł, że nadchodzi jakaś ospałość, ociężałość i musiał się wtedy położyć. — To dziwne — powiedział jej. — To tak, jak gdybym widział siebie samego stojącego obok. I mogę sprawić, by on przemówił; wtedy wstaję i zapisuję jego wiersze. — Ta artystyczna ociężałość Baala była przedmiotem wielkiego podzi-

wu ze strony jego żon. Kiedyś, zmęczony, przysnął w fotelu w pokojach „Umm Sulmy Machzumitki”. Kiedy się obudził kilka godzin później, całe ciało miał obolałe, kark i ramiona zdrewniały i zwymyślał „Umm Sulmę”: — Dlaczego mnie nie obudziłaś? — Odpowiedziała: — Bałam się, myślałam, że może przychodzą do ciebie wiersze. — Pokręcił głową. — O to się nie martw. Jediną kobietą, w której towarzystwie przychodzą do mnie wiersze, jest „Aisza”, a nie ty.

* * *

W dwa lata i jeden dzień po sprowadzeniu się Baala do Zasłony, jeden z klientów Aiszy rozpoznał go pomimo farbowanej skóry, pantalonów i ćwiczeń kultury-stycznych. Baal stał na zewnątrz pokoju Aiszy, kiedy wyszedł od niej klient, wskazał wprost na niego i krzyknął: — A więc to tutaj się ukryłeś! — Wybiegła Aisza, przerażenie malowało się w jej oczach. Lecz Baal krzyknął: — W porządku. On nie narobi nam kłopotów. — Zaprosił Persa Salmana do swoich apartamentów i odkorkował butelkę słodkiego wina z całych, nie rozgniatanych winogron, które Dżahilijjanie zaczęli robić, kiedy stwierdzili, że nie jest ono zakazane przez to, co zaczęto nazywać pogardliwie Księgą Przepisów.

— Przyszedłem, bo ostatecznie opuszczam to piekielne miasto — powiedział Salman — i chciałem przeżyć w nim choć jedną przyjemną chwilę po tych wszystkich gównianych latach. — Po tym, kiedy Bilal wstawił się za nim w imię ich starej przyjaźni, imigrant znalazł pracę kopisty listów i skryby do wszystkiego, siedząc na poboczu głównej ulicy w dzielnicy finansistów. Żar słońca nadał blask jego cynizmowi i rozpaczy. — Ludzie piszą, aby kłamać — powiedział, pijąc pośpiesznie. — A więc zawodowy kłamca może świetnie zarobić. Moje listy miłosne i korespondencja handlowa szybko zasłynęły jako najlepsze w mieście, dzięki darowi wymyślania pięknych kłamstw, opartych na nieznaczących odstępstwach od prawdy. Skutkiem tego już po dwóch latach zdążyłem zebrać odpowiednią sumkę na podróż do domu. Dom! Kraj rodzinny! Ruszam jutro, najwyższy czas.

Po opróżnieniu butelki Salman powrócił znów, tak jak przewidywał Baal, do przyczyny wszystkich swoich kłopotów, do Pośląńca i jego pośląnia. Opowiedział Baalowi o kłótni między Mahoundem i Aiszą, opierając się na pogłoskach, jak gdyby były one niezaprzeczalnymi faktami. — Ta dziewczyna nie mogła pogodzić się z myślą, że jej mąż pożąda tylu innych kobiet — powiedział. — Prawił jej o konieczności, sojuszach politycznych i tak dalej, ale nie dała się okpić. Któż może ją potępić? W końcu wpadł w — co innego by to mogło być? — jeden ze swoich transów i powrócił z niego z pośląniem od archanioła. Gibril wygłosił wersety dające mu pełne boskie poparcie. Pozwolenie samego Boga na pieprzenie

tylu kobiet, ile mu się tylko żywnie podoba. I co mu zrobisz: cóż mogła biedna Aisza powiedzieć, mając przeciw sobie wersety Boga? Jednak wiesz chyba, co powiedziała? To: „Ależ ten twój Bóg musi się spieszyć, by pozłatwiać za ciebie wszystkie twoje sprawy”. Cóż! Gdyby to nie była Aisza, kto wie, co by uczynił, lecz na pewno żadna inna nie odważyłaby się. — Baal nie przerywał mu. Seksualne aspekty Uległości nie dawały Persowi spokoju. — Chorobliwe to, cała ta nierówność. Nic dobrego z tego nie wyniknie.

W końcu Baal zaoponował i zdumiony Salman usłyszał, że poeta bierze stronę Mahounda. — Przypatrzył się jego punktowi widzenia — argumentował Baal. — Jeżeli rodziny ofiarowują mu swoje córki za żony, a on odmówi, przysporzy sobie wrogów — a poza tym, jest on kimś szczególnym i można by znaleźć podstawy zastosowania specjalnych ulg — a co do zamykania ich, cóż, jaka by to była hańba, gdyby któreś przydarzyło się coś brzydkiego! Słuchaj, gdybyś tu mieszkał, nie uważałbyś, że pewne ograniczenia swobody seksualnej są nie na miejscu — w przypadku współżycia, oczywiście.

— Oszalałeś chyba — powiedział Salman stanowczo. — Zbyt długo nie przebywałeś na słońcu. Albo też to przebranie sprawia, że przemawiasz jak błazen.

Baal w tym momencie miał już dobrze w czubie i rozpoczął jakąś ostrą replikę, lecz Salman podniósł niepewną rękę. — Nie chcę zwady — powiedział. — Opowiem ci zamiast tego historyjkę. Najpikantniejszą historię w mieście. I ma związek z tym, czo, czo mówisz.

Historyjka Salmana: Aisza i Prorok pojechali w podróż do odległej wioski i w drodze powrotnej do Jasrib rozłożyli się na noc z obozem pośród wydm. Obóz zwinięto jeszcze w ciemności przed świtem. W ostatniej chwili Aisza musiała pobiec za potrzebą do jakiegoś dołka. W tym czasie tragarze niosący jej lektykę podnieśli palankin i odeszli. Jest przecież lekką kobietą i nie zauważywszy specjalnie różnicy w wadze tego ciężkiego palankinu, sądzili, że znajduje się ona w środku. Aisza powróciła z ustronia i nie zastała już nikogo. Kto wie, co mogłoby się jej przytrafić, gdyby pewien młody mężczyzna, niejaki Safwan, nie przejeżdżał przypadkowo tamtędy na swoim wielbłądzie... Safwan przywiózł Aiszę do Jasrib zdrową i całą, i jeśli chodzi o ten ostatni punkt, zaczęło się mielenie ozorami, szczególnie w haremie gdzie jej przeciwniczki skrzętnie skorzystały z nadarzającej się sposobności na osłabienie pozycji ulubienicy. Dwoje młodych ludzi samotnie przebywało razem na pustyni przez wiele godzin i robiono aluzje, coraz głośniej i głośniej, że Safwan to dziarski przystojny facet, a Prorok jest o wiele starszy od żony i, ostatecznie, więc czyż nie mogła ona poczuć sympatii do kogoś, kto jest w jej wieku? — Prawdziwy skandal — komentował Salman, cały szczęśliwy.

— Co robi Mahound? — dopytywał się Baal.

— Och, już zrobił — odpowiedział Salman. — To samo, co zawsze. Widział się ze swoim ulubieńcem, archaniołem, a następnie poinformował każdego

i wszystkich, że Gibril oczyścił Aiszę z zarzutu. — Salman, człowiek bywały, rozpostarł ręce w geście rezygnacji. — I tym razem, szanowny panie, dama nie skarżyła się na dogodność wersetów.

* * *

Pers Salman odjechał następnego ranka z karawaną wielbłądów udającą się na północ. Kiedy żegnał się z Baalem, uściśnął poetę, ucałował w oba policzki i powiedział: — Być może masz rację. Być może lepiej jest trzymać się z dala od światła dziennego. Mam nadzieję, że ci się to uda. — Baal odpowiedział: — A ja mam nadzieję, że znajdziesz dom i pokochasz kogoś lub coś. — Salman zmieszał się. Otworzył usta, ale rozmyślił się i odszedł.

„Aisza” przyszła do pokoju Baala, aby się upewnić. — Czy nie rozgłosi tajemnicy po pijanemu? — zapytała, głaszcząc męża po głowie. — Przepuszcza przez siebie bardzo dużo wina.

Baal powiedział: — Nic już nie będzie takie jak dawniej. — Odwiedziny Salmana obudziły go ze snu, w którym pogrążał się stopniowo w ciągu tych lat w Zasłonie, i teraz nie mógł już zasnąć na nowo.

— Ależ będzie — upierała się Aisza. — Będzie, zobaczysz.

Baal pokręcił głową i wypowiedział jedyne w swoim życiu prorocтво. — Wydarzy się coś poważnego — przepowiedział. — Mężczyzna nie może w nieskończoność ukrywać się za spódnicami.

Następnego dnia powrócił do Dżahiliji Mahound i żołnierze przyszedli powiadomić Madam, Panią Zasłony, o zakończeniu okresu przejściowego. Burdele mają zostać zamknięte natychmiast. Dostyc tego dobrego. Zza swoich zasłon Madam zażądała, aby żołnierze wycofali się na godzinę w imię przyzwoitości, by umożliwić gościom opuszczenie zakładu i oficer dowodzący pododdziałem był na tyle niedoświadczony, że się zgodził. Madam wysłała eunuchów, aby poinformować dziewczęta i wyprowadzili gości przez tylne wyjście. — Proszę przeprosić ich za przerwę w usługach — poleciła eunuchom — i powiedzieć, że ze względu na okoliczności nie będzie się pobierać opłaty.

Były to jej ostatnie słowa. Kiedy zatrwożone, rozgadane dziewczęta weszły do sali tronowej, aby upewnić się, czy to rzeczywiście prawda, nie odpowiadała na ich przerażone pytania, czy jesteśmy bez pracy, co będziemy jadły, czy pójdziemy do więzienia, co się z nami stanie — aż w końcu „Aisza” zdobyła się na odwagę i zrobiła to, na co żadna z nich nigdy się nie odważyła. Kiedy odrzuciła czarne zasłony, zobaczyły nieżywa kobietę o wyglądzie dużej lalki, która równie dobrze mogła mieć pięćdziesiąt, co i sto dwadzieścia pięć lat, wzrostu nie więk-

szego niż metr, siedzącą z podwiniętymi nogami na wymoszczonym poduszkami wiklinowym fotelu, trzymającą w dłoni buteleczkę po truciznie.

— Skoro już zaczęłyście — powiedział Baal, wchodząc do pokoju — równie dobrze mogłobyście zdjąć wszystkie zasłony. Nie ma dłużej sensu chronić się przed słońcem.

* * *

Młody dowódca pododdziału, Omar, nie potrafił ukryć niezwyklej wściekłości, kiedy dowiedział się o samobójstwie szefowej burdelu. — Cóż, jeżeli nie możemy powiesić szefowej, będziemy musieli zadowolić się pracownicami — wrzasnął i rozkazał swoim ludziom zastosować ścisły areszt wobec „dziwek”, zadanie to wykonali z dużą gorliwością. Kobiety robiły wrzawę, próbowały kopać swoich oprawców, ale eunuchowie stali nieruchomo i przyglądali się, ani drgnąwszy, ponieważ Omar powiedział im: — Oni chcą wytoczyć proces tym pizdom, jeśli o was chodzi, nie mam żadnych rozkazów. A więc, jeżeli nie chcecie stracić głów, tak jak już straciliście jaja, trzymajcie się z dala od tego. — Eunuchowie nie stanęli w obronie kobiet z Zasłony, kiedy żołnierze powali je na ziemię: a między eunuchami był Baal o farbowanej skórze, ten od poezji. Tuż przed zakneblowaniem jej ust, najmłodsza „pizda” lub „szpara” zawyła: — Mężu, na miłość Boską *pomóż*, jeśli jesteś mężczyzną. — Kapitan pododdziału był rozbawiony. — Który z was jest jej mężem? — zapytał, zaglądając uważnie w każdą zwieńczoną turbanem twarz. — No już, przyznać się. Chyba przyjemnie razem z żonusią oglądać sobie świat?

Baal utkwiał wzrok w nieskończoności, aby uniknąć pełnych nienawiści spojrzeń „Aiszy” i zwężonych oczu Omam. — Czy to ty?

— Wielmożny panie, pan rozumie, to po prostu takie wyrażenie — kłamał Baal. — One lubią sobie żartować, te dziewczyny. One nazywają nas mężami, ponieważ my, my...

Bez ostrzeżenia Omar złapał go za genitalia i ścisnął. — Ponieważ nie możecie nimi być — powiedział. — Mężowie... Dobre sobie.

Kiedy ból ustąpił, Baal zobaczył, że kobiety już wyprowadzono. Wychodząc Omar poradził eunuchom: — Zmywajcie się. Jutro mogę otrzymać rozkazy dotyczące was. Niewielu szczęściarzy otrzymuje dwudniową szansę ucieczki.

Kiedy dziewczęta z Zasłony zostały zabrane, eunuchowie usiedli przy Fontannie Miłości i wybuchnęli niepohamowanym płaczem. Lecz Baal nie płakał, przepełniony wstydem.

* * *

Gibril wyśnił śmierć Baala:

Dwanaście nierządnic zdało sobie sprawę, wkrótce po swoim aresztowaniu, że tak się przyzwyczyły do swoich nowych imion, aż nie mogą sobie przypomnieć starych. Były zbyt przerażone, by podać dozorcóm więziennym przybrane tytuły i w końcu nie podały żadnych imion. Po wielu krzykach i równie wielu groźbach dozorczy ustąpili i zapisali je jako kolejne numery. Zastłona numer 1, Zastłona numer 2 i tak dalej. Ich dotychczasowi klienci, bojąc się konsekwencji, jakie mógłby wyniknąć, gdyby tajemnica o zabawie nierządnic wyszła na jaw, również nie pisenęli słówka i możliwe jest, że nikt nie odkryłby jej, gdyby poeta Baal nie zaczął przytwardzać swojej poezji do murów miejskiego więzienia

Dwa dni po aresztowaniu więzienie pękało w szwach od prostytutek i alfonsov, których namnożyło się w ostatnich dwóch latach, kiedy to Uległość wprowadziła do Dżahiliji segregację seksualną. Okazało się, że wielu dżahilijańskich mężczyzn gotowych jest narazić się na drwiny miejskich szumowin, nie wspominając już o prawdopodobieństwie sprawy sądowej, przewidywanej przez nowe przepisy przeciwko niemoralności, aby tylko stanąć pod oknami więzienia i wyśpiewywać serenady tym wymalowanym paniom, które pokochali. Na kobietach nabożeństwa te nie wywierały żadnego wrażenia i nie dały one najmniejszej choćby zachęty konkurentom stojącym u zaryglowanych bram. Na trzeci dzień jednak pojawił się między nimi, usychającymi z miłości głupcami, szczególnie przygnębiony facet w turbanie i pantalonach, o ciemnej, mocno krostowatej skórze. Wielu przechodniów pękało ze śmiechu na jego widok, lecz kiedy zaczął śpiewać swoje wersety, wszelkie śmiechy z miejsca ucichły. Dżahilijanie zawsze byli znawcami sztuki poetyckiej i piękno ód, które wyśpiewywał teraz ten osobliwy gość, wprost zmuszało ich do zatrzymania się w miejscu. Baal śpiewał swoje utwory miłosne i ból w nich tkwiący uciszał innych rymopisów, którzy pozwalali Baalowi, by mówił za nich wszystkich. W oknach więzienia po raz pierwszy można było ujrzeć twarze odseparowanych nierządnic, przyciągniętych magią strof. Kiedy zakończył swój recital, podszedł do muru, aby przybić wiersze. Strażnicy przy bramach, z oczyma pełnymi łez, nie uczynili jednego ruchu, by go zatrzymać.

Od tej pory co wieczór pojawiał się ten dziwaczny facet i śpiewał nowy wiersz, zawsze piękniejszy od poprzedniego. Prawdopodobnie ten nadmiar piękna spowodował, że nikt nie zauważył, aż dopiero podczas dwunastego wieczoru, kiedy zakończył on śpiewać swój dwunasty i ostatni zbiór wersetów, z których każdy dedykowany był innej kobiecie, że imiona jego dwunastu „żon” były takie same jak imiona innej dwunastki.

Lecz dwunastego dnia zauważono to, i z miejsca olbrzymi tłum, który zebrał

się, aby słuchać Baala, zmienił swoje nastawienie. W miejsce zachwytu pojawiło się oburzenie i Baal został otoczony przez rozzłoszczonych mężczyzn, którzy chcieli znać powody tej aluzyjnej, tej najbardziej bizantyjskiej z obelg. W tym momencie Baal zdjął swój niedorzeczny turban. — Jestem Baal — oznajmił. — Nie uznaję żadnej władzy oprócz władzy mojej Muzy; lub ściślej mówiąc, tuzina moich Muz.

Straże pochwyciły go.

Generał Chalid chciał przeprowadzić egzekucję Baala od razu, lecz Mahound zażądał, by poeta stanął przed sądem bezpośrednio po rozprawie nierządnic. To też kiedy dwanaście żon Baala, które rozwiodły się z kamieniem, aby poślubić jego, poetę, zostało już skazanych na śmierć przez ukamienowanie, co było karą za ich niemoralne życie, Baal stanął twarzą w twarz z Prorokiem, zwierciadło naprzeciw odbicia, ciemność naprzeciw jasności. Chalid, siedzący po prawicy Mahounda, dał Baalowi ostatnią szansę wytłumaczenia się z ohydnych uczynków. Poeta opowiedział historię pobytu w Zasłonie, posługując się jak najprostszym językiem, nie ukrywał niczego, nawet swojego tchórzostwa, które chciał naprawić całym późniejszym postępowaniem. Ale teraz wydarzyła się rzecz niezwykła. Tłum szczelnie wypełniający namiot sądu, wiedząc, że ostatecznie jest to słynny satyryk Baal, niegdyś właściciel najostrzejszego języka i najbystrzejszego umysłu w Dżahiliji, zaczął (mimo że usilnie starał się tego nie robić) się śmiać. Im szczerzej i prościej Baal opisywał swoje zaślubiny z dwunastoma „żonami Proroka”, tym bardziej niepohamowane stawało się gorszące rozbawienie widowni. Pod koniec jego przemówienia dobrzy mieszkańcy Dżahiliji dosłownie płakali ze śmiechu, niezdolni opanować się nawet wtedy, gdy żołnierze z bykowcami i butłatami zagrozili im natychmiastową śmiercią.

— Naprawdę, nie nabieram was! — krzyknął Baal skrzekliwym głosem do tłumu, który w odpowiedzi gwizdał, wrzeszczał, bił się po udach. — To nie żarty! — Ha ha ha. Aż w końcu powróciła znowu cisza; Prorok powstał.

— Dawniej drwiłeś sobie z Recytacji — przerwał ciszę Mahound. — Również i wtedy tym ludziom podobały się twoje kpiny. Teraz powracasz, aby pohańbić mój dom i wydaje się, że jeszcze raz udało ci się wydobyć z ludzi to, co najgorsze.

Baal odparł: — Ja skończyłem. Czyń, co ci się podoba.

Tak więc został skazany na ścięcie w przeciągu godziny i kiedy żołnierze brutalnie wyprowadzili go z namiotu, by powieść ku miejscu egzekucji, krzyknął przez ramię: — Nierządnicie i pisarze, Mahoundzie. Jesteśmy ludźmi, którym nie możesz wybaczyć.

Mahound odpowiedział: — Pisarze i nierządnicie. Nie widzę tu żadnej różnicy.

* * *

Dawno, dawno temu była sobie kobieta, która się nie zmieniła.

Po tym, kiedy zdrada Abu Simbela wręczyła Mahoundowi Dżahiliję jak na półmisku i zastąpiła ideę wielkości miasta potęgą Mahounda, Hind ssąfa jego palce nóg, recytowała La-ilaha, a następnie wycofała się do wysokiej wieży w swoim pałacu, gdzie doszła ją wiadomość o zniszczeniu świątyni Al-Lat w Taif oraz wszystkich istniejących posągów bogini. Zamknęła się w pokoju na wieży razem ze zbiorem starożytnych ksiąg napisanych w alfabetykach, których żadna inna istota ludzka w Dżahiliji nie potrafiłaby odczytać; przez dwa lata i dwa miesiące pozostała tam, studiując potajemnie okultystyczne teksty, prosząc jedynie o pozostawianie za drzwiami raz dziennie talerza z prostą strawą i o jednoczesne wypróżnianie jej nocnego naczynia. Przez dwa lata i dwa miesiące nie widziała żadnej innej żywej istoty. Po upływie tego czasu weszła o świcie do sypialni męża, cała wystrojona, z klejnotami pobłyskującymi na przegubach rąk, kostkach u nóg, palcach stóp, uszach i szyi. — Obudź się — rozkazała, odsuwając zasłony. — Dziś jest dzień godny świętowania. — Zobaczył, że nie zestarzała się ani o jeden dzień od czasu, kiedy widział ją po raz ostatni: jeżeli już, to wyglądała nawet młodziej niż zwykle, co przydawało wiarygodności pogłoskom, które sugerowały, że jej czary zmusiły czas do biegnięcia wstecz w granicach wyznaczonych przez przestrzeń jej pokoju na wieży. — A co mamy świętować? — zapytał były Naczelnik Dżahiliji, wykaszlując codzienną porcję porannej krwi. Hind odpowiedziała: — Mogę nie być władna, aby odwrócić bieg historii, ale przynajmniej zemsta jest słodka.

Godzinę później przyszła wiadomość, że Prorok, Mahound, śmiertelnie zachorował, że leży w łóżku Aiszy, a w głowie mu tak huczy, jak gdyby była wypełniona demonami. Hind w dalszym ciągu czyniła przygotowania do bankietu, wysyłała służbę do wszystkich zakątków miasta, spraszając gości. Ale, oczywiście, nikt nie przyszedł w taki dzień na przyjęcie. Wieczorem Hind zasiadła sama w wielkiej sali swojego domu, pośród złotych talerzy i kryształowych kieliszków swojej zemsty, jedząc prostą potrawę kuskus, a wokół niej stały pobłyskujące, parujące, najaromatyczniejsze potrawy, jakie sobie można tylko wyobrazić. Abu Simbel odmówił przyłączenia się do niej, nazywając jej ucztę nieprzyzwoitą. — Zjadłaś serce jego wuja — krzychał Simbel — a teraz zjadłabyś jego. — Zaśmiała mu się w twarz. Kiedy służba uderzyła w płacz, zwolniła ją i siedziała, świętując samotnie, podczas gdy świece rzucały dziwaczne cienie na jej bezwzględna, bezkompromisową twarz.

Gibril wyśnił śmierć Mahounda:

Kiedy głowa zaczęła boleć Posłańca jak nigdy dotąd, zrozumiał, że nadszedł czas, w którym zostanie mu ofiarowany Wybór:

Ponieważ żaden Prorok nie może umrzeć, zanim nie pokażą mu Raju, a następnie poproszą, by wybierał między tym światem a drugim:

Toteż kiedy leżał z głową na kolanach ukochanej Aiszy, zamknął oczy i wydało się, że życie uszło z niego; ale po pewnym czasie powrócił do przytomności.

I rzekł do Aiszy: — Ofiarowano mi możliwość Wyboru, dokonałem go i wybrałem królestwo Boże.

Wtedy ona zapłakała, wiedząc, że mówi o swojej śmierci; spojrzał wówczas na nią, ale zdawał się patrzeć na inną postać w pokoju, mimo że kiedy ona, Aisza, odwróciła się, żeby tam spojrzeć, zobaczyła tylko lampę płonącą na stojaku.

— Kto tam? — zawołał. — Azaliż to ty, Azrailu?

Lecz Aisza usłyszała, jak straszny, słodki kobiecy głos odpowiada: Nie, Posłańcze Al-Laha, to nie Azrail.

I lampa przygasła; a w ciemności Mahound zapytał: — Czy wobec tego ta choroba to twoja sprawka, o Al-Lat?

I odpowiedziała: — Jest to moja zemsta na tobie i to mnie zadowala. Niech przetną wielbłądowi ścięgna i umieszczą go na twoim grobie.

Wtedy odeszła, a lampa, którą przed chwilą przygasła, znowu buchnęła i zapłonęła jasnym światłem, i Posłaniec powiedział półgłosem: — Jednakowoż dziękuję Ci, o Al-Lat, za ten dar.

Wkrótce potem umarł. Aisza przeszła do pokoju obok, gdzie pozostałe żony i uczniowie czekali zrozpaczeni, i zaczęli głośno lamentować.

Ale Aisza otarła oczy i powiedziała: — Jeżeli jest ktoś, kto czią obdarzył Posłańca, niech rozpacza, bo Mahound nie żyje: jednak jeżeli jest tu ktoś, kto czi Boga, niech się raduje, gdyż On na pewno żyje.

Był to koniec snu.

VII

Anioł Azrail

1

To wszystko sprowadza się do miłości, rozmyślał Saladyn Czamecza w swojej pracowni: miłość, zbuntowany ptak z libretta Meilhaca i Halévy'ego do *Carmen* — jeden z najcenniejszych okazów, ten, w Alegorycznej Ptaszarni, którą zgromadził w radośniejszych czasach, a która zawierała wśród swoich Uskrzydłych metafor Słodkiego (młodości), Żółtego (szczęśliwszego ode mnie) bezprzymiotnikowego Ptaka Czasu Chajjama-FitzGeralda (który ma do przebycia jedynie bardzo krótką drogę, i patrzcie oto! już jest w Locie) oraz ptaka Ohydneho; ten ostatni z listu napisanego przez Henry'ego Jamesa Seniora do synów. . . „Wszyscy, którzy doszli w rozwoju intelektualnym chociażby do poziomu nastolatka, zaczynają podejrzewać, że życie bynajmniej nie jest farsą; że nie jest nawet elegancką komedią w dobrym tonie; że wprost przeciwnie, kwitnie i owocuje, czerpiąc z najbardziej przepastnych tragicznych otchłani zasadniczego nieurodzaju, w którym zapuszczone są korzenie jego podmiotu. Naturalnym dziedzictwem każdego, kto zdolny jest podjąć życie duchowe, staje się nieokiełznana puszcza, gdzie wyje wilk i skrzeczy ohydny ptak nocy.” *Zapamiętajcie to*, dzieci. — A w oddzielnej, lecz znajdującej się w pobliżu, szklanej gablocie, należącej do wyobraźni młodszego, szczęśliwszego Czameczy, trzepocze złapany w utworze z listy przebojów muzyki pop — Promienny Nieuchwytny Motyl, który reprezentuje tę samą *l'amour*, co *oiseau rebelle*.

Miłość — obszar, w którym nikt, kto pragnie zebrać pewien zasób doświadczeń ludzkich (jako przeciwieństwo mechanicznych, czy skinnerowsko-androidalnych), nie może pozwolić sobie na przerwanie badań — niewątpliwie oszukała cię, a całkiem możliwe, że i wykończyła. Nawet z góry cię ostrzegała. „Miłość to cygańskie dziecko — śpiewa Carmen, sama będąca Ideą Ukochanej, jej doskonałym wzorcem, wiecznym i boskim — i jeśli mnie kochasz, strzeż się”. Trudno o uczciwsze postawienie sprawy. Jeśli o niego chodzi, Saladyn był w swoim czasie bardzo kochliwy, i obecnie (doszedł do takiego przekonania) dopada go zemsta Miłości za grzechy lekkomyślnego kochanka. Z obszarów należących do sfery ducha najbardziej pokochał proteuszową, niezmordowaną kulturę narodów anglojęzycznych; Powiedział kiedyś, kiedy zalecał się do Pameli, że właśnie ta jedna sztuka, Otello, równa się wartości całego dorobku każdego innego dramaturga piszącego w jakimkolwiek innym języku, i mimo iż był świadom, że przesadza, nie uważał tej hiperboli za nazbyt śmiałą. (Pamela, oczywiście, czyniła bezustanne wysiłki, aby zdradzić swoją klasę społeczną i rasę, i jak można było się spodziewać, udała, że jest przerażona, włożyła Otella do jednego worka z Shylockiem, waląc następnie tym pakunkiem rasistę Szekspira po głowie.) Usiłował, podobnie jak jego poprzednik, pisarz, Nirad Chaudhuri — jakkolwiek bez tego szelmowskiego pociągu kolonialnej inteligencji do bycia postrzeganym jako *enfant terrible* — sprostać wyzwaniu ukrytemu w zwrocie *Civis Britannicus sum*. Nie było

już Imperium, a jednak wiedział, że „wszystko, co było dobre i żyło w nim” zostało „utworzone, ukształtowane i pobudzone do życia” przez jego spotkanie z tą wyspą wrażliwości, otoczoną przez chłodny rozsądek morza. — Z materialnych obszarów, obdarzył swoją miłością to miasto, Londyn, przedkładając je nad swoje miasto rodzinne czy jakiegokolwiek inne; skradał się w jego kierunku, ukradkiem, coraz bardziej zdenerwowany, zastygając w bezruchu jak kamień, kiedy spoglądało ono w jego stronę, marzył o tym, by je osiąść i w ten sposób, w pewnym sensie, *stać się* nim, podobnie jak w zabawie zwanej śladami babuni, dziecko dotykające tego, który jest *tym* („na tym”, jak by powiedzieli współcześni młodzi londyńczycy) przejmując wymarzoną tożsamość; podobnie zresztą jak w micie Złotej Gałęzi. Londyn, ze swoją złożoną naturą odbijającą jego własną, ze swoją powściągliwością podobną jego; ze swoimi gargulcami, odgłosami upiornych kroków Rzymian na ulicach, z krzykami odlatujących dzikich gęsi. Jego gościnność — tak! — pomimo przepisów imigracyjnych i jego własnych ostatnich doświadczeń, wciąż obstawał przy prawdziwości tego stwierdzenia, nie najlepsze powitanie, owszem zapalczywe, ale prawdą jest mimo to, że istnieje w południowym Londynie knajpka, gdzie poza ukraińskim nie słyszy się żadnego innego języka, albo też coroczny zjazd w Wembley, o rzut kamieniem od wielkiego stadionu, wspomnienia po imperium — Empire Way, Empire Pool — przeszło stu delegatów, których praszczurami byli mieszkańcy jednej małej wioski w Goa. — „My, Londyńczycy, możemy być dumni ze swojej gościnności”, powiedział kiedyś Pamela, a ona, nie mogąc opanować chichotu, zabrała go do kina na film Bustera Keatona pod tym właśnie tytułem, w którym komik, po dotarciu do końca jakiejś absurdalnej linii kolejowej, spotyka się z zabójczym przyjęciem. W owych czasach takie różnice poglądów sprawiały im przyjemność i po zażartych dysputach łądownali w łóżku... Ponownie skupił wzbierające myśli na metropolii. J — powtarzał sobie uparcie — długa historia jako azylu, funkcja, którą nadal spełniała, pomimo niewdzięczności niepokornych dzieci azylantów; i bez cienia tej samozadowolonej retoryki cieszącej się ze zgromadzenia w jednym miejscu olbrzymich mas ludzkich, retoryki „narodu imigrantów” zza oceanu, gdzie przecież przybyszów nie zawsze przyjmowano z otwartymi ramionami. Czy Stany Zjednoczone, ze swoimi czy-jesteś-kiedykolwiek-byłeś pozwoliłyby Ho Szi Minowi gotować w kuchniach swoich hoteli? Co miałyby do powiedzenia ustawa McCarrana-Waltera na temat współczesnego Karola Marksa stojącego ze swoją krzaczastą brodą u ich bram, czekającego, aż mu będzie wolno przekroczyć żółtą ciągłą linię? O Ty Właśnie Londynie! Naprawdę nieczułym byłby człowiek, który nie przedkładałby jego wyblakłych splendorów konserwatywnej architektury nad najnowocześniejsze oczywistości Nowego Rzymu z drugiej strony Atlantyku, z jego urbanistyczną gigantomanią, przywodzącą na myśl nazistowską, która wykorzystwała technikę przytłaczania ogromem po to, aby mieszkańcy poczuli się robakami... Londyn, pomimo coraz większej liczby nowotworów, takich jak NatWest Tower — olbrzy-

mi trójwymiarowy znak firmowy — zachował ludzki wymiar, *Viva! Zindabad!*

Pamela zawsze zjadliwie traktowała takie pieśni pochwalne. — Są to okazy muzealne — mówiła mu zwykle. — Uświęcone, wiszące w złotych ramach na honorowym miejscu. — Nigdy nie miała cierpliwości do rzeczy, które opierały się wpływowi czasu. Zmienić wszystko! Zburzyć! Powiedział: — Jeżeli ci się to uda, uniemożliwisz ludziom twojego pokroju jakikolwiek postęp wewnętrzny i to już za życia następnego pokolenia. — Celebrowała wizję własnego starzenia się i rozkładu. Jeżeli skończy jako dodo — wypchany relikwiarz czasów, *Zdrajczyni Swojej Klasy, lata osiemdziesiąte* — z pewnością będzie to oznaczało postęp, mówiła. On pozwalał sobie być odmiennego zdania, lecz wtedy zaczynali się już pieścić: co samo w sobie na pewno było postępowaniem, tak więc przyznawał jej rację również i w tym drugim punkcie.

(Któregoś roku rząd wprowadził opłaty za wstęp do muzeów i grupy rozeźlonych miłośników sztuki zorganizowały pikietę przed tymi świątyniami kultury. Kiedy Czamcza to zobaczył, chciał pójść z własnym afiszem i przeprowadzić jednoosobowy antyprotest. Czy ci ludzie nie zdają sobie sprawy z tego, jaką wartość mają te przedmioty wewnątrz? Proszę, stoją sobie tam, radośnie niszcząc płuca dymem z papierosów, których paczka kosztuje więcej niż bilety, przeciwko którym protestują; demonstrują w ten sposób światu, jak niską wartość ma dla nich dziedzictwo kulturowe. . . Pamela tupnęła nogą. — Nie waż się — powiedziała. Wyznawała właściwy wówczas pogląd: że muzea są *zbyt cenne*, aby pobierać opłatę za wstęp. A więc: — Nie ośmielisz się — i ku swojemu zdumieniu stwierdził, że się nie ośmieli. Nie miał na myśli tego, co, jak mu się wydawało, miał. A miał na myśli to, że oddałby, być może, w odpowiednich warunkach, swoje życie za to, co znajdowało się w tych muzeach. Nie mógł więc poważnie traktować sprzeciwów wobec kilkupensowej opłaty. Dobrze jednak rozumiał, że jest to stanowisko niejasne i trudne do obrony.)

— *A ze wszystkich istot ludzkich, Pamelo, pokochałem ciebie.*

Kultura, miasto, żona; i czwarta, ostatnia miłość, o której nikomu nie mówił: umiłowany sen. Dawniej sen ten powracał mniej więcej raz w miesiącu: nieskomplikowany sen, dziejący się w parku miejskim, w alejce wiekowych wiązów, których zwisające gałęzie zmieniły ją w zielony tunel, do środka którego skapywało niebo i światło słoneczne, to tu, to tam, doskonale niedoskonałości firmamentu z liści. W tej leśnej skrytości Saladyn ujrzał siebie samego w towarzystwie pięcioletniego chłopca, którego uczył jeździć na rowerze. Chłopczyk, początkowo niebezpiecznie się chwiejąc, podejmował heroiczne wysiłki, aby odzyskać i utrzymać równowagę, a robił to z zawziętością kogoś, kto pragnie, aby jego ojciec był z niego dumny. Ten Czamcza ze snu biegł za swoim wymarzonego synem, trzymając rower za bagażnik, żeby pomóc dziecku zachować pion. Potem puścił i chłopiec (nie wiedząc, że nikt go już nie podtrzyma) jechał dalej: równowaga pojawiła się jako dar lotu i obydwaj szybowali wzdłuż alejki, Czamcza biegnąc,

a chłopiec pedałując coraz mocniej. — Udało ci się! — cieszył się Saladyn, a równie uradowane dziecko odkrzyknęło: — Popatrz na mnie! Popatrz, jak szybko się nauczyłem. Jesteś ze mnie zadowolony? Jesteś zadowolony? — Był to sen, nad którym można zapłakać; ponieważ gdy Czamcza się budził, nie było ani roweru, ani dziecka.

— Co teraz zrobisz? — zapytała go Miszal wśród szczątków klubu nocnego Hot Wax, a on odpowiedział, zbyt beztrąsko: — Ja? Chyba powrócę do normalnego życia. — Łatwo powiedzieć, trudniej wykonać; ostatecznie było to życie, które miłość do chłopca ze snu wynagrodziło mu bezdzietnością; miłość do kobiety — jej odsunięciem się i zapłodnieniem przez jego dawnego przyjaciela z czasów studiów; miłość do miasta — rzuceniem się ku jego ulicom z himalajskich wysokości; a jego miłość do cywilizacji — przemianą jego postaci, sponiewieraniem, poniżeniem, łamaniem kołem. Łamaniem, ale nie złamaniem, przypomniał sobie; znowu jest cały, a poza tym biorąc pod uwagę przykład Niccolo Machiavellego (niesłusznie szkalowany człowiek, jego nazwisko, podobnie jak imię Muhammad-Mahona-Mahounda, stało się synonimem zła; natomiast w rzeczywistości oddanie republikanizmowi zostało nagrodzone łamaniem kołem, ale on przetrwał, to chyba były trzy obroty? — wystarczająco, w każdym razie, aby zmusić większość mężczyzn do przyznania się, że zgwałcili własną babkę lub popełnili jakiegokolwiek inne przestępstwo, wszystko, aby przerwać torturę; — jednak nie przyznał się do niczego, do żadnych zbrodni podczas pełnienia służby w Republice Florenckiej, tej o-wiele-za-krótkiej przerwie w rządach rodziny Medyceuszy); przecież jeżeli Niccolo potrafił znieść takie męczarnie, przeżyć je po to, żeby napisać tę być może gorzką, być może sardoniczną parodię literatury pochlebnej zwierciadłu książąt, literatury tak bardzo wówczas w modzie, czyli „Księcia”, a także apodyktyczne „Rozważania”, wobec tego on, Czamcza, z pewnością nie może pozwolić sobie na luksus porażki. To jest Zmartwychwstanie, wobec tego; odwał ten głąz z ciemnego wylotu jaskini i niech piekło pochłonie problemy prawne.

Miszal, Hanif Johnson i Pinkwalla — w oczach których Czamcza, dzięki swoim metamorfozom, przedzierzgnął się z aktora w bohatera, dzięki któremu magia fantastycznych filmów ze specjalnymi efektami („Labirynt”, „Legenda”, „Kaczor Howard”) staje się Rzeczywistością — podwieźli Saladyna w bagażówce DJ pod dom Pameli; tym razem jednak wcisnął się on z pozostałą trójką do kabiny kierowcy. Było wczesne popołudnie; Jumpy będzie jeszcze w swoim centrum sportowym. — Powodzenia — życzyła Miszal, całując go, a Pinkwalla zapytał, czy powinni poczekać. — Nie, dziękuję — odpowiedział Saladyn. — Kiedy już spadło się z nieba, zostało opuszczonym przez przyjaciela, zniosło brutalność policji, przeszło metamorfozę w kozła, straciło pracę i żonę, nauczyło się potęgi nienawiści i odzyskało ludzką postać, co pozostało człowiekowi, prócz, bez wątpienia nazwalibyście to tak samo, upomnienia się o swoje prawa? — Pomachał im na pożegnanie. — Brawo — rzuciła Miszal i odjechali. Na rogu ulicy te same co

zwykle dzieciaki z sąsiedztwa, z którymi nigdy nie był w dobrych stosunkach, grały w piłkę. Jeden z nich, diablikowaty, nieprzyjemny dziewięcio- lub dziesięciolatek o świńskich oczkach, wymierzył na niby pilotem od wideo w Czamczę i krzyknął: — Szybkie przewijanie do przodu! — Należał do pokolenia, które wyznawało zasadę przeskakiwania nad nudnymi, kłopotliwymi i przykrymi fragmentami życia, przechodząc szybko-naprzód od jednego punktu kulminacyjnego przeładowanego akcją do drugiego. *Witaj w domu*, pomyślał Saladyn i nacisnął dzwonek.

Pamela, kiedy go zobaczyła, chwyciła się za gardło. — Nie myślałem, że ludzie w dalszym ciągu reagują w ten sposób — powiedział. — Chyba od emisji filmu „Dr Strangelove” już nie. — Jej ciąża była jeszcze niewidoczna; zapytał o to, a ona zaczerwieniła się, lecz potwierdziła, że wszystko przebiega bez komplikacji. — Jak dotąd wszystko w porządku. — Pamela najwyraźniej była wytracona z równowagi; propozycja wypicia kawy w kuchni przysła o kilka uderzeń serca za późno (ona „pozostała wierna” swojej whisky, ciągle pijąc pomimo ciąży); ale w rzeczy samej to Czamcza czuł się tak, jakby był po *jednym głębszym* (był taki czas, kiedy pilnie czytał i zbierał zabawne małe książeczki Stephena Pottera) w trakcie całego tego spotkania. Pamela najpewniej czuła, że to ona powinna przyjąć, że znajduje się w kłopotliwym położeniu. To ona chce rozbić małżeństwo, to ona wyparła się go co najmniej trzykrotnie; lecz on był równie zakłopotany i speszony jak ona, tak więc oboje sprawiali wrażenie, że rywalizują o prawo do tytułu osoby w niełasce. Przyczyną, dla której Czamcza zmieszał się — a nie przybył tu, przypomnijmy sobie, ani trochę zakłopotany, lecz nastawiony wojowniczo i zawadiacko — było to, że zdał sobie sprawę — ujrawszy Pamelę, z jej zbyt jaskrawą jaskrawością, twarzą podobną świątobliwej masce, za którą kto wie jakie robaki uczują delectując się gnijącą strawą (zaniepokoiła go wrogość i gwałtowność obrazów wyłaniających się z jego podświadomości), z jej wygoloną głową pod absurdalnym turbanem, oddechem przepojonym whisky i z tą surowością, która wyryła drobne bruzdy wokół ust — że całkiem po prostu odkochał się i nie chciałby jej odzyskać, nawet gdyby taka koncepcja przysła jej do głowy (co było nieprawdopodobne, lecz nie niezrozumiałe). Z chwilą, kiedy uświadomił sobie, że z jakiegoś powodu czuje się winny, znalazł się w niekorzystnej sytuacji. Na dodatek posiwiały pies warczał na niego. Przypomniawszy sobie, że nigdy specjalnie nie przepadał za zwierzętami domowymi.

— Przypuszczam — mówiła Pamela do swojego kieliszka, siedząc przy starym sosnowym stole w przestronnej kuchni — że to, co zrobiłam, jest niewybaczalne, huh?

Ten mały amerykańizm *huh* był czymś nowym: czyżby następny z serii ciosów wymierzonych w jej wychowanie? Albo też podłapała to jak chorobę od Jumpiego czy któregoś z jego znajomych małych sportsmenek? (Znowu ta opryskliwa agresja: precz z nią. Teraz, kiedy już w ogóle nie chce Pameli, taka reakcja jest całkowicie

nieodpowiednia.) — Nie sądzę, żebym potrafił przewidzieć, co jestem w stanie wybaczyć — odparł. — Wydaje się, że nie mam żadnego wpływu na tę konkretną odpowiedź; albo ona gdzieś tam istnieje, albo nie, i dojdę do tego w odpowiednim czasie. Czyli, powiedzmy, że chwilowo ława przysięgłych opuściła salę, aby się naradzić. — Nie spodobało jej się to, oczekiwała, że w jakiś sposób on rozładuje napięcie i że będą mogli spokojnie zasiąść przy tej piekielnej kawie. Pamela zawsze robiła podłą kawę: jednak nie to było jego zmartwieniem w tej chwili. — Wprowadzam się z powrotem — oznajmił. — To duży dom i jest w nim mnóstwo pokoi. Zajmę pracownię i pokoje na piętrze pod nią, łącznie z dodatkową łazienką, a więc będę mieszkał całkowicie niezależnie. Z kuchni zamierzam korzystać bardzo rzadko. Zakładam, że skoro moje ciało nigdy nie zostało odnalezione i nadal oficjalnie figuruje jako zaginiony-przypuszczalnie-zmarły, to nie poszłaś do sądu załatwić skreślenie mnie z rejestrów. Jeżeli tak się sprawy mają, wskreszenie nie powinno zająć zbyt wiele czasu, kiedy tylko postawię w stan pogotowia Bentine’a, Milligana i Sellers. (Odpowiednio, ich prawnika, ich księgowego i agentkę Czamczy.) Pamela słuchała oniemiała, poza, którą przybrała, wyrażała uległość wobec jego planów, czegokolwiek on sobie zażyczy, jest okay: naprawienie błędów przy pomocy mowy ciała. — A następnie — zakończył — sprzedamy dom i dostaniesz rozwód. — Wyszedł szybko i zdążył uciec do swojej pracowni, zanim dopadły go dreszcze. Pamela, na dole, na pewno będzie płakała; jemu płacz nigdy nie przychodził łatwo, lecz za to był mistrzem dygotu. A teraz, oprócz tego, odezwało się jeszcze jego serce: bum badum dududum.

Aby narodzić się ponownie, najpierw musisz umrzeć.

* * *

W samotności niespodziewanie przypomniał sobie, że on i Pamela posprzeczekali się kiedyś, tak jak sprzeczekali się o wszystko, o nowelkę, którą oboje czytali, a której tematem była właśnie istota tego, co niewybaczalne. Tytuł i autor umknęły z jego pamięci, lecz sama historia powróciła jak żywa. Kobieta i mężczyzna byli bliskimi przyjaciółmi (nigdy kochankami) przez całe swoje dorosłe życie. Na dwudzieste pierwsze urodziny (oboje byli biedni w tym czasie) podarowała mu, dla żartu, najokropniejszy tani szklany wazon, jaki mogła znaleźć, jaskrawa parodia weneckich barwności. Dwadzieścia lat później, kiedy już oboje doszli do czegoś, posiwieli, pewnego razu odwiedziła go i pokłóciła się z nim o sposób traktowania przez niego ich wspólnego znajomego. Podczas kłótni zauważyła wazon, który ciągle stał na honorowym miejscu na obramowaniu kominka w jego salonie, i nie przerywając tyrady, zrzuciła go na podłogę, gdzie roztrzaskał się tak, że

nie było co sklejać. Nigdy już nie odezwał się do niej; kiedy umierała, pół wieku później, odmówił zobaczenia jej na łożu śmierci czy nawet wzięcia udziału w pogrzebie, mimo że przysłała umyślnych, aby powiedzieć mu, że z całego serca sobie tego życzy. — Powiedźcie jej — oznajmił posłańcom — że nigdy nawet nie zdawała sobie sprawy z tego, jak bardzo cenilem to, co zniszczyła. Emisariusze perswadowali, prosili, szaleli. Jeżeli ona nie zdawała sobie sprawy z tego, jak wiele ten wazon znaczył dla niego, jak można, w świetle sprawiedliwości, winić ją za to? I czyż nie czyniła niezliczonych prób, przez te wszystkie lata, aby go przeprosić i odkupić winę? A teraz przecież stała u progu śmierci, na miłość boską; czyż nie można w końcu załagodzić tej starej dziecinnej różnicy poglądów? Zniweczyli długoletnią przyjaźń; czyż nie mogę się nawet pożegnać? — Nie — powiedział bezlitosny mężczyzna. — Czy to naprawdę z powodu tego wazonu? A może skrywasz jakiś inny mroczny powód? — Chodzi o wazon — odpowiedział — o wazon, i tylko o to. — Pamela uznała tego mężczyznę za małostkowego i okrutnego, lecz Czamcza już wtedy cenił sobie te osobliwe zastrzeżone obszary życia wewnętrznego, nie dającą się wytłumaczyć istotę tej sprawy. — Nikt nie potrafi osądzić, jak poważne jest obrażenie wewnętrzne — powiedział wtedy — na podstawie powierzchownej ranki.

Sunt lacrimae rerum, jak powiedziałyby były nauczyciel Sufjan, i Saladyn w ciągu wielu następnych dni miał aż nadto okazji, aby rozmyślać o łzach w świecie rzeczy. Początkowo właściwie nie ruszał się ze swojej jaskini, dając jej czas, aby na powrót, bez ponaglenia, odbudowała się wokół niego, czekał, aż odzyska chociaż częściowo tę swoją dawną krzepiącą niezmiennność, która była jej sensem, nim zmienił się świat. Sporo oglądał telewizji, choć niezbyt uważnie, przeskakując, chcąc nie chcąc, z kanału na kanał, ponieważ był członkiem nowożytnej kultury zdalnego sterowania w tym samym stopniu, co chłopiec oświńskichoczkach z rogu ulicy; tamten również potrafił zrozumieć lub przynajmniej wprowadzić do swojego mózgu iluzję zrozumienia tego złożonego sztucznego wideo-potwora, którego powoływało do życia guziko-przyciskanie... jakimże wyrównywaczem było to zdalnie sterowane coś, prokrustowe łoże dla dwudziestego wieku; obcinało potężnych, rozciągało maluczkich, aż w końcu wszystkie programy w odbiorniku, reklamy, morderstwa, turnieje, tysiąc i jeden różnych uciech i strachów, prawdziwych i zmyślonych, robiły się jednakowo ważne: — i gdy prawdziwy Prokrust, obywatel, który, jakbyśmy to dzisiaj powiedzieli, trzymał łapę na kulturze, musiał wysilać zarówno swój mózg, jak i mięśnie, on, Czamcza, mógł się rozciągnąć wygodnie w odchyłanym fotelu firmy Parker-Knoll i pozwolić palcom na dokonywanie cięć. Wydawało mu się, kiedy tak skakał po kanałach, że pudło pełne jest potworów: byli tam mutanci — „Mutts” — w programie „Dr Who”, dziwaczne stworzenia, które sprawiały wrażenie, że powstały w wyniku skrzyżowania z przeróżnymi maszynami przemysłowymi: kombajnami silosowymi, chwytakami, transporterami taśmowymi, wiertarkami udarowymi, młotami pneumatycznymi,

mi, piłami, i których okrutni wodzowie-kapłani zwani byli *Mutilazjatami*; zda-
wało mu się, że telewizję dla dzieci zaludniały wyłącznie człekokształtne roboty
i stworzenia o metamorficznych ciałach, natomiast programy dla dorosłych pre-
zentowały nie kończący się pochód zdeformowanych ludzkich produktów ubocz-
nych, jakie zrodziły się z najnowszych pomysłów w nowoczesnej medycynie oraz
u jej współpracowników — w sferach współczesnej choroby i wojny. Oto jakiś szpital
w Gujanie najwyraźniej zakonserwował kompletnie ukształtowane ciało trytona,
w całości razem ze skrzelami i łuską. Wilkołactwo szerzyło się coraz bardziej
w górach Szkocji. Poważnie dyskutowano nad genetyczną możliwością stworze-
nia centaurów. Pokazano operację zmiany płci. — Tu przypomniał mu się ohydny
wiersz, jaki po chwili wahania pokazał mu Jumpy Joshi w kawiarni Shaandaar,
Noclegi-i-Śniadania. Tytuł utworu, „Opiewam moje eklektyczne ciało”, dosko-
nale oddawał jego treść. — Ale ostatecznie ciało tego faceta jest w porządku,
pomyślał Saladyn z goryczą. Zrobił Pameli dziecko bez najmniejszych trudno-
ści: żadnych tam złamanych pałeczek w jego cholernych chromosomach... przez
moment ujrzał siebie w powtórcie starego „klasycznego” programu „Obcy z ko-
smosu”. (W tej kulturze szybkiego przewijania do przodu utwór lub film mógł
zyskać status klasyki w ciągu zaledwie sześciu miesięcy; czasami nawet z dnia
na dzień.) Następnym tych długich seansów przy pudle było powstanie poważ-
nej rysy w tym, co jeszcze pozostało z jego wyobrażenia o normalnej przeciętnej
jakości rzeczywistości; jednak dało się również odczuć działanie sił równoważą-
cych.

W programie „Świat działkowicza” pokazano, jak dojść do czegoś, co nosi
nazwę „szczepu chimery” (dokładnie to, przypadek tak zrządził, co stanowiło du-
mę ogrodu Otto Cone’a); i jakkolwiek nieuwaga spowodowała, że Czamecza nie
uchwycił nazw dwóch drzew, z których wyhodowano jedno — Morwa? Szczo-
drzeniec? Janowiec? — jednak na widok samego drzewa nagle się zaciekawił.
Oto i ona, namacalna, prawdziwa, chimera z mocno tkwiącymi korzeniami w ka-
wałku angielskiej ziemi i krzepko na nim rosnąca: drzewo, myślał sobie, któ-
re metaforycznie może zająć miejsce tamtego drzewa, ściętego przez jego ojca
w dalekim ogrodzie innego, nieprzystawalnego świata. Jeżeli możliwe jest zaist-
nienie takiego drzewa, wobec tego to samo można powiedzieć o nim; on również
może się przyjąć, zapuścić korzenie, przetrwać. Pośród tych wszystkich telewi-
zyjnych obrazów przedstawiających tragedię mieszańców — bezużyteczność try-
tonów, zawodność chirurgii plastycznej, esperanto-podobną pustkę przeważającej
części sztuki współczesnej, Coca-kolonizację planety — oto otrzymał ten jeden
podarunek. Wystarczy. Wyłączył odbiornik.

Jego złość na Gibrila powoli przemijała. Ani też rogi, koźle kopyta itd. nie
zdradzały najmniejszej chęci ponownego pojawienia się. Wyglądało na to, że trwa
proces powrotu do zdrowia. W rzeczy samej, z biegiem czasu nie tylko Gibril,
ale wszystko, co przydarzyło się ostatnio Saladynowi, a co było nie do pogodze-

nia z banalnością codziennego życia, zaczęło się wydawać odległe i nieistotne, podobnie jak to się dzieje z najbardziej nieustępliwymi nocnymi zmorami, jeśli tylko przemyjesz twarz wodą, umyjesz zęby i chłapijesz sobie mocnego drinka na rozgrzewkę. Zaczął robić wypadki w świat zewnętrzny — do tych zawodowych doradców, prawnika księgowego agentki, których Pamela nazywała kiedyś Cymbałami, i kiedy tak sobie siedział w wykładanej boazerii, pociętej rzędami książek i rejestrów niezachwianej stałości tych biur, w których cuda po prostu nigdy nie mogły się wydarzyć, zaczynał mówić o swoim „upadku-załamaniu”, — „szoku po wypadku”, — i tak dalej, wyjaśniając swoje zniknięcie, jak gdyby nigdy nie spadał z nieba koziołkując, śpiewając hymn „Rule, Britannia”, podczas gdy Gibril wył pieśni z filmu „Shree 420”. Całkiem świadomie czynił próby powrotu do drobnych przyjemności z poprzedniego etapu swojego życia, chodząc na koncerty, do galerii i na przedstawienia teatralne, i chociaż jego reakcja na to wszystko była przytłumiona; chociaż cała ta wielka sztuka, wbrew jego oczekiwaniom, nie odsyłała go jak dawniej w świat wielkich uniesień; — on i tak wmawiał sobie, że dreszcz emocji niedługo powróci; miał „ciężkie przejścia” i potrzebuje trochę czasu.

Siedząc w pracowni, rozparty w fotelu firmy Parker-Knoll, w otoczeniu znanych przedmiotów — pierrotów z porcelany, lustra w kształcie serca karykaturzysty, Erosa podtrzymującego globus zabytkowej lampy — gratulował sobie, że jest tym rodzajem człowieka, który przez dłuższy czas nie potrafi chować w sercu nienawiści. Może jednak, mimo wszystko, miłość jest silniejsza od nienawiści; nawet jeżeli przemija, pozostawia choćby wąty swój cień. Do Pameli, na przykład, teraz był już tego pewien, nie żywi nic oprócz uczuć jak najbardziej altruistycznych. Nienawiść byłaby może podobna do odcisków palców na gładkim szkłe wrażliwej duszy; jedynie delikatnym śladem, który pozostawiony znika. Gibril? pstryk! Zniknął w mrokach niepamięci, przestał istnieć. Otóż to; wyrzec się złości oznacza stać się wolnym.

Optymizm Saladyna rósł, ale biurokracizm obrastający kwestię jego powrotu do życia okazał się większym utrudnieniem niż się tego Czamcza spodziewał. Banki nie spieszyły się z odblokowaniem jego konta; był zmuszony pożyczyć pieniądze od Pameli. Nie było mu też łatwo znaleźć pracę. Jego agentka, Charlie Sellers, wyjaśniła przez telefon: — Klienci są zabawni. Mówią o chodzących trupach, czują się jakby nieczyści: jak gdyby okradli grób. — Charlie, która przy swoich pięćdziesięciu kilku latach wciąż sprawiała wrażenie nie zorganizowanej, nieco stukniętej młodej osoby z najlepszej rodziny wiejskiej, zdawała się raczej podzielać opinię owych klientów. — Przeczekaaj — doradzała. — Jeszcze oprzytomnieją. Ostatecznie, na miły Bóg, nie jesteś przecież żadnym Drakulą. — Dziękuję, Charlie.

Tak: jego obsesyjny wstręt do Gibrila, jego marzenie o obmyśleniu jakiejś okrutnej i stosownej zemsty, te rzeczy należały do przeszłości i były aspektami

pewnej rzeczywistości nie do pogodzenia z jego żarliwym pragnieniem powrotu do normalnego życia. Nawet buntownicze i destrukcyjne obrazy telewizji nie mogły odwieść go od tego pragnienia. Przede wszystkim odrzucał portret przedstawiający jego samego i Gibrila jako *potwory*. Potwory, też mi: najbardziej absurdalny z pomysłów. Na świecie istniały prawdziwe monstra — dyktatorzy dokonujący masowych morderstw, gwałciciele dzieci. Rozpruwacz Staruszek. (Tutaj czuł się zmuszony przyznać, że chociaż wysoko cenił Policję Miejską, aresztowanie Uhuru Simby było zbyt cholernie akuratne.) Wystarczy tylko rozłożyć gazetę, w którykolwiek dzień tygodnia, i już mamy przed sobą szalonych irlandzkich homoseksualistów, napychających ziemią usta niemowląt. Pamela, oczywiście, uważała, że określenie „potwór” jest zbyt — jakie? — *wyrokoferujące*, by odnosić je do takich osób; współczucie, powiedziała, nakazuje dostrzec w nich ofiary wieku. Współczucie, odparł, nakazuje dostrzec ofiary w osobach przez nich skrzywdzonych. — Już nic nie da się z tobą zrobić — oznajmiła swoim najbardziej arystokratycznym tonem. — Rzeczywiście rozumiesz w sposób właściwy uczestnikom tandetnych debat publicznych.

A także inne potwory, nie mniej realne niż ci maniacy z prasy brukowej: pieniądze, władza, seks, śmierć, miłość. Anioły i diabły — komu są potrzebne? — Dlaczego demony, skoro sam człowiek jest demonem? — pytał „ostatni demon” laureata Nagrody Nobla, Singera, ze swojego stryszku w Tyszowcach. Do powyższego czamczowskie poczucie równowagi, jego odruch za-którym-i-przeciw-kóremu-dużo-przemawia, chciało dodać: „I dlaczego anioły, skoro człowiek sam jest również anielski?” (Jeżeli nie jest to prawdą, wobec tego jak należy wyjaśnić, na przykład, Karton Leonarda? Czy Mozart był naprawdę Belzebubem w upudrowanej peruce?) — Jednak należy przyznać, i od tego zresztą wyszedł, że sytuacja tego wieku nie wymaga żadnych diabolicznych wyjaśnień.

* * *

Nic nie mówię. Nie proszę, abym wyjaśnił sytuację w ten czy inny sposób; czas objawień dawno minął. Zasady Stworzenia są całkowicie jasne: ustala się całość, stwarza się rzeczy tak a tak, a potem puszcza je w ruch. Gdzie przyjemność, jeśli wciąż miałbyś interweniować, aby dać wskazówki, zmienić zasady, rozsądzić konflikty? Cóż, aż dotąd zachowałem zimną krew i nie zamierzam teraz tego zmienić. Nie myśl sobie, że nie chciałem się wtrącać; ależ tak, chciałem, wielokrotnie. A teraz, to prawda, zrobiłem to. Siedziałem na łóżku Allelui Cone i rozmawiałem z supergwiazdą, Gibrilem. *Nad-Ziemiarz czy Pod-Ziemiarz*, chciał wiedzieć, i nie oświeciłem go; a na pewno nie zamierzam teraz wypaplać tajem-

nicy temu pomieszanemu Czamczy. Odchodzę. Ten człowiek teraz zaśnie.

* * *

Jego odrodzony, świeżo opierzony, wciąż-omylny optymizm najtrudniej było utrzymać przy życiu w nocy; ponieważ w nocy nie tak łatwo zaprzeczyć istnieniu tego innego świata rogów i kopyt. Pojawiła się również sprawa dwóch kobiet, które zaczęły ukazywać się w jego snach. Pierwszą — trudno mu było przyznać się do tego, nawet przed sobą samym — był nie kto inny, jak dziecko-kobieta z Shaandaaru, jego lojalna sojuszniczka w owych koszmarnych czasach, które teraz tak usilnie próbował ukryć wśród komunałów i mgieł, entuzjastyczna adeptka walk Wschodu, kochanka Hanifa Johnsona, Miszal Sufjan.

Drugą — którą pozostawił w Bombaju z cierniem jego wyjazdu tkwiącym w sercu i która na pewno wciąż jeszcze uważa go za zmarłego — była Zini Wakil.

* * *

Nerwowość Jumpy Joshiego, kiedy dowiedział się o powrocie Saladyna Czamczy w ludzkiej postaci i zajęciu przez niego wyższych pięter domu w Notting Hill, była nie do zniesienia i doprowadziła Pamelę do niewyraźnej wprost wściekłości. Pierwszej nocy — postanowiła nie mówić mu nic do czasu, aż znajdą się bezpiecznie razem w łóżku — wyskoczył na metr z pościeli usłyszawszy wiadomość, i stanął na bladoniebieskim dywanie nagusieńki, trzęsący się i z kciukiem wetkniętym w usta.

— Wracaj mi tu zaraz i przestań blaznować — rozkazała, ale on potrząsnął gwałtownie głową i wyciągnął palec z ust na tyle szybko, by zdążyć wymamrotać: — Skoro on jest *tutaj!* W tym *domu!* Więc jak *ja* mogę...? — Mówiąc to, porwał swoje ubranie i uciekł z pokoju; ułyszała głuche uderzenia i łomot, co wskazywało na to, że buty, być może w towarzystwie jego własnej osoby, spadły ze schodów. — Dobrze ci tak — krzyknęła za nim. — Mięczak, złam sobie kark.

Kilka chwil później złożyła Czamczy wizytę jego odseparowana i gołogłowa, purpurowa na twarzy żona, która powiedziała ochrypłym głosem przez zaciśnięte zęby: — J. J. stoi przed domem. Ten cholerny idiota mówi, że nie wejdzie do środka, dopóki nie powiesz, że nie masz nic przeciwko temu. — Jak zwykle była już podpita. Czamcza, ogromnie zdziwiony, wyrzucił z siebie: — A ty, czy ty

chcesz, żeby on wszedł do środka? — Co Pamela z miejsca uznała za sypanie soli na jej rany. Zrobiła się jeszcze bardziej purpurowa i kiwnęła głową z upokorzoną dzikością. *Tak.*

Tak więc pierwszego swojego wieczora w domu Saladyn Czamcza wyszedł na zewnątrz: — Hej, hombre! Jesteś naprawdę *w porządku!* — Jumpy powitał go z przerażeniem, zacierając nerwowo ręce, aby ukryć strach — i Czamcza przekonał kochankę swojej żony, że powinien dzielić z nią łóżko. Następnie schronił się na górę, ponieważ wstyd nie pozwalał wejść Jumpiemu do domu, dopóki Czamcza nie zniknie z pola widzenia.

— Co za człowiek! — szlochał Jumpy Pameli. — *To księżę, święty!*

— Jeżeli nie przestaniesz — ostrzegła Pamela wzburzona, ze spurpurowiałą twarzą — poszczuję cię tym pieprzonym psem.

* * *

Jumpy w dalszym ciągu czuł się zakłopotany obecnością Czamczy, postrzegając go (a przynajmniej świadczyło o tym jego zachowanie) jako groźnego ducha, którego stale należy sobie zjednywać przekupstwami. Kiedy ugotował posiłek dla Pameli (okazał się, co stwierdziła ze zdumieniem i wielką ulgą, prawdziwym kuchmistrem), uparł się, żeby zaprosić Czamczę do nich na dół, a kiedy Saladyn odmówił, zaniósł mu tacę na górę, wyjaśniając Pameli, że gdyby tego nie zrobił, byłoby to niegrzeczne, a także prowokujące. — Popatrz, na co on pozwala pod własnym dachem! To jest *gigant*; jedyne, co możemy zrobić, to zachowywać dobre maniery. — Pamela, z narastającą furią, musiała cierpliwie znosić szereg takich sytuacji, wraz z towarzyszącymi im kazaniami. — Nigdy nie sądziłam, że jesteś tak ułożony — wściekała się, a Jumpy odpowiadał: — To po prostu kwestia szacunku.

W imię szacunku Jumpy zanosił Czamczy herbatę, gazety i pocztę; nigdy nie omieszkał, przychodząc do dużego domu, pójść najpierw na górę i złożyć wizytę trwającą co najmniej dwadzieścia minut, minimum w jego skali grzeczności, podczas gdy Pamela trzy piętra niżej czekała bez końca i zalewała się burbonem. Przynosił Saladynowi drobne prezenty: przebłagalne dary w postaci książek, starych programów teatralnych, masek. Kiedy Pamela próbowała położyć temu kres, z miną niewiniątka uparcie dowodził swego: — Nie możemy zachowywać się tak, jak gdyby ten człowiek nie istniał. Przecież on tu jest, tak czy nie? Wobec tego musimy go wciągnąć w nasze życie. — Pamela odpowiadała cierpko: — No to dlaczego nie zaprosisz go na dół, aby przyłączył się do nas w łóżku? — Na co Jumpy, poważnie: — Myślałem, że nie przypadłoby ci to do gustu.

Pomimo że nie potrafił odprężyć się i uznać obecności Czamczy na górze za rzecz naturalną, jednak coś w środku Jumpy Joshiego doznało ulgi z powodu otrzymanego w tak niezwykły sposób błogosławieństwa od swojego poprzednika. Mogąc połączyć ze sobą imperatywy miłości i przyjaźni, nabierał otuchy, złapał się nawet na tym, że poważnie zastanawia się nad ideą ojcostwa. Którejś nocy wyśnił sen, którego wspomnienie następnego ranka wycisnęło mu łzy, potęgując rozkosz oczekiwania: nieskomplikowany sen, w których biegł alejką w tunelu utworzonym przez zwisające gałęzie, pomagając małemu chłopcu jeździć na rowerze. — Jesteś ze mnie zadowolony? — krzyczał chłopiec w uniesieniu. — Hej: jesteś zadowolony?

* * *

Pamela i Jumpy zaangażowali się w kampanię przeciwko aresztowaniu dra Uhuru Simby, oskarżonego o tak zwane Morderstwa Rozpruwacza Staruszek. I to Jumpy poszedł przedyskutować z Saladynem na górze. — Cała sprawa jest od początku do końca sfingowana, oparta na dowodach pośrednich i insynuacjach. Hanif uważa, że materiał przygotowany przez prokuraturę ma takie dziury, że będzie mógł przez nie przejechać ciężarówką. Jest to oczywisty przypadek złośliwego wrabiania; pytanie tylko, jak daleko się posuną. Na pewno będą starali się złapać go na sprzecznych zeznaniach. Być może znajdą się nawet świadkowie, którzy stwierdzą, że widzieli, jak rznął. Wszystko zależy od tego, jak bardzo będą chcieli go pognębić. A powiedziałbym, że jednak bardzo; ta sprawa narobiła sporo szumu w mieście. — Czamcza zalecił ostrożność. Przypominając sobie, jaki wstręt czuła Miszal Sufjan do Simby, powiedział: — Ten gość słynie, prawda, z brutalnego traktowania kobiet. . . — Jumpy rozłożył ręce. — W swoim życiu osobistym — przyznał — facet jest, szczerze mówiąc, kupą gówna. Ale to nie znaczy, że rozpruwa brzuchy starym ludziom: nie musisz być aniołem, aby być niewinnym. O ile, oczywiście, nie jesteś czarny. — Czamcza puścił to mimo uszu. — Rzecz w tym, że to nie jest prywatna sprawa jednego człowieka, to sprawa polityczna — podkreślił Jumpy, dodając, kiedy podnosił się do wyjścia: — Hm, jutro odbędzie się zebranie mieszkańców w tej sprawie. Pamela i ja musimy tam być; proszę, to znaczy gdybyś chciał, gdyby cię interesowało, to jest, możesz pojechać z nami, jeśli chcesz.

— Poprosiłeś go, żeby z nami pojechał? — Pamela nie mogła uwierzyć. Miała teraz bardzo często nudności, co nie najlepiej wpływało na jej nastrój. — Naprawdę to zrobiłeś, nie pytając mnie o zdanie? — Jumpy był przygnębiony. — No, dobrze, mniejsza z tym — przestała się nad nim znęcać. — *On* i pójdzie na

coś takiego...

Jednak rano Saladyn pojawił się na dole w holu, ubrany w elegancki brązowy garnitur, płaszcz z wielbłądziej wełny z jedwabnym kołnierzem i szykowny, brązowy, filcowy kapelusz. — Dokąd to popierdasz w tym stroju? — zapytała Pamela, w turbanie, wojskowej skórzanej kurtce i spodniach od dresu, które nie najlepiej maskowały zaokrąglający się brzuch. — Czyżby do Ascot? — O ile się nie mylę, zostałem zaproszony na zebranie — odpowiedział Saladyn jak najbardziej ugodowym tonem i Pamela zdębiała. — Uważaj — ostrzegła go. — Tak się odpiardoliłeś, że jeszcze zarobisz w czachę.

* * *

Co wciągnęło go z powrotem do innego świata, do tego pod-miasta, w którego istnienie tak długo nie wierzył? — Co, lub raczej, kto zmusił go prostym faktem swojego istnienia, aby wynurzył się z tej jaskini-kokonu, w której przechodził — albo tak mu się tylko zdawało — proces powrotu do dawnego ja, i aby ponownie rzucił się na niebezpieczne (ponieważ nie zbadane) wody świata i siebie samego? — Cóż, chyba wcisnę to zebranie — powiedział Jumpy Joshi Saladynowi — tuż przed lekcją karate. — Gdzie oczekiwać będzie jego wzorowa uczennica: wysmukła, o włosach koloru tęczy i, dodał Jumpy, w dodatku osiemnastolatka. — Nie wiedząc, że Jumpyego również wiodą tam zakazane ciążotki, Saladyn jechał przez całe miasto, aby być bliżej Miszał Sufjan.

* * *

Spodziewając się, że zebranie będzie kameralne, wyobrażał sobie jakiś pokój gdzieś na zapleczu, pełen podejrzanych typów o wyglądzie i sposobie mówienia klonów Malcolma X (Czamacza przypomniał sobie, że kiedyś uznał za śmieszny dowcip komika telewizyjnego — A oto jeszcze jeden, o Murzynie, który zmienił nazwisko na Pan X i oskarżył „Wiadomości ze świata” o zniesławienie — co sprowokowało jedną z największych kłótni, jakie Czamacza przeżył w trakcie swojego małżeństwa) oraz kilku rozzłoszczonych kobiet; przedstawiał sobie pojedynki na pięści i wiele słusznego gniewu. Zastał natomiast olbrzymią salę, wypełnioną po brzegi ludźmi wszelkiego możliwego autoramentu — starymi kobietami o wątpliwej reputacji, dziećmi w mundurkach szkolnych, Rastafarianami i obsługą restau-

racji, personelem małego chińskiego supersamu z Plassey Street, nijako ubranymi facetami i rozbestwionymi młodzieńcami, białymi i czarnymi; nastrój tłumu daleki był od hysterii ewangelików, którą to sobie wcześniej wyobraził; było spokojnie, zmartwieni ludzie chcieli wiedzieć, czy można coś zrobić. Obok niego stała młoda Murzynka, która obrzuciła jego ubiór rozbawionym spojrzeniem; w odpowiedzi utkwiał w niej pełen dezaprobaty wzrok i kobieta wybuchnęła śmiechem: — W porządku, przepraszam, nie chciałam urazić. — Miała przypiętą trójwymiarową odznakę, jedną z tych, które zmieniały wzór przy lekim poruszeniu. Pod jednym kątem napis głośił „Uhuru dla Simby”, a przy innym, „Wolność dla Lwa”. — To ze względu na imię, które sobie przybrał — wyjaśniała niepotrzebnie. — Po afrykańsku. — W jakim języku? — chciał wiedzieć Saladyn. Wzruszyła ramionami i odwróciła się, by słuchać przemawiających. Po prostu po afrykańsku: urodziło się to to, przypuszczała po wymowie, w Lewisham lub Deptford, lub New Cross, i to wszystko, co chciała wiedzieć. . . Pamela zasyczała mu do ucha. — Widzę, że w końcu znalazłeś sobie kogoś, wobec kogo możesz czuć się lepszy. — Wciąż mogła czytać w nim jak w otwartej książce.

Na drugim końcu sali na scenie pojawiła się drobna kobieta w wieku około siedemdziesięciu pięciu lat, wprowadzona przez żylastego mężczyznę, który, jak zauważył Czamcza niemalże uspokojony tą obserwacją, naprawdę był podobny do przywódcy amerykańskiego ruchu Black Power, młodego Stokely'ego Carmichaela, w rzeczy samej — te same silne okulary — i który spełniał rolę konferansjera. Okazało się w końcu, że to rodzony brat dra Simby, Walcott Roberts, a drobnuteńka dama, Antoinette, jest ich matką. — Bóg jeden wie, jak coś tak wielkiego jak Simba mogło kiedykolwiek z niej wyjść — szepnął Jumpy, a Pamela zrobiła srogą minę powodowana nowym poczuciem solidarności z wszystkimi ciężarnymi kobietami, zarówno z przeszłości, jak i terażniejszości. Jednakże, kiedy Antoinette Roberts przemówiła, jej głos okazał się tak silny, że nie musiała nawet używać mikrofonu. Chciała opowiedzieć o wystąpieniu swojego syna w sądzie podczas rozprawy wstępnej, a mówcą naprawdę była świetnym. Według Czamczy miała głos osoby wykształconej; mówiła z akcentem rodem z BBC, jakby dykcji uczyła się od spikerów Serwisu Światowego, ale były w tym głosie również żarliwość i zapowiedź ognia piekielnego. — Mój syn zasiadł na ławie oskarżonych — powiedziała do milczącej sali — Boże, on tam zasiadł. Sylwester — wybaczenie mi iż używam imienia, które mu nadałam, nie chcę pomniejszyć tym imienia bojownika, jakie sam przybrał, robię to wyłącznie z przyzwyczajenia — Sylwester, on wznosił się ponad tę ławę jak Lewiatan ponad fale. Chcę, abyście wiedzieli, jak mówił: mówił głośno i mówił wyraźnie. Mówił, patrząc swojemu przeciwnikowi prosto w oczy, i czy prokurator był w stanie zmusić go do spuszczenia wzroku? Nigdy w życiu. I chcę, abyście wiedzieli, co powiedział: „Stoję tutaj — oświadczył mój syn — ponieważ zgodziłem się przyjąć starą i zaszczytną rolę zarozumiałego czarnucha. Jestem tutaj, ponieważ nie chciałem być rozsądny. Jestem

tutaj z powodu mojej niewdzięczności. — Był tam kolosem pomiędzy karłami. — Niech to będzie jasne — powiedział na tamtej sali sądowej — jesteśmy tu po to, aby zmienić porządek rzeczy. Przyznaję od razu, że my sami musimy się zmienić; Afrykanie, mieszkańcy Karaibów, Hindusi, Pakistańczycy, mieszkańcy Bangladeszu, Cypryjczycy, Chińczycy, nie bylibyśmy tacy, jacy jesteśmy, gdybyśmy nie przepłynęli oceanu, gdyby nasi ojcowie i matki nie przecięli nieba w poszukiwaniu pracy, godności i lepszego życia dla swoich dzieci. Zostaliśmy stworzeni na nowo: ale podkreślam, że będziemy również tymi, którzy zmieniają to społeczeństwo, przekształcają je od stóp do głów. Będziemy drwałami karczującymi martwy las i założycielami ogrodów nowego. Teraz nasza kolej”. — Chcę, abyście pomyśleli nad tym, co mój syn, Sylwester Roberts, dr Uhuru Simba, powiedział w przybytku sprawiedliwości. Myślcie o tym, kiedy zdecydujecie, co uczynić.

Jej syn, Walcott, pomagał jej zejść ze sceny pośród burzy oklasków i śpiewu; skłoniła się z powagą w kierunku wrzawy. Nastąpiły mniej charyzmatyczne przemówienia. Hanif Johnson, obrońca Simby, przedstawił całą listę propozycji — miejsce dla publiczności musi być wypełnione po brzegi, wydający wyrok muszą mieć świadomość, że są obserwowani; przed sądem muszą stać pikiety i należy zorganizować ich zmiany; trzeba zaapelować o pomoc finansową. Czamcza powiedział półgłosem do Jumpiego: — Nikt nawet nie napomknął o przypadkach jego agresji seksualnej. — Jumpy wzruszył ramionami. — Kilka kobiet, na które napadł, siedzi na tej sali. Miszał, na przykład, o tam, spójrz, w rogu przy scenie. Ale ani to czas, ani miejsce po temu. Samcze szaleństwo Simby jest, można by powiedzieć, jego osobistym dramatem. To, z czym mamy tu do czynienia, to dramat Człowieka. — W innej sytuacji Saladyn miałby wiele do powiedzenia na takie oświadczenie. Przeciwstawiłby się choćby temu, że nie można tak łatwo odrzucić przypadków poprzedniego stosowania przemocy w sprawie o morderstwo. Nie podobało mu się również takie amerykańskie określenie jak „Człowiek” użyte w bardzo odmiennej brytyjskiej sytuacji, gdzie nie istnieje żadne dziedzictwo niewolnictwa; wyglądało to jak próba wypożyczenia blasku wspaniałości od innych, bardziej niebezpiecznych walk; podobnie zresztą myślał o decyzji organizatorów, aby jako przerywników pomiędzy przemówieniami użyć takich pełnych treści pieśni jak „We Shall Overcome”, a nawet, na miłość boską „Nkosi Sikelel’i Afrika”. Jak gdyby wszystkie przypadki były identyczne, wszystkie historie wymienne. Ale nic nie powiedział, ponieważ zaczęło mu się kręcić w głowie, zrobiło mu się słabo, gdyż przed chwilą zostało mu dane, po raz pierwszy w życiu, zadziwiające przecucie śmierci.

— Hanif Johnson kończył swoje przemówienie. *Tak jak napisał dr Simba, nowe wkroczy w to społeczeństwo poprzez zbiorowy, a nie indywidualny wysiłek.* Cytował tu coś, co Czamcza rozpoznał jako jeden z najbardziej popularnych sloganów Camusa. *Przejdźcie od mowy do moralnej akcji,* mówił Hanif, *ma nazwę: stanie się człowiekiem.* — A teraz miła, młoda brytyjska Azjatka, z nosem jak

kartofel i o nieprzyjemnym bluesowym głosie, odważnie zaintonowała piosenkę Boba Dylana „I Pity the Poor Immigrant”. To już kolejna fałszywa i importowana nuta: wydawało się, że piosenka tchnie raczej wrogością do imigrantów, jakkolwiek były w niej również linijki, które trącały właściwą strunę, o wizji imigranta rozpadającej się jak domek z kart, o tym jak musi on „wznieść to miasto na kałużach krwi”. Jumperu, z jego poetyckimi próbami wyrażania na nowo starego rasistowskiego obrazu rzeki krwi, z pewnością to się spodoba. Wszystkich tych rzeczy Saladyn doświadczał, a także myślał o nich jak gdyby z bardzo daleka. Co się stało? To: kiedy Jumpy Joshi wskazał mu obecną na sali Domu Spotkań Misza Sufjana, Saladyn Czamcza, patrząc w jej stronę, zobaczył ogień buchający ze środka jej czoła; i w tym samym momencie poczuł łomotanie serca i lodowaty cień pary ogromnych skrzydeł. Obraz nieco mu się zamazał, co pozostawało w ścisłym związku z podwójnym widzeniem, jak gdyby spoglądał w dwa światy jednocześnie; jeden to jasnooświetlona, palenie-surowo-wzbroniona, sala zebrania, a ten drugi to świat fantomów, w którym Azrail, anioł śmierci, spadał na niego, a czoło dziewczyny mogło się palić złowieszczym płomieniem. — *Ona jest moją śmiercią, oto co to oznacza*, myślał Czamcza w pierwszym ze światów, podczas gdy w drugim nakazywał sobie zachowanie rozsądku; w sali tłoczyli się ludzie noszący te idiotyczne symbole przynależności szczepowej, które ostatnio stały się tak popularne, zielone neonowe aureole, rogi diabła pomalowane farbą fluorescencyjną; Misza zapewne ma na sobie coś z niepoważnej biżuterii ery podróży kosmicznych. Ale jego drugie ja ponownie przejęło nad nim kontrolę, *ona jest poza twoim zasięgiem*, oznajmiło mu, *nie wszystkie możliwości stoją przed nami otworem. Świat ma swój kraniec; nasze nadzieje przelewają się przez jego skraj*. — Po czym na scenę wkroczyło jego serce, bababum, bum ba, dabadum.

Teraz znajdował się na dworze, obok zaniepokojony Jumpy, nawet Pamela okazywała troskę. — To ja jestem w ciąży, nie ty — burknęła, ale w jej głosie słyhać było pozostałość dawnej czułości. — Jakim prawem sobie mdlejesz? — Jumpy nalegał: — Najlepiej będzie, jeśli pojedziesz ze mną na zajęcia; posiedzisz sobie spokojnie, a później odwiozę cię do domu. — Ale Pamela wciąż pytała, czy nie trzeba wezwać lekarza. *Nie, nie, pojedę z Jumpym, przejdzie mi. Po prostu tam w środku było gorąco. Duszno. Jestem za grubo ubrany. To głupstwo. Nic takiego.*

Obok Domu Spotkań znajdowało się kino studyjne i Czamcza stał tam teraz, opierając się o afisz filmowy. Wyświetlano „Mefista”, historię aktora wciągniętego do współpracy z nazistami. Na afiszu główny bohater — grał go niemiecki gwiazdor filmowy Klaus Maria Brandauer — jest przebrany za Mefistofelesa, biała twarz, postać okryta czarnym płaszczem, ramiona wzniesione ku górze. Powyżej umieszczono cytat z „Fausta”.

*Kimże jesteś tedy?
Jam częścią Mocy niepojętej,*

*Która Zła zawsze pragnąc,
Jeno Dobro czyni.*

* * *

W centrum sportowym: z trudem zmusił się, żeby spojrzeć na Miszal. (Ona również opuściła zebranie w sprawie Simby, aby zdążyć na zajęcia.) — Mimo że cały był nią przepelniony, *wróciłeś, założę się, po to, żeby mnie zobaczyć, jakie to miłe*, nie mógł prawie wykrztusić z siebie żadnego grzecznego słowa, a cóż dopiero zapytać, *czy miałaś coś takiego świecącego na środku czoła*, ponieważ teraz nie miała, ćwicząc ciosy i wyginając smukłe ciało, wspaniale wyglądające w czarnym trykocie. — Aż w końcu, wyczuwając w nim chłód, wycofała się, samo zmieszanie i zraniona duma.

— Nasza druga gwiazda nie przyszła dzisiaj — powiedział Jumpy Saladynowi podczas przerwy w ćwiczeniach. — Pani Alleluja Cone, ta, która weszła na Everest. Chciałem przedstawić was sobie. Ona zna, to znaczy, mieszka razem z Gibrilem. Gibrilem Fariszta, aktorem, który razem z tobą ocalał z katastrofy.

Rzeczy otaczają mnie coraz ciasniejszym kręgiem. Gibril powoli dryfował ku niemu, podobnie jak Indie, oderwawszy się od prakontynentu Gondwany, zmierzwały ku Laurazji. (Jego procesy myślowe, zauważył z roztargnieniem, wyrzucały na powierzchnię naprawdę dziwne skojarzenia.) Po ich zderzeniu ze sobą wypiętrzyły się Himalaje. — Czym jest góra? Przeszkodą; transcendentnością; a przede wszystkim *skutkiem*.

— Dokąd idziesz? — zawołał Jumpy. — Myślałem, że cię podwiozę. Lepiej ci?

— *Tak, w porządku. Muszę się przejść, to wszystko.*

— W porządku, jeśli jesteś pewny.

Pewny. Odejść szybko, omijając zasmucony wzrok Miszal.

... Na ulicy. Odejść szybko z tego niewłaściwego miejsca, z tego podziemnego świata. — Boże: nie ma ucieczki. Oto szyld sklepowy, sklep sprzedający instrumenty muzyczne, trąbki saksofony, oboje jak się nazywa? — Pomyślnych Wiatrów, a tu znowu w oknie wystawowym byle jak wydrukowana ulotka. Ogłusza bliski już powrót, tak, zgadza się, Archanioła Gibrila. Jego powrót i zbawienie świata. *Isć. Odejść jak najszybciej.*

... Zatrzymać tę taksówkę. (Jego ubranie wzbudza w taksówkarzu szacunek.) Proszę, niech pan wsiada, czy panu przeszkadza radio. Jakiś naukowiec, którego złapali podczas tego porwania samolotu i który stracił połowę języka. Amerykanin. Zrekonstruowali mu go, mówi, ciałem pobranym z jego zadka, z przepro-

szeniem. To chyba niezbyt przyjemne mieć w ustach kawał własnego tyłka, ale biedny dupek chyba nie miał wyboru, no nie. Śmieszny gnojek. Ma śmieszne pomysły.

Eugene Doomsday omawiał przez radio, przy pomocy swojego pośladkowego języka, braki w systematyce skamieniałości przewodnich. *Diabeł próbował mnie uciszyć, lecz dobry Pan i amerykańska technika chirurgiczna byli lepsi.* Te braki były głównym punktem argumentacji kreacjonisty: jeżeli istnienie doboru naturalnego jest prawdą, to gdzie podziały się te wszystkie przypadkowe mutacje, które nie zostały wybrane? Gdzie są te dzieci-potworki, zdeformowani potomkowie ewolucji? Skamieniałości milczą. Żadnych trzynożnych koni. *Nie ma sensu dyskutować z tymi starymi prykami,* powiedział taksiarz. *Ja sam nie wierzę w Boga.* Nie ma sensu, zgodziła się jakaś część świadomości Czamczy. Nie ma sensu zakładać, że systematyka skamieniałości przewodnich nie jest czymś w rodzaju doskonałej kartoteki. A teoria ewolucji posunęła się dużo do przodu od czasów Darwina. Dowodzi się obecnie, że ważniejsze zmiany w gatunkach wcale nie dokonywały się na ślepo, metodą prób i błędów, lecz w wielkich radykalnych skokach. Historia życia to wcale nie postęp powolny, chaotyczny — kojarzący się z angielską klasą średnią — jakim chciała go widzieć myśl wiktoriańska, lecz gwałtowny, na który składały się dramatyczne, kumulujące się transformacje: według dawnego słownictwa, bardziej rewolucja niż ewolucja. — Dostyc się już nasłuchałem, powiedział taksówkarz. Eugene Doomsday zniknął z eteru, a jego miejsce zajęła muzyka dyskotekowa. *Ave atque vale.*

Saladyn Czamcza zrozumiał tego dnia, że żył dotąd w stanie złudnego spokoju, że zmiana, jaka w nim nastąpiła, jest nieodwracalna. Nowy, mroczny świat otworzył się przed nim (lub: w nim samym), kiedy spadł z nieba; bez względu na to, jak usilnie próbował odtworzyć swój poprzedni byt, faktu tego, teraz to dostrzegł, nie da się zmienić. Wydało mu się, że widzi przed sobą drogę rozwidlającą się na lewo i na prawo. Zaniknął oczy, rozsiadł się wygodniej na siedzeniu taksówki i wybrał drogę na lewo.

Temperatura wciąż rosła; i kiedy fala upałów osiągnęła swoje apogeum i utrzymywała się na tym poziomie tak długo, że całe miasto, jego budowle, jego kanały, jego mieszkańcy osiągnęli stan niebezpiecznie bliski wrzenia, — wówczas pan Billy Battuta i jego towarzyska Mimi Mamouljian, którzy niedawno wrócili do metropolii po krótkim pobycie w Nowym Jorku jako goście tamtejszych władz penitencjarnych, zapowiedzieli wydanie „wielkiego wyjściowego” przyjęcia. Powiązania Billy’ego z elitą świata biznesu spowodowały, że sprawa toczyła się przed życzliwie usposobionym sędzią; urok osobisty Billy’ego był tak zniewalający, że każda z bogatych „fajerek” (łącznie z panią Struwelpeter), od których wyłudził hojne datki na wykupienie swojej duszy z rąk Szatana, podpisała petycję o ulaskawienie, w której matrony owe dawały wyraz swojemu przekonaniu, że pan Battuta okazał szczerą skruchę za grzechy, i prosiły, w świetle jego przyrzeczenia, że odtąd skoncentruje się on na swojej zdumiewająco błyskotliwej karierze impresaria (której społeczna przydatność w zakresie dochodowości oraz tworzenia nowych możliwości zatrudnienia, sugerowały one, powinna być również brana pod uwagę przez sąd przy zmniejszaniu kwalifikacji prawnej jego występków) oraz jego następnego solennego przyrzeczenia, że podda się gruntownemu leczeniu psychiatrycznemu, które pomoże mu przezwyciężyć słabość do przestępczych wybryków, — aby szanowny pan sędzia zechciał wydać jakiś łagodniejszy wyrok niż kara więzienia, ponieważ „cel odstraszenia, przyświecający takiemu wyrokowi, można łatwiej tu osiągnąć”, w opinii dam, „przy pomocy bardziej chrześcijańskiego werdyktu”. Mimi, uznana przez sąd jedynie za zaślepioną miłością wykonawczynię rozkazów Billy’ego, otrzymała wyrok w zawieszeniu; w wypadku Billy’ego karą miała być deportacja oraz bardzo wysoka grzywna, lecz nawet i to uległo złagodzeniu. Koniec końców sędzia przychylił się do prośby obrońcy Billy’ego, by pozwolono jego klientowi opuścić kraj dobrowolnie, bez piętna deportacji w postaci pieczętki w paszporcie, która byłaby katastrofalna dla jego rozlicznych interesów. Dwadzieścia cztery godziny po ogłoszeniu wyroku Billy i Mimi znajdowali się już z powrotem w Londynie, radośnie celebrując tę okazję u Crockforda i wysyłając fantazyjne zaproszenia na *to* przyjęcie, które, jak obiecywali, miało być przebojem tego dziwnie upalnego sezonu. Jedna z kartek dotarła, dzięki pomocy pana S. S. Sisodii, do rezydencji Allelui Cone i Gibrila Farriszy; inna przybyła nieco spóźniona do jaskini Saladyńa Czamczy, wsunięta pod drzwi przez troskliwego Jumpiego. (Mimi zadzwoniła do Pameli, aby ją zaprosić, dodając z charakterystyczną dla niej bezpośredniością: „Czy może wiesz, gdzie się podziewa twój mąż?” — Na co Pamela odpowiedziała z angielskim zakłopotaniem, *tak eee ale*. Mimi wyciągnęła z niej całą historię w mniej niż pół godziny,

niezły rezultat, i zakończyła triumfalnie: „Wygląda na to, że twoje życie nabiera kolorów, Pam. Przyprawdź ich obu; przyprawdź wszystkich. Zapowiada się niezły cyrk”.)

Przyjęcie miało odbyć się w obiekcie, który był kolejnym nie dającym się wytłumaczyć sukcesem Sisodii: na gigantycznej używanej do nagrywania dźwięku scenie studia filmowego w Shepperton, wynajętego najwyraźniej bezpłatnie; tak więc gości czekała zabawa w pieczołowicie zrekonstruowanej scenerii dickensowskiego Londynu. Ostatnia ukończona powieść wielkiego pisarza, w adaptacji musicalowej przemianowana na „Przyjacielu!”, z librettem i słowami piosenek napisanymi przez uznaną wielkość sceny muzycznej, pana Jeremy’ego Benthama, okazała się olbrzymim sukcesem na West Endzie i Broadwayu, pomimo makabrycznego charakteru niektórych z jej scen; tak więc teraz „Kumple”, jak poufale mówiono o niej w świecie biznesu, byli okrzyczani jako murowany kandydat na wysokobudżetową produkcję filmową. — Lu-ludzie od re-reklamy — powiedział Sisodia Gibrilowi przez telefon — uważają, że taka im-im-im-preza, dzięki której po-po-pojawi się wie-wie-wie-wiele gwiazd, będzie świe-świe-światna dla ich k-k-kurwa kampanii re-re-reklamowej.

Nadszedł wyznaczony wieczór: wieczór straszliwego ukropu.

* * *

Shepperton! — Pamela i Jumpy są już na miejscu, przyniesieni na skrzydłach MG Pameli, natomiast Czamcza, wzgardziwszy ich towarzystwem, przybywa w jednym z całej flotyli autobusów, którą gospodarze wieczoru udostępnił gościom z różnych powodów przedkładającym bycie pasażerami nad byciem kierowcami. — Również ktoś inny — ten, z którym nasz Saladyn spadł na ziemię — przybył, błąka się wokół. — Czamcza wkracza na scenę; i jest zdumiony. — Londyn zmienił się — nie, *zageścił*, — zgodnie z wymaganiami filmu. — Patrzcie, oto Stucconia państwa Veneeringsów, tych świeżo wykonanych, nowiusieńkich jak spod igły ludzi, leżąca niepokojąco blisko Portman Square i ciemnego zaułka, w którym tkwią różni Podsnapsowie. — Ba, gorzej jeszcze: oto hałdy śmieci w Boffin’s Bower, normalnie w pobliżu Holloway, a tutaj, w tej skróconej metropolii, wylaniają się tuż nad pokojami Fascination Fledgeby w Albany, samym sercu West Endu! — Lecz goście nie są skłonni do narzekań, to odrodzone miasto, mimo że poprzemieszczane, wciąż zapiera dech w piersiach; zwłaszcza w tej części olbrzymiego studia, w której wije się rzeka, rzeka ze swoją mgłą i łodzią Gaffera Hexama, Tamiza w odpływie, płynąca tu pod dwoma mostami, żelaznym i kamiennym. — Wesołe kroki gości dźwięczą na kamiennym brzegu i słychać

ponure, wygłuszone mgłą stapania o złowieszczym tonie. Nad planem filmowym podnosi się sztuczna, gęsta jak grochówka mgła.

Ważniaki z towarzystwa, wzięte modelki, gwiazdy filmowe, grube ryby korporacji, parka pomniejszych królewskich Osobistości, użyteczni politycy i podobna hałastra poci się i miesza na tych podrabianych ulicach wraz z tłumami mężczyzn i kobiet równie lśniących od potu jak „prawdziwi” goście i równie podrabianych, jak samo miasto: z wynajętymi statystami w historycznych strojach i grupą głównych aktorów z tego filmu. Czamcza, który uświadomił sobie w chwili, kiedy go dostrzegli, że to spotkanie jest zasadniczym celem jego podróży, — fakt ten udało mu się ukryć przed samym sobą aż do tego momentu, — zauważa Gibrila w coraz bardziej wzburzonym tłumie.

Tak: tam, na Moście Londyńskim, Który Jest Z Kamienia, niewątpliwie, Gibril! — A to musi być jego Alleluja, jego Królowa Lodów Cone! — Jak niewidzącym spojrzeniem zdaje się on patrzeć, jak przechyla się kilka stopni w lewą stronę; jak szaleńczo ona wydaje się być zakochana w nim — jakim uwielbieniem wszyscy go obdarzają: ponieważ jest pomiędzy najznakomitszymi na tym przyjęciu, Battuta po jego lewej ręce, Sisodia po prawej ręce Allie, a wszędzie wokół mnóstwo twarzy, które rozpozna każdy od Peru po Timbuktu! — Czamcza przepycha się przez tłum, im bliżej mostu, tym więcej ludzi; — ale on jest zdecydowany — Gibril, dotrze do Gibrila! — kiedy nagle dźwięk cymbałów rozpoczyna głośną muzykę, jedną z nieśmiertelnych natychmiast oklaskiwanych melodii pana Banthama, i tłum rozstępuje się jak Morze Czerwone przed dziećmi Izraela. — Czamcza traci równowagę, chwiejnie cofa się i zostaje przygnieciony przez rozstępujący się tłum do sztucznej budowli z pruskiego muru — a czegoż to? — Magazynu Osobliwości; i, aby się ratować, umyka do środka, podczas gdy wielka śpiewająca ciżba piersiastych dam w czepkach i marszczonych bluzach, odprowadzona przez więcej niż dostateczną liczbę dżentelmenów w wysokich cylindrach, przechodzi, świetnie się bawiąc, nadrzeczną uliczką, śpiewając ile sił w płucach.

Jakim facetem Nasz Wspólny Przyjaciół jest?

Jaki zamierza uczynić gest

Czy przy tobie będzie stał fest?

Itđ. itđ. itđ.

— Dziwne — odzywa się za nim kobiecy głos — ale kiedy dawaliśmy przedstawienie w teatrze, obsadę ogarnął szal namiętności; czegoś takiego w mojej karierze nie widziałam. Ludzie zaczęli zapominać kwestie z powodu igraszek za kulisami.

Zauważa, że kobieta jest młoda, niska, hoża, raczej atrakcyjna, wilgotna z gorącą, zaróżowioną od wina i najwyraźniej owładnięta ową gorączką zmysłów, o której mówi. — W „pokoju” panuje półmrok, lecz może dostrzec błysk w jej oku. — Mamy czas — ciągnie rzeczowo. — Jak ci tam skończą, pan Podsnap

ma solo. — Następnie, świetnie parodiując zarozumiałą postawę agenta Ubezpieczeń Morskich, rozpoczyna własną wersję przewidywanej w programie muzycznej Podsnaperii:

*Bogaty Język Nasz,
Mowa dla Obcych nad Siły;
Wyróżniony Naród Nasz,
Błogostawion i Bogu Miły...*

A teraz, w śpiewnej manierze RexoHarrisonowej, zwraca się do niewidzialnego Cudzoziemca: — A Jak Się Panu Podoba Londyn? — „Nesamowitong bogaty?” — My mówimy Niesamowicie Bogaty. Nasze angielskie przysłowki Nie kończą się na Ong. — A Czy Pan, Proszę Pana, Dostrzega Wiele Chodzących Przykładów Naszego Brytyjskiego Charakteru Narodowego Na Ulicach Tej Światowej Metropolii, Londonu, Londres, Londynu? — Powiedziałabym — dodaje wciąż Podsnapując — że jest w Angliku pewne połączenie cech, skromności, niezależności, odpowiedzialności, spokoju, których na próżno by szukać wśród Narodów Ziemi.

Stworzenie zbliża się do Czamczy wyrzucając z siebie te kwestie — jednocześnie rozpina bluzkę; a on, mangusta wobec swojej kobry, stoi jak wmurowany; podczas gdy ona, odsłaniając kształtną prawą pierś i podając mu ją, wskazuje, że narysowała na niej — z obywatelskiej dumy — mapę Londynu, ni mniej ni więcej, czerwonym markerem, a rzeka cała na niebiesko. Metropolia wzywa go; — lecz on, wydając zupełnie dickensowski okrzyk, wypada z Magazynu Osobliwości w szaleństwo ulicy.

Gibril patrzy na niego wprost z Mostu Londyńskiego; ich oczy — przynajmniej tak się Czamczy zdaje — spotykają się. Tak: Gibril spokojnie podnosi rękę i macha mu.

* * *

To, co dzieje się potem, jest tragedią. — Lub przynajmniej echem tragedii, ponieważ pełnokrwisty oryginał jest niedostępny dla nowożytnych mężczyzn i kobiet, tak się przynajmniej uważa. — Burleską dla naszych zwyrodniałych wtórnych czasów, w których błazny odtwarzają to, co pierwotnie czynili bohaterowie i królowie. — Cóż, wobec tego, niech tak będzie. — Pytanie zadawane tutaj pozostaje nadal tak wielkie, jakim zawsze było: a jest nim istota zła, jak się ono rodzi, dlaczego rośnie, w jaki sposób przejmuje w jednostronne posiadanie wszechstronną ludzką duszę. Lub, powiedzmy: zagadka Jagona.

Nie jest rzeczą nieznaną wśród literacko-teatralnych egzegetów, pokonanych przez swojego bohatera, przypisywanie jego czynów „nie umotywowanej złośliwości”. Zło jest złem i będzie czyniło zło, i tyle; jad węża jest dokładnie jego definicją. — Cóż, takie wzruszanie ramionami nie zda egzaminu. Mój Czamcza może nie być żadnym Starcem z Wenecji, moja Allie żadną uduszoną Desdemoną, Fariszta nie dorówna Maurowi, lecz zostaną przebrani w kostiumy interpretacji, tak jak to rozumiem. — Tak więc, oto, Gibril macha na powitanie; Czamcza zbliża się, kurtyna podnosi się, ukazując pogrążającą się w ciemnościach salę.

* * *

Zauważmy najpierw, jak osamotniony jest Saladyn; jedyną osobą, która pragnie jego towarzystwa jest odurzona nieznajoma z kartograficzna piersią, przepycha się ona w pojedynek przez tę rozbawioną ciżbę, w której wszystkie osoby zdają się być (a nie są) przyjaciółmi; — podczas gdy tam, na Moście Londyńskim, stoi Fariszta, oblegany przez wielbicieli, w samym środku tłumu;

a następnie zdajmy sobie sprawę z wrażenia, jakie wywiera na Czamczy, który kochał Anglię pod postacią swojej utraconej angielskiej żony, — złocista, blada i lodowata obecność Allelui Cone przy boku Fariszty; porywa kieliszek z tacy przechodzącego kelnera, szybko wypija wino, bierze następny; i zdaje mu się, że widzi w tej odległej Allie pełnię swojej straty;

również pod innymi względami Gibril szybko staje się dla Saladyna sumą jego własnych klęsk; — tam, teraz za nim, w tej właśnie chwili, stoi kolejny zdrajca; wołowina przebrana za cielęcinę, pięćdziesiątka z hakiem, a trzepocze rzęsami jak nastolatka, agentka Czamczy, straszna Charlie Sellers; — nie porównałabyś go do jakiejś Transylwańskiej pijawki, no nie, Charlie, krzyczy w duchu rozszalony obserwator; — i chwyta następny kieliszek; — i widzi, na jego dnie, własną anonimowość, równej wielkości sławę tamtego, i wielką niesprawiedliwość tego podziału;

przede wszystkim — zastanawia się z goryczą — ponieważ Gibril, zdobywca Londynu, nie dostrzega żadnej wartości w świecie, który w tej chwili pada mu do stóp! — dlaczego ten skurwiel zawsze szedł z tego miejsca, Ten Właśnie Londyn, Wilajat, Anglicy, Spoono, coś z nich za zimne ryby, słowo daję; — Czamcza przeciska się nieugięte w jego kierunku przez tłum i wydaje mu się że widzi, o *właśnie teraz*, to samo szyderstwo na twarzy Fariszty, tę samą pogardę odwróconego Podsnapa, dla którego wszystko, co angielskie, zasługuje na drwinę, a nie na podziw; — O Boże, co za okrucieństwo, że on, Saladyn, dla którego celem i krucjatą było uczynienie tego miasta swoim, musi oglądać, jak klęczy ono przed

godnym pogardy rywalem! — a więc jest jeszcze i to: że Czamcza chciałby bardzo znaleźć się w skórze Fariszty, natomiast jego własna powłoka w najmniejszym stopniu Gibrila nie obchodzi.

Co jest niewybaczalne?

Czamcza, patrząc Fariszcie w twarz, po raz pierwszy od ich burzliwego rozstania w holu Rosy Diamond, widząc dziwnie obojętny i pusty wzrok tamtego, przypomina sobie z oszałamiającą wyrazistością tę dawniejszą pustkę, Gibrila stojącego na schodach i nie robiącego nic, podczas gdy jego, Czamczę, rogatego i bezbronnego, wleczono w noc; i czuje powrót nienawiści, czuje jak od-stóp-do-głów wypełnia go świeża zielona żółć, *mniejsza o usprawiedliwienia* krzyczy w nim, *do diabła z łagodzeniem i tym co-mógłby-zrobić-a-nie-zrobił; czego nie można wybaczyć, tego nie można. Jest. Nikt nie potrafi osądzić, jak poważne jest obrażenie wewnętrzne, na podstawie powierzchownej ranki.*

A więc: Gibril Fariszta, osądzony przez Czamczę, jest potraktowany gorzej niż Mimi i Billy w Nowym Jorku i zostaje uznany winnym, po wsze czasy, Rzeczy Niewybaczalnej. Co z tego wynika, to wynika. — Lecz pozwólmy sobie trochę porozmyślać o prawdziwej istocie tej Ostatecznej, tej Nie Do Odpokutowania Zbrodni. — Czy to naprawdę, czy to być może, jego obojętność na schodach Rosy? — A może istnieją tu głębsze urazy, boleści, dla których ta tak zwana Przyczyna Pierwotna jest, w rzeczy samej, niczym więcej jak namiastką, fasadą? — Bo czyż nie są oni połączonymi przeciwieństwami, ci dwaj, każdy z nich cieniem drugiego? — Jeden pragnie zostać przeobrażonym w tę cudzoziemskość, którą podziwia, drugi woli z pogardą przeobrażać; jeden, nieszczęśliwy facet, który wydaje się być ustawicznie karany za nie popełnione przestępstwa, ten drugi, nazywany przez każdego anielskim, typ człowieka, któremu wszystko ujdzie na sucho. — Możemy opisać Czamczę jako osobę nieco poniżej wielkości naturalnej; lecz głośny, ordynarny Gibril jest, bez wątpienia, postacią o wymiarach niecodziennych, niewspółmierność, która z łatwością mogłaby wzbudzić neoprokrustowskie ciągotki u Czamczy: rozciągnąć siebie poprzez przycinanie Fariszty.

Co jest niewybaczalne?

Co, jeśli nie drżąca nagość bycia *na wskroś* poznany przez osobę, której nie ufamy? — A czyż Gibril nie widział Saladyna Czamczy w okolicznościach — porwanie, upadek, aresztowanie — w których sekrety własnego ja zostały całkowicie ujawnione?

Cóż, w takim razie. — Czy jesteśmy bliżsi temu? Czy powinniśmy powiedzieć, że ci dwaj są dwoma fundamentalnie różnymi *rodzajami* jaźni? Czy nie moglibyśmy się zgodzić, że Gibril, pomimo tego całego swojego pseudonimu artystycznego i występów w filmach; i pomimo sloganów o ponownych narodzinach; nowych początkach, metamorfozach; — pragnął pozostać, w dużym stopniu, w stanie *ciągłości* — to jest złączony ze swoją przeszłością i wyłaniający się z niej; — że nie wybrał sobie ani śmiertelnej choroby, ani przeobrażającego spa-

dania; że tak naprawdę obawia się przede wszystkim stanów przemiany, w które jego sny przesączają się i zatapiają przebudzoną jaźń, zmieniając go w tego anielskiego Gibrila, którym wcale nie życzy sobie być; — tak więc jego jaźń pozostaje wciąż tą, którą, ze względu na nasze obecne cele, możemy opisać jako „prawdziwą”... natomiast Saladyn Czamcza jest istotą *wybranych* nieciągłości, *ochoczym* odkrywaniem się na nowo; jego *świadomy* bunt przeciw historii czyni go, żeby użyć wybranego przez nas zwrotu, „fałszywym”? I czy wobec tego nie można by pójść dalej i powiedzieć, że właśnie ta fałszywość jaźni u Czamczy czyni możliwym u niego gorszy i głębszy fałsz — nazwijmy to „złem” — i że to jest prawda, drzwi, które otworzyły się w nim poprzez upadek? — Podczas gdy Gibril, by pójść za logiką ustaloną przez nas terminologii, ma być uważany za „dobrego” z tego tytułu, że *pragnie pozostać*, mimo zmiennych kolei losu, w gruncie rzeczy, człowiekiem nieprzetłumaczalnym.

— Lecz, i znowu lecz: nie wygląda to, prawda, na niebezpiecznie podobne do zamierzonego sofizmu? — Takie rozróżnienia, skoro opierają się, a opierać się muszą, na idei jaźni jako bytu (idealnie) jednorodnego, nie skrzyżowanego, „czystego”, — absolutnie fantastyczne pojęcie! — nie mogą, nie wolno im pozwolić wystarczać. Nie! Raczej powiedzmy coś bardziej brutalnego: że zło może nie kryć się aż tak bardzo głęboko pod naszą powłoką, jak to byśmy sobie chcieli wyobrazić. — Że, w rzeczy samej, ulegamy mu *naturalnie*, to znaczy, nie jest to wbrew naszej naturze. i że Saladyn Czamcza przystąpił do zniszczenia Gibrila Fariszy, ponieważ w końcu okazało się to takie łatwe; prawdziwy urok zła leży w kuszącej łatwości, z jaką można wstąpić na tę drogę. (I, dodajmy, niemożliwości powrotu z niej.)

Saladyn Czamcza woli jednak upierać się przy prostszej wersji. „To z powodu jego zdrady w domu Rosy Diamond; jego milczenia, niczego więcej”.

Wstępuje na imitację Mostu Londyńskiego. Z pobliskiej budki lalkarza, pomalowanej w-czerwono-białe-paski, pan Punch woła do niego: *Tak się to robi!* Po czym Gibril wypowiada słowa powitania, których entuzjazm niweczy niestosowna obojętność w jego głosie: — Spoono, to ty. Ty cholero. Tak, we własnej osobie. No, chodź tu bliżej, ty Salad baba, stary Czamczo.

* * *

To się stało:

Z chwilą, kiedy Saladyn Czamcza podszedł na tyle blisko do Allie Cone, że został sparaliżowany, a nawet poniekąd zmrożony jej wzrokiem, poczuł, jak jego odrodzona wrogość do Gibrila przenosi się również na nią, kobietę z tym jej

spojrzeniem zero-stopni idź-w-cho-lerę, z tym jej sposobem bycia osoby dopuszczonej do jakiejś wielkiej, ściśle tajnej tajemnicy wszechświata; a również z jej cechą, którą później będzie uważał za nieujarzmioną *dzikość*, coś nieugiętego, nieuchwytnego, antyspołecznego, niezależnego, samą treść. Dlaczego wzburzyło go to tak bardzo? Dlaczego, zanim nawet zdążyła otworzyć usta, już ją zaklasyfikował jako część wroga?

Być może dlatego, że jej pożałował; pożałował nawet czegoś więcej, tego, co wziął za jej wewnętrzną pewność siebie; a ponieważ brakowało mu tej cechy, był o nią zazdrosny i dążył do zniszczenia tego, co było przedmiotem zazdrości. Jeżeli miłość jest pragnieniem, aby upodobnić się do osoby kochanej (a nawet stać się nią), wobec tego nienawiść, trzeba powiedzieć, może być uczuciem zrodzonym z tej samej chęci wtedy, kiedy nie może ona zostać zaspokojona.

To się stało: Czamcza wymyślił sobie jakąś Allie i stał się antagonistą swojej fikcji. . . nie ujawnił tego. Uśmiechnął się, uściśnął rękę, miło mu było, że ją poznał; i objął Gibrila. *Podążam za nim, aby odplacić mu pięknym za nadobne.* Allie, nie podejrzewając niczego, przeprosiła ich. Na pewno mają tyle do omówienia, powiedziała; i, obiecując wrócić wkrótce, odeszła: wybadać teren, jak to ujęła. Zauważył, że utyka stawiając pierwszych kilka kroków; potem zatrzymała się i po chwili energicznie ruszyła dalej. Wśród rzeczy, których o niej nie wiedział, było również jej cierpienie.

Nie miał pojęcia o tym, że ten Gibril, który stoi przed nim, patrzy niewidzącym wzrokiem i wita go niedbale, znajduje się pod ścisłą kontrolą lekarską; — albo o tym, że musi codziennie zażywać lekarstwa, które otępiają jego umysł, z powodu bardzo realnego prawdopodobieństwa nawrotu już-nazwanej choroby, to jest, schizofrenii paranoidalnej; — albo o tym, że dotąd był przetrzymywany, w wyniku nie znoszących sprzeciwu nalegań Allie, z dala od ludzi filmu, do których całkowicie straciła zaufanie po jego ostatnim ataku szaleństwa; — albo o tym, że była ona absolutnie przeciwna przyjsciu na przyjęcie Battuty-Mamoulian, przystała na to dopiero po straszliwej scenie, podczas której Gibril ryczał, że nie pozwoli się dłużej więzić i że jest zdecydowany czynić dalsze próby powrotu do „prawdziwego życia”; — albo o tym, że opieka nad jej umysłowo chorym kochankiem, który dostrzega małe nietoperzowate chochliki wiszące do góry nogami w lodówce, wymaga od niej wysiłku, który skrajnie ją wyczerpuje, narzucając jej rolę pielęgniarki, kozła ofiarnego i podpory, żądając od niej, jednym słowem, by działała przeciw swojej skomplikowanej i udręczonej naturze; — nie miał pojęcia o żadnej z tych rzeczy, nie rozumiał, że ten Gibril, na którego patrzy i którego, jak mu się wydaje, widzi, Gibril uosobienie szczęśliwego losu, którego tak wyraźnie brakuje prześladowanemu przez Furię Czamczy, jest w tym samym stopniu wytworem jego wyobraźni, w tym samym stopniu fikcją co wymyślona-nienawidzona Allie, ta klasyczna zabójcza blondynka lub femme fatale wyczarowana przez jego zazdrosną, udręczoną, orestejańską wyobraźnię — niemniej

jednak, zupełnie nieświadomie i przypadkowo, Saladynowi udało się przeniknąć przez szparę w zbroi Gibrila (przynajmniej należy, że nieco donkiszotowskiej) i zrozumiał, w jaki sposób najszybciej można zniszczyć tę zniechęconą Drugą część własnego ja.

Stało się to możliwe dzięki banalnemu pytaniu Gibrila. Zmuszony przez środki uspokajające do poruszania tematów zupełnie błahych, zapytał nieco niejasno: — I jak, powiedz mi, ma się twoja pani? — Na co Czamcza, rozluźniony pod wpływem alkoholu, wybełkotał: — Jak? Z brzuchem. Z pierdolonym dzieciakiem w środku. Ciężarna. — Otumaniony działaniem lekarstw, Gibril nie wyczuł agresywności tych słów, rozpromienił się, nadal nieobecny, i objął Saladyna ramieniem. — Szabasz, mubarak — złożył gratulacje. — Spoono! Cholernie szybka robota!

— Pogratuluj jej kochankowi — zapienił się Saladyn. — Mojemu staremu przyjacielowi, Jumpy Joshiemu. To dopiero, przynajmniej, jest mężczyzna. Kobiety szaleją za nim, zdaje się. Bóg raczej wie dlaczego. Chcą od niego jego cholernych dzieci i nawet nie czekają na pozwolenie.

— Na przykład która? — ryknął Gibril tak głośno, że zaczęły się ku nim odwracać głowy, a Czamcza cofnął się zdziwiony. — Która która która — pohukiwał, wywołując chichot podchmielonych gości. Saladyn Czamcza zaśmiał się również, lecz wymuszenie. — Powiem ci, która na przykład. Moja żona na przykład, oto która. Żadna z niej dama, panie Fariszta, Gibrilu. Pamela, moja żadna-dama żona.

Dokładnie w tej chwili, jak zażyczył sobie los, — podczas gdy Saladyn, niezłe wstawiony, nie zauważył, jaki wpływ jego słowa wywierają na Gibrilu, — w którego umyśle dwa obrazy połączyły się z głośną eksplozją, pierwszym było nagłe wspomnienie Rekhi Merchant na latającym dywanie, ostrzegającej go przed tajemnym pragnieniem Allie, by mieć dziecko bez powiadamiania o tym ojca, *kto pyta nasienie o zgodę na posianie*, drugim natomiast wizja instruktora walk Wschodu złączonego w zmysłowej zniewalającej cielesności z tą samą panną Alleluja Cone, — na moście „Southwark” ukazała się postać Jumpy Joshiego, który wyglądał na nieco wzburzonego, — polującego na Pamelę, z którą rozdzielił go ten sam pochód śpiewających dickensowców, który popchnął Saladyna ku metropolitalnym piersiom młodej kobiety w Magazynie Osobliwości. — O wilku mowa — wskazał Saladyn. — Oto idzie draństwo. — Odwrócił się ku Gibrilowi: lecz ten zniknął.

Pojawiła się z powrotem Allie Cone, wściekła, oszalała. — Gdzie on jest? Jezu! Czy nie mogę go już zostawić samego na jedną pieprzoną *chwilę*? Cholera, czy nie mógł pan nie spuszczać z niego zasranego *oka*?

— Dlaczego, o co chodzi? — Lecz Allie już zniknęła w tłumie, tak więc gdy Czamcza dojrzał Gibrila na moście „Southwark”, była poza zasięgiem głosu. — Z kolei pojawiła się Pamela, pytając: — Czy widziałeś Jumpyego? — Wskazał. —

Tam — po czym ona również zniknęła bez słowa podziękowania; a teraz znowu widać było Jumpiego, jak idzie po moście „Southwark” w przeciwnym kierunku, jego kręcone włosy jeszcze bardziej zmierzwiłone niż zwykle, jego opadające ramiona skulone pod płaszczem, którego nie chciał zdjąć, rozbiegane oczy, kciuk kierujący się ku ustom; — i chwilę później Gibril przeszedł przez to upozorowane mostu Który Jest Z Żelaza, idąc w tym samym kierunku, co Jumpy.

Krótko mówiąc, bieg wydarzeń zaczął przypominać farsę; lecz kiedy kilka minut później aktor grający rolę „Gaffera Hexama”, który pilnował tego odcinka dickensowskiej Tamizy, poszukując trupów unoszonych przez wodę, aby im ulżyć i odebrać biżuterię przed przekazaniem policji, — podpłynął, wiosłując szybko po studyjnej rzece, z przewidzianymi przez scenariusz zwichrzonymi siwymi włosami stojącymi dęba, farsa natychmiast się skończyła; ponieważ tam, w jego haniebnej łodzi, leżało bezwładne ciało Jumpy Joshiego w nasiąkniętym wodą płaszczu. — Załatwili go — krzyczał, wskazując na olbrzymi guz z tyłu czaszki Jumpiego — cud, że się nie utopił w tej wodzie.

* * *

Tydzień później, w odpowiedzi na gorące telefoniczne prośby Allie Cone, która odszukała go poprzez Sisodię, Battutę i w końcu, Mimi, i która, wydawało się, nieco odtajała, Saladyn Czamcza znalazł się na siedzeniu obok kierowcy w trzyletnim dużym Citroenie srebrzystego koloru, który przysłała Alicja Boniek sprezentowała córce przed wyjazdem na dłuższy pobyt do Kalifornii. Allie przyjechała po niego na stację w Carlisle, powtarzając wcześniejsze telefoniczne przeprosiny. — „Nie miałam prawa odezwać się do pana w ten sposób; przecież nic pan nie wiedział, mam na myśli jego, cóż, dzięki Bogu nikt nie widział samego momentu ataku i wydaje się, że sprawa została wyciszona, ale ten biedny człowiek, wiołem w tył głowy, fatalnie; rzecz w tym, że wynajęliśmy dom na północy kraju, moi przyjaciele wyjechali na jakiś czas i wydaje się, że to najlepszy sposób, żeby go odseparować od istot ludzkich, no i, cóż, pyta o pana; uważam, że naprawdę może mu pan pomóc, a poza tym, uczciwie mówiąc, i mnie by się przydała pomoc” — z których Saladyn niewiele rozumiał, ale które sprawiły, że zaczęła zżerać go ciekawość — a teraz za oknami Citroena z przerażającą prędkością uciekała Szkocja: krawędź Muru Hadriana, Gretna Green — dawna mekka młodocianych kochanków-zbiegów i dalej w głąb kraju w stronę Wyżyny Południowoszkockiej, Ecclefechan, Lockerbie, Beattock, Elvanfoot. Czamcza miał skłonności do uważania wszystkich miejscowości poza metropolią za coś w rodzaju pustki międzygalaktycznej, a podróż do tych miejsc za wyprawy najeżone nie-

bezpieczeństwami: ponieważ jakakolwiek awaria w takiej pustce oznaczać musi śmierć w osamotnieniu i ciało latami czekające na odnalezienie. Ostrożność ka-zała mu dostrzec, że jedno ze świateł drogowych citroena jest uszkodzone i że wskaźnik paliwa znajduje się na czerwonym polu (okazało się, że również i on jest uszkodzony), światło dnia powoli gasło, a Allie jechała tak, jak gdyby szosa A 74 była torem wyścigowym w Silverstone w słoneczny dzień. — On nie może uciec daleko bez samochodu, ale nigdy nic nie wiadomo — wyjaśniła ponuro. — Trzy dni temu ukradł kluczyki od wozu i znaleziono go, kiedy jechał pod prąd zjazdem z autostrady M 6, wrzeszcząc o wiecznym potępieniu. *Gotujcie się na zemstę Pana*, powiedział gliniarzom patrolującym autostradę, *albowiem wkrótce przywołam mego zastępcę, Azraila*. Zapisali to wszystko w tych swoich małych notesikach. — Czamcza, którego serce było wciąż jeszcze wypełnione własnym pragnieniem zemsty, udął współczucie i zaskoczenie. — A Jumpy? — zapytał. — Allie zdjęła obłą ręce z kierownicy i wyciągnęła je w geście ja-się-poddaję, podczas gdy samochód zaczął niebezpiecznie zataczać się na całej szerokości krętej drogi. — Lekarze mówią, że zazdrość o coś, co się uważa za swoją własność, może być częścią tej samej choroby, a przynajmniej może wywołać atak szaleństwa, jak zapalnik.

Była zadowolona, że ma okazję otworzyć do kogoś usta; a Czamcza słuchał chętnie. Jeżeli ufała mu, to dlatego, że Gibril również mu ufał; nie miał najmniejszego zamiaru niszczyć tego zaufania. *Kiedyś on zawiódł moje zaufanie; niech teraz przez jakiś czas mi ufa*. Był początkującym lalkarzem; musiał nauczyć się, do czego służą poszczególne sznurki, co do czego jest przymocowane. . . — Nic na to nie poradzę — mówi Allie. — Niejasno czuję, że ja również ponoszę winę za jego stan. Nie układa nam się, i to mój błąd. Moja matka złości się, kiedy tak mówię. Alicja, tuż przed wejściem do samolotu, który miał ją unieść na zachód, zwymyślała córkę w Terminalu Trzecim. — Nie rozumiem, skąd ci się to bierze — krzyczała otoczona płaczącymi azjatyckimi mamusiami, właścicielami plecaków i walizkami. — Mogłabyś stwierdzić, że życie twojego ojca również nie przebiegało zgodnie z planem. Czy w takim razie obozy koncentracyjne to jego wina? Studiuj historię, Allelujo. W tym stuleciu historia przestała wreszcie zwracać uwagę na stare psychologiczne podejście do rzeczywistości. Chcę przez to powiedzieć, że obecnie nie istnieje coś takiego, jak przeznaczenie jednostki. Przeznaczenie to ekonomia. Przeznaczenie to ideologia. Przeznaczenie to bomby. Czy klęskę głodu, komory gazowe, granat obchodzi to, jak żyłaś? Przychodzi kryzys, przychodzi śmierć i twoje patetyczne indywidualne ja nie może nic z tym zrobić, może tylko ponosić konsekwencje. Ten twój Gibril: być może w ten sposób oddziałuje na ciebie historia. — Ostatnio, bez słowa ostrzeżenia, powróciła do wytwornych ubiorów, które tak lubił Otto Cone, a teraz z kolei do krasomówczej manieri, pasującej do dużych czarnych kapeluszy i plisowanych strojów. — Baw się dobrze w Kalifornii, mamó — powiedziała Allie uszczypliwie. — Jedna z nas

jest szczęśliwa — powiedziała Alicja. — Dlaczego nie mogłabym to być ja? — I zanim jej córka zdążyła odpowiedzieć, przeszła przez bramkę tylko-dla-pasażerów, wymachując paszportem, kartą pokładową, biletem, kierując się w stronę wolnych od opłaty celnej flakoników „Opium” i butelek dżinu Gordon’s, które sprzedawano pod podświetlonym napisem: ODLEĆ Z ZAKU-PA PA!-MI.

W zapadających ciemnościach droga okrążyła wrzosowiska. Dawno temu, w innym kraju, innym zmierzchu, Czamcza okrążył inną grupę podobnych wznieścień i nagle zobaczył ruiny Persepolis. Teraz jednak zmierzał ku ludzkiej ruinie; i nie po to, by podziwiać, lecz może nawet po to (ponieważ decyzja czynienia zła nigdy nie zostaje ostatecznie podjęta, do momentu samego popełnienia czynu; zawsze istnieje ostatnia szansa, by się wycofać), by ją zniszczyć. Nagryzmolić swoje imię na ciele Gibrila: *Tó byłem — Zaladyn*. — Dlaczego pani z nim jest? — zapytał Allie, a ona ku jego zaskoczeniu zaczerwieniła się. — Dlaczego nie oszczędzi sobie pani bólu?

— Prawdę mówiąc, mało pana znam, właściwie wcale — zaczęła, następnie zawahała się i podjęła decyzję. — Nie jestem dumna z tej odpowiedzi, ale taka jest prawda — powiedziała — to seks. Jest nam niewiarygodnie dobrze razem, doskonale, niczego takiego do tej pory nie doświadczyłam. Kochankowie z krainy marzeń. Wydaje się, że on po prostu *wie*. Zna *mnie*. — Zapadła cisza; noc skryła jej twarz. W Czamczy na nowo wezbrała gorycz. Wszędzie wokół niego kochankowie z krainy marzeń; a on, bez marzeń, mógł się tylko przyglądać. Zazgrzytał za złości zębami; i ugryzł się niechcący w język.

Gibril i Allie zaszyli się w swojej dziurze w Durisdeer, wiosce tak małej, że nie było w niej nawet pubu, mieszkali w dawnym kościółku Freekirk, przemienionym — to na wpół religijne określenie wydało się Czamczy dziwne — przez architekta, przyjaciela Allie, który dorobił się fortuny na takich metamorfozach sacrum w profanum. Uderzyło go, że jest to bardzo ponure miejsce, pomimo białych ścian, reflektorów punktowych ukrytych w rogach pokojów i grubych dywanów pokrywających całą podłogę. W ogrodzie znajdowały się nagrobki. Nie jest to najlepsze schronienie dla człowieka, którego nękają paranoidalne przywidzenia, że jest szefem archaniołem Boga, rozmyślał Czamcza, w każdym razie nie wybrałby tego, gdyby zależało to od niego. Freekirk stał trochę na uboczu, oddalony od kilkunastu krytych dachówką kamiennych domów, które składały się na tę społeczność: odosobniony nawet wewnątrz tego odosobnienia. Kiedy samochód się zatrzymał, Gibril stał w drzwiach, cień na tle oświetlonej sieni. — Dojechałeś — wrzasnął. — Jar, jak świetnie. Witaj w pieprzonym więzieniu.

Pod wpływem lekarstw Gibril stał się niezdarny. Kiedy tak siedzieli w trójkę wokół stołu z amerykańskiej żółtej sosny pod opuszczaną lampą z regulatorem mocy światła, dwukrotnie przewrócił swoją filiżankę z kawą (ostentacyjnie nie drinkował; Allie, nalawszy dwa pełne kieliszki whisky, dotrzymywała towarzystwa Czamczy) i przeklinając potykał się w kuchni w poszukiwaniu papierowych

ręczników. — Kiedy mam dosyć takich reakcji, po prostu biorę mniej nic jej nie mówiąc — przyznał. — A wtedy zaczyna się to gównno. Przysięgam ci, Spoono, że nie mogę wprost znieść tej cholernej myśli, że to się nigdy nie skończy, że jedyna alternatywa jest między bzikiem a zastrzykiem. Cholera, nie mogę tego znieść. Nie mogę tego znieść, kurde. Przysięgam, przyjacielu, gdybym myślał, że to to, wtedy pas, to, nie wiem, ja bym, nie wiem co.

— Zamknij gębę — poprosiła Allie cicho. Ale on krzyczał: — Spoono, ja ją nawet uderzyłem, wiesz? Psiakrew, któregoś dnia myślałem, że ona jest demonem rakszasa i rzuciłem się na nią. Czy wiesz, co to jest za siła, siła szaleństwa?

— Na swoje szczęście chodziłam na — ojej, ach — te zajęcia z samoobrony — Allie uśmiechnęła się szeroko. — On przesadza, żeby zachować twarz. A w końcu sam wyrzwał głową o podłogę. — Dokładnie tutaj — potwierdził Gibril z zaangażowaniem. Podłoga kuchenna wyłożona była kamiennymi płytami — Bolesne — zaryzykował Czamcza. — Jak cholera — ryknął Gibril, nagle poweselały. — Po prostu, kurwa, odjechałem.

Wnętrze kościoła Freekirk zostało podzielone na duży dwupoziomowy (w żargonie pośrednika handlu nieruchomościami, — „o podwojonej przestrzeni”) salon — dawniej miejsce zebrań wiernych — i na bardziej konwencjonalną drugą część, z kuchnią i pomieszczeniem gospodarczym na dole i sypialniami, i łazienką na piętrze. Nie mogąc z jakiegoś powodu zasnąć, Czamcza zawędrował o północy do wielkiego (i chłodnego: fala upałów mogła się przelewać na południu Anglii, ale tutaj, gdzie było jesiennie i zimno, nie dochodziła jej najdrobniejsza zmarszczka) salonu i wędrował pośród cieni głosów wygnanych kaznodziejów, podczas gdy na górze Gibril i Allie kochali się na cały regulator. *Zupełnie jak Pamela*. Próbował myśleć o Miszał, Zini Wakil, ale nie wychodziło. Zatykając uszy palcami, walczył z efektami dźwiękowymi kopulacji Fariszy i Allelui Cone.

Ich zespolenie cechował duży stopień ryzyka od samego początku, rozmyślał: po pierwsze, dramatyczne porzucenie przez Gibrila jego kariery i pospieszna podróż przez cały świat, a teraz bezkompromisowa determinacja Allie, aby doprowadzić sprawę do samego końca, aby pokonać w nim szaloną anielską boskość i przywrócić jego naturę ludzką, którą kochała. Nie uznawali żadnych kompromisów; szli na całość. — Natomiast on, Saladyn, uznał, że zadowala go życie pod jednym dachem z własną żoną i jej kochasiem. Co jest lepsze? Kapitan Ahab utonął, przypomniał sobie; a jedyną osobą, która ocalała, był Ismael, pomocnik palacza.

* * *

Rankiem Gibril zarządził wejście na miejscowy „Szczyt”. Jednak Allie odmówiła udziału, chociaż Czamcza widział wyraźnie, że powrót na wieś sprawił, że twarz jej aż promieniała z radości — Cholerny platfusik — przeklinał pieszczotliwie Gibril. — Chodź, Salad. My, cholerni miejscy spryciarze, pokażemy zdobywczyńni Everestu, jak trzeba się wspinać. Co za cholerne życie wywrócone do góry nogami, jar. My idziemy się wspinać, a ona siedzi tu sobie i załatwia sprawy przez telefon. — W głowie Saladyna kłębiły się myśli: zrozumiał teraz to dziwne utykanie w Shepperton; zrozumiał również, że to ustronne niebo musi być tymczasowe — że Allie, przyjeżdżając tutaj, poświęca własne zdrowie i że nie będzie mogła tego robić bez końca. Co powinien zrobić? Cokolwiek? Nic? — Jeżeli zemsta ma być wymierzona, to kiedy i jak? — Włóż te buty — polecił Gibril. — Czy myślisz, że deszcz powstrzyma się od padania przez cały ten pieprzony dzień?

Nie powstrzymał się. W momencie, kiedy doszli do kamiennego kopca na szczycie wybranym przez (Gibrila, spowiła ich chmura drobnej mżawki. — Nieźle, kurwa — sapał Gibril. — Patrz: oto i ona, tam na dole, siedzi sobie na krześle jak Bardzo Wielka Figura. — Wskazał w dół na Freekirk. Czamcza, z głośno łomoczącym sercem, czuł, że przesadził. Musi wreszcie zacząć się zachowywać jak człowiek, którego serduszko nie wyrabia. Cóż w tym chwalebego — umierać na serce na tym byle jakim Szczycie, niepotrzebnie, w deszczu? Wówczas Gibril wyciągnął lornetkę i zaczął pilnie przyglądać się dolinie. W polu widzenia nie było niemal żadnych poruszających się obiektów — dwóch lub trzech mężczyzn z psami, kilka owiec, nic więcej. Gibril śledził mężczyzn przez lornetkę. — A teraz, kiedy jesteśmy sami — odezwał się nagle — mogę ci powiedzieć, dlaczego naprawdę przyjechaliśmy tutaj, do tej cholerniej pustej dziury. To ze względu na nią. Tak, tak; nie daj się zwieść mojej grze! To wszystko przez tę jej pieprzoną urodę. Mężczyźni, Spoono: gonią za nią jak popierdolone muchy lecące do gówna. Przyśięgam ci! Widzę ich, jak się ślinią i wyciągają łapy. O, to nie jest w porządku. Ona jest bardzo prywatną osobą, najbardziej prywatną osobą na świecie. Musimy chronić ją przed pożądaniem.

To przemówienie zaskoczyło Saladyna. Ty biedny gnojku, myślał, twoje szaleństwo powiększa się już z prędkością kilku mil na godzinę. I zaraz po tej myśli pojawiło się drugie zdanie, jak gdyby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki: *Nie wyobrażaj sobie, te to oznacza, ie zostawię cię w spokoju.*

* * *

W drodze powrotnej na stację kolejową w Carlisle, Czamcza napomknął o wyludnieniu wsi. — Nie ma wcale pracy — powiedziała Allie. — Wobec tego jest pusto. Gibril twierdzi, że nie może przyzwyczać się do myśli, że cała ta kosmiczna pustka oznacza biedę: mówi, że jemu kojarzy się raczej z luksusem, po tłumach Indii. — A twoja praca? — zapytał Czamcza. — Co z nią? — Posłała mu uśmiech, od dawna już niezdolna zachować chłodnej wyniosłości Królowej Lodu. — Miło, że pytasz. Wciąż sobie myślę, że któregoś dnia na pierwszy plan wyjdzie to życie, które noszę w sobie. Czy też, chociaż ciężko mi się przyzwyczać do pierwszej osoby liczby mnogiej, nasze życie. Tak brzmi lepiej, no nie?

— Nie daj się odciąć — doradził Saladyn. — Od Jumpiego, od twojego własnego świata, czegokolwiek. — Był to moment, w którym naprawdę, można powiedzieć, rozpoczął kampanię; chwila, w której wszedł na tę łatwą, kuszącą drogę bez powrotu. — Masz rację — mówiła Allie. — Boże, gdyby on tylko wiedział. Jego nieoceniony Sisodia, na przykład: temu już nie wystarcza uganianie się za dwumetrowymi aktoreczkami, chociaż pewne jest jak wszyscy diabli, że wciąż bardzo to lubi. — Dostawiał się — zgadł Czamcza; i jednocześnie umieścił tę informację w swojej kartotece, do ewentualnego późniejszego wykorzystania. — On nie ma wstydu — roześmiała się Allie. — I zrobił to dosłownie pod nosem Gibrila. Jednak potrafi pogodzić się z odmową: po prostu kłania się i mruży *b-b-b-bez* obrazy, i tyle. Wyobraź sobie, co by było, gdybym powiedziała o tym Gibrilowi.

Na stacji kolejowej Czamcza życzył Allie powodzenia. — Będziemy w Londynie przez kilka tygodni — powiedziała przez otwarte okno samochodu. — Muszę odbyć parę spotkań. Może wpadniesz w tym czasie do Gibrila; twoje odwiedziny zawsze dobrze mu robiły.

— Dzwoń, kiedy tylko zechcesz — powiedział jej na pożegnanie i przyglądał się odjeżdżającemu citroenowi, dopóki nie zniknął mu z pola widzenia.

* * *

To, że Allie Cone, trzeci wierzchołek trójkąta urojeń — bo czyż drogi Gibrila i Allie nie zeszyły się głównie dlatego, że, odczuwając taką potrzebę, wyobrazili sobie jakąś „Allie” i jakiegoś „Gibrila”, w których nawzajem mogli się zakochać; i czyż Czamcza nie widział ich obojga w sposób dyktowany mu przez udręczone i rozczarowane serce? — ma być nieświadomą, Bogu ducha winną

wykonawczynią jego zemsty, wydało się jeszcze bardziej oczywiste intrygantowi, Saladynowi, gdy odkrył, że Gibril, z którym umówił się na wspólne spędzenie popołudnia w tropikalnym Londynie, niczego bardziej nie pragnie, jak opisać mu w najdrobniejszych żenujących szczegółach zmysłową ekstazę miłości z Allie. Cóż to za ludzie, zastanawiał się Saladyn z niesmakiem, którym przyjemność sprawia zmuszanie osób postronnych do wysłuchiwania zwierzeń z własnego życia intymnego? Gibril (z niejakim upodobaniem) opisywał pozycje, ugryzienia miłosne, sekretne słowa pożądania, gdy spacerowali po parku Brickhall Fields wśród uczennic i dzieciaków na wrotkach oraz ojców rzucających nieudolnie bumerangami i dyskami frisbi w stronę pogardliwie przyglądających się temu synów, i posuwali się ostrożnie pomiędzy przypiekającym się w poziomej pozycji mięsem sekretarek, a Gibril przerwał na chwilę swą erotyczną rapsodię, aby powiedzieć z wściekłością, że „czasami patrzę na tych różowych ludzi i zamiast skóry, Spoono, widzę psujące się mięso, wyczuwam ich gnicie, tutaj — gwałtownym ruchem dotknął kilka razy swoich nozdrzy, jakby zwierzał się z jakiejś tajemnicy — moim *nosem*”. I z powrotem do ud Allie, jej zamglonych oczu, doskonałej doliny w dolnej partii pleców, stłumionych okrzyków, które wydaje. Był to człowiek, nad którym wisiała groźba, iż pęknie w szwach. Ta dzika energia, maniakałna drobiazgowość opisu stanowiły dla Czamczy sygnał, że Gibril ponownie zaczął sam zmniejszać dawki lekarstw, że toczy się rozpędem pod górę ku grani szczytu obłądu, ku temu stanowi gorączkowego podniecenia, który pod jednym względem jest podobny do pijackiego urwania filmu (według Allie), mianowicie kiedy Gibril wraca na ziemię, co jest nieuniknione, nie pamięta zupełnie nic z tego, co mówił i robił. — Wciąż i wciąż nowe szczegóły, niezwykła długość jej sutków, jej niechęć, by dotykał jej pępka, wrażliwość jej palców u nóg. Czamcza mówił sobie, że szaleństwo szaleństwem, ale opisy te ujawniały (ponieważ było w nich i o Allie w samochodzie) słaby punkt ich tak zwanej „wielkiej namiętności” — określenia tego Allie używała tylko pół żartem — ponieważ, krótko mówiąc, nie było w niej nic poza seksem, nie było żadnego innego aspektu ich związku, nad którym warto by się rozwodzić. — Jednocześnie jednak czuł rosnące podniecenie. Zobaczył siebie stojącego pod jej oknem, podczas gdy ona stoi w środku zupełnie naga, jak aktorka na ekranie, męskie dłonie pieszczą ją na tysiąc różnych sposobów, doprowadzając do ekstazy; wyobraził sobie, że on sam jest parą tych rąk, niemal wyczuwał chłód jej skóry, jej reakcje, prawie słyszał jej krzyki. — Opanował się. Czuł obrzydzenie do tego pożądania, które nim zawładnęło. Ona jest nieosiągalna; a to był czysty voyeuryzm, i nie podda mu się. — Lecz pożądanie wzniecone rewelacjami Gibrila nie chciało odejść nie zaspokojone.

Obsesja seksualna Gibrila, uprzytomnił sobie Czamcza, w rzeczywistości ułatwia sprawę. — Tak, w rzeczy samej jest bardzo atrakcyjną kobietą — powiedział półgłosem tytułem próby, i w odpowiedzi z miejsca został wynagrodzony gniewnym, pełnym napięcia spojrzeniem. Po czym Gibril, dając pokaz opano-

wania, objął Saladyna ramieniem i zagrzmiał: — Przepraszam, Spoono, jestem przykry, kiedy chodzi o nią. Ale ty i ja! Jesteśmy bhai-bhai. Przeszliśmy przez najgorsze i wyszliśmy z tego z uśmiechem na ustach; chodź teraz, mam już dość tego idiotycznego parku. Uderzamy w miasto.

Jest moment przed popełnieniem zła; następnie moment jego popełniania, następnie czas, kiedy ono już się dokonało, kiedy ten krok został już zrobiony i każdy kolejny staje się coraz łatwiejszy. — Nie mam nic przeciwko temu — odpowiedział Czamcza. — Cieszę się, że widzę cię w tak dobrym humorze.

Obok nich przejechał na rowerze BMX chłopczyk w wieku sześciu, a może siedmiu lat. Czamcza odwrócił głowę, aby śledzić jego dalszą drogę, i zobaczył, że chłopiec mknie teraz alejką ocienioną zwisającymi z drzew gałęziami, przez które gorącemu światłu słonecznemu udało się spływać kroplami to tu, to tam. Wstrząs wywołany odkryciem miejsca, w którym ukrywał się dotąd jego sen, zdezorientował Czamczę na krótko i pozostawił po sobie gorycz w ustach: cierpki smak różnych mogło-by-być. Gibril złapał taksówkę i poprosił na Trafalgar Square.

Och, był on tego dnia w tak przewybornym nastroju, w czambuł potępił Londyn i Anglików prawie z tą samą werwą co niegdyś. Tam, gdzie Czamcza widział interesująco wyblakłą wspaniałość, Gibril dostrzegał ruinę, miasto-Robinsona Crusoe, uwięzione na wyspie swojej przeszłości i próbujące przy pomocy podklasy Piętaszków zachować pozory. Pod czujnym spojrzeniem kamiennych lwów gonił gołębie, krzycząc: — Przysięgam, Spoono, w naszym kraju te tłuszciochy nie przeżyłyby dnia; złapmy jednego na kolację. — Zangielszczona dusza Czamczy skuliła się ze wstydu. Później, w Covent Garden, opisał na użytek Gibrila dzień, kiedy stary targ owocowo-warzywny został przeniesiony stamtąd do Nine Elms. Władze zablokowały wszystkie kanały ściekowe i zabiły dziesiątki tysięcy szczurów, zaniepokojone ich ilością. Ale dalsze setki tysięcy uniknęły zagłady. — Tego dnia na chodniki wyszły głodne szczury — wspominał. — Wszędzie, na Strand i na moście Waterloo, w sklepach i na zewnątrz sklepów, rozpaczliwie poszukujące żywności. — Gibril parsknął. — Teraz już jestem pewien, że to tonący statek — krzyknął, a Czamcza poczuł w sobie narastający gniew, gdyż to on umożliwił to stwierdzenie. — Nawet cholerne szczury się wynoszą. — A po chwili przerwy: — Brakowało tylko fletoszczurołapa, no nie? Wiodącego je ku zagładzie przy pomocy muzyki.

Kiedy nie obrażał Anglików i nie opisywał ciała Allie od nasady jej włosów po miękką trójkąt, „miejsce miłości, cholerna joni”, sprawiał wrażenie, że interesuje się głównie robieniem list: chciał znać dziesięć ulubionych książek Spoono; jak również filmy, gwiazdy filmowe, potrawy. Czamcza udzielił konwencjonalnych i kosmopolitycznych odpowiedzi. Na jego liście filmów znalazły się, między innymi „Potiomkin”, „Kane”, „Osiem i pół”, „Siedmiu Samurajów”, „Alphaville”, „Anioł Zagłady”. — Zrobili ci wodę z mózgu — szydził Gibril. — Całe te zachod-

nie brednie o sztuce. — Każda z jego list czołowych dziesiątek zawierała tytuły „z kraju” i wręcz zaczepnie reprezentowała niewybredne upodobania. „Mother India”, „Mr India”, „Shree Charsawbees”: żadnego Raya, żadnego Mrinal Sena, żadnego Aravindana czy Ghataka. — Głowę masz tak wypełnioną śmieciami — powiedział Saladynowi — że zapomniałeś już wszystko, co warto znać.

Jego narastające podniecenie, jego przekonanie, szumiące cały czas jak potok, że świat musi zostać przemieniony w zlepek list przebojów, tempo marszu, jakie narzucił — musieli przejść ze dwadzieścia mil, nim zakończyli swoją wędrówkę — podsuwały Czamczy myśl, że niewiele już trzeba, by zepchnąć go w przepaść. *Wygląda na to, Mimi, że również i ja stałem się oszustem wykorzystującym zaufanie ludzi. Zręczność skrytobójcy polega na tym, by jak najbliżej przyciągnąć ku sobie ofiarę; łatwiej wtedy wbić nóż.* — Robię się głodny — ogłosił Gibril wszem i wobec. — Weź mnie do którejś z twoich dziesięciu najlepszych knajp.

W taksówce Gibril drażnił Czamczę, który nie zdradził mu, dokąd jadą. — Pewnie jakaś francuska speluna, na? Albo japońska, z rybami na surowo i ośmiornicami. Boże, dlaczego polegam na twoim guście.

Przyjechali do Shaandaar Café.

* * *

Jumpiego tam nie było.

Ani też, najwyraźniej, Miszal Sufjan nie załagodziła sporu ze swoją matką; nie było Miszal i Hanifa, ani Anahita, ani jej matka nie zgotowały Czamczy przyjęcia, które można było nazwać ciepłym. Jedyne Hadzi Sufjan przyjął ich z radością. — Proszę, proszę, siadajcie, nieźle wyglądacie. — Kawiarnia była dziwnie pusta i nawet obecność Gibrila nie wywołała specjalnego poruszenia. Dopiero po kilku sekundach Czamcza zrozumiał co się dzieje; zobaczył czterech białych młodzieńców przy stoliku w rogu sali, aż rwących się do bitki.

Młody kelner, Bengalczyk (którego Hind była zmuszona zatrudnić po odejściu starszej córki), podszedł do nich i przyjął zamówienie — oberżyny, sisz kebab, ryż — cały czas spoglądając ze złością w stronę nieznośnej czwórki, która była, jak Saladyn teraz dopiero dostrzegł, naprawdę bardzo pijana. Kelner Amin był równie wściekły na agresywnych młodzieńców co na Sufjana. — Nie powinien pozwolić im usiąść — mrucał do Czamczy i Gibrila. — Teraz już muszę ich obsłużyć. — Bogaczowi wszystko jedno, on nie jest w pierwszej linii, rozumiecie.

Pijanym podano jedzenie w tym samym czasie, co Czamczy i Gibrilowi. Kiedy zaczęli wybrzydzać, atmosfera w sali stała się jeszcze bardziej napięta. W końcu wstali. — Nie będziemy jedli tego gówna, wy piździelce — wrzasnął ich przy-

wódca, drobny karłowaty facet o rudoblond włosach, bladej pociągłej twarzy, całej w pryszczach. — To jest *gówno*. Sami to wpierdalajcie, pierdolone pizdy. — Jego trzech kompani, chichocząc i przeklinając, wyszli z kawiarni. Przywódca zatrzymał się na chwilę. — Smakuje jedzonko? — krzyknął do Czamczy i Gibrila. — To pierdolone gówno. Czy to właśnie jecie u siebie, co? Pizdy. — Twarz Gibrila przybrała wyraz, który zdawał się mówić jasno i dobitnie: oto, czym stali się w końcu Brytyjczycy, wielki naród zdobywców. Nie odezwał się ani słowem. Niski facet o szczurzym obliczu podszedł do nich. — Kurwa, chyba pytałem was o coś — powiedział. — Powiedziałem. Czy wam, kurwa, smakuje wasz pierdolony gówniany obiad? — I Saladyn Czamcza, prawdopodobnie na złość Gibrilowi, który omalże nie zabił człowieka, w ogóle nie stając z nim twarzą w twarz — atakując od tyłu, z zaskoczenia, jak tchórz — usłyszał swój własny głos: — Smakowałby, gdyby was tu nie było. — Szczurzy syn, chwając się na nogach, przyjął do wiadomości tę informację, a następnie zrobił coś zdumiewającego. Biorąc głęboki oddech, wyprostował się prawie do swojego pełnego metra sześćdziesiąt; potem pochylił do przodu i napluł gwałtownie i obficie w ich jedzenie.

— Chłopcze, jeżeli ten jest na liście twoich dziesięciu najlepszych — powiedział Gibril w taksówce w drodze powrotnej — to nie zabieraj mnie do lokali, za którymi specjalnie nie przepadasz.

— „Minnamin, Gut mag alkan, Pern dirstan” — odpowiedział Czamcza. — To znaczy „Kochanie, Bóg czyni nas głodnymi, Szatan spragnionymi”. Nabokov.

— Znowu on — poskarżył się Gibril. — Co to, cholera, za język?

— Sam go wymyślił. Mówi to Kinbotemu, kiedy jeszcze był dzieckiem, jego zemleńska niania. W „Bładym Ogniu”.

— *Perndirstan* — powtórzył Fariszta. — Wygląda to na nazwę jakiegoś kraju: piekła, może. W każdym razie poddaję się. Jak można czytać książkę faceta, który pisze w jakimś przez siebie wymyślonym żargonie?

Byli już z powrotem tuż przy mieszkaniu Allie, którego okna wychodziły na park Brickhall Fields. — Dramaturg Strindberg — powiedział Czamcza z nieobecny wyrazem twarzy, jakby podążał za jakąś głęboką myślą — po dwóch nieszczęśliwych małżeństwach poślubił słynną i uroczą dwudziestoletnią aktorkę o nazwisku Karnet Bosse. W „Śnie” wspaniale zagrała Puka. Pisał również specjalnie dla niej: rolę Eleonory w „Wielkanocy”. „Anioła pokoju”. Młodzi mężczyźni szaleli za nią, a Strindberg, cóż, stał się tak zazdrosny, że prawie postradał zmysły. Próbował zamykać ją w domu, żeby była poza zasięgiem wzroku mężczyzn. Chciała podróżować, to przynosił jej książki podróżnicze. Zupełnie jak w starej piosence Cliffa Richarda: *Zamknę ją w kufrze / aby nie porwał jej nikt / nawet jeśli się uprze.*

Fariszta skinął ociężale głową. Popadł w zadumę. — I co się stało? — zapytał, kiedy dotarli na miejsce. — Rzuciła go — stwierdził niewinnie Czamcza. — Powiedziała, że nie może pogodzić go z rodzajem ludzkim.

* * *

Alleluja Cone czytała, idąc od stacji metra, delirycznie radosny list od matki, ze Stanford w Kalifornii. „Jeżeli ludzie mówią ci, że szczęścia nie da się osiągnąć — pisała leworęczna Alicja swoim dużym, pochylonym w lewo pismem pełnym zawijasów — bądź tak uprzejma i przyślij ich do mnie. Wyprowadzę ich z błędu. Znalazłam je dwukrotnie, pierwszy raz z twoim ojcem, jak ci wiadomo, zaś po raz drugi z tym dobrym dużym człowiekiem, który ma twarz koloru pomarańcz, rosnących tu wszędzie. Proste zadowolenie, Allie. Jest ono o wiele lepsze niż wielkie uniesienia. Spróbuj tego. Spodoba ci się.” Kiedy Allie podniosła wzrok, zobaczyła ducha Maurice’a Wilsona, siedzącego na samym czubku dużego czerwonego buka i mającego na sobie ten sam wełniany strój co zazwyczaj — szkocki beret, sweter w romby, pumpy — ubiór sprawiający w tym upale wrażenie zbyt ciepłego. — Nie mam teraz dla ciebie czasu — powiedziała, a on wzruszył ramionami. *Mogę poczekać*. Znowu bolały ją stopy. Zaciśnęła usta i poszła dalej.

Saladyn Czamcza, ukryty za tym samym czerwonym bukiem, z którego duch Maurice’a Wilsona śledził pełne cierpienia kroki Allie, zobaczył wypadającego przed frontowe drzwi wieżowca Gibrila Fariszte, czekającego dotąd niecierpliwie na jej powrót i odchodzącego od zmysłów, ujrzał jego zaczerwienione oczy. Demony zazdrości siedziały na jego ramionach i wyrzaskiwał wciąż tę samą starą piosenkę, *gdziedodiabła ktodo codo niemyślsobieżemożeszmydlićoczy, jakśmieszty sukosukosuko*. Wydaje się, że Strindbergowi powiodło się tam, gdzie Jumpy (ponieważ był nieobecny) przegrał.

Obserwator z najwyższych gałęzi zdematerializował się; ten drugi z zadowoleniem kiwnął głową i powędrował alejką wzdłuż rzucających głęboki cień rozłożystych drzew.

* * *

Telefony, które zaczęli teraz odbierać Gibril i Allie, początkowo w swoim londyńskim mieszkaniu, a następnie pod bardzo odległym adresem w Dumfries i Galloway, nie były zbyt częste; ale, z drugiej strony, nie można powiedzieć, by były rzadkie. Podobnie rozmówców dzwoniących do nich nie było zbyt wielu, co mogłoby świadczyć o braku jakiegokolwiek między nimi powiązania, ale z drugiej strony, było ich wystarczająco wielu. Nie były to rozmowy krótkie, takie jak wówczas, gdy dzwonią osoby ciężko sapiące do słuchawki i inni maniacy nadużywający sieci telefonicznej, ale też, dla odmiany, nigdy nie trwały wystar-

czająco długo, by umożliwić policji, prowadzącej stały podsłuch, dotrzeć do ich źródła. Ani też cały ten nieprzyjemny epizod nie trwał zbyt długo — jakieś trzy i pół tygodnia, po czym dzwoniący nie odezwali się więcej; lecz można by również wspomnieć, że telefony te trwały dokładnie tak długo, ile było trzeba, to jest, aż pchnęły Gibrila Fariszę do popełnienia wobec Allie Cone tego, co wcześniej uczynił Saladynowi — Rzeczy Niewybaczalnej.

Należy powiedzieć, że nikomu, ani Allie, ani Gibrilowi, ani nawet specjalistom od podsłuchu telefonicznego, których sprowadzili do domu, na myśl nie przyszło, że rozmowy mogły być dziełem jednego człowieka; lecz dla Saladyna Czamczy, znanego niegdyś (cóż z tego, że jedynie w kręgach poniekąd specjalistycznych) jako Człowiek Tysiąca Głosów, taka mistyfikacja była prostą sprawą, nie wymagającą wysiłku i nie pociągającą za sobą żadnego ryzyka. Ogólnie rzecz biorąc, musiał wybrać (spośród swoich tysiąca i jednego głosów) nie więcej niż trzydzieści dziewięć.

Kiedy słuchawkę podnosiła Allie, słyszała nie znanych sobie mężczyzn szepczących do ucha o jej intymnych sekretach, panów, którzy zdawali się znać najtajniejsze zakątki jej ciała, ludzkie istoty bez twarzy, które najwyraźniej znały z doświadczenia jej najulubieńsze, spośród niezliczonych, formy kochania się; a kiedy rozpoczęto próby wytropienia autorów tych tortur, doznawała jeszcze gorszego upokorzenia, ponieważ teraz nie mogła po prostu odłożyć słuchawki, lecz zmuszona była stać i słuchać, z płonącymi policzkami i zimnymi dreszczami przebiegającymi po plecach, usiłując nawet (bezsukutecznie) przedłużyć rozmowę.

Gibril również otrzymał swój przydział głosów: znakomitych byronicznych arystokratów przechwalających się „zdobyciem Everestu”, szyderczych uliczników, głosy obłudnych najlepszych-przyjaciół, którzy z udawanym współczuciem udzielali mu ostrzeżeń, *mądrej głowie dość dwie słowie, jakżeż tak głupio możesz, czy jeszcze nie wiesz, kim ona jest, cokolwiek co nosi spodnie, ty biedny kretynie, przyjmij to od przyjaciela*. Lecz jeden głos zwracał na siebie szczególną uwagę, wysoki, natchniony głos poety, jeden z pierwszych, które Gibril usłyszał i który jednocześnie zalał mu najbardziej za skórę; głos mówiący wyłącznie do rymu, recytujący marne wierszydła, w których wyczuć można było naiwność, a nawet niewinność, co stanowiło tak jaskrawy kontrast z masturbacyjną nieprzyzwoitością wielu pozostałych rozmówców, że Gibril wkrótce zaczął uważać go za najbardziej podstępny i złowrogi z nich wszystkich.

*Miłe są kawki, miłe herbatki
Najmilej, gdy już zlatują twe szatki.*

Powiedz jej to, głos zamarł i połączenie zostało przerwane. Innego dnia głos powrócił z inną rymowanką:

*Lubię ciastko, lubię krem,
Lecz najchętniej ciebie zjem.*

To również jej przekaz; bądź tak uprzejmy. Jest coś demonicznego, doszedł do wniosku Gibril, coś głęboko niemoralnego w tym nadużyciu formy trywialnych wierszyków urodzinowo-pocztówkowych pam-pi-pam.

*Rumiane jabłka, słodkie maliny
Otóż i imię mej drogiej dziewczyny.*

A... l... l... Gibril, oburzony i wystraszony, rzucił słuchawkę; i cały zadrżał. Po tym incydencie wierszokleta zamilkł na pewien czas; ale to właśnie na jego głos zaczął Gibril czekać z niecierpliwością, obawiając się jego pojawienia i chyba godząc się już z faktem (na którymś tam poziomie głęboko pod świadomością), że to piekielne zło w dziecięcej postaci zada mu ostateczny cios.

* * *

Jednak, och, jakie to wszystko okazało się proste! Jak wygodnie zamieszkało sobie zło w tych podatnych, nieskończenie elastycznych strunach głosowych, tych sznurkach aktora z teatru marionetek! Z jaką pewnością siebie szło po liniach drutów telefonicznych, utrzymując równowagę jak bosonogi akrobata; jak pewnie opanowywało swoją ofiarę, równie przekonane o efekcie, jaki wyrze, co przystojny mężczyzna w doskonale skrojonym garniturze! I jak rozważnie czekało stosownej chwili, wysyłając wszystkie głosy, z wyjątkiem tego, który zada ostateczny cios — ponieważ Saladyn również był świadom szczególnej potęgi kiepskiej rymowanki — głębokie głosy i piskliwe głosy, te powolne i te spieszne, smutne i wesołe, pełne agresji i nieśmiałe. Jeden po drugim sączyły się do uszu Gibrila, osłabiając jego więź z realnym światem, wciągając go krok po kroku w zdradziecką pajęczynę, i w rezultacie krok po kroku ich wymyślone wyuzdane kobiety zaczęły pokrywać sobą tę prawdziwą kobietę lepka, zieloną błoną i pomimo jego uroczystych zapewnień, że tak nie jest, zaczął dryfować, oddalając się coraz bardziej od niej; i wówczas okazało się, że nadszedł czas powrotu małych szatańskich wersetów, które doprowadziły go do szaleństwa

* * *

*Na górze róże, na dole fiołki,
My się kochamy jak dwa aniołki.*

Przekaż jej to. Głos powrócił, niewinny jak zawsze, wywołując nową falę nerwowych skurczów żołądka u Gibrila. Później rymy zaczęły już przepływać często i w dużych ilościach. Czasami można było w nich znaleźć sprośność boiska szkolnego:

*Gdy na Waterloo wsiadała.
To na sobie ciuszki miała.
Leicester Square — koniec wycieczki;
Znikły gdzieś białe majteczki;*

lub raz, czy dwa, rytmiczny zaśpiew wodzireja podającego słowa skandującym kibicom:

*Rajty, majty
Siup! Bum! Trach!
Alleluja! Alleluja!
Rach! Ciach! Ciach!*

I w końcu, kiedy powrócili do Londynu, a Allie pojechała na uroczyste otwarcie centrum mrożonek w Hounslow, ostatni rym:

*Kilka fiołków, dużo róż,
Teraz w łóżku mam ją już.*

Żegnaj, frajerze.

Ciągły sygnał.

* * *

Kiedy Alleluja Cone wróciła, Gibrila już nie było i w startej na proch ciszy mieszkania powzięła decyzję, że tym razem nie przyjmie go z powrotem, chociażby wrócił w najbardziej pożałowania godnym stanie, czy też kornie pełzał u jej stóp, błagając o przebaczenie i miłość; ponieważ zanim wyszedł, dokonał na niej straszliwej zemsty, niszcząc wszystkie zastępcze Himalaje, które nagromadziła przez lata, topiąc Everest z lodu, który przechowywała w zamrażarce, ściągając na podłogę i drąc na strzępy szczyty udrapowane ze spadochronowego jedwabiu, wznoszące się dotąd nad jej łóżkiem, i rąbiąc na kawałki (użył małego toporka, który trzymała razem z gaśnicą w schowku na miotły) bezcenną rzeźbę

wystruganą na pamiątkę zdobycia przez nią Czomolungmy, otrzymaną od Szerpy Pemby, w równym stopniu upominek, co i ostrzeżenie. *Dla Ali Bibi. My mieli szczęście. Nie próbować więcej.*

Jednym pchnięciem otworzyła okno i obrzuciła obelgami niewinny park Fields leżący poniżej. — Bodajbyś skonał w mękach. Niech cię piekło pochłonie.

Następnie, płacząc, zadzwoniła do Saladyna Czamczy, by przekazać mu złą wiadomość.

* * *

Pan John Maslama, właściciel klubu nocnego Hot Wax, sieci salonów płytowych o tej samej nazwie, oraz Pomyślnych Wiatrów, wprost legendarnego sklepu, gdzie można było nabyć najlepsze rogi — klarnety, saksofony, puzony — jakie można znaleźć do dęcia w całym Londynie, był bardzo zajęтым człowiekiem, tak więc zawsze już później będzie przypisywał interwencji Bożej Opatrzności szczęśliwy traf, który sprawił, że znajdował się akurat w sklepie z trąbami, kiedy wkroczył tam Archanioł Boga wśród piorunów i błyskawic okalających jak liście wawrzynu jego szlachetne czoło. Jako praktyczny człowiek interesu pan Maslama skrywał dotąd przed swoimi pracownikami pozasłużbową działalność, którą rozwijał jako naczelny zwiastun powtórnie przybyłej Niebiańskiej i Na-Wpół-Boskiej Istoty, rozlepiając afisze w oknach wystawowych swoich sklepów, kiedy był pewien, że nikt go nie widzi, zapominając o złożeniu podpisu na olbrzymich ogłoszeniach prasowych obwieszczających boską Chwałę Nadejścia Pana, które zamieszczał w gazetach i czasopismach, ponosząc ogromne koszty. Wydawał komunikaty prasowe za pośrednictwem agencji reklamowej Valance'a, zastrzegając sobie zachowanie całkowitej anonimowości. „Nasz klient jest w stanie potwierdzić”, głosiły tajemniczo te komunikaty — które przez jakiś czas miały wzięcie wśród rozbawionych pamiętnikarzy z Fleet Street, — „że na własne oczy oglądał Chwałę, o której mowa wyżej. Gibril jest w tej chwili pośród nas, gdzieś w pobliżu centralnych dzielnic wielkiego Londynu — być może w Camden, Brickhall, Tower Hamlets lub Hackney — i objawi się już wkrótce, prawdopodobnie w ciągu kilku dni lub tygodni.” — Wszystko to ukrywał przed trzema wysokimi, ociężałymi sprzedawcami. Pomyślne Wiatry, (Maslama nie chciał zatrudnić tutaj kobiet; „moje motto, lubił powtarzać, brzmi: nikt nie powierza kobiecie spraw związanych ze swoim rogiem”); dlatego też nie mogli uwierzyć własnym oczom, kiedy ich nie bawiący się w sentymenty i praktyczny pracodawca nagle przeszedł całkowitą metamorfozę, rzucił wszystko i pospieszył ku temu nie ogolonemu nieznanemu z obłędem w oczach, jak gdyby był on Bogiem Wszechmogącym —

w tych swoich dwukolorowych lakierkach, garniturze od Armaniego i z przylizanymi świecącymi włosami a la Robert de Niro nad krzaczastymi brwiami, Maslama nie wyglądał na faceta, który zwykłyby płaszczyć się przed innymi, a jednak właśnie teraz *to robił*, pełzając na swoim cholernym *brzuchu*, odsuwając personel sklepu na bok, *ja sam obsłużę tego pana, grzeczny* aż do uniżoności, idąc tyłem przed tamtym, czy uwierzycie? — W każdym razie nieznajomy miał pod koszulą *wypchany pas na pieniądze* i zaczął wyciągać cały plik banknotów o dużych nominałach, wskazał na trąbkę leżącą wysoko na półce, *o to ta*, nic więcej, prawie na nią nie spojrzął i pan Maslama już był na drabinie, *pronto*, już podaje — powiedział — już podaje, i tutaj naprawdę zdumiewająca rzecz, on próbował odmówić przyjęcia należności, on, Maslama!, mówił nie nie proszę pana nic *pan* nie płaci, lecz nieznajomy mimo to zapłacił, wpychając Maslamie banknoty do kieszeni marynarki, jak gdyby był on jakimś gońcem hotelowym, szkoda naprawdę, że nie byliście przy tym, a na samym końcu nieznajomy zwrócił się do wszystkich obecnych i wrzasnął na całe gardło, *jam jest prawicą Boga*. — Naprawdę, nie dalibyście temu wiary, pieprzony dzień sądu ostatecznego jest blisko. — Po tej zapowiedzi Maslama nie był już sobą, w istocie wstrząsnęło nim to do głębi, dosłownie upadł *na dosłowne kolana*. — Wówczas nieznajomy podniósł trąbkę wysoko nad głową i krzyknął *nadaję tej trąbce imię Azrail, Ostatnia Trąba, Zguba Ludzkości!* — i po prostu staliśmy tam, mówię wam, jak wrośnięci w ziemię, ponieważ wokół tej pieprzonej obłąkanej, *kompletnie zwariowanej* głowy skurwysyna pojawiła się ta jasna *poświata*. Wyobrażacie sobie? Wypływająca, zdawało się, z punktu jakby tuż za jego głową.

Aureola.

Mówcie, co chcecie, trzej ekspedienci powtarzali później każdemu, kto chciał słuchać, *mówcie, co chcecie, ale widzieliśmy to, co widzieliśmy*.

Śmierć dra Uhuru Simby, dawniej Sylwestra Robertsa, podczas pobytu w areszcie w oczekiwaniu na rozprawę sądową, została określona przez rzecznika prasowego komisariatu dzielnicy Brickhall, niejakiego inspektora Stephena Kincha, jako „jeden przypadek na milion”. Okazało się, że drowi Simbie przyśniło się coś tak przerażającego, że zaczął krzyczeć przez sen, co natychmiast zwróciło uwagę dwóch dyżurnych oficerów. Panowie ci wpadli do celi i zdążyli jeszcze zobaczyć, jak ogromne ciało śpiącego dosłownie unosi się nad pryczą pod złowrogim wpływem działania zmyry, a następnie spada na podłogę. Obydwaj oficerowie usłyszeli głośny trzask; był to odgłos łamiącego się karku dra Uhuru Simby. Śmierć przyszła natychmiast.

Filigranowa matka zmarłego, Antoinette Roberts, ubrana w tandetny czarny strój, stała na skrzyni bagażówki swojego młodszego syna, żałobny welon odsunęła wyzywająco z twarzy, nie przekonały jej argumenty inspektora Kincha, odrzuciła mu je wprost w jego rumianą, wyrażającą nieudolność twarz o obwisłych policzkach, której podobieństwo do twarzy skazańca tuż przed powieszeniem najlepiej wyrażało poniżenie, jakie znosił z rąk kompanów oficerów nazywających go *glupimjasiem* lub, co gorsza, *pieczarkiem*, co miało oznaczać, że zawsze jest trzymany w mrokach niewiedzy, a od czasu do czasu — na przykład w obecnej, pożałowania godnej sytuacji — obrzuca się gównem. — Chcę, żebyście zrozumieli — przemawiała pani Roberts do sporego tłumu, który, rozgniewany, zebrał się przed komisariatem policji na High Street — że ci ludzie igrają z naszym życiem, zmniejszają naszą szansę przetrwania. Chcę, żebyście zdali sobie sprawę z tego, co to oznacza w kontekście ich szacunku do nas jako istot ludzkich. — A Hanif Johnson, obrońca Uhuru Simby, dodał z bagażówki Walcotta Robertsa własne wyjaśnienie, zaznaczając przy tym, że rzekomo tragiczny upadek jego klienta nastąpił z niższego posłania dwupiętrowego łóżka; że w okresie nadmierngo zagęszczenia w aresztach i więzieniach jest rzeczą co najmniej niezwykłą, że drugie łóżko pozostawało wolne, dzięki czemu oprócz oficerów policji nie ma żadnych innych świadków; i że koszmar senny nie jest jedynym możliwym wytłumaczeniem krzyków czarnego człowieka znajdującego się w rękach władz więziennych. W końcowych uwagach, określonych później przez inspektora Kincha jako „podżegające i tracące amatorszczyzną”, Hanif Johnson powiązał słowa rzecznika policji z wypowiedzią znanego rasisty Johna Kingsleya Reada, który kiedyś na wiadomość o śmierci czarnego człowieka zareagował sloganem, „jeden mniej; milion za nim”. Tłum pomrukiwał i wrzał; to był upalny dzień pełen złości. — Podgrzewajcie swój gniew — wołał brat Simby, Walcott, do zebranych. — Nie pozwólcie mu stygnąć. Pozostańcie wściekli.

Ponieważ Simba został w istocie już osądzony i skazany przez coś, co kiedyś nazwał „tęczową prasą — czerwoną jak ochłapy mięsa, żółtą jak grom, niebieską jak pornole, zieloną jak szlam”, wielu białych ludzi uważało, że jego koniec jest uzasadnionym aktem sprawiedliwości, zasłużonym upadkiem morderczego potwora. Lecz przed innym sądem, milczącym i czarnym, otrzymał on znacznie przychylniejszy wyrok, i te, tak różne oceny zmarłego przedostały się, w następstwie jego śmierci, na ulice miasta, i wzburzyły nastroje niezliczonych tropikalnych zapaleńców. W „Tęczowej prasie” aż roiło się od artykułów o poparciu Simby dla Kadafiego, Chomeiniego i Louisa Farrakhana; podczas gdy na ulicach dzielnicy Brickhall młodzi ludzie podtrzymywali i podsycali przyćmiony płomień swojego gniewu, ten płomień-widmo, zdolny jednak do przesłonięcia światłości.

Dwie noce później na zapleczu browaru Chaningtons w Tower Hamlets Rozpruwacz Staruszek uderzył ponownie. A następnego wieczora ktoś zamordował starszą kobietę w pobliżu placu zabaw w parku Wiktorii, w Hackney; i jeszcze raz makabryczny „podpis” Rozpruwacza — organy wewnętrzne ułożone rytualnie wokół ciała ofiary według wzoru, którego nigdy nie podano do wiadomości publicznej — został dołączony do zbrodni. Kiedy inspektor Kinch, wyraźnie niedospany i wymęczony, pojawił się w telewizji i wysunął fantastyczną teorię, że „małpujący zabójca” w jakiś sposób odkrył znak zbrodniarza, tak skrzętnie dotąd skrywany, i w ten sposób podjął rękawicę, którą nieboszczyk Uhuru Simba upuścił tuż przed śmiercią — jednocześnie komisarz Policji uznał za równie słuszne, w ramach podjęcia środków ostrożności czterokrotne zwiększenie liczby policjantów na ulicach Brickhall i utrzymywanie w odwodzie tylu oddziałów policyjnych, że trzeba było odwołać wszystkie mecze piłkarskie przewidziane w stolicy na ten weekend. I rzeczywiście, krew wrzała w ludziach wszędzie tam, gdzie znano Uhuru Simbę; Hanif Johnson wydał oświadczenie stwierdzające, że zwiększona liczebność oddziałów policji jest „prowokacją i podżeganiem”, a w Shaandaar i Pagal Khana zaczęły się zbierać grupy młodych Murzynów i Azjatów zdecydowanych stawić czoła patrolującym ulice wozom policyjnym. W klubie Hot Wax kukła, którą wybrano na *stopienie*, przedstawiała ni mniej, ni więcej, ale spoconą, bo już roztopiającą się postać rzecznika prasowego policji. A temperatura wciąż nieubłagalnie rosła.

Coraz częściej miały miejsce akty przemocy: ataki na rodziny murzyńskie w osiedlach mieszkaniowych należących do lokalnych samorządów, nękanie dzieci murzyńskich wracających ze szkół do domów, burdy w pubach. W Pagal Khana młodzieniec o szurzej twarzy i trzech jego kompani napluli wielu ludziom w jedzenie; w następstwie awantury, która później miała miejsce, trzech kelnerów Bengalczyków zostało oskarżonych o pobicie i spowodowanie trwałych uszkodzeń ciała; plujący kwartet nie został jednak zatrzymany. Opowieści o brutalności policji — o młodych Murzynach wciąganych błyskawicznie, a następnie równie cicho wyrzucanych z nie oznakowanych wozów i furgonetek należących do spe-

cyjnych grup patrolowych, przy czym ciała ofiar pokryte były ranami i siniakami — szerzyły się wśród miejscowych społeczności. Patrole samoobrony składające się z młodych Sikhów, Bengalczyków i czarnych mieszkańców Karaibów — nazywane przez ich przeciwników politycznych *grupami terrorystów* — zaczęły przemierzać dzielnicę, pieszo i w starych fordach zodiakach i cortinach, zdecydowane nie „pozostać biernymi”. Hanif Johnson powiedział swojej zamieszkałej w miejscu pracy kochance Miszal Sufjan, że jego zdaniem wystarczy jeszcze jedno zabójstwo Rozpruwacza i zapalnik zostanie uruchomiony. — Ten morderca nie tylko piszczy z radości, ponieważ dotąd nie został ujęty — stwierdził. — Ma również świetny ubaw w związku ze śmiercią Simby i tego ludzie nie mogą przetrawić.

Tamtymi właśnie kipiącymi ulicami przeszedł któregoś wieczora, niezwykle parnego jak na tę porę roku, Gibril Fariszta, dmąc w swój złoty róg.

* * *

O godzinie ósmej tego wieczora, w sobotę, Pamela Czamcza stała razem z Jumpy Joshim — który nie chciał pozwolić, by poszła sama — obok automatu fotograficznego w rogu głównej hali dworca kolejowego Euston, czując się idiotycznie konspiracyjnie. O ósmej piętnaście podszedł do niej żylasty młody człowiek, który wydał się jej wyższy niż go zapamiętała; razem z Jumpym ruszyli za nim bez słowa, wsiedli do jego poobijanej niebieskiej furgonetki i zostali zawiezieni do małego mieszkania nad sklepem z alkoholem przy Railton Road, w Brixton, gdzie Walcott Roberts przedstawił im swoją matkę, Antoinette. Nie przedstawiono im natomiast trzech mężczyzn, których Pamela początkowo wzięła za Haitańczyków, ze względu na stereotypowe pominięcie ich przy prezentacji. — Wypij szklaneczkę napoju imbirowego — poleciła Antoinette Roberts. — To dobre dla dziecka.

Kiedy już Walcott wypełnił honory pana domu, pani Roberts, wyglądająca na zagubioną w olbrzymim podniszczonym fotelu (jej zdumiewająco białe, cienkie jak zapalki nogi, wyłaniające się spod czarnej sukni, kończące się buntowniczymi, krótkimi różowymi skarpetkami i solidnymi sznurowanymi butami, nie sięgały podłogi), przystąpiła do rzeczy. — Ci dżentelmeni byli kolegami mojego chłopca — powiedziała. — Okazuje się, że prawdopodobnie zamordowano go z powodu zadania, które wykonywał, a które, jak słyszę, interesuje również ciebie. Sądźmy, że nadszedł czas działań bardziej formalnych, przy wykorzystaniu wszystkich dostępnych ci kanałów. — W tym momencie jeden z milczących „Haitańczyków” wręczył Pameli czerwoną plastikową teczkę. — Zawiera ona — wyjaśniła pani

Roberts w oględnych słowach — niezbite dowody na organizowanie sabatów czarownic w całej Policji Miejskiej.

Walcott wstał. — Powinniśmy już iść — powiedział stanowczo. — Bardzo proszę. — Pamela i Jumpy podnieśli się. Pani Roberts kiwnęła głową, jakby niezdecydowana, z roztargnieniem, wyłamując palce przywiedłych dłoni — Do widzenia — powiedziała Pamela i zaczęła wypowiadać konwencjonalną formułę kondolencji. — Dziewczyno, szkoda twoich słów — przerwała pani Roberts. — Tylko przygwoźdź mi tych czarowników. Wbij im ostrze w samo *serce*.

* * *

Walcott Roberts wysadził ich w Notting Hill o dziesiątej. Jumpy bardzo kaszlał i skarżył się na bóle głowy, które nękały go raz po raz od czasu wypadku w Shepperton, ale kiedy Pamela przyznała się, że jest zdenerwowana świadomością posiadania w plastikowej teczce jedynego egzemplarza sensacyjnej dokumentacji, bombowego materiału o sile mieszanki wybuchowej, Jumpy od razu potwierdził, że będzie jej towarzyszył, tym razem do biur rady stosunków społecznych dzielnicy Brickhall, gdzie zamierzała sporządzić fotokopie dokumentów, celem rozprowadzenia ich wśród zaufanych przyjaciół i kolegów. Tak więc o dziesiątej piętnaście siedzieli już w ulubionym MG Pameli, kierując się na wschód poprzez centrum miasta, prosto ku nadciągającej burzy. Stara niebieska furgonetka marki Mercedes podążała cały czas za nimi, identycznie jak poprzednio za bagażówką Walcotta, to znaczy nie zauważona.

Piętnaście minut wcześniej patrol składający się z siedmiu potężnych młodych Sikhów ściśniętych we wnętrzu vauxhall cavalier jechał akurat przez most nad kanałem Malaya Crescent w południowym Brickhall. Kiedy usłyszeli krzyki dobiegające ze ścieżki pod mostem i popędzili w tę stronę, zobaczyli mężczyznę średniego wzrostu i takiej budowy, o bladej pocziwej twarzy i jasnych włosach opadających na piwne oczy, który zerwał się na równe nogi, i wciąż ściskając w dłoni skalpel, rzucił się do ucieczki, byle dalej od ciała staruszki, której niebieska peruka kołysała się jak meduza na powierzchni wody. Młodzi Sikhowie bez trudu dogonili i ujęli uciekającego człowieka.

Do godziny jedenastej tego wieczora wiadomość o ujęciu mordercy dotarła do wszystkich zakątków dzielnicy, a towarzyszyła jej masa pogłosek: policja nie kwapi się z postawieniem maniaka w stan oskarżenia, członkowie patrolu zostali zatrzymani na przesłuchanie, zamierza się zatuszować całą sprawę. Na rogach ulic gromadziły się tłumy, a po zamknięciu piwiarni wybuchła cała seria bójek ulicznych. Odnotowano kilka przypadków uszkodzenia mienia: wybito szyby w trzech

samochodach, splądrowano sklep z aparaturą wideo, rzucono kilka cegieł. Dokładnie w tym momencie, o wpół do dwunastej w tę sobotnią noc, kiedy kluby i dyskoteki zaczęły wyrzucać z siebie podekscytowane grupy gości, nadinspektor policji, po konsultacji z przełożonymi, ogłosił, że w centrum Brickhall zaistniała sytuacja zagrożenia rozruchami na dużą skalę, i skierował całą potęgę Policji Miejskiej przeciwko uczestnikom „rozruchów”.

Również w tej samej chwili Saladyn Czamcza, który został zaproszony przez Allie Cone na kolację do jej mieszkania znajdującego się tuż przy parku Brickhall Fields, w czasie której to kolacji zachowywał wszelkie stosowne pozory, wyrażając sympatię i mrużąc nieszczerze zachęcające uwagi, wynurzył się z mroku nocy; zauważył *testudo* — ogromnego żółwia, którego pancerz utworzony był z plastikowych tarcz trzymanyh przez ludzi, biegnących w jego stronę przez park miarowym, nieubłaganym truchtem; był świadkiem pojawienia się nad głową jakby chmary szarańczy, olbrzymich helikopterów, z których światło spływało jak rzęsy deszcz; dostrzegł nadciągające wozy bojowe wyposażone w armatki wodne i dając posłuch nieprzewartemu instynktowi pierwotnemu, wziął nogi za pas i biegł, nieświadom tego, że pędząc w stronę kawiarni Shaandaar obrał zły kierunek.

* * *

Kamery telewizyjne zjawiły się akurat na czas, żeby pokazać najście policji na HotWax.

Oto, co widzi kamera telewizyjna; mniej utalentowana niż ludzkie oko, jej nocne pole widzenia ograniczone jest do obszaru oświetlonego przez lampy łukowe. Helikopter zawisł nad nocnym lokalem, sikając w dół długimi, złocistymi strugami światła; kamera rozumie ten obraz. Machina państwa zwała się na jego wrogów. — A teraz znowu kamera pojawia się na niebie; szef dziennika telewizyjnego gdzieś tam zaakceptował koszt filmowania z powietrza, jeszcze jeden helikopter polujący na tłum. Nikt go nie odgania. Hałas łopat wirników zagłusza hałas tłuszczy. I pod tym względem aparatura nagrywająca jest mniej czuła niż, w tym przypadku, ludzkie ucho.

— Cięcie. — Człowiek namierzony jupiterem mówi prędko do mikrofonu. Za nim rozgardiasz cieni. Ale między reporterem a obszarem cieni stoi ściana; ludzie w bojowych hełmach, dzierżący tarcze. Reporter mówi bardzo poważnie; koktajle Mołotowa plastikowe kule poranieni policjanci armatki wodne plądrowanie, ograniczając się, oczywiście, do faktów. Ale kamera widzi to, o czym on nie mówi. Kamera jest rzeczą, która łatwo pada ofiarą awarii lub kradzieży; kruchość

czyni ją wybredną. Kamera wymaga prawa, porządku, cienkiej niebieskiej linii. Usiłując za wszelką cenę utrzymać się przy życiu, pozostaje za ochronnym murem tarcz, przypatrując się obszarom cieni z daleka, i oczywiście z góry: to jest, opowiada się po którejś stronie.

— Cięcie. — Jupiterzy namierzają nową twarz, o obwisłym podbródku, zaczerwienioną. Ta twarz otrzymuje nazwę: przez jego mundur biegną litery napisu. *Inspektor Stephen Kinch*. Kamera postrzega go przez pryzmat jego funkcji: dobry fachowiec, któremu powierzono awykonalne zadanie. Ojciec, mężczyzna, który lubi strzelić sobie piwko. Mówi: nie-można-tolerować-wyłączonych-spod-kontroli-rewirów-niezbędna-lepsza-ochrona-dla-policjantów-widać-plastikowe-tarcze-bojowe-zapalają-się. Kieruje swoje słowa do zorganizowanego świata przestępczego, agitatorów politycznych, wytwórni bomb, narkotyków. — Rozumiemy uczucia części tych dzieciaków, mają one powód do żalu, ale nie będziemy i nie możemy być dla społeczeństwa chłopcami do bicia. — Ośmielony światłami i cierpliwymi, cichymi obiektami, kontynuuje. — Te dzieciaki nie wiedzą, jak bardzo im się powiodło — sugeruje. — Powinny zapytać swoich krewnych i znajomych. Afryka, Azja, Karaiby: oto są miejsca z prawdziwymi problemami. Są to miejsca, gdzie ludzie mogą mieć słuszne żale, których należy wysłuchać. Tutejsze warunki naprawdę nie są złe. Daleko im do takich: nie ma tu żadnych rzezi, żadnych tortur, żadnych przewrotów. Ludzie powinni sobie cenić to, co mają, zanim to utracą. Nasz kraj zawsze miłował pokój — mówi. — Nasza pracowita wyspiarska rasa. — Za nim kamera widzi nosze, ambulanse, ból. — Widzi dziwne człekokształtne postacie wyciągane z trzewi Klubu Hot Wax i rozpoznaje kukły możliwych tego świata. Inspektor Kinch wyjaśnia. — Smażono je w piecu na dole, nazywając to świetnym ubawem, ja bym tego tak nie nazwał. — Kamera przygląda się z niesmakiem woskowym figurom. — Czyż nie trąci to *zabobonem*, pewnego rodzaju ludożerstwem, czymś niezdrowym? Czy uprawiano tu *czarną magię*? — Kamera widzi wybite szyby. Widzi, że coś się pali na drugim planie: samochód, sklep. Nie potrafi zrozumieć, lub wykazać, co zostało dzięki temu osiągnięte. Ci ludzie palą własne ulice.

— Cięcie. — Oto jasno oświetlony sklep z aparaturą wideo. W oknach wystawowych pozostawiono kilka odbiorników; kamera, najbardziej szalona z wszystkich narcystycznych istot, obserwuje ekran tworząc na chwilę obraz telewizorów zmniejszających się nieskończenie, aż do punktu. — Cięcie. — A oto ważna głowa skąpana w świetle: dyskusja w studiu. Głowa mówi o *wyjętych spod prawa*. Billy Kid, Ned Kelly: byli to ludzie, którzy stali zarówno *za*, jak i *przeciw*. Współczesne wampiry, nie posiadając tego heroicznego wymiaru, są niczym więcej jak chorymi, kalekami istotami, osobowościami całkowicie pozbawionymi wyrazu, w ich zbrodniach na uwagę zasługuje jedynie sposób ich dokonania, metodologia — powiedzmy *obrządek* — a oni sami powodowani są, być może, pragnieniem nic nie znaczącego człowieka, by zostać zauważonym, by wynieść się ponad sza-

ry tłum i stać się, na chwilę, gwiazdą. — Albo też pewnym rodzajem pragnienia śmierci przeniesionego na drugą osobę: zabić ukochaną i w ten sposób zniszczyć samego siebie. — *I taki jest Rozpruwacz Staruszek? pada pytanie. No, a Kuba?* — Prawdziwy wyjęty spod prawa, upiera się głowa, jest ciemnym odbiciem lustrzanym bohatera. — *Może to uczestnicy tych rozruchów?* pojawia się kpiarska uwaga. *Czy nie popełnia pan błędu dodawania blasku, błędu „legalizowania”?* — Głowa zaprzecza, ubolewa nad materializmem współczesnej młodzieży. Plądrowanie sklepów ze sprzętem wideo, nie, przecież nie o tym głowa mówiła. — *Dobrze, a wobec tego, co powiedzieć o tych z dawnych czasów? Butch Cassidy, bracia James, kapitan Moonlight. gang Kellych? Wszyscy oni napadali — czyż nie tak?* — *na banki.* — Cięcie. — Później, nocą, kamera powróci do tej wystawy sklepowej. Telewizorów już nie będzie.

— Kamera obserwuje z powietrza wejście do Klubu Hot Wax. Policja skończyła już z woskowymi kukłami i wyprowadza teraz prawdziwych ludzi. Kamera mierzy do aresztowanych osób: wysoki mężczyzna albinos; mężczyzna w garniturze od Armaniego wyglądający jak ciemny sobowtór Roberta de Niro; młoda dziewczyna lat — ile? — czternaście, piętnaście? — wściekły młody mężczyzna około dwudziestki. Nie pojawiają się żadne nazwiska; kamera nie zna tych twarzy. Stopniowo jednak wychodzą na jaw *fakty*. DJ Klubu, Sewsunker Ram, znany jako „Pinkwalla”, oraz właściciel Hot Wax, pan John Maslama, mają zostać oskarżeni o prowadzenie handlu narkotykami na dużą skalę — meskałem, heroiną, haszyszem, kokainą. Człowiek aresztowany razem z nimi, ekspedient zatrudniony w pobliskim sklepie muzycznym Maslamy Pomyślne Wiatry, jest formalnym właścicielem bagażówki, w której znaleziono bliżej nie określoną ilość „twardych narkotyków”, jak również dużą liczbę magnetowidów podejrzanego pochodzenia. Młoda dziewczyna nazywa się Anahita Sufjan, jest nieletnia, wydaje się, że piła na umór, a także, podobno, współżyła co najmniej z jednym z trzech aresztowanych mężczyzn. Według dalszych informacji znana jest jako zatwardziała wagarowiczka i osoba powiązana ze znanymi kryminalistami: najwyraźniej element przestępczy. — Oświetlony — oświecony dziennikarz poda narodowi te smaczne kąski wiele godzin po samym wydarzeniu, ale wiadomość już szaleje na ulicach: Pinkwalla! — I Wax. rozbili lokal na drobne kawałki — *doszczętnie go zniszczyli!* — *To wojna!*

Dzieje się to jednak — podobnie jak wiele innych rzeczy — w miejscach, których kamera nie widzi.

* * *

Gibril:

porusza się, jak gdyby szedł przez świat marzeń sennych, ponieważ po dniach wędrowania po mieście bez snu i jedzenia, z trąbką zwaną Azrailem, schowaną bezpiecznie w kieszeni płaszcza, nie widzi już różnicy między jawą a snem; — zaczyna mieć jakieś pojęcie o tym, czym musi być wszechobecność, gdyż działa w kilku opowiadaniach jednocześnie, jest Gibrilem, który opłakuje zdradę Allelui Cone, i Gibrilem unoszącym się nad łóżem śmierci Proroka, i Gibrilem potajemnie czuwającym nad pielgrzymką ku morzu, oczekującym chwili, kiedy będzie mógł się objawić, i Gibrilem, który czuje z każdym dniem coraz silniejszą wolę przeciwnika, przyciągającego go coraz bliżej, prowadzącego go do ich ostatecznego zwarcia: subtelny to, zwodniczy przeciwnik, który przybrał sobie twarz jego przyjaciela, Saladyna — jego najprawdziwszego przyjaciela, aby uspić jego czujność i zaskoczyć go. I jest jeszcze Gibril, który idzie ulicami Londynu, próbując zrozumieć wolę Boga.

Czy ma być narzędziem gniewu Bożego?

Czy jego miłości?

Czy jest on zemstą, czy wybaczeniem? Czy ta trąbka rozstrzygająca wszystko ma pozostać w jego kieszeni, czy też ma ją wyciągnąć i zadać?

(Nie udzielam mu żadnych porad. Również i mnie interesuje jego wybór — rezultat jego walki zapaśniczej. Postać przeciw przeznaczeniu: zapasy w stylu wolnym. Dwa upadki, dwa poddania się lub nokaut zadecydują.)

Zmagając się w tych zapasach w trakcie wielu swoich opowiadań, posuwa się naprzód.

* * *

Przychodzą chwile, kiedy pragnie jej, Allelui, już samo jej imię wywołuje uniesienie; ale później przypomina sobie te diaboliczne wersety i kieruje myśli w inną stronę. Instrument domaga się, aby w niego zadać: lecz on się powstrzymuje. Jeszcze nie nadszedł czas. Poszukując wskazówki — *co musi być zrobione?* — przemierza ulice miasta.

Gdzieś przez wieczorne okno dostrzega telewizor. Na ekranie kobieca głowa, znana „prezenterka”, z którą przeprowadza wywiad równie znany „gospodarz” programu, błyskotliwy Irlandczyk. — Co jest najgorszą rzeczą, jaką pani może sobie wyobrazić? — Och, myślę, jestem pewna, jest nią, och *tak*: spędzenie Wi-

giliti Bożego Narodzenia w samotności. Trzeba by wtedy stanąć twarzą w twarz z sobą samym, czyż nie, spojrzeć w chropowate lustro i zapytać, *czy to, co tam wi- dać, to już wszystko?* — Gibril, samotny, nieświadom pory, idzie dalej. W lustrze, przeciwnik zbliża się z tą samą szybkością, kiwając nań, wyciągając ramiona.

Miasto wysyła mu sygnały. W tym właśnie miejscu, mówi, zdecydował się zamieszkać holenderski król, gdy przyjechał do tego kraju trzysta lat temu. Wów- czas miejsce to znajdowało się poza miastem. Była to wioska położona pośród zielonych angielskich pól. Ale gdy przybył tu Król, aby założyć dom, wśród pól pojawiły się nagle place Londynu, a budynki z czerwonej cegły i z holenderskim krenelażem wznosiły się ku niebu, aby jego dworzanie mieli gdzie mieszkać. Nie wszyscy emigranci są bezsilni, szepczą wciąż stojące gmachy. Narzucają swojej nowej ziemi własne potrzeby, nadając nowo odkrytej krainie swój własny sens, wyobrażając ją sobie od początku. Ale uwaga, ostrzega miasto. Bezsens również musi mieć swój dzień triumfu. Jadąc parkiem, w którym kiedyś postanowił za- mieszkać — i który *ucywilizował* — Wilhelm III został zrzucony przez konia, upadł ciężko na krnąbrną ziemię i złamał swój królewski kark.

W niektóre dni spostrzega, że znajduje się wśród chodzących trupów, wielkich tłumów zmarłych, z których żaden nie chce się przyznać, że już wyciągnął kopyta, pośród zbuntowanych trupów nadal zachowujących się jak żywi ludzie, robiących zakupy, wsiadających do autobusu, flirtujących, jadących do domu, żeby się ko- chać, palących papierosy. *Przecież jesteście martwi*, krzyczy do nich. *Żywe trupy, z powrotem do grobów*. Nie zwracają na niego uwagi lub śmieją się, lub wyglądają na zażenowanych, lub wygrażają mu pięściami. Milknie i szybko idzie dalej.

Miasto staje się nieuchwytnie, bezkształtne. Opisanie świata staje się niemoż- liwe. Pielgrzymka, prorok, połączenie przeciwieństw, zanurzenie w mgłę, wyłó- nienie. Podobnie zresztą ona: Allie, Al-lat. *Jest wyniesionym ptakiem. Wielce po- żądany*. Przypomina sobie teraz: opowiedziała mu, dawno, dawno temu, o po- ezji Jumpiego. *On próbuje pisać zbiorek. Książkę*. Ten artysta wciąż ssący swój kciuk i te jego piekielne poglądy. Książka jest rezultatem układu z Diabłem, któ- ry odwraca faustowski kontrakt, powiedział kiedyś Allie. Doktor Faust poświęcił wieczność w zamian za dwa tuziny lat mocy; pisarz zgadza się na zrujnowanie swojego życia i otrzymuje (ale jedynie wtedy, gdy będzie miał szczęście) być może nie wieczność, ale przynajmniej pamięć następnych pokoleń. W obydwu przypadkach (była to puenta Jumpiego) Diabeł jest tym, który wygrywa.

Co pisze poeta? Wersety. Co pobrzękuje w mózgu Gibrila? Wersety. Co zła- mało mu serce? Wersety i jeszcze raz wersety.

Trąbka, Azrail, woła do niego z kieszeni płaszcza: *Wyciągnij mnie! Taktaktak: Trąba. Do diabła z tym wszystkim, tym całym żalonym bałaganem: po prostu nadmij policzki i rata-ta-ta. No, już, czas się zabawić*.

Ależ gorąco: parno, duszno, nie do zniesienia. To nie żaden Ten Właśnie Lon- dyn: nie, to właśnie nie to miasto. Pas startowy Numer Jeden, Mahagonny, Alpha-

ville. Wędruje przez mieszaninę języków. Babel: skrót asyryjskiego słowa „babilu”. „Brama Boga”. Babilondyn.

Gdzie to jest?

— Tak. — Którejś nocy błąka się on na tyłach świątyń rewolucji przemysłowej, końcowych stacji kolejowych północnego Londynu. Anonimowej stacji King's Cross, potwornej wieży St Pankras podobnej do nietoperza, czerwonych-i-czarnych zbiorników gazu nieustannie wdychających i wydychających, jak jakieś gigantyczne żelazne płuca. Tam, gdzie kiedyś poległa w bitwie Królowa Boudicca, Gibril Fariszta mocuje się z sobą samym.

Ulica Towarów: — ależ Och, jaki soczysty towar przechadza się w bramach i pod lampami ulicznymi, cóż za delicje są do nabycia na tej ulicy! — Wywijając torebkami, wołając do siebie nawzajem, w srebrzystych spódniczkach i kabaletkach: jest to towar nie tylko młody (przeciętny wiek trzynaście do piętnastu), ale również tani. Każda z nich ma krótki, niemal identyczny życiorys: dziecko upchnięte gdzieś u znajomych, każda wyrzucona z domu przez rozgniewanych purytańskich rodziców, żadna z nich nie jest biała. Alfonsi, uzbrojeni w noże, zabierają dziewięćdziesiąt procent ich zarobków. Ostatecznie towar jest tylko towarem, zwłaszcza wtedy, gdy jest śmieciem.

— Na Ulicy Towarów Gibril Fariszta słyszy, że przywołują go spod latarni, z cienia; i początkowo przyspiesza kroku. *Co ja mam z tym wspólnego? Cholerna banda dup.* Ale potem zwalnia i zatrzymuje się, słysząc, że coś innego wzywa go spod lamp i z cieni, jakieś cierpienie, jakaś prośba bez słów, z trudem ukryta pod dźwięcznym głosem dziesięciofuntowych prostytutek. Idzie coraz wolniej i wolniej, staje. Zatrzymało go ich pożądanie. *Po co?* Idą teraz ku niemu, przyciągane jak ryby na niewidzialnych haczykach. Kiedy zbliżają się do niego, ich chód się zmienia, ich biodra tracą dumne rozkołysanie, ich twarze, pomimo całego makijażu, zaczynają wyglądać na swoje lata. Kiedy dochodzą do niego, kłękają. *Kim jestem, mówicie?* — pyta, i chce dodać: *Ja znam wasze imiona. Kiedyś już was spotkałem, w innym miejscu, za kurtyną. Dwanaście was teraz, tak jak wtedy. Aisza, Hafsa, Ramla, Sauda, Zainab, Majmma, Safija, Dżuwajrijja, Umm Sulma Machzumitka, Rajhana Żydówka i piękna Maria Koptyjka.* W milczeniu, wciąż kłęczą. Bez słów wie, jakie jest ich życzenie. *Czym jest archanioł, jeśli nie jedynie marionetką? Kathputli, kukielką. Wierni naginają nas do swojej woli. Jesteśmy siłami przyrody, a oni naszymi panami. A także paniami.* Ociężałość w jego rękach i nogach, a w uszach brzęczenie jakby pszczoł w letnie popołudnie. Łatwo byłoby zemdleć.

Nie mdleje.

Stoi otoczony kłęczącymi dziećmi, czekając na alfonsów.

A kiedy nadchodzą, wyjmuje w końcu i przyciska do ust swój niespokojny

instrument: tępicieła, Azraila.

* * *

Kiedy strumień ognia wypłynął z jego złocistej trąbki i pochłonął zbliżających się mężczyzn, owijając ich kokonem płomienia i nisząc tak doszczętnie, że na chodniku nie pozostają nawet skwierczące buty, Gibril rozumie.

Idzie znowu dalej, pozostawiając za sobą wdzięczność kurew, kierując się w stronę dzielnicy Brickhall, a Azrail ponownie zajmuje miejsce w jego obszernej kieszeni. Rzeczy stają się jasne.

Jest Archaniołem Gibrilem, aniołem Recytacji, dzierżącym moc objawienia w rękach. Może sięgać w serca mężczyzn i kobiet, wrywać najskrytsze marzenia z głębi ich duszy i realizować je. Zaspokaja żądze, gasi pragnienia, spełnia marzenia. Jest dżinnem od lampy, a jego panem jest Ptak-Rok.

Jakie pragnienia, jakie imperatywy krążą w nocnym powietrzu? Wdycha je głęboko. — I kiwa głową, a więc, niech będzie, tak. — Niech się stanie ogień. Jest to miasto, które oczyściło się w płomieniach, pozbyło się domieszki zła, wypalając się do samej ziemi.

Ogień spadający ogień. — Oto wyrok gniewu Bożego — ogłasza Gibril Fariszta zbuntowanej nocy. — Pragnienia dusz ludzkich mają być spełnione, a następnie mają wchłonąć tych ludzi na zawsze.

Teraz ze wszystkich stron otaczają go tanie punktowce mieszkaniowe. *Czarnuch jeść gówno białego człowieka*, rzucają myśl banalne mury. Budynki mają swoje nazwy: „Isandhlwana”, „Zaspa Rorkego”. Ale rewizjoniści rozwijają działalność, ponieważ dwa z czterech wieżowców otrzymały nowe nazwy i teraz nazywają się „Mandela” i „Toussaint l’Ouverture”. Wieżowce stoją na kolumnach i specyficzną bezkształtność pod nimi i pomiędzy nimi wypełnia nieustanne wyście wiatru i wirujące w powietrzu kawałki: porzuconych mebli kuchennych, opon rowerowych bez powietrza, skorup potrzaskanych drzwi, nóg lalek, roślinnych odpadów wygrzebanych przez głodne psy i koty z plastikowych worków na śmiecie, opakowań po gotowych daniach, toczących się puszek, przekreślonych szans na pracę, porzuconych nadziei, straconych złudzeń, wygasłych złości, nagromadzonej goryczy, zwymiotowanego lęku i przerdzewiałej wanny. On stoi nieruchomo, podczas gdy obok przebiegają w różnych kierunkach małe grupki mieszkańców. Niektórzy (nie wszyscy) mają przy sobie broń. Pałki, butelki, noże. We wszystkich tych grupach są zarówno biali, jak i czarni młodzi ludzie. Przykłada trąbkę do ust i zaczyna grać.

Niewielkie wiązki płomieni podskakują na cemencie, podsycone stosami po-

rzuconych rzeczy i marzeń. Oto mała, rozkładająca się sterta zawiści: w ciemności noc pali się zielonym płomieniem. Ognie przybierają wszystkie kolory tęczy i nie każdy z nich potrzebuje paliwa. Gibril wydmuchuje ze swojej trąby małe ogniste kwiaty, tańczą one na cemencie, nie potrzebując ani opału, ani korzeni. A ten tu, różowy! Ha, co by dodać ładnego? wiem: srebrną różę. — I teraz pączki przekształcają się w krzaki, wspinają się jak pnącza po ścianach wieżowców, wyciągają odroślą do swoich sąsiadów, tworząc żywopłoty wielokolorowych płomieni. Wygląda to jak świetlny ogród, jedynie jego wzrost został przyspieszony tysiące razy, ogród kwitnący, bujnie rozrastający się, przechodzący w nadmiernie porośły, splątany i w końcu nieprzenikniony ogród splecionych ze sobą chimer, konkurujący na swój żarzący się sposób z lasem krzewów ciernistych, który wyrósł wokół pałacu śpiącej królowny w innej bajce, dawno temu.

Ale tu, w środku, nie śpi żadna piękna królowna. Jest za to Gibril Fariszta idący przez świat ognia. Na High Street widzi domy zbudowane z płomieni, o ścianach z ognia, w oknach płomienie wiszące jak wymięte firany. — A wszędzie dookoła mężczyźni i kobiety o gorącej skórze, którzy idą powoli, biegną, kręcą się wokół niego, odziani w płaszcze ognia. Ulica rozpałała się do czerwoności, roztopiła w rzekę koloru krwi. — Wszystko, wszystko płonie, kiedy on dmie w uszczęśliwioną trąbę, *dając ludziom to, czego chcą*, włosy i zęby obywateli dymią i są czerwone, szkło płonie, a nad głową latają ptaki o płonących skrzydłach.

Przeciwnik jest bardzo blisko. Przeciwnik jest magnezem, jest centrum wiru, jest nie uznającym oporu środkiem czarnej dziury, jego siła grawitacji tworzy przy tym horyzont zdarzeń, przed którym ani Gibril, ani światło nie może uciec. *Tędy, woła przeciwnik. Jestem tutaj.*

Nie pałac, lecz jedynie kawiarnia. A w pokojach nad kawiarnią tani hotel, tłący się skręt z Noclegów-i-Śniadań. Żadnej śpiącej królowny, leży tu jedynie rozczarowana kobieta, nieprzytomna, pokonana przez dym; a obok niej, na podłodze tuż przy ich wspólnym łóżku, równie nieprzytomny jej mąż, były nauczyciel i pielgrzym do Mekki, Sufjan. — Natomiast w innym fragmencie płonącego Shaandaaru osoby pozbawione twarzy stoją przy oknach, machając żałośnie rękoma w niemym wołaniu o pomoc, gdyż nie są w stanie (brak ust) krzyczeć.

Przeciwnik: tutaj się ukrył!

Sylwetka rysuje się wyraźnie na tle dekoracji płonącej kawiarni Shaandaar, widzicie, o, to właśnie ten facet!

Azrail nie proszony wskakuje do ręki Fariszty.

Nawet archanioł może doświadczyć objawienia, i kiedy Gibril ściąga na sie-

bie, na najbardziej przelotną z chwil, spojrzenie Czamczy — wówczas w tym błyskawicznym i nieskończonym momencie zostaje zerwana zasłona z jego oczu — widzi siebie, jak idzie z Czamczą przez park Brickhall Fields, cały zatracony w pieśni pochwalnej, jak odkrywa najbardziej intymne tajemnice stosunku miłosnego z Allelują Cone — te same sekrety, które później tłum szatańskich głosów będzie szeptał do słuchawki telefonicznej — za tymi wszystkimi głosami Gibril dostrzega teraz jednoczący talent przeciwnika, który potrafił mówić gardłowo i wysoko, który obrażał i przymilał się, który był jednocześnie natarczywy i nieśmiały, który mówił prozą — tak! — i wierszem, również. — I teraz w końcu Gibril Fariszta poznaje po raz pierwszy, że przeciwnik nie przybrał postaci Czamczy, aby się pod nią ukryć; — i że nie jest to przypadek paranormalnego opętania, porwania ciała przez najeźdźcę z Piekła; jednym słowem, że zło nie jest czymś znajdującym się na zewnątrz Saladyna, ale wypływa z jakichś zakamarków jego prawdziwej natury, że rozprzestrzeniało się w całej jego osobowości jak rak, usuwając to, co było w nim dobre, niszcząc jego ducha — a proces ten zachodził z tyloma zwodniczymi symulacjami i unikami, że wydawało się czasami, iż się cofa; gdy w rzeczy samej pod pozorem rezygnacji, niejako, w dalszym ciągu niebezpiecznie się rozprzestrzeniał; — a teraz, bez wątpienia, wypełnił go całego; teraz nic nie zostało z Saladyna oprócz tego czarnego ognia zła w jego duszy, trawiącego go równie doszczętnie, jak ten drugi ogień, wielokolorowy i pochłaniający, pożera wrzeszczące miasto. Naprawdę, są to „najbardziej wstrętne, złośliwe, krwiożercze płomienie, w niczym niepodobne do pięknego płomienia zwyczajnego ognia”.

Ogień jest łukiem rozpostartym na niebie. Saladyn Czamcza, przeciwnik, który jest również *Spoons, moim starym Czamczą*, zniknął w drzwiach Shaandaar Café. To przepaść czarnej dziury; horyzont zamyka się wokół niej, wszystkie inne możliwości znikają, wszechświat kurczy się do tego pojedynczego i nieodparcie przyciągającego punktu osobliwości. Dmac z całych sił w trąbę, Gibril znika za otwartymi drzwiami.

* * *

Budynek zajmowany przez radę stosunków społecznych w Brickhall był parterowym potworkiem z czerwonej cegły i z kuloodpornymi szybami, bunkropodobnym produktem lat sześćdziesiątych, kiedy fason ten uważano za atrakcyjny. Niełatwo było wejść do tego budynku; u drzwi dodatkowo zamontowano specjalny akustyczny zamek, otwierany głosem upoważnionej osoby; dalej szło się wąskim korytarzem równoległym do ściany frontowej i kończącym się następnymi

drzwiami, również zabezpieczonymi szyfrem i alarmem przeciwwłamaniowym.

Ten alarm, wyszło na jaw później, został wyłączony prawdopodobnie przez dwie osoby, mężczyznę i kobietę, którzy weszli posługując się kluczem. Oficjalnie dopuszczono możliwość, że osoby te zamierzały dokonać sabotażu, ponieważ jedna z nich, zmarła kobieta, w rzeczy samej była zatrudniona w instytucji zajmującej te pomieszczenia. Motywy tej zbrodni pozostają niejasne, a ponieważ sprawcy zginęli w pożarze, nieprawdopodobieństwem jest, by zagadka kiedykolwiek została rozwiązana. Najbardziej prawdopodobnym powodem wydaje się jednak „korzyść własna”.

Tragiczny przypadek; zmarła kobieta była w zaawansowanej ciąży.

Inspektor Stephen Kinch, składając oświadczenie dotyczące powyższych faktów, „powiązał” pożar w Radzie Stosunków Społecznych w Brickhall z pożarem w kawiarni Shaandaar, gdzie druga ze zmarłych osób, mężczyzna, zamieszkiwał od czasu do czasu. Możliwe, że prawdziwym podpalaczem był właśnie ów mężczyzna, a kobieta, która była jego kochanką, aczkolwiek żoną innego mężczyzny, z którym nadal wspólnie mieszkała, tutaj znalazła się w roli jego ofiary. Nie można wykluczyć motywów politycznych — obie osoby były dobrze znane ze swoich radykalnych poglądów — jakkolwiek sytuacja w tych skrajnie lewicowych mikrogrupowaniach, w których działali, jest tak mętna, że trudno byłoby stwierdzić, na czym dokładnie miałyby owe motywy polegać. Jest również możliwe, że za obydwoma zbrodniami, mimo iż popełnionymi przez tego samego osobnika, kryła się odmienna motywacja. Być może był on po prostu wynajętym przestępcą i spalił kawiarnię Shaandaar na polecenie nieżyjących już właścicieli, którzy zamierzali podjąć pieniądze z tytułu ubezpieczenia, a w siedzibie Rady podłożył ogień na żądanie swojej kochanki, może z powodu jakiejś wendety w samym biurze?

To, że spalenie budynku Rady Stosunków Społecznych było dziełem podpalacza, nie ulegało najmniejszej wątpliwości. Biurka, papiery, firanki zostały oblane sporą ilością benzyny. — Wielu ludzi nie zdaje sobie sprawy, jak szybko rozszerza się ogień podsycony benzyną — oświadczył inspektor Kinch skrupulatnie notującym dziennikarzom. Ciała, które spaliły się do tego stopnia, że do identyfikacji potrzebna była dokumentacja dentystyczna, znaleziono w pokoju z fotokopiarką. — To wszystko, co mamy. — Koniec.

Ja mam więcej.

Przynajmniej mam kilka pytań. — O tę, na przykład, nie oznakowaną niebieską furgonetkę marki Mercedes, która jechała za bagażówką Walcotta Robertsa, a później za MG Pameii Czamczy. — O tych ludzi, którzy wyszli z furgonu, z twarzami w maskach noszonych zwykle w czasie Halloween i wdarli się do biur Rady w chwili, gdy Pamela otworzyła zewnętrzne drzwi. — O to, co naprawdę zaszło w tych biurach, gdyż oko ludzkie niezbyt łatwo przenika przez czerwoną cegłę

i kuloodporne szkło. — A na koniec, o to, co stało się z czerwoną plastikową teczką i z dokumentami, które zawierała.

Inspektorze Kinch? Jest pan tam?

Nie. Już odszedł. Nie ma dla mnie żadnych odpowiedzi.

* * *

Oto i pan Saladyn Czamcza, w płaszczu z wielbłądziej wełny z jedwabnym kołnierzem; biegnie wzdłuż High Street niczym jakiś nędzny oszust. — Ten sam potworny pan Czamcza, który właśnie bez śladu skrupułów spędził wieczór w towarzystwie roztargnionej Allelui Cone. — Spoglądam na jego stopy — powiedział Otello o Jagonie — ale to bajka. — Ani Czamcza nie jest już postacią z baśni; jego ludzka postać całkowicie wystarcza do tego, by znaleźć wytłumaczenie dla jego uczynku. Zniszczył to, czym nie jest i być nie może; zemścił się, odpłacając zdradą za zdradę; a dokonał tego wyzyskując słabość wroga, raniąc jego nie osłoniętą piętę. — Jest to wyrównanie długu. — I znów, oto pan Czamcza biegnie. Świat jest pełen gniewu i wydarzeń. Rzeczy zawisły w równowadze. Pali się jakiś budynek.

Bumba, wali jego serce. Dumba, bumba, dadum.

Teraz spostrzega Shaandaar w ogniu; i zatrzymuje się gwałtownie. Czuje ucisk w klatce piersiowej; — *badumba!* — a teraz ból w lewej ręce. Nie zwraca na to uwagi: wpatruje się w płonący budynek.

I widzi Gibrila Fariszte.

I odwraca się; i wbiega do środka.

— Miszal! Sufjan! Hind! — krzyczy nikczemny pan Czamcza. Pożar nie ogarnął jeszcze parteru. Saladyn gwałtownym ruchem otwiera drzwi prowadzące na schody i parzący, palący powiew powietrza odrzuca go. *Oddech smoka*, myśli. Półpiętro płonie; pomiędzy podłogą a sufitem wznosi się ściana ognia. Żadnej szansy wejścia.

— Hej! — wrzeszczy Saladyn Czamcza. — Jest tam kto? — Lecząc smok ryczy głośniejszym głosem od jego krzyków.

Coś niewidzialnego kopie go w pierś, a on pada na wznak, pomiędzy puste stoły. *Dum*, śpiewa jego serce. *A masz, a masz.*

Nad jego głową słychać hałas, jakby pędziły miliony szczurów, gryzonie-widma śpieszące za upiornym czarodziejem z fujarką. Patrzy do góry: pali się sufit. Stwierdza, że nie może wstać. I kiedy tak się przygląda, widzi, że część sufitu załamuje się i fragment belki spada wprost na niego. Krzyżuje ramiona w bezskutecznym geście obrony.

Belka przygważdża go do podłogi, łamiąc mu obie ręce. Klatkę piersiową rozrywa ból. Świat oddala się. Ciężko oddychać. Nie może mówić. Jest Człowiekiem Tysiąca Głosów, a nie pozostał mu ani jeden.

Gibril Fariszta, dzierżąc w dłoniach Azraila, wchodzi do Shaandaar Café.

* * *

Co się dzieje, kiedy zwycięzasz?

Kiedy wrogowie są zdani na twoją łaskę: jak wtedy postąpisz? Kompromis jest pokusą słabych; a to jest próba dla silnych. — Spoono — Gibril kiwa głową powalonemu mężczyźnie. — Ależ mnie nabrałeś, poważnie, niesamowity z ciebie facet. — I Czameza, patrząc w oczy Gibrila, nie może zaprzeczyć temu, co tamten już wie. — Co — zaczyna i rezygnuje. — *Co zamierzasz zrobić?* Wszędzie wokół nich ogień: skwierczenie, trzask złocistego deszczu. — Dlaczego to zrobiłeś? — pyta Gibril, a następnie oddala pytanie machnięciem ręki. — Jestem ciężkim idiotą, że pytam o taką rzecz. Równie dobrze mógłbym próbować się dowiedzieć, co cię opętało, żeby tu wtargnąć? Trzeba być ciężkim idiotą, żeby to zrobić. Ludzie, co, Spoono? Pieprznicy skurwiele, to wszystko.

Teraz już wszędzie wokół nich tworzą się kałuże ognia. Zaraz zostaną okrążeni, odizolowani na samotnej i tymczasowej wyspie, pośród tego śmiertelnie niebezpiecznego morza. Po raz drugi Czameza czuje kopnięcie w pierś, szarpiące nim gwałtownie. W obliczu trzech śmierci — w ogniu, z „przyczyn naturalnych” i z rąk Gibrila — wyteża rozpaczliwie wszystkie siły, próbując mówić, ale wydobywa z siebie tylko krakanie. „Prz. By. Mmm.” *Przebacz mi.* „Zi. T.” *Zlituj się.* Pałają stoliki kawiarniane. Z góry spadają kolejne belki. Gibril sprawia takie wrażenie, jakby wpadł w trans. Powtarza nieprzytomnie: — Cholernie idiotyczne rzeczy.

Czy to możliwe, że zło nigdy nie jest absolutne, że jego zwycięstwo, nie ważne jak bardzo przytłaczające, nigdy nie jest całkowite?

Rozważmy przypadek tego upadłego człowieka. Usiłował bezlitośnie zniszczyć umysł innej istoty ludzkiej; w tym celu wykorzystał całkowicie niewinną kobietę, przynajmniej po części z powodu nieprawdopodobnego voyeurystycznego pożądania, które czuł do niej. A jednak ten sam człowiek, ryzykując śmiercią, bez wahania podjął szaloną próbę pomocy.

Co to znaczy?

Pierścień ognia zamknął się wokół dwóch mężczyzn, a dym jest wszędzie. Tylko kilka sekund dzieli ich od momentu porażki. Do rozstrzygnięcia są kwestie pilniejsze niż te *idiotyzmy* powyżej.

Jakiego wyboru dokona Fariszta?

Czy pozostał mu jeszcze jakiś wybór?

Gibril upuszcza swoją trąbkę; nachyla się; uwalnia uwięzionego przez belkę Saladyna; i bierze go na ręce. Czamcza oprócz połamanych rąk ma jeszcze zmiążdżone żebra, jęczy cicho, wydając dźwięki podobne do mowy kreacjonisty Doomsdaya, zanim otrzymał nowy język wykrojony z najprzedniejszego zadu. „Za, Po” *Jest już za późno*. Małe liźnięcie ognia dosięga brzegu jego płaszcza. Gryzący czarny dym wypełnia całą dostępną przestrzeli, wślizgując się do oczu, zatykając uszy, zapychając nos i płuca. — Teraz jednak Gibril Fariszta zaczyna ostrożnie wydychać powietrze, jest to długi nieprzerwany wydech, wprost nieskończony, który docierając do drzwi, przecina dym i ogień jak nóż; — i Saladynowi Czamczy, który nie może złapać tchu i omdlewa, z rozszalałym sercem w piersiach, wydaje się, że widzi — ale nigdy później nie będzie pewien, czy tak było naprawdę — ogień rozstępujący się przed nimi jak morze czerwone, którym się stał, i że dym również się rozsuwa, jak firanka lub welon; aż w końcu przed nimi rozpościera się wolna droga ku drzwiom; — wtedy Gibril Fariszta rusza pędem, wynosząc Saladyna po tej drodze przebaczenia na gorące nocne powietrze; tak więc tej nocy, kiedy miasto jest w stanie wojny, nocy aż ciężkiej od nienawiści i niepohamowanego gniewu, ma miejsce to małe zbawcze zwycięstwo miłości.

* * *

Wnioski.

Kiedy się wynurzają, Miszal Sufjan stoi przed Shaandaarem, opłakując swoich rodziców, pocieszana przez Hanifa. Teraz przychodzi kolej na załamanie Gibrila; wciąż jeszcze niosąc Saladyna, traci przytomność u stóp Miszal.

Teraz Miszal i Hanif jadą karetką z dwoma nieprzytomnymi mężczyznami. Czamcza ma na twarzy maskę tlenową, a Gibril, który jest jedynie ogólnie wyczerpany, mówi przez sen: majaki o magicznej trąbie i ogniu, który wydmuchiwał z niej jak muzykę. — I Miszal, która pamięta Czamczę jako diabła i pogodziła się już z tym, że wiele niemożliwych rzeczy okazuje się możliwymi, zastanawia się: — Czy sądzisz? — Lecz Hanif jest pewny, zdecydowany. — Niemożliwe. To jest Gibril Fariszta, aktor, nie poznajesz? Biedak odgrywa po prostu jakąś filmową scenę. — Miszal nie daje za wygraną. — Ależ, Hanifie. — I on staje się jeszcze bardziej stanowczy. Mówi łagodnie, gdyż ona właśnie straciła rodziców, w końcu jednak uparcie podkreśla. — Wydarzenia dzisiejszej nocy w Brickhall są zjawiskiem społeczno-politycznym. Nie wpadajmy w sidła jakiegoś cholernego misty-

cyzmu. Mówimy o historii: wydarzeniu z historii Brytanii. O procesie zmian.

Naraz zmienia się głos Gibrila, a także treść wypowiedzianych przez niego zdań. Mówi o *pielgrzymach* i o *martwym dziecku* i jak w „*Dziesięciu Przykazaniach*” i o *niszczącym dworze* i o *drzewie*; ponieważ pod wpływem działania oczyszczającego ognia ma we śnie, już naprawdę po raz ostatni, jedno ze swoich seryjnych widzeń; — a Hanif mówi: — Posłuchaj, Miszu, kochanie. Po prostu fikcja, i już. — Obejmuje ją ramieniem, całuje w policzek, przytula mocno. *Zostań ze mną. Świat jest realny. Musimy w nim żyć; musimy żyć tutaj, żyć dalej.*

Właśnie wtedy Gibril Fariszta, wciąż śpiąc, krzyczy wniebogłosy.

— Miszal! Wróć! Nic się nie dzieje! Miszal, na litość Boską; zawróć, wracaj, wracaj.

VIII

Przejście przez Morze Arabskie

Sriniwas, sprzedawca zabawek, miał w zwyczaju straszyć swoją żonę i dzieci. Nadejście jeszcze taki dzień, kiedy świat materialny straci dla niego znaczenie i Sriniwas zmieni się w sanyasi, i zaopatrzone tylko w misę i kij żebraczy będzie włóczył się od wioski do wioski, prosząc o wsparcie. Pani Sriniwas była bardzo wyrozumiała wobec dziwactw męża, wiedząc, że jej rozlazły, pogodnego usposobienia małżonek chce uchodzić za człowieka bogobojnego i chyba też trochę za poszukiwacza przygód (czyż przed laty nie należał na absurdalny i przerażający pomysł przelotu przez Wielki Kanion w Amricie?); perspektywa zostania świętym mężem zaspokoiłaby oba jego życiowe marzenia. Jednak kiedy żona patrzyła na obfite kształty swojego ślubnego, wypełniające fotel na ganku — lub gdy obserwowała, jak bawi się z ich najmłodszą, pięcioletnią córeczką Min, lub też podziwiała męzowski apetyt, daleki od ascezy żebraczej, jej usta wykrzywiały się w grymasie podpatrzonym u aktorek filmowych, (pomimo że była równie gruba jak małżonek), wychodziła przed dom lekkim krokiem, cicho pogwizdując. Kiedy jednak znajdowała tam tylko pusty fotel i niedopitą szklankę lemoniady, czuła się kompletnie wytracona z równowagi.

Prawdę mówiąc Sriniwas sam nie potrafił sobie odpowiedzieć na pytanie, co spowodowało, że opuścił wygodny fotel na ganku i wyruszył, żeby zobaczyć przybycie wieśniaków z Titlipur. Miejscowe urwisy, wiedzące o wszystkim na godzinę wcześniej niż inni, zapowiadały wrzaskiem wkroczenie niewiarygodnej procesji, z torbami i tobołami ciągnącej droga kartoflaną ku głównemu szlakowi, pielgrzymów prowadziła srebrnowłosa dziewczyna i chmara motyli, wirująca nad ich głowami, a pochód zamykał w swojej oliwkowozielonej limuzynie mercedes-benz mirza Sajjid Achtar z taką miną jakby w gardle utkwiła mu pestka owocu mango.

Pomimo ziemniaczanych silosów i słynnych fabryk zabawek Czatnapatna nie było na tyle dużą miejscowością, aby przybycie stu pięćdziesięciu osób mogło pozostać nie zauważone. Tuż przed pojawieniem się pielgrzymów Sriniwas przyjął delegację robotników z fabryki, którzy, także chcieli być świadkami tego ważnego wydarzenia i prosili o kilkugodzinna przerwę w pracy. Wiedząc, że i tak zrobiliby sobie wolne, przystał na to. Sam jednak, przynajmniej do czasu, tkwił uparcie na swojej werandzie udając, że nie ściska go w dołku z powodu motyli emocji. Później będzie mógł wyznać Miszal Achtar: — To było przeczucie. Cóż mam powiedzieć? Wiedziałem, że wy-wszyscy nie wyszliście po prostu na spacer. Ona przyszła po mnie.

Titlipur wkroczył do Czatnapatna przy wtórze wycia noworodków, krzyków dzieci, skrzekliwych nawoływań starców i niewybrednych żartów Osmana od wólu bum-bum, na co Sriniwas nie zwracał najmniejszej uwagi. Następnie ulicznicy poinformowali króla zabawek, że wśród przybyszy znajdują się żona i teściowa zamindara mirzy Sajjida, idące pieszo jak chłopki, odziane jedynie w kurta-pażama, bez żadnych klejnotów. Wtedy właśnie Sriniwas zaczął się przedzierać w kierunku przydrożnej kantyny, wokół której tłoczyli się titlipurscy pielgrzymi, wy-

ciągnąc ręce po ziemniaczane bhurta i panathy. Dotarł tam w tym samym czasie, co jeep policyjny z Czatnapatny. Inspektor stał na siedzeniu pasażera, krzycząc przy megafon, że jest w sianie podjąć stosowne kroki przeciwko „komunalnemu” przemarszowi, jeśli ten się w końcu nie rozejdzie. Hindusko-muzułmańskie sprawy, pomyślał Srinivas; niedobrze, niedobrze.

Policja potraktowała pielgrzymkę jak jakąś sekciarską demonstrację, ale kiedy mirza Sajjid Achtar wystąpił i oznajmił Inspektorowi, jak wygląda prawda, ten zmieszał się. Sri Srinivas, bramin, był człowiekiem, który oczywiście nigdy nie planował udania się na pielgrzymkę do Mekki, niemniej jednak zrobiło to na nim wrażenie. Przepychał się przez tłum, aby lepiej słyszeć to, co mówi zamindar: — Celem tych dobrych ludzi jest dotarcie do Morza Arabskiego z wiarą, że wody rozstąpią się przed nimi. — Głos mirzy Sajjida brzmiał słabo i Inspektor, oficer komisariatu w Czatnapatna nie sprawiał wrażenia przekonanego. — Czy pan mówi poważnie? Mirza Sajjid odpowiedział: — Ja nie. *Oni* są piekielnie poważni. Mam zamiar wpłynąć na zmianę ich decyzji zanim zrobią coś szalonego. Wąsaty oficer, świadomy własnej ważności, potrząsnął głową. — Ale proszę zrozumieć, sir, jak mogę pozwolić na to, aby tak wielu osobników zbierało się na ulicy? Ludzie są podenerwowani; może dojść do jakiegoś incydentu. — Wtedy właśnie tłum pielgrzymów rozstał się i Srinivas po raz pierwszy zobaczył fantastyczną postać dziewczyny, odzianą całkowicie w motyle, ze śnieżnobiałymi włosami spływającymi do kostek, — Arre deo — krzyknął — Aisza, czy to ty? — I po chwili dodał głupio: — Wobec tego może mi powiesz, gdzie są moje lalki do planowania rodziny?

Jego wystąpienie zostało zignorowane; wszyscy obserwowali dziewczynę podchodzącą do dyszącego spazmatycznie oficera. Nic nie mówiła, uśmiechała się tylko, potem skinęła głową w jego stronę, i zdawało się, że facet odmłodził w ciągu sekundy o jakieś dwadzieścia lat, aż w końcu odpowiedział jej w taki sposób, jak to czynią dziesięcio- jedenastoletni chłopcy: — Dobrze dobrze, mausi. Przepraszam, ma. Bez obrazy. Proszę o wybaczenie. — Był to koniec kłopotów z policją. Tego dnia, później, w popołudniowym upale grupa wyrostków znanych z kontaktów z RSS i Wiszwa Hindu Pariszad zaczęła rzucać kamieniami z dachów pobliskich budynków; komendant komisariatu polecił ich aresztować i po dwóch minutach siedzieli już pod kluczem.

— Aiszo, córko — wołał Srinivas na próżno — co u diabła siało się z tobą?

Chroniąc się przed upałem, pielgrzymi odpoczywali we wszystkich ocienionych miejscach, które udało im się znaleźć. Srinivas włóczył się pomiędzy nimi oszołomiony, przepełniony emocjami, zdając sobie sprawę z tego, że oto jego życie niespodziewanie znalazło się w punkcie zwrotnym. Oczywiście wciąż szukał odmienionej postaci Aiszy-wrózki, odpoczywającej w cieniu świętego drzewa w towarzystwie Miszal Achtar i jej matki — pani Kurajszi i chorego z miłości Osmana z jego wołem. W końcu Srinivas natknął się na zamindara mirzę Sajjida, wycią-

gniętego na tylnym siedzeniu mercedesa, nie spał, człowiek w udreće. Srinivas przemówił do niego z łagodnością zrodzoną ze zdumienia. — Seth-dzi, ty nie wierzysz w dziewczynę?

— Sriniwasiu — mirza Sajjid, aby odpowiedzieć, usiadł — jesteśmy ludźmi nowoczesnymi. Wiemy na przykład, że starcy umierają podczas długich podróży, że Bóg nie leczy raka i nie rozstępują się oceany. Musimy przerwać to szaleństwo. Jedź ze mną. W samochodzie jest mnóstwo miejsca. Może ty ich przed tym powstrzymasz: ta Aisza jest ci wdzięczna, może cię posłucha.

— Mam jechać samochodem? — Srinivas poczuł się tak bezradny, jak gdyby krepowały go jakieś niewidzialne więzy. — Mam w tym swój interes, ale.

— To wyprawa samobójcza dla wielu naszych ludzi — nalegał mirza Sajjid. — Potrzebuję pomocy. Oczywiście, mogę zapłacić.

— Pieniądze nie wchodzi w grę — oschle odpowiedział dotknięty Srinivas — Wybacz mi, seth-dzi, muszę to rozważyć.

— Nie rozumiesz? — głos mirzy Sajjida przeszedł w krzyk — My nie jesteśmy, pospółstwem — ani ty, ani ja. Niech żyje braterstwo hindusko-muzułmańskie! Możemy utworzyć świecki front przeciwko tym zabobonom.

Srinivas odwrócił się. — Ale ja nie jestem niwierzący — zaprotestował. — Obraz bogini Lakszmi wisi od zawsze u mnie na ścianie.

— Mamona jest najlepszą boginią dla biznesmena — odpowiedział mirza Sajjid.

— I jest w moim sercu — dodał Srinivas. Mirza Sajjid stracił panowanie nad sobą. — Ale boginie. . . Nawet wasi myśliciele przyznają, że to tylko abstrakcyjne idee ucieleśnienia śakti, pojęcia abstrakcyjnego samego w sobie: dynamicznej mocy bogów

Sprzedawca zabawek parzył na śpiącą pod okrywającymi ją motylami Aiszę. — Nie jestem myślicielem, seth-dzi — powiedział. Nie powiedział, że jego serce gwałtownie załomotało, ponieważ zdał sobie sprawę z tego, że twarz śpiącej dziewczyny jest dokładnie taka sama, jak twarz bogini z kalendarza wiszącego na ścianie jego fabryki.

* * *

Srinivas dołączył do opuszczającej miasto pielgrzymki, puszczając mimo uszu błagania rozczochranej żony, która podniosła do góry Minu i potrzęsała nią przed jego twarzą. Tłumaczył Aiszy, że chociaż nie pragnął odwiedzić Mekki, nagle opanowała go przemożna chęć towarzyszenia jej przez jakiś czas — być może nawet aż do morza.

Kiedy zajął miejsce wśród wieśniaków z Titlipur i zrównał krok z idącym obok człowiekiem, z mieszanymi uczuciami niezrozumienia i lęku obserwował nie kończący się rój motyli, które kłębiły się nad głowami pielgrzymów jak gigantyczny parasol, chroniący ich przed słońcem. Wyglądało to tak, jakby motyle z Titlipur przejęły zadanie wielkiego drzewa. Po chwili z jego ust dobył się okrzyk przestachu, zdziwienia, i radości, ponieważ kilka tuzinów tych kameleono-skrzydłych stworzeń usadowiło się na jego ramionach i nagle sprawiło, że szkarłat koszuli zakwitł mnóstwem kolorów. Teraz mirza Sajjid rozpoznał idącego obok mężczyznę. Był to sarpancza, Muhamnud Din, który zrezygnował z miejsca na czele pochodu. Pomimo zaawansowanego wieku dziarsko maszerował z małżonką u boku. Kiedy Muhammad Din dostrzegł skrzydlate błogosławieństwo, które spłynęło na sprzedawcę zabawek, pochwycił go za rękę.

* * *

Wydawało się oczywiste, że spadną deszcze. Szeregi kościstego bydła przemierzały przestrzeń w poszukiwaniu wody. *Miłość w Woda* informował biały napis na ceglanym murze fabryki skuterów. Spotykali po drodze całe rodziny w nadziei znalezienia wody kierujące się na południe z dobytkiem załadowanym na grzbietach zdychających osłów. Ale nie tej cholernej słonej wody — krzyczał mirza Sajjid na pielgrzymów z Titlipur — i nic po to, aby zobaczyć, jak się rozstępuje! Chcą żyć, a wy szaleńcy chcecie zginąć! — Sępy zbierały się w stada po obu stronach drogi, obserwując przemarsz.

Pierwsze tygodnie pielgrzymki do Morza Arabskiego upłynęły mirzy Sajjidowi pod znakiem ciągłej, histerycznej agitacji. Najwięcej drogi pokonywano ranekami i popołudniami, wtedy to Sajjid wychylał się z okna swojej limuzyny i molestował konającą żonę. — Opamiętaj się. Miszu. Jesteś chorą kobietą. Chodź i połóż się przynajmniej na trochę, rozmasuję ci stopy. — Ale ona odmawiała, a jej matka odganiała mirzę. — Widzisz, Sajjidzie, jesteś w nieodpowiednim nastroju, to jest bardzo przygnębiające. Weź, napij się tej swojej koka-sroli w swoim klimatyzowanym aucie i zostaw nas, yatri, w spokoju. — Po tygodniu klimatyzowany samochód stracił kierowcę. Szofer mirzy Sajjida zrezygnował z posady i przyłączył się do pielgrzymów; zamindar został zmuszony do zajęcia miejsca za kółkiem. Po tym fakcie zawładnął nim lęk, musiał zatrzymać samochód, zaparkować go i wtedy popędził ku pielgrzymom grożąc, błagając i próbując przekupić niektórych z nich. Przynajmniej raz dziennie rzucał Aiszy w twarz przekleństwa za zniszczenie mu życia, ale nigdy nie mógł wytrwać w złorzeczeniach, ponieważ za każdym razem, kiedy na nią popatrzył, pragnął jej tak bardzo, że czuł się

tym zażenowany. Choroba nowotworowa zmieniła kolor skóry Miszal na szary, jej matka była już przysmażona w kilku miejscach, rozpadły się jej sandały i srodze cierpiała z powodu olbrzymich pęcherzy przypominających małe bukłaki z wodą. Kiedy Sajjid zaoferował jej wygodne miejsce w samochodzie, natychmiast odmówiła. Czar rzucony przez Aiszę na pielgrzymów wciąż utrzymywał swoją moc. Pod koniec wypraw do serca pielgrzymki mirza Sajjid, spocony i zrozpaczony na skutek upału i bezsilności, zdał sobie sprawę z tego, że odeszli spory kawał drogi od jego samochodu i że będzie teraz musiał wrócić do niego, zatopiony w ponurych myślach. Dzień później dotarł do limuzyny i stwierdził, że przyciemniona szyba została rozbita przez pustą skorupę orzecha kokosowego, wyrzuconą zapewne z przejeżdżającego autobusu. Szyba wyglądała teraz jak pajęcza sieć pełna diamentowych much. Był zmuszony wytłuc ją do końca, a szklane diamenty wydawały się kpić z niego, kiedy upadały na drogę i do wnętrza wozu, zdawały się mówić o przemijaniu i bezwartościowości dóbr ziemskich, ale człowiek świecki żyje w świecie rzeczy i mirza Sajjid nie zamierzał dać skruszyć się równie łatwo jak szyba. Nocą, kiedy leżał pod gwiazdami na poboczu głównej drogi obok swojej żony i kiedy powiedział jej o wypadku, nie znalazł u niej współczucia. — To znak — odrzekła. — Porzucić samochód i przyłączyć się w końcu do nas.

— Porzucić mercedesa-benza? — zawył Sajjid, ogarnięty najprawdziwszą grozą.

— No i cóż to takiego? — odpowiedziała Miszal surowym, ale zmęczonym głosem. — Wciąż mówisz o zrujnowaniu. Cóż ci więc po mercedesie?

— Ty nic nie rozumiesz — zapłakał. — Nikt mnie nie rozumie!

Gibril wyśnił suszę:

Kraina spalona przez bezchmurne niebo. Zwłoki autobusów i starożytnych posągów, gnijące na skrajach pól. Mirza Sajjid widział przez potrzaskaną szybę zapowiedź zagłady: dzikie osły pieprzyły się niemrawo, po czym padały martwe na środku drogi, wciąż złączone ze sobą; drzewa stojące na korzeniach wyrzuconych na powierzchnię zerodowanej gleby i wyglądające jak wielkie drewniane grabie, ryjące ziemię w poszukiwaniu wody, zamożni farmerzy zmuszeni do niewolniczej pracy, kopiący zbiorniki wzdłuż drogi — puste rowy na deszcz, który nie spadnie. Żalotne pobocze żyje swoim życiem: kobieta z tobołkiem kierująca się ku namiotowi zrobionemu z kawałka szmaty i kija, dziewczyna skazana każdego dnia na szorowanie, tego naczynia, tego garnka w zakurzonym skrawku brudu. „Czy ich życie jest rzeczywiście tyle samo warte co nasze? — zapytał w duchu mirza Sajjid Achtar. — Tyle co moje, co Miszal? Jak ubodzy są w wiedzę, jak niewiele potrzeba im strawy duchowej”. Mężczyzna ubrany w dhoti i luźne, żółte pugri stał jak ptak na kamieniu milowym. Sterczał tak z nogą założoną na drugie kolano i z ręką na drugim łokciu — palił biri. Kiedy mirza Sajjid Achtar przejeżdżał obok, ten

splunął, trafiając zamindara prosto w twarz.

Pielgrzymka postępowała powoli, idąc trzy godziny rano i trzy po wielkim upale, szli, dostosowując swój krok do najwolniejszego, nie kończące się opóźnienia, choroby dzieci, podkopywanie autorytetów, koło odpadające w jednym z wozów zaprzężonym w woły; w najlepszym wypadku dwie mile dziennie, sto pięćdziesiąt mil do morza, w przybliżeniu około jedenastotygodniowa podróż. Pierwsza śmierć miała miejsce osiemnastego dnia. Chadidza, nietaktowna starsza niewiasta, będąca od pół wieku kochaną i kochającą małżonką sarpanczy Muhammada Dina zobaczyła we śnie archanioła. — Gibrilu — wyszeptła — czy to ty?

— Nie — odpowiedziała zjawa — to ja, Azrail, ten od brudnej roboty. Proszę mi wybaczyć, że rozczarowałem.

Następnego dnia rano szła dalej, nic nie mówiąc mężowi o swoim objawieniu. Po dwóch godzinach zbliżyli się do ruin jednej z mogolskich oberży, których obejścia, budowane w zamierzchłych czasach, stawiano co pięć mil wzdłuż drogi. Kiedy Chadidza zobaczyła gruzy, nie wiedziała nic o ich przeszłości, o podróży rabowanych we śnie i tym podobnych zdarzeniach, dostatecznie dobrze rozumiała za to stan obecny. — Muszę tam wejść i położyć się — powiedziała sarpanczy, który natychmiast zaprotestował: — Ale co z marszem! — Nieważne — odpowiedziała łagodnie — dogonisz ich później.

Położyła się na rumowisku z głową na gładkim kamieniu, który wyszukał jej mąż. Starzec zapłakał, ale nic to nie pomogło — zmarła w przeciągu minuty. Sarpancza pobiegł ku pielgrzymom, stanął przed Aiszą i rzucił jej wściekle: — Nigdy nie powinienem był cię posłuchać — powiedział. — I teraz ty zabiłaś moją żonę.

Kolumna zatrzymała się. Mirza Sajjid Achtar, upatrując w tym fakcie swoją szansę, głośno nalegał na pochowanie Chadidzi na muzułmańskim cmentarzu. Ale Aisza sprzeciwiła się. — Archanioł kazał nam iść prosto ku morzu, bez powrotów czy zbaczania z drogi. — Mirza apelował do pielgrzymów: — To ukochana żona sarpanczy — krzychał — czy pozostawicie ją w przydrożnym rowie?

Sajjid nie chciał wierzyć własnym uszom, kiedy usłyszał, że większość mieszkańców Titlipur zgodziła się na to, aby niezwłocznie ją pochować. Uświadomił sobie, że ich determinacja jest o wiele większa, niż początkowo przypuszczał: nawet nieutulony w żalu sarpancza zgodził się na to. Pochowano Chadidzę na ugorze za oberżą z przeszłości.

Jednak następnego dnia mirza Sajjid zauważył, że sarpancza oddala się nieco od grupy. Błakał się niepocieszony w pewnej odległości od innych, wdychając zapach krzewów bugenwilli. Sajjid wyskoczył z mercedesa i popędził do Aiszy, aby zrobić jej następną scenę. — Ty potworze! — krzychał. — Potworze bez serca! Po co poprowadziłaś tę starą kobietę na śmierć? — Dziewczyna zignorowała go, ale kiedy wracał do samochodu, podszedł do niego sarpancza i rzekł: — Byliśmy

biednymi ludźmi. Nie mieliśmy nawet nadziei na to, że udamy się kiedykolwiek do Świętej Mekki, dopóki ta tutaj nas nie przekonała. Przekonała nas i oto widzisz owoce jej uczynku.

Kapłanka Aisza poprosiła sarpancę o chwilę rozmowy, nie wypowiedziała jednak ani słowa pocieszenia. — Umocnij swoją wiarę — upomniała go. — Ta, która umiera w czasie wielkiej pielgrzymki, pewna jest swojego domu w Raju. Twoja żona siedzi teraz pośród aniołów i kwiatów; czego miałbyś żałować?

Tego wieczora sarpancza Muhammad Din podszedł do mirzy Sajjida, siedzącego przy małym ognisku. — Przepraszam, Seth-dzi — zapytał — czy to jest możliwe, abym ja też jechał samochodem, jak to wcześniej proponowałeś?

Nie w pełni skory do porzucenia przedsięwzięcia, za które umarła jego żona, niezdolny do zachowania dłużej absolutnej wiary, której wymagała wyprawa, Muhammad Din znalazł się wewnątrz limuzyny sceptycyzmu. — Mój pierwszy nawrócony — mówił o nim z radością mirza Sajjid.

* * *

Czwartego tygodnia przejście sarpanczy Muhammada Dina do przeciwnego obozu zaczęło przynosić efekty. Siedział na tylnym siedzeniu mercedesa, jak gdyby to on był zamindarem, a mirza Sajjid — jego szoferem i powoli skórzana tapicerka, klimatyzacja, barek z whisky i elektrycznie sterowane lustrzane szyby zaczęły uczyć go pychy; jego nos zadzierał się coraz wyżej, a twarz przybierała wyraz lekceważenia, charakterystyczny dla człowieka, który widzi wszystko, sam nie będąc widzany. Oczy i nos mirzy Sajjida, siedzącego za kierownicą, wypełniał pył dostający się przez otwór po szybie, ale pomimo tych niewygód Sajjid czuł się lepiej niż przedtem. Teraz, pod koniec każdego dnia, wokół mercedesa-benza i jego błyszczącej gwiazdy zbierała się grupka pielgrzymów i mirza Sajjid starał się przemówić im do rozsądku, podczas gdy oni patrzyli, jak sarpancza Muhammad Din podnosi i opuszcza lustrzane szyby i widzieli na przemian jego i swoje twarze. Obecność sarpanczy w mercedesie nadała nową wartość słowom mirzy Sajjida.

Aisza nie starała się odciągnąć wieśniaków od samochodu i jak dotąd jej pewność siebie była uzasadniona; nie było więcej przejść do obozu niewiernych. Ale Sajjid dostrzegł liczne spojrzenia rzucane przez nią w jego kierunku i, czy miała zdolność jasnowidzenia, czy nie, mirza Sajjid gotów był się założyć o duże pieniądze, że to były gniewne spojrzenia młodej dziewczyny, której nie będzie już dany wybór własnej drogi.

A potem zniknęła.

Odeszła któregoś popołudnia podczas sjeisty i nie pojawiła się przez półtora dnia, podczas których wśród pielgrzymów panował rwetes nie do opisania — ona zawsze wiedziała, jak poskromić emocje tłumu, to Sajjid musiał przyznać; potem przyszła wolnym krokiem przez tumany wszechobecnego pyłu — tym razem jej srebrne włosy mieniły się złotem, tak jak brwi. Zebrała wieśniaków i powiedziała im o niezadowoleniu archanioła z tego, że ludzie z Titlipur są przepelnieni zwątpieniem po tym, jak męczennica wstąpiła do Raju. Ostrzegła, że archanioł rozważa cofnięcie swojej oferty dotyczącej rozstąpienia się wód. „Pójdziecie się tam tylko wykąpać w słonej wodzie i powrócicie na swoje spustoszone suszą pola ziemniaków, na które już nigdy nie spadnie ani kropla deszczu”. Wieśniaków ogarnęła trwoga. — Nie, to nie może być! — biadali. — Bibidzi, przebacz nam. — Po raz pierwszy wymienili imię mitycznej świętej, aby nadać je dziewczynie posiadającej władzę absolutną i wywołującej po raz pierwszy strach, prawie tak silny jak poprzednio uwielbienie. Po przemowie sarpancza i mirza Sajjid zostali sami w limuzynie. — Druga runda dla archanioła — pomyślał Sajjid.

* * *

Piątego tygodnia zdrowie większości starszych pielgrzymów zaczęło mocno szwankować, zapasy żywności były na wykończeniu, trudno było o wodę, a oczom dzieci zabrakło już łez. Stada sępów nie oddalały się ani na krok.

Kiedy pielgrzymi zostawili za sobą obszary wiejskie i weszli w gęściej zaludnione rejony, trudy eskapady wzrosły niepomierne. Autobusy i ciężarówki, jeżdżące na długich trasach, nie były skore do manewrów i piesi musieli, wrzeszcząc i tratując się wzajemnie, nie raz uciekać. Rowerzyści, sześciuosobowe rodziny na skuterach marki Radżut, obwoźni sprzedawcy kłęli na czym świat stoi. — Szajbusy! Postrzeleńcy! Muzułmanie! — Często byli zmuszeni maszerować całą noc, ponieważ władze w tym czy innym miasteczku nie życzyły sobie, aby taki motłoch spał na ich chodnikach. Wzrost liczby zgonów był nieunikniony.

Wtedy w pewnym bezimiennym miasteczku, wół nawróconego Osmana upadł na kolana pomiędzy rowery i wielbłądzie odchody. — Wstawaj, idioto — wrzeszczał bezsilnie na zwierzę. — Co ty sobie wyobrażasz? Zdychasz przed obcymi?! — Wół pokiwał łbem, dwa razy na „tak”, i wyzionął ducha.

Motyle przykryły ciało, przybierając kolor szarego korpusu, rogów i dzwonek. Zrozpaczony Osman pobiegł do Aiszy (wokół której, pomimo że założyła brudne sari, aby zadośćuczynić miejskiej pruderii, unosiła się wciąż aureola z motyli). — Czy woły idą do Nieba? — zapytał żalonym głosem; wrzuciła ramionami. — Woły nie mają duszy — odpowiedziała chłodno. — My mamy du-

sze do ocalenia. Osman popatrzył na nią i zdał sobie sprawę z tego, że już jej nie kocha — Stałaś się demonem — powiedział do niej z odrazą.

— Ja jestem niczym — odparła Aisza. — Jestem posłańcem.

— Powiedz mi w takim razie, dlaczego twój Bóg jest tak skory do tego, aby unicestwiać niewinne istoty? — wybuchnął Osman. — Czego się boi? Czy jest tak niepewny swego, że potrzebuje naszej śmierci na dowód tego, że go miłujemy?

Jakby w odpowiedzi na tak jawne bluźnierstwo, Aisza wymogła na pielgrzymach jeszcze większy rygor, nalegając, aby odmawiali wszystkie pięć modlitw, i ustanawiając piątek dniem postnym. Pod koniec szóstego tygodnia zmusiła maszerujących, aby zostawili cztery ciała tam, gdzie upadły: dwóch starców, staruszkę i sześćioletnią dziewczynkę. Pielgrzymi maszerowali dalej, zostawiając umarłych za sobą; mirza Sajjid Achtar zbierał ciała i zapewniał im godny pochówek. Pomagali mu w tym sarpancz Muhammad Din i wcześniej nietykalny Osman. W takie dni zostawali nieco w tyle, jednak mercedes-benz nie potrzebował wiele czasu, aby dogonić ponad stuczterdziestoosobową kolumnę złożoną z kobiet i dzieci powłóczących nogami w kierunku morza.

* * *

Liczba zgonów wzrastała gwałtownie, i rosły też grupki zaniepokojonych pielgrzymów gromadzących się noc w noc wokół mercedesa. Mirza Sajjid zaczął opowiadać im różne historie. Mówił im o lemingach i o tym, jak czarownica Kirke przemieniała mężczyzn w świnie; opowiedział także, jak szczurołap, grając na fujarce, wywiódł dzieci z miasteczka i zwabił je nad górskie urwisko. Kiedy skończył, wyrecytował im wersety po angielsku, aby mogli wsłuchać się w muzykę poezji, chociaż nie mogli zrozumieć słów. — Hemelin town's in Brunswick — zaczął. — Near famous Hanover City. The Ricer Weser, deep and wide, washes its walls on the southern side. . .

Czuł satysfakcję, patrząc na zbliżającą się dziewczynę Aiszę. Wyglądała na wściekłą. Za jej plecami motyle jaśniały jak ogień i odnosiło się wrażenie, że płomienie wypełzają z jej ciała.

— Ci, którzy słuchają wersetów Diabła, mówią językiem Diabła — wołała — w końcu pójda do Diabła.

— Mają więc wolny wybór — odpowiedział mirza Sajjid — wybór pomiędzy diabłem a głęboką błękitną tonią.

* * *

Minęło już osiem tygodni i stosunki pomiędzy mirzą Sajjidem a jego żoną popsuły się tak bardzo, że nie odzywali się nawet do siebie. Teraz, pomimo raka, który nadał skórze Miszal odcień szarości popiołu kremacyjnego, została ona adiutantką i najwierniejszą uczennicą Aiszy. Wątpliwości pozostałych pielgrzymów wzmocniły tylko jej wiarę, winę za te wahania ponosił oczywiście jej mąż.

— Zatem — podsumowała go w ostatniej rozmowie — nie ma już w tobie ciepła. Boję się podejść do ciebie.

— Nie ma ciepła — wrzasnął. — Jak możesz tak mówić? Nie ma ciepła? Dla kogo pobiegłem na tę cholerną pielgrzymkę? Aby kim się opiekować? Ponieważ kogo kocham? Ponieważ o kogo się martwię, kto przepelnia mnie smutkiem i zgryzotą? Nie ma ciepła? Czy mnie nie znasz? Jak możesz wygadywać takie rzeczy?

— Posłuchaj siebie — powiedziała cichnącym głosem. — Zawsze ten gniew. Zimny, lodowaty gniew, jak twierdza.

— To nie gniew — wydarł się. — To obawa, zgryzota, bezradność, rany, ból. Gdzie ty słyszysz gniew?

— Słyszę — wyszeptała — słyszą wszyscy w promieniu czterech mil.

— Pojedźmy stąd — błagał ją — zawiozę cię do najlepszych klinik w Europie, Kanadzie. Ufaj zachodnim technologiom. Potrafią czynić cuda. Zawsze lubiłaś te ich zabaweczki.

— Idę z pielgrzymką do Mekki — odparła i odwróciła się od niego.

— Ty cholerna głupia dziwko — ryknął. — To, że chcesz sobie umierać, wcale nie oznacza, że masz ciągnąć ze sobą tych ludzi. — Ale ona odeszła wzdłuż przydrożnego obozu, nie zaszczyciwszy go nawet spojrzeniem, i teraz Mirza stając się żywym dowodem, że nie jest w stanie utrzymać nerwów na wodzy i że mówi same ohydztwa, padł na kolana i zapłakał. Po kłótni Miszal zabroniła mu kiedykolwiek spać obok siebie. Ona i jej matka zwinęły derkę i przeniosły się w pobliże motylego posłania prorokini pielgrzymki do Mekki.

Za dnia Miszal pracowała bez wytchnienia wśród pielgrzymów, utwierdzając ich w wierze, wzmacniając morale i chroniąc ich pod skrzydłami własnej łagodności. Aisza usuwała się coraz bardziej w cień, podczas gdy Miszal Achtar stawała się, pod wieloma względami i z różnych powodów, przywódczynią grupy. Jednak nad jednym z uczestników pielgrzymki straciła kontrolę: była to jej matka, żona dyrektora banku państwowego, pani Kurajszi.

Przybycie pana Kurajszi, ojca Miszal, było ważnym wydarzeniem. Pielgrzymi zatrzymali się w cieniu platanów, zajęci zbieraniem chrustu i szorowaniem naczyń, kiedy pojawiła się kawalkada samochodów. Pani Kurajszi, dwadzieścia

pięć funtów lżejsza niż na początku wędrówki, natychmiast skoczyła z piskiem na nogi i zaczęła gorączkowo otrząpywać z brudu ubranie i doprowadzać włosy do porządku. Miszal zobaczyła matkę, gdy ta pospiesznie smarowała się nadtopioną szminką do ust. — Co cię dzieje, mateczko, uspokój się, na.

Matka wskazała drżącą dłonią na zbliżające się samochody. Kilka chwil później wysoki, srogi bankier stanął obok nich. — Nie uwierzyłbym, gdybym nie zobaczył — powiedział. — Mówili mi, ale ja to olałem. Jednak trochę to trwało, abym się przekonał. Żeby tak zniknąć z Peristanu bez jednego słowa: co to za przekleństwo?

Pani Kurajszi zadygotała pod spojrzeniem męża i zaczęła płakać, czując drżenie kolan i zmęczenie, wypełniające każdą komórkę jej ciała. — O Boże, nie wiem, przepraszam — powiedziała. — Bóg jeden wie, jak to się stało.

— Czy nie wiesz, jaką zajmuję pozycję! — darł się pan Kurajszi. — Jej fundamentem jest zaufanie ludzi. Jak to wygląda, kiedy moja żona włóczy się z bhangii?

Miszal objęła matkę i powiedziała ojcu, żeby przestał się nad nią pastwić. Pan Achtar po raz pierwszy dostrzegł znak śmierci na czole swojej córki i powietrze uszło z niego jak z dziurawej dętki. Miszal powiedziała mu o nowotworze i obietnicy sri Aiszy. Obietnicy cudu, który ma się wydarzyć w Mekce. Obietnicy całkowitego powrotu do zdrowia.

— Pozwól więc, żebym cię prędziutko zawiózł do Mekki samolotem — nalegał ojciec. — Po co iść, skoro można polecieć?

Ale Miszal pozostała nieugięta. — Powinieneś odejść — powiedziała ojcu — tylko wiara może tego dokonać. Mamusia będzie się mną opiekować.

Nie znalazłszy wyjścia z sytuacji, pan Kurajszi dołączył wraz ze swoją limuzyną na koniec procesji do mirzy Sajjida, przez cały czas posyłając jednego z dwóch swoich służących na skuterze, aby zapytać, czy córka nie potrzebuje żywności, lekarstw, środków wzmacniających — w ogóle czegokolwiek. Miszal odrzucała wszystkie jego propozycje, aż po trzech dniach — ponieważ biznes to biznes — pan Kurajszi udał się do miasta, zostawiając jednego z czaprasi na skuterze, aby obsługiwał kobiety. — Zostawiani go na wasze usługi — powiedział — nie bądźcie głupie. Ułatwiajcie sobie podróż, jak to tylko możliwe.

Dzień po odjeździe pana Kurejszi, czaprasi Gul Muhammad wywalił swój skuter do rowu i przyłączył do pielgrzymów, zawiązując chustkę na głowie, aby podkreślić swoją religijność. Aisza nic nie powiedziała, ale kiedy zobaczyła kierowcę skutera przyłączającego się do pieszych, uśmiechnęła się szeroko figlarnym uśmiechem, który przypomniał mirzy Sajjidowi, że nie jest ona tylko, pomimo wszystko, postacią ze snu, ale także młodą dziewczyną z krwi i kości.

Pani Kurajszi zaczęła narzekać. Krótki powrót do dawnej rzeczywistości złał jej zaangażowanie i teraz, po fakcie, zaczęła przypominać sobie przyjęcia, miękkie poduszeczki i szklanki zmrożonej lemoniady. Nagle wydało się jej zupełnie absurdalne to, że kobieta o takim pochodzeniu może chodzić boso jak zwykła

pomywaczka. Zwróciła się z zakłopotaną miną do mirzy Sajjida. — Sajjidzie, synu, nienawidzisz mnie, prawda? — Mizdrzyła się pulchnymi wdziękami w żalostnej parodii kokieterii.

Sajjida zatrwożyły jej zabiegi. — Oczywiście, że nie — zdołał wykrztusić.

— Ależ tak, nienawidzisz mnie i mój przypadek jest beznadziejny — kokietowała dalej.

— Ammadzi — Sajjid głośno przełknął ślinę — co ty mówisz?

— No, bo od czasu do czasu nie byłam dla ciebie zbyt dobra.

— Zapomnijmy o tym — powiedział Sajjid, rozbawiony tym wstępem, ale ona nie chciała zapomnieć. — Trzeba ci wiedzieć, że mówiłam to wszystko z miłości. Miłość — powiedziała pani Kurajszi — to szczytna i zbożna rzecz.

— Sprawia, że istnieje świat — zgodził się mirza Sajjid, starając się uchwycić ducha tej konwersacji.

— Miłość pokona wszystko — potwierdziła pani Kurajszi. — Pokonałam swój gniew. Muszę ci to udowodnić, jadąc z tobą w twojej maszynie.

Mirza Sajjid skłonił się nisko. — Na twoje usługi, Amma-dzi.

— Wobec tego poprosisz tych dwóch wieśniaków, aby usiedli z tobą z przodu. Damy należy ochraniać, prawda?

— Oczywiście — odpowiedział.

* * *

Opowieść o mieszkańcach pewnej wsi idących do morza rozniosła się po całym kraju i dziewiątego tygodnia pielgrzymów zaczęli nawiedzać dziennikarze, miejscowi politykierzy w poszukiwaniu wyborców, biznesmeni, oferujący chęć sponsorowania marszu, jeśli tylko yatri zgodziliby się nosić tablice reklamujące towary i usługi, zagraniczni turyści łaknący tajemnic Wschodu, nostalgiczni gandhiści i specyficzny rodzaj ludzkich sępów, chodzących zwykle na wyścigi samochodowe, aby oglądać wypadki. Kiedy zobaczyli rój kameleonowych motyli i sposób, w jaki ubierają i żywią dziewczynę Aiszę, byli wstrząśnięci i odjeżdżali zawiedzeni w swoich oczekiwaniach, to znaczy z wielką luką w obrazie świata, której nie można zappełnić kolorowymi fotkami. Fotografie Aiszy ukazywały się we wszystkich gazetach, pielgrzymi czasami mijali słupy ogłoszeniowe z trzykrotnie powiększoną postacią motylej piękności, poniżej slogany informowały *Nasze ubrania są równie delikatne jak skrzydła motyli*, lub coś podobnego. Potem dotarły do nich bardziej alarmujące wieści. Pewne ugrupowania religijnych ekstermistów wydały oświadczenie, oznajmiające, że „Hadżdża Aiszy” jest przykładem „porwania” uwagi publicznej, aby „podżegać nastroje ludzkie”. Kol-

portowano ulotki — Miszal podniosła jedną z drogi — w których twierdzono, że „Padjatra, czy też piesza pielgrzymka, jest starodawnym, pre-islamskim obyczajem wchodzącym w skład kultury narodowej, a nie zapożyczeniem od mogolskich imigrantów”. Także: „zawłaszczenie tego obyczaju przez tak zwaną Aiszę Bibidzi jest świadomym i celowym zaognianiem już i tak napiętej sytuacji.”

— Nie będzie kłopotów — zakomunikowała kahina, przerywając swoje milczenie.

* * *

Gibril wyśnił przedmieście:

Kiedy Aisza Hadż zbliżyła się do Sarang, przedmieść wielkiej metropolii przy Morzu Arabskim, ku któremu wizjonerka prowadziła pielgrzymów, wizyty polityków, policji i dziennikarzy przybrały na sile. Na początku policjanci zagrozili, że rozpędzą marsz; jednakże politycy odradzili ten sposób, ponieważ mogłoby to wyglądać na decyzję sekciarską i spowodować wybuch niepokojów społecznych w całym kraju, wzdłuż i wszerz. W końcu policja zezwoliła na przejście pielgrzymki, ale ostrzegła też poważnie, że „nie jest w stanie zagwarantować bezpiecznego przejścia”. Miszal Achtar zdecydowała: — Idziemy dalej.

Przedmieście Sarang nosiło ewidentne piętno obecności sporych zasobów węgla kamiennego. Okazało się, że tutejsi górnicy, dzięki którym rozstępowały się skały — „rozstępują je”, jakby ktoś mógł powiedzieć — nie mogli ścierpieć myśli o tym, że jakaś dziewczyna mogłaby zrobić to samo z falami morskimi, skinąwszy tylko ręką. Kadry pewnych ugrupowań komunistycznych miały ręce pełne roboty, podburzając górników do ataków przemocy, i na skutek działalności prowokatorów zaczął się zbierać motłoch, niosąc transparenty oznajmiające: ŻADNYCH ISLAMSКИCH PADJATR! MOTYLA WIEDŹMO, DO DOMU.

W nocy przed wejściem do Sarangu mirza Sajjid wygłosił kolejne kwieciste przemówienie, apelując do pielgrzymów: — Zrezygnujcie — tłumaczył. — Jutro wszyscy zginiemy — Aisza szepnęła coś do Miszal, a ta wypowiedziała głośno słowa dziewczyny: — Lepiej być męczennikiem niż tchórzem. Czy są tutaj jeszcze jacyś tchórze?

Był jeden. Sri Srinivas, badacz Wielkiego Kanionu, właściciel Toy Univas, którego mottem przewodnim była efektywność i uczciwość, stanął po stronie mirzy Sajjida. Jako oddany czciciel bogini Lakszmi, której spojrzenie zwodziło tak, jak spojrzenie Aiszy, poczuł, że nie jest w stanie uczestniczyć w nadchodzących zamieszkach. — Jestem mięczakiem — wyznał Sajjidowi — Kochałem pannę Aiszę, a mężczyzna powinien walczyć za to, co miłuje; ale teraz, cóż począć,

muszę zająć stanowisko neutralne. — Srinivas został piątym członkiem towarzystwa renegatów z mercedesa, zaś pani Kurajszi, nie mając innego wyboru, musiała dzielić miejsce z tyłu wozu z człowiekiem z gminu. Srinivas pozdrowił ją bez specjalnego entuzjazmu i widząc, jak ostentacyjnie odsuwa się od niego, próbował ją ułagodzić. — Proszę to przyjąć jako wyraz mojego szacunku. — I wyciągnął z kieszeni lalkę do planowania rodziny.

Tej nocy dezerterzy pozostali w samochodzie, podczas gdy wierni modlili się pod gołym niebem. Pozwolono im na rozbicie obozu na złomowisku starych lokomotyw, strzeżonym przez żandarmerię. Mirza Sajjid nie mógł zasnąć. Myślał o tym, co mu powiedział Srinivas, myślał o byciu w głębi duszy gandhistą, — ale jestem zbyt słaby, aby wcielić w życie swoje ideały. Proszę mi wybaczyć, ale to prawda. Nie urodziłem się po to, by cierpieć, Seth-dzi. Powinienem być zostać z żoną i dziećmi i zwalczyć tę chorobę wiecznego poszukiwacza przygód, która sprowadziła mnie w takie miejsce.

Także w mojej rodzinie, umęczony mirza Sajjid odpowiedział śpiącemu sprzedawcy zabawek, cierpieliśmy na pewną chorobę: chorobę izolacji, niemożności identyfikacji samych siebie z rzeczami, zdarzeniami, uczuciami. Wielu ludzi realizuje się poprzez pracę, miejsca, z których pochodzą i tym podobne rzeczy; my żyliśmy zbyt pochłonięci własnymi myślami. To czyni rzeczywistość cholernie trudną do zniesienia.

Oznaczało to, że odkrył, jak trudno jest uwierzyć, że to wszystko dzieje się naprawdę; ale tak było.

* * *

Rankiem, kiedy Pielgrzymi Aiszy byli gotowi do wymarszu, olbrzymie chmury motyli, towarzyszące im od Titlipur nagle rozpadły się i zniknęły, odkrywając, że niebo wypełniały inne jeszcze, bardziej prozaiczne chmury. Nawet stworzenia, które osłaniały Aiszę — elitarna gwardia, można by powiedzieć — zdemobilizowały się i dziewczyna poprowadziła procesję ubrana w niepozorne, stare bawełniane sari z drukowanymi na oblamowaniu liśćmi. Zniknięcie cudu, który zdawał się podkreślać świętość pielgrzymki, przygnębiło wszystkich; tak że pomimo nawiwołań Miszal Achtar szli, niezdolni do śpiewu, pozbawieni błogosławieństwa motyli, ku przeznaczeniu.

* * *

Tłum Przeciwników Islamskiej Padjatry zgotował powitanie dla Aiszy, stojąc po obu stronach ulicy ogrodzonej budami warsztatów naprawy rowerów. Zablokowali trasę pielgrzymów zepsutymi rowerami i teraz za barykadą połamanych kół, pogiętych kierownic i uciszonych dzwonków czekali na to, aż Hadżdża Aiszy wejdzie w ulicę od północnej strony. Aisza szła przez tłum, jakby w ogóle nie istniał, i kiedy dotarła do ostatniego skrzyżowania, za którym oczekiwały ją pałki i noże, rozległ się grzmot, zupełnie jak gdyby trąby oznajmiły nadejście Dnia Sądu, i na ziemię runął z nieba ocean. Ulewa przyszła zbyt późno na to, by uratować zbiory; po chwili pielgrzymi uwierzyli, że Bóg oszczędzał wodę w tym właśnie celu, pozwalając jej zbierać się w niebie, aż stała się bezkresna jak morze, poświęcił roczny plon, aby ocalić swoją prorokinię wraz z jej ludźmi.

Oszalamiająca moc ulewy zmusiła do kapitulacji zarówno pielgrzymów, jak i napastników. W zamieszaniu spowodowanym powodzią usłyszano głos drugiej trąby. Był to, jakby na zawołanie, klakson mercedesa-benza mirzy Sajjida, pędzącego z zawrotną prędkością przez duszne wąwozy przedmieścia, przewracającego stojaki z koszulami, wózki pełne dyń i tace z tanimi plastikowymi wyrobami, docierającego aż do ulicy wikliniarzy, która graniczyła z ulicą warsztatów rowerowych, na północ od barykady. Tutaj przyspieszył jeszcze i popędził ku skrzyżowaniu, roztrącając we wszystkich kierunkach przechodniów i wilkinowe taborety. Dopadł celu tuż po wybuchu ulewy i gwałtownie zahamował. Sri Srinivas i Osman wychylili się z samochodu i pochwycili Miszal Achtar oraz Aiszę, wciągając je do mercedesa przy wtórze obelg, kopania i plucia. Sajjid odjechał szybko, zanim ktokolwiek zdołał otrzeć zalewającą oczy wodę.

Wewnątrz samochodu: ciała stłoczyły się w gwałtownej szamotaninie. Miszal Achtar, leżąca na dole, miotła przekleństwa pod adresem swojego męża: — Sabotażysta! Zdrajca! Szumowina znikąd! Muł! — Na co Sajjid odpowiedział sarkastycznie: — Męczeństwo jest zbyt łatwe, Miszal. Nie chcesz zobaczyć oceanu otwierającego się jak kwiat?

Pani Kurajshi wydostając głowę spomiędzy zaciśniętych kolan Osmana, z zapartym tchem dodała: — Już dobrze, przestań, Miszu, daj spokój. Chcieliśmy dobrze.

* * *

Gibril wyśnił powódź:

Kiedy spadł deszcz, górnicy z Sarang czekali z kilofami na pielgrzymów, ale kiedy zmiotło barykadę z rowerów, nie mogli się oprzeć myśli, że Bóg rzeczywiście stanął po stronie Aiszy. System kanalizacyjny miasta poddał się natychmiast przytłaczającemu atakowi wody, a górnicy wciąż stali w mulistej mazi, sięgającej im teraz do pasa. Niektórzy z nich starali się dostać do pielgrzymów, którzy także czynili próby podjęcia dalszej drogi. Ale teraz potop deszczu zwiększył się, a potem stał się po dwakroć obfitszy, spadając z nieba ścianą, przez którą trudno było oddychać; jakby ziemia zaczęła ulegać pochłonięciu, a firmament niebieski łączył się z firmamentem oceanu. Gibril, śniąc, doszedł do wniosku, że jego objawienie przyćmiła woda.

* * *

Deszcz przestał padać i wodniste słońce opromieniło wenecką scenę zagłady. Drogi Sarangu zamieniły się w kanały, po których pływały rozmaite przedmioty. W miejscu, gdzie do niedawna widać było motorowe riksze, wielbłądzie wózki i naprawione rowery, teraz na wodzie unosiły się strzępy gazet, kwiaty, bransolety, koszyki, ekskrementy, fiolki po lekarstwach, karty do gry, placki, lampy. Woda miała dziwny czerwony odcień, co podtrzymywało wiarę przemoczonego ludu w to, że ulica spływa krwią. Nie było ani śladu osiłek z kopalni i Pielgrzymów Aiszy. Jakiś pies płynął ulicą po drugiej stronie rozwalonej barykady z rowerów, wszędzie wokół zalegała głucha cisza powodzi, której fale otulały porzucone autobusy, podczas gdy dzieci gapiły się z dachów zalanych zaułków, zbyt przerażone, żeby zejść i się bawić.

Wtedy wróciły motyle.

Znikąd, jakby chowały się za słońcem, aby świętować koniec ulewy, przybrały kolor promieni słonecznych. Przybycie tego fantastycznego dywanu światłości z niebios kompletnie wytrąciło z równowagi mieszkańców Sarang, którzy jeszcze nie doszli do siebie po przeżyciach związanych z burzą; a teraz drżąc przed apokalipsą, schowali się w domach, dokładnie ryglując drzwi. Jednakże na pobliskim wzgórzu mirza Sajjid Achtar i jego grupa obserwowali cudowny powrót przepelnieni, wszyscy, nawet zamindar, czymś na kształt grozy.

Pomimo zalewającej oczy wody, deszczu, który przenikał przez otwór po wybitej szybie, mirza Sajjid nie zdejmował nogi z pedału gazu, aż przy końcu drogi wiodącej w górę dookoła wzgórza zatrzymał się przy bramie Kopalni Nr 1 w Sarang. Wieże szybowe były ledwie widoczne w strugach deszczu. — Półgłówek — przeklinała niemrawo Miszal Achtar. — Sraluchy czekają tylko, żebyśmy tam wrócili, a ty przywiołeś nas tutaj na spotkanie z ich kumplami. Wspaniale zagra-

nie, Sajjidzie. Pierwsza klasa.

Ale nie mieli już więcej kłopotów z górnikami. Był to dzień, w którym katastrofa górnicza pogrzebała żywcem piętnaście tysięcy pracowników pod wzgórzem Sarangi. Sajjid, Miszal, sarpancza, Osman, pani Kurajshi, Srinivas i Aisza stali na poboczu wycieńczeni i przemoknięci do suchej nitki, kiedy karetki, wozy strażackie, oddziały ratownicze i właściciele szybów przybywali licznie i dużo później odjeżdżali, potrząsając głowami. Sarpancza chwycił płatki uszu kciukami i palcami wskazującymi. — Życie jest bólem — powiedział. — Życie jest bólem i zgubą; monetą bez wartości, wartą nawet mniej niż kauri czy dam.

Osman od zdechłego wołu, który tak jak sarpancza stracił podczas pielgrzymki ukochanego towarzysza, również zapłakał. Pani Kurajshi starała się spojrzeć nieco bardziej optymistycznie na zaistniałe dotąd wydarzenia: — Najważniejsze jest to, że nic się nam nie stało. — Ale nikt jej nie odpowiedział. Potem Aisza zamknęła oczy i śpiewnym głosem wyrecytowała przepowiednię. — I sąd nastał na tych, co złe uczynki czynić chcieli.

Mirza Sajjid był wściekły. — Oni nie byli na tej cholernej barykadzie — krzyczał. — Pracowali pod tą przeklętą ziemią.

— Kopali sobie groby — odpowiedziała Aisza.

* * *

Było to wtedy, kiedy zobaczyli powracające motyle. Sajjid z niedowierzaniem obserwował złotą chmurę, najpierw narastającą, a potem wysyłającą we wszystkich kierunkach strumienie skrzydlatego światła. Aisza chciała wrócić na skrzyżowanie. Sajjid zaprotestował: — Tam w dole wszystko jest zalane. Możemy jedynie zjechać z boczem wzgórza i wjechać do miasta od drugiej strony. — Ale Aisza i Miszal same podjęły decyzję; prorokini podtrzymywała pobladłą towarzyszkę, obejmując ją w pasie.

— Miszal, na miłość Boską — zawołał mirza Sajjid do swojej żony. — Na miłość Boga. Co mam zrobić z samochodem?

Ale ona schodziła już ze wzgórza w kierunku wody, opierając się ciężko na sri Aiszy, bez rozglądania się wokół.

W taki to właśnie sposób mirza Sajjid Achtar musiał opuścić swojego ukochanego mercedesa-benza przy bramie wjazdowej do zatopionych kopalni w Sarang i dołączyć do pieszkiej pielgrzymki do Morza Arabskiego.

Siedmioro zmordowanych podróżników stało po uda w wodzie na skrzyżowa-

niu ulicy warsztatów rowerowych i alei wikliniarzy. Powoli, powoli woda zaczęła opadać. — Spójrzmy prawdzie w oczy — kłócił się mirza Sajjid. — Pielgrzymka skończona. Mieszkańcy wioski są Bóg wie gdzie, zostali zamordowani, utonęli, a na pewno zaginęli. Nie został ci nikt oprócz nas. — Utkwił wzrok w twarzy Aiszy. — Zapomnij o tym siostrze, umoczyłaś.

— Spójrzcie — powiedziała Miszal.

Z wszystkich stron, z zakamarków, z zaułków mieszkańcy Titlipur wracali do miejsca, w którym się rozpierzchli. Od stóp do głów odziani byli w złote motyle, a długie sznury tych małych stworzeń ciągnęły się za nimi jak liny, w każdej chwili gotowe wyciągnąć ich z opresji. Mieszkańcy Sarang ze zgrozą obserwowali przez okna, jak karzące wody opadają, a Pielgrzymka Aiszy na powrót uformowała się pośrodku drogi.

— Nie wierzę w to — powiedział mirza Sajjid.

Ale to była prawda. Każdy uczestnik pielgrzymki został wytropiony przez motyle i na powrót przywiedziony ku głównej drodze. Później działy się jeszcze dziwniejsze rzeczy: kiedy stworzenia siadały na złamanej kostce, ta zrastała się, a otwarte rany zamykały się jakby pod działaniem czarów. Wielu pielgrzymów mówiło, że zostali ocuceni przez motyle trzepoczące skrzydłami przy ich ustach. Niektórzy nawet wierzyli, że byli już martwi, utopieni, i ufali, że to motyle przywróciły ich życiu.

— Nie bądźcie idiotami — krzyczał mirza Sajjid. — Burza was ocaliła; fala wymyła was spod łap wrogów, nic więc dziwnego, że kilku z was jest rannych. Proszę, myślcie naukowo.

— Zdejmij przepaskę z oczu, Sajjidzie — powiedziała do niego Miszal, wskazując na ponad setkę mężczyzn, kobiet i dzieci spowitych w jarzące się motyle. — Co mówi o tym twoja nauka?

* * *

Przez ostatnie dni pielgrzymki otaczało ich miasto. Oficerowie z Korporacji Miejskiej spotkali się z Miszal i Aisza, aby zaplanować trasę przejścia przez metropolię. Na trasie miały się znaleźć meczety, w których pielgrzymi, nie tarasując ulic, mogliby spać. W mieście panowało niesamowite poruszenie: każdego dnia niezliczone tłumy obserwowały pielgrzymów wyruszających do następnego miejsca spoczynku, niektórzy szydzili i kłęli, ale wielu przynosiło słodczyce, lekarstwa i żywność.

Mirza Sajjid, złachany i brudny, znajdował się teraz w stanie frustracji, wywołanej niemożnością przekonania więcej niż garstki pielgrzymów, że lepiej jest

wierzyć w rozum niż w cuda. Cuda działały na nich świetnie, wieśniacy z Titlipur rozumieli to doskonale. — Te pieprzone motyle — wyszeptał Sajjid do sarpanczy. — Gdyby nie one, mielibyśmy szansę.

— Ale one były z nami od początku — odparł szarpancza i wzruszył ramionami.

Misza Achtar była niemal bliska śmierci; zaczęła już ją wyczuwać, skóra jej przybrała kolor kredy, co przeraziło Sajjida. Ale Misza nie pozwalała mu zbliżyć się do siebie. Odsunęła także swoją matkę, a kiedy ojciec oderwał się od bankowości i znalazł czas, aby ją odwiedzić podczas pierwszej nocy spędzonej w meczecie, powiedziała mu, żeby się odpieprzył. — Rzeczy zaszyły tak daleko — stwierdziła — że tylko nieskalany może przebywać z nieskalanym. — Kiedy mirza Sajjid usłyszał, że żona naśladuje sposób mówienia prorokini Aiszy, niemal do końca utracił nadzieję.

Nadszedł piątek i Aisza zgodziła się na postój, by pielgrzymi mogli uczestniczyć w piątkowych modlitwach. Mirza Sajjid, który prawie zapomniał wszystkie arabskie wersety, wbijane niegdyś różgą, z trudem odnalazł w pamięci elementy obrządku, kiedy stać z rękoma wyciągniętymi przed siebie, kiedy upaść na kolana, a kiedy bić czołem w ziemię; przebrnął przez całą ceremonię z rosnącym obrzydzeniem do samego siebie. Pod koniec modlitw zdarzyło się jednak coś takiego, co spowodowało, iż Pielgrzymka Aiszy zatrzymała się.

Kiedy pielgrzymi obserwowali zgromadzonych opuszczających dziedziniec meczetu, przed główną bramą wszczął się jakiś rwetes. Mirza Sajjid poszedł to sprawdzić. — Co to za hałasy? — zapytał i zaczął się przeciskać przez tłum na schodach meczetu; następnie zobaczył koszyk na najniższym stopniu. — Z koszyka dobiegł go przybierający na sile płacz noworodka.

Podrzutek miał może ze dwa tygodnie; na pewno pochodził z nieprawego łoża, oczywistym było to, że jego szansę na życie są ograniczone. Tłum miał raczej sceptyczne nastawienie. Na to u szczytu schodów pojawił się imam z meczetu, tuż za nim stała sri Aisza, której sława rozniosła się już po mieście.

Tłum rozstał się jak morskie fale, a Aisza wraz z imaniem podeszła do miejsca, w którym stał koszyk. Imam obejrzał dziecko; podniósł je; i zwrócił się do tłumu.

— To dziecko zostało zrodzone ze zła — powiedział. — To dziecko Diabła. — Był młodym mężczyzną.

Tłum zawrzał gniewem. Mirza Sajjid Achtar krzyknął: — A ty, kahina Aisza. Co ty na to powiesz?

— Wszystko zostało powiedziane — odrzekła.

Tłum, nie wymagając wyraźniejszego zaproszenia, ukamienował niemowlaka.

* * *

Po tym wydarzeniu Pielgrzymi Aiszy odmówili dalszego marszu. Śmierć pod-
rzutka wytworzyła atmosferę apatii wśród zmęczonych ludzi, spośród których
żaden nawet nie podniósł kamienia. Biała jak śnieg Miszal była zbyt słaba, aby
pogonić mieszkańców Titlipur, Aisza, jak zwykle odrzuciła wszelkie dyskusje. —
Jeśli odwrócić się do Boga plecami — ostrzegła wieśniaków — nie zdziwicie
się, jeśli on uczyni wam to samo.

Pielgrzymi kucnęli w rogu dużego meczetu pomalowanego na zewnątrz na
kolor seledynowy, jasnoniebieskiego w środku i oświetlonego, jeśli było to ko-
nieczne, dzięki wielokolorowym jarzeniówkom. Po ostrzeżeniu Aiszy obrócili się
do niej plecami i stłoczyli się, pomimo wysokiej temperatury i wilgotności po-
wietrza. Mirza Sajjid, widząc w tym sprzyjającą sposobność, postanowił jeszcze
raz wyzwać Aiszę. — Powiedz mi konkretnie — zapytał słodko — w jaki sposób
anioł przekazuje ci te informacje? Nigdy nie przytaczasz nam jego słów, tylko
swoją ich interpretację. Po co taka gmatwanina? Dlaczego by go po prostu nie
cytować?

— Przemawia do mnie — odpowiedziała Aisza — w prosty i łatwy do powtó-
rzenia sposób.

Mirza Sajjid, pełen nie spełnionego pożądanego do prorokini i bólu po utrac-
nym kontakcie z umierającą żoną, pamiętając trudy wyprawy i czując przewagę
nad Aiszą, poszedł za ciosem. — Mogłabyś wyrażać się bardziej precyzyjnie?
— nalegał. — Bo właściwie dlaczego mamy ci wierzyć? O jakimże to sposobie
mówiłaś?

— Archanioł śpiewa do mnie — wyznała — na melodie popularnych przebo-
jów.

Mirza Sajjid klasnął uradowany w dłoń i wybuchnął śmiechem zemsty,
a Osman, chłopiec-od-wołu, dołączył do niego, uderzając w swoje dholki i ska-
cząc wokół siedzących wieśniaków, śpiewał szlagier z ostatniego filmu i „robił”
oczy słodkiej idiotki. — Ho dzi! — zaintonował. — Tak oto przemawia Gibril, ho
dzi! Ho dzi!

I jeden po drugim, pielgrzym za pielgrzymem, wstawali i dołączali do płą-
sającego bębniarza, wytańcowując na dziedzińcu meczetu swoje rozczarowanie
i odrazę, aż przybiegł imam, rugając ich za bezbożność uczynków.

* * *

Zapadła noc. Wieśniacy zgromadzili się wokół swojego sarpanczy Muhammada Dina; trwały poważne rozmowy o powrocie do Titlipur. Być może uda się ocalić trochę plonów. Miszal Achtar umierała w ramionach swojej matki, złamana bólem, z pojedynczą łzą wypływającą z lewego oka. W odległym rogu dziedzińca zielono-niebieskiego meczetu z jego technikolorowymi jarzeniówkami, siedziała wizjonerka i zamindar. Rozmawiali. Księżyc — zmieniony, w nowiu, chłodny — świecił nad nimi.

— Jesteś mądrym człowiekiem — powiedziała Aisza. — Wiedziałeś, jak wykorzystać swoją szansę.

Wtedy mirza Sajjid zaproponował kompromis.

— Moja żona umiera — powiedział — a ona bardzo chce dojść do Mekki Szafir. Mamy więc wspólny interes, ty i ja.

Aisza słuchała. Sajjid drażył dalej: — Aiszo, ja nie jestem złym człowiekiem. Pozwól sobie powiedzieć, że byłem pod cholernym wrażeniem wielu rzeczy podczas tej wyprawy; pod *cholernym* wrażeniem. Ofiarowałaś tym ludziom niezapomniane doświadczenie duchowe, bez wątpienia. Nie myśl, że nam, współczesnym, brak wymiaru duchowego.

— Ludzie mnie opuścili — powiedziała Aisza.

— Ludzie są w rozterce — odrzekł Sajjid. — Chodzi o to, że jeśli zaprowadzisz ich do morza i nic się nie stanie, mój Boże, to mogą naprawdę obrócić się przeciwko tobie. Proponuję ci układ. Rozmawiałem z ojcem Miszal, a on zgodził się pokryć połowę kosztów. Mamy taką propozycję: chcemy, abyście ty, Miszal i powiedzmy dziesięciu — dwunastu! — wieśniaków dolecieli do Mekki w ciągu czterdziestu ośmiu godzin. Można jeszcze zarezerwować bilety. Tobie pozostawiamy wybór osób najbardziej predysponowanych do podróży. W ten sposób, naprawdę, będziesz mogła uczynić jeden cud zamiast żadnego. Według mnie ta pielgrzymka i tak sama w sobie była w pewnym sensie cudem. Uczynisz więc bardzo dużo.

Mirza wstrzymał oddech.

— Muszę to przemyśleć — odparła Aisza.

— A przemyśl, przemyśl — zachęcał ją Sajjid ochoczo. — Zapytaj swojego archanioła. Jeśli się zgodzi, to będzie dobrze.

* * *

Mirza Sajjid Achtar wiedział, że jeśli Aisza ogłosi, że Archanioł Gibril przyjął ofertę, jej wiedza przypadnie na zawsze, ponieważ wieśniacy dostrzegą jej oszustwo i desperację. — Ale jak może się nie zgodzić? — Jaki ma inny wybór? — Zemsta jest słodka — powiedział do siebie. Jak już zdyskredytuje pozycję kobiety, zabierze oczywiście Miszal do Mekki, jeśli nadal jest to jej życzeniem.

Motyle z Titlipur nie wleciały do meczetu. Otaczały go z zewnątrz, jego mury i cebulastą kopułę, jarząc się w ciemnościach zielonkawą poświatą.

* * *

Aisza w nocy: chodziła kocim krokiem w mroku, kładła się, wstawiała znowu i włóczyła się bez celu. Trapiło ją niezdecydowanie; a wtedy przyszła powolność i dziewczyna roztopiła się w cieniach meczetu. Wróciła o świcie.

Po porannej modlitwie poprosiła pielgrzymów o chwilę uwagi; a ci, pełni wątpliwości, przystali na to.

— Ostatniej nocy anioł nie zaśpiewał — powiedziała. — Zamiast tego opowiedział mi o zwątpieniu i o tym, jak Diabeł robi z tego użytek. Ja rzekłam, ale oni wątpią, co mam uczynić? Odpowiedział: tylko dowód jest w stanie rozproszyć wątpliwości.

Słuchali z zapartym tchem. Następnie opowiedziała o tym, co jej powiedział w nocy mirza Sajjid. — Powiedział mi, żebym poszła i zapytała mojego anioła, ale ja wiem lepiej — krzyczała. — Jak mogłabym wybierać? Albo wszyscy, albo nikt.

— Dlaczego mamy iść za tobą — zapytał sarpancza. — Po tych wszystkich zgonach, dziecku i w ogóle?

— Ponieważ, kiedy wody się rozstąpią, będziecie zbawieni. Wkroczycie w Chwałę Najwyższego.

— Jakie wody — wrzasnął mirza Sajjid. — W jaki sposób się rozstąpią?

— Idźcie za mną — zakończyła Aisza — i osądźcie mnie po ich rozstąpieniu.

Jego propozycja zawierała stare pytanie: *Jakiej hołdujesz idei?* A ona odpląciła mu starą odpowiedzią. *Kusiło mnie, przyznaję, ale oto jestem odrodzona; bezkompromisowa; nieskalana, czysta.*

* * *

Przyptyw już wzbierał falami, kiedy Pielgrzymka Aiszy szła w dół aleją za Holiday Inn, którego okna pełne były kochanek gwiazd filmowych, używających swoich nowych polaroidów — kiedy pielgrzymi poczuli, że miejski asfalt zmienia się w piach, — kiedy znaleźli się pośród wysokiej sterty gnijących orzechów kokosowych pustych pudełek po papierosach końskiego gówna nieszkodliwych dla środowiska naturalnego butelek skórek owoców meduz i papieru, nad brązowym piaskiem zwieszały się liście palm kokosowych i balkony luksusowych apartamentów z widokiem na morze, — wśród grup młodych mężczyzn, których mięśnie były tak ukształtowane, że wyglądali jak zdeformowani, i którzy wykonywali rozmaitego rodzaju ćwiczenia gimnastyczne, z pasją, jak mordercza armia tancerzy baletowych, — poprzez grabiących plażę, członków klubów i rodziny tych, którzy przyszli tu po to, aby zaczerpnąć powietrza lub nawiązać kontakty ułatwiające robienie interesów lub oczyścić życie z piasku, — i gapili się, po raz pierwszy w swoim życiu, na Morze Arabskie.

Mirza Sajjid zobaczył Miszal, podtrzymywali ją dwaj wieśniacy, ponieważ nie mogła ustać już o własnych siłach. Aisza stała tuż za nią, i Sajjidowi wydawało się, że prorokinię w pewnym stopniu raduje fakt, że Miszal umiera, że cała jasność uleci z jej ciała, przybierając mitologiczny kształt i zostawiając za sobą ziemską powłokę na zatracenie. Był zły na siebie za to, że on również dał się zarazić supernaturalizmem Aiszy.

Wieśniacy z Titlipur po długich dyskusjach zgodzili się dalej iść za Aiszą, chociaż prosili ją wcześniej o to, aby zrezygnowała z wyprawy. Zdrowy rozsądek podpowiedział im, że byłoby głupio wycofać się teraz, kiedy zaszli tak daleko i są prawie u celu; ale ogarnęły ich nowe wątpliwości. Było teraz tak, jakby wynurzyli się z jakiegoś Szangri-La dzieła Aiszy, ponieważ teraz raczej spacerowali niż podążali za nią, choć z każdym krokiem zdawali się starzeć i marnieć. Kiedy dotarli do morza, byli już tylko zbieraniną okaleczonych, kulejących, rozgorączkowanych reumatyków z przekrwionymi oczyma i mirza Sajjid zastanawiał się, ilu z nich zdoła przejść kilka końcowych jardów dzielących ich od wody.

Motyle wciąż były z nimi, wysoko nad ich głowami.

— I co teraz, Aiszo? — zawołał Sajjid, przepelniony okropną wizją śmierci swojej ukochanej żony pod kopytami kucyków i spojrzeniami sprzedawców napojów orzeźwiających. — Przywiodłaś nas wszystkich na krawędź istnienia, ale oto niezaprzeczalny fakt morze. Gdzie jest teraz twój anioł?

Dziewczyna wspięła się przy pomocy wieśniaków na niepotrzebny koszt, stojąc tuż przy budce z napojami orzeźwiającyymi, nie odpowiedziała Sajjidowi od razu, uczyniła to dopiero wtedy, kiedy mogła spojrzeć na niego z góry. — Gi-

bril powiada, że morze jest jak nasze dusze. Kiedy je otworzymy, znajdziemy mądrość. Jeśli potrafimy rozewrzeć nasze serca, potrafimy to samo uczynić z morzem.

— Rozstąpienie było klęską na lądzie — kpił Sajjid. — Wielu ludzi zmarło, jak zapewne pamiętasz. Myślisz, że w wodzie będzie inaczej?

— Ciii — odezwała się nagle Aisza. — Anioł jest bardzo blisko.

Było to w gruncie rzeczy zdumiewające, że pomimo całej uwagi, jaką na sobie skupiali, tłum na plaży był niewielki, ale i tak miejscowe władze podjęły daleko idące środki ostrożności, z zamknięciem dróg i objazdami włącznie, tak więc na plaży stało około dwustu gapiów. Nie było się czego obawiać.

To, co *było* dziwne, to fakt, że ci ludzie nie widzieli ani motyli, ani tego, co zrobiły później. Mirza Sajjid natomiast pilnie obserwował wielką świetlistą chmurę unoszącą się nad morzem; odpoczynek; wzlot; i formującą się w olbrzymie istnienie; pulsującego olbrzyma złożonego z malutkich wibrujących skrzydełek, rozciągającego się od horyzontu po horyzont, wypełniającego nieboskłon.

— Anioł! — zawołała Aisza do pielgrzymów. — Teraz widzicie! Cały czas był wśród nas. Czy teraz mi wierzycie?! — Mirza Sajjid zauważył nawrót wiary u pielgrzymów.

— Tak — szlochali, błagając Aiszę o przebaczenie. — Gibril! Gibril! Ya Allah.

Mirza Sajjid jeszcze raz spróbował zasiać ziarno sceptycyzmu. — Chmury przybierają różne kształty — krzychał. — Słoni, gwiazd filmowych, czegokolwiek. Spójrzcie, nawet teraz się zmienia. — Ale nikt nie zwracał na niego uwagi; obserwowali, pełni zachwytu, jak motyle zanurzyły się w morzu. Wieśniacy krzyczeli, tańcząc z radości. — Rozstąpienie! Rozstąpienie! — Naoczni świadkowie zawołali do mirzy Sajjida: — Hej, panie, co ich tak rajcuje? My niczego nie widzimy.

Aisza ruszyła w kierunku wody i Miszal podążyła za nią, ciągnięta przez dwóch ludzi. Sajjid dopadł jej i zaczął siłować się z wieśniakami. — Zostawcie moją żonę! Natychmiast! Niech was szlag! Jestem waszym zamindarem. Puśćcie ją; precz z tymi brudnymi łapami! — Ale Miszal wyszeptwała: — Nie zrobią tego. Odejdź, Sajjidzie. Ty jesteś zamknięty. Morze otwiera się tylko dla tych, którzy otwierają serca.

— Miszal! — wrzasnął, ale jej stopy obmywała już woda.

Kiedy tylko Aisza weszła do wody, wieśniacy rozpoczęli wyścig.

Ci, którzy sami nie mogli, biegli wsparci na ramionach sprawniejszych. Matki z Titlipur, z dziećmi na rękach wpadały do wody; wnuki niosły babcie i wskakiwały z nimi w fale. W ciągu kilku minut cała wieś znajdowała się w wodzie, prychając, padając, wstając, idąc pewnie naprzód, do horyzontu, nie oglądając się

na brzeg. Mirza Sajjid także wszedł do wody. — Wracaj — błagał żonę. — Nic się nie dzieje; wracaj.

Na brzegu stali pani Kurajszi, Osman, sarpancza, Sri Srinivas. Matka Miszal teatralnie szlochała: — O Boże, dzieciątko, moja dziecinka. Co z nią będzie? — Osman odparł: — Kiedy stanie się jasne, że nie ma żadnych cudów, wróć.

— A motyle? — zapytał przekornie Srinivas. — Czym były? Przywidzeniem?

Powoli docierało do nich, że wieśniacy nie wróć. — Już niedługo stracą grunt pod nogami — powiedział sarpancza. — Ilu z nich potafi pływać? — zapytała pani Kurajszi pochlipując. — Pływać? — zawył Srinivas. — A od kiedy to wiejski ludek potrafi pływać? — Krzyczeli na siebie, tak jakby byli oddaleni o mile, przeskakiwali z nogi na nogę, ciała przygotowywały się do wejścia w wodny żywioł, aby uczynić cokolwiek. Wyglądali tak, jak gdyby tańczyli na rozżarzonych węglach. Wkroczenie policji, wykonującej rutynowy obchód, błyskawicznie wywabiło Sajjida z wody.

— Co się dzieje? — zapytał oficer. — Co to za zgromadzenie?

— Zatrzymajcie ich — wykrztusił mirza Sajjid, wskazując na morze.

— Czy to są heretycy? — zapytał policjant.

— Mają zamiar umrzeć — odpowiedział Sajjid.

Było już zbyt późno. Wieśniacy, którym już tylko głowy wystawały z wody, zachłystywali się ostatnimi łykami powietrza, docierając do krawędzi szelfu. Prawie jednocześnie, nie okazując żadnych wyraźnych oznak prób szamotania, zniknęli pod powierzchnią wody. Po chwili morze pochłonęło wszystkich Pielgrzymów Aiszy.

Żaden z nich nie pojawił się już ponownie. Nie było widać żadnej wyciągniętej ręki ani bijących wodę ramion.

Sajjid, Osman, Srinivas, sarpancza i nawet tłusta pani Kurajszi pognali w stronę wody, wrzeszcząc wniebogłoso: — Boże, miej litość; niech ktoś pomoże.

Człowiek, który tonie, walczy z żywiołem. To wbrew naturze ludzkiej iść po prostu w morze i czekać, aż ono cię pochłonie. Ale Aisza, Miszal Achtar i mieszkańcy wsi Titlipur zeszli poniżej poziomu wody; i nikt ich więcej już nie zobaczył.

Policja wyciągnęła na brzeg panią Kurajszi, miała siną twarz i płuca pełne wody, potrzebowała „pocałunku życia”. Osman, Srinivas i sarpancza zostali wciągnięci wkrótce potem. Tylko mirza Sajjid Achtar kontynuował nurkowanie, dalej i dalej od brzegu, przebywając coraz dłużej pod powierzchnią wody; aż w końcu i on został wyratowany z objęć Morza Arabskiego, przegrany, chory i omdlewający. Pielgrzymka dobiegła końca.

Mirza Sajjid obudził się na oddziale szpitalnym, aby odkryć, że przy jego łóż-

ku stoi oficer z Wydziału Dochodzeniowo-Śledczego. Władze rozpatrywały możliwość oskarżenia ocalałych uczestników wyprawy Aiszy pod zarzutem nielegalnej emigracji i detektywi mieli polecenie zebrać zeznania, zanim podejrzani będą mieli okazję skontaktować się ze sobą.

Zeznanie sarpanczy z Titlipur, Muhammada Dina, brzmiało następująco: — Właśnie wtedy, kiedy opadłem z sił i pomyślałem, że utonę, zobaczyłem to na własne oczy; zobaczyłem morze rozstępujące się jak przedziałek we włosach; i oni wszyscy tam byli, daleko, odchodząc ode mnie. Ona też tam była, moja żona, Chadidża, którą kochałem.

Oto, co zeznał detektywom, już i tak mocno wstrząśniętym zeznaniem sarpanczy, Osman, chłopiec-od-wołu: — Na początku bardzo się bałem, że utonę. Ale wciąż szukałem i szukałem, głównie Aiszy, bo lubiłem ją, zanim się tak zmieniła. I wtedy zobaczyłem, co się dzieje, cudowna rzecz. Woda się otworzyła i ujrzałem ich idących po dnie oceanu i omijających zdychające ryby.

Sri Srinivas także, przysięgając się na boginię Lakszmi zarzekał się, że widział rozstąpienie wód Morza Arabskiego; i kiedy detektywi poszli do pani Kurajshi, byli już kompletnie rozstrojeni, ponieważ zdawali sobie sprawę z tego, że nie uda im się poskładać tych zeznań w logiczną całość. Matka Miszal, żona wielkiego bankiera, opowiedziała tę samą historię własnymi słowami: — Wierście lub nie — zakończyła z emfazą — ale mój język mówi to, co widziały oczy.

Prości urzędnicy Wydziału Dochodzeniowo-Śledczego spróbowali zastosować metodę przesłuchania trzeciego stopnia: — Słuchaj, sarpancza, nie pierdol bez sensu. Tak wielu tam było i nikt tego nie widział. Ciała topielców już za kilka godzin zostaną wyrzucone na brzeg, opuchnięte jak banie i śmierdzące jak gówno. Jeśli będziesz nam wstawiać takie kity, wsadzimy ci nochal w dowody rzeczowe.

— Możecie zrobić, cokolwiek będziecie chcieli — odpowiedział przesłuchującym sarpancz Muhammad Din. — Ale ja i tak widziałem to, co widziałem.

— A pan? — Inspektorzy pospieszyli z pytaniami do przebudzonego mirzy Sajjida Achtera. — Co pan widział na plaży?

— Jak możecie pytać? — zaprotestował. — Moja żona utonęła. Nie męczcie mnie swoimi pytaniami.

Kiedy doszedł do siebie, dowiedział się, że jest jedynym ocalałym, który nie widział rozstąpienia się fal — Sri Srinivas, który przekazał mu to, co widzieli inni, dodał żałośnie: — Przed nami, seth-dzi, wody zamknęły się, zatrzasnęły się jak bramy Raju. — Mirza Sajjid załamał się i płakał przez tydzień i jeden dzień, aż jego oczom zabrakło łez. Zamieniły się w sól.

Potem wrócił do domu.

* * *

Mole zjadły wachlarze Peristanu, a bibliotekę pochłoneły miliardy wygłodniałych owadów. Kiedy odkręcił kurki, z kranu wypełzły węże zamiast wody, owinęły się dookoła nóg łóżka z baldachimem, w którym niegdyś sypiali wicekrólowie. Było tak, jakby czas przyspieszył swój bieg podczas jego nieobecności, miesiące zmieniały się w stulecia, tak więc kiedy dotknął w sypialni zrolowany perski dywan, ten rozpadł mu się w rękach, a łazienkę wypełniały szkarłatnookie żaby. W wietrzną noc za oknami wyły szakale. Wielkie drzewo stało martwe lub bliskie śmierci, pola zamieniły się w pustynie; ogrody Peristanu, w których dawno temu po raz pierwszy zobaczył piękną młodą dziewczynę, ohydnie zżółkły. Sępy były jedynymi ptakami szybującymi po niebie.

Wyciągnął na werandę fotel na biegunach, usiadł i delikatnie ukołysał się do snu. Raz, tylko raz odwiedził drzewo. Wioska rozpadła się w proch; bezrolni chłopcy i rabusie próbowali zawładnąć opuszczoną ziemią, ale przegoniła ich susza. Deszcze tu już nie padały. Mirza Sajjid wrócił do Peristanu i zamknął na kłódkę przerdzewiałą bramę. Nie interesował go los towarzyszy niedoli; podszedł do telefonu i zerwał go ze ściany.

Przemijanie dni uświadomiło mu, że głodzi się na śmierć, ponieważ zaczynał czuć fetor własnego ciała, do złudzenia przypominający zapach zmywacza do paznokci; ale nie był ani głodny, ani spragniony; uznał, że nie ma sensu troszczyć się o jedzenie. Bo niby po co? O wiele lepiej jest kołysać się w fotelu na biegunach i nie myśleć, nie myśleć, nie myśleć.

Ostatniej nocy życia usłyszał hałas, jakby olbrzym stopami zgniatał las, i poczuł smród pierdnięcia olbrzyma, wyczuł, że płonie drzewo. Wstał z fotela i na wpół przytomny powłókł się do ogrodu, aby obserwować pożar, którego płomienie pożerały wspomnienia, historię, genealogię, oczyszczając ziemię i przynosząc wyzwolenie; — ponieważ wiatr gnał płomienie na teren jego posiadłości, wkrótce, już wkrótce nadejdzie jego kolej. Widział, jak drzewo eksploduje w tysiące kawałków i pęka pień, jak serce; wtedy odwrócił się i z trudem dotarł do tego miejsca w ogrodzie, gdzie Aisza po raz pierwszy przyciągnęła jego uwagę; — poczuł, jak ogarnia go jakieś spowolnienie, ociężałość i położył się na spopieliałej ziemi. Zanim zamknął oczy, coś otarło się o jego wargi i zobaczył małą gromadkę motyli starających się wejść mu do ust. Wtedy zalało go morze i już był u boku Aiszy, która w cudowny sposób wyszła z ciała jego żony. . . — Otwórz! — krzyczała. — Otwórz szeroko! — Promienie światła biły z jej pępka, a on przecinał je kantem dłoni. — Otwórz! — wrzeszczała. — Zaszedłeś już tak daleko, dokończ dzieła. — Jak mógł słyszeć jej głos? Byli pod wodą, zagubieni w ryku fal, ale sły-

szął ją wyraźnie, wszyscy mogli ją słyszeć, ten głos jak bicie dzwonu. — Otwórz — powiedziała. Zamknął.

Był jak forteca z zatrzaśniętą bramą. — Tonął. — Ona także tonęła. Widział wodę zalewającą jej usta, słyszał bulgot w jej płucach. Nagle coś w nim sprzeciwiło się temu, zmieniło decyzję i na moment przed tym, jak pękło mu serce, otworzył się.

Jego ciało, od jabłka Adama po krocze, rozpadło się, tak że mogła sięgnąć głęboko do jego wnętrza i teraz ona była otwarta, wszyscy byli, i w chwili ich otwarcia rozstały się wody i ruszyli do Mekki po dnie Morza Arabskiego.

IX

Cudowna lampa

W osiemnaście miesięcy po przebytych zawale serca Saladyn Czamcza znów udał się w podróż, tym razem na wieść o chorobie ojca, znajdującego się w terminalnym stadium szpiczaka mnogiego, układowego nowotworu szpiku kostnego, „stuprocentowo śmiertelnym” — jak przez telefon poinformowała go bezdusznie lekarka ojca. Tak naprawę nie było między nimi żadnego kontaktu, od czasu, kiedy Czangez Czamczawalla przekazał Saladynowi pieniądze za wykarczowany w zamierzonych czasach orzech. Saladyn przesłał krótką notkę informującą o tym, że przeżył *katastrofę Bustana*, a w zamian otrzymał jeszcze bardziej lapidarną wiadomość: „Wiad. przyjęta. To rozsądne.” Kiedy przyszedł telegram z fatalnymi doniesieniami — podpisany przez nieznaną drugą żonę, Nasrin II, a jego ton był więcej niż lakoniczny — Z OJCEM ŹLE — STOP — JEŚLI CHCE SIĘ ZOBACZYĆ SZYBKO — STOP — N. CZAMCZAWALLA — ku swojemu zdumieniu stwierdził, że pomimo całego życia pełnego sporów, „bezpowrotnych pożegnań”, skomplikowanych stosunków, jest znowu zdolny do spontanicznej reakcji. Po prostu kategoryczny imperatyw nakazał mu pojechać do Bombaju, zanim Czangez opuści go na dobre.

Sporą część dnia spędził w dziale konsularnym Domu Indyjskiego, oczekując na wizę i starając się wytłumaczyć umęczonemu pracownikowi, jak niezbędny w tej sprawie jest pośpiech. Jakimś idiotycznym sposobem zapomniał o telegramie, aż w końcu powiedziano mu, że potrzebny jest dowód. — Widzi pan, każdy mógłby przyjść i powiedzieć, że jego ojciec jest umierający, prawda? Żeby wjechać. — Czamcza z trudem powstrzymywał gniew, ale w końcu wybuchnął: — Czy wyglądam na ekstremistę z Kalistanu? — Urzędnik wzruszył ramionami. — Powiem panu, kim jestem — Czamcza podniósł głos zirytowany taką reakcją. — Jestem biednym frajerem postrzelonym przez terrorystów, spadłem z nieba z wysokości dziesięciu tysięcy metrów, wszystko przez terrorystów, a teraz przez tych samych terrorystów obrażają mnie takie gryziopórki jak pan. — Podanie o wizę, skrupulatnie umieszczone przez adwersarza na samym spodzie olbrzymiego stosu podobnych dokumentów, zostało rozpatrzone dopiero po trzech dniach. Najbliższy samolot odlatywał dopiero w trzydzieści sześć godzin później; był to samolot Air India, Boeing 747, a nosił nazwę *Gulistan*.

Gulistan i Bustan, bliźniacze ogrody Raju — jeden zniknął, zmieciony z powierzchni ziemi, ale drugi pozostał. . . Czamcza zjeżdżając rynną, przez którą wlewali się do samolotu podróżni z Terminalu Trzeciego, zobaczył nazwę wymalowaną tuż przy otwartych drzwiach 747 i zbladł jak ściana. Następnie usłyszał głos odzianej w sari stewardesy pozdrawiającej go z nienagannym kanadyjskim akcentem i stracił zimną krew — zatrzymał się tuż przed wejściem w nagłym przypiływie grozy. Stał tak, wywołując irytację tłumu pasażerów wchodzących na pokład, świadomy tego, jak musi wyglądać z brązową walizką w jednej ręce, dwiema torbami zapinanymi na zamek błyskawiczny w drugiej i oczyma wytrzeszczonymi do granic możliwości, ale i tak przez dłuższą chwilę nie mógł się nawet poruszyć.

Tłum zaczął się denerwować. *Jeśli to jest arteria — zaczął rozważania — to ja jestem skrzepliną.* — Ja także kiedyś miałem pie-pie-pietra — odezwał się pogodny głos — ale teraz mam sposób. Ma-ma-macham rękoma podczas st-staartu i samolot z-z-zawsze się wznosi w niebo.

* * *

— W dzisiejszych czasach najlepszą bo-bo-boginią z całą pewnością jest Lakszmi — zwierzył się Sisodia sponad szklanki whisky, kiedy tylko usiedli wygodnie. (Wierzył w to, co mówił, bijąc wściekle ramionami, kiedy samolot pomknął pasem startowym, i po chwili usadowił się ukontentowany, uśmiechając się skromnie. — Dzi-dzi-działa za k-k-każdym razem. — Obaj podróżowali na wyższym pokładzie 747, zarezerwowanym dla niepalących biznesmenów, a Sisodia wypełnił wolne miejsce przy Czamczy, jak powietrze wypełnia próżnię. — Mów mi Whisky — nalegał. — W czy-czy-czym robisz? Ile za-za-zarabiasz? Kiedy wyjechała twoja ż-ż-żona? Znasz jakieś kobit-ki w mieście czy chcesz, żebym ci po-po-p-pomógł?) Czamcza zamknął oczy i skupił swoje myśli na ojcu. Najsmutniejszą rzeczą, jaką sobie uświadomił, był fakt, że nie przypomniał sobie ani jednego szczęśliwego dnia spędzonego z Czangezem w ciągu całego swojego dorosłego życia. Najbardziej podnoszące na duchu było odkrycie, że nawet ta najpaskudniejsza zbrodnia, bycie czymś ojcem, w końcu może zostać, pomimo wszystko, wybaczona. *Trzymaj się.* — Błagał cicho. — *Przyjadę tak szybko, jak tylko to będzie możliwe.* — W tym materialistycznym świecie — wyjaśnił Sisodia — kto inny jak nie bogini do-dodobrobytu? W Bombaju pewien młody biznesmen wydawał całonocne p-p-przyjęcia. Miał u siebie figurę Lakszmi z wyciągniętymi rękoma i żarówkami zapalającymi się w j-j-jej pa-pa-pa-palcach, kapujesz, jak gdyby dobrobyt ska-ska-skapywał z jej dłoni. — Na ekranie kinowym stewardesa demonstrowała różne sposoby postępowania w sytuacji zagrożenia. W rogu ekranu jakiś mężczyzna tłumaczył jej słowa na język migowy. To jest postęp, uznał Czamcza. Film zamiast istot ludzkich, nieznaczące udogodnienie (język migowy) w zamian za znaczny wzrost ceny biletu. Najdoskonalsza technika do usług; podczas gdy w rzeczywistości podróże powietrzne z dnia na dzień są bardziej niebezpieczne, park maszynowy świata staje się wykopaliskiem archeologicznym i nikt nie może pozwolić sobie na jego odnowienie. Każdego dnia różne kawałki odpadają od samolotów, lub tak to przynajmniej wygląda, liczba katastrof i cudownych ich uniknięć także wzrasta. Dlatego film był pewnego rodzaju kłamstwem, ponieważ samym swoim istnieniem mówił: *Zauważcie, co robimy dla waszego bezpieczeństwa. Nakręciliśmy nawet dla was film.* Forma zamiast treści, obrazek

zamiast rzeczywistości. — Planuję zrobić z nią wysokonakładowy obraz — powiedział Sisodia — to jest najskrytsza ta-ta-tajemnica. Może po-po-po-pojazd Sri-devi, m-m-mam nadzieję. Powrót Gibrila u-u-udowadnia, że ona jest absolutnym numerem jeden.

Czamacza słyszał, że Gibril Fariszta miał mocny powrót. Jego pierwszy film „Przejście przez Morze Arabskie” był kompletną klapą; efekty specjalne wyglądały, jakby były robione w szopie, dziewczyna grająca główną rolę, rolę Aiszy, niejaka Pimple Billimoria była tragicznie nieodpowiednia, a sama kreacja Gibrila w roli archanioła zyskała wśród krytyków opinię narcystycznej i megalomańskiej. Dni, w których nie mógł wypuścić knota, dawno minęły; jego drugi obraz „Mahound” uderzył we wszystkie możliwe świętości i przepadł bez śladu. — Widzisz, on wy-wy-wybrał sobie innych producentów — biadolił Sisodia. — Za-za-zachłanność gwiazdy. U mnie efekty zawsze działają i są w d-d-dobrym tonie. To masz jak w ba-ba-b-banku. Saladyn Czamacza zamknął oczy i ułożył się wygodnie w fotelu. Zbyt szybko wypił whisky na konto lęku przed lataniem, i teraz głowa zaczęła mu się kiwać. Sisodia nie przywoływał z przeszłości swoich koneksji z Fariszta, ładnie z jego strony. Do niej właśnie należały te koneksje, do przeszłości. — S-s-s-sridewi jako Lakszmi — rozmarzył się Sisodia, nie dbając o dyskrecję — teraz to cz-cz-czyste złoto. Jesteś a-a-aktorem. Powinieneś znów pracować w domu. Zadzwoń do mnie. Może ubijemy i-i-interes. Taki film to czysta *p-p-platyna*.

Czamaczy zakręciło się w głowie. Jakże dziwne znaczenia przybierały słowa. Jeszcze kilka dni temu to w *domu* zabrzmiałoby fałszywie, ale teraz jego ojciec umierał i stare sentymenty wyciągnęły macki po Czamaczę. Być może zmieni mu się wymowa, wraz z całą resztą przeniesie się na wschód. Niemalże nie miał odwagi otworzyć ust

Prawie dwadzieścia lat temu Saladyn, młody i ze świeżo zmienionym nazwiskiem, próbował zaczepić się w londyńskich teatrach w nadziei na utrzymanie się w bezpiecznej odległości od ojca; i kiedy Czangez dał za wygraną, stał się pobożnym samotnikiem; później, pewnego dnia, ni z tego ni z owego ojciec napisał do niego list, oferując mu dom. Była to zrujnowana posiadłość na wzgórzu przy stacji Solan. — Moja pierwsza własność — napisał Czangez — jest także pierwszą, którą ci daję. Saladyn natychmiast zaczął dopatrywać się w tym pułapki, próby ponownego wchłonięcia go przez *dom*, sieć ojcowskiej władzy; a kiedy dowiedział się, że posiadłość Solan została dawno temu zajęta przez rząd Indii w zamian za opłatę za pieprz i od wielu lat znajduje się tam szkoła dla chłopców, podarunek okazał się kolejnym urojeniem. Cóż z tego, skoro podczas okazjonalnych wizyt szkoła traktowała go jak wizytującą Głowę Państwa, urządzając parady i pokazy gimnastyczne? Takie rzeczy przemawiały do niezmiernie pychy Czangeza, ale Czamaczy to było zupełnie niepotrzebne. Chodziło o to, że utrzymanie szkoły było kosztowne; prezent z rodzaju bezużytecznych, najprawdopodobniej przyprawiałby o administracyjny ból głowy. Czamacza napisał do ojca, odrzucając ofertę. To

była ostatnia podjęta przez Czangeza Czamczawallę próba podarowania synowi czegokolwiek. *Dom* odciął się od syna marnotrawnego.

— Nigdy nie zapominam t-t-twarzy — mówił dalej Sisodia. — Jesteś p-p-przyjacielem Mimi. Ocalały z *Bustana*. Wiedziałem o tym od chwili, w której zobaczyłem twój strach przy w-w-w-wejściu. Mam nadzieję, że nie cz-cz-czujesz się źle. — Saladyn z topniejącym sercem potrząsnął głową, nie, wszystko w porządku, naprawdę. Błyszczący jak kolano Sisodia spojrzął z ukosa na przechodzącą stewardesę i zgarnął kolejne szklaneczki whisky. — Co za wstyd z Gibrilem i jego panią — kontynuował — jak ładnie się nazywała Al-al-alleluja, Ale temperament ma ten chłopak, temperament za-zaz-zazdrosnego tatuśka. Ciężki dla współczesnej dziewczyny. Tacy to zrywają. Saladyn znów zasugerował chęć zaślubienia. *Dopiero co wyleczyłem się z przeszłości. Odejdź, odejdź ode mnie.*

Koniec jego rekonwalescencji ogłoszono formalnie pięć tygodni wcześniej na przyjęciu weselnym Miszal Sufjan i Hanifa Johnsona. Po śmierci rodziców Miszal prześladowało straszliwe, irracjonalne poczucie winy, wywołane przez pojawianie się w jej snach matki, czyniącej jej nieustanne wyrzuty. — Gdybyś tylko podała tę gaśnicę, tak jak cię prosiłam, gdybyś tylko dmuchnęła trochę mocniej. Ale ty nigdy nie słuchasz, co do ciebie mówię i twoje płuca są tak zniszczone przez papierosy, że nie potrafisz nawet zdmuchnąć jednej świecy, od której może zapalić się dom. — Pod srogim okiem matczynego ducha Miszal wyprowadziła się z mieszkania Hanifa i wynajęła pokój na spółkę z trzema innymi kobietami, starała się i dostała pracę po Jumpy Joshim w centrum sportowym, walczyła z towarzystwami ubezpieczeniowymi, aż w końcu wypłacili jej pieniądze. I zaraz po tym, gdy Shaandaar Café było gotowe do ponownego otwarcia pod jej kierownictwem, duch Hind Sufjan zdecydował, że już czas na wędrowną w zaświaty; wtedy to Miszal zadzwoniła do Hanifa i oświadczyła mu się. Był zbyt zaskoczony, aby powiedzieć cokolwiek i podał słuchawkę koledze, który wyjaśnił, że pan Johnson zapomniał języka w gębie, ale on w imieniu oniemiałego prawnika przyjmuje oświadczenie. Tak więc wszyscy otrząsali się z tragedii; nawet Anahicie, która musiała mieszkać z nieprawdopodobnie konserwatywną ciotką, udało się na ślubie sprawić wrażenie zadowolonej, być może pod wpływem złożonej przez Miszal obietnicy udostępnienia kilku pokoi w świeżo wyremontowanym hotelu Shaandaar. Miszal poprosiła Saladyna, w uznaniu dla podejmowanych przez niego prób uratowania życia jej rodziców, aby był głównym świadkiem, a po drodze do urzędu stanu cywilnego w furgonetce Pinkwalli (wszystkie oskarżenia przeciwko DJ i jego szefowi Johnowi Maslamie zostały wycofane z powodu braku dowodów) Czamcza powiedział do panny młodej: — Czuję się, jakby dzisiaj dla mnie też zaczynało się nowe życie, chyba zresztą dla nas wszystkich. — W jego przypadku wiązało się to z przebytymi operacjami, niemożnością pogodzenia się ze śmiercią współpasażerów i koszmarną wizją powtórnej metamorfozy w parzystokopytnego, cuchnącego siarką demona. Przez pewien czas był także okaleczony

profesjonalnie tak wielkim wstydem, że gdy klienci w końcu znów zaczęli zamawiać u niego na przykład głos zamrożonego placka czy też paczki pacynkowych kielbasek, miał ciągle w pamięci swoje telefoniczne zbrodnie, a jego gardło dusiło w zarodku wszelką zdolność wcielania się. Jednakże na ślubie Miszał poczuł się całkowicie wyzwolony. Wyjawszy kilka drobiazgów, była to wspaniała uroczystość. Młoda para nie mogła się powstrzymać od całowania podczas ceremonii i urzędniczka (młoda kobieta, przestrzegająca także gości, aby nie pili za dużo, jeśli mają zamiar prowadzić) musiała ich poganiać, by mógł się odbyć następny ślub. Potem w Shaandaar kontynuowano pocałunki, stawały się coraz dłuższe i bardziej wyszukane, aż goście poczuli się intruzami i wymykali się po cichu, aby młodzi mogli cieszyć się swoją na tyle oslepiającą namiętnością, że nie zauważali nawet wyjścia przyjaciół; nie zwrócili też uwagi na grupkę dzieci, obserwujących ich przez okno Shaandaar Café. Czameza, który wyszedł ostatni, wyświadczył im przysługę, ku irytacji dzieci, odciągając od siebie nowo poślubionych. Następnie pomaszerował w dół odbudowanej High Street tak lekki, że aż poczuł się zażenowany.

Nic nie jest wieczne — stwierdził w duchu, krążąc myślami nad Azją Mniejszą — może nieszczęście jest osią, wzdłuż której biegnie życie ludzkie, a radość — jak wierzchołki wykresu funkcji trygonometrycznej, krzyżującej się z tą linią — jak kamienie w strumieniu. A jeśli nie nieszczęście, to przynajmniej melancholia. . . Jego rozważania przerwał odgłos lubieżnego chrapania, dobiegający z sąsiedniego fotela. Pan Sisodia zasnął ze szklanką whisky w ręku.

Producent był najwyraźniej w dobrej komitywie ze stewardesami. Krzątały się wokół śpiącego — wyjęły mu szklankę z dłoni i umieściły ją w bezpiecznym miejscu, okryły go kocem i świergotały słodko nad chrapiącym. — Czyż nie wygląda ślicznie? Daję słowo, taki mały pieseczek! Niespodziewanie Czameczy przypomniały się damy z bombajskiego towarzystwa, gładzące go po głowie na soirée jego matki i ledwo opanował łzy wzruszenia. Sisodia wyglądał dość obscenicznie; przed zaśnięciem zdjął okulary i ich brak nadał mu dziwnie nagi wygląd. Oczom Czameczy przypominał nic innego jak tylko postać Sziwy Lingam. Może wiązało się to z jego popularnością u pań.

Przerzucając strony magazynów i gazet, rozdawanych przez stewardesy, Saladyn dowiedział się, że jego stary znajomy jest w tarapatkach. Wyciągnięty z lamusa program Hala Valance'a pod tytułem „Obcy w kosmosie” zrobił klapę w Stanach Zjednoczonych i został zdjęty z ekranu. A co gorsza, jego agencja reklamowa wraz z funduszami została wchłonięta przez amerykańskiego lewiatana i stało się bardzo prawdopodobne, że Hal jest na wylocie, pokonany przez transatlantyckiego smoka dotarł do dna. Naprawdę trudno było współczuć Valance'owi, bezrobotnemu i pozbawionemu ostatnich kilku milionów, opuszczonemu przez swoją kochaną panią Torturę i jej koleśków, odesłanym na półkę zarezerwowaną dla byłych ulubieńców, wraz z wrobionymi impresariami, finansistami i eksministrami;

ale Czamcza leciał do ojca leżącego na łożu śmierci i był w takim stanie psychicznym, że los, nawet niegodziwego Hala, wywołał krótkotrwały ucisk w gardle. *Przy czym to stole* — zastanawiał się — *gra teraz Dziecinka?*

W Indii wojna trwająca pomiędzy mężczyznami a kobietami nie zdradzała najmniejszych oznak wygasania. W „Indian Express” przeczytał kilka notatek o ostatnich „samobójstwach panien młodych”. *Mąż, Pradžapati, zbiegł*. Na następnej stronie, w cotygodniowych drobnych ogłoszeniach matrymonialnych, rodzice chłopaków prezentują co raz to bardziej wyszukane wymagania, a rodzice dziewcząt coraz dumniej oferują narzeczone z „mlecznobiałą” cerą. Czamcza pamiętał przyjaciela Zini, poetę Bhupena Gandhiego, mówiącego o tych sprawach tonem pełnym pasji i gorzkości. — Jak tu oskarżać kogoś o uprzedzenia, kiedy samemu ma się tak brudne ręce? — głośił. — Wielu z was tam w Wielkiej Brytanii mówi o brutalizacji życia. Cóż, nie byłem tam, nie znam waszej sytuacji, ale z własnego doświadczenia wiem, że utożsamiany z ofiarą nie czułbym się dobrze. Rozpatrując aspekty klasowe, oczywiście nią nie jestem. Mówiąc oględnie, znajdziesz tutaj wszystkie odmiany fanatyzmu, rozmaite działania stosowane przez klasę prześladowców. Tak więc, podczas gdy tak wielu Hindusów jest niewątpliwie prześladowanych, to nie sądzę, aby ktokolwiek z *nas* mógł predystynować do tego świetlanego statusu.

— Problem z radykalnymi przeciwnikami Bhupena — zauważyła Zini — polega na tym, że reakcyjniści pokroju *Salad baba* po prostu kochają się z nimi zgadzać.

Narastał skandal zbrojeniowy; czy rząd indyjski dawał łapówki pośrednikom, a potem „szedł w zaparte”? Były w to zainwestowane olbrzymie środki, wiarygodność premiera znacznie zmalała, ale Czamczy nie interesowało ani jedno, ani drugie. Gapił się na zamazaną fotografię w gazecie, na której rzeką płynęły znaczne ilości jakichś nieokreślonych, rozdętych kształtów. W jednym z miast północnych Indii dokonano rzezi muzułmanów, ich zwłoki wrzucono do wody, gdyż oczekiwały na ostatnią posługę dwudziestowiecznego Gaffera Hexamy. Setki opuchniętych, gnijących ciał; z gazety zdawał unosić się smród. W Kaszmirze natomiast popularny swego czasu minister zawarł „porozumienie” z Kongresem — musiał potem chronić się przed butami rzuconymi w niego przez rozwścieżonych fundamentalistów islamskich podczas świątecznych modlitw. Komunalizm, napięcia pomiędzy sektami były wszechobecne: jak gdyby bogowie wybierali się na wojnę. W wewnętrznej walce pomiędzy pięknem i okrucieństwem, okrucieństwo zyskiwało przewagę. Głos Sisodii przerwał jego ponure zamyślenie. Producent obudził się, by zobaczyć fotografię z *Mirut* lecącą na składanym stoliku Czamczy. — Faktem jest — powiedział bez swojej zwykłej jowialności — że w-w-wiara religijna, która zawiera w sobie najwyższe as-as-aspiracje rasy ludzkiej, jest teraz, w naszym kraa-kraju, służą najniższych instynktów, a *Bó-Bó-Bóg* stał się ucieleśnieniem *Zła*.

WIELU DAWNYCH, WPŁYWOWYCH POLITYKÓW JEST ODPOWIEDZIALNYCH ZA ZABÓJSTWA, twierdził rzecznik rządu, ale „postępowe elementy” odrzuciły to stwierdzenie. MIEJSKI KOMISARIAT ZANIECZYSZCZONY PRZEZ SAMORZĄDOWYCH AGITATORÓW — sugerował kontragument. HINDUSCY NACJONALIŚCI WPADAJĄ W AMOK. Polityczna popołudniówka zawierała fotografię tablic wywieszonych przed Dżama Masdżid w Starym Delhi. Imam, o obwisłym brzuchu i cynicznych oczach, którego można rankami spotkać w jego „ogrodzie” — rozkopanym czerwonym ugorze w cieniu meczetu, liczącego rupie ofiarowane przez wiernych i osobiście rozwijającego każdy banknot, tak że wydawało się, że frzyma garść cienkich, podobnych do bidi papierosów; i nie był obcy politykom samorządów lokalnych, był najwyraźniej przekonany, że rzeź w Mirut obróci się na dobre. *Ugaście ogień pod naszymi piersiami* — krzyczały tablice — *część i chwała tym, którzy znaleźli Męczeństwo od K ul Polis*. A także: *Biada! Biada! Biada! Zbudź się, premierze!* I w końcu nawoływanie do akcji: *Bandh wkrótce*, i data strajku.

— Złe czasy — kontynuował Sisodia — dla k-k-kina, także telewizja i gospodarka wywierały nań swój Delhi-Delhi-delirycznie destrukcyjny wpływ — rozchmurzył się, kiedy nadeszła stewardesa, — Wyznam, że jestem cz-cz-członkiem o wiele wyżej notowanego k-k-klubu — wtrącił między wierszami. — A ty? Czy mam się dowiedzieć, co można za-za-załatwić?

Jakim to rozdwojeniom jaźni może ulegać ludzki umysł — dziwował się ponuro Saladyn. Jakże te wszystkie zagniatane jaźnie miotają się i tłuką wewnątrz swoich worków ze skóry. Nic dziwnego, że nie jesteśmy się w stanie skupić na jednej rzeczy przez dłuższy czas; nic dziwnego, że wynajdujemy piloty do przeskakowania z kanału na kanał. Gdybyśmy skierowali te urządzenia w swoją stronę, odkrylibyśmy więcej kanałów, niż ma telewizja kablowa czy satelitarna... Sam zauważył, że jego myśli błądzą w kierunku panny Zini Wakil pomimo usilnych prób skupienia ich wokół ojca. Zatelegrafował wcześniej, powiadamiając ją o swoim przybyciu; czy zdąży? Co mogłoby lub nie mogłoby się między nimi zdarzyć? Czy opuszczając ją, nie wracając, na pewien czas tracąc kontakt, zrobił Rzeczą Niewybaczalną? Czy była — pomyślał i wstrząśnięty faktem, że myśl ta nie przyszła mu do głowy wcześniej — zamężna? Zakochana? A co do niego, to czego on naprawdę chciał? *Będę wiedział, kiedy się z nią zobaczę* — pomyślał. Przyszłość, nawet jeśli była tylko okrytym całunem wątpliwości promykiem nadziei, nie może zostać zaćmiona przez przeszłość; nawet jeśli śmierć stanie na środku sceny, życie będzie z nią walczyć o równe prawa.

Lot przeszedł bez zakłóceń.

Zinat Wakil nie czekała na lotnisku.

— Chodźmy — pomachał do niego Sisodia. — Mój samochód przyjechał, żeby mnie za-za-zabrać, więc proszę dać się po-po-pod-rzucić.

* * *

Trzydzieści pięć minut później Saladyn Czamcza stanął z walizką i torbami w rękę przed bramą wiodącą do swojego dzieciństwa, patrząc na kontrolowany kamerą system alarmowy. Ścianę okalającą budynek zdobiły hasła antynarkotykowe: **PADAJĄ MARZENIA / GDY PROCH ŻYCIE ZMIENIA, PRZYSZŁOŚĆ JEST CZARNA / GDY PROCH ŻYCIE ZMIENIA**. Odwagi, mój stary, wziął się w garść; zadzwonił jak zalecono, raz, mocno, by przyciągnąć uwagę.

* * *

Wewnątrz bujnego ogrodu uwagę jego niespokojnego oka przykuł pniak ze zwalonego orzecha. Prawdopodobnie teraz używali go jako stołu w czasie pikników — rozmyślał gorzko. Jego ojciec zawsze miał dar wykonywania melodramatycznych, wzbudzających litość gestów i jedzenie posiłków na tak uczuciowo naładowanej powierzchni — niewątpliwie z pełnymi wzruszenia westchnieniami pomiędzy dużymi kęsami — miała właściwą wymowę. Saladyn zastanawiał się, czy ze swojej śmierci także będzie robił taki cyrk. Jaką fetę współczucia mógł sobie teraz urządzić ten stary sukinsyn! Każdy szanujący ostatnie chwile umierającego był całkowicie zdany na jego łaskę. Kuksańce posyłane z łoża śmierci zostawiają siniaki, które nigdy nie znikną.

Zza marmurowej posiadłości, własności umierającego, wyłoniła się macocha, aby powitać Czamczę bez cienia złośliwości: — Dobrze, że przyjechałeś, Salahuddinie. To podniesie go na duchu, w tej walce może polegać jedynie na duchu, gdyż jego ciało jest prawie kaput. — Miałaby może sześć czy siedem lat mniej od matki Saladyna, gdyby tamta żyła, ale tak jak i ona przypominała nieco ptaka. Przynajmniej w tym względzie jego potężny, zaborczy ojciec był konsekwentny. — Ile czasu mu zostało? — zapytał Saladyn. Nasrin nie miała złudzeń, tak jak to sugerował jej telegram: — dzień, może dwa. Rak rozprzestrzenił się na „kości długie” Czangeza — choroba wniosła z sobą do domu nowy słownik, nie używało się tutaj słów typu *ręka* czy *noga* — rozprzestrzenił się też na czaszkę. Komórki rakowe zostały nawet wykryte we krwi pobranej z okolic kości chorego. — Powinniśmy byli to zauważyć — powiedziała Nasrin i Saladyn zaczął odczuwać wielką siłę starszej pani, siłę woli, która pozwalała jej panować nad uczuciami. — Bardzo stracił na wadze. Narzekał także na rwanie i bóle, na przykład w stawach kolanowych. Wiesz, jak to jest. U starego człowieka zrzucasz wszystko na karb jego wieku, nie dopuszczając myśli o podstępnej, złośliwej chorobie — przerwa-

ła, aby przywrócić głosowi jego naturalne brzmienie. Kasturba, ex-aja dołączyła do nich w ogrodzie. Okazało się, że jej mąż Wallabh zmarł prawie rok temu, we śnie, ze starości; śmierć o wiele łagodniejsza niż ta wyzerająca sobie drogę na zewnątrz z ciała jego pracodawcy, uwodziciela jego żony. Kasturba wciąż ubierała się w stare, wzorzyste, krzykliwe barwne sari odziedziczone po Nasrin I. Dzisiaj założyła jedno z najkrzykliwszych, w czarno-białe wzory op-artu. Ona także gorąco powitała Saladyna: uściskami, pocałunkami i płaczem. — Co do mnie — zaszlochała — nie przestawałabym się modlić o cud, jego biedne płuca jeszcze oddychają.

Nasrin II objęła Kasturbę; złożyły sobie głowy na ramionach. Bliskość pomiędzy tymi dwiema kobietami była spontaniczna i niewymuszona; jak gdyby zbliżanie się śmierci rozmyło kontrowersje i codzienne zawiści. Dwie starsze panie pocieszały się nawzajem w ogrodzie przygotowując się do nieuchronnego końca najcenniejszej w swoim życiu miłości. Lub raczej: ukochanego. — Chodź — powiedziała w końcu Nasrin do Saladyna. — Powinien cię zobaczyć, migiem.

— Czy on wie? — zapytał Saladyn. Nasrin odpowiedziała wykrętnie: — Jest inteligentnym człowiekiem. Wciąż pyta, gdzie mu ucieka ta cała krew? Powiada, że są tylko dwie choroby na świecie, przy których krew tak znika. Jedna to gruźlica. — Ale Saladyn przyparł ją do muru: — On rzeczywiście nie wymawia tego słowa? — Nasrin opuściła głowę: — Nie wolno wymawiać tego słowa, ani w jego obecności, ani też w ogóle. — Czy nie powinien wiedzieć? — zapytał Czamcza. — Czy człowiek nie ma prawa przygotować się na śmierć? — Przez chwilę wpatrywał się w gorejące oczy Nasrin. *Kim ty jesteś, aby mówić nam, co mamy robić? Ty utraciłeś wszelkie prawa do tego.* Po chwili wszystko wróciło do normy i przemówiła swoim cichym beznamiętnym głosem: — Może masz rację. — Ale Kasturba zaprotestowała: — Nie! Jak powiedzieć to temu biednemu człowiekowi? To złamie mu serce.

Choroba w taki sposób zagaściła krew Czangeza, że serce miało duże kłopoty z jej przetaczaniem. Skaziła także krew przeciwciałami, płytkami mogącymi zatruć każdą krew z transfuzji, nawet jeśli jest tej samej grupy. *A więc nawet w ten sposób nie jestem w stanie mu pomóc* — zrozumiał Saladyn. — Czangeza mogą w każdej chwili uśmiercić skutki uboczne działania leków, zanim nawet wykończy go rak. A jeśli to nawet będzie rak, to wyręczy się zapaleniem płuc albo niewydolnością nerek; lekarze wiedzą, że są bezradni, odesłali go domu, aby czekał na koniec. — Ponieważ szpiczak jest chorobą układową, nie można zastosować ani naświetlania, ani chemioterapii — wyjaśniła Nasrin. — Jedynym lekarstwem jest Melfalan, mogący w niektórych przypadkach przedłużyć życie nawet o kilka lat. Jednakże dowiedzieliśmy się, że organizm ojca należy do typu nie reagującego na Melfalan. — *Nikt mu tego nie powiedział* — natarczywie odzywał się wewnętrzny głos Saladyna. *I to jest nie w porządku, nie w porządku, nie w porządku.* — A jednak i tak to cud — wykrzyknęła Kasturba. — Lekarze powiedzieli, że to jeden

z najbardziej bolesnych nowotworów, ale twój ojciec nie odczuwa bólu. Jeśli ktoś się modli, to od czasu do czasu można liczyć na łaskę. To właśnie z powodu niewystąpienia bólu tak trudno było postawić diagnozę; choroba rozprzestrzeniła się w ostatnich latach po całym ciele Czangeza. — Muszę go zobaczyć — poprosił miękko Saladyn. Jego walizka i torby zostały zabrane przez służącego podczas rozmowy; teraz w końcu, podążył za nimi.

Wnętrze domu pozostało niezmienione — szacunek drugiej Nasrin względem pamięci tej pierwszej zdawał się nie mieć granic, przynajmniej podczas ostatnich dni życia ich wspólnego małżonka — z wyjątkiem kolekcji wypchanych ptaków należącej do Nasrin II (były w niej dudki, rzadkie okazy papug, przykryte szklanymi kloszami, i dorosły okaz pingwina królewskiego z maleńkimi czerwonymi mrówkami uwijającymi się na jego dziobie, stojący w wyłożonej marmurową posadzką holu), oraz gablotki z przyszpilonymi motylami. Saladyn przeszedł przez gabinet ojca wyłożony galerią barwnych, martwych skrzydeł. — Czangez nalegał, aby przeniesiono jego sypialnię na dół, do pełnej starych książek samotni, tak aby ludzie przychodzący do niego i opiekujący się nim nie musieli wbiegać i zbiegać po schodach — i w końcu stanął przed drzwiami śmierci.

W dzieciństwie Czangez Czamczawalla nabrał nawyku spania z otwartymi oczyma, „stał na straży”, jak lubił mawiać. Teraz, kiedy Saladyn wszedł cicho do pokoju, odebrał z przerażeniem widok otwartych szarych oczu patrzących ślepo w sufit. Na chwilę Saladynowi przyszło do głowy, że ojciec zmarł podczas tamtej pogawędki w ogrodzie. Człowiek na łóżku zakaszłał, odwrócił głowę i wyciągnął niepewne ramię. Saladyn Czamcza pochylił głowę. Dłoń starca pieściła jego włosy.

* * *

Zakochać się we własnym ojcu po długich latach gniewu było pięknym i przejmującym uczuciem; Saladyn chciał powiedzieć, odradzającym i dającym życie, ale nie powiedział — zabrzmiałoby to dość upiornie; jak gdyby wysysając tamto życie z ojca czynił w jego ciele miejsce na śmierć. I chociaż zatrzymał owo spostrzeżenie dla siebie, to jednak Saladyn ciągle czuł się związany z wieloma starymi, odrzuconymi istnieniami, alternatywnymi Saladynami, czy też raczej Salahuddinami, którzy oddzielili się od niego w chwilach podejmowania życiowych decyzji i egzystowali nadal w równoległych światach teorii kwantowej. Rak obdarł z ciała Czangeza Czamczawallę; policzki zapadły mu się w głąb czaszki i ze względu na zanik mięśni musiał umieszczać piankową poduszkę pod pośladkami. Odarł go zarazem z jego wad, z wszystkiego tego, co było w nim apodyk-

tyczne, tyrańskie i okrutne, tak że ten przewrotny, a w rzeczywistości kochający i wspaniały mężczyzna znowu był w centrum uwagi. *Gdyby tylko zechciał być taki całe swoje życie*, Saladyń (któremu po raz pierwszy spodobało się nie-angielskie brzmienie swego imienia) rozmarzył się. Jakże to straszne — odnaleźć ojca w momencie, gdy trzeba się z nim pożegnać.

Rano, w dniu powrotu, ojciec poprosił Salahuddina Czamczawallę, aby ten go ogolił. — Te moje starowinki zupełnie nie wiedzą, którą stroną maszynki się to robi. Skóra Czangeza Czamczawalli tworzyła mnóstwo miękkich, pomarszczonych, zwisających worków, a jego zarost, wysypany z maszynki, wyglądał jak popiół. Salahuddin nie pamiętał, kiedy ostatni raz dotykał twarzy ojca w ten sposób, delikatnie rozprostowując skórę i przesuwając po niej bezprzewodową maszynką, a następnie głaszcząc ją ręką, by sprawdzić, czy jest gładka. Po goleniu długo jeszcze muskał palcami twarz ojca. — Popatrz na starego — powiedziała Nasrin do Kasturby, kiedy weszły do pokoju — nie może oderwać wzroku od swojego chłopca. — Czangez Czamczawalla uśmiechnął się szeroko, może zbyt szeroko, ukazując popsute zęby spowite gęstą śliną.

Kiedy ojciec położył się spać, zmuszony przedtem przez Kasturbę i Nasrin do wypicia odrobiny wody i patrzył — na co? — otwartymi oczyma potrafiącymi widzieć trzy światy jednocześnie: gabinet, wizyjny świat snu i zbliżający się krajobraz życia-po-życiu (lub też tak sobie to Salahuddin wyobrażał); — wtedy syn Czangeza poszedł odpocząć do dawnej sypialni ojca. Groteskowe głowy z terakoty wlepiły w niego wzrok ze ściany, rogaty demon, łypiący okiem Arab z sokółkiem na ramieniu; łysy mężczyzna unoszący wzrok w górę, w przestrachu wywalający język na widok dużej, czarnej muchy lądującej na jego brwi. Niezdolny do snu pomiędzy tymi figurkami, znał je od zawsze i szczerze nienawdził, widząc w nich odbicie tamtego Czangeza, przeniósł się w końcu do innego, neutralnego pokoju.

Późnym popołudniem obudził się, zszedł na dół i zastał dwie starsze panie starające się rozpracować szczegóły dozowania leków. Poza codziennym Melfalanem przepisano mu całą szafkę prochów w nadziei na zwalczenie groźnych chorób towarzyszących: anemii, niewydolności krążenia i tym podobnych. Izosorbid — cztery razy dziennie po dwie tabletki, furosemid — jedna tabletką trzy razy dziennie, prednisolon — dwa razy dziennie po sześć... — Ja to zrobię — powiedział zbitym z tropu kobietom. — To jedno chociaż mogę zrobić. — Agarol na obstrukcję, spironolakton na Bóg wie co. Allopurinol: nagle, zupełnie bez sensu, przypomniał sobie artykuł angielskiego krytyka Kennetha Tynana w starym piśmie teatralnym o polisylabicznym charakterze *Tamerlana Wielkiego* Christophera Marlowe'a i wyobraził sobie hordy pigulek starające się nawzajem dziesiątkować:

Czy słyszysz, o cny Barbituranie?

*Zmarł ojciec twój — stary Nembutał.
Gwiazdy świetliste zapłaczą za Nembutalem. . .
Czy odchodzić mężnie nie znaczy władcą być,
Aureomycyno i ty Formaldehydzie,
Czy odchodzić mężnie nie znaczy władcą być
I jechać w tryumfie na Amfetaminie?*

Takie rzeczy wyrzuca ludzka pamięć! Ale być może taki farmaceutyczny *Tamerlan* nie był najgorszym panegirykiem dla upadłego monarchy leżącego w swoim pełnym moli gabinecie, zerkającego w swoje trzy światy, czekającego na koniec. — Chodź, Abba. Czas, aby ocalić twoje życie.

Była wciąż na swoim miejscu, na półce gabinetu Czangeza: lampa z miedzi i mosiądzu, mająca rzekomo posiadać moc spełnienia życzeń, ale jak dotąd (nigdy nie była pocierana) nie sprawdzona. Cokolwiek zmatowiała, patrzyła na swego umierającego właściciela. Teraz patrzył na nią jego jedyny syn. Korciło go, aby ją zdjąć, potrzebę trzy razy i nakazać skrytemu w niej dżinnowi wypowiedzieć magiczne zaklęcie. . . a jednak Salahuddin zostawił lampę na swoim miejscu. Nie było to dobre miejsce na dżinny, zjawy i afryty; duchy i wróżki nie mają tu wstępu. Żadne magiczne formuły — tylko moc pigułek. — Oto twój znachor — zaśpiewał Salahuddin, grzechocząc fiołkami i jednocześnie budząc ojca. — Lekarstwa — uśmiechnął się dziecinnie. — Iik, bak, too.

* * *

Tej nocy Salahuddin zmusił Nasrin i Kasturbę do udania się na spoczynek, a sam czuwał nad Czangezem na rozłożonym na ziemi materacu. Po nocnej dawce izosorbidu konający spał przez trzy godziny, a kiedy się obudził, musiał iść do toalety. Salahuddin uczynnie pomógł mu wstać i zdziwiła go lekkość ojcowskiego ciała. Zawsze był ciężki, ale teraz stanowił jedynie żywy pokarm dla komórek rakowych. . . w toalecie Czangez odmówił przyjęcia pomocy. — Nie pozwolił ci zrobić tylko jednej rzeczy — uroczo narzekała Kasturba. — Jaki to nieśmiały człowiek. — W drodze powrotnej do łóżka oparł się lekko na ramieniu Salahuddina i szurał swoimi płaskimi stopami w starych kapciach, resztki jego włosów sterczały komicznie we wszystkich kierunkach, głowa kołysała się w przód i w tył na rachitycznej, kruchej szyi. Nagle Salahuddin zapragnął wziąć starca na ręce, ukołysać i zaśpiewać mu słodką, kojącą piosenkę. Zamiast tego wypalił w najbardziej nieodpowiednim momencie, próbując się pojednać: — Abba, przyjechałem, bo nie chcę więcej zatargów z tobą. . . — *Pieprzony idiota! Niech cię piekło pochłonie, ty szubrawy kretynie. W środku tej przeklętej nocy! A jeśli do tej pory nie*

wiedział, że umiera, to ta mała mówka pogrzebowa z pewnością mu to uświadomi. Czangez dalej szurał kapciami po podłodze; uścisk jego ręki na ramieniu syna wzmocnił się nieznacznie. — To już nie ma znaczenia — powiedział — cokolwiek to było, zostało zapomniane.

Rankiem Nasrin i Kasturba pojawiły się wypoczęte, ubrane w nowe sari i zaczęły narzekać: — Spanie z dala od niego było tak okropne, że nie zmrużyłyśmy oka. — Przypadły do Czangeza, a ich pieśczoły miały w sobie tyle czułości, że Salahuddin miał to samo uczucie podpatrywania czyjegoś życia prywatnego, jak na ślubie Miszal Sufjan. Cicho wymknął się z pokoju, kiedy troje kochanków obejmowało się, całowało i płakało.

Śmierć, wielki gość, omotała dom w Scandal Point swoim czarem. Salahuddin poddał się temu jak każdy z domowników, nawet Czangez, drugiego dnia często uśmiechał się swoim szelmowskim uśmiechem, jakby mówił — wiem, co jest grane. Pogodzę się z tym, nie sądzicie, że dałem się zwieść. Kasturba i Nasrin niezmiennie krzątały się wokół niego; czesały mu włosy, zmuszały go do jedzenia i picia. Język obrzmiał mu nieco, nieznacznie zmieniając wymowę i utrudniając połykanie; odmawiał przyjmowania czegokolwiek, co miało kości lub żyły, nawet piersi z kurczaka, za którą zawsze przepadał. Odrobina zupy, purc ziemniaczane, odrobina kremu mleczno-jajecznego. Jedzenie dla niemowląt. Kiedy usiadł na łóżku, Salahuddin usiadł za nim; Czangez oparł się o niego na czas posiłku.

— Otwórz dom — zarządził rano. — Chcę zobaczyć trochę uśmiechniętych twarzy zamiast waszych ponurych facjat. — Tak więc po długiej przerwie zaczęli przychodzić ludzie: starzy i młodzi, niemal zapomniani kuzyni, wujkowie, ciotki; kilku starych towarzyszy z czasów ruchu nacjonalistycznego, srebrnowłosi dżentelmeni w eleganckich garniturach, z monoklami w oczach, pracownicy rozmaitych towarzystw filantropijnych i fundacji założonych przez Czangeza wielki temu; konkurencyjni przedsiębiorcy produkujący nawozy rolnicze i sztuczne łąjno. Zbieranina, pomyślał Salahuddin; był jednak przyjemnie, zaskoczony ich pięknym zachowaniem w obliczu konającego człowieka; młodzi zwierzali mu się z sekretów swojego życia, jak gdyby upewniając go o wieczności bytu, uświadamiając mu pocieszającą myśl o jego przynależności do wielkiego łańcucha rasy ludzkiej — podczas gdy starzy wywoływali obrazy przeszłości, aby wiedział, że nic nie zostało zapomniane, zatracone i pomimo swojego świadomego odcięcia od świata nadal do niego należy. Śmierć przywiodła najlepsze cechy ludzkie do tego domu — uświadomił sobie Salahuddin — a więc tacy też są ludzie: troskliwi, kochający, nawet szlachetni. Egzaltacja wciąż jeszcze nie jest dla nas pustym pojęciem — pomyślał w świątecznym nastroju — pomimo wszystko możemy wznieść się jeszcze ponad ziemskie problemy. Jakaś piękna, młoda kobieta — Salahuddinowi zdawało się, że to prawdopodobnie jego bratanica (zawstydził się, że nie zna jej imienia) — robiła zdjęcia polaroidem. Fotografowała Czangeza z jego gośćmi, a chory bawił się doskonale, robił miny i całował nadstawiane policzki

z błyskiem w oku, który Salahuddin odebrał jako znak nostalgii. Przypomina to przyjęcie urodzinowe — pomyślał — lub jak „Finnegans Wake”. Trup odmawiający pochówku i dostarczający żyjącym rozrywki.

— Musimy mu powiedzieć — nalegał Salahuddin po wyjściu odwiedzających. Nasrin skłoniła głowę i przytaknęła. Kasturba wybuchnęła płaczem.

Powiedzieli mu następnego dnia rano, prosząc wcześniej lekarza specjalistę o przybycie i udzielenie odpowiedzi na ewentualne pytania Czangeza. Specjalista, Panikkar (nazwisko najprawdopodobniej było przekręcane i źle wymawiane przez Anglików, pomyślał — jak muzułmańskie „Fakhar”) przybył o dziesiątej, cały promieniując powagą swojej osoby. — Ja powinienem mu powiedzieć — rzekł przejmując kontrolę. — Wielu pacjentów wstydzi się okazywania strachu w obecności bliskich sobie osób. — Gównno tam powinienesz — odparł Salahuddin zdziwiony swoją impulsywnością. — No cóż, w takim razie... — Panikkar wzruszył ramionami i skierował się do wyjścia, czym wygrał. Nasrin i Kasturba powiedziały Salahuddinowi: — Prosimy, nie wtrącaj się. — Salahuddin pokonany wskazał lekarzowi drogę do ojca i zamknął za nim drzwi gabinetu.

— Mam raka — zakomunikował Czangez Czameczawalla Nasrin, Kasturbie i Salahuddinowi po wyjściu Panikkara. Mówił wyraźnie, wymawiając to słowo bez strachu, z przesadną starannością. — Zaawansowane stadium. Nie jestem zaskoczony. Powiedziałem Panikkarowi: „To właśnie powiedziałem panu pierwszego dnia, no bo gdzie indziej mogłaby się podziąć krew?” Po wyjściu z gabinetu Kasturba rzekła do Salahuddina: — Od twojego przyjazdu jego oczy odzyskały blask. Jaki był wczoraj szczęśliwy wśród tych wszystkich ludzi! Ale teraz jego wzrok zmętniał, nie będzie już walczył.

Podczas popołudniowej drzemki dwóch kobiet Salahuddin znalazł się z ojcem sam na sam. Stwierdził, że on, tak dążący do mówienia wszystkiego wprost, jest teraz niemy i wylękniony, nie wiedząc, jak zacząć. Ale to Czangez miał coś do powiedzenia.

— Chcę, abyś wiedział — rzekł do syna — że nie robię z tego tragedii. Człowiek musi na coś umrzeć, a ja nie umieram młodo. Nie mam złudzeń; wiem, że nie podniosę się z tego. To koniec. Wszystko w porządku. Jedyne, której się obawiam, to ból, ponieważ tam, gdzie pojawia się ból, człowiek traci ludzką godność. Nie chciałbym, żeby mnie się to przytrafiło. — Saladyn był przerażony. *Najpierw uczymy się od nowa miłości do ojca, a potem uczymy się także szacunku do niego.* — Lekarze powiedzieli, że jesteś przypadkiem jednym na milion — odpowiedział pełen wiary w swoje słowa. — Wygląda na to, że ból został ci oszczędzony. Po tych słowach Czangez się rozluźnił i Salahuddin uświadomił sobie, jak bardzo bał się stary człowiek, jak bardzo potrzebował słów otuchy... — Bas — powiedział szorstko Czangez Czameczawalla — wobec tego jestem gotów.

Aha, przy okazji, dostaniesz lampę, mimo wszystko.

Godzinę później zaczęła się biegunka: cienki czarny strumień. Nasrin bez przerwy dzwoniła do szpitala Breach Candy, dowiadując się, że Panikkar jest nieosiągalny — Odstawcie zaraz agarol — zarządziła dyżurująca lekarka i zamiast tego zaleciła imodium. Nie pomogło. O siódmej po południu wzrosło niebezpieczeństwo odwodnienia, a Czangez był zbyt słaby, aby usiąść do jedzenia. Naprawdę nie miał apetytu, ale Kasturbie udało się łyżeczką nakarmić go kilkoma kroplami kleiku z morelami obranymi ze skórki. — Mniam mniam — powiedział ironicznie, uśmiechając się swoim szelmowskim uśmiechem.

Zasnął, ale do pierwszej przynajmniej trzy razy przechodził kryzys. — Na miłość boską — krzyczał do słuchawki Salahuddin — dajcie mi numer domowy Panikkara. — Ale było to wbrew szpitalnym przepisom. — Musi pan osądzić — powiedziała dyżurująca lekarka — czy nadszedł już czas na niego. — O ty kurwo — wyrzucił z siebie Salahuddin Czamczawalla — dzięki za wszystko.

O trzeciej nad ranem Czangez był tak osłabiony, że Salahuddin prznosił go do toalety. — Wyprowadźcie samochód! — krzyknął na Nasrin i Kasturbę. — W tej chwili jedziemy do szpitala. — Dowodem na zbliżanie się końca Czangeza był fakt, że pozwolił sobie pomóc. — Czarne gówno, niedobrze — powiedział próbując złapać oddech. Płuca zarzęziły alarmująco; oddychał w taki sposób, jakby pęcherzyki powietrza przedostawały się przez klej. — Niektóre są powolne, ale myślę, że ten jest bardzo szybki. Zniszczenia postępują błyskawicznie. — I tu Salahuddin, apostoł prawdy, skłamał: *Abba, nie martw się. Wydobrzejesz.* Czangez Czamczawalla potrząsnął głową. — Odchodzę, synu — powiedział. Klatka piersiowa chorego unosiła się spazmatycznie; Salahuddin chwycił plastikową nerkę i przytrzymał ją przy ustach Czangeza. Konający mężczyzna zwymiotował flegmą zmieszaną z krwią; po tym był zbyt słaby, żeby mówić. Tym razem Salahuddin musiał przenieść ojca do samochodu, umieścić go na tylnym siedzeniu mercedesa pomiędzy Nasrin i Kasturbą i pognać na najwyższych obrotach silnika do szpitala Breach Candy oddalonego o jakieś pół mili od domu. — Otworzyć okno, Abba? — zapytał w pewnym momencie. Czangez potrząsnął głową i wybełkotał: — Nie. Dużo później do Salahuddina dotarł fakt, że było to ostatnie słowo wypowiedziane przez ojca.

Izba przyjęć. Tupot biegnących stóp, pozornie pospieszne polecenia, fotel na kółkach, Czangez wrzucany na łóżko, zasłony. Młody lekarz robiący wszystko bardzo szybko, ale bez widocznego dla laika pośpiechu. *Lubię go*, pomyślał Salahuddin. Po chwili lekarz spojrzał mu prosto w oczy i powiedział: — Nie sądzę, żeby to przetrzymał. — To było jak uderzenie w żołądek. Salahuddin spostrzegł, że trzymał się kurczowo *nadziei, poskładają go i wrócimy do domu, to nie jest „to”*, i odruchową reakcją na słowa lekarza była wściekłość. *Pan jest tu mechanikiem. Niech mi pan nie mówi, że nie zapali, napraw go pan do cholery!* Czangez dogorywał dusząc się własnymi płucami. — Nie możemy dostać się do klatki

piersiowej przez tę kurtę; czy można by... *Tnijcie. Róbcie, co do was należy.* Kroplówki, dźwiękowy sygnał słabnącego serca, kompletna bezsilność. Młody lekarz mruczający pod nosem: — To nie potrwa długo, a więc... — Na co Salahuddin Czamczawalla zwrócił się do Nasrin i Kasturby i wypalił bezmyślnie: — Chodźcie, szybko! Chodźcie się z nim pożegnać. — Na miłość boską! — wybuchnął lekarz... Kobiety nie płakały, ale podeszły do Czangeza i wzięły go, każda za jedną rękę. Salahuddin zaczerwienił się ze wstydu. Nigdy się nie dowiedział, czy ojciec słyszał ten wyrok śmierci z ust swojego syna.

Po chwili Salahuddin wziął się w garść, lepiej dobierał słowa, po dłuższej przerwie znów mówił w języku Urdu. *Jesteśmy przy tobie, Abba. Wszyscy cię bardzo kochamy.* Czangez nie był w stanie mówić, ale — a może nie — nie, to musiało być to — kiwnął głową na znak zrozumienia. *Słyszysz mnie.* Ale wtedy nagle i niespodziewanie Czangez Czamczawalla opuścił obecnych; żył jeszcze, ale odszedł gdzieś, jakby patrzył teraz w głąb, jakby było tam coś jeszcze do obejrzenia. *On mnie uczy, jak należy umierać,* pomyślał Salahuddin. *Nie odwraca od niej oczu, ale patrzy jej prosto w twarz.* W ciągu całego swojego konania Czangez Czamczawalla nie wezwał imienia Boga.

— Proszę — powiedział lekarz — wyjdźcie zza parawanu i pozwólcie nam robić swoje... Salahuddin odciągnął dwie kobiety i dopiero kiedy zakryty kotarą Czangez Czamczawalla zniknął im z oczu, zapłakały. — Przysięgał, że mnie nigdy nie opuści — łkała Nasrin, jej samokontrola legła w gruzach, i odszedł. Salahuddin podglądał przez szparę w parawanie; i zobaczył, jak pompują w niego prąd elektrycznym, nagły zielony impuls na ekranie monitora; zobaczył, jak lekarz z pielęgniarkami wałęsa w klatkę piersiową ojca; zobaczył klęskę.

Ostatnią emocją goszczącą na twarzy ojca, tuż po bezowocnych wysiłkach służb medycznych, była nieopisana groza, tak wyraźna, że Salahuddin stanął jak skamieniały. Co widział? Co czekało tam na niego, na nas wszystkich, że tak przeraziło tego dzielnego człowieka? Kiedy było już po wszystkim, powrócił do łóżka Czangeza i dostrzegł uśmiech przyklejony do wykrzywionych ust.

Pogłaskał te słodkie policzki. *Nie golilem go dzisiaj. Zmarł z zarostem na twarzy.* Jakże była już zimna; ale mózg zachował jeszcze trochę ciepła. Wepchnęli mu waciki do nosa. *A jeśli to pomyłka? Jeśli on chce oddychać?* Nasrin Czamczawalla stała tuż za nim. — Zabierzmy twojego ojca do domu — powiedziała.

* * *

Czangez Czamczawalla powrócił do domu ambulansem, leżąc na aluminiowej tacy na podłodze samochodu pomiędzy dwiema kochającymi go kobietami.

Salahuddin jechał za karetką. Sanitariusze ułożyli starca w gabinecie; Nasrin włączyła klimatyzację na maksimum. Była to, pomimo wszystko, śmierć w tropiku, a słońce miało wzejść już wkrótce.

Co widział? Obraz ze szpitala nie dawał Salahuddinowi spokoju. Dlaczego był tak przerażony? I skąd na koniec wziął się ten uśmiech?

Znowu przyszli ludzie. Wujkowie, kuzyni, przyjaciele wzięli na siebie brzemię przygotowań do pogrzebu. Nasrin i Kasturba siedziały na ziemi na białych prześcieradłach, w pokoju, w którym raz pewnego Saladyn i Zini odwiedzili wilkołaka, Czangeza; kobiety usiadły z nimi i rozpaczały, recytując kalimę, raz za razem przesuwając palcami paciorki różańca. Salahuddin był szczerze zirytowany, nie wystarczyło mu jednak woli, aby to przerwać. Wtedy przyszedł mułła i zszedł całun dla Czangeza; przyszedł czas obmycia ciała i pomimo, że obecnych było wielu mężczyzn i nie potrzebował pomocy, Salahuddin nalegał. *Jeśli on mógł patrzeć śmierci prosto w oczy, to ja też mogę.* Przy myciu ciała mułła wydawał polecenia co do obracania i ułożenia posiniaczonych i wychudzonych zwłok, odznaczała się na nich długa brązowa blizna po wyciętym wyrostku robaczkowym, Salahuddin przypomniał sobie tylko jeden raz, kiedy zobaczył nagie ciało swego ojca; miał wtedy dziewięć lat — zakradł się do łazienki, kiedy Czangez brał prysznic i na całe życie zapamiętał wstrząs, jaki wywołał u niego widok ojcowskiego penisa. Był gruby i kanciasty — jak pałka. O, mocy tej rzeczy; i jego własnej nicości... — Nie można mu zaniknąć oczu — narzekał mułła — powinniście to zrobić wcześniej. — Był krępy, pragmatycznym facetem, taki mułła z brodą, bez wąsów. Traktował zwłoki jak zwykłą rzecz wymagającą mycia w takim samym stopniu jak samochód, okno czy naczynie. — Mieszka pan w Londynie? W Tym Właśnie Londynie? Mieszkałem tam wiele lat. Byłem szwajcarem w Claridge Hotel. *Och, tak? Naprawdę? Jakie to ciekawe.* Facet najwyraźniej chciał sobie uciąć pogawędkę. Salahuddin przeraził się. *To mój ojciec, rozumiesz pan?* — A ten ubiór — zapytał mułła, wskazując na ostatnią kurtę — pidżamę Czangeza, tę rozciętą przez personel szpitalny starający się dostać do klatki piersiowej chorego. — Potrzebuje jej pan? Nie, nie, weź ją sobie. Proszę. — Jest pan bardzo uprzejmy. Małe kawałki czarnej tkaniny wypełniały usta Czangeza i sterczały spod jego powiek. — Ten materiał był w Mekce — rzekł mułła. Zabieraj to sobie! Nie rozumiem. To święta materia. Słyszałeś, won, wynocha, wynocha mi stąd. Niech Bóg zlituje się nad jego duszą.

I:

Mary, przybrane kwiatami, jak becik wyrośniętego dziecka.

Ciało, spowite bielą, z wiórkami drzewa sandałowego, rozsypanymi wokół dla przyjemnego zapachu.

Jeszcze więcej kwiatów i zielona atlasowa materia wyhaftowana złotymi wersetami Koranu.

Ambulans z katafalkiem w środku, oczekujący pozwolenia wdowy na odjazd.

Ostatnie pożegnania kobiet.

Cmentarz. Żałobnicy spieszący, by podnieść trumnę, tratujący stopę Salahudina i zdzierający mu paznokiec z wielkiego palca u nogi

Pośród żałobników osamotniony stary przyjaciel Czangeza — obecny na cmentarzu pomimo obustronnego zapalenia płuc; jeszcze jeden stary dżentelmen płaczący rzewnymi łzami, sam jutro umrze; — i wszelkiego rodzaju chodzące świadectwa życia zmarłego.

Grób. Salahuddin schodzi do wnętrza od strony głowy, grabarz od strony nóg. Opuszczają Czangeza Czamczawallę. *Ciężar głowy mego ojca spoczywa na mojej dłoni. Składam ją; na wieczny spoczynek.*

Świat, jak ktoś napisał, jest miejscem, którego istnienie potwierdzamy, umierając na nim.

* * *

Czekała na niego, kiedy powrócił z cmentarza: lampa z miedzi i mosiądzu, dopiero co odziedziczona. Wszedł do gabinetu Czangeza i zamknął za sobą drzwi. Stare kapcie ojca leżały przy łóżku: stały się, jak to przepowiedział, „parą porzuconych butów”. Prześcieradło wciąż zachowało odcisk ciała ojca; pokój wypełniały mdlące zapachy: drzewa sandałowego, kamfory, olejku goździkowego. Zdjął lampę z półki i usiadł przy biurku Czangeza. Następnie wyciągnął z kieszeni chustkę i potarł niecierpliwie stary przedmiot: raz, dwa, trzy.

Natychmiast zapaliły się wszystkie światła.

Do pokoju weszła Zinat Wakil.

— Och, przepraszam, może nie chciałeś zapalać, ale ze spuszczoneymi storami było tak smutno. — Wymachując rękoma, przemawiając głośno tym swoim pięknym, nieco chropawym głosem, z włosami układającymi się w koński ogon sięgający talii, była tutaj, jego własny dzinn. — Miałam wyrzuty sumienia, że nie przyszłam wcześniej, ale chciałam po prostu cię zranić; ale wybrał sobie moment, zawsze sobie pobłażał, jar, dobrze cię znowu widzieć, biedny osierocony gąsiorku.

Była taka jak zawsze, zanurzona w życiu po szyję, łącząca uniwersyteckie wykłady z historii sztuki z praktyką medyczną i polityką. — Byłam w tym cholernym szpitalu, wiesz? Byłam tam, ale nie wiedziałam, co jest z twoim tatą aż dopiero... a nawet wtedy nie podeszłam cię uściskać, ale ze mnie suka. Jeśli chcesz mnie wyrzucić za drzwi, nie będę się skarżyła. — Szlachetna kobieta, najszlachetniejsza na świecie. *Kiedy ją zobaczysz, będziesz wiedział*, obiecywał sobie i okazało się, że miał rację. — Kocham cię — usłyszał swój głos zatrzymujący ją w miejscu. — Dobra, nie będę ci tego perswadować — powiedziała w końcu rozpromienio-

na. — Oczywiście jesteś wytrącony z równowagi. To szczęście, że nie znalazłeś się w jednym z tych olbrzymich szpitali miejskich; oni trzymają tam czubków tuż obok heroinistów i panuje tam na oddziałach taki obrót narkotykami, że biedne świrusy źle kończą. Tak czy inaczej, jeśli powtórzysz to samo po czterdziestu dniach, uważaj, bo wezmę to poważnie. Teraz może to być choroba.

Niepokonana (i jak się zdawało bez zobowiązań) Zini powtórnie wkroczyła w jego życie, będąc ukoronowaniem procesu odnowy, regeneracji będącej najbardziej nieoczekiwanym paradoksalnym wynikiem choroby ojca. Jego dawne, angielskie życie ze wszystkimi dziwactwami, złem, było teraz bardzo odległe, nawet nieistotne, tak jak jego imię okaleczone do pseudonimu artystycznego. — Najwyższy czas — stwierdziła Zini, gdy powiedział jej o swoim powrocie do *Salahuddina*. — Teraz możesz w końcu przestać grać. — Tak, wyglądało to jak nowy rozdział, w którym świat będzie rzeczywisty i naturalny, w którym nie będzie już potężnej figury rodzica stojącej pomiędzy nim a nieuchronnością grobu. Osierocony żywot, jak Mahometa, jak wszystkich. Życie rozświetlone przez dziwnie jaśniejącą śmierć, lśniąca dalej w jego świadomości jak magiczna lampa.

Od teraz muszę myśleć o sobie, jakby wciąż żyjąc w pierwszym momencie przyszłości — postanowił, w kilka dni później, w mieszkaniu Zini na Sophia College Lane, kiedy właśnie dochodził do siebie pO jej spontanicznych wyczynach. (Zaprosiła go nieśmiało do siebie, jakby zdejmowała woalkę po długiej żałobie). Ale nie tak łatwo jest zerwać z przeszłością; pomimo wszystko żył w *teraźniejszej chwili przeszłości* i jego dawne sprawy gromadziły się wokół aby dopełnić swojego przeznaczenia.

* * *

Zaczął zdawać sobie sprawę z tego, że stał się bogatym człowiekiem. Zgodnie z ostatnią wolą zmarłego przedsiębiorcy, jego fortuna i kolosalne odsetki mają zostać pod kontrolą grupy zaufanych przyjaciół — zyski będą dzielone na trzy równe części: jedna dla Nasrin, drugiej żony Czangeza, druga dla Kasturby, do której zwracał się w testamencie — „pod każdym względem mojej trzeciej”, i trzecia dla syna, Salahuddina. Jednakże po śmierci kobiet, kiedy tylko zechce, przejmie kontrolę nad wszystkim, krótko mówiąc, odziedziczył mnóstwo. „Pod warunkiem — zastrzegł przewrotnie Czangez Czamczawalla — że łotr przyjmie podarunek, który wcześniej odrzucił, to znaczy zarekwirowany budynek szkolny usytuowany w Solanie, Himachal Pradesz.” Czangez mógł ściąć orzech, ale nigdy nie próbował odebrać Salahuddinowi wolności wyboru. Jedynie dwa domy zostały wyłączone z zapisu — Pali Hill i Scandal Point. Pierwszy otrzymała Nasrin Czam-

czawalla, drugi przypadł Kasturbie, która natychmiast wyraziła chęć sprzedania starego domu inwestorom. Działka miała olbrzymią wartość, a Kasturba była zupełnie pozbawiona sentymentów. Salahuddin zaprotestował gwałtownie, ale usadzono go ostro. — Mieszkałam tu całe życie — oznajmiła — i dlatego ja o tym decyduję. — Nasrin Czamczawalla nie miała więcej zainteresowania dla losu starej budowli. — Jeden wieżowiec więcej, jeden kawałek starego Bombaju mniej. — Wzruszyła ramionami. — Co za różnica? Miasta się zmieniają. — Przygotowywała się do powrotu do Pali Hill, zdejmowała pudełka z motylami ze ścian, zbierała swoje wypchane ptaki w holu. — Niech tak będzie — powiedziała Zinat Wakil — i tak nie mógłbyś mieszkać w tym muzeum.

Oczywiście, miała rację; jeszcze nie zrobił kroku w kierunku przyszłości, a już rozpacza z żalu za utraconym dzieciństwem. — Wychodzę, muszę się spotkać z George'em i Bhupenem, pamiętasz? — zapytała. — Dlaczego nie pójdziesz ze mną? Musisz się przyzwyczaić do miasta. — George Miranda skończył właśnie dokumentalny film o komunalizmie, z wypowiedziami Hinduistów i Muzułmanów — dwie strony medalu. Fundamentalisci obu religii domagają się ciągle decyzji rządowej, która zdejmie film z ekranu i pomimo tego, że sądy w Bombaju odrzuciły skargę, sprawa została przekazana do Sądu Najwyższego. George, jeszcze bardziej zarośnięty, z prostymi włosami i żołądkiem bardziej niż pamiętał to Salahuddin owrzodzonym, pił nim w speluncie Dhobi Talao i zdesperowany walił w stół pięściami. — To Sąd Najwyższy spod znaku Szacha Bano — krzyczał, nawiązując do wyroku, wydanego pod naciskiem ekstremistów islamskich, stanowiącego, że świadczenia sprzeczne z wolą Allaha, czyniąc tym samym prawa indyjskie bardziej reakcyjnymi niż na przykład pakistańskie. — Tak więc nie mam wielkich nadziei. — Niepoczyszony podkreślił nasmarowany brylantyną koniec wąsa. Jego nowa dziewczyna, wysoka szczupła Bengalka z krótko przyciętymi włosami, przez co przypominała Salahuddinowi trochę Miszal Sufjan, skorzystała z okazji, aby zaatakować Bhupena Gandhiego za opublikowanie tomiku wierszy powstałego po wizycie „w małym mieście ze świątynią”, w Gagari. Wiersze natychmiast zostały skrytykowane przez hinduistów, jeden znany profesor z Południowych Indii oznajmił nawet, że Bhupen „stracił prawo do miana indyjskiego poety”, ale w opinii młodej kobiety Swatelekhi, religia zawiodła Bhupena w rejonie niebezpiecznych dwuznaczności. Nerwowo odrzucając z czoła siwe włosy, Bhupen (z błyszczącą okrągłą twarzą) bronił się sam. — Powiedziałem, że jedyne zbiory z Gagari to kamienie wydobywane z kamieniołomów na wzgórzach. Mówiłem o legendarnych stadach dźwięczących świętymi dzwonkami, pasących się na stokach wzgórz. To nie są dwuznaczne obrazy. — Nie przekonało to Swatelekhi. — W obecnych czasach musimy przedstawiać sytuację z krystaliczną wyrazistością. Wszelkie metafory noszą w sobie zarodek błędnej interpretacji. — Dziewczyna wysnuła teorię. Społeczeństwo zostało omotane przez to, co ona nazywała *wielkimi formami narracyjnymi*: historię, ekonomikę, etykę. W Indiach

rozwój zamkniętego i skorumpowanego aparatu państwa „wykluczył masy ludzkie z planu etycznego”. W rezultacie szukali etycznego spełnienia w najstarszej z wielkich form narracyjnych, to znaczy w wierze. — Ale forma narracyjna jest manipulowana przez teokratów i różne siły polityczne, co powoduje uwstecznienie. Bhupen odpowiedział: — Nie możemy zanegować wszechobecności wiary. Gdybyśmy pisali w ten sposób, jakby przesądając, że wiara jest fałszem lub ułudą, to czy nie ponosilibyśmy winy za jednostronność widzenia jej jedynie przez pryzmat obrządku? — Swatelekha zirytowała się. — Już dzisiaj tworzą się ogniska zapalne w Indiach — krzyczała — sekularyzm kontra racjonalizm, oświecenie przeciwko ciemnocie. Lepiej powiedz, po której jesteś stronie.

Bhupen, wściekły, podniósł się i chciał wyjść. Zini uspokoiła go:

— Nie możemy sobie pozwolić na schizmy. Musimy działać razem. — Bhupen usiadł, a Swatelekha pocałowała go w policzek. — Przepraszam — powiedziała. — Zbyt wiele czasu spędziłam w college’u. Tak zawsze mówi George. Poza tym wiersze są świetne. Kłóciłam się tylko dla zasady. — Bhupen udobruchał się i udawał, że chce ją uderzyć w nos; krzys minął.

Spotkali się już z Salahuddinem, aby omówić swój udział w ważnej politycznej demonstracji: miał to być ludzki łańcuch rozciągający się od Wrót Indii do najbardziej wysuniętych na północ przedmieść miasta, popierający „intergrację narodu”. Komunistyczna Partia Indii (Marksistowska) zorganizowała ostatnio z olbrzymim powodzeniem taki ludzki łańcuch w Kerała. — Ale — zauważył George Miranda — tutaj w Bombaju będzie zupełnie inaczej. W Kerała KPIM jest przy władzy. Tutaj pod okiem tych drani z Sziv Sena możemy spodziewać się wszystkiego, od trudności z policją po niekończące się ataki motłochu na ogniw łańcucha — szczególnie wtedy, kiedy będzie przechodził, a będzie musiał, przez fortecę Sena w Mazagaonie. — Pomimo tych niebezpieczeństw — wyjaśniła Zini Salahuddinowi — takie demonstracje są niezbędne. Przy takiej eskalacji przemocy Mirat było tylko jednym z ostatnich krwawych incydentów. Należało koniecznie powstrzymać siły dążące do dezintegracji. Musimy udowodnić, że istnieją aktywne siły przeciwne. Salahuddin był co nieco wytracony z równowagi tempem kolejnych zmian w jego życiu. *Ja, biorący udział w manifestacji KPIM. Cuda nigdy nie ustaną. Muszę być poważnie zakochany.*

Kiedy już ustalili szczegóły — jak wielu przyjaciół może przyprowadzić każdy z nich, gdzie się zbiorą, co należy zabrać do jedzenia, picia i co z artykułów pierwszej pomocy — rozluźnili się, popijali tani ciemny rum i rozmawiali o niczym. I wtedy po raz pierwszy Salahuddin usłyszał plotki o dziwnym zachowaniu gwiazdy filmowej Gibrila Fariszty, które krążąc po mieście, dopadły Czamczę i uwierały go teraz jak cierń z minionego życia; przywołując przeszłość jak odległy dźwięk trąby, dzwoniący w uszach.

* * *

Tenże Gibril Fariszta powróciwszy z Londynu do Bombaju, aby pozbierać resztki swojej kariery filmowej, nie był zgodnie z ogólnie panującą opinią starym Gibrilem o nieodpartym uroku. — Facet wydaje się kroczyć prostą drogą do samobójstwa — zawyrokował George Miranda, znający wszystkie plotki filmowego świata. — Nie wiadomo dlaczego. Powiadają, że po zawodzie miłosnym trochę mu odbiło. — Salahuddin nic nie mówił, ale czuł, jak twarz zaczyna mu płonąć. Allie Cone odtrąciła Gibrila po pożarach Brick Hall. W kwestii przebaczenia, zauważył Salahuddin, nikt nie pomyślał, aby mieć na uwadze zupełnie niewinną i mocno poranioną *Alleluje; jeszcze raz zepchnęliśmy ją na boczny tor. Nic dziwnego, że wciąż szaleje*. Gibril przekazał Salahudinowi w ostatniej, cokolwiek dziwnej rozmowie telefonicznej, że wraca do Bombaju. „W nadziei na to, że nie będę widział jej, ciebie i tego cholernego zimnego miasta w czasie, który jeszcze mi pozostał.” A tutaj znowu, wszystko na to wskazywało, znalazł się na dnie. — Kręci jakieś dziwne filmy — kontynuował George. — Ale tym razem musiał wpakować własne pieniądze. Po dwóch ostatnich producenci szybko się wycofali. Tak więc jeśli poniesie klęskę, jest przegrany, skończony, zrobiony na szaro. — Gibril wziął się za realizację współczesnej wersji Ramajany, w której bohaterowie i heroiny stają się źli i przewrotni zamiast być czystymi i wolnymi od grzechu. Znalazł się tutaj sprośny, zapijaczony Rama i kapryśna Sita; podczas gdy Rawana, król-demon, został przedstawiony jako prawy i uczciwy człowiek. — Gibril gra rolę Rawany — wyjaśnił George z mieszaniną fascynacji i grozy. — Wygląda to tak, jakby wytrwale dążył do konfrontacji z religijnymi sektami, wiedząc, że nie może wygrać, że rozniosą go na strzępy. Kilku członków zespołu zwolniło się i udzieliło sensacyjnych wywiadów, oskarżając Gibrila o bluźnierstwo, satanizm i inne występki. Jedna z jego ostatnich kochanek, Pimple Billimoria, pojawiła się na okładce „Ciné-Blitz” ze słowami: „To było jak pocałunek Diabła”. Stary problem Gibrila, związany z siarczanym oddechem, zemścił się na nim.

Jego dziwaczne zachowanie oplotkowano jeszcze bardziej niż wybór tematu filmu. — Niekiedy jest samą słodyczą i światłem — dodał George — a czasem przychodzi do pracy jak pan bóg wszechmogący i wymaga od ludzi, aby padali na kolana. Osobiście uważam, że film nie zostanie ukończony, jeśli on nie zadba o swoje zdrowie psychiczne, które, jak sądzę, nie jest w najlepszym stanie. Najpierw choroba, potem katastrofa lotnicza i na koniec niefortunny romans. Chyba jesteście w stanie zrozumieć problemy tego faceta. — Były też gorsze plotki: jego sprawy podatkowe są przedmiotem śledztwa; policjanci przesłuchiwali go na okoliczność śmierci Rekhi Merchant, a jej mąż, król łożysk kulkowych, zagroził, że „połamie temu draniowi każdą kosteczkę”, tak że przez kilka dni Gibril wsiadał

do wind Everest Vilas w towarzystwie goryli; a najgorsze z nich było posądzenie o nocne wizyty w dzielnicy „pod czerwoną latarnią”, skąd, jak ktoś zeznał, alfonsi musieli go przepędzać, gdyż okaleczał kobiety. — Powiadają, że niektóre z nich były paskudnie uszkodzone — powiedział George — i że musiał zapłacić olbrzymie sumy za zachowanie milczenia. Ja tam nie wiem, ludzie wygadują różne rzeczy. Ta Pimple, oczywiście, gra teraz pierwsze skrzypce. *Mężczyzna, który Nienawidzi Kobiet*. Z tego powodu robi teraz z siebie femme fatale. Jednak rzeczywiście coś niepokojącego dzieje się z Fariszta. Znasz tego gościa, jak słyszałem — skończył George, patrząc na rumieniącego się Salahuddina.

— Nie za dobrze. Właściwie tylko z powodu katastrofy lotniczej i tak dalej. — Był wyraźnie zmieszany. Wyglądało na to, że Gibrilowi nie udało się uciec od wewnętrznych demonów. On, Salahuddin, wierzył, naiwnie jak się okazało, że wydarzenia w Brickhall, kiedy Gibril ocalił mu życie, w pewnym sensie oczyściły ich obu; że te diabły zostały pochłonięte przez płomień; i że miłość potrafiła wydobyć z niego siłę człowieczeństwa równą sile nienawiści; że cnota potrafi zmieniać ludzi tak samo jak występki. Ale nic nie jest wieczne. Jak się okazało, kuracja nie była skuteczna.

— Przemysł filmowy zawsze był pełny odlotowców — mówiła z egzaltacją Swatelekha do George’a. — Spójrz pan na siebie. — Bhupen zachowywał powagę: — Zawsze widziałem w Gibrilu pozytywną siłę — powiedział. — To jeden z nielicznych, którzy zyskują akceptację, grając role wyznawców różnych religii. Utrata popularności, w jego przypadku, to zły znak.

Dwa dni później Salahuddin Czameczawalla przeczytał w niedzielnych gazetach, że międzynarodowa ekspedycja alpinistów, mająca zamiar zdobyć Hidden Peak, przybyła do Bombaju; a kiedy pomiędzy alpinistami zobaczył nazwisko „królowej Everestu”, panny Allelui Cone, poczuł lęk, uczucie to, skrywające się w jego wyobraźni, teraz zstępowało do rzeczywistego świata, zachowując spowolnioną śmiertelną logikę snu. — Teraz wiem, co to są duchy — pomyślał. — To po prostu nie załatwione do końca sprawy.

* * *

W ciągu następnych dwóch dni swojej obecności w Bombaju, Allie dawała mu się coraz bardziej we znaki. Jego umysł uparcie kojarzył ze sobą różne fakty, na przykład widoczne wyleczenie jej stóp z zakończeniem romansu z Gibrilem: jak gdyby okaleczał ją swoją zazdrosną miłością. Jego racjonalny umysł zdawał sobie sprawę, że to wszystko ma logiczne wyjaśnienie, ale ogarnął go dziwny marzycielski nastrój i zdawał się być odporny na logikę. Co ona naprawdę tu

robi? Zaczął wierzyć, że ma się spełnić jakieś straszliwe przeznaczenie.

Zini, której operacje, wykłady uniwersyteckie i praca na rzecz ludzkiego łańcucha nie pozwalały obecnie na zajmowanie się Salahuddinem i jego nastrojami, opacznie odczytywała jego zaniknięcie się w sobie i milczenie jako wyraz wątpliwości, związanych z powrotem do Bombaju, wciągnięciem w działalność polityczną, która była mu zawsze wstrętna, oraz z jej osobą. Aby ukryć swoje lęki, przemawiała do niego tonem wykładu. — Jeśli mówisz poważnie o pozbyciu się zachodnich nawyków, Salad baba, nie popadaj dla odmiany w stan ośpienia charakterystyczny dla człowieka wykorzystanego. W porządku? Jesteśmy tu wszyscy. Tuż przy tobie. Naprawdę powinieneś spróbować w sposób dorosły dopasować się do tego miejsca i czasu. Przygarnij to miasto, a nie jakieś wspomnienia z dzieciństwa, które wywołują nostalgię i nudności. Przyciągnij je do siebie. Rzeczywiste, a nie urojone. Pozwól, żeby jego wady stały się twoimi. Bądź jego częścią — Salahuddin przytaknął z roztargnieniem, a ona myśląc, że znowu ma zamiar ją opuścić, wypadła wściekła z mieszkania, zostawiając go sam na sam z rozterkami.

Czy powinien zatelefonować do Allie? Czy Gibril powiedział jej o głosach?

Czy powinien zobaczyć się z Gibrilem?

Coś się wydarzy, ostrzegął go wewnętrzny głos. Wydarzy się, a ty wiesz, co to jest, a ty, do jasnej cholery, nie możesz nic zrobić. O tak: coś złego.

* * *

Stało się to w dniu demonstracji, która, pomimo wszelkich przeciwności, odniosła sukces. W dzielnicy Mazagaon miały miejsce drobne utarczki, ale generalnie rzecz biorąc demonstracja przebiegła spokojnie. Obserwatorzy KPIM donieśli o sformowaniu nieprzerwanego łańcucha złożonego z kobiet i mężczyzn, ciągnącego się przez całe miasto, a Salahuddin stojący pomiędzy Zini i Bhupenem na ulicy Muhammada Alego nie mógł odmówić tej demonstracji imponującego wrażenia. Wielu ludzi stojących w łańcuchu płakało. Organizatorzy dali znak do wzięcia się za ręce — Swatelekha była wśród nich; jechała na tylnym siedzeniu dżipa z megafonem w ręku, była dokładnie ósma rano; w godzinę później rozpoczęły się godziny szczytowego nasilenia ruchu ulicznego i tłoku, więc tłum zaczął się rozchodzić. Jednakże pomimo tysięcy ludzi zaangażowanych w tworzenie łańcucha, nie było o nim relacji w wiadomościach telewizji Durdarszan. Radio All-India także nie podało tej informacji. Większość (rządowych) gazet również nie zamieściła wzmianek... jeden dziennik wychodzący w języku angielskim i jeden tygodnik — to wszystko. Zini, mając w pamięci łańcuch w Kerala, przepowiedziała tę mar-

twą ciszę, kiedy wraz z Salahuddinem wracali do domu. — To komunistyczna manifestacja — wyjaśniła — tak więc oficjalnie nie istniała.

Co wypełniało nagłówki prasowe?

Co krzyczało do czytelników wielkimi literami, podczas gdy relacja z utworzenia ludzkiego łańcucha nie zaistniała nawet *petitem*?

KRÓLOWA EVERESTU, FILMOWY MOGOŁ, NIE ŻYJĄ
PODWÓJNA TRAGEDIA W MALABAR HILL — GIBRIL FARISZTA
ZNIKA
CZYŻBY ZNOWU KLĄTWA EVEREST VILAS?

Ciało znanego producenta filmowego S. S. Sisodii z dziurą w sercu zostało znalezione w apartamencie słynnego aktora, pana Gibрила Fariszty. Panna Alleluja Cone, nie bez związku z tym wydarzeniem, spadła z dachu drapacza chmur, z którego wcześniej Rekha Merchant rzuciła się na beton wraz z dziećmi.

Poranne gazety bardziej jednoznacznie przedstawiły ostatnią rolę Fariszty. FARISZTA, PODEJRZANY, ZBIEGŁ.

— Wracam do Scandal Point — powiedział Salahuddin do Zini, która źle interpretując tę rejteradę, wściekła się. — Słuchaj, lepiej się zastanów. — Wyjeżdżając nie wiedział, jak upewnić ją, jak wytłumaczyć ogarniające go poczucie winy, i *odpowiedzialności*: jak jej powiedzieć, że te zabójstwa były czarnymi kwiatami wyrosłymi z nasion, które zasadził wiele lat temu? — Muszę po prostu przemyśleć to i owo — powiedział słabym głosem, utwierdzając jej podejrzenia. — Tylko na dzień lub dwa. — Salad Baba — powiedziała ostrym tonem — muszę ci to powiedzieć, człowieku. Masz doskonałe wyczucie chwili.

* * *

W noc po uczestnictwie w ludzkim łańcuchu, Salahuddin Czamczawalla przez okno sypialni z czasów dzieciństwa spoglądał na nocne wzory Morza Arabskiego, kiedy Kasturba niecierpliwie zapukała do i drzwi. — Jakiś człowiek do pana. — Prawie syczała ze strachu. Salahuddin nie widział, by ktoś wchodził przez bramę. — Wszedł wejściem dla służby — odpowiedziała Kasturba na jego pytające spojrzenie. — I, baba, posłuchaj, to jest ten Gibril, o którym gazety mówią. . . — Głos jej zamarł, gdy bezwiednie przygryzła palce lewej ręki.

— Gdzie on jest?

— Co miałam robić, bałam się! — jęczała Kasturba. — Powiedziałam, żeby

poszedł do gabinetu pańskiego ojca, czeka tam. Może niech pan nie idzie. Mam zadzwonić po policję? Baapu ré, co za nieszczęście!

Nie. Nie dzwoń. Zobaczę, czego chce.

Gibril siedział na łóżku Czangeza, w rękach trzymał starą lampę, miał na sobie brudną kurta-pidżamę i wyglądał, jakby od dawna nie spał. Jego oczy były mętne, pozbawione blasku, martwe. — Spoono — powiedział słabym głosem, wskazując lampą na fotel — czuj się jak u siebie w domu

— Okropnie wyglądasz. — Salahuddin zbliżył się, wywołując u tamtego cyniczny, daleki, wcześniej nieznan mu uśmiech. — Siądź i zamknij się, Spoono — powiedział Gibril Fariszta. — Przyszedłem opowiedzieć ci pewną historię.

A więc to ty — zrozumiał Salahuddin — naprawdę to zrobiłeś, zamordowałeś ich oboje. Ale Gibril zamknął oczy, złączył palce obu rąk i rozpoczął opowiadanie — będące jednocześnie finałem wielu innych historii — a brzmiało ono tak:

Kan ma kan

Fi qadim azzaman. . .

* * *

Było tak albo nie dawno temu nie wiem gdzie

No cóż to idzie jakoś tak

Nie mam pewności bo jak przyszli nie byłem sobą nie jar zupełnie nie sobą czasem są takie ciężkie dni jak opowiedzieć o chorobie coś jak to ale nie mam pewności

Zwykle moja druga połowa stoi na zewnątrz krzycząc nie proszę nie ale to niedobrze widzieć nadchodzącą chorobę

Jestem aniołem cholernym bożym aniołem i tym razem aniołem zemsty Gibril mściciel ciągle zemsta dlaczego

Nie mam pewności coś jak to za zbrodnie bycia człowiekiem

szczególnie rodzaju żeńskiego ale nie wyłącznie ludzie muszą płacić

Mniej więcej tak

A więc przyprowadził ją nie chciał źle teraz wiem chciał tylko żebyśmy byli ze sobą nie-niee widzisz powiedział ona mnieeżyyyywi urazy powiedział ani odrobiny a ty powiedział w-wciąż szaaalejesz za nią każdy to widzi chciał tylko abyśmy byli byli byli

Ale usłyszałem wersety

kapujesz Spoono

wersety
Różowe jabłuszko i kwaśna cytryna Uła muła rike kina
Dobra kawka i herbatka
Niebieskie fiołki żółte motyle ty wspomnij mnie na mej mogile mogile mogile
Takie rzeczy
Nie mogłem tego złapać i ona zmieniła się na moich oczach wołałem na nią
kurwa właśnie tak i on on wiedziałem o nim
Sisodia stary zbereźnik wiedziałem do czego zmierzają aby
śmiać się ze mnie w moim własnym domu coś na ten kształt
Dobre masełko dobre grzanki
Wersety Spoono kto jak myślisz robi takie cholerne rzeczy
Wznieciłem wiec gniew Boży wskazałem palcem trafiłem go w serce ale ona
suka myślałem suka zimna jak lód
stała i czekała po prostu czekała a później nie wiem nie mam pewności nie
byliśmy sami
Mniej więcej tak
Była tam Rekha unosząc się na dywanie pamiętasz ją Spoono
pamiętasz Rekhę na dywanie kiedy spadliśmy i ktoś jeszcze zwariowany koleś
w szkockich ciuchach taki *gora*
nie zapamiętałem nazwiska
Widziała ich albo nie nie mam pewności po prostu tam stała
To był pomysł Rekhi zabrać ją na górę na szczyt Everestu raz tam byłeś droga
tylko w dół
Wskazałem na nią palcem wzniesiliśmy się
Ja jej nie popchnąłem
Rekha ją popchnęła
Ja bym jej nie popchnął
Spoonno
Zrozum mnie Spoono
Do diabła
Kochałem tę dziewczynę

* * *

Salahuddin zastanawiał się, jak Sisodia, ze swoim wyjątkowym szczęściem do przypadkowych spotkań (Gibrilem kroczącym wśród ruchu ulicznego, z nim, Salahuddinem panikującym przed otwartymi drzwiami samolotu i teraz, jak się zdawało, z Allelują Cone w hotelowym korytarzu) zdołał przypadkowym trafem

zetknąć się ze śmiercią; myślał także o Allie, mającej mniej szczęścia niż on, osiagającej (zamiast długo oczekiwanego samotnego wejścia na Everest) sromotnie śmiertelne zejście, i o tym, jak umrze za swoje wersety, ale nie potrafił się zdobyć na uznanie wyroku śmierci za niesprawiedliwy.

Rozległo się pukanie do drzwi. *Proszę otworzyć, policja.* A jednak Kasturba ich wezwała.

Gibril zdjął klosz z cudownej lampy Czangeza Czamczawalli i pozwolił mu roztrzaskać się na podłodze.

Schował w środku broń — uświadomił sobie Salahuddin. — *Uwaga* — krzyknął — ten człowiek ma broń! Pukanie ustało, Gibril potarł dłonią krawędź magicznej lampy: raz, dwa, trzy.

Rewolwer pojawił się w jego drugiej dłoni.

I wtedy w strasznej postaci pojawił się srogi dżinn — przypomniał sobie Salahuddin — *jakie jest twoje życzenie? Jestem niewolnikiem tego, kto posiada lampę.* Jakimż ograniczeniem jest broń, pomyślał Salahuddin, czując się dziwnie odcartym od wydarzeń. — Tak jak Gibril, kiedy nadchodził atak choroby. — Tak, w istocie; najbardziej ograniczająca z rzeczy. — Jak niewielu dano wybór, teraz ten Gibril był *uzbrojony*, a on *nie uzbrojony*; jakżeż skurczył się wszechświat! Prawdziwe dżinny z zamierzchłych czasów miały moc otwierania bram Nieskończonego, czynienia cudów i wszystkiego możliwym; jak banalny był w porównaniu z nimi ten współczesny fantom, ten zdegenerowany sługa swoich potężnych mocodawców, ten cherlawy niewolnik dwudziestowiecznej lampy.

— Już dawno ci mówiłem — powiedział spokojnie Gibril Fariszta — że jeśli będę wiedział, że choroba nigdy mnie nie opuści, że zawsze będzie wracać, to ja nie będę w stanie tego znieść. — I wtedy bardzo szybko, zanim Salahuddin zdążył ruszyć palcem, włożył do ust lufę pistoletu; nacisnął spust; był wolny.

Salahuddin stał przy oknie swojego dzieciństwa i patrzył na Morze Arabskie. Księżyc był prawie w pełni; jego światło rozchodziło się ze skał Scandal Point aż po horyzont, tworząc iluzję srebrzystej drogi jakby drogę pośród świetlistych włosów morza, drogę do cudownych krain. Potrząsnął głową; nie mógł już dłużej wierzyć w bajki Dzieciństwo skończyło się i widok z okna był tylko jego starym sentymentalnym echem. Do diabła z tym! Niech przyjadą buldożery. Jeśli stare nie chce umrzeć, nowe nie może się narodzić.

— Chodź — powiedział głos Zinat Wakil z za jego ramienia. Wyglądało na to, że pomimo swoich wszystkich złych uczynków, słabości, winy — pomimo swojego człowieczeństwa — dostał jeszcze jedną szansę. Nie było niczego takiego jak uśmiech fortuny, to oczywiste. Była po prostu czyjaś ręka dotykająca jego łokcia. — Do mnie — zaproponowała Zini — wynośmy się stąd.

— Idę — odpowiedział i odwrócił się od widoku za oknem.

Podziękowania autora

Znajdujące się w tej książce cytaty z Koranu pochodzą z przekładu angielskiego (N.J. Dawood, wydane przez Penguina; niektóre cytaty za: Maulana Muhammad Ali, Lahore, 1973). Przekłady te poddałem kilku drobnym zmianom. Cytat z Faiza Ahmada Faiza jest przeróbką tłumaczenia dokonanego przez Mahmooda Jamala w „Penguin Book of Modern Urdu Poetry”. Opis mantykory zawdzięczam „Zoologii fantastycznej” Jorge Luisa Borgesa, natomiast materiały dotyczące Argentyny pochodzą z pism W. H. Hudsona, ze szczególnym uwzględnieniem „Far Away and Long Ago”. Powinienem również podziękować Paulinie Melville za rozplątanie mojej fryzury Rasta. Muszę również wyznać, że wiersze Bhupena Ghandiego są w rzeczywistości echem lektury zbioru Aruna Kolatkara „Jejuri”. Cytat z piosenki „Living Doll” do słów Lionela Barta; natomiast fragmenty ostatniego rozdziału mojej książki zostały zaczerpnięte z „Tynan Rightand Left” Kenetha Tynana (©Kenneth Tynan, 1967).

Nazwiska autorów, którym zawdzięczam mój zapal, są — mam nadzieję — oczywiste. Inni pozostaną anonimowi, lecz im również dziękuję.

Słownik

A

Abba — (hind.) ojciec.

Abu Simbel, Karim — literacki odpowiednik postaci historycznej, głowy rodu Omajjadów — Abu Sufjana. Był to zagorzały przeciwnik Proroka i islamu; w walkach przeciwko muzułmanom dowodził oddziałami mekkańskimi. Ok. 630 r. Mahomet pozyskał go i przy jego pomocy opanował Mekkę.

Ad — nazwa mitycznego plemienia olbrzymów, należącego według tradycji i Koranu do tzw. plemion wygastych, które Allah zgładził za ich pychę i bezbożność.

afryt — w wierzeniach muzułmańskich: okrutny demon.

Aga Khan — tytuł przywódcy muzułmańskiej sekty izmailitów w Indii.

ai-hai — (hind.) okrzyk żalu, smutku lub rozpacz.

aja — (hind.) tubylcza piastunka, niania, służąca.

Akbar (1542–1605) — cesarz, najpotężniejszy władca z dynastii mogolskiej. Usiłował w swoim państwie wprowadzić syntetyczną religię łączącą zasady islamu z hinduizmem i chrześcijaństwem.

Akbar i Birbal — popularny w Indiach cykl opowieści o cesarzu Akbarze i jego słynnym z przebiegłości i mądrości hinduskim wezyrze Birbalu.

Allahu Akbar — (arab.) Allah jest wielki.

al-qur'an — transkrypcja arabskiej nazwy Koranu.

Amitabh — imię popularnego aktora indyjskiego.

Amma — (arab.) matka.

Ammadzi — (hind.) matko, mateczko.

Arawindan (1872–1950) — znany poza Indią jako Aurobindo, właściwe nazwisko Arawinda Ghosh (Aurobindo Ghosh), indyjski myśliciel, polityk i reformator, autor filozoficzno-społecznego systemu integralnej wedanty, realizowanego przez jego kontynuatorów w „mieście przyszłości” — Auroville koło Puttuczary w pd.-wsch. Indii.

Arre deo — (hind.) O Boże!

asasyni — (z arab. haszaszijjun — oszałamiający się haszyszem) — nazwa skrajnej sekty izmailitów, której obowiązkiem religijnym było zniszczenie przeciwników poprzez zabójstwa i szerzenie terroru. Do rytuału religijnego należało używanie narkotyków, szczególnie haszyszu.

awatar — (sanskryt.) „zstąpienie”; wcielenie boga, w szczególności Wisznu, konieczne dla ratowania ludzkości przed zagładą. Hinduizm uznaje dziesięć takich wcieleń — zstąpienie Wisznu.

B

baba — (hind.) „dziecko, mały”; określenie łączone często z imieniem chłopca, używane przez rodziców i służbę. Natomiast w jęz. arabskim baba znaczy „tatuś”.

baboo — (w transkrypcji polskiej: babu) gra słów pomiędzy wyrazem naśladującym kołatanie serca a pogardliwym określeniem Hindusa zasymilowanego do kultury angielskiej.

Bałwochwalczy — autor używa tu angielskiego słowa „shark”; podobnie jak arabskie słowo „shirq” znaczy ono „rekin”. Jednak „shirk” znaczy również „bałwochwalczy” — i to znaczenie wydaje się bardziej odpowiednie: w Dżahiliji (Mieście Niewiedzy) władzę sprawowali Bałwochwalczy, czciciele idoli.

Bibhutibhusan, Banerdzi (1899–1950) — pisarz bengalski, właściwa postać nazwiska: Bandjopadhaj.

Baprebap — (hind. — bap: „ojciec, tato, ojczulek, tatulo”). Całe wyrażenie znaczy tyle co „ojczulku złoty!”, z intonacją zdumienia, oburzenia lub (niekiedy udawanego) przerażenia.

Battuta, Billy — gra znaczeń, w książce jest to właściciel biura podróży. W rzeczywistości imię to nosił słynny arabski geograf i podróżnik Ibu Battuta (XIV w.); z racji bardzo licznych podróży i ich opisów zwany „Podróżnikiem epoki”.

begam — (pers.) pani, królowa; zwrot grzecznościowy używany w stosunku do kobiet muzułmańskich.

- bhai** — (hind.) brat, tu: bracie. Bhai-bhai — tu: między nami przyjaźń jak między braćmi.
- bhangi** — (hind.) członek jednej z najniższych kast w Indii, niedotykalny, trudniący się zmiataniem ulic i czyszczeniem latryn. Przenośnie „człowiek bez sumienia”, „łotr”.
- bhel-puri** — (hind.) smażony na topionym maśle lub oleju placek z mąki pszennej, podawany z ryżem i soczewicą z dodatkiem ostrych sosów.
- bhurta** — (hind.) purée z gotowanych lub smażonych na oleju warzyw.
- bibi** — (pers.) pani, dama, żona; zwrot grzecznościowy, używany w stosunku do zamężnych kobiet muzułmańskich.
- Bilal ibw Rabah** (zm. 638 lub 642) — niewolnik abisyński, jeden z pierwszych wyznawców Proroka i pierwszy w islamie muezzin, zwołujący na modlitwę z dachu Kaaby.
- Billimoria, Pimple** — imię jej znaczy tyle co „pryszczki”.
- Binaka** — marka popularnej w Indii pasty do zębów.
- Birbal** — por. Akbar.
- birī, bidż** — (hind.) tanie, popularne wśród indyjskiej biedoty (oraz w środowiskach lewicującej inteligencji i artystów) cygaretki skręcane z jednego liścia tytoniu.
- bodhi** — (sansk.) przebudzenie, iluminacja. Nazwa „drzewa Przebudzenia” (pipal, *Ficus religiosa*), pod którym Budda miał — w trakcie medytacji — odnieść ostateczne zwycięstwo nad pokusami i zrozumieć sens istnienia. Miejsce, gdzie rośło owo drzewo, jest celem pielgrzymek buddystów (Bodh Gaje w Biharze).
- burka** — (arab.) nakrycie głowy, noszone przez kobiety muzułmańskie i zasłaniające całą twarz z wyjątkiem oczu.
- Bustan** — (pers.) kwiatowy ogród wonności, miejsce rozkoszy. Tytuł jednego z poematów poety perskiego Sa’diego z Szirazu (ok.1213–1292).

C

Chajjam-FitzGerald: Omar Chajjam (1048–1131) — perski uczony, matematyk i poeta. Z jego słynnym utworem „Rubajjat” („Czterowersze”) zapoznano się na zachodzie w roku 1859 dzięki parafrazie E. FitzGerala.

Chalistan — nazwa niezawisłego państwa, o którego powstanie walczą ekstremiści sikhijscy. Granice Chalistanu miałyby się pokrywać z granicami obecnego stanu Pendżab w pn.-zach. Indii.

Cone — literacki odpowiednik góry Hira (w pobliżu Mekki), w której znajdowała się grotta — miejsce objawień Proroka.

Czamacza, Saladyn — w tym miejscu autor ironicznie połączył dwa elementy: imię — Saladyn (z arab. Salah ad-Din — „Miecz wiary”), wódz i sułtan z dynastii Ajjubidów (XII w.); słynny z mądrości i cnót rycerskich; rozgromił krzyżowców i zawładnął niemal całą Ziemią Świętą; w wersji skróconej Salad — „sałatka”, oraz nazwisko — Czamacza (hind.) „łyżka, łyżeczka”; pogardliwie słowo to oznacza także człowieka bez woli, bez własnego zdania, człowieka, którym się pomiata. Nazwisko ojca Saladyna, Czangez Czamaczawalla, znaczy „ten od łyżek”, sprzedawca lub producent łyżek.

Czandelów dynastia — okres w historii Indii, związany z dynastią Čandelów (Czandelów) IX — XII w. Dzięki mecenatowi władców z tej dynastii powstały słynne erotyczne rzeźby w tantryckich świątyniach khadžuraho w pn. części kraju.

czapati — (hind.) cienkie placki z nie zakwaszonej mąki, smażone na tłuszczu; dodatek do wielu potraw.

czaprasi — (hind.) goniec, posługacz, stróż, szeregowy funkcjonariusz policji.

Czaudhuri, Nivad — współczesny pisarz indyjski pochodzenia bengalskiego.

D

dadźdzał — (arab.) oszust, szarlatan, antychryst

Devi, Phulan — postać autentyczna, pochodząca z indyjskich nizin społecznych przywódczyni bandy rabusiów. Schwytała w połowie lat siedemdziesiątych, Phulan została poddana resocjalizacji, udzieliła wielu wywiadów, a jej fotografie publikowano na pierwszych stronach dzienników indyjskich.

dhaba — (hind.) tania jadłodajnia.

dholki — (hind.) bębenek.

dhoti — (hind.) tradycyjny indyjski strój męski; płat bawełnianej materii owinięty wokół bioder i sięgający po kolana; luźny koniec dhoti przeciąga się między nogami i zatyka od tyłu zapas.

Dom Czarnego Kamienia — por. Kaaba.

Doomsday, Eugene — nazwisko to znaczy Dzień Sądu Ostatecznego.

Dżahannum — (hebr.) Gehenna, piekło w tradycji islamu.

Dżahilijja — (arab.) pod tą nazwą ukrywa się Mekka. Nazwa symboliczna, ponieważ Arabowie tym mianem określają epokę przedislamską. „Okres ciemnoty, niewiedzy”.

Dżaisalmen — miasto w pustynnej części Radżasthanu w pn.-zach. Indii, słynne ze średniowiecznej architektury kamiennej.

Dżama Masdzid — meczet katedralny zbudowany w pół. XVII w. Należy do najwspanialszych dzieł architektury muzułmańskiej w Indii; także: duży meczet, gdzie w piątki odbywają się modlitwy wiernych.

dżelaba (albo galabijja) — (arab.) strój, przeważnie męski; rodzaj długiej do kostek, rozszerzanej koszuli.

Dżurhum — jedno z legendarnych plemion staroarabskich, zaliczanych do Arabów wygasłych. Plemię wspomniane w Koranie jako to, które wygubił Allah za grzechy.

F

Fachar — дума.

Faiz Ahmasd Faiz — (ur. 1911) poeta tworzący w języku urdu, jeden z najwybitniejszych twórców pakistańskich, laureat Leninowskiej Nagrody Pokoju (1961).

Fariszta, Gibril (Dzibril Farishta) — Archanioł Gabriel. Farishta — (pers.) firishte „anioł i poseł”.

figury tantryczne — związane z tantryzmem przedstawienie postaci w pozach erotycznych.

Filmmela — (mela — z hind. „zgromadzenie”) spotkanie filmowe.

G

Gagari — nazwa miasteczka w regionie Zachodnich Ghatów (Pobrzeże Mala-braskie); słynne z kamiennych bóstw.

Ganesz — (sanskryt.) Ganeśa „pan zastępów”; bóg mądrości wzywany przy rozpoczynaniu wszelkich ważnych czynności jako ten, który usuwa przeszkody. Syn Sziwy i Parwati („Córki Gór”). Wyobrażany jako gruby mężczyzna z głową słonia.

Gautama — właściwe imię Buddy (Siddhartha Gautama z rodu Sza-kjów).

gazel — (arab.) tradycyjny gatunek arabskiej poezji liryczno-miłosnej. Pojawił się w VII w. w Mekce i Medynie, skąd jego dwa typy — mekkański (realizm w opisywaniu scen miłosnych, wesołość, często frywolność) oraz medyński (miłość nie- szczęśliwa, platoniczna). Gatunek ten jest również rozpowszechniony w poezji perskiej i wśród mużumartskich poetów indyjskich.

ghoul — (arab.) demon, kanibal.

Gitandzali — zbiór poezji, za który Rabindranath Tagore otrzymał nagrodę Nobla (1913). Tytuł przekładu polskiego: „Pieśni ofiarne”.

Gloriana — jacht wyścigowy skonstruowany w 1891 roku przez Nathaniela G. Herreshoffa. Był to jacht wąski i bardzo szybki dzięki zmniejszeniu zanurzonej powierzchni kadłuba i niskim ułożeniu balastu. Konstrukcja ta stanowiła kres poszukiwań takich parametrów łodzi regatowej, które zapewniłyby jej rozwinięcie największej prędkości. Spowodowała przewrót w budownictwie jachtowym.

gopi — pasterka, małżonka Kriszny-Pasterza.

Gulistan — (pers.) ogród różany, tytuł poematu Sa'diego.

H

hadżdż — pielgrzymka do Mekki, jeden z pięciu podstawowych obowiązków muzułmanina, odbywana w określonym terminie (miesiąc zu'l-hidżdża). Każdy wierny powinien w miarę możliwości raz w życiu odbyć tę pielgrzymkę. Jest ona kontynuacją pielgrzymek przedislamskich do Czarnego Kamienia w Kaabie. Pierwszą oficjalną pielgrzymkę poprowadził sam Prorok w 10 r. hidży (632).

Hadżdżi (lub hadżi) — ktoś, kto odbył pielgrzymkę do Mekki.

Hamza — stryj Proroka.

Hamzanama — dzieje Hamzy (wuja Proroka) zobrazowane na beli płótna tak, aby można je było ukazywać publiczności w sekwencji chronologicznej.

Hanuman — mityczny wódz małp z Ramajany, który pomógł Ramie pokonać demona, Rawanę; jedno z popularnych bóstw hinduizmu ludowego.

Haram Szarif — święty obręb miasta Mekki. Wstępując na ten obszar, pielgrzymi biorą na siebie stan uświęcenia i przyoblekają szaty pielgrzymie.

Heinz — wielkie amerykańskie przedsiębiorstwo zajmujące się produkcją żywności. Od 1896 posługują się sloganem reklamowym „57 varieties”.

Hidżaz — kraina geograficzna w środkowej Arabii; gł. miasta: Mekka, Jasrib (Medyna), Taif.

hidźra — (hind.) „eunuch, hermafrodyta”. W Indii eunuchowie spełniają role rytualne (tańce „na szczęście” w trakcie ceremoniału ślubnego i przy narodzinach syna) i stanowią rozwiniętą sektę — kastę o własnym obrządku religijnym, bliskim sziwaizmowi — stad trójząb, symbol Sziwy. Hidźrowie noszą żeńskie stroje, dlatego porównuje się ich do Amazonek.

Ho dźi! ho dźi! — (hind.) dźi — odpowiednik polskiego „pan, pani, państwo”; dodawany jest do nazwisk, terminów pokrewieństwa i słów oznaczających osoby spełniające istotne i obdarzone szacunkiem role i zawody. Tu w znaczeniu: „oho, szanowny panie / szanowni państwo, oho!”

Hubal — bożek przedislamski; kult Hubala rozpowszechniony był w Mekce, gdzie znajdował się posąg bóstwa w kształcie postaci ludzkiej.

Hubszis — (hind.) Etiopczyk, czarny, murzyn, czarnuch.

Iblis — władca dżinnów, muzułmański Lucyfer, przed upadkiem nazywał się Azazel. Ibrahım — prorok, biblijny Abraham, ojciec Ismaila (por. Zaniżam).

I

Imam — duchowy przywódca w islamie, wg szytów: najwyższy zwierzchnik muzułmanów. Zgodnie z niektórymi odłamami szytów ostatni imam (a jest ich dwunastu lub siedmiu) pozostaje w ukryciu i kiedyś pojawi się jako prorok i odnowi świat w duchu sprawiedliwości.

Ituriel i Zefon — dwaj aniołowie, którzy zostali posłani przez Gabriela na poszukiwania Szatana ukrywającego się w Raju. Ituriel uzbrojony był we włócznię, której dotknięcie ujawniało fałsz i kłamstwo; tknięty ową włócznią Diabeł objawia się w swojej właściwej postaci.

J

jar — (hind.) „przyjaciel, druh”. Tu: „przyjacielu, mój drogi”.

Jasrib — przedislamska nazwa Medyny. (Madinat An-Nabi — Miasto Proroka).

jelama z Karnataki — bogini związana z kultem wegetacji i płodności; czczona w pd.-zach. Indii.

Johnson, Hanif — autor bawi się znaczeniami: swojemu bohaterowi prawnikowi nadał imię słynnego teologa i prawnika żyjącego w VIII w. — Abu Hanify.

K

- ka** — pojęcie z mitologii egipskiej — jeden z niematerialnych elementów osobowości człowieka i jego indywidualny geniusz opiekuńczy. Gdy ciało wydaje ostatnie tchnienie, ka opuszcza zmarłego i udaje się do kraju na Zachodzie.
- kachori** — (hind.) rodzaj pierożków przygotowywanych z mąki i grochu i przy-smażanych na topionym maśle lub oleju.
- Kaaba** — najważniejsza świątynia islamu, położona na dziedzińcu wielkiego meczetu w Mekce. W jednym z narożników wbudowany jest Czarny Kamień.
- kabin** (forma żeńska: kabina) — (arab.) „wróźbita, wieszczek”. Odgrywał dużą rolę wśród Arabów pogańskich. Wierzono, że otrzymuje nadprzyrodzoną wiedzę od demona. Kahin udzielał rady we wszystkich sprawach plemienia. Często stanowił potęgę polityczną. Prorok wyraźnie twierdził, że nie należy go traktować jako kabina.
- kalima** — wyznanie wiary: „La ilaha illa’l-lah wa Muhammad rasu-lu’l-lah” (Nie ma Boga prócz Allaha, a Mahomet jest jego prorokiem). Salman Pers mówi natomiast „La ilaha illa’l-lah! La ilaha!”, co jest oczywistym bluźnierstwem (Nie ma Boga prócz Allaha! Nie ma Boga!)
- Kan ma kan...** — (arab.) formuła wstępna baśni arabskich.
- karma** — (sansk.) w buddyzmie i hinduizmie: suma skutków dobrych albo złych myśli, słów i uczynków człowieka, wyznaczająca jego los w nowej inkamacji, a potem kolejno w dalszych, aż do osiągnięcia pełnego wyzwolenia.
- Katha-Sarit-Sagar** — (sansk.) „Ocean strumieni opowieści” — tytuł klasycznego zbioru bajek indyjskich.
- khati-pili chalas** — (arab.) chała al-bali — beztroska, niefrasobliwa; chalas — koniec; należałoby to tłumaczyć: „już bez trosk”.
- khir** — (hind.) ryż na słodko, gotowany w mleku z dodatkiem orzeszków pistacjowych i rodzynków; rodzaj deseru.

Koran — święta księga wyznawców islamu, religii głoszonej przez Proroka Mahometa. Koran zawiera nie tylko przepisy religijne i nakazy moralne, ale również przepisy prawne i stanowił pierwszą „konstytucję” tworzącego się państwa.

Kurajsi — nazwa plemienia arabskiego sprawującego władzę w Mekce.

kurta-pażama (padżama) — 1. kurta — (hind.) długa, sięgająca połowy ud koszula męska, noszona na spodnie, szyta z grubego samodziału bawełnianego, płótna lub muślinu; 2. pażama — (pers.) nogawice; kurta-pażama — rozpowszechniony w pn. Indii i Pakistanie strój męski, składający się z długiej, wypuszczonej na wierzch koszuli i workowatych spodni z bawełnianego płótna, zawiązywanych w pasie na tasiemkę.

Kuru i Panalu — bohaterowie „Mahabharaty”.

kuskus — potrawa przyrządzona ze specjalnego rodzaju kaszy. Może być podawana zarówno z mięsem, jak i na słodko.

L

Lakszmi — w panteonie hinduskim: bogini dobrobytu i domowego szczęścia, małżonka Wisznu.

Lalique’a, kryształ — Rene Lalique (1860–1945) francuski emalier i złotnik. Lalique projektował także secesyjne naczynia szklane i kryształ.

lassi — (hind.) napój chłodzący: jogurt zmieszany z zimną wodą i solą.

Lat, AI-Lat — bogini z panteonu bóstw przedislamskich, czczona, obok bogini Al-Uzza. Szczególnie poważana w Mekce. U innych plemion była utożsamiana z Abeną i Minerwą.

M

Mababharata — nazwa narodowego eposu indyjskiego; w jęz. polskim znaczy „Wielka wojna Bharatów” (Bharatowie -związek plemienny zamieszkujący

w starożytności Nizinę Gangesu; od nazwy tego plemienia pochodzi obecnie nazwa państwa indyjskiego Bharat). Dla wielu współczesnych Hinduśców Mahabharata to po prostu wielkie Indie, stąd też autor tworzy analogiczne wyrażenie: Mahawilajat, co znaczy „Wielka Obczyzna”.

Mahound — literackie imię Proroka Muhammada (Mahometa) — prorok i twórca islamu, prawodawca, reformator społeczny i polityczny, założyciel państwa arabsko-muzułmańskiego. W wieku ok. czterdziestu lat w grocie góry Hira w pobliżu Mekki miał doznać pierwszych objawień, przekazanych mu od Allaha przez Archanioła Gabriela. Początkowo grupa wyznawców nowej wiary — islamu — była nieliczna, a ogromna większość Mekkańczyków odnosiła się do niej wrogo i z pogardą. Wreszcie w roku 622 Mahomet wraz z grupą wiernych wyruszył do Jasrib (późniejszej Medyny), aby tam znaleźć schronienie. Prorok, oprócz wypełniania misji „posłańca Allaha”, stał się również przywódcą nowej społeczności muzułmańskiej, kodyfikatorem praw i zasad etycznych. Liczba wyznawców nowej religii stopniowo powiększała się, aż wreszcie po wielu trudach i niepowodzeniach Mahomet ostatecznie opanował Mekkę i w roku 632 udał się z triumfalną pielgrzymką do Kaaby. Trzy miesiące później zmarł.

malaika — (arab.) anioły.

Manat — (arab.) bogini przeznaczenia, uważana za najstarsze bóstwo epoki przedislamskiej. Oddawały jej cześć plemiona z okolic Mekki. Jej siedliskiem był kamień między Mekką a Nadżranem.

mantra — w hinduizmie: święta sylaba OM. Moc duchową przypisywano nie tylko całej sylabie, ale i jej częściom składowym o-h-m. W późniejszym hinduizmie stały się one symbolem trójjedności Brahmy, Wisznu i Sziwy oraz symbolem wielu innych triad. Sylabę OM umieszcza się na początku wszystkich tekstów religijnych i wymawia na końcu i na początku recytacji hymnów wedyjskich. W lamaizmie OM jest pierwszym elementem mantry „Om mami padme hum” — „Om, klejnocie, który jesteś w lotosie, hum”; klejnot w lotosie to Budda.

mantykom — fantastyczne zwierzę heraldyczne: lew z ludzką głową.

masala dosa — (hind.) potrawa kuchni południowoindyjskiej — cienki naleśnik z mąki ryżowej podawany z ostrym sosem.

Maslama, John — znowu gra znaczeń — autor nadaje maniakowi religijnemu nazwisko człowieka, który za czasów Mahometa głosił, że jest prawdziwym prorokiem. Maslama (albo Musajlima) żył w VII wieku, objawienia swoje

podawał w formie krótkich inwokacji. Ograniczył ilość modlitw z pięciu do trzech, propagował ostrą ascezę, zabraniał picia wina i stosunków seksualnych po urodzeniu pierwszego syna. Nauka jego stanowiła zagrożenie dla islamu. W 634 r. w bitwie pod Akraba jego wojska zostały pobite przez ekspedycję pod wodzą Chalida ibn al-Walida.

mausi — (hind.) siostra matki, mateczka.

Mekka Szarif — święta Mekka.

Merchant, Rekha — ang. „merchant” — kupiec, handlowiec.

„Męczeństwo jest przywilejem” — wg islamu każdy, kto zginie w świętej wojnie (dżihad), jest męczennikiem i pójdzie prosto do raju.

„Mother India”, „Mr India”, „Sh ree Charsawbees” — książki o Indii pisane z perspektywy kolonialnej.

mubarak — (arab.) szczęściarz, pobłogosławiony.

Mughal-e-Azam — (urdu) „Wielkość Mogołów”.

Mumbaj — maracka nazwa miasta Bombaj; nazwa angielska Bombaj wywodzi się z portugalskiego Bom Bahin („Dobra Przystań”), co może być zniekształceniem nazwy oryginalnej „Mumbaijjam” — „miejsce (bogini) Mumby”. Autor ironizuje nt. mody przywracania miastom indyjskim oryginalnych nazw, już od dawna nie używanych i odmiennych od przyjętych we wszystkich światowych językach.

Muttalib — (arab. Abd al-Muttalib) dziadek Mahometa; pochodził z rodu Haszim, odgałęzienia plemienia Kurajsz. Miał dwunastu synów, jednym z nich był Abdallah — ojciec Proroka.

N

na — (hind.) na końcu zdania odpowiada polskiemu: nieprawdaż? no nie?

Nakrah — przedislamskie bóstwo solarne.

Nandu — byk Nandu jest w ikonografii hinduistycznej zwierzęciem, na którym jeździł bóg Sziwa; figury byka Nandu ustawia się często przed wejściem do świątyni.

Nasr — (arab.) „Orzeł” — bóstwo plemienne plemienia Zu' 1-Kah.

Nataradża — (hind.) „Nataradž” — nazwa rozpowszechniona w epoce Czólów typu rzeźby sakralnej (wyobrażenie boga Sziwy jako Kosmicznego Tancerza).

nikah — (arab.) zaślubiny.

P

palia — (hind.) opadający z ramienia luźny koniec sari.

panczajat — (hind.) wiejska rada starszych (pięcioosobowa).

panka-walla — (hind.) „panka” — wachlarz, wentylator. Tu: opis starszego typu „wentylatora” — płat ciężkiego materiału przybity do podwieszanej u sufitu belki, którą za pomocą sznura przeciągniętego od belki przez otwór w ścianie do drugiego pomieszczenia wprowadzał w ruch specjalnie do tego zatrudniony służący — pankawalla.

paratha — (hind.) placek z ciasta pszennego wielokrotnie przekładanego i rozwałkowanego, podsmażany na maśle lub przypiekany bez użycia tłuszczu i dopiero przed podaniem na stół skraplany masłem.

parda — (pers.) zasłona, welon; wyżej postawione kobiety muzułmańskie mogły rozmawiać z obcymi mężczyznami tylko przez zasłonę. W pn. Indii zwyczaj ten przejęło wiele ortodoksyjnych rodzin hinduskich. Nazwa „parda” obejmuje dziś także i samą instytucję separowania kobiet od mężczyzn.

Parsi, styl — styl architektoniczny charakterystyczny dla Parsów, wyznawców Zaratustry, którzy znaleźli schronienie w zach. Indiach przed prześladowaniami muzułmanów.

patti — (hind.) drobno pokrajany kurczak, podawany w ostrym sosie.

Peristan — (pers.) kraina pięknych wróżek.

pista — (pers.) deser pistacjowy; rodzaj słodczy migdałowo-pistacjo wych.

Powell, Enoch (ur. 16.06.1912) — polityk brytyjski, członek Parlamentu, znany ze swoich rasistowskich poglądów. W 1968 r. w swoim przemówieniu (nazwanym później „Rzeką krwi”) Powell po raz pierwszy poruszył brytyjską kwestię rasową. Twierdził w nim, że napływ kolorowych imigrantów do Anglii spowoduje po pewnym czasie krwawą wojnę rasową. Po tym przemówieniu Powell został wykluczony z Gabinetu Cieni, nie zrezygnował jednak z ambicji politycznych.

Puna — miasto w zach. Indii, nazwa maracka: Pune.

parany — (sansk.) „stare opowieści” święte teksty hinduizmu, osiemnaście sanskryckich zbiorów o treści kosmogonicznej i mitologicznej, zawierających także genealogię bogów, świętych mężów i rodów królewskich. Najstarsze purany pochodzą z początku I tysiąclecia n.e.

puri — (hind.) cienkie placki pszenne smażone na oleju lub topionym maśle, spożywane jako dodatek do innych potraw.

R

Radźniś — nazwisko indyjskiego guru, który dla swej zachodniej klienteli połączył ćwiczenia jogi z praktyką wyzwalania się od zahamowań seksualnych. Szkoła jego mieści się w Punie.

radiaz — najstarsze metrum poezji arabskiej. Wg tradycji radżaz powstało od rytmu piosenki nuconej w takt chodu wielbłąda. Jedno z najprostszych metrów.

raita — (hind.) krajane ogórki lub dynia w rozrzedzonym jogurcie z dodatkiem pieprzu.

rakszasa — demony występujące w mitologii; w „Ramajanie” rakszase są rodz. żeńskiego, w „Mahabharacie” — rodz. męskiego. Istnieje wiele legend dotyczących ich powstania. Jedna z nich mówi, że wyszły z paznokci Brahmy.

Rama — bohater „Ramajany”, uważany za wcielenie boga Wisznu.

Ramajana — narodowy epos indyjski powstały pomiędzy II w. p.n.e. a II w. n.e.

Rawana — „czarny charakter” z „Ramajany”; demon, który porwał Siłę i wprowadził ją na Cejlon, ostatecznie pokonany przez Ramę.

riszi — w lit. sanskrytu: mędrzec, czarodziej, czarownik; ma w sobie moc i mądrość.

RSS, Wiszwa Hindu, Pariszad — nazwy indyjskich organizacji skupiających wielkohinduskich szowinistów.

S

salah — (arab.) gówno.

Salim — najstarszy syn cesarza Akbara (1569–1627), od 1605 władca Imperium Mogołów; po koronacji przyjął imię Dżahangir — Zdobywca Świata.

Salman Pers — niewolnik perski, który zaproponował Mahometowi wykopanie fosy wokół Medyny, dzięki czemu Mekkanie i ich sojusznicy zmuszeni byli się wycofać. Była to tak zwana „bitwa rowu” 627 r.

samosa — smażone trójkątne pierożki nadziewane mielonym mięsem, rybą albo jarzynami.

Sam ud — legendarne plemię staroarabskie, należące do Arabów wygasłych. Według tradycji i Koranu Allah zgładził ich za upór w trwanie w bałwochwalstwie.

Sardar — tym mianem określa się w Indiach Sikhów, którym religia zabrania ścinania włosów. Sikh, który obciął sobie włosy, jest więc odstępcą od wiary, a w oczach współczesnych ekstremistów walczących o niezawisłe państwo Sikhów jest także zdrajcą narodu.

sarpancza — (hind.) „zwierzchnik nad pięcioma”, przewodniczący pięcioosobowej rady miejskiej (panczajatu), wójt

Semdżadza; Azazel — imiona aniołów upadłych, strąconych do piekła; por. Iblis.

Sethidzi, seth — (hind.) bogaty kupiec, bankier.

siedem wersetów — chodzi o Fatihę, „Otwierającą” „urę Koranu. Recytuje się ją przed każdą modlitwą i przy ważnych okazjach życia codziennego.

Sita — bohaterka „Ramajany”, żona Ramy. Spoono — ang. „spoon” — łyżka; tu: głupek, głupol.

Sridewi — (sansk. sri — szanowny, czcigodny, tytuł stawiany przed nazwiskiem na znak szacunku; devi — bogini) tu: czcigodna bogini. Sridevi — popularna aktorka indyjska.

swadesz — (hind.) swadesi „ze swego kraju, miejscowy”; nazwę tę nadano przed II wojną światową kampanii bojkotu towarów pochodzenia zagranicznego, zwłaszcza brytyjskiego, prowadzonej przez zwolenników Gandhiego.

Szangri-La — mityczna kraina szczęśliwości w Tybecie, zamieszkiwana przez długowiecznych mędrców.

szatańskie wersety — tradycja mówi, że Prorok początkowo uznał boginie Al-Lat, Al-Manat i Al-Uzzę, dopiero po jakimś czasie odwołał te wersety, nazywając je „szatańskimi”. Uważa się, że początkowo uznanie głównych bogiń przedislamskich było aktem politycznym, mającym na celu zjednanie sobie Mekkańczyków.

Sziwa Lingam; Lingam — (sansk.) — symbol boga Sziwy, falliczny symbol płodności i twórczej energii pierwiastka męskiego.

T

Taif — miejscowość w Hidżazie, w pobliżu Mekki i Medyny.

teologiczne filmy — popularne w Indii filmy o tematyce religijno-mitologicznej. (Widownia traktuje aktorów jak wcielenia bogów.) W ich produkcji specjalizują się wytwórnie w Bombaju i Madrasie.

Thums Up Cola — marka produkowanego w Indii napoju orzeźwiającego (na bazie koli). Tini benche achem — (hind.) On żyje. Titlipur — Motylkowe (hind. titli — motyl; -pur — wieś).

U

Uhud — miejsce sławnej bitwy (625 n.e.) — skaliste wzgórze na pn. od Medyny. Mahomet z tysiącem wyznawców został pobity przez trzykrotnie liczniejszych przeciwników. Prorok został ranny, a rozbite wojsko odprowadził do Medyny Abu Bakr, późniejszy pierwszy kalif prawowierny.

Uległość — dosłowne tłumaczenie słowa „islam” — uległość, poddanie się (Alahowi).

umra — tzw. „mała pielgrzymka”, którą można odbyć w dowolnym miesiącu.

Uzza — (arab. Al-Uzza — „potężna”) bogini przedislamska, jej symbolem były akacje -jedna lub trzy; utożsamiana z Wenerą.

V

Vinod Khande — popularny aktor indyjski.

W

Wadodara — gudżaracka nazwa miasta Bawoda; nazwa angielska i polska jest nie zniekształcona.

wahi — (arab.) objawienie, także: natchnienie.

Whittington, Richard (zm.marzec 1432) — bogaty angielski kupiec i trzykrotny burmistrz Londynu. Legenda głosi, że będąc biednym sierotą pracował jako pomywacz u bogatego londyńskiego kupca. Zaryzykował wysłanie na sprzedaż, na statku pryncypała, jedynej własności — kota. Nie mogąc znieść złego traktowania ze strony pracodawcy, pewnego dnia ucieka, ale tuż za miastem słyszy głos dzwonek, który zdaje się mówić: „Zawróć, Whittingtonie, burmistrzu wielkiego Londynu”. Powraca zatem i dowiaduje się, że jego kot został za wielką sumę pieniędzy sprzedany mauretańskiemu władcy, którego posiadłości gnębione były plagą szczurów. Już jako bogaty człowiek Whittington żeni się z córką swojego pracodawcy, dziedziczy jego majątek, a później po trzykroć zostaje burmistrzem Londynu.

Wilajat — (arab. „wilayat”) obczyzna, obcy kraj, zagranica. W Indii powszechne jest przekonanie, że stolicą Wilajatu jest Londyn.

Wilson, Maurice — Brytyjczyk, który w 1934 roku usiłował samotnie zdobyć Everest. Opuszczony przez Szerpów kontynuował swoją szaleńczą wyprawę i zmarł z zimna i wyczerpania na wysokości ok. 6400 m n.p.m., a jego ciało i dziennik z notatkami znalazła ekspedycja w roku 1935.

Y

yakhni — (hind.) rosół, też: sos.

yatri — (hind.) pielgrzymi.

Z

zamindar — (pers.) właściciel ziemski, obszarnik.

Zarazam — (arab.) Al-Zam-zam: nazwa świętej studni znajdującej się w Mekce. Wg legendy arabskiej Zaniżam została pokazana przez Archanioła Gabriela egipskiej niewolnicy Hagar i jej synowi Ismailowi umierającemu z pragnienia na pustyni. Woda uratowała im życie i Ismail stał się protoplastą plemion północnoarabskich.

zawieszane wiersze — zawieszane poematy (arab. mu'allaka) — poematy wyróżnione na konkursach poetyckich, urządzanych w dawnej Arabii w miejscowości 'Ukaz. Wszyto je złotem na jedwabiu i zawieszono w świątyni Kaaba.

Zindabad — (pers.) Niech żyje!

Żony i nałożnice Mahometa :

Aisza — ukochana żona Proroka, córka Abu Bakra (późniejszego pierwszego kalifa prawowiernego), zwana Matką Wiernych. „Aisza musiała pobiec za potrzebą do jakiegoś dołka...” — tradycja podaje tę opowieść, jednakże powodem oddalenia się Aiszy były poszukiwania zagubionego naszyjnika.

Chadidża — pierwsza żona Mahometa. Bogata wdowa, która po śmierci drugiego męża powierzyła swoje interesy Mahometowi i wkrótce wyszła za niego. Tradycja mówi o niezachwianej wierze Chadidży w misję proroczą Mahometa, nawet wówczas, gdy był szykanowany. Prorok do końca życia wspominał je imię z miłością i czcią.

Dzuwajrijja — była córką naczelnika plemienia al-Mustaliq. W czasie walk została wzięta do niewoli i w podziale łupów przypadła Prorokowi, który po zawarciu pokoju uwolnił ją i pojął za żonę.

Hafsa — córka Omara ibu al-Chattaba (drugiego Kalifa Prawowiernego), wdowa po muzułmaninie, który zginął w bitwie pod Badr.

Majmma — prawdopodobnie chodzi tu o Majmuę, szwagierkę stryja Proroka, al-Abbasa, z którą Prorok ożenił się w 629 roku.

Maria Koptyjka — konkubina Proroka, przysłana w darze przez namiestnika egipskiego.

Rajhana Żydówka — należała do plemienia Banu Qurajza, przypadła Prorokowi jako łup wojenny.

Ramla — literackie imię Umm Habiby, córki Abu Sufjana (książkowego Abu Simbela).

Safija Żydówka — została wzięta do niewoli w Chajbar i była konkubiną Proroka niemal do końca jego życia. Tuż przed jego śmiercią przyjęła islam i stała się jego prawowitą małżonką.

Sauda — druga żona Proroka, wdowa po jednym z najstarszych muzułmanów.

Umm Sulma (Umm Salama, z arystokratycznego klanu Machzum) — również wdowa, mąż jej zmarł na skutek ran odniesionych w bitwie pod Uhud, żona Proroka.

Zajnab bint Dżahsz — początkowo była żoną adoptowanego syna Proroka, który rozwiódł się z nią. Prorok ożenił się z Zajnab, aby związać się z Abd Szams — rodem jej ojca.